

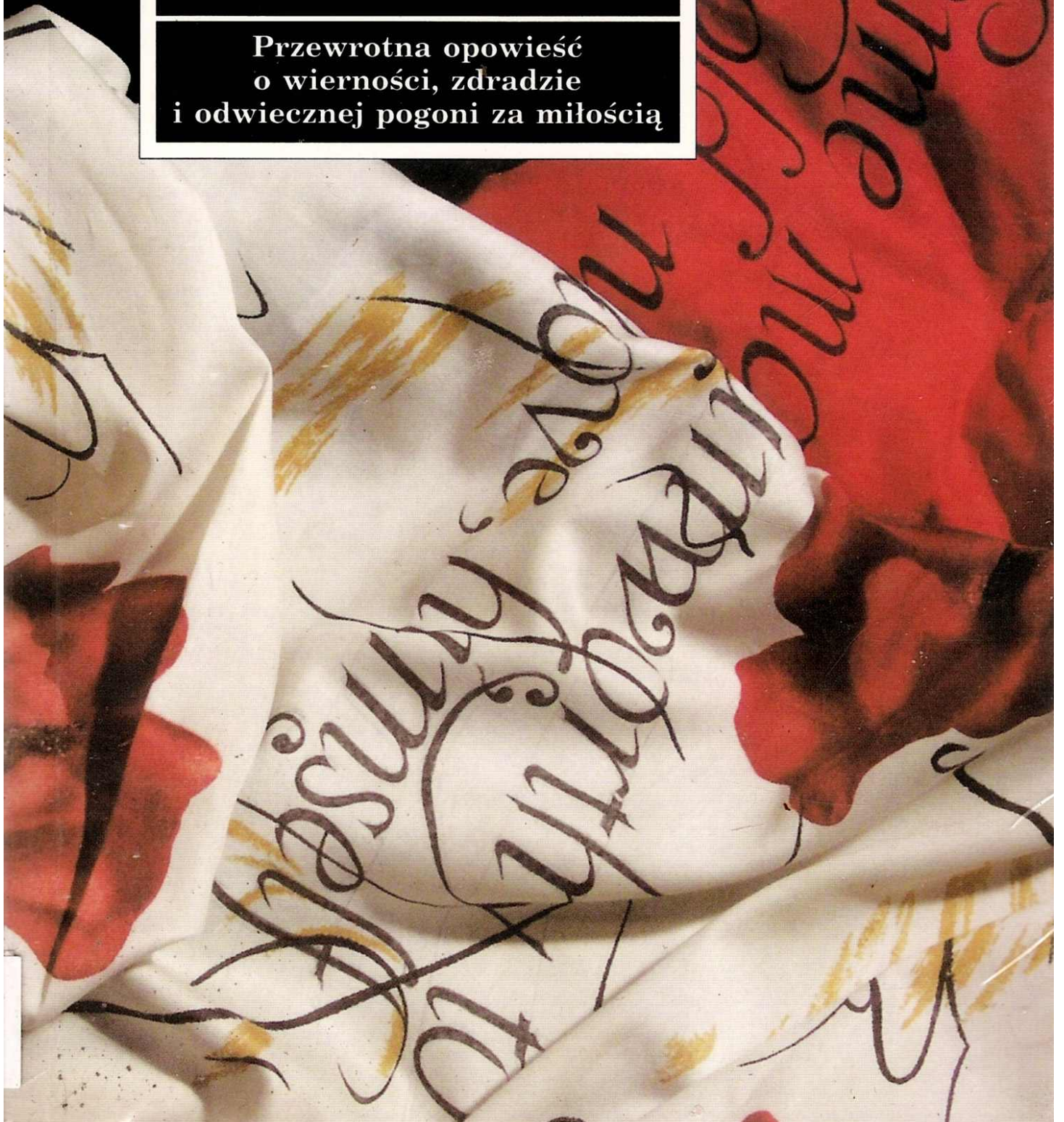


SALAMANDRA

MISTRZ
KALIGRAFII

Edward Docx

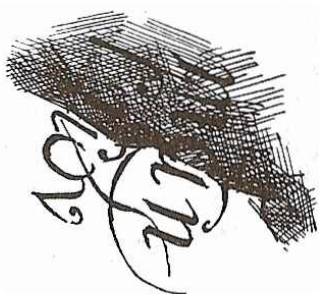
Przewrotna opowieść
o wierności, zdradzie
i odwiecznej pogoni za miłością



Edward Docx

MISTRZ
KALIGRAFII

Przełożył Jerzy Kozłowski



DOM WYDAWNICZY REBIS
POZNAŃ 2004

dla Emmy

*We mnie spotkały się sprzeczności,
Aby mnie rozszrożyć niestałość w nawyk
Się przerodziła stały...*

John Donne

*Myślę o turach i aniołach, sekrecie trwałych pigmentów, proroczych
sonetach, azylu sztuki.*

Władimir Nabokow

*Wyciągnął ramiona ku krystalicznie czystemu, świetlistemu niebu. –
Znam siebie – zawołał – i tylko siebie...*

F. Scott Fitzgerald

Titivillus

Równie dobrze mogę się przyznać od razu: mam konszachty z diabłem. Nic wielkiego – czasem zgrzeszę społecznym nihilizmem, to znowu dopuszczę się małżeńskiego sabotażu – zresztą przy moim zajęciu, obawiam się, jest to nieuniknione. Wystarczy dobrze poszperać, a okaże się, że większość ludzkich zajęć ma jakiegoś świętego patrona, natomiast spośród wszystkich sztuk na świecie tylko jednej, sztuce kaligrafii, patronuje demon. Zwań go Titivillus. I złośliwa z niego bestyjka.

Wyobraźmy sobie średniowieczny klasztor – powiedzmy, że gdzieś w Pirenejach, z wielką łukowatą bramą i wysokimi murami z jasnego kamienia. W jednym rogu otoczonego krużgankami dziedzińca wznosi się wieża. Zwykle tam właśnie, jak najbliżej światła, jak najdalej od wilgoci, znajduje się przestronna, okrągła komnata, do której prowadzą kręcone schody. Skryptorium. Na stołkach siedzą mnisi, pochyleni nad pulpitymi ustawionymi w podkowę wokół nadzorującego ich pracę armariusza.

W prawej dłoni trzymają pióro, w lewej – nożyk. Pracują w ciszy, słysząc jedynie ich oddechy i nieustanny chrobot przesuwanych po welinie piór. Mimo tak wysokiego położenia światło jest przyćmione, a starsi braciszczowie mrużą oczy. O rozpaleniu ognia czy choćby zapaleniu świeczki nie ma jednak mowy: bezpieczeństwo rzadkich i świętych manuskryptów jest przecież dużo ważniejsze niż bardziej przyziemne wygody skrybów.

Od czasu do czasu jeden z braciszków podnosi rękę, sygnalizując w ten sposób armariuszowi, by przyniósł mu dodatkowe pióra, nowy kałamarz lub skóry. Nożyka, rzeczy nadzwyczaj cennej, używa się do przyciskania pofałdowanego papieru, a także do ostrzenia pióra; ale co pewien czas, przygryzając wargę, mnich będzie musiał się nim posłużyć, żeby usunąć błąd.

I właśnie dla tych błędów żyje Titivillus.

Jest niskim wzrostem i rangą czartem z pękatym brzuszkiem i skrzywioną, nadaśnaną gębą. Przez większą część dnia czai się po kątach *scriptorium*, posiada na swym tobołku i krótkimi paluchami dłubie w spiczastych uszach albo w nosie, choć cały czas obserwuje, cały czas jest czujny. Najbardziej ze wszystkiego uwielbia błędy, które umykają uwagi mnichów i korektorów, pozostają nie zauważone w nowym manuskrypcie, a potem przepisują je kolejne pokolenia skrybów; mile widziane są również lapsusy tak wielkie, że kaligraf musi zaczynać całą stronę od nowa – opóźniają bowiem dzieło boże.

Co wieczór, gdy zrobi się zbyt ciemno, by mnisi mogli pisać, i gdy już odejdą ze *scriptorium* na wieczorne nabożeństwo, Titivillus sumiennie zbiera wszystkie błędy do tobołka i znosi je do piekła przed oblicze Szatana. Każdy grzech jest zapisywany w księdze przy imieniu odpowiedzialnego zań mnicha, by można je było odczytać w Dzień Sądu Ostatecznego.

Ta trudna (niektórzy by powiedzieli niesprawiedliwa) sytuacja trwała mniej więcej tysiąc lat – do czasu, aż w Europie rozkwitł Renesans i dola kaligrafa zaczęła się jeszcze bardziej pogarszać. W XIV wieku mnichów zmuszano do pracy w zawrotnym tempie aż do zmroku, by sprostać napędzanemu przez nowe uniwersytety szalonemu popytowi na kopie manuskryptów. Zmęczeni wiecznym pośpiechem braciszkuwie zaczęli rozpaczliwie szukać sposobów uniknięcia odpowiedzialności za rosnącą liczbę błędów w rękopisach, chcąc tym samym ratować coraz bardziej zagrożone dusze.

Titivillus dostrzegł wtedy szansę dla siebie.

Zaproponował świątobliwym skrybom układ, który miał obowiązywać po wsze czasy: odpuszczenie grzechów w zamian za potajemną obietnicę, że liczba błędów będzie nadal gwałtownie rosła. A że sytuacja i tak wymknęła się już spod kontroli, mnisi chętnie przystali na czarcia propozycję.

Tak oto Titivillus stał się patronem kaligrafów: trzymał w ukryciu ich grzechy i ratował ich przed piekłem.

Tymczasem postęp ludzkości dostał, jak to od czasu do czasu bywa, nagłego przyśpieszenia i w 1476 William Caxton (który nauczył się tych wszystkich bezeceństw w Kolonii) uruchomił w Westminsterze pierwszą w Anglii prasę drukarską. Wydawało się, że układ Titivillusa – jakże szybko – weźmie w łeb.

Można by pomyśleć, że taki rozwój wypadków oznacza koniec tego paskudnego knypka. Można by pomyśleć, że jeden z wyżej postawionych zauszników Lucyfera wezwie Titivillusa na dywanik i po analizie jego wyników oznajmi mu, że część personelu musi zostać zredukowana. Ale Szatan nigdy nie wyrzuca z pracy; po prostu degraduje, obniża pensję i zmusza do dalszej harówki na mniej korzystnych warunkach.

Wierzcie mi zatem, że to pękate ladaco wciąż żyje i ma się świetnie we współczesnym Londynie jako maestro dystrakcji, wałęsa się po moim mieszkaniu na poddaszu złośliwie skupione na tym, by dla draki nabruździć mi przy każdej nadarzającej się okazji. Na nieszczęście dla niego raczej nie przyjmuję tekstów biblijnych. Ale cóż może na to poradzić? W tych czasach kaligrafów jest jak na lekarstwo, nie może więc zbyt wybrzydzać. W każdym razie zawartego po wsze czasy paktu tak po prostu anulować się nie da: Titivillus pozostaje więc wysłannikiem Szatana, a ja – jego współnikiem. I wcale mi to nie przeszkadza. Jeśli bowiem popełnię pomyłkę, jeśli zbłądę, rozgrzeszenie będzie zapewne tylko formalnością.

Zapewne.

CZĘŚĆ PIERWSZA

I. Więzy miłości

*Pewien człek słaby, obłudnik wierutny,
Niegodzien zakosztować nektaru miłości,
Odkrył, że wstyd jego będzie mniej okrutny,
Gdy na niewiasty wyleje czarę swojej złości.
Przeto prawidło powstało –
Znać trza ino jedno ciało;
Ale czy to nie za mało?*

*Czy jest takie prawo, co słońcu zabrania
Muskać, kogo zechce, pieśczętą promieni?
Czy ptaki rozwód biorą, czy im się przygania,
Jeżeli afektu płomień serce im odmieni?
Idąc za głosem natury,
Zwierzę nie traci junktury,
A nasz los gorszy niż kury.*

*Jeśli nie wy płyną na mórz szerokie wody,
Po co taklować okręty i w żagle je stroić?
Kto wznosi pałace i sady ogrody,
By przed światem je zamknąć i szczepnąć pozwolić?
Tylko to się dobre zdaje,
Co tysiącu się przydaje –
A chytróść nie stoi za jaje.*

Jak tylu innych ludzi żyjących w tym wspaniałym okresie historii, trochę się gubię w tym, co jest dobre, a co złe. Jeśli więc odniesiecie wrażenie, że z pewnym trudem przychodzi mi ogarnięcie moralnego wymiaru opisywanych tu wydarzeń, będę musiał poprosić was o wyrozumiałość. Wybaczcie. Takie czasy.

Nie uważam wcale, żeby moje zachowanie było jakoś szczególnie nikczemne, gdy zaczęły się dziać te wszystkie potworności. (I nawet jeśli wypadałoby mi teraz przyznać, że coś przeszkrobałem, niech będzie mi też wolno zaznaczyć, że nie zasłużyłem na tak surową karę.) Staralem się wręcz – przypominam sobie – zachować jak największą ostrożność, delikatność i dyskrecję; to raczej William zachowywał się jak idiota.

Przystanęliśmy wreszcie pośrodku „Pragnienia porządku”. Lucy i Nathalie były gdzieś z przodu – sunęły niestrudzenie przez ekspozycję pod hasłem „Życie współczesne”. Miałem nadzieję, że uda mi się niepostrzeżenie wymknąć, ale nie wszystko przebiegało po mojej myśli. Od dwóch minut William łąził za mną krok w krok niczym detektyw z komedii slapstickowej: zatrzymywał się tuż za mną, a potem mierzył mnie oskarżycielskim spojrzeniem od stóp do głów, jak gdybym miał na sumieniu odebranie emerytom emerytury czy jakąś równie niewyobrażalną zbrodnię.

Przemówił hałaśliwym szeptem:

– Jasper, jak pragnę zdrowia, co ty wyprawiasz?

– Ciii. – Słysząc było szum sztucznego oświetlenia. – Są moje urodziny i usiłuję się nimi cieszyć.

– Dobrze, ale dlaczego ciągle od nas uciekasz?

– Wcale nie.

– Oczywiście, że tak. – Jego głos stawał się coraz głośniejszy. – Umyślnie omijasz wejście do „Życia współczesnego”... o tam. – Wskazał ręką. – I znosi cię z powrotem do „Pragnienia porządku”... tutaj. – Znowu wskazał teatralnym gestem, tym razem swoje buty. – Nie myśl sobie, że cię nie obserwuję.

– Na litość boską, William, jeśli już koniecznie musisz wiedzieć...

– Muszę.

– Próbuję ulotnić się z tego piętra i po cichu wrócić na górę do „Nagości, działania, ciała”. Więc byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś przestał ściągać na nas uwagę, dał mi spokój i dogonił dziewczyny. A w

ogóle dlaczego za mną łąsisz?

– Bo masz flaszkę i uważam, że powinieneś ją otworzyć. W tej chwili. – Przerwał, żeby wciągnąć powietrze. – Poza tym wyglądasz dziwnie uroczo, kiedy coś knujesz.

– Niczego nie knuję, zresztą wina też nie mam. Butelkę oddałem Lucy, a ona schowała ją do torebki, która teraz jest bezpiecznie zamknięta w schowku na dole w szatni. – Udałem zainteresowanie obiektem z pociętego drutu, przed którym staliśmy.

– Zgroza. Mój Boże. W takim razie musimy pośpieszyć mu w sukurs. Musimy natychmiast wydobyć naszego szlachetnego więźnia z tej plugawej celi. Amerykanie wkładają do tych szafek napoje gazowane... widziałem na własne oczy... i te swoje piterki. A licho wie, co Lucy trzyma w torebce: pewnie damskie kosmetyki. I tanie węgierskie długopisy. Czy ty zdajesz sobie sprawę...

– Możesz łaskawie mówić trochę ciszej? – Zrobiłem nachmurzoną minę. Para starszych osób w koszulkach z napisem „I love Houston” dusiła się ze śmiechu po drugiej stronie drucianej instalacji. – Poza tym Lucy używa wiecznego pióra.

William jednak nie ustępował.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę, że mogłeś zrujnować życie tego wspaniałego burgunda? Jeden z najbardziej wybornych roczników minionego tysiąclecia doszczętnie zniszczony psychicznie w ciągu kilku minut od przejścia w twoje ręce. Barbarzyńca. Obarczam cię osobistą odpowiedzialnością...

– William, do ciężkiej cholery. Jeśli już musisz się tak wydzierać, to przynajmniej spróbuj wypowiadać się jak istota ludzka z naszego stulecia. A nie jak jakaś przegięta ciota. – Odchrząknąłem. – Poza tym podczas zwiedzania Tatę Modern nie wolno żłopać alkoholu. To niezgodne z przepisami.

– Bzdura. Z jakim przepisami? Wiesz, co ty tam zamknąłeś jak zwykle chianti? Butelkę chambertina Cios de Beze rocznik 1990, którą zakupiłem specjalnie dla ciebie, mój drogi Jasperze, z okazji twoich

dwudziestych dziewiątych urodzin. Jak mogliby nas powstrzymać przed jej wypiciem? Nie śmieliby.

– Doskonale wiesz, mój drogi Williamie – zacząłem naśladować jego kretyński sposób wysławiania się – że tę butelkę trzeba otworzyć na co najmniej dwie godziny, zanim będziemy mogli się do niej choćby zbliżyć. To jest teraz moje wino i zabraniam ci je molestować, dopóki nie będzie miało szansy rozwinąć bukietu. Popatrz na siebie, ślinisz się jak zбочeniec jakiś.

– Uważam, że to bardzo nie fair z twojej strony. Najpierw zaciągasz przyjaciół na oglądanie tych wszystkich staroci i pokiereszowanych genitaliów, a potem odmawiasz im nawet skromnego poczęstunku. Oczywiście, że jestem zdesperowany. Oczywiście, że muszę się napić. To nie jest sztuka, tylko jakieś odpady.

Oddaliłem się od niego o kilka kroków i odwróciłem do wielkiego płótna pokrytego grubymi warstwami burej farby. William ruszył za mną i zrobił to samo, przechylając przy tym głowę w jedną stronę w sposób charakterystyczny dla wielbicieli sztuki współczesnej na całym świecie.

– Tak naprawdę – rzekł trochę bardziej przytłumionym głosem – miałem na myśli tę małą butelczynę wódki, którą kupiła ci Nathalie. Pomyślałem, że mogłeś ją schować za pazuchę czy coś takiego. Muszę się tylko znieczulić, żeby przebrnąć przez następną salę. – Udawana rozpacz ustąpiła miejsca autentycznej ciekawości. – W każdym razie nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– To dlatego, że jesteś skończonym idiotą, William.

– Czemu tak ci się śpieszy, żeby nas opuścić? Co tak cię zainteresowało w „Nagości, działaniu, ciele”? – Zerknął na mnie z ukosa, ale ja nie odwracałem oczu od obrazu. – Nie ta dziewczyna, na którą tak się gapiłeś?

– Nie.

– Właśnie, że tak. To ta dziewczyna z góry.

– Wcale nie.

– Ta, która niby cię nie interesowała, ale łąziłeś za nią, zanim tu zeszedliśmy. – Przerwał. – Wiedziałem. Wiedziałem.

– Dobra. Zgadłeś.

William wydał z siebie teatralne westchnienie.

– Zdawało mi się, że miałeś z tym skończyć. Jak to było? – Przybrał minę, jakby przymierzał się do wygłoszenia najsmutniejszego monologu Hamleta. – „Nie mogę tak dłużej, Will, zaczynam tracić zmysły. Och, Will, wyciągnij mnie z tego bagna niewieściego rodu. Koniec z wiecznymi uciechami. Och, nadobny Willu, muszę się opamiętać. Muszę. Będę odtąd wierny”.

Zignorowałem go.

– William, przestań się wydurniać i daj mi trochę czasu. Lucy i Nathalie pewnie już nas szukają i zaraz tu wrócą. Idź i zajmij je czymś. Bądź tak miły. Zrób coś dla mnie. Pomóż mi.

Zignorował mnie.

– Dobra, może przesadziłem z „nadobnym Willem”, ale to były mniej więcej twoje słowa. A teraz popatrz na siebie: wracasz do punktu wyjścia sprzed roku. Byłbyś chory, gdybyś nie próbował zaciągnąć do koja połowy Londynu. I nawet przez chwilę się nie zastanowisz, co ty do cholery wyprawiasz, a już niech Bóg uchwata, żeby zadać sobie pytanie: dlaczego?

Kierując się w stronę wyjścia na drugim końcu sali, przystanąłem przy kolekcji obrazów stylizowanych na staroruskie ikony. Postacie były niewyraźne, zniekształcone i sprawiały wrażenie, jak gdyby oddalały się w ramach, nie można więc było stwierdzić, czy są to rzeczywiście święci z aureolami, groteskowo zniekształcone zwierzęta czy też po prostu na wpół rozmazane linie, które nic nie znaczą.

– Słuchaj, Will, potrzebuję piętnastu minut. Błagam, zajmiesz się naszymi dziewczynami? Nie pozwól im opuścić tego pietra. Jeśli nie da się ich powstrzymać, włącz alarm przeciwpożarowy czy coś takiego. Nie chcę wpaść i wymyślać jakiejś idiotycznej ścierny. Nie dzisiaj. To byłoby straszne. Lucy tak się wszystkim przejmuję. Chciałbym,

żebyśmy spędzili dzisiejszy wieczór przy kolacji w możliwie jak najbardziej rozluźnionej i sympatycznej atmosferze.

– Alarm przeciwpożarowy?

– Tak, zatrzymuje ruchome schody.

William pokręcił głową, ale w jego oczach można było dostrzec rozbawienie.

– Przykro mi, Will, ale przysięgam ci: ta dziewczyna mrugnęła do mnie, a takiego towaru nie mógłbym sobie odpuścić. Przyznaj, jest niezła. Co mam zrobić? Nie mogę tego tak zostawić. Każdy facet zapłaciłby, żeby taka dziewczyna do niego mrugnęła. Muszę działać, to mój obowiązek. Piętnaście minut maksimum.

Uśmiechnął się.

– No to zmykaj: rób, co chcesz. Ale jeśli aresztują mnie za wszczynanie fałszywych alarmów, natychmiast zeznam, że to ty mnie namówiłeś. Wyjaśnię im, że masz niebezpieczny dar przekonywania i jesteś pozbawionym skrupułów libertynem najgorszego gatunku...

– Przecież skrupuły to moja specjalność.

– Powiem im też, że nie potrafisz przywoicie się zachować wobec swych przyjaciół, a nawet wobec własnej dziewczyny, i że przydałaby ci się porządna nauczka. Widzimy się za kwadrans.

– Dziękuję, William.

– I nie zapomnij jej zapytać, czy ma siostrę.

Dobrze, nie chcę obwiniać Cécile za pierwszą falę dołujących komplikacji, które nastąpiły tuż po niefortunnym wieczorze moich dwudziestych dziewiątych urodzin, ale jeśli chodzi o bezpośrednie przyczyny katastrofy, to pełną odpowiedzialność musi wziąć na swoje barki ona: *J'accuse Cécile, la filie française*. Gdyby nie puściła do mnie oczka, zapewne nie ryzykowałbym. Ale jakież sens miałyby posiadanie tak powalającej śródziemnomorskiej urody, gdyby nie można było za jej pomocą zauroczyć?

Tak czy inaczej, alarm przeciwpożarowy zaskoczył wszystkich.

Natychmiast zapanował chaos – przemknął przez „Nagość, działanie, ciało” niczym posłaniec z frontu z wiadomością o nadciągającej armii. Z ukrytych pakamer, zza drzwi oznaczonych napisem „POMIESZCZENIE SŁUŻBOWE” wyłoniły się zastępy ubranego na pomarańczowo personelu, który zaczął pośpiesznie wyprowadzać zwiedzających; zatrzymały się windy; z różnych miejsc wysoko na ścianach mrugały niebieskie światełka; i (jak gdyby to wszystko nie było dość jednoznaczne) irytująco zrównoważony kobiecy głos przerywał zabawę co trzydzieści sekund, żeby dodatkowo wyjaśnić sytuację w oszałamiająco wielu językach. „Biorą państwo udział w rutynowej akcji ewakuacyjnej. Prosimy o opuszczenie budynku najbliższą drogą przeciwpożarową i wykonywanie poleceń personelu. Dziękujemy”.

Wróciłem właśnie na piąte piętro i zdążyłem postawić zaledwie trzy kroki w samej galerii. Zawróciłem jednak i stanąłem przy szerokim wyjściu ewakuacyjnym na szczycie ruchomych schodów, by zaczekać na Cécile. Musiała tamtędy przejść razem ze wszystkimi. Nie trzeba już jej było szukać. A ta cała panika nawet mi się podobała.

Rodzice zdenerwowanymi głosami wydawali komendy swym pociechom. Skandynawowie spokojnie maszerowali do wyjścia. Włosi otaczali ramionami Włoszki. Brać studencka ze szkół artystycznych podnosiła się niechętnie z foteli. Dwoje dzieci wybiegło pędem z sali „Inscenizacja dysonansu” naprzeciwko. A jakaś Amerykanka zaczęła wykrzykiwać „o mój Boże, o mój Boże”.

Zważywszy na fakt, że ironia i bezsens wciąż jeszcze najwyraźniej zastępują Boga i piękno w kręgach artystycznych, przyszło mi do głowy, że gdybym sfilmował całe to zajście, mógłbym oddać powstałe dzieło na wystawę; może jakiś pokaz w ramach ekspozycji „Historia, pamięć, społeczeństwo”: *Ludzie różnych ras i nacji uciekają w popłochu* (Jasper Jackson, kaligraf i przedstawiciel sztuki wideo).

Oczywiście nie wiedziałem jeszcze, że Cécile ma na imię Cécile, gdy ustawiłem się trzy lub cztery osoby za nią. (Ścisk, tłok, szturchańce

i żarty przez wszystkie sześć kondygnacji bezwstydnie funkcjonalnych schodów). Zupełnie nic o niej nie wiedziałem, tyle tylko, że miała po chłopięcemu krótkie i postrzępione czarne włosy, zgrabną dżinsową spódnicę nad kolana, szczupłe opalone nogi bez pończoch i nieodpowiednie do pory roku klapki, które plaskały na każdym stopniu, gdy schodziła. I że wcześniej (nie przywidziało mi się) mrugnęła do mnie, gdy krążyliśmy wokół *Pocątunku* Rodina.

Na zewnątrz, wylądowawszy bezpiecznie na płytach chodnikowych South Bank, pośpiesznie rozejrzałem się dookoła. Zapadał zmierzch. Katedra Świętego Pawła na drugim brzegu Tamizy wyglądała jak leżący płasko na wznak tłusty biskup otoczony ze wszystkich stron. Dwie przerosnięte mewy leciały w górę rzeki, zmagając się z wiatrem. Z gmachu galerii wciąż wysypywały się tłumy, ale jak dotąd nie pokazał się ani William, ani Nathalie, ani urocza jasnobrzowa czupryna Lucy. Musiałem jednak działać szybko.

Cécile stała odwrócona do mnie plecami, zapatrzona na drugi brzeg rzeki.

– Cześć – rzuciłem.

Odwróciła się i uśmiechnęła, jej łokieć wystawał za barierkę.

– O, cześć.

– Co za emocje. – Odwzajemniłem jej uśmiech.

– Czyżby wybuchł pożar? Spojrzałem na nią z powątpiewaniem.

– To pewnie sprawka terrorystów, wrogów sztuki współczesnej albo zbuntowanych wegetarian.

– Ciekawe, co wyniosą z płomieni? – Wycelowała kolanem w moją stronę i zakreśliła dużym palcem u nogi na podeszwie kłapek. – Obrazy czy *objets*.

– Dobre pytanie.

– Może mają powiedziane, co ratować w razie pożaru, zaczynają od góry i potem schodzą niżej, zanim rozpali się na dobre.

– A może – zgadywałem – czekają, aż to diabelstwo się dopali, żeby potem otworzyć nową galerię: Muzeum Sztuki Spalonej.

– Może tego właśnie chcą wrogowie sztuki współczesnej, nowego rodzaju sztuki. – Była urodzoną flirtiarą.

Przechwyciłem jej spojrzenie i zrobiłem kolejny krok.

– Bardzo szybko ewakuowali budynek.

– Tak, ale ludzie jeszcze chyba wychodzą. – Gestykulowała. – Podoba mi się, jak w czasie ewakuacji wszyscy zaczynają rozmawiać. Jak gdyby tylko z tego powodu, że doszło do jakiejś katastrofy, wszyscy stali się jedną wielką szczęśliwą rodziną. – Jej wzrok na chwilę ześlizgnął się ze mnie. – Myślisz, że wpuszczą nas z powrotem?

– No, nie wiem. Ale na ósmą jestem umówiony w restauracji, więc chyba nie będę mógł czekać. To może potrwać parę godzin. – Przerwałem. – Powinienem odnaleźć moich przyjaciół i sprawdzić, czy nic im się nie stało.

– Ja też. Dzisiaj już raz ich zgubiłam, gdy byliśmy na London Eye.

– Na jak długo w Londynie?

– Ja tu mieszkam – zachnęła się żartobliwie, marszcząc lekko brwi. Udałem zażenowanie.

– Uczę tu – dodała po chwili.

– Francuskiego?

– Tak. – Kapryśna minka maskująca uśmiech.

– Masz adres mailowy?

– Tak.

– Jeśli napiszę, mogę liczyć na odpowiedź?

– Może. Zależy, co napiszesz.

Znalazłem Williama siedzącego na ławce w towarzystwie przybrudzonego naftą gołębia i mężczyzny, który wcześniej sprzedawał tygodnik dla bezdomnych „Big Issue” przed głównym wejściem.

– Jasper, Ryan. Ryan, Jasper. Temu panu nie wymyśliśmy jeszcze imienia. – Wskazał stworzenie dziobiące papierek po czekoladzie.

– Gdzie Lucy? – zapytałem, pozdrowiwszy Ryana.

– Poszła z Nat po torebkę. Poznałeś kogoś miłego – William

mrugnął przesadnie – w toalecie?

– Owszem, dziękuję.

– Mam nadzieję, że byłeś naprawdę delikatny. – William przybrał amerykański akcent.

Ryan prychnął i wstał.

– Do czwartku, Will – rzucił. – Miejmy nadzieję, że ten nowy poradzi sobie z tymi cholernymi tamburynami.

– Do zobaczenia. – William podniósł rękę i Ryan odszedł. Usiadłem i już miałem coś powiedzieć, kiedy Williamuciszył mnie ruchem ręki.

– Idą – powiedział. – Zobaczły nas.

Do ławki zbliżały się Lucy i Nathalie. William zwrócił się do gołębia:

– Teraz, stary, musisz spadać, ale mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy. Daj mi znać, jak działa dieta.

Zanim przejdziemy dalej, powinienem wyjaśnić, że William jest jednym z moich najbliższych przyjaciół z czasów, gdy odbierałem wyższe wykształcenie w mroźnej krainie Fenland, studiując filozofię (najbardziej, obawiam się, arogancki kaprys człowieka). Wciąż pamiętam owo blade popołudnie na pierwszym roku, jakiś tydzień po naszym przyjeździe, gdy obaj wracaliśmy z miasta, a on ujawnił przede mną swoją orientację seksualną. Wyznał mi, że jest mu bardzo niezręcznie o tym mówić i trochę się w tym wszystkim gubi, ponieważ (oprócz siostry, która się nie liczy) tak naprawdę nie poznał jeszcze żadnych kobiet, ale... jak to powiedzieć... martwi się, że może nie być homoseksualistą i... ponieważ ja zdawałem się nieźle orientować w tej materii... czy miałbym jakieś sugestie co do dalszych jego poczynań w kontaktach z płcią przeciwną?

Niestety kilka stuleci na najwyższych stanowiskach w rządzie, Kościele i armii sprawiło, że mężczyźni z jego rodziny przestali myśleć o kobietach, a co dopiero rozmawiać z nimi. William podejrzewał nawet, że jest pierwszym męskim potomkiem od szesnastu pokoleń,

który nie wyrósł na homoseksualistę. Był to, jak mogłem sobie wyobrazić, potężny cios dla niego i jego rodu, ale choć czynił pewne próby z kolegami w szkole, zupełnie nic z tego nie wychodziło. Prawda była taka, że Williamowi podobały się dziewczyny, koniec kropka. A mając już prawie dwadzieścia lat, odnosił wrażenie, że powinien coś z tym począć. I czyja nie dałbym mu jakichś wskazówek?

Naturalnie od tamtej pory wiele się zmieniło i obecnie różne nudne pisma regularnie rozgłaszają, że Will jest jedną z najlepszych partii w Londynie. Jest nieocenionym kompanem i dobrze go znają we wszystkich lokalach, gdzie wypada bywać – od tych dziennych, prywatnych i ekskluzywnych, po nocne, publiczne i mało wytworne. Z przykrością jednak stwierdzam, że jego podejście pozostaje niekonsekwentne i beznadziejnie niezdyscyplinowane. Chociaż wielu kobietom wydaje się atrakcyjny, jego sposób uwodzenia zwykle pozostawia sporo do życzenia. Zupełnie jak gdyby uśpione homoseksualne inklinacje zatruwały mu geny – niczym narzucający się kelner podczas biznesowego lunchu.

Abstrahując od wszystkiego, nieczęsto spotyka się kogoś dysponującego tak naturalnym wdziękiem jak William. I tak szczerze dobrodusznego. I chociaż twierdzi, że strasznie rozczarowuje go zdumiewająca trywialność współczesnego życia, jest to jedynie intelektualny arras, za którym skrywa rzadki rodzaj idealizmu. Nie wierzy w Boga ani w ludzkość, ale zwiedza kościoły podczas każdego wyjazdu za granicę i prowadzi charytatywny zespół muzyczny dla bezdomnych.

Co do kwestii jego związku z Nathalie... Jeszcze w marcu William twierdził, że jest on czysto platoniczny, i chyba nie kłamał. W trakcie łagodnego przesłuchania wyjaśnił, że tylko w ten sposób może utrzymać wyjątkowy charakter ich więzi – spośród nielicznych kobiet, z którymi od czasu do czasu dzielił łóżko, tylko z Nathalie nie uprawiał seksu. Łączyło ich zatem bezinteresowne uczucie i szczęśliwie nie mogli się wzajemnie zdradzać. (Domyślałem się, że ona też miała pełną

swobodę.) William wyznał, że to podejście jest pomysłem odmianą układu, który jego praojcowie proponowali swym małżonkom od czasów, gdy zaczęli coś znaczyć (za rządów Edwarda II); pomijając dynastyczne zobowiązania, stanowczo nie mieszało seksu z małżeństwem, dzięki czemu usuwali z życia wszelkie poważne zgryzoty, groźby i żale.

Tuż przed północą, po przywróceniu wypadkom urodzinowego wieczoru ich właściwego toku, zostaliśmy z Lucy nareszcie sami, intymnie usadowieni na rogu największego stolika w „La Belle Epoque”, mojej ulubionej francuskiej restauracji. Przyglądaliśmy się resztkom deseru z pewną leniwą pożądlivością i czuliśmy się szczęśliwi na tyle, na ile w miarę rozsądku może sobie pozwolić para młodych kochanków w Londynie, tak bardzo nękanym średniowiecznymi przepisami regulującymi sprzedaż alkoholu. Może i byliśmy trochę wstawieni, trochę zbyt swobodnie całowaliśmy się nad stołem i trochę przeszarżowaliśmy z resztkami czerwonego wina, ale niewątpliwie czuliśmy się świetnie w swoim towarzystwie, no i cóż, dobrze się bawiliśmy. Rachunek został uregulowany i wszyscy nasi przyjaciele już sobie poszli – William i Nathalie jako jedni z ostatnich, razem z Donem, innym kolegą ze studiów, przybyłym z Nowego Jorku z żoną Cal, oraz z Pete’em, fotografem modelek i bratem Dona, który przyszedł w towarzystwie pięknej Senegalki imieniem Angel.

Naciskany, przypadkowy obserwator prawdopodobnie by stwierdził, że widzi czulącą się do siebie parę, która czeka na ostatnią porcję espresso. Gdyby potrafił dobrze opisywać, ów obserwator mógłby jeszcze dodać, że kobieta ma około dwudziestu ośmiu lat, metr sześćdziesiąt siedem, metr siedemdziesiąt wzrostu, jest szczupłą, ma proste, równo przycięte, jasnobrązowe włosy, które – mógłby jeszcze zauważyć – ma w zwyczaju odgarniać za uszy. Gdyby przysiadł na moim krześle, gdy ja udałem się do toalety, byłby też w stanie powiedzieć, że jej twarz jest leciutko nakrapiana piegami, głównie na

mostku nosa, że ma cienkie wargi (ale przyjemny uśmiech), oczy w subtelnym odcieniu zieleni i że lubi siedzieć prosto, z nogą założoną na nogę i zsuniętym prawym butem, którym huśta lekko na czubku stopy. A wszystko mógłby okraszyć kilkoma uwagami o tym, że nawet w dzisiejszych czasach Anglia wciąż raz na jakiś czas rodzi tak piękne róże. Na tym jednak etapie nie moglibyśmy dopuścić do dalszych poufałości i kazalibyśmy mu spadać.

Nie mijałbym się chyba z prawdą, gdybym powiedział, że wtedy trwało to od mniej więcej roku... mam na myśli nasz związek. Nie umiem tego wytłumaczyć – takie rzeczy się zdarzają...

A właściwie umiem: bardzo lubiłem Lucy. To znaczy wciąż bardzo ją lubię. A więc zawsze bardzo Lucy lubiłem. Lucy jest takim typem kobiety, dla którego warto nie unicestwiać rasy ludzkiej. Nie jest głupia, nie mizdrzy się i śmieje tylko z rzeczy naprawdę zabawnych. Jest inteligentna i wykształcona. Owszem, potrafi zachowywać się z rezerwą, ale jest błyskotliwa (wykształcenie prawnicze) i uśmiechem kwituje swoje zwycięstwa w sporach. Nie będzie się jednak nimi chełpić, jest bowiem tak wrażliwa na zażenowanie innych jak rtęć na temperaturę powietrza. Sporządza listy spraw do załatwienia. Pamięta, co ludzie powiedzieli, ale nie wykorzystuje tego przeciwko nim. Rzadko opowiada o swojej rodzinie. I nie ma czasu na czasopisma i horoskopy. Gdyby ktoś z was siedział z nami w jakimś nowo otwartym londyńskim lokalu, żałując w duchu, że nie ma popielniczki, mógłby zauważyć, że dyskretnie ją podsunęła. Tak właśnie się poznaliśmy.

Mimo to z żalem muszę dodać, że Lucy jest świrnięta. Ale wtedy o tym nie wiedziałem. Wszystko wyszło na jaw później.

– Zamknij oczy – poprosiła, przykładając na dodatek palec do moich ust.

Wykonałem polecenie i zniżyłem głos:

– Nie zorganizowałaś chyba...

– Za późno. Trudno. Dostaniesz wielki tort ze świeczkami, wszyscy kelnerzy odśpiewają „Sto lat”, a ty masz siedzieć nieruchomo i udawać

zachwył.

Usłyszałem szelest torebki i mocny brzęk filiżanek po kawie.

– Dobra, otwórz oczy.

Młody kelner z serwetką przewieszoną przez ramię krążył w pobliżu zaciekawiony. Na stole leżał starannie zapakowany prezent.

Lucy posłała mi zaraźliwy uśmiech.

– No, zgadnij.

Pochyliłem się nad stołem i pocałowałem ją.

– Zgadnij.

– Kolczyki?

– Chciałbyś.

– Złoty medalion ze zdjęciem księżnej Diany?

– No, dobrze już, do diabła... otwieraj.

Rozerwałem misterne opakowanie i rozchyliłem ciemne aksamitne pudzeczko: męski zegarek ze skórzanym paskiem, trzy wskazówki i rzymskie cyfry. Trzymałem go ostrożnie na dłoni.

– Teraz nie masz już wymówki. – Jej oczy przepęłniała radość. – Nie będziesz się mógł spóźnić.

Ogarnęło mnie zadowolenie, które się czuje, gdy ktoś, na kim nam zależy, jest szczęśliwy.

– Już się nie będę spóźniał. Obiecuję – powiedziałem.

– Nigdy więcej?

– Dopóki ten zegarek będzie dobrze chodził.

– Ma gwarancję na dwadzieścia pięć lat.

– W takim razie jestem skazany na punktualność przez co najmniej ćwierć wieku.

Na pierwszy rzut oka *Wieży miłości* są jednym z najbardziej czytelnych wierszy Johna Donne'a: mężczyzna pomstuje na niewolę wierności. Ani ptaki, ani zwierzęta nie są wierne, skarży się podmiot liryczny, nie narażają się też na naganę lub kary, gdy nowe uczucie „serce im odmieni”. Słońce może świecić tam, gdzie mu się podoba,

statków nie takluje się po to, żeby stały w porcie, a pałaców nie buduje po to, żeby je zamykać... Metafory napierają jedna na drugą i trąbią jak samochody ściśnięte w miejskim korku.

Na pierwszy rzut oka Donne, młody hulaka, dusza towarzystwa w „Lincoln’s Inn”, zdaje się kroczyć zdecydowanie od linijki do linijki, odpychając świętoszkowatych na bok rubasznym rytmem i łatwym rymem, zmierzając ku kolejnym czekającym go wyzwaniom. Ale tak naprawdę nie o to chodzi w tym wierszu. Wcale nie o tym są *Więzy miłości*.

2. Zakaz

*Jeśli mnie pokochasz, miej się na baczności,
Bom ja ci zakazał żywić tej miłości;*

Parę słów o mnie. Jak mogliście się już zorientować, nazywam się Jasper Jackson. Mam dwadzieścia dziewięć lat. I jestem kaligrafem.

Moje urodziny, dziewiątego marca, przypadają dokładnie pośrodku między dniem św. Walentego a dniem *prima aprilis* – chyba że jest to rok przestępny, wtedy zbliżają się bardziej do tego drugiego.

Co jeszcze? Jestem sierotą. Ten dzień nie zachował się w mojej pamięci, ale podobno mój ojciec, młody elegant George Jackson, owinał siebie i moją matkę, Elizabeth, wokół drzewa w Devonie, gdy na początku wakacji ścigał się z kolegami na trasie z Paddington do Penzance. Matka nie zginęła na miejscu, ale ani razu nie zabrano mnie do szpitala, żebym ją odwiedził.

Od czwartego roku życia (i tu dopisało mi wielkie szczęście) moje wychowanie i edukację powierzono Grace Jackson, matce mojego ojca, w której oksfordzkim domu gościłem, gdy nadeszła wiadomość o wypadku. Dlatego też w pewnym sensie całe moje życie można by uznać za długie wakacje u babci. I z radością mogę zakomunikować, że z wczesnych lat życia w mojej pamięci zachowały się jedynie szczęśliwe chwile. Nawet nagany wspominam z czułością. Jest upalnie letnie popołudnie. Całe miasto chodzi w szortach lub w jeszcze bardziej skąpym odzieniu. Posłusznie stoimy z babcią w kolejce w warzywniaku. Kupujemy czereśnie – nasz przysmak – wstęp do tradycyjnego sobotniego podwieczorku. (Babcia ma słabość do słodkich bułeczek w soboty.) Trzymam owoce w brązowej papierowej torbie i czekam, żeby je podać do zważenia. Moje ruchy pozostają nie zauważone, ponieważ sięgam dorosłym do pasa (ech, szczęśliwe dni). Rozglądam się dookoła. Stragan z warzywami mija rudowłosa dziewczynka mniej więcej w

moim wieku. Jedną ręką trzyma się matki, w drugiej ściska lepki patyk pomarańczowego lodu, który jest przekrzywiony pod niebezpiecznym kątem i zaczyna się wyraźnie topić, gdy dziewczynka oddala się w drobnych podskokach.

Ruszam bez zastanowienia. W jednej chwili, wciąż z czereśniami w rękę, wychodzę ze sklepu. Skręcam w jedną przecznicę, potem w drugą. Po raz pierwszy w życiu – przy zachowaniu nadzwyczajnej ostrożności – samodzielnie przechodzę przez główną ulicę. Słyszę za sobą wołanie... to moja babcia. Potem rozlega się krzyk: chodnikiem biegnie za mną mężczyzna z warzywniaka. Dziewczynka odwraca się, wykręcając rękę, którą trzyma matka; lód zsuwa się z patyka i ląduje na chodniku. Moja ukochana przez długą chwilę ogarnia myślami rozmiary katastrofy, a potem z wolna podnosi swe szare oczy prosto na mnie. Ja też zaczynam się wyraźnie topić. Mam jakieś pięć, sześć lat.

Strofowanie nigdy nie było najmocniejszą stroną mojej babci. Wierzyła raczej w karę poprzez doskonalenie. (Wspólnie straciliśmy tylu bliskich, że nie chcieliśmy trwonić czasu na wzajemne psucie sobie krwi: dziadek zmarł nagle podczas pobytu służbowego w Kairze tuż po kryzysie sueskim.) Kiedy więc zwróciliśmy czereśnie, padło kilka poważnych słów – „Jasper, póki nie skończysz dwunastu lat, nie możesz sam nigdzie chodzić, rozumiano?” – a potem udała się ze mną do biblioteki, w której musiałem przemęczyć się całe popołudnie. Co było dla mnie ciosem, gdyż planowałem pojeździć na rowerze z kolegą z sąsiedztwa, Douglasem Wilsonem.

Mówię „przemęczyć się”, ale tak naprawdę owa biblioteka była przepiękna, najpiękniejsza w całej Anglii. Chociaż wojna nie pozwoliła babci dokończyć pracy doktorskiej (pisała coś na temat średniowiecznej francuszczyzny), władze Somerville College uznały, że jest zbyt cennym pracownikiem naukowym, żeby ją stracić. I kiedy wróciła z Egiptu z moim ojcem, wtedy małym chłopcem, i żalosną wdową rentą, szybko mianowano ją zastępczynią dyrektora biblioteki. Zanim ja pojawiłem się na scenie, dwadzieścia lat później, babcia stała się

autorytetem w dziedzinie późnośredniowiecznych manuskryptów we wspaniałej bibliotece Bodleian, budynku, który – śmiem twierdzić – zauroczy każdego, nawet jeśli oficjalnie przebywa tam za karę.

Między czwartym a dwunastym rokiem życia spędziłem w Bodleian chyba więcej czasu niż większość nauczycieli akademickich przez całe swoje życie. Często podczas szkolnych ferii (choć rzadko w soboty) babcia sadowiła mnie przy zarezerwowanym dla personelu stoliku niedaleko księgozbioru podręcznego i podsuwała mi coś do czytania.

– Na dłuższą metę nie przyniosło to twojemu ojcu zbyt wielu korzyści, Jasper – powiedziała kiedyś – ale przynajmniej wiedział co nieco przed śmiercią, a jest to jedyna rzecz, na której możemy w życiu się oprzeć.

Babcia najwyraźniej stosowała tę samą metodę łączenia zabiegów wychowawczych z własną karierą zawodową jak za czasów dzieciństwa mojego ojca; i chyba tak jak on stałem się kimś w rodzaju maskotki pracowników biblioteki, z których wielu opiekowało się mną od czasu do czasu, gdy babcia musiała wyjechać, żeby wygłosić jakiś wykład, albo gdy odbywała się jakaś poważna inwentaryzacja zbiorów. Co więcej, przez te wszystkie lata poznałem chyba wszystkie co ważniejsze osobistości uniwersytetu. Ludzie ci zatrzymywali się, żeby się ze mną przywitać i zapytać, co czytam, czasem też (jak w przypadku profesora Williamsa, przyjaciela babci) zabierali mnie do stołówki na obiad, a nawet przynosili prezenty (które na Gwiazdkę musiałem ukrywać, żeby nikt przypadkiem nie odniósł wrażenia, że dostaję ich za dużo).

Gdy jednak wymagałem „udoskonalenia”, jak owego pamiętnego popołudnia z czereśniami, babcia sadzała mnie przy stole i zamiast podać książkę, kładła przede mną wielki iluminowany manuskrypt. Następnie zaopatrywała mnie w zestaw zatemperowanych ołówków i sztywny papier i kazała przepisać całą stronę, „najdokładniej jak tylko potrafisz, Jasper, twoje litery mają wyglądać tak samo jak tutaj. Masz być cicho. Nie chcę słyszeć żadnych skarg. Przyjdź do mnie, jak skończysz”.

Skrycie uwielbiałem te zadania, musiałem jednak udawać, że jest odwrotnie, nie chciałem bowiem, żeby babcia się połapała i zamieniła karę na coś okropnego, na przykład mycie samochodów, które zlecano Douglasowi, gdy narozrabiał.

Tekst z czereśniowego dnia był oczywiście napisany po łacinie, ale pamiętam, że zapytałem jednego z sobotnich asystentów, o czym jest. Dowiedziałem się, że jest to modlitwa spisana w 1206 roku przez mnicha, który zaszył się w górach Sierra Norte nad starą Sewillą i prosił Boga, aby uchronił go przed niewiastami z jego snów.

Postanowiliśmy z babcią, że zostaniemy w Oksfordzie, póki nie skończę dwunastu lat. Później przeprowadziliśmy się do Awinionu, gdzie zaproponowano jej skatalogowanie przepięknych rękopisów pozostawionych przez skrybów, którzy żyli tam w okresie stuletnich rządów papieży i antypapieży do 1409 roku. Ja uczęszczałem do *lycee*, a ona pracowała w Livree Ceccano, bibliotece miejskiej mieszczącej się w jednym z wielu dawnych pałaców wzniesionych z rozmachem przez kardynałów, którzy osiedlali się w Awinionie, by rezydować blisko swego zwierzchnika.

Po dwóch latach uporała się z powierzonym jej zadaniem i naszym następnym miejscem pobytu stał się niemiecki Heidelberg, gdzie babcia kierowała programem renowacyjnym, który miał na celu przywrócenie świetności najstarszym dokumentom z okresu Reformacji.

– W wieku sześćdziesięciu trzech lat wreszcie zostałam szefem – powiedziała. – Kto twierdzi, że kobiety są dyskryminowane w tym naszym przewrotnym świecie? A wszystko dlatego, że chciało mi się uczyć niemieckiego podczas wojny.

Nigdy się nie zastanawiałem nad sytuacją finansową babci, co prawdopodobnie oznacza, że pieniędzy nam starczało, ale w żadnym wypadku nie byliśmy zamożni – bibliotekarska pensja jest mizerna niezależnie od stanowiska. Na renowacji starych dokumentów też się nie da zrobić kokosów. Pamiętam, że dużo czasu spędzaliśmy na

przystankach autobusowych i przekonywaniu się nawzajem, że ciuchy z lumpeksu wytwarzają aurę artystycznego szyku niedostępnego tym przeciętniakom, których wyobraźnia nie sięga poza ofertę drogich butików.

W Heidelbergu, podobnie jak w Awinionie, mieliśmy małe mieszkanko przeznaczone dla jednego, nie dwóch lokatorów. Ponieważ jednak do starych uniwersytetów zawsze należą najlepsze nieruchomości, nasz dom był nie tylko dobrze usytuowany, ale i miał niepowtarzalny klimat. Mieszkaliśmy u stóp zamku na ostatnim piętrze przy Płock, dziwacznie nazwanej średniowiecznej uliczce biegnącej równoległe do Hauptstrasse. Powinienem również wspomnieć, że na parterze znajdował się najwspanialszy sklep delikatesowy w Niemczech – prowadzony przez dwójkę mych przyjaciół, Hansa i Elke. Wciąż go prowadzą, chociaż Hans zapuścił wąsy, by w ten sposób uczcić swe pięćdziesiąte urodziny, a Elke nie chce wpuścić go do sklepu, dopóki ich nie zgoli. Pierwszą prawdziwą pracę – w soboty i środowe wieczory – przyszło mi wykonywać u nich za ladą.

Jako czternastoletni Anglik o zapadniętych policzkach, teraz jeszcze z francuskim akcentem i coraz ciemniejszymi włosami, przez następne cztery lata, zapisując na swoim koncie coraz większe sukcesy, oddawałem się dwóm pasjom: czytaniu i uganianiu się za nadreńskimi pięknosciami z mojej klasy.

W szkole nigdy nie byłem specjalnie lubiany wśród chłopców – nie byłem urodzonym kapitanem drużyny sportowej, nie stworzyłem wokół siebie paczki oddanych mi kumpli, nigdy też nie zdobyłem się na to, żeby spuścić komuś porządny łomot. Właściwie od trzynastego roku życia męskie towarzystwo, jeśli o mnie chodziło, było całkowitą stratą czasu. Czego jeden chłopak może nauczyć drugiego? Niewielu rzeczy. Może rozbijania kasztanów.

Nie. Jedyłą sprawą, która dawała mi do myślenia, która mnie fascynowała, która przyprawiała mnie o mocniejsze bicie serca i przepełniała czystą pasją życia, były dziewczęta.

Dziewczęta były wszystkim – ich zdanie, ich spojrzenia, ich nastroje; sposób, w jaki się poruszały lub zmieniały uczesanie; co mówiły, robiły, kim chciały zostać; gdzie mieszkały, jak urządziły swoje pokoje; które gwiazdy filmowe lubiły i dlaczego; kogo czytały, o kim myślały w nocy, jakie ubrania wołały nosić w weekendy; co chciały słyszeć od chłopców, dlaczego i jak często; co chciały kupować; co nie podobało im się u braci, ojców, wujków, w sobie nawzajem; co je śmieszyło, czym się brzydzyły; jak wkładały rajstopy, jak je zdejmowały; kiedy i jak często goliły sobie nogi; co sądziły o szkole, mandarynkach, Goethem, o swych matkach, o trzymaniu się za ręce, o historii, rzekach, Portugalii, całowaniu się z nieznanymi – to wszystko było ważne. Musiałem to wiedzieć. Nabrałem przekonania, że dziewczęta nadają życiu sens.

Dwa dni po naszym przyjeździe do Niemiec odkryłem, że można przejść wąskim drewnianym balkonem za oknem mojej sypialni, wspiąć się na barierkę i bez większego ryzyka przeskoczyć na schody pożarowe. Przekonanie moich koleżanek z klasy, by razem ze mną wspięły się po tych szkieletowych stopniach w nocy, było, jak sądzę, pierwszym poważnym zadaniem zleconym mi przez tego bezlitosnego tyrana, „diabła miłości”, jak go nazywa Donnę. Zawsze jednak byłem dobrym i pilnym uczniem.

Zrozumiałem na przykład, że młoda dama, która, powiedzmy, wyszła właśnie z kina i mruży oczy w oślepiającym świetle prawdziwego świata, w żadnym wypadku nie da się nakłonić do wspięcia się po stromych żelaznych schodach po to tylko, by znaleźć się w sypialni napalonego nastolatka.

– Czemu nie? – zapytałem.

– To zbyt niebezpieczne – oznajmiła Agnes, dziewczyna o ciemnych, zakręconych w anglezy włosach i łagodnym usposobieniu, która podczas lekcji chemii siadała jak najbliżej mnie.

– Wcale nie.

– Właśnie że tak.

– Ja ciągle to robię.
– Naprawdę?
– To znaczy ciągle tędy wchodzę.
– Żartowałam. Wiedziałam, co masz na myśli. Uśmiechnęła się.
– Ach tak. – Cmoknąłem z dezaprobatą. – No więc dlaczego, Agnes?
– Zabrudzę sobie ubranie rdzą. – Jak gdyby na potwierdzenie tych słów przesunęła palcem po poręczu.

– Jeśli się rozbierzesz, to nie.

– Jasper!

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

– No to dlaczego?

– Mogliby nas nakryć. A gdybym się zaklinowała?

– Niemożliwe. To dziecinnie proste, pomogę ci. – Zrobiłem ruch, jak gdybym wstępował na pierwszy stopień. – Kto mógłby nas nakryć?

– Choćby twoja babcia...

– Wcześniej się położyła. Jutro przyjeżdża profesor Williams. Zresztą jej pokój jest po drugiej stronie. A poza tym nie miałyby nic przeciwko temu.

Znieruchomiałem na najniższym stopniu. Agnes znów spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Skąd wiesz, że nie miałyby nic przeciwko temu?

– Powiedziała mi. Szczere niedowierzenie.

– Powiedziała?

– Tak.

– Kiedy?

– Kiedyś. Wszystko jedno, Agnes, może jednak wejdiesz... na troszeczkę?

Przez chwilę nic nie mówiła, może nie mogła się zdecydować, i w końcu pokręciła głową.

– Muszę być w domu przed północą, inaczej tata będzie mnie szukał.

– Zrobiła niby-poważną minę. – Jesteśmy katolikami.

– A co to ma do rzeczy?

– Poza tym wie, że jestem z tobą, więc pewnie rozpocznie poszukiwania za piętnaście dwunasta.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Tata myśli, że z wybiciem północy wszystkim dziewczętom grozi niebezpieczeństwo. – Wytrzeszczyła teatralnie oczy.

Zszedłem ze stopnia na ziemię.

– Dobra, jest dopiero wpół do dwunastej, więc jeśli teraz szybko odprowadzę cię do domu, wzrosną moje notowania u niego, zyskam dodatkowe pół godziny i następnym razem będziemy mieli czas do dwunastej trzydzieści. W ten sposób, jeśli w przyszły piątek zamienisz się nagle w maniaczkę seksualną, będziesz miała z kim o tym pogadać.

– A kto mówi, że jestem wolna w przyszły piątek?

I tak w następny piątek przyswoiłem sobie kolejną lekcję: że najskuteczniejsza droga z kina do mojej sypialni wcale nie musi być tą najbardziej bezpośrednią. Trzeba było najpierw zabrać śliczną Agnes na spacer krzywymi schodami do starego *Schloss*, przejść się tam między murami obronnymi; spojrzeć na rzekę, zauważyć, jak światło księżyca obleka wodę srebrem, jak gdyby była naszymi wijącym się przez miasto (miałem wtedy czternaście lat); wyobrazić sobie, jak synowie miejskich kupców wstawali z łóżek i wspinali się na szanice, by potajemnie spotykać się z dworskimi córami – i dopiero potem sprowadzić ją z powrotem do miasta, gdzie brudne i niebezpieczne schody pożarowe nagle jakimś cudem przemieniły się w *un escalier d'amour*. Uzmysłowiłem sobie, iż sztuka uwodzenia polega na stworzeniu odpowiedniej scenerii – scenerii, w której kobieta chętnie się odnajdzie i porzuci dawne krytyczne „ja”, by przybrać nową, bardziej uległą tożsamość. Wszyscy wiemy wprawdzie, że sprawy nieco się komplikują, gdy dorastamy, ale nawet najbardziej złośliwa stara jędrza kiedyś widziała w sobie Julię.

Teraz Agnes uczy chemii w Baden Baden i ma dwójkę dzieci. Od czasu do czasu przyśle jakiś list – a ja odpisuję; nie mamy jednak

odwagi się spotkać, żeby do czegoś nie doszło. Katolicy.

Po Heidelbergu był powrót do Anglii – do lodowatej krainy Fenland, gdzie miałem rzucić wszystkich na kolana fantastyczną znajomością niemieckich filozofów. Zadanie to w żadnym razie nie było przyjemne, ale jeśli studiowana przeze mnie materia wydawała mi się czasem oporna, było to nic w porównaniu z próbami zaciągnięcia kogoś do łóżka – to była dopiero mordęga. Choć nie szczędziłem wysiłków, aż trudno opisać, jak wielkiej wprawy i wytrwałości wymaga się od młodego mężczyzny, jeśli chce żeglować po skutym lodem morzu kobiecej seksualności, która towarzyszy wykształceniu zdobywanemu w Cambridge.

Wyobraźmy sobie najbardziej nieprzystosowaną społecznie, najbardziej zdeorientowaną seksualnie i najbardziej neurotyczną grupę ludzi na świecie i zbierzmy ich wszystkich w jednym miejscu na trzy trudne lata: oto Uniwersytet Cambridge. I nie dajcie sobie wmówić, że jest inaczej. O seksie można mówić, jak najbardziej – trajkocze się o nim aż do znudzenia – ale jeśli ktoś choćby pomyśli o tym, żeby przejść od słów do czynu, od razu uważają go za chorego. Gorzej: za niebezpiecznego.

Mimo wszystko miałem pewne osiągnięcia pośród skrzypiących gór lodowych i wściekłego arktycznego wiatru, radziłem sobie lepiej niż większość moich kolegów, z których wielu przepadło na zawsze – zostali pogrzebani niczym kapitan Scott pośród tundry albo, oślepieni śniegiem i sparaliżowani pożądaniem, wpadli w lodową szczelinę małżeństwa. Wytrwawszy w tak niebezpiecznych i surowych warunkach, przybyłem do Londynu przepełniony uczuciem triumfu i chęcią działania.

I ostro wziąłem się do roboty.

W ciągu następnych siedmiu lat miałem chyba stosunki intymne z prawie wszystkimi kobietami w mieście: z młodymi i starymi, z jasno- i ciemnowłosymi, z mężatkami i lesbijkami; z Azjatkami, Afrykankami,

Amerykankami, Europejkami, nawet z jedną Belgijką; z wysokimi i niskimi, ze szczupłymi i tęgimi; z kobietami tak inteligentnymi, że nie były w stanie znieść klaustrofobii własnej świadomości; z kobietami tak tępymi, że każde nowe zdanie było triumfem i rozdzierającym serce wysiłkiem; z szybkimi i rozwiązłymi, z powolnymi i cnotliwymi; z seksualnymi akrobatkami i workami kartofli; z wiedźmami, anielicami, demonami i nimfami; z kobietami, które przyprawiały cię o senność z chwilą, gdy przekraczałeś próg ich sypialni; z kobietami, które nie dawały ci zasnąć przez całą noc, poruszając najgłębsze zakamarki twej psyche; z ciotkami, córkami, matkami i siostrzenicami; ze zdzirami, żołzami, zgagami i żmijami; z damulkami, panienkami, kociakami i laluniami; ze wszystkimi, których pożałowałem, i z tą całkiem liczną grupą, której nie pożałowałem. A gdy już w pełni usatysfakcjonowany dochodziłem do wniosku, że nie mogę chcieć niczego więcej, wszystko zaczynało się od nowa.

Był to trudny okres dla wszystkich.

Zdarzały się takie noce, kiedy nie mogłem wyjść z domu z obawy przed furją, pobiciem lub wkurzonymi narzeczonymi zdecydowanymi na brutalne działania odwetowe; a z drugiej strony w domu zostać też nie mogłem z obawy przed niezrównoważonym, rozjuszonym współlokatorem (dobrze, dobrze, ale to jego dziewczyna zaczęła). Raz nawet zrobiło się już tak nieciekawie, że musiałem spędzić kilka nocy w jednym ze schronisk Williama dla bezdomnych. Ale wtedy przeleciałem kucharkę. (Głównie dlatego, że przyuważyłem ją, jak wrzuca do zupy świeży kolender. Była to czysta żądza, ale sto kilo żywej wagi, na litość boską, i czterdzieści, kurwa, trzy wiosny.)

Gdy więc poznałem Lucy, była moim światłem w tunelu. Moją jedyną nadzieją. Poniosło mnie. Powinienem wyjaśnić, w jaki sposób zostałem zawodowym kaligrafem.

Po powrocie do Londynu parałem się różnymi zajęciami, wszystkie były tragicznie bezsensowne i zbyt przygnębiające, żeby się tutaj nad nimi rozwodzić. Z tego, co udało mi się zaobserwować, firmowy rynek

pracy najlepiej porównać do cuchnącego cyrku pełnego płaszcących się klaunów, przymilających się zonglerów i wciskających wazelinę akrobatów, wszyscy biegają w kółko, usiłując za wszelką cenę prześcignąć pozostałych w pokazach czołobitności, służalczości i uniżoności. Nie ma tam konferansjera i nigdy nic się nie robi dla większego dobra ludzkości.

A zatem nic dziwnego, że w dwudzieste szóste urodziny, wycieńczony i załamany, rzuciwszy kolejną pracę, odbyłem podróż do Rzymu, żeby odwiedzić moją babkę, która wreszcie przeszła na „emeryturę” i objęła zaskakująco lukratywną konsultancką posadę w Watykanie. Zawodowa kaligrafia była jej pomysłem.

– Jakkolwiek by na to patrzeć, Jasper, wszyscy kaligrafowie mają konszachty z diabłem – tłumaczyła babcia, starannie krojąc nadzwyczaj smakowite *uitello tonnato* w „Il Vicolo”, naszej ulubionej trattorii, przy via del Moro w sercu pięknego Trastevere. – Powinieneś o tym wiedzieć, zanim podejmiesz decyzję, czy chcesz się tym zająć. Kaligrafia jest jedyną sztuką na świecie, której nie patronuje święty, tylko diabeł.

– Serio?

– Serio. Możesz sprawdzić: święty Dunstan opiekuje się muzykami, święty Łukasz artystami, święty Bonifacy krawcami, kiedyś nawet znalazłam świętego patrona handlarzy bronią, jest nim święty Adrian z Nikomedii. Nie bagatelizowałabym zdolności interwencyjnych Kościoła katolickiego. Ale nigdzie nie trafisz na świętego patrona kaligrafów: związali się z opozycją. Znana sprawa.

– Nie tak znowu znana.

– Tym, którzy czytają, jest dobrze znana.

– Którzy czytają średniowieczne manuskrypty po łacinie.

– Którzy czytają. – Przez chwilę wpatrywała się we mnie tymi swoimi niebieskimi i zawsze błyszczącymi oczyma, po czym jej twarz poprzecinały znajome zmarszczki uśmiechu. – Ten czarci patron

nazywa się Titivillus. Pojawia się wszędzie od około 1285 roku, zwłaszcza w zapiskach na marginesach. Musiałam ci kiedyś o nim wspomnieć, na pewno.

Typowy babciny fortel. Gdybym potwierdził, że tak było, to dlaczego zapomniałem? Gdybym zaś pokręcił głową i upierał się, że nic takiego mi nie mówiła, wówczas prawdopodobnie byłaby w stanie wskazać czas i miejsce.

– A faktycznie, teraz sobie przypominam, że wspominała babcia coś o czarcie od kaligrafii... czy to może profesor Williams mi mówił? A propos, co słyhać u profesora Williamsa?

– Wszystko w porządku, dziękuję. – Pociągnęła łyk dolcetto i próbowała zmarszczyć brwi. – W każdym razie, jeśli masz zamiar utrzymać się z kaligrafii, musisz zawrzeć pakt z diabłem.

Wzruszyłem ramionami. Niedaleko przejechało terkoczące *motorino* – dziewczyna zapinała jeszcze kask, a jej opalone kolana podskakiwały lekko w rytm jazdy po kocich łbach.

Babcia dojadła resztki z talerza, ułożyła równo sztucce i starannie zgarnęła okruszki w dłoń.

– Nie martw się, jest mnóstwo plusów. Choćby gwarantowane odpuszczenie grzechów. Podejrzewam, że to akurat może się okazać całkiem przydatne.

Wróciłem do konsumpcji mojego *rigatoni*.

Babcia wzięła do ręki kieliszek i rozsiadła się wygodniej.

– A mówiąc poważnie, Jasper, główny problem polega na tym, że chociaż jesteś bardzo dobry, nie miałeś dotąd styczności ze sztuką komercyjną, sztuką tworzenia sztuki za pieniądze. I nie masz pojęcia o kwestiach czysto technicznych typu: jak przygotować welin albo których pigmentów użyć do danych kol...

– Ile się dostaje za zlecenie?

– Zaraz, zaraz, wolnego. – Babcia zrobiła nachmurzoną minę. – Zlecenia, do diaska, nie spadają tak po prostu z nieba.

– Oczywiście, że nie. Chciałem tylko...

– Po pierwsze, uważam, że powinieneś skończyć kurs w Roehampton. – Podniosła palec, żebym jej nie przerywał. – Wiem, co sobie pomyślisz: że nie jest ci potrzebny, ale kaligrafia wiąże się z całą masą przeróżnych umiejętności... które lotki są najlepsze i dlatego, jak naprawiać pióra gorącym piaskiem, jak skomponować pole tekstu na stronie, jakich używać pigmentów, nie wspominając o złoceniu i mieszaniu gipsu sztukatorskiego... – Kręciła głową. – Nie masz o tym bladego pojęcia. Do tego dochodzi jeszcze historia, no i teoria związana z manuskryptami. Wydaje mi się też, że nauczyciele pomogą ci rozeznaczyć się w bieżącej sytuacji... w tym, jak wygląda teraz rynek. Mógłbyś nawiązać trochę cennych kontaktów z galeriami. A już abstrahując od wszystkiego, nie zaszkodzi, jeśli zdobędziesz kwalifikacje, które każdy będzie musiał uznać.

Kiwnąłem głową.

– Racja. Przyznaję, że prawdopodobnie będę musiał skończyć ten kurs.

– Nie „prawdopodobnie”, tylko z całą pewnością.

– No ale niemożliwe, żeby z kaligrafii nie dało się wyżyć, żeby zarabiano się tylko na tym, co uda się wcisnąć galeriom? Myślałem, że babci znajomi dostają regularne zlecenia. Na przykład Susan albo ten facet od Biblii. Musi być jakiś sposób na zdobycie stałych dochodów.

– Wcale nie mówię, że na kaligrafii nie można dobrze zarobić. Trafiają się zlecenia, i to dobre. Oczywiście, że tak. Ale przyjrzyjmy się faktom. – Pociągnęła kolejny łyk wina i delektowała się nim przez chwilę. – W Anglii pracuje około dwustu zawodowców, wszyscy są przed tobą w kolejce. Nie wspominając o cieszących się lokalną sławą amatorach.

– Mmm.

– Z tych dwustu prawdopodobnie nie więcej niż pięćdziesięciu zarabia na życie piórem i tuszem. Większość wykonuje zaproszenia ślubne lub karty dań do pseudobawarskich sieci restauracyjnych. – Zasznurowała wargi. – Z tej pięćdziesiątki niespełna dwudziestu,

powiedziałabym, dostaje regularne zlecenia na rękopisy, ale większość i tak, gdy trzeba, para się jakimiś parlamentarnymi lub prawniczymi zajęciami. I z tej ostatniej dwudziestki jest najwyżej kilku artystów, którzy mogą sobie pozwolić na utrzymanie się w ścisłej czołówce.

Odłamałem kawałek chleba i zamoczyłem go w oliwie.

– Dobra, no więc jak się zdobywa zlecenie?

– To zależy.

– Od czego?

– Od mnóstwa czynników: oczywiście od talentu, ale również od reputacji, kontaktów, a przede wszystkim od tego, kim są klienci. – Babcia uniosła brwi. – Zgoda, jesteś znacznie lepszy od wszystkich zawodowców, z jakimi miałam do czynienia w ostatnich latach, i na pewno niewielu jest ludzi na świecie, którzy mieliby w rękach taki dar jak ty, ale samo to nie wystarczy. Musisz zdobyć kilku dobrych klientów, a do tego potrzebna jest reputacja, a do tego z kolei nie wystarczy, że zacznę rozpowiadać naokoło: „Mój wnuk jest geniuszem kaligrafii”.

– Może powinienem wstąpić do zakonu. – Wziąłem jeszcze trochę chleba.

– Nie, jesteś zbyt przystojny. Poza tym nie powiedziałam, że nie mogę ci pomóc. Właściwie kaligrafia jest chyba jedyną dziedziną na świecie, w której mogę ci się jakoś przydać. Ty masz talent, a ja mam kontakty, Jasperze. Jeśli obiecasz pojechać do Roehampton, zorganizuję ci spotkanie z moim przyjacielem Saulem. Ma siedzibę w Nowym Jorku. Ameryka... – Babcia przerwała. Ciepła bryza, która zdawała się nadlatywać od strony wzgórza Gianicolo, nagle potargała jej siwe włosy. Babcia poprawiła na głowie wiekowe okulary przeciwsłoneczne. – Ameryka to jedyne miejsce, gdzie można teraz niezłe zarobić. Jeśli mamy cię przenieść na początek tej kolejki, potrzebujesz świetnego nowojorskiego agenta z poważną listą klientów. Saul był przyjacielem twojego dziadka. Był nawet chrzestnym twojego ojca. Chyba raz go widziałeś.

Musiałem zrobić skonsternowaną minę.

– Zaczynał przed laty od rzadkich książek i nie przestawał się interesować tymi rzeczami, chociaż później zajął się głównie obrazami i sztuką tradycyjną. Na starość został kimś w rodzaju marszanda, jest szanowany i nie ma takiej rzeczy, której by nie umiał sprzedać. – Dopięła wino. – Potrzebujemy właśnie kogoś takiego. Tymczasem ty musisz zacząć od wykonania kilku próbek, powiedzmy trzech lub czterech znanych sonetów Szekspira kilkoma różnymi pismami, żebyśmy mogli mu coś wysłać, gdy nadejdzie odpowiedni moment.

Udałem zbulwersowanie.

– Dlaczego babcia mi tego nie zaproponowała, gdy miałem dwadzieścia jeden lat? Zmarnowałem pięć lat życia, skazany na lobotomię w londyńskich biurach.

– Ponieważ nie posłuchałbyś mnie, mając dwadzieścia jeden lat.

– Posłuchałbym.

– Ależ skąd. Słuchasz mnie tylko wtedy, kiedy sam już coś sobie postanowisz. – Podniosła sfatygowaną kopertówkę. – Pójdziemy na podwieczorek do Babingtonów?

– Myślałem, że musi babcia wracać do pracy.

– Oj, chromo! Mam siedemdziesiąt pięć lat, mogę robić, co mi się żywnie podoba. Zresztą pracuję. Jestem konsultantem, a ty teraz konsultujesz się u mnie.

Zatrzymałem się wtedy w Rzymie na całe lato dzięki uprzejmości władz Watykanu i resztkom pieniędzy odziedziczonych po matce. Ćwiczyłem i uczyłem się – pilniej niż kiedykolwiek przedtem – zasięgając bez przerwy rad i opinii u mojej babki. Do Londynu wróciłem we wrześniu, wynająłem skromne mieszkanie i zapisałem się na kurs. W grudniu babcia wreszcie dała mi zielone światło (nigdy kontrola jakości nie była tak bezlitosna) i wysłaliśmy Saulowi sześć utworów Szekspira, każdy innym pismem.

Dwa tygodnie później dostałem wiadomość, że jeden z nich został

sprzedany jako gwiazdkowy prezent – za dwieście dolarów. I choć nie była to jakaś zawrotna suma, poczułem, że przynajmniej jestem na dobrej drodze.

Moje pierwsze prawdziwe zlecenie nadeszło wiosną następnego roku (właśnie przygotowywałem się do egzaminu): dwanaście sonetów CXVI Szekspira po 750 dolarów za sztukę. Już lepiej. Wykaligrafowanie ich w sumie zabrało mi cztery miesiące, ale byłem całkiem pewien, że sprawiłem się nieźle. A Saul – z którym coraz częściej rozmawiałem przez telefon – był przekonany, że gdybym do końca życia zechciał kopiować sonet CXVI, zdołałbym się utrzymać tylko z tego.

Zdałem egzaminy i znalazłem się w gronie zaledwie trzech osób, które sprzedają swoje prace na semestralnej wystawie. Tuż po pierwszym zleceniu dostałem drugie, a potem trzecie. Pracowałem coraz szybciej i za każdym razem zarabiałem więcej. Jesienią zeszłego roku poleciałem do Nowego Jorku i spotkałem się z samym Saulem – mężczyzną o tak pokaźnym obwodzie w pasie, że jednokrotne okrążenie go mogłoby potrwać kilka pór roku.

I to właśnie Saul wciąż mnie ratuje. Od tamtej pory zlecenia nadchodzą z serca wielbiącej sztukę Ameryki, od grupki niegłupich milionerów (znają się z Saulem jak łyse konie), którzy uważają, że najlepszym prezentem dla ich zblazowanych przyjaciół jest oryginalny rękopis czegoś pięknego. Za istnienie tych ludzi dziękuję Bogu. Najwięcej jednak zawdzięczam Saulowi. To on wystarał się o moje aktualne zlecenie, jak dotąd najbardziej interesujące i czasochłonne: trzydzieści wierszy z *Pieśni i sonetów* Johna Donne'a.

3. Wschód słońca

*Słońce natrętne, stara zakąta,
Czemu niestrudzenie
Przez okna i kotary wciskasz swe promienie?*

- Co będzie na śniadanie?
- A na co masz ochotę?
- Na coś pysznego.
- Dobrze. Dostaniesz coś pysznego.

Wstałem i po cichu wskoczyłem w piżamę. Zawsze wspaniale jest w ten sposób rozpocząć dzień.

– Na przykład truskawki. I kawę. Herbaty nie chcę. – Uniosła głowę z poduszki i ambitnie otworzyła jedno oko.

Była sobota rano, szesnastego marca, siedem dni po moich urodzinach, i słońce w rzeczy samej sączyło się do środka przez szparę w niedbale zaciągniętych zasłonach. Dać starej zakąta trzy godziny, pomyślałem, a bezczelna smuga światła, padająca teraz na komodę przy oknie, przekradnie się tam, gdzie leży w łóżku ona. Ale wtedy prawdopodobnie jej już tam nie będzie.

Tak między nami – odgadnięcie z góry śniadaniowych zachcianek kobiet takich jak Cécile najczęściej wykracza poza moje możliwości. Można by sądzić, że jak wiele innych dzieci rewolucji ekologicznej preferują owoce – oczyszczające, pożywne, dodające energii. A jednak niewątpliwie czasem budzą się z nieumiarkowanym apetytem na sycącego czekoladowego rogalika, a nawet, okazjonalnie, chętnie oddają się kalorycznej rozpuście w postaci jajek na bekonie. Ostatecznie, obawiam się, nie ma wyjścia: trzeba pogodzić się z faktem, że życie jest nieprzewidywalne – i przygotować się na wszelkie ewentualności.

Ale nawet wtedy czai się pewne niebezpieczeństwo. Utalentowany

amator w przeddzień schadzki radośnie przebiegnie się po sklepach i kupi wszystko, co podpowie mu jego prostolinijna wyobraźnia: muesli, bułeczki, dżem, cały asortyment grzybów, może nawet syrop klonowy. Obładowany zakupami wróci do domu i zapcha półki, wypełni lodówkę i w ogóle zagraca kuchnię wiktuałami. Nie tędy jednak droga. Jego nieporadne wysiłki zostaną nie tylko zauważone przez nawet najmniej bystrą kochankę – gdy będzie jej prezentował jedno menu po drugim – ale, co gorsza, elegancja i efektywność sytuacji, gdy mężczyzna pozornie dysponuje akurat tym, na co ma ochotę kobieta, całkowicie się ulotni, utonie w powodzi *les petits dejeuners*.

Nie – zawodowiec musi przyjąć zupełnie inne podejście. Będzie oczywiście zaopatrzony w te same produkty co amator, ale – w tym cała sztuka – ukryje je. Uwzględni wszystkie ewentualności, a jednak wywoła wrażenie, że niczego nie przewidział. Oprócz, jakby za sprawą czarów, tej jedynej właściwej opcji.

Tak czy inaczej, na szczęście miałem te cholerne truskawki.

– Mogę skorzystać z twojej szczoteczki do zębów? – zawołała z łazienki.

– Jasne. Jeśli chcesz, możesz wziąć prysznic albo się wykapać. Znajdziesz tam czyste ręczniki.

– Może później.

Słuchałem, jak porusza się po mieszkaniu. Lekko.

Mieszkam na mansardzie w domu, który kiedyś był elegancką georgiańską kamienicą o zdobionej sztukaterią fasadzie, przy Bristol Gardens, niedaleko Warwick Avenue w Londynie. Jeśli wziąć pod uwagę wszystkie skosy, mieszkanie nie jest, obawiam się, zbyt przestronne: całkiem spory salon, mała pracownia, sypialnia z przyległą łazienką i tak zwany hol z aneksem kuchennym na jednym końcu oraz schody w dół do drzwi wejściowych na drugim. Ale przynajmniej stosunkowa ciasnota mojego lokum nie pozwala urządzić w nim przyjęć – prawdziwa ulga w tych przeklętych czasach telewizyjnych programów

kulinarnych i składanych mebli.

Kiedy się tu wprowadziłem, były dwie sypialnie; a ponieważ potrzebowałem tylko jednej, zrobiłem małe przemeblowanie i w pokoju od ogrodu urządziłem sobie pracownię. Ten rozkład gwarantuje, że uliczne hałasy dolatują do mnie, kiedy śpię, a nie wtedy, gdy pracuję; dodatkowo jest z niego jeszcze jeden wspaniały pożytek, mogłem mianowicie ustawić stół kreślarski przy północnym oknie, które wychodzi na piękny ogród – cichy zakątek otoczony ze wszystkich stron starymi domami podobnymi do mojego i przeznaczony dla ich mieszkańców. Północnym, ponieważ kaligrafowie preferują jednolite oświetlenie.

Wolałbym, żeby moja pracownia była przynajmniej dwa razy większa, ale stworzyłem w niej jak najdogodniejsze warunki do zarabiania na chleb. Mam tu wszystko, czego potrzebuję – księgozbiór podręczny, szkła powiększające, nożyki do cięcia i ostrzenia piór, no i same pióra; łabędzie do zwykłego pisania, gęsie do kolorowania, są bowiem bardziej miękkie, a do kładzenia najdrobniejszych detali – wronie. Światło nie jest idealne, ponieważ okno wychodzi właściwie na północny zachód. Najlepsze rezultaty można jednak osiągnąć wyłącznie w warunkach naturalnych, toteż jeśli nie gonią mnie terminy, staram się unikać pracy przy sztucznym oświetleniu.

– Masz bardzo czyste mieszkanie. Podoba mi się. – Cécile stała teraz na progu mojej kuchni, naga, nie licząc szczoteczki do zębów, którą znowu wsunęła do buzi i dość leniwie przesuwiała nią po zębach.

– Serio?

Szczoteczka wydostała się na zewnątrz.

– To znaczy porządne i czyste jak na faceta. – Najwyraźniej nie używała dużo pasty. Albo ją połknęła.

– Dzięki. Oglądasz dużo męskich mieszkań?

– Tak. – Szybki ruch szczoteczką. – Mam wielu braci, którzy zapraszają mnie do siebie, żebym sprawdziła, czy są dobre – uniosła

brwi – do wyrywania lasek.

Wyjąłem z szafki dwie miseczki.

Zmarszczyła brwi.

– Tylko że nigdy żadnej nie udaje im się tam zaciągnąć. Mówią: „Cécile, to jakiś koszmar, w Dijon mieszkają same maskarony”. – Podeszła do mnie od tyłu i oparła mi brodę na ramieniu. – Naprawdę masz truskawki!

– Mam.

– Ale ja się tylko wygłupiałam.

– Za późno. Zaraz będziemy jeść. Nie mam nic innego. Ze śmietaną?

– Oczywiście.

– Dobra.

Odsunęła się i patrzyła, jak mielę kawę.

Normalnie wolałbym ożywić moją wierną Brasię, aby rozszumiała się majestatycznie i wyprodukowała napar, którego nikt by się nie powstydził. (Prawdziwe espresso, przyznaję, jest darem współczesnych Włochów dla świata, ich wielką i najbardziej elokwentną apologią. Tymczasem tutaj w Anglii wygląda na to, że przefrymarczyliśmy naszą spuściznę na całą masę popularnych sieciowych kawiarni, serwujących letnie kawowe koktajle i laktozowy szlam.) Ekspres do kawy jest jednak nie tylko czymś z lekka pozerskim, zwłaszcza gdy wciąż (w gruncie rzeczy, pomimo minionej nocy) trwa pierwsza randka, lecz także – co szalenie istotne – jego użycie ogranicza spożycie kawy do pojedynczych filiżanek, a to z kolei znacznie skraca „śniadanka w łóżku”. Tak więc musiało się skończyć na *cafetiere*.

– Mam coś zanieść?

– Pewnie.

Cécile oddała moją szczoteczkę swoim zębom i odwróciła się na pięcie z dwiema miseczkami w rękach.

Ranki, muszę przyznać, uwielbiam prawie tak bardzo jak noc. A już najwspanialsze jest w nich to, że budzę się i jestem pierwszą osobą tego dnia, która widzi prawdziwe, niczym nie zmałowane piękno twarzy

kobiety – jasne czoło, włosy pozostawione samym sobie. („W niej są wszystkie kraje, a we mnie księżęta, / Wszystkim jesteśmy...”) Ale niemal równie przyjemna, z innych powodów, jest nieporadna choreografia łazienkowej sekwencji, ubieranie się, gdzie-są-moje-kolczyki?, co-teraz-z-nami-będzie?, dziwnie krępujące oczekiwanie na taksówkę lub moja propozycja odprowadzenia jej do metra. Cieszy mnie również, co już jest lekką perwersją, perspektywa wspólnego kaca (jesteśmy w tym razem), a zwłaszcza owo ulotne uczucie zaskoczenia, którego czasem doświadczamy, gdy oboje nie śpimy już od kilku minut – zaskoczenia, że pomimo wszelkich przeszkód i fundamentalnego poczucia zagubienia, które tak często prześladują kontakty angielskich heteroseksualistów, dorośli wciąż robią takie rzeczy z nieznanymi pod wpływem impulsu.

Ogólnie rzecz ujmując (i wzięwszy należycie pod uwagę wszelkie typowe zastrzeżenia na temat uogólnień), rano mamy do czynienia z trzema rodzajami kobiet: z tymi, które za żadne skarby nie chcą, żeby je oglądano (gdy spod kołdry przemykają pod szlafrok); z tymi, których nic nie obchodzi i przechadzają się nago po pokoju z miną: możesz sobie patrzeć (ubranie porzucone tam, gdzie padło); oraz z tymi, które chciałyby zaliczać się do tych nie speszonych, lecz nie są w stanie do końca pozbyć się okrycia – skromność nie opuszcza ich jak wspomnienia z dzieciństwa. Co ciekawe, to, jakim rodzajem okaże się dana kobieta, nie ma nic wspólnego z klasą społeczną, wiekiem, a nawet wyglądem – nigdy więc nie można tego zawczasu przewidzieć – ale, paradoksalnie, zwykle można liczyć na to, że ekshibicjonistki nie będą stwarzać żadnych problemów, kiedy już sobie pójdą. (Nie wiem, dlaczego tak się dzieje; chyba ma to związek z ich postawą typu „spadaj – masz mój numer, ale gównu mnie obchodzi, czy zadzwonisz”, podczas gdy te nieśmiałe... o rany!)

Postawiłem kawę po mojej stronie łóżka, podałem Cécile jej miseczkę, zaproponowałem łyżeczkę brązowego cukru, a potem sam wsunąłem się do łóżka.

– No więc czym się zajmujesz, Jasper? Przez całą kolację nie wspomniałeś o tym ani słowem. A słuchałam. To coś wstydlivego? Może ściągasz podatki. Albo sprzedajesz papierosy w Afryce?

– Jestem kaligrafem.

– *Un calligraphe?*

– *Absolument.*

Usiadła wyżej, trzymając miseczkę przed sobą, a drugą ręką poprawiała niezdarnie poduszki za plecami. Na tle ciemnej karnacji jej zęby wydawały się jeszcze bielsze.

– Jak ci idzie?

– Dobrze. To znaczy lubię to robić.

– Możesz się z tego utrzymać?

– Jak na razie: tak.

– Tutaj też pracujesz?

– Owszem, pracuję w domu.

– Mogę później coś zobaczyć?

– Tak, jeśli chcesz. – Obróciłem się, żeby nalać nam kawy. – Właściwie to w zeszłym tygodniu zacząłem dla kogoś nowe zlecenie, zbiór wierszy. Wczoraj właśnie skończyłem pierwszą zwrotkę pierwszego wiersza, chociaż mam pewne wątpliwości i...

– Kto to taki?

– Gruba ryba z Chicago. Nie mogę powiedzieć. Jest właścicielem całej masy gazet i kanałów telewizyjnych i musiałem podpisać klauzulę, która zobowiązuje mnie do zachowania dyskrecji. Ponoć jest tak sławny i ważny, że gdyby ktoś się dowiedział, że zlecił mi wykaligrafowanie paru wierszy, na Wall Street doszłoby do krachu. – Mówiłem pół żartem, pół serio. Moim klientem był Gus Wesley. I chociaż nie miałem pojęcia, dlaczego moja niedyskrecja mogłaby mieć jakiegokolwiek znaczenie, bezwzględnie słuchałem rady Saula i nikomu nie powiedziałem, dla kogo pracuję, ani Willowi, ani Lucy, ani nawet babci.

Cécile utworzyła pod kołdrą górę ze swoich kolan i zabrała się do jedzenia truskawek.

– Niektórym pieniądze uderzają do głowy. Coś mi się zdaje, że i jemu odbiło.

– Trzeba uczciwie przyznać... – poczułem niejasną potrzebę obrony mojego klienta – trzeba uczciwie przyznać, że zależy mu na mojej dyskrecji chyba dlatego, że te wiersze są urodzinowym prezentem dla jego nowej dziewczyny. Ma już za sobą dwa małżeństwa i bardzo przeżywa za każdym razem, gdy gazety konkurencji rozpisują się o jego życiu prywatnym. Więc tym nowym skarbem nie chce się z nikim dzielić. Nikt o niej nie wie. Pewnie chce, żeby tak już zostało.

Cécile wzruszyła ramionami, a potem przesunęła łyżeczką po zębach.

– Nic o tym nie wiem. Nie obchodzą mnie potencjaci medialni.

Poprawienie jej byłoby chyba nieeleganckie, jadłem więc dalej truskawki.

– A tak w ogóle – odwróciła głowę – gdy zapytałam „kto to taki?”, miałam na myśli: który poeta. Nie: dla kogo są wiersze.

– Oj, przepraszam, chodzi o Johna Donne’a.

– O nim słyszałam. – Wysłała język w podróż po przednich zębach.

– To on chyba napisał „Śmierci, próżno się pysznisz...” Na studiach musiałam o tym pisać na egzaminie. Nie było łatwo. Ale pisał też o miłości, prawda?

– Poniekąd. – Słowo „miłość” wymawiała na francuską modłę, jak gdyby rzeczywiście była ona bóstwem. – Pisał o kobietach i mężczyznach, przynajmniej w tomiku, nad którym pracuję. Sporo. Ale tworzył też różne inne rzeczy. Kazania, sonety święte i tak dalej. Ambitny gość. Zamierzam dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

– Szczęściarz z ciebie. W Londynie mówi się tylko o cenach nieruchomości i kto kogo nie lubi w pracy.

– Wiem. Czasem wydaje mi się, że lepiej byłoby ogłuchnąć. Uśmiechnęła się.

– Właśnie. Ale też kochasz to miasto?

– Tak. Chwilami.

– Mnie dobrze zrobi, jak pomieszka tu przez jakiś czas, ale gdy skończę szkolenie, wyjeżdżam na Martynikę uczyć prawdziwych chłopców, którzy łakną wiedzy. – Nie spuszczać ze mnie oczu, obróciła rękę, żeby wylizać cukier spomiędzy palców. – Tutaj, odnoszę takie wrażenie, wielu chłopców nie chce się uczyć. Wielu chłopców nie ma zadatków na to, żeby stać się prawdziwymi mężczyznami.

Zatopiła zęby do połowy w ostatniej truskawce i zostawiła ją ściśniętą między wargami.

Po kąpieli Cécile stanęliśmy razem w pracowni i podziwialiśmy efekt mojej tygodniowej pracy. Co prawda było tego zaledwie kilka linijek (wtedy jeszcze posuwałem się powoli, badałem grunt), ale zauważyłem, że Cécile jest pod wrażeniem. Na tle stołu rysowała się wyraźnie i elegancko pierwsza zwrotka *Wschodu słońca*.

*Słońce natrętne, stara zakąta,
Czemu niestrudzenie
Przez okna i kotary wciskasz swe promienie?
Kochankom obojętne twe kosmiczne ciało.
Niecnota zuchwała, wbij sobie do głowy,
Że uczniów do szkoły pogonić należy,
Przypomnij dworakom – król rusza na łowy,
A chłopu, że siano na polu wciąż leży.
Miłość wszędzie jednaka, ślepa na pór roku zmiany,
Bo dnie, miesiące, lata – to tylko czasu łachmany.*

Wyjaśniłem Cécile, że jest to pierwszy utwór, z którym się zmierzyłem – pierwsza walka wręcz ze stylem Donne’a, moje pierwsze z nim zwanie. (Był to też jeden z pięciu wierszy z obowiązkowej listy Wesleya; pozostałe dwadzieścia pięć utworów miałem dobrać według własnego uznania – po jednym, przypuszczałem, na każdy rok jej życia.) Ale cóż to za wiersz: intelektualnie precyzyjny, a przy tym

przewrotnie erotyczny; choć przesycony butą podmiot liryczny wciąż jest suplikantem; jednocześnie pogardliwym i tchórzliwym; zdeterminowanym, żeby uczynić łoże kochanki pępkiem wszechświata, choć gniewliwie świadomym reszty świata; strofa wije się w swej paradoksalnej materii jak rozgniewany wąż w zroszonej trawie. Donne jest naprawdę wielkim antagonistą, niekwestionowanym mistrzem przeciwstawności – przechodzące w tezy antytezy, sylaby przepełnione opozycjami, każde zdanie wysłane na przekór następnemu.

Oczywiście wtedy, w marcu, dostrzegałem jedynie cząstkę tego, co odnajduję w *Pieśniach i sonetach* teraz. Prawdę mówiąc, tamtego dnia, gdy stałem obok Cécile – jak ona bosy, ze smakiem kawy w ustach – zareagowałem dość powierzchownie. Moje zawodowe oko przyciągnęły rozmiary pustego miejsca, które zostawiłem na pierwszą literę pierwszej zwrotki, inicjał, wspaniałe, zdobione „S”, które miałem dodać po wykaligrafowaniu pozostałych wierszy. Teraz, gdy ukończyłem pierwszą strofę, zacząłem odnosić wrażenie, że nie zostawiłem dość miejsca: proporcje między strofą a inicjałem wydawały się niewłaściwe. Uznałem, że muszę przemyśleć sprawę i zacząć od nowa.

– A więc jest to wiersz o facecie – odezwała się Cécile – który się budzi i myśli: Spadaj, słońce, dzisiejszy dzień mnie nie interesuje, chcę zostać w łóżku i kochać się z moją kobietą... zgadza się?

Kiwnąłem głową.

– Z grubsza chyba tak, Cécile.

Jak wszyscy kaligrafowie do błędów pałam nienawiścią wprost nieopisaną. I ta awersja popycha mnie do tego, bym zajął się powodami mojej wpadki. Mój główny błąd nie polegał na tym, jak sądzę, że źle oceniłem Cécile. Ponieważ czuła się tak swobodnie w dziedzinie „Nagość, działanie, ciało” (w końcu tam właśnie się poznaliśmy), mogę z całą pewnością stwierdzić, że nie postąpiłaby tak nierozważnie, gdyby wiedziała, jakie wywoła tym spustoszenia. Niestety, nie wiedziała. Nie – moim głównym błędem było to, że pozwoliłem jej zostać na kolejną

noc. Nie rozmawialiśmy o tym. Ale wybiła piąta, a ja zorientowałem się, że robię zakupy i błagam Roya, mojego wspaniałego miejscowego zaopatrzeniowca i faceta, który najbardziej jak to tylko możliwe przypomina otyłą wersję Hitlera, by dostarczył mi świeżego łososia od brata. W historii ludzkości żaden człowiek nie zapłacił tyle za jedną rybę, ale życie jest krótkie i przykre, wszelkie protesty nie mają więc sensu.

Może winne było światło tamtego dnia – jasne, ostre, entuzjastyczne, prawdziwa rzadkość – a może duch tego wiersza z jego silnym zapewnieniem, że jedynym miejscem, gdzie zamieszkuje prawda, jest ołtarz miłosego łoża i jemu należy się cześć.

*Świeć nam tutaj, a zaświecisz wszędzie;
Te ściany uniwersum, łóżko – centrum będzie.*

Tak czy inaczej, ledwie sobie uświadamiałem, że popołudnie ustąpiło miejsca skapanemu w winie wieczorowi. Zwerbowałem dwie butelki wyjątkowo świeżego w smaku sauvignon blanc i garstkę fasolki szparagowej do łososia, więc o siódmej trzydzieści wciąż jeszcze kręciliśmy się po kuchni (już nieźle wstawieni), a ja przyprawiałem rybę cytryną i estragonem przed zawinięciem jej w folię i ostrożnym umieszczeniem w piecyku.

Potem nastąpiło dziewięć prawdziwie kaligulicznych godzin, kiedy to wydarzyło się kilka naprawdę dobrych rzeczy: Cécile odnalazła na przykład starą cygarniczkę zostawioną przez Williama i podjęliśmy próbę rozegrania rozbieranego pojedynku w scrabble, który z wielką przyjemnością przegrałem.

Kiedy w końcu zasnąłem, wschodziło słońce.

4. Miłosna wymiana

*Miłości, każdy diabeł prócz ciebie
Za duszę zaprzedaną dałby coś od siebie.*

A potem zabrzączał mój domofon.

Jezu Chryste.

Zacisnąłem mocniej powieki. Ale hałas uparcie się powtarzał – raz za razem, raz za razem, raz za razem. Cécile poruszyła się. Obróciłem się, żeby spojrzeć na zegarek: za pięć siódma w niedzielę rano. Przespałem najwyżej półtorej godziny.

Na pół przytomny, w panice, wymachując niezdolnie kończynami, wydostałem się z pomiętych żagli i poplątanego takielunku pościeli i pokuśtykałem w stronę okna. Otworzyłem je i wystawiłem głowę.

– TAK! CO JEST?

Cztery piętra niżej, z uniesioną ręką osłaniającą oczy przed słońcem, czekała na mnie Lucy.

Przyznaję: takiej ewentualności nie przewidziałem. Przez ostatnie dwanaście miesięcy naszego związku poświęciłem mnóstwo energii zapobieganiu właśnie tego typu sytuacjom. Z chodnika dobiegł mnie jej głos:

– Jasper? Otwórz drzwi, na litość boską! Dzwonię i dzwonię!

Z wystawionym wciąż przez okno łbem – jak jakiś wyrwany ze snu wiejski głupek, który gapi się w dół ze strychu – i cały czas świadomy, że za moimi plecami Cécile, też już przebudzona, bez wątplenia snuje domysły ze świetnego punktu widokowego pośród licznych poduszek, przeznaczyłem chwilę na analizę sytuacji.

Lucy wywoziła dzisiaj rzeczy ze swojego mieszkania. Plan był taki, że miała zmagazynować je u matki, dopóki nie znajdzie czegoś nowego, zamiast podpisywać umowę najmu na kolejne dwanaście miesięcy. Tyle wiedziałem, rozumiałem, a nawet akceptowałem. Ale moja obecność nie

była wymagana do wczesnego popołudnia, tak mi się przynajmniej wydawało. Przyjechała jednak – kilka godzin wcześniej. Co się, do kurwy nędzy, wyprawia?

– Jasper? Rusz się. Co ty tam robisz?

– Sekundka. Już schodzę, Lucy – zawołałem, na tyle głośno i spokojnie, na ile starczyło mi odwagi. – Popsułem się domofon. – Wciągnąłem głębiej powietrze. – Popsułem się... i nie mogę cię stąd wypuścić. Poczekaj. Zaraz będę na dole. – Schowałem głowę, zatrzasnąłem okno i na nowo zainteresowałem się sypialnią.

Czas odchrząknął i popukał w swój nowiuteńki zegarek. Jeśli Cécile wszystko słyszała, nie dawała tego po sobie poznać. Leżała z twarzą odwróconą ode mnie, zjedną gębą i kształtną nogą wysuniętą spod pościeli. W pokoju unosiła się słodka woń jej ciała. Wiedziałem, że nie śpi, ale istniał cień szansy, że zarejestrowała jedynie zamieszanie i nie pojęła pełnej zgrozy sytuacji. Mówiąc prawdę, nie obchodziło mnie, co mogła sobie pomyśleć Cécile. Zależało mi przede wszystkim na tym, żeby oszczędzić Lucy.

Gdy już znalazłem się w moim małym holu, z gorącym oddechem, piekącymi oczami i suchością w ustach, stanąłem wsparty na poręczach przy domofonie i usiłowałem wyrwać umysł z letargu. (Mój kac był niczym siedzący naprzeciwko pijany mieszkaniec Glasgow na początku długiej podróży pociągiem, który się poci, przeklina i koniecznie chce się zaprzyjaźnić.) Miałem mętlik w głowie, a myśli nadlatywały w formie szkarłatnych błysków. Zrobiłem jedyną rzecz, na jaką było mnie w tej chwili stać: udałem się do łazienki opróżnić bulgoczący kocioł igieł, czyli mój pęcherz. Potem naprawdę nie miałem już czasu. Złapałem w locie dzinsy porzucone w okolicach łazienki, wycisnąłem sobie do ust trochę pasty do zębów i zacząłem zbiegać po schodach.

W normalnych okolicznościach jestem absolutnym mistrzem starej kartezyjskiej zasady: jeśli dzieje się „a”, to z pewnością nastąpi „b”, et cetera, et cetera. Oszukiwałbym was jednak, gdybym powiedział, że miałem w głowie coś tak uporządkowanego, gdy tego ranka spadałem

głową w dół przez pięć kondygnacji rozpacz. Nie wybiegałem myślami poza podstęp z domofonem. Przypominam sobie tylko, że co siedem stopni postanawiałem: „coś wymyślę”, później natychmiast wylatywało mi z głowy, co postanowiłem, i na ósmym stopniu znów ogarniała mnie panika. Jeszcze gorsza była moja złość, mój gniew, że dałem ciała w tak kretyński sposób. Byłem wściekły. Jak mogłem zapomnieć, że rano mieliśmy się spotkać? Bezapelacyjnie była to najbardziej haniebna i beładna wpadka w całej mojej karierze. Nienawidziłem siebie.

Wcisnąłem kciukiem czerwony przycisk, który otwierał drzwi, i wymuszając uśmiech obliczony na wyrażenie łagodnej niefrasobliwości zmieszanej ze skruszoną konsternacją, pchnąłem potężne frontowe drzwi, by powitać czekającą za nimi Lucy.

– Co tak długo? – Podeszła do mnie i objęła czule. Wystarczyłoby, żeby doprowadzić człowieka do łez.

– Co się dzieje z dzwonkiem? – zapytała, zmieniając ton. Odchyliła się do tyłu, zadarła głowę i spojrzała mi prosto w oczy.

– Nic – odparłem głosem pustym jak czysta biała kartka papieru. – To zamek nawalił. Dzwonek działa i słyszę cię w domofonie, ale nie mogę otworzyć drzwi z mojego mieszkania. Muszę zejść. Nie jestem pewien, co się zepsuło. Miałem sprawdzić, czy w innych mieszkaniach jest tak samo, ale to później, gdy wszyscy wstaną.

– Jesteś gotowy? Jakoś nie wyglądasz – stwierdziła, ufnie wspierając głowę na mojej klatce piersiowej.

– Nie. Tak. Która godzina?

– Wariacie. Do pierwszej muszę oddać furgonetkę.

– Dobra. Ale Lucy... – oburzenie, żeby zamaskować gorączkowe przetrząsanie pamięci – nie ma jeszcze siódmej, no i jest... niedziela jest i...

– Och, Jasp, jesteś beznadziejny. Przeprowadzam się dzisiaj, nie pamiętasz?

Zamrugąłem powiekami.

– No, wiesz – dodała zaraz – kiedy ktoś przewozi wszystkie swoje

rzeczy z jednego miejsca zamieszkania do drugiego, przeprowadzka.

– Wiem, wiem.

– Więc nie zachowuj się, jakbyś był tym totalnie zaskoczony. – Odchyliła się do tyłu na piętach. – No, już, stupido, zrobimy ci śniadanie i ruszamy w drogę. – Zerknęła przez ramię w stronę miejsca, gdzie majaczył złowrogo biały samochód do przeprowadzek. – Furgonetka może tam zostać na piętnaście minut, prawda? Gdy podjeżdżałam, widziałam, jak kogoś odholowywali. Cały czas można tu parkować w niedziele?

– Furgonetka?

Kolejna zmiana tonu, może tym razem zatroskanie.

– Dobrze się czujesz, Jasper? Coś ty wyprawiał w nocy? – Odsunęła się i podniosła rękę, jakby chciała przyłożyć mi ją do czoła i sprawdzić temperaturę.

Przesunąłem się nieco, żeby zastawić wejście, i uchwyciłem się nadziei, że czarne chmury nieszczęścia, które przemykały po mojej twarzy, są interpretowane jako objaw niewyspania, a nie pogłębiającego się kryzysu.

Tym razem rzeczowo:

– Jezu, Jasper, rusz się, musisz się jeszcze umyć i ubrać.

– Nie mogę – rzuciłem, odrobinę zbyt szybko.

Dosyć tego. Jeszcze chwila, a wyczuje znaczący zapach zdrady spływający za mną po schodach. Nie mogłem znowu jej objąć. Musiałem działać.

– Nie jestem pewien co do furgonetki – rzekłem. – Sprawdźmy lepiej, jakie są ograniczenia. Zdaje się, że je zmienili ze względu na połączenie z Heathrow i przebudowę basenu Paddington... i chyba nie wolno tu parkować bez zezwolenia, nawet w niedziele. To dlatego, że wszyscy ludzie przyjeżdżający z lotniska zaczęli zostawiać tu samochody i cała okolica się zatykała. I teraz, wiesz, wszystkich od razu odholowują. Na okrągło. Sprawdźmy lepiej. – Pokręciłem głową. – Naprawdę umawialiśmy się na siódmą?

Zanim Lucy zdążyła się odezwać, obejmując ją jedną ręką, a drugą przytrzymując dżinsy, ruszyłem w stronę pobliskiej lampy i zawieszanej na niej tabliczki informacyjnej. Trzy kroki i drzwi zatrzasnęły się za nami. Zamknęły się na amen.

Staliśmy obok siebie na ulicy, pozbawieni dachu nad głową w ten wczesny niedzielny ranek. Jakże ja siebie beształem. Odcięty od własnego domu! Jakże ja przeklinałem. A z drugiej strony jakże byłem niewzruszony w postanowieniu, żeby nie budzić sąsiadów. Lucy, nie! Tak wcześnie rano? Nie! Nawet jeśli wpuszczą nas do domu, nie jestem pewien, czy zostawiłem otwarte drzwi do mieszkania! A jedyną osobą, która ma zapasowy komplet kluczy, jest Raluch, ale on pracuje jako DJ i wstaje dopiero po południu, nie ma więc mowy, żebym go teraz obudził: pewnie nie wrócił jeszcze nawet do domu! Wszystko załatwię później. Jak wielki entuzjizm ogarnął mnie wtedy, jak spieszno mi było ruszyć w drogę. Hej, Lucy, jedziemy, masz jakiś problem? Wezmę prysznic u ciebie, pożyczę jakieś ciuchy... skoro już tutaj jesteś, możemy od razu zabrać się do roboty. Nie ma co się tutaj kręcić. Jestem gotowy! I na koniec jakże byłem skruszony: Przepraszam, że zapomniałem, Luce, naprawdę. Czasem taki ze mnie kretyn...

Tak więc pięć po siódmej w niedzielę rano, choć wstałem niespełna dziesięć minut wcześniej, byłem już na wpół ubrany i sunałem między zardzewiałymi kołami zębatymi przeznaczenia pod górę, w stronę St John's Wood.

Był to fatalny dzień, naszpikowany potwornościami, z których składają się koszmary. Z pomocą też było cienko. Jak zwykle ani śladu nieuchwytniej siostry Lucy, Belli, z którą dzieliła mieszkanie (i której nigdy nie miałem przyjemności poznać podczas moich skandalicznie rzadkich wizyt) – znowu na urlopie. Według Lucy Bella też chciała „rozpocząć nowy etap” i nie miała zamiaru odnawiać umowy najmu na kolejny rok – chociaż najwyraźniej została sporo w tyle za Lucy w dyscyplinie polowania na nowe lokum. „Bella, do cholery, nie zaczęła nawet szukać, więc Bóg jeden wie, co robi ze swoimi rzeczami, gdy

jutro wróci – prawdopodobnie wyśle je do swojego królewicza”. (Może to moja nadwrażliwa wyobraźnia, ale odniosłem wrażenie, że ostrze tego komentarza wymierzone było nie tylko w faceta Belli, ale i we mnie.) Nie zjawili się też, mogą dodać, liczni znajomi Lucy, o których wspominała. Właściwie w sukurs przyszedł nam jedynie sympatyczny właściciel wynajmowanego przez Lucy mieszkania, jej niedoszły najlepszy przyjaciel, Graham, urzędnik banku handlowego z ambicjami fotograficznymi, którego codzienny mozół na współczesnej Golgocie, jak londyńczycy nazywają City, nawet o milimetr nie uszczuplił gigantycznego wprost samozachwytu. (Uwaga, panie, oto chodzący ideał... i wiecie co? Jest kawalerem! Do tego ma wspaniałe maniery. I taki wysoki.)

Graham – metr osiemdziesiąt siedem, chlubiąc się nikłą, wywołaną alkoholem niedyspozycją – pojawił się tuż po ósmej, przynosząc ze sobą po szybkim telefonie Lucy starą oksfordzką koszulę, spodnie dresowe i sportowe buty. Chociaż wszystko było za duże (jestem szczupły i mam metr osiemdziesiąt), i tak byłem mu wdzięczny. Odniosłem wrażenie, że Graham lubi niepodzielnie królować w swym odzieżowym Hadesie i jego łaskawe dary mogły się okazać dużo gorsze. Nie usprawiedliwiało to bynajmniej ubóstwa jego kupieckiej duszy.

Gdy Lucy podpisywała nalepki, a Graham pakował naczynia stołowe, ja posłusznie wziętem prysznic i przebrałem się, po czym rzuciłem się w wir przeprowadzki, mężnie ignorując toksyczny kataklizm rozgrywający się w mojej głowie.

W tym, co zostało z kuchni, Graham zalewał letnią wodą ciężko doświadczoną przez los torebki z trocinami, a następnie z kwaśną miną podał powstały napar jako „herbatę”. W tym czasie Lucy opracowywała najnowszy plan: ponieważ furgonetka była do dyspozycji tylko do trzynastej,

musieliśmy dopilnować, żeby wszystkie pozostałe meble zostały wywiezione w pierwszej kolejności. Później musiał nam wystarczyć renault Lucy do przewozu różnych drobiazgów oraz pojazd Grahama z

napędem na cztery koła do przewozu większych pudeł.

– Ale obawiam się, Lucy, że jakoś koło trzeciej będę musiał się urwać na spotkanie z kumplami – napomknął Graham, tak szybko okazując wewnętrzne rozdarcie. – Chociaż mogę wrócić późnym popołudniem, jeśli coś jeszcze trzeba będzie przewieźć... i wezmę ze sobą paru kumpli, gdybyś chciała, żebyśmy zajęli się jadalnią.

Lucy uśmiechnęła się.

– Nie, nie trzeba, Graham. Bardzo miło z twojej strony. Ale właściwie zanim pójdziesz, chciałabym, żebyśmy przewieźli jeszcze biurko i ten duży regał. Ojciec zabrał wczoraj łóżko i sofę. Stół i wszystkie krzesła z jadalni są Belli.

– No to powiedz jej, jak jutro wróci, że może do mnie zadzwonić, jeśli będzie potrzebować...

– Wraca bardzo późno, ale przekażę jej, że w razie czego jesteś chętny do pomocy. – Odwróciła się do mnie. – Żyjesz jeszcze, Jasp?

– Tak, nic mi nie jest, dzięki. – Uśmiechnąłem się słabo. Lucy przyłożyła dłoń do mojej głowy.

– Przepraszam... nie smakuje ci herbata?

– Nie. Tak. Może być. Nie przejmuj się mną. Jest tylko trochę... – Odchrząknąłem.

Zrobiła minę do Grahama i powiedziała cicho:

– Jasper ma fioła na punkcie herbaty. Dużo czasu spędza w samotności.

Graham wzruszył litościwie ramionami.

– Cóż, nie ma nic złego w tym, że ktoś ma fioła na jakimś punkcie. To dotyczy wielu ludzi. Trzeba z tym jakoś żyć, to wszystko.

– Święta prawda – przytaknąłem.

Przed dziewiątą zabraliśmy się do roboty: dźwigaliśmy i przesuwaliśmy, zataczaliśmy się i słanialiśmy, pchaliśmy i ciągnęliśmy, podważaliśmy i opuszczaliśmy, kursowaliśmy w górę i w dół, w górę i w dół, w górę i w dół po tych pieprzonych schodach. Czy to możliwe, żeby kobieta miała tyle rzeczy? I po co? Całe drażki ubrań oraz

niezliczone pary butów; ta krnąbrna żółta – toaletka – i kolejne pudła ciuchów (starannie teraz opisane: „trzymać przez dwa lata”, „zima” lub – bardziej irytująco – „nie trzymać”); potem jeszcze regał na książki i następne lustro razem z nieznośnym brązowym kocem, który korzystał z każdej okazji, żeby nawiązać kontakt z podłogą. A potem biurko. To cholerne biurko.

Chwilę oddechu mogliśmy złapać tylko wtedy, gdy przetaczaliśmy się w tę i z powrotem przez miasto w furgonetce, zanurzeni po kolana w kabinowym detrytusie: opakowaniach po chipsach, hamburgerach i czekoladzie pozostawionych przez hojne pokolenia osób, które przed nami amatorsko zajmowały się przeprowadzkami.

Furgonetkę trzeba było oddać i przesiedliśmy się do auta Lucy. Gdy skończyliśmy, była już prawie szósta.

O wpół do siódmej obudziłem się po raz drugi tego dnia.

I po raz drugi runąłem na głowę – bez usprawiedliwienia i ostrzeżenia – w *die Scheisse*.

Przypuszczam, że musiałem przysnąć przy buczeniu małego silnika renówki, gdy ostatni raz odjechaliśmy spod domu matki Lucy w Fulham; przypuszczam też, że gdy Lucy wyłączyła silnik, obudziła mnie nagłą ciszą.

Rzecz jasna już dawno porzuciłem wszelkie myśli o groźbie powrotu do mojego mieszkania i zacząłem po cichu liczyć na noc z Lucy w należącym do jej ojca *pieddterre* w Bloomsbury. (Powinienem dodać, że rodzice Lucy, David i Veronica – wielokrotnie się rozchodzili, ale ostatnio znowu zaczęli mieszkać razem w Fulham, chociaż papa Lucy przezornie nie rozstawał się ze swoją starą kwaterą. Na szczęście oboje wyjechali na weekend do Szkocji – na coś w rodzaju pojedynczej wycieczki połączonej z degustacją whisky – nie widzieli więc różnorodnych cierpień chłopaka córki, gdy ten z oddaniem kuśtykał do ich garażu i z powrotem.) Nie było nic niedorzecznego w tym, że spodziewałem się wylądować w Bloomsbury, ponieważ Lucy w ostatnich

tygodniach koczowała w mieszkaniu ojca, podczas gdy różni agenci nieruchomości marnowali jej czas i oszukiwali ją co do mieszkań, które oglądała, podobały jej się albo myślała, że może kupić. Gdyby przyciśnięto mnie do muru, przyznałbym, że spodziewałem się cucącej wizyty w jakiejś kafejce w ramach preludium przed wieczorem stonowanych pieszczot pod kołdrą w pokoju gościnnym. Ale dalej moje myśli nie sięgały. Byłem zbyt zmęczony, żeby snuć plany. Byłem wykończony.

Wyobraźcie sobie zatem moje przerażenie, gdy otworzyłem znużone oczy, przeciągnąłem się, ospale rozejrzałem dookoła i zdałem sobie sprawę, że Lucy zatrzymała auto przed... moim domem. Tak, z bólem wracam do tego pamięcią, znaleźliśmy się z powrotem przy Bristol Gardens 33. Wróciliśmy do punktu wyjścia w jego pełnej – upartej, wojowniczej, niezaprzeczalnej – krasie.

Mogę się pochwalić jednym: zachowałem kamienną twarz. Ani jeden mięsień nie zdradził mnie swym poruszeniem. W posępnym obliczu klęski ziewnąłem tylko.

– Lucy, chyba zasnąłem. – Przeczekałem kilka uderzeń serca i dodałem, jak gdyby była to sprawa zupełnie mi obojętna: – Ojej, po co nas tu przywiozłaś?

– Żebyś wziął klucze na jutro – odparła. – W przeciwnym razie nie będziesz się mógł dostać do środka, bo wszyscy będą w pracy.

Dostrzegłem dla siebie nikłą szansę – krótki solowy sprint przez ulicę, bimbam dzwonka Ralucha, przywołujący głos z sutereny, szybkie podniesienie kciuka posłane Lucy, błyskawiczne wbiegnięcie po schodach, potajemne zabranie własnych kluczy, ekspresowy rzut oka na ogólny stan lokalu, sprawne zebranie z podłogi ubrań, a potem równie chyże zbiegnięcie do renault, a wtedy Lucy wciśnie gaz i już nas nie będzie... Ale za późno! Drzwi od strony Lucy były już otwarte i do środka wpadało zimne powietrze.

– Nie trzeba – próbowałem zatrzymać ją swym głosem. – Zaraz wrócę.

– Pójdę z tobą – oświadczyła. – Jeśli chcesz zjeść ze mną kolację, musisz się przebrać.

Nie obawiałem się, że zastaniemy Cécile paradującą uwodzicielsko po moim mieszkaniu. Nie – smutna i cierpka prawda była taka, że niezależnie od fizycznej obecności dowodu w postaci *la filie française*, wiedziałem, że zdemaskuje mnie sypialnia. Kieliszki po winie, kolacja, butelki, wszystko na podłodze, kapelusz, cygarniczka, makijaż na poduszkach... o Boże. Wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie. Nie było czasu na sprzątanie i pranie. Nie było czasu na układanie i obmyślanie taktyki. Jedna chwilowa luka w pamięci zupełnie nie w moim stylu i nagle naruszone zostały wszystkie zasady etykiety, a mnie czekało mroczne teteatete z obmierzłymi demonami świętego oburzenia.

Kroczyliśmy więc ku wielkim ciemnym podwojom starej georgiańskiej kamienicy. Stanęliśmy na schodach. Raluch nie odpowiadał. Dobry znak. Niewykluczone, że nie będziemy się jednak mogli do mnie dostać. Istniała nadzieja, że Cécile zatrzęsęła drzwi do mojego mieszkania, a bez moich kluczy utkniemy na korytarzu. Jeśli nie, jeśli Cécile zostawiła uchylone drzwi, mogłem najwyżej liczyć na to, że któryś z sąsiadów (wbrew dotychczasowym zwyczajom) nawiąże tak zajmującą rozmowę, że Lucy przez kilka kluczowych minut zostanie unieruchomiona, a ja wtedy wymknę się na górę i wszystko sprzątnę. Wybrałem więc Leona, wiolonczelistę mieszkającego bezpośrednio pode mną i sąsiada, z którym byłem najbardziej zaprzyjaźniony. W pewnym sensie winien był mi przysługę za to, że wysłuchuję jego rzępolenia.

– Halo, słucham? – W domofonie zabrzmiał jego smętny głos.

– Leon, to ja, Jasper.

– Witaj. Nie możesz się dostać do domu? Przez cały dzień miałeś otwarte drzwi i...

Przerwałem mu.

– Dzięki – powiedziałem, robiąc krok do tyłu. Zabrzączał domofon.

– Chyba tylko mój się popsuł – stwierdziłem, uprzedzając Lucy – i

wygląda na to, że zostawiłem uchylone drzwi, nie będziemy więc potrzebować zapasowych kluczy.

Nie wszystko było jeszcze stracone: z tego, co pamiętałem, po kolacji sprzątnąłem ze stołu i potem żadne z nas – ani Cécile, ani ja – nie wchodziło do salonu. Pokój powinien być – jak mawiają wytrawni szpiedzy – „czysty”. I być może przy odrobinie szczęścia i dobrej organizacji uda mi się zatrzymać w nim Lucy. Wszystko zależało od tego, czy zdołam wejść do mieszkania pierwszy, żeby taktownie zasłonić ciałem różne widoki i niby mimochodem przeprowadzić ją jakoś w bezpieczne miejsce. A wszystko z kolei zależało od tego, czy wysforuję się do przodu, gdy będziemy pokonywać pierwszą kondygnację schodów. I właśnie tego nie udało mi się zrobić.

Gdy otwierałem drzwi, Lucy zdołała wsunąć się przede mną. A gdy już znalazła się z przodu, nic nie mogłem zrobić. Nie mogłem przecież zatrzymać jej siłą. Moje przepychanie się przed nią też nie miało sensu. Mogłem tylko zachowywać się jak najnormalniej i cierpiąc w milczeniu katusze, zanosić modły, żeby Leon wyściubił nos na korytarz, na co po cichu liczyłem.

Wspięliśmy się na pierwszą kondygnację, drugą, trzecią, aż na czwarte piętro. Przed nami widać było uchylone drzwi do mojej mansardy. Z prawej strony – drzwi do mieszkania Leona. Wciąż jednak nie udało mi się jej wyprzedzić.

Wtedy otworzyły się drzwi Leona i pojawił się w nich on: kręcone brązowe włosy, metr siedemdziesiąt osiem, kasztanowa broda i okulary a la Franz Schubert. W ręku trzymał futerał na wiolonczelę. Wyglądał, jakby gdzieś wychodził.

– Cześć, Jasper – rzucił, marszcząc brwi. – Eee... Leon, to jest Lucy. Lucy... Leon. Lucy przystanęła.

– Leon gra na wiolonczeli w kwartecie – ciągnąłem niepotrzebnie – jest świetny.

– Cześć – przywitała się Lucy z uśmiechem.

– Jasper uprzejmie znosi moje wprawki od czasu do czasu – rzekł

Leon.

Ostrożnie minąłem Lucy.

– Dzięki, że nas wpuściłeś – powiedziałem, przybierając weselszy ton, i skinieniem głowy wskazałem moje mieszkanie. – Zszedłem rano i nie zabrałem kluczy. Głupio. Masz dzisiaj coś specjalnego?

– Tylko próbę.

Zależało mi, żeby rozmowa zaczęła się kleić.

– Hej, Leon, a przy okazji, nie zapomniałem, że mamy iść do Lock Theatre, no wiesz, na tę komedię. – Odwróciłem się do Lucy. – Staramy się z Leonem czasem wyskoczyć na drinka, odkąd się tu wprowadziłem... Postanowiliśmy, że wybierzemy się do miejscowego teatru za rogiem. Wystawiają tam coś śmiesznego i podobno...

– Kiedy ma pan następny koncert w Londynie? – zapytała Lucy, chłodno ignorując moje bredzenie.

– W lipcu gramy w Wigmore Hall – kiwnął głową Leon. – Głównie Beethovena. I Haydna.

– Musimy się wybrać.

– Koniecznie.

Próbowałem dyskretnie się oddalić, udając przypadkowe zainteresowanie moim zamkiem – wymówka ta miała być tylko etapem przejściowym przed próbą pognania na złamanie karku schodami na górny poziom mojego mieszkania. Ale konwersacyjny klej między nimi nie był dość mocny, by mogło mi to ująć płazem, i – sprawdzwszy (dość ostentacyjnie w moim przekonaniu) własne klucze – Leon opuścił nas, wymusiwszy kolejną obietnicę, że przyjdziemy na jego koncert.

Przynajmniej teraz byłem z przodu. Znalazłem się na szczycie schodów u siebie cztery stopnie przed Lucy. Naprzeciwko, na drugim końcu holu: moja kuchenka. Jedna lub dwie butelki, ale nic, czego sam nie mógłbym wypić... z czasem.

Dołączyła do mnie. Przesunąłem się nieco, żeby zasłonić jej widok. (Oj, żeby zniżyć się do takiej slapstickowej błazenady.) Postawiła torebkę przy telefonie po swojej lewej stronie. Stałem między nią a

drzwiami do sypialni. Zaczęła odplątywać kabel słuchawek od telefonu komórkowego, który przyczepił się do czegoś, gdy wyjmowała go z torebki. Znów zerknąłem w stronę zlewu.

– Co za dzień! – westchnąłem. – Musisz być wykończona.

Może sobie usiądziesz, Lucy? Pójdę po ciuchy i wskoczę pod prysznic. – Starłem się, żeby w moim głosie nie było słychać zniecierpliwienia. Musiałem koniecznie dotrzeć do sypialni i zamknąć za sobą drzwi.

Lucy podniosła wzrok i uśmiechnęła się. Z dłoni zwisał jej kabel.

– Dobra – zgodziła się – ale chcę cię zaraz widzieć z powrotem. Nie siedź tam godzinami.

Boziu! Dziękuję ci! Zajął się zmienianiem funkcji w swojej komórce, żeby przejrzeć nie odebrane połączenia lub wiadomości. I przeszła do salonu. Czy to możliwe, że z łatwowiernych szczęk porażki uda mi się jakoś wyrwać zwycięski fortel?

Obróciłem się i wpadłem do sypialni.

Wziąłem płytki wdech. Ale naświnione. Nie ma czasu. Jednym zamaszystym ruchem zgarnąłem wszystkie ubrania z pościeli i wepchnąłem je na dno szafy. Potem, skacząc po łóżku, szybko je pościeliłem. Schyliłem się, żeby zebrać wszystkie kieliszki, butelki, te puste i te pełne, i zwalić wszystko na ubrania. Ale w chwili gdy stałem z butelkami w jednym i drugim ręku, z hukiem otworzyły się za mną drzwi.

Miałem tylko czas, żeby się częściowo odwrócić, gdy Lucy znalazła się przy mnie. Dostrzegłem gorące łzy wzbierające w kąciakach jej oczu. Poczulem na twarzy uderzenie otwartą dłonią. Nie był to nawet czysty cios. Wylądował niezdarnie na kości policzkowej. Zatoczyłem się do tyłu i opadłem na łóżko, trzymając wciąż w rękach butelki z żalonymi resztkami francuskiego wina, które zaczęły się rozlewać na irlandzką pościel.

Nim zdążyłem podnieść wzrok, Lucy już się ode mnie odwróciła. Wypadła z pokoju, nie zatrzymując się nawet po to, żeby zatrzaskać za

sobą drzwi. Słuchałem, jak zbiega po schodach, na korytarz, mija drzwi Leona, dociera na parter, rozlega się trzask ciężkich frontowych drzwi. Przez chwilę trwała cisza i przerwał ją dopiero warkot silnika.

Odjechała.

Jakiś czas leżałem nieruchomo.

Wstałem jednak i zciekawiony przeszedłem do salonu. Na stole przy oknie zobaczyłem dwie nie otwarte butelki wina – stały tuż obok planszy do gry w scrabble wciąż pokrytej obrzydliwym kolażem najbardziej ordynarnych słów, jakie można sobie wyobrazić. O butelki wina oparty był liścik.

Jasper!

Klucze są pod poduszką. Kupiłam wino, bo twoje już wy trąbiliśmy. Grzeczna jestem, prawda? Ta twoja dziewczyna to chyba jakaś straszna nudziara – może powinienes jej uświadomić, że niedziele spędza się w łóżku? Wymyśliłam ośmioliterowy wyraz, który możesz dopasować do „c” w „chuj”: co powiesz na „connerie” jak w „faire une”. Dostajesz premię za wykorzystanie wszystkich liter.

Cécile

CZĘŚĆ DRUGA

5. Obojętność

Zabierz mi wszystko, lecz pozwól odejść, Bom jakby sznurem do cię przywiązany, Gdy wierność twoja – dla mnie kajdany.

Nie skłamałem Cécile, mówiąc, że gdy zająłem się Johnem Donne'em, miałem o nim dość blade pojęcie. Jakieś nieprecyzyjne domysły i na wpół zapomniane błędne przeświadczenia – to wszystko. Z ledwością przypominałem sobie najśłynniejsze cytaty: „Śmierci, próżno się pysznisz; cóż, że wszędy słynie/Potęga twa i groza” (VI sonet święty); „...nie posyłaj nikogo, by dowiedział się, komu bije dzwon; bije tobie...” (Medytacja XVII); „Nikt nie jest wyspą...” (Medytacja XVII).

Nigdy jednak nie zadałem sobie trudu, żeby należycie przestudiować jego twórczość. O jego życiu też wiedziałem niewiele – tyle tylko, że żył w tych samych czasach co Szekspir i że dosłużył się godności dziekana katedry Świętego Pawła.

Jednakowoż jednym z wielu plusów pracy kaligrafa jest to, że obcuje z naprawdę wybitnymi mistrzami pióra. I całkiem nieźle poznaje ich dzieła – w sposób może bardziej intuicyjny niż wykładowcy na uczelniach, lecz z pewnością bardziej dogłębny niż przeciętny czytelnik. (W końcu pracuje nad każdą pojedynczą literą.) Podejrzewam, że powstająca wówczas więź przypomina tę, która zadzierzga się między muzykiem a kompozytorem: publiczność uwielbia słuchać danego utworu, profesorowie z lubością analizują go i rozkładają na czynniki pierwsze, ale tylko muzyk naprawdę żyje w obrębie jego dynamicznej energii.

Pragnąc zaspokoić coś, co szybko przeradzało się w autentyczny entuzjizm, pamiętam, że właśnie podczas pracy nad *Obojętnością* (trzecim wierszem, z którym się zmierzyłem, po *Wschodzie słońca* i *Sercu złamanym*) postanowiłem, iż muszę się dowiedzieć czegoś więcej. Przeto dzielnie stawiłem czoło ludzkiej hurmie i wybrałem się na Charing Cross Road z zamiarem zakupienia dobrej biografii.

Dzięki lekturze zdołałem ustalić dwa najważniejsze fakty z życia Donne'a. Po pierwsze, w 1601 w wieku dwudziestu dziewięciu lat wziął potajemnie ślub; po drugie zdradził katolicką religię swych ojców i przyjął święcenia w Kościele anglikańskim.

Jego żona Ann była córką zamożnego ziemianina z Surrey, którą Donne'go poznał, gdy pełnił funkcję sekretarza Lorda Strażnika Wielkiej Pieczęci. Niestety, Donne'go ani swym statusem społecznym, ani pozycją majątkową nie zasługiwał na tak dobrą partię. Co gorsza, przekonał się, że popełnił katastrofalny błąd, gdy o swoim postępku napisał w liście do teścia. Zamiast wybaczenia i łaski, na które w skrytości liczył, spotkało go natychmiastowe odrzucenie i hańba. (Na krótko trafił nawet do więzienia.) Wszelkie szanse na karierę zawodową zostały skutecznie

pogrzebane. Przez następne dwanaście lat z trudem wiązał koniec z końcem, wegetując na marginesie społeczeństwa, w którym przedtem jego awans wydawał się tak pewny. Gdy w końcu został wyświęcony na anglikańskiego pastora w 1615, zdecydował się na ten krok głównie dlatego, że innego sposobu odzyskania godnego zatrudnienia nie znalazł. Niemal natychmiast Jakub I mianował go swoim kapelanem.

I tak dochodzimy do kwestii religii. Donne'go wychował się w pobożnej i znanej katolickiej rodzinie w czasach, kiedy bycie katolikiem nierzadko oznaczało makabryczną śmierć, często na oczach gawiedzi – wypruwanie wnętrzności, wieszanie i tym podobne. Po kądzieli pochodził z rodziny sir Thomasa More'a; jego wuj stanął na czele tajnej jezuickiej misji w Anglii, ale został schwyty i osadzony w Tower, gdy w czasie sztormu próbował zbiec z kraju; z kolei jego młodszego brata aresztowano za ukrywanie księdza – zmarł

w więzieniu, gdy Donne'go miał dwadzieścia jeden lat. Na jego egzystencji ciążyło zatem podwójne brzemie męczeństwa i ultramontańskiej lojalności; przez większą część życia musiał doskonale zdawać sobie sprawę, jakie byłyby konsekwencje pozostania przy katolicyzmie.

Nie bagatelizując tych fundamentalnych kwestii, powinienem przyznać (jeśli mam być szczery), że biograficzne odkrycie, którym John Donne'go zaskarbił sobie moją przychylną najbardziej, było sprawą lżejszego kalibru. W trakcie lektury natrafiłem na relację pewnego dwudziestokilkulatka, przekazaną nam przez sir Richarda Bakera. W tejże relacji czytamy, że po „opuszczeniu Oksfordu [Donne'go], zamieszkawszy w Innes of Court, wiódł życie nie rozpustne, wszelako nader przyjemne; wielki dam admirator, wielki teatru miłośnik, wielki strof zmyślnych twórca”. Rzecz jasna opis ten do mnie przemówił: oto portret seryjnego bałamuta, który „wiódł życie nie rozpustne, wszelako nader przyjemne”. Oto mężczyzna z krwi i kości, pomyślałem.

Wyznaczywszy początek poznawczej pielgrzymki, abstrahując od osobistych emocji, jakie we mnie wzbudził, wiersz *Obojętność* stanowił

również spore wyzwanie natury technicznej. Przy *Wschodzie słońca* i *Sercu złamanym* wzorowałem się na schemacie tekstowym, który zastosowałem w jednym z wcześniej zamówionych sonetów Szekspira – schemacie nawiązującym, nie ukrywam, do prac mojego ulubionego kaligrafa i osobistego bohatera, Jeana Flamela, który na początku piętnastego stulecia był sekretarzem diuka de Berry. Z tym wierszem miałem jednak pewien problem.

Bastarda, pismo, które wybraliśmy z Saulem i Wesleyem do zapisu Donne'a, należy do najbardziej elastycznych; i istnieje tyle reguł dotyczących szczegółowej rotacji i relatywnych wymiarów liter, ile przykładów tej formy. Dobry kaligraf pozna wpierw reguły, później je zignoruje i dokona własnej pomysłowej reinterpretacji. Ale nawet najbardziej genialne reinterpretacje nie zdadzą się na nic, gdy wkraczamy do pogrążonej w bezprawiu krainy poezji. Zignorujemy kłopotliwą kwestię inicjałów; zapomnijmy też o potencjalnych zawłościach szczegółów liternictwa (elementy kursywne czy teksturowe? ligatury? szeryfy i pałeczki?); przyjrzyjmy się w zamian szerszemu zagadnieniu kompozycji. Jak na przykład rozplanować marginesy, odstęp między linijkami i literami, gdy każdy wiersz tekstu ma inną długość? Dobrzy poeci nie bez powodu nadają linijkom konkretny kształt i kaligraf nie ma prawa samowolnie ich dzielić. A jednak jakże często – nawet gdy wiersz jest udatnie spisany – tak duża doza nieregularności wywołuje ogólne estetyczne wrażenie nieładu i przesycenia, odwracając uwagę od samych słów. Przeniesienie jednego utworu na papier jest już dość problematyczne. Natomiast w przypadku całego zbioru kaligrafowanych wierszy sprawa staje się nieskończenie bardziej skomplikowana, gdyż mamy do czynienia z tak wielką różnorodnością długości – a to dwa słowa w linijce, a to znowu trzynaście – a wszystkie trzeba oddać tym samym pismem. Zważcie: w *Pieśniach i sonetach* Donne stosuje czterdzieści sześć różnych form wersyfikacyjnych i zaledwie dwie z nich się powtarzają.

Ujmując sprawę jak najprościej, mój problem z *Obojętnością*

przedstawiał się tak: niektóre linijki były kurewsko długie i nie mieściły się na pieprzonej stronie. Pierwsza strofa brzmi następująco:

Pokocham każdą – byle niewiasta Tę, co kochaniem dusi, i tę, co lodem chłodzi, Tę, co od ludzi stroni, i tę, co ludzi zwodzi, Tę, co jest ze wsi, i tę, co z miasta Tę, co mi wierzy, i tę, co wątpi, Tę, co lez swoich mi nie poskapi, I tę, co progu tez nie przestąpi;

Pokocham wszystkie, każda mi mita, Bodajby tylko wierną nie była.

Odkładając na bok trudności natury praktycznej, można z łatwością odgadnąć, dlaczego *Obojętność* stała się od początku jednym z moich faworytów. Podoba mi się drobiazgowa wyliczanka otwierająca całość, wyczuwa się znużenie narratora, gdy czytamy – „kochaniem dusi”, „lodem chłodzi”, „leż nie poskapi”, „progu leż nie przestąpi”: trudno o trafniejsze określenia.

Podmiotu lirycznego wiersza, rzecz jasna, nie należy całkowicie utożsamiać z samym Donne'em – mamy tu do czynienia częściowo z lekcją pozerstwa, a sam utwór został zainspirowany jedną z *Pieśni miłosnych* Owidiusza. Ale tak między nami, nie jestem wcale pewien, czy chodzi tu wyłącznie o pozę. Chociaż Donnę rzeczywiście odgrywa afektowanego dworzanina, sądzę, że tak naprawdę mówi serio, czym płata nam jeszcze jednego figla:

Zabierz mi wszystko, lecz pozwól odejść, Bom jakby sznurem do cię przywiązany, Gdy wierność twoja – dla mnie kajdany.

Nie chodzi tu jedynie o zabawę lub popisy. W słowach „sznurem do ciebie przywiązany” tkwi pewien ładunek okrucieństwa – tym bardziej że pozornie są one wypowiedziane jakby od niechcenia, takie nonszalanckie zdanie podrzędne wypełniające przestrzeń w drodze do następnego wersu i słowa „Gdy”. (Kaligrafowie uwielbiają wielką literę „G”.) Słowo „przywiązany” można zinterpretować dwojako – w znaczeniu „kochający” lub „spętany” – tak jak sobie tego życzył Donnę. Jest jeszcze żartobliwe (i szydercze zarazem) oburzenie przekleństwem niewieściej wierności. Ale dopiero w trzeciej strofie Donnę wygłasza mój ulubiony fragment.

Gdy zaś ustyszata Wenus moje westchnienia Na skarb swój największy, odmianę, przysięgała, Ze czegoś takiego jeszcze nie styszata;...

Bogini miłości przyznaje, że odmiana jest jej najbardziej rozkosznym aspektem, ale to nie wystarcza Donne'owi; zmusza ją, żeby na nią przysięgła. Gdy jednak czyta się (albo pisze, w rzeczy samej) tę strofę jako całość, można odnieść wrażenie, że kluczowa linijka jest marginalnym wtrąceniem do myśli przewodniej wywodu. Nic jednak u Donne'a nie jest nigdy *en passant*, a te pozornie niewinne przecinki okazały się środkiem, dzięki któremu przemycił centralne

credo całego wiersza: dla Donne'a owa „odmiana” była tym, co w miłości najważniejsze.

I dla mnie też.

Ale jak to wytłumaczyć Lucy?

Głuche telefony zaczęły się nazajutrz po mojej katastrofalnej wpadce i powtarzały się z narastającą częstotliwością przez cały następny tydzień. O przeróżnych porach dnia i nocy – gdy właśnie szykowałem się do naniesienia trudnej nóżki litery „k” lub gdy w końcu zalegałem w łóżku i miałem zamknąć oczy – złośliwy prześladowca nagle ożywał z wrzaskiem. Wściekły dzwonek zaganiał mnie w szalonym pędzie do holu, gdzie rzucałem się na słuchawkę i uciszałem mego dręczyciela aż do następnego ataku, dwie minuty lub siedem i pół godziny później, o 3.36 nad ranem. Lucy nigdy się nie odzywała, ale wiedziałem, że to ona. Nawet się nie pokwapiła, żeby zastrzec sobie numer.

Przez kilka dni mężnie stawiałem opór przeciwnościom – usiłowałem bagatelizować sytuację, obwinałem siebie i po cichu rozumowałem, że skoro tak fatalnie się zbłądziłem, to nieustające nękanie głuchymi telefonami nie jest znowu najgorszą z możliwych kar. Najtrudniejsza w tym wszystkim była konieczność zachowania pogodnego tonu na wypadek, gdyby zadzwonił ktoś inny.

W połowie drugiego tygodnia miałem już dość. Wyłączyłem aparat z gniazdka i chwilowo zawiesiłem wszelkie kontakty ze światem

zewnątrznym. Co innego mogłem zrobić? Próbowałem przemawiać do słuchawki. Próbowałem dzwonić do tej biedaczki. Próbowałem nawet pokonać ją tą samą bronią – siedzieliśmy więc oboje na obu końcach linii, wsłuchując się w nasze oddechy, każde z nas z niezłomnym postanowieniem, że nie odłoży słuchawki, gdy mijały kolejne godziny milczącej nocy. Wszystko na próżno.

Zdawałem sobie sprawę, że Lucy nie zasłużyła na moją głupotę. Doskonale wiedziałem, że tylko kretyn wpakowałby się w tak banalny pasztet. Przez dzień lub dwa zastanawiałem się nawet, czyjej nie odwiedzić w domu matki, oba

wiałem się jednak, że narobię tym więcej szkód, a niczego nie naprawię. Nie – Lucy najwyraźniej nie była zainteresowana rozmową. Nawet służalcze przeprosiny odebrałyby jako coś obrzydliwie fałszywego. Na nic byłyby też próby wyjaśnienia, co ostatnio odkryłem – to mianowicie, że w dużej mierze podzielał stanowisko pewnego targanego sprzecznościami, sybaryckiego poety metafizycznego i tak jak on uważam, że wierność (nie mówiąc już o małżeństwie) najczęściej prowadzi do stanu fizycznego odrętwienia bardzo przypominającego śmierć.

Coś jednak zrobić musiałem. Tak więc w ostatnią sobotę marca usiadłem i skreśliłem do niej krótki list w nadziei, że jego spalenie, podarcie na strzępy, przeżucie lub spuszczenie z wodą w muszli klozetowej może przynieść zbawienne działanie terapeutyczne.

Wybrałem na tę okazję moją najefektowniejszą italikę i spłodziłem parę szatańskich akapitów, w których odmalowałem jak najciemniejszy, ale w miarę wiarygodny obraz siebie, mieszając prawdę i fałsz w taki sposób, by nie można ich było rozróżnić. Oddawszy jej w ten sposób moralną przewagę – tę najmniej malowniczą z ludzkich perspektyw – zasugerowałem jej następnie, w sposób możliwie jak najbardziej ostrożny i delikatny, że byłoby wskazane, aby całkowicie wymazała mnie z pamięci i żyła spokojnie dalej.

Mimo to list mój, przyznaję, był trochę przewrotny. Może

posunąłem się odrobinę za daleko w oczernianiu siebie, żeby wyczuła, że celowo próbuję jej siebie obrzydzić, i w ten sposób dostrzegła we mnie przekorne ziarno dobroci. Zbyt zawile? Możliwe. Z doświadczenia wiedziałem jednak, że niewielu zdobywa się na niszczenie moich listów, i byłem przekonany, że Lucy najprawdopodobniej przeczyta go więcej niż jeden raz, jeśli nie zatrzyma go na zawsze. I być może z czasem zgłębi moje ukryte zamiary.

Pieprzyć to wszystko, pomyślałem, gdy już uporałem się z listem. Zbliżyła się sobotnia noc. Czas przerwać narzuconą sobie banicję i ponownie rzucić się w ramiona nęcącego

świata, czyli odebrać rzeczy z pralni i zrobić zakupy u opastego Hitlera – Roya.

Około czwartej tegoż sobotniego popołudnia z pewną nieśmiałością podłączyłem z powrotem telefon. I zanim zdążył zadzwonić, objuczony popędziłem schodami w dół.

Bez Roya i jego syna, Roya juniora, niechybnie bym szczeł, i jest to prawda, którą obie strony uznają. Prawie wszystko, co zjadam, kupuję u nich. (Supermarkety są już nie do zniesienia – zbyt wielu ludzi zmusza innych do przyglądania się ich prywatności; matki, ojcowie, pary i ludzie samotni, wszyscy epatują swoim wyborem konkretnych produktów, czym niemo sygnalizują swoją wyższość w kolejce do kasy... Że też dumne ludzkie życie upadło tak nisko.) Dla wygody klientów Roy zamyka swój sklep tylko w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia oraz wtedy, gdy nie daje rady dłużej wytrzymać bez snu. Siedemnastoletni Roy junior, szczuplejsza i nieco mniej niepoczytalna wersja Roya seniora, jest jedyną osobą, której pozwala się zastąpić. Chociaż czasem może człowieka zmęczyć wysłuchiwanie, co zdaniem Roya juniora jest niezbędne do „pełnego wypasu”, z tej pary to syn jest osobą, z którą kontakty mniej zatrwają, nie posiada bowiem złowrogiego daru ojca do psychologicznego nękania ani groźnie brzmiących pozostałości akcentu z Yorkshire. W rzeczy samej, nie byłoby wielką przesadą, gdybym powiedział, że między mną a Royem

juniolem zawiązało się coś w rodzaju sąsiedzkiej przyjaźni; w każdej chwili może mi dostarczyć wszystko, czego sobie zażyczę, i służy pomocą (zdzierając ze mnie niebotyczne kwoty), gdy chodzi o wyświadczenie jakiejś drobnej przysługi, na przykład podwiezienie gdzieś samochodem. Co najważniejsze, sama gama i jakość produktów oferowanych przez Royów jest imponująca; i jeśli przypadkiem zdarzy się, że potrzebuję czegoś, czego akurat nie mają, szcycą się niezrównaną umiejętnością sprowadzenia każdego, najbardziej nawet wydumanego produktu w ciągu niespełna dwóch godzin.

– I paczkę orzeszków nerkowca – poprosiłem.

Podniósłszy wypełniony zakupami i gotowy do inspekcji koszyk, stanąłem przy gładkiej drewnianej ladzie z przewieszonym przez ramię praniem.

– Już podaję, panie Jackson. – Roy senior kiwnął głową i obrócił się, by sięgnąć po paczkę z bogatego asortymentu orzechów wyeksponowanych za ladą.

– Co u Roya? – zagadnąłem.

– W tym tygodniu pojechał do Keele. Coś tam organizuj e.

– Ach tak.

Zapadło milczenie. Roy senior pogładził swoje wąsiki i powiedział:

– Wie pan, że znowu podrożały? – Zadyndał mi orzeszkami przed nosem. – Niestety, kosztują teraz pięć... eee... sześćdziesiąt dziewięć. Tak: pięć funtów sześćdziesiąt dziewięć pensów. – Szybko wbił kwotę na kasie i wrzucił orzeszki do jednej z niebieskich plastikowych torebek.

– Czemu? Brakuje ich?

– Nie. Nic z tych rzeczy. – Zaczął przekładać pozostałe artykuły jeden po drugim, powoli i ostrożnie, wbijając cenę każdego z nich palcem wskazującym prawej ręki.

– Globalna zmowa cenowa? – podpowiedziałem, wcale nie tak znowu zainteresowany, zastanawiając się dla zabicia czasu, ile szamponów Brylcreem przechodzi przez ręce Roya w ciągu roku.

Roy senior przerwał to, co robił. Przeniósł spojrzenie z jego

wyszorowanych do czysta dłoni na wyszorowaną do czysta twarz. Przez chwilę wydawało się, że Roy toczy walkę z jakimiś wewnętrznymi demonami. Po czym odwzajemnił moje spojrzenie wyrazem twarzy, który łączył w sobie troskę i frustrację.

– Mówiąc prawdę, panie Jackson – rzekł – sam podnosiłem ich cenę co siedem dni przez ostatnie czternaście tygodni. O dziesięć pensów tygodniowo.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Miałem powiedzieć o tym wcześniej, ale nie chciałem psuć eksperymentu.

– Eksperymentu?

– Tak, mojego eksperymentu, panie Jackson – odparł zadowolony z siebie. Potem, nie spiesząc się, zważył pomidory na elektronicznej wadze. Wprowadził cenę za funt wagi. (Wyświetliło się £1.435 i Roy wbił na kasie £1.43; Roy jest we wszystkim skrupulatny i zawsze zaokrągla w dół do jednego pensa cenę owoców i w górę – warzyw: potwierdzenie, że Anglicy konsumują więcej warzyw niż owoców, co zawsze podejrzewałem, i pożyteczna weryfikacja statusu pomidorów, jeśli takowa jest konieczna.) Zainteresował się wybraną przeze mnie zieloną papryką i na jego twarz wypłynął wyniosły, jak mu się najwyraźniej zdawało, uśmiech, nim powiedział: – Muszę się panu przyznać, że posłużyłem się panem jako królikiem doświadczalnym.

– Aha.

Wstrzymał oddech.

– Jak pan wie, jestem kapitalistą. Do tego sklepikarzem, a od tego zaczynała też sama pani Thatcher...

Chciałem mu przerwać, ale podniósł rękę.

– Jakiś czas temu pomyślałem sobie: czemu nie wypróbować jakiegoś eksperymentu? Czemu nie? Dobrze, pomyślałem, jakie są fakty?

– Właśnie, jakie?

– Po pierwsze: wiem, że pan Jackson co tydzień kupuje orzeszki. Po

drugie: wiem, że mieszka w okolicy. Po trzecie: wiem, że w ogóle nie zwraca uwagi na to, ile co kosztuje. Ten dżem śliwkowy jest najlepszym tego dowodem. – Podniósł słoik i wystukał na kasie cenę: £ 3.99. – Zastanowiłem się i wpadłem na pomysł eksperymentu z podstaw ekonomii. Wymyśliłem, że co tydzień będę podnosił cenę orzeszków dokładnie o dziesięć pensów i w ten sposób dowiem się, ile rzeczywiście są warte. To znaczy, ile są warte dla pana jako dla konsumenta.

Kiwnął głową, wyświetlił sumę i odniosłem wrażenie, że coraz bardziej się nakręca.

– Robię to, jak mówię, już od czternastu tygodni i ciągle nic. Nic, panie Jackson. Nic a nic. Niczego pan nie zauważył. – Jego palec wskazujący uniósł się nad kasę. – Dopiero ja musiałem panu powiedzieć o tych orzeszkach.

– To znaczy, że powinny kosztować dwa funty z czymś? Aja...

– Nie mogę dłużej biernie się przyglądać, jak płaci pan za nie tę astronomiczną cenę, panie Jackson. Koniec eksperymentu. Koniec. Nie mogę już na to patrzeć. Nie tak powinien działać ten system. Powinien pan zauważyć, pójść gdzie indziej, odmówić zakupu. Jako królik doświadczalny jest pan do niczego. Przy cenie pięć funtów sześćdziesiąt dziewięć pensów daje się pan... daje się pan... daje się pan oskubać, panie Jackson. Toż to rozbój w biały dzień.

– Do głowy mi nie przyszło, to znaczy...

– Niech mnie pan posłucha. – Przewiesił się przez ladę i groźnie zniżył głos. – Przez następne kilka tygodni ma pan kupować swoje orzeszki gdzie indziej... ma pan przestać tu po nie przychodzić... ma pan... – Machnął ręką zawstydzony, na skraju załamania, szukając odpowiedniego słowa.

– Wyrzec się orzeszków? – odpowiedziałem życzliwie.

– Właśnie. Właśnie. W ten sposób zgromadzę niepotrzebną nadwyżkę, co zmusi mnie do obniżenia ceny o połowę, żeby pozbyć się zapasów, a wtedy cena wróci mniej więcej do właściwego poziomu i

wypłaczymy się z tej... z tej kabały.

Jeden kosmyk gęstych ciemnych włosów odłączył się od reszty i opadł łukiem na lśniące czoło Roya. Zamaszystym ruchem podał mi nadładą niebieskie torby. Wyszedłem w milczeniu jak skarcone dziecko, a za mną rozległ się dźwięk sklepowego dzwonka.

Na końcu ulicy stało zaparkowane renault. Jakaś kobieta za kierownicą rozmawiała przez komórkę. Serce mi zamarło na myśl, że to może być Lucy.

Mozolnie wspiałem się z powrotem na himalajski szczyt domu pod numerem 33 i zadyszany, z zaciśniętymi zębami i nadwreżonymi mięśniami zdołałem wgramolić się, pokonawszy ostatnie stopnie, do mojego holu. Natychmiast zadzwonił telefon – zupełnie jak gdyby czekał na mój powrót niczym stęskniona psina. Dość wolno postawiłem torby i pranie na podłodze przy wieszaku na kapelusze, a potem zamknąłem oczy i oddychając głęboko, policzyłem do pięciu.

Chwyciłem za słuchawkę.

– NA LITOŚĆ BOSKĄ, LUCY! BARDZO, BARDZO, BARDZO CIĘ PROSZĘ, PRZESTAŃ DZWONIĆ, JEŚLI NIE CHCESZ ZE MNĄ ROZMAWIAĆ. BŁAGAM. CHĘTNIE Z TOBĄ POGADAM, JEŚLI TEGO CHCESZ. MOŻEMY SIĘ GDZIEŚ SPOTKAĆ ALBO PRZYJEDŹ DO MNIE, ALE NA BOGA PRZESTAŃ DZWONIĆ DO MNIE CO DWIE SEKUNDY. NIE...

– Jasper?

– ...WIEM, CO MIAŁBYM... – JASPER. JASPER! Męski głos.

– Co? Co? Przepraszam, kto mówi? – zapytałem.

– Co się dzieje? – William? – Co?

– Czy to ty?

– Oczywiście, że ja. Przestań świrować i mów, co się dzieje. Co ty wyprawiasz ze swoim telefonem? Od półtora tygodnia nie można się do ciebie dodzwonić, a kiedy już podnosisz słuchawkę, nazywasz mnie Lucy.

– Przepraszam, Will, wybacz. Ostatnio sprawy się trochę

pogmatwały. Odbiło jej. Nęka mnie głuchymi telefonami. Właściwie jestem przez nią osaczony.

– W takim razie zrób coś z tym, i to szybko, inaczej ci nieliczni, którzy się jeszcze z tobą przyjaźnią, zrozumieją, jaką jesteś gnidą, i cię oleją. – Pociągnął łyk czegoś. – A więc narobiłeś kaszany i wszystko poszło w rozsypkę?

– Totalnie.

– I przejąłeś się tym?

– Oczywiście, że tak. Wiedziałem wprawdzie, że to nie będzie trwało wiecznie... Ale nie zamierzałem... O Jezu, Lucy praktycznie nakryła mnie w łóżku z tą panią z galerii. Teraz ciągle do mnie wydzwania... Chyba jest w fatalnym stanie. Tym się przejmuję.

– Jaki szlachetny. – Westchnął. – Jezu, Jasper.

– Co ja mogę zrobić?

– Targnij się na życie w telewizji. Przedtem owiń sobie wokół głowy wielki transparent z informacją, jak bardzo

żałujesz, że jest z ciebie taka podła szuja i że przez całe swoje nędzne życie postępowałaś tak niegodnie. Powinno wystarczyć. Daj nam znać, kiedy planujesz wystąpić, żebyśmy włączyli telewizory i obejrzeni sobie. Może przydałaby się jeszcze płonąca opona wokół klatki piersiowej, coś w tym rodzaju, albo...

– William, w czym mogę ci dzisiaj pomóc? Czy jest jeszcze coś równie ważnego, co chciałbyś mi powiedzieć?

– A i owszem. Punktualnie na ósmą masz przytaszczyć swoje zwłoki do „Le Fromage”. Przygotowałem dla ciebie pewną małą niespodziankę. – Zawahał się. – Ale, cóż, możemy zrobić coś innego, jeśli nie...

– W porządku. Gadaj, o co chodzi.

– Naprawdę, nic się stanie, jeśli odłożymy to na kiedy indziej.

Planuję tylko...

– Nic więcej nie da się zrobić, Will. Napisałem list. Mam przejebane; to wszystko.

Młasnął językiem.

– Dobra. Pamiętasz te dwie panienki, na które wpadliśmy tam ostatnim razem?

– Nie.

– Poczucie przyzwoitości kazało im w końcu do mnie oddzwonić i...

– Czyli najpierw ty do nich zadzwoniłeś.

– Nie inaczej. Są gotowe spotkać się z nami dziś wieczorem. I z jakiegoś niewytłumaczalnego dla ludzkości powodu chcą, żebyś ty też się stawił.

– No to nie mam wyjścia. Przypomnij mi łaskawie ich imiona.

– Tara i Babette.

– Czeszki?

– Prawdę mówiąc, znam już ich prawdziwe imiona. Jeśli nie paradują po wybiegach w Paryżu, Mediolanie lub Rangunie, mają na imię Sara i Annette. Zwierzyły mi się.

– O Boże.

Tak William nazywa swój klub: „Le Fromage”. (Pojęcia nie mam, jak brzmi jego prawdziwa nazwa – może „Settee”?) Zlokalizowany w stylowo ponurej uliczce Soho, przez większość dni tygodnia zamulony jest ludzkim detrytusem – wyjałowionymi z wszelkich talentów kobietami i mężczyznami, którzy snują się w półmroku w nie kończącym się poszukiwaniu zanikającego planktonu swych osobowości. W soboty nawet stali klienci omijają to miejsce. Tylko William mógł upaść tak nisko, żeby umówić się tam na randkę.

Tak się jednak szczęśliwie złożyło, że klubu nie nawiedziła żadna gwiazda, która mogłaby zepsuć nam kolację, i sprawy potoczyły się zaskakująco pomyślnie. Na tyle pomyślnie, że całą paczką przenieśliśmy się do domu Williama na kolejne drinki i coś, co upierał się zapowiadać jako „odjazdową nocną imprezkę”.

Później jednak nastąpił impas. I gdybyście przypadkiem zajrzeli do piwnicy winnej starego domu przy Highgate około pierwszej w nocy, ujrzelibyście dwie postacie kucające w klaustrofobicznej pomroce:

pierwsza – niebieskooki, jasnowłosy produkt trzydziestu pokoleń endogamicznych praktyk – tuliłaby butelkę hiszpańskiego sherry, druga ścisłałaby butelkę wina sancerre. Gdybyście się nachylili, usłyszelibyście tę oto ściszoną wymianę zdań.

– Nie możesz ich zmusić, żeby się rozebrały do naga i polały sobie głowy twoim sherry, Will. Nie obchodzi mnie, czy masz go za dużo...

– Ja nie wracam do tego pokoju... żeby tam tak po prostu siedzieć. To jakaś farsa. Chcę, żeby coś się wydarzyło. One chyba są lesbijkami.

– Nie lesbijkami, tylko Czeszkami.

– Na to samo wychodzi. Co się ostatnio dzieje z kobietami? Dlaczego nie mogą po prostu przyznać, że chcą tego samego, i przestać udawać? Po co te wszystkie bezsensowne uniki? Te dwie na górze są gorsze od cholernych Angielek.

– No to je sflaw. Powiedz, że przepraszasz, ale już dawno powinienesz być w łóżku, bo jesteś księdzem, a jutro jest niedziela i musisz iść do roboty. Albo podziękuj im serdecznie za towarzystwo i powiedz, że teraz, gdy się upiłeś, masz

ochotę przespać się ze mną, więc gdyby były tak dobre i już sobie poszły...

– Przestań się zgrywać i wymyśl jakiś plan. A poza tym wcale się nie upiłem. Po prostu nie zamierzam ich puścić teraz, gdy wyłopały tyle mojego wina. One tam wysuszają mi francuskie trunki, a ty co? Masz wszystko w dupie. Chowasz się tylko w tej piwnicy jak jakiś palant.

– Mam ubaw po pachy.

– Jasper, możesz się śmiać do rozpuku, ale ja w ciągu godziny zamierzam przespać się z jedną z tych dziewczyn, i jeśli tak się nie stanie, będziesz za to osobiście pociągnięty do odpowiedzialności. Szybko. Wymyśl coś. Będę siedział cicho, żebyś mógł się skoncentrować.

– Może spróbowałbyś dla odmiany z nimi porozmawiać, zamiast jak jakiś czubek bredzić o przedwojennych samochodach. A przynajmniej

ich posłuchać. Gdzie one mieszkają?

– A skąd mam to, kurwa mać, wiedzieć?

– Jeśli mieszkają osobno, moglibyśmy zamówić dwie taksówki, ale na dwie różne godziny. Udam, że mieszkam blisko Annette, gdziekolwiek to jest, i pojedę z nią pierwszą taryfą. Będiesz miał wtedy pół godziny sam na sam z Sarą i cóż... zobaczysz, co ci się uda zwojować. Jeśli sprawy przybiorą pomyślny obrót, zawsze możesz dać kierowcy dyszkę i kazać mu spadać.

– Twój plan jest do bani. Nie podoba mi się. I nie rozumiem, dlaczego miałbyś odjechać w siną dal z gibką Annette.

– Dlatego, Will, że ją pytałem, i mówi, że strasznie jej się nie podobasz.

Annette i ja całowaliśmy się przez całą drogę do Bristol Gardens, przerywając tylko przy garbach na jezdni. Kierowca, wyjątkowo odrażający typ, żądał uparcie czterech milionów funtów za kurs, a że o tej porze wykluczone były jakiegokolwiek negocjacje, oddałem cały mój ziemski dobytek i niechętnie wyłuskałem ostatnie monety, gdy stało się jasne, że bez napiwku nie odjedzie.

Gdy znaleźliśmy się u mnie, przez godzinę rozmawialiśmy o niczym i popijaliśmy herbatę przy dźwiękach stonowanej muzyki z lokalnej rozgłośni radiowej. Annette była zabawna, opowiedziała mi o swoim domu pod Ostrawą i pierwszym chłopaku, który miał na imię Maks i projektował łodzie podwodne, chociaż trudno znaleźć drugie takie miasto w Europie, które byłoby bardziej odcięte od morza niż Ostrawa. W końcu zapytała, czy może ode mnie pożyczyć Tshirta, znalazłem więc najkrótszą koszulkę, jaką miałem, i (udając niewinność i złośliwe zamiary) położyliśmy się w łóżku, gdzie wprawdzie byłem cały czas czujny i reagowałem błyskawicznie, ale wszystkie ważne decyzje zostawiłem jej. Taki już los współczesnego mężczyzny.

Później spała na dolnej połowie łóżka z rudobrazowymi włosami rozsypanymi szaleńczo na poduszce i pamiętam, że gdy światło powoli stawało się sine, ja leżałem i słuchałem, jak Annette mamrocze coś

przez sen. Po czesku.

6. Przynęta

Zamieszkaj ze mną, moja miłości, Doznamy wtedy szczęścia sytości
Z piasku ztoto, z wody kryształu Wrażen cudownych ztowim sieć całą

Obudził mnie acid jazz świeckiej londyńskiej niedzieli: samochody, autobusy, szczekanie psów, samoloty, szum skrzyżowań, muzyka, siarczyste przekleństwa, syreny, szczęk rusztowań, stukot pociągów z Paddington... Ale oddech Annette był regularny jak fale i do niego dostroilem mój puls.

Oczywiście nie przeczuwałem, co przyniesie ten dzień, i choć duch Lucy wciąż się za mną snuł, z lekkim zawstydzeniem muszę przyznać, że powrót do starych nawyków całkiem mnie uszczęśliwił. Tym większy ze mnie głupiec.

Chociaż wyczuwałem, że z rogalikami jestem na bezpiecznym gruncie, postanowiłem nie przynosić śniadania do sypialni, podejrzewałem bowiem, że to nie w stylu Annette. Natomiast gdy wiedziałem już, że się obudziła, wstałem i zaproponowałem jej herbatę. Rzeczowo i nieśmiało zarazem odpowiedziała, że chętnie się napije – z mlekiem i jedną łyżeczką cukru – ale ponieważ lubi mocną, więc mam zostawić torebkę na dłużej. Pozwoliłem jej ubrać się w samotności i nie spieszyłem się w kuchni, chcąc dać jej trochę czasu i przestrzeni.

Zresztą przygotowanie herbaty nie jest sprawą tak szybką i prostą, jak może się wydawać na pierwszy rzut oka. (*Au sujet de:* Muszę wspomnieć, że moje wojaże po niezwykłym świecie herbat dobiegły końca jakieś dwa lub trzy lata temu, kiedy wreszcie doceniłem królewski splendor Darjeeling. W młodości pracowałem w znoju na wonnych plantacjach Assamu – być może olśniony pewnym brutalnym wdziękiem tej odmiany – lecz gdy miałem około dwudziestu pięciu lat, dałem się uwieść bardziej aromatycznemu towarzystwu przejeżdżającej Rosyjskiej Karawany, wciąż mojej ulubionej mieszanki. W końcu, po dalszych peregrynacjach po Chinach i Cejlonie, oddałem swoje dożywotnie służby prawdziwej królowej. Oczywiście w królestwie

mojej Pani – Darjeeling – pałaców jest wiele, musiało więc minąć kilka miesięcy delikatnych eksperymentów, nim odkryłem, który z nich wybiorę na swoją siedzibę. Ostatecznie zdecydowałem się na Jungpanę, plantację nad plantacjami, i od tamtej pory podawałem tylko pierwsze flesze z górnych stoków – dostępne wyłącznie w doskonałej herbaciarni na Neugasse w Heidelbergu.) Nie, nie, nie – przygotowanie herbaty bynajmniej nie jest ani szybkie, ani proste. Jak z wieloma innymi aspektami życia, stało się w zasadzie formą długotrwałego kamuflażu. Na przykład Annette, spędziwszy w Londynie trzy lata, była, co całkiem zrozumiałe, bardziej zaznajomiona z wyciskaną w kubku torebką o brunatnomulistej zawartości – tą bezimienną miksturą pyłu, piasku i drewnianych wiórów tak uwielbianą przez wybrednych Brytyjczyków – w ogóle nie spodziewała się więc w swojej herbacie choćby śladu prawdziwych herbacianych liści. W związku z tym sprawę musiałem załatwić dyskretnie: porzuciłem właściwą metodę parzenia na rzecz długotrwałego duszenia nieszczęsnej i zhańbionej Jungpany w wodzie, by potem przelać ją z mego ukochanego dzbanka do kubka, do którego (choć łyzy zakreśliły mi się w oczach) dodałem zamówione mleko i cukier. Miałem nadzieję, że dzięki temu Annette nie zauważy niczego podejrzanego i beztroski nastrój poranka nie pryśnie. Posunąłem się nawet do tego, że trochę mleka dolałem też sobie.

Moje wysiłki, byśmy oboje poczuli się bardziej swobodnie, musiały przynieść niezłe rezultaty, gdyż po oddzielnym dokonaniu ablucji, spożyliśmy wspólnie nibyoficjalne śniadanie, podczas którego ona zwracała się do mnie per „panie Jackson”, a ja musiałem nazywać ją „panią Krazcek”. Trwało to jakąś sympatyczną godzinkę, ale potem musiała mnie opuścić; powiedziała, że jest z kimś umówiona (podejrzewałem, że ze swoim chłopakiem) na lunch. Pocałowaliśmy się na szczycie moich schodów – niczym dwoje przyjaciół – i tyle ją widziałem.

Był to jeden z tych poranków, kiedy światło bezustannie się zmienia – jak gdyby w niebie testowano różne przyciski. Kaligrafowie mają

wtedy całkowicie przechłapane. Zwłaszcza ci totalnie wypluci. I tak wróciłem do łóżka.

Dopiero przed drugą, po szturmie na łazienkę i skrupulatnym splądrowaniu kuchni, gdy przechodziłem przez przedpokój (chrupałem akurat gruszkę), zdałem sobie sprawę, że nie dzwoni telefon.

Przez parę sekund po prostu gapiłem się na aparat. W całym tym zamieszaniu zupełnie zapomniałem o problemie z Lucy. Czy to możliwe, że zostałem ocalony?

Nieufnie zbliżyłem się do stolika.

Najpierw sprawdziłem, czy słuchawka jest prawidłowo odłożona. (Była.)

Potem podniosłem ją, żeby sprawdzić, czy jest sygnał. (Był.)

Na koniec wybrałem numer próbny, żeby przekonać się, czy dzwoni. (Dzwonił.)

Alleluja!

I Bogu niech będą dzięki.

Przyznaję: wydawało mi się, że nic mi już nie grozi.

Przede mną rozciągało się miejskie lato: słoneczne okulary, spieczone ciała, seksapil. Ramiona, nie rękawy. Nogi, nie nogawki. Lepsze życie. Taką przynajmniej miałem nadzieję.

Ale perfidny los miał wobec mnie inne zamiary. Tego samego popołudnia zdarzenia przybrały niespodziewany obrót. Mechanizm nakręcony przez Lucy, a puszczone w ruch

przez Cécile zaczynał zachowywać się w sposób, jakiego żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie byłby w stanie przewidzieć. Tegoż popołudnia wszystko się zmieniło – zaniewidziało, pogubiło się, pomieszało, trudno było to wszystko ogarnąć umysłem, przyswoić, trudno było w to nawet uwierzyć. Tegoż popołudnia rozpadłem się na kawałeczki.

Do piętnastej światło się ustabilizowało i zrobiło się całkiem gorąco – pierwszy naprawdę ciepły dzień tego roku. (Zima i lato to nowe światowe supermocarstwa, które gnębią wiosnę i jesień, próbując

zdegradować je do roli marionetkowych państewek.) Przeszedłem do pracowni i z przyjemnością oddałem się memu zajęciu. Uchyliłem lekko okno, wdzięczny za łagodne podmuchy wiatru. Sposobiłem się, pamiętam, do pierwszego szkicu *Powietrza i aniołów* i ośmieliłem się niemal pomyśleć, że chyba jestem szczęśliwy. Nie przeszkadzała mi nawet brzęcząca osa, która wleciała do pokoju na krótką wizytę i szybko zawróciła do rozciągającego się za oknem ogrodu.

Nie jestem pewien, która była godzina, gdy postanowiłem zamienić papier do szkicowania na pergamin z prawdziwej skóry, by zacząć nanosić pierwsze linijki – „Ze dwa lub trzy razy cię kochałem / Nie znając twarzy twojej ni imienia” – ale nie było jeszcze wpół do piątej, raczej bliżej czwartej.

O etycznym, artystycznym i finansowym podziale zawodowych kaligrafów decyduje materiał, na którym lubią pracować. Jeśli chodzi o mnie, uważam, że przy zleceniu tego typu nie ma alternatywy dla pergaminu. Pisanie na nim jest przyjemnością, ale pozwala też najbardziej zbliżyć się do oryginału. Ściśle mówiąc, mistrzowie pokroju Flamela wybraliby welin (z cielęcej skóry), ale prócz tego, że jest koszmarnie drogi (co nie znaczy znowu, że pergamin jest „tani” w jakimkolwiek znaczeniu tego słowa), dla przeciętnego amerykańskiego potentata medialnego, który pragnie zrobić wrażenie na swej nowej ukochanej, wegetariance wodą i zwiędłym szpinakiem karmionej, welin jest nie do przyjęcia. (I chociaż pergamin powstaje z owczej skóry, w jakiś przewrotny sposób okazuje się, że z nim nie ma

takich problemów; może samo słowo wywołuje odpowiedni rezonans kulturowy, który ucisza skrupuły i oczyszcza wszystkich z winy. {Na każdym kroku niekonsekwencja.} A może Gus Wesley jak większość ludzi po prostu nie zdaje sobie sprawy, z czego robi się pergamin.) W każdym razie arkusze welinu, poddawane współczesnej obróbce, robią się zbyt sztywne, zbyt wysuszone lub zbyt tłuste; i nawet pergamin wymaga wielu dodatkowych zabiegów, by przywrócić mu właściwą konsystencję po tych wszystkich środkach chemicznych,

którymi się go faszeruje. (Skóry moczy się w wodzie wapiennej, zeszkrobuje się z nich sierść i rozciąga; potem dodaje się bielidło, znowu się je skrobie i suszy naciągnięte na ramy. W żadnym wypadku nic przyjemnego – ani dla martwych, ani dla żywych.) Jeśli skóra, jak to najczęściej bywa, wciąż jest trochę tłustawa, sumienny kaligraf najpierw powleka całą powierzchnię sproszkowanym pumeksem, potem kredą i wreszcie „jeży włos” papierem ściernym. A po tym wszystkim, gdy wreszcie ułoży arkusz na stole, w ostatnim, pełnym czułości zabiegu przyłoży doń jedwab, by powierzchnia pergaminu wolna była od wszelkich zanieczyszczeń i dobrze chłonęła atrament.

Gdzieś koło czwartej podniosłem się zatem ze stołka, żeby ze sterty przy drzwiach przynieść pergamin. Pamiętam, że gdy przechodziłem z powrotem przez pokój, czułem między palcami jego fakturę. Położyłem arkusz na stole, nie przytwierdzając go jeszcze do blatu, a potem sięgnąłem po pumeks, który trzymam na półce, na lewo od okna. Nie wiem dlaczego, ale akurat wtedy mój wzrok powędrował w stronę ogrodu. I wtedy ujrzałem ją. Wtedy ujrzałem ją.

Najpierw moją uwagę musiały przyciągnąć jej włosy, sięgające do ramion, potargane, bursztynowe – absorbowały światło, zatrzymywały światło, uwodziły światło.

Przez minutę, może dłużej, nie ruszałem się. Stałem z podniesioną w stronę półki ręką i wyciągałem szyję. Ale rama na wpół otwartego okna przysłaniała mi widok, więc bardzo delikatnie pochyliłem się, żeby zwolnić blokadę,

i jak najdalej pchnąłem skrzydło okna. Klęknąłem na stołku i przewiesiłem się przez parapet.

Na trawie, tuż przy cieniu kasztanowca, leżała na brzuchu opromieniona słońcem zjawiskowa kobieta urody tak boskiej, że z powodzeniem mogłaby wywabić z klasztornej samotni każdego zakonnika. Wsparta na łokciach, z lekko podniesionymi łopatkami i z głową w dłoniach, przyobleczona była w niebieskawozieloną bawełnianą sukienkę na ramiączkach. Czytała coś – coś szerokiego i

rozłożonego jak mapa, a nie gazeta lub magazyn – co przycisnęła do ziemi sandałami i brązową papierową torbą. Leniwie poruszała w powietrzu uniesionymi stopami. Nie widziałem jej twarzy, ale jej członki były nagie, ogorzałe od słońca i tak idealnie proporcjonalne w stosunku do reszty ciała, że nawet Michał Anioł musiałby coś zmienić, żeby nie spotkać się z niedowierzaniem oglądających. Uniosła głowę, wypluła coś i odczekała chwilę, nim znów sięgnęła do torby po kolejną czereśnię. Wyglądało na to, że rywalizuje sama z sobą o to, jak daleko jest w stanie wypluć pestkę.

Wyznam, że byłem bez reszty zauroczony: czyste, intensywne pożądanie. Odlot. Atak serca.

Nie potrafię powiedzieć, na jak długo mnie poraziło. W końcu jednak uzmysłowiłem sobie, że mój umysł powoli wypełnia się, ale nie żądzą, lecz strachem. Strachem, że ta nadzwyczajna kobieta obejrzy się i ujawni swe rysy, które nie będą tak nieskazitelne jak na obrazie, który mimowolnie pozwoliłem sobie odmalować w wyobraźni. Lub strachem – dużo gorszym – że obejrzy się i będzie w każdym calu tak piękna, jak sobie wyobraziłem. Jak wtedy miałbym dalej żyć? Jak tu pracować, jak tu spać, jak tu w ogóle wykonywać jakąkolwiek zwykłą czynność, gdy w ogrodzie przed domem koczuje Wenus?

Zaczęło się obłąkańcze czuwanie: nie mogłem odejść od okna; oderwać się od mojego punktu obserwacyjnego i od mojego przeznaczenia – nie potrafiłem. Nie było ucieczki ani wytchnienia. Po prostu musiałem tam klęczeć, zaciskając dłonie, i czekać. Każdy jej ruch był kolejną decydującą o wszystkim próbą, kolejną chwilą, kiedy rzeczywistość

i wyobraźnia, okaleczone i zawodzące, mogły zostać rozdarte i zesłane w oddzielne otchłanie rozpacz. Z bólem patrzyłem, jak splata przed sobą ręce i wspiera na nich brodę – teraz nadejdzie chwila prawdy, myślałem. Z przerażeniem patrzyłem, jak sięga ręką do tyłu, by podciągnąć ramiączko sukienki, które opadło z jej ramienia, sądząc, że będzie musiała się odwrócić. Ze zgrozą patrzyłem, jak podnosi głowę,

by spojrzeć za przelatującym motylem, przekonany, że ruch ten zakłóci geometrię jej spoczynku, skłoni ją do zmiany pozycji i objawi mi moje przeznaczenie. Aż w końcu, w jednej chwili, bez żadnych ceregieli i nie bacząc na swego czujnego wielbiciela, po prostu przewróciła się na wznak.

A ja o mało nie wypadłem przez okno.

Cóż mogę rzec? Że była nieziemsko piękna? Mało powiedziane. Że wyglądała jak kobieta, której mężczyźni nie śmieliby sobie wymarzyć? Że jej czoło było przeurocze, nos prześliczny, a usta precudne? Że miała oblicze anioła? Ze swym licem mogła stopić oba bieguny naraz, wywabić zmarłych z grobów, wywołać wojnę trojańską? Żadne z tych określeń, obawiam się, nie oddałyby tego, co ujrzałem. Wtedy, jak i teraz, żadne z nich nie trafiłyby w samo sedno.

Panie i panowie: laska była z niej nieziemska.

Stonco i księżyc przy twoim blasku
Bledną jak gwiazdy o rannym
brzasku, I choć się pysznią i skrzą na niebie,
Nie chcę ich światła, kiedy
mam Ciebie

Widziałem jej twarz przez zaledwie parę sekund, a potem podniosła sandały, wzięła do rąk mapę i trzymając ją w górze, studiowała ją i jednocześnie zasłaniała się nią przed słońcem. Wtem, jakby ktoś przeciął napięty sznur, wpadłem z powrotem do mojej pracowni i wylądowałem na stołku. Po chwili odłożyłem pióro, delikatnie i z należytych namaszczeniem, i wysunąłem się zza stołu. A potem, jak powiedziałem, rozpadłem się na kawałeczki...

Wyleciałem jak z procy z pracowni, zatrzymując się tylko, żeby złapać klucze ze stołu (nie miałem odwagi wyjrzeć

znowu przez okno) i puściłem się ze spektakularną prędkością schodami (niech je diabli) w dół, by potem popędzić chodnikiem w stronę sklepu Roya. Wtargnąłem do środka jak trąba powietrzna i pustosząc wszystko na swojej drodze, dopadłem do lady.

– Potrzebne mi są najładniejsze pomarańcze, jakie macie. W tej chwili. I jedna limetka... jakieś dwanaście... pomarańczy, dwanaście

pomarańczy... i nie ma czasu, żeby je ważyć, oceń pan na oko, ile ważą, i zapłacę jutro, albo później, wszystko jedno kiedy, może pan jak zwykle doliczyć pięć procent odsetek, gdy wybije północ, za każdym razem, gdy wybije północ, czy co tam wspólnie ustaliliśmy.

– Zaraz, panie Jackson, spokojnie. Oddychamy głęboko. Po co te nerwy? Po co tak się podniecać i od razu mówić o odsetkach?

– Gdzie są te cholerne pomarańcze?

– Tam, gdzie zawsze, panie Jackson, na straganie na zewnątrz. Minął je pan. Jak wszyscy.

Wyszedłem ze sklepu i zacząłem gorączkowo wybierać co ładniejsze sztuki.

Roy wypełnił sobą otwór drzwiowy.

– Znowu nas przypiliło z powodu jakiejś damy, co, panie Jackson? Nie za wcześnie w tym tygodniu na te rzeczy, co? Pomarańcze lubi, co?

– Poważnie mogę je wziąć? Naprawdę nie mogę dłużej zostać.

– Bardzo proszę! Aż przyjemnie patrzeć, jak szybko schodzą. – Zachichotał.

– Dzięki. Wziąłem też dwie limetki.

– Zapiszę.

Pognałem z powrotem chodnikiem, przeciąłem ulicę, przy wielkich czarnych frontowych drzwiach wyszarpałem z kieszeni klucze, popędziłem schodami w górę, w górę, w górę, wpadłem do siebie, do holu, i znowu po schodach, prosto do kuchni, gdzie umyłem ręce i pośpiesznie, w szalonym tempie, zacząłem rozcinać, wyciskać, przelewać, aż dzieło zostało ukończone, limetka dodana, i dzbanek powędrował do zamrażarki.

Zrzuciłem ubranie, ściągnąłem przez głowę bluzę do pracy, strząsnąłem z nóg dzinsy i wtargnąłem do sypialni. Rzuciłem się pod prysznic. Parzyłem i mroziłem, parzyłem i mroziłem moje zszokowane i wzdragające się ciało. Wyskoczyłem. Wytarłem się ręcznikiem niemal do żywego mięsa. Wyciągnąłem moje wierne gatki, padłem w ramiona świeżo upranej i wyprasowanej koszulki z krótkim rękawem w kolorze

pergaminu i wyleciałem z powrotem do holu.

Świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy z odrobiną limetki – idealny napój i niezawodna przepustka do wspólnego popołudnia z damą mego serca.

Jeszcze tylko jeden rzut oka. Przypadłem do okna w pracowni.

Nie ma jej!

O kurwa!

Nie. Zaraz!

Przeniosła się tylko. Przeniosła się tylko! Leżała teraz na ławce niemal bezpośrednio pode mną. Jezusicku. Ale jak długo jeszcze? Przyjrzałem się zdradliwemu niebu. Z zachodu zbliżała się szara grupa operacyjna niszczycielskich chmur.

Tym razem pokonałem schody niczym olimpijski koń z łękami, wykonując zamaszty skok wokół poręczy na każdym zakręcie z przyciśniętym do ramienia plecakiem. Przeleciałem z łoskotem przez frontowe drzwi i – kłapiąc sandałami jak obłąkana foka płetwami po dwunastu wiodących na ulicę kamiennych stopniach – puściłem się pędem w lewo, w stronę ogrodowej bramy.

Która była zamknięta.

Och, niech to diabli. Czy człowiek zawsze musi być skazany na frustrację i niewypowiedzianą złość z powodu zwykłej niesprawiedliwości tego wszystkiego?

Przez długą minutę stałem na Formosa Street jak skołowany turysta z dalekich stron mrugający powiekami w letnim słońcu przed galerią Uffizi – „Zamknięte do końca roku celem przeprowadzenia niezbędnych prac renowacyjnych”. Ogromna, biała, trzymetrowa podwójna brama była nie do sforsowania i szydziła ze mnie, oślepiając błyskami odbijanego od jej

Isniącej powłoki światła. Nie miałem wyjścia. Musiałem przedostać się do innej bramy na drugim końcu ogrodu. Zawróciłem więc tą samą drogą i pognałem dalej pod górę.

I tak wreszcie znalazłem się w rajach, na pozór spokojny, ale z

tlukącym się w klatce mych żeber sercem. Ścieżka, kępa drzew, otwarta przestrzeń, trawa, gałęzie kasztanowca, jeszcze kawałeczek i wreszcie ujrzałem ją. Ujrzałem ją: Wenus na ławce z poduszką.

W odległości pięćdziesięciu kroków celowo zboczyłem na żwirową ścieżkę, żeby zachręściło mi pod butami. Podniosła wzrok i spojrzała w moim kierunku. Przeszedłem na trawę i zacząłem kroczyć w stronę środka dzielącego nas trawnika. Czarny kot lizał białą łapkę.

Świeży sok pomarańczowy, ja pierdziele!

Co, no co, no co ja sobie myślałem? Jaki skończony debil przynosi kobiecie, której nie zna – nie poznał, tylko ją widział, i to z daleka – sok pomarańczowy, o który wcale nie prosiła? Co ja do jasnej cholery wyprawiam? Tutaj ona: niewinna kobieta, zajęta sobą, raczej szczęśliwa, nie mająca najmniejszej ochoty na męskie zaczepki, próbuje czytać, korzystać ze słońca, po prostu żyć. A tu nagle ja... Co we mnie wstąpiło? Na litość boską, facet, weź się postaw na chwilę w jej położeniu i zadaj sobie pytanie, co byś sobie pomyślał, gdyby wolne popołudnie chciał ci skraść jakiś żalony palant, który zjawia się (niby to przypadkiem, nie wiadomo skąd) z termosem świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego i dwiema – dwiema – szklankami w plecaku. Daj spokój, Jackson, wyobraź sobie, jak będzie opisywać ten epizod przyjaciółom – już widzę te twarze zdeformowane niepohamowanym śmiechem – wyobraź sobie, jak będzie zabawiać ich anegdotą o tej pożałowania godnej ofierze losu. Sok pomarańczowy. Czy można wymyślić coś bardziej beznadziejnego? Coś bardziej nienaturalnego?

Zniesmaczone i potwornie wystraszone, moje władze umysłowe pierzchały z miejsca zdarzenia niczym dezercerzy z pola bitwy. Ale nogi niewzruszenie niosły mnie dalej.

W odległości trzydziestu kroków porażka ustąpiła pola katastrofie: moja Wenus – coś nieprawdopodobnego i nieprzewidzianego – zaczęła się podnosić. Najpierw wykonała manewr, dzięki któremu usiadła, a jej precudne kolana niemal się zetknęły, a potem zabrała poduszkę i... najnormalniej w świecie wstała.

Zostało mi dwadzieścia kroków i mogłem już tylko patrzeć dalej w niemym przerażeniu. Nagle ona zaczęła iść w moją stronę. Było to coś potwornego, koszmarnego, zgubnego. Światło zbladło upiornie, wyczuwałem nadchodzący koniec świata. Kroczyła na ukos przez trawnik. Dystans między nami zmniejszał się w dwa razy szybszym tempie.

– Wolna ta ławka? (Ja)

– Tak, bardzo proszę. (Ona)

– Dziękuję. (Ja)

Minęła mnie i został po niej tylko subtelny migdałowy aromat emulsji do opalania, a potem dobiegł mnie jeszcze odgłos jej kroków, gdy dotarła do żwirowej ścieżki. Sześć kroków, siedem, osiem. Znalazłem się przy ławce. Usiadłem. Podniosłem wzrok. Znikła już.

Deski były jeszcze ciepłe.

7. Potrójny głupiec

Gtupim w dwójnasób – wiem o tem, Bo pierwej się zakocham, a zaraz potem Łzy ronię w poezji strofach;

„Wolna ta ławka?”

Wolna ta ławka?

Wolna ta pieprzona ławka?

Naturalnie, że była wolna, mój drogi Jasperze, przecież dziewczyna wstała, zabrała swoje rzeczy i zdecydowanym krokiem oddalała się od niej. Czy można sobie wyobrazić jakieś bardziej jednoznaczne przesłanki?

Mówiłem, że nie jest dobrze. Mówiłem, że rozpadłem się na kawałeczki. Winne są horoskopy. Niedobra czakra. Rodzice. Ona. Wstrząs wywołany widokiem jej twarzy z bliska. Gdyby nie wyglądała... O Jezu, chyba nie mogę dłużej wymigiwać się od obowiązku jej opisanie. Wolę mieć to za sobą. Z bliska posiadała nieskazitelne rysy reklamującej perfumy modelki, ale jeszcze subtelniejsze, bardziej delikatne i bez kanciastosci kogoś, kto ma dobrze wyglądać w dwóch wymiarach. Słońce pozostawiło lekkie

zaczerwienienie na grzbiecie jej ślicznego nosa, a przelotny uśmiech, gdy się pojawił, był jeszcze bardziej olśniewający za sprawą leciuteńko opadającego kącika ust. Wargi – minimalnie rozchylone, gdy się mijaliśmy – nie były ani pełne, ani wąskie, ale tę dolną, zauważyłem, musiała sobie lekko przygryzać. Brwi, podobnie jak włosy, były jasne. Oczy, bystre i opanowane, miały urzekająco orzechowy odcień. Prócz niewiarygodnej wprost urody w liniach tej twarzy było – pamiętam, że tak sobie wtedy pomyślałem – coś prowokującego.

I tak, tak, wiem: też mnie to dołuje. Ale problem w tym, że od tego tragicznego momentu – gdy leżałem na deskach, kręciło mi się w głowie, piekły mnie oczy, z uszu płynęła krew, a sędzia odliczył już do dziewięciu – zawsze domagałem się rewanżowej walki.

Po pierwsze, zadzwoniłem do Williama.

– Ile razy ją widziałeś?

– Trzy – odparłem. – Za pierwszym razem pieprzyłem się z pomarańczami i właściwie spartoliłem...

– Z czym się pieprzyłeś?

– Nieważne. Drugi raz widziałem ją wczoraj, jak szła w stronę metra, gdy wracałem do domu. A teraz – przed chwilą – przez czterdzieści minut była w ogrodzie pod moim domem. Zaczęła się opalać, ale zachmurzyło się i poszła sobie. Czyli trzy razy. Wszystko jedno, słuchaj, możesz wpaść jutro?

– Nie bardzo. Właściwie obiecałem już Nathalie, że zabiorę ją do Goodwood i... – Pustka po uciętym głosie.

– Will, coś przerywa. – Trzaski. – Możesz wpaść? Ja się przez nią wykończę. Nie mogę, do cholery, pracować, bo co dwie sekundy wyglądam przez okno. Nie mogę pójść na zakupy, bo mogę ją spotkać. Albo gorzej: bo mogę jej nie spotkać. Beznadzieja... Muszę się o niej czegoś dowiedzieć. A nie mogę znowu tak po prostu zejść do tego cholernego ogrodu, nie teraz, ja... Znowu coś przerywa. Gdzie ty jesteś? Co to za harmider w tle?

– Jestem w męskim kłocie... w pubie „Crowning Glory”, ściśle

mówiąc, zaraz przy Strandzie. Idę na przyjęcie dobroczynne. A słyszysz akurat wodę, którą ktoś radośnie spuszcza co chwila w jednej z kabin. Chwileczkę. Wyjdę stąd.

Odczekałem trochę i regularny stukot skórzanych pantofli Williama odnalazł się na nowo na londyńskim chodniku.

– Dobra. Idę dalej. Mówię ci, Jasper: odkąd zaczęli zamykać wszystkie publiczne toalety, sytuacja zrobiła się bardzo nieciekawa. Muszę mieć w głowie cały plan miasta

z informacjami, w których pubach w Londynie można się bez problemu odlać, a to się zmienia z każ...

– William. William odchrząknął.

– Sorry, Jasper. Na czym to skończyliśmy? Jakaś *mademoiselle* zjawiła się w twoim ogrodzie i wprowadziła zamęt w twoje bezsensowne życie? O to chodzi?

– Tak, kurwa, właśnie o to. Jestem pewien, że wprowadziła się do jednego z mieszkań naprzeciwko. Była tam suterena na sprzedaż, którą interesowała się Lucy. Musiałem wyperswadować jej ten pomysł. Może tam się wprowadziła. O Boże, co za koszmar jakiś. – Przerwałem. – Will, mówię poważnie, jestem osaczony. Nigdy coś takiego mi się nie przytrafiło pod własnym domem. Nie wiem, czy wytrzymam. Jeśli nie porozmawiam z nią do końca tego tygodnia, będę się musiał wyprowadzić.

– Minęło dopiero parę dni: może zatrzymała się u kogoś. Wyjedzie, zanim się obejrzysz, i będziesz mógł wtedy odsapnąć, zabrać się znów do roboty.

– Nie zatrzymała się i nie wyjedzie.

– Ale nie rozmawiałeś z nią?

– Nie. Właściwie nie.

– No to skąd możesz wiedzieć? Zresztą ten cały stan podniecenia opiera się wyłącznie na fizyczności, na tym, jak ona wygi...

– Nie... Tak. Nie. Will, mówię ci, ona je czereśnie i wypluwa pestki. Ogląda mapy. Ona... To nie jest tak jak wtedy, gdy miałem dwadzieścia

jeden lat. Albo jak w zeszły weekend z Annette, czy coś takiego. To jest coś poważnego. Jest inteligentna. To widać. Powaga. Wyszła do ogrodu z butelką wina i takim poobijanym czerwonym kubelkiem, na litość boską. I zgadnij, co miała w kubelku? Lód. Lód, żeby chłodzić w nim wino. Dasz wiarę?

– Zdumiewające.

– Oj, odwal się. Oczywiście, że chodzi o fizyczność. Rasa ludzka tak już ma. Patrzcie go, świętoszek się znalazł. Cała planeta to jedna wielka fizyczność. Rozejrzyj się, stary. Ona też ma sporo tej fizyczności.

– Jakim cudem nagle potrzebujesz mojej pomocy?

– Bo mieszkam tutaj, więc nie mogę chodzić i rozpytywać. Mogłoby to podejrzenie wyglądać.

– O co rozpytywać? Zwykle nie zawracasz sobie głowy zadawaniem pytań.

– Wiem, wiem, wiem. Ale ona... to całkiem inna sprawa, Will. Wiem, że bredzę, ale mam co do niej jakieś przeczucie. I nie chcę popełnić żadnych błędów. – W słuchawce zaskowyczała syrena przejeżdżającej karetki. Czując nagłe zażenowanie, wziąłem się w garść. – Muszę wiedzieć o niej więcej, zanim ruszę do akcji. Muszę wiedzieć, jak mam się do tego zabrać, zanim... się do tego zabiorę.

Do Williama w końcu zaczynała docierać powaga sytuacji.

– Samotna czy nie, mężatka czy lesba, o to chodzi?

– Coś takiego. Jeszcze jak ma na imię, cokolwiek.

– Boże ty mój! Cóż się stało z romantyczną spontanicznością?

– Mam gdzieś spontaniczność. Dziewczyna jest zbyt atrakcyjna na takie brednie. Spontaniczność jest luksusem tych, którym nie zależy na tym, co się stanie.

– Faktycznie cię wzięło, młody człowieku. Ona jest pewnie odpowiedzią, której szukałeś całe ży... – Nie dopuścił, żebym mu przerwał. – Dobra, dobra, wierzę.

– Możesz przyjechać rano, zanim zamkną agencję nieruchomości? Mam pewien pomysł.

William odetchnął hałaśliwie.

– Postaram się zarezerwować dla ciebie kilka godzin. Potraktuję to jak wizytę u chorego i...

– Świetnie.

– Jasper?

– Tak? Co?

– Nie jestem bynajmniej psychiatrą, ale... gdybyś był zainteresowany moją opinią... wydaje mi się, że mamy tu do czynienia z gwałtownym nawrotem syndromu Jacksona. Bądź świadom tego, że według powszechnie przyjętych kryteriów oceny jesteś psychicznie chory.

Po drugie, wstąpiłem do Roya. Zapłaciłem za pomarańcze i limetki, a potem zapytałem:

– Zrobi pan coś dla mnie?

– Naturalnie, panie Jackson, czego pan sobie życzy? Jeszcze pomarańczy? – Niepokojąco się ożywił. – Aha, dziś po południu mój brat Trevor jedzie z dostawą świeżych ryb do restauracji przy Shirland Road. Jestem pewien, że zgodzi się wpaść po drodze, jeśli reflektowałby pan na szybką płaszczkę. A co pan powie na żabnicę? Wszystko, tylko nie orzeszki, rozumiemy się, panie...

– Nie, nie, dziękuję. Akurat teraz na rybkę nie mam ochoty. Właściwie to moja prośba nie ma nic wspólnego z żywnością. Chcę tylko, żeby kogoś pan dla mnie poobserwował.

– Poobserwował? – Dwie schickelgruberowskie brwi strzeliły w górę.

– No tak. I bez obaw, jakoś się dogadamy co do wynagrodzenia i w ogóle.

Wyglądał na zatrwożonego.

– Nie mogę opuścić sklepu. Wie pan przecież.

– Nie, nie, nie – pospieszyłem z zapewnieniem. – Nie o to mi chodzi. Chcę tylko, żeby miał pan oko na pewną kobietę, która może...

– Pozwoli pan, że mu w tej chwili przerwę, panie Jackson. – Podniósł dłoń i uśmiechnął się znacząco. – Mogę spokojnie powiedzieć,

z ręką na sercu, że o kobietach nie wiem nic. Zupełnie nic. Nie zamierzam też, pozwolę sobie dodać, marnować danego mi przez Boga czasu na Ziemi, który mi jeszcze pozostał, na zgłębianie tego tematu. Nie miałyby to zresztą żadnego sensu, panie Jackson. Jeśli idzie o kobiety, wszelka logika bierze w łeb. Zawsze się dokłada do tego interesu... jeśli wie pan, co mam na myśli. O nie – pogroził mi palcem – mogę się spokojnie panu przyznać, że w całym moim życiu znałem tylko jedną kobietę, moją cudowną małżonkę, a raczej eksmałżonkę, matkę Roya. I odkąd uznała, że bardziej służy jej hiszpański... klimat... przestała mnie interesować, nie licząc sporadycznej wymiany kartek świątecznych. Obawiam się więc, że jeśli szuka pan rady, panie Jackson, trafił pan pod zły adres. Natomiast Roy junior,

muszę powiedzieć, rzeczywiście chyba wie co nieco o kobietach i jestem pewien, że...

– Proszę pozwolić, że teraz ja panu przerwę. Jestem wdzięczny za te słowa, naprawdę, ale trochę się pan zagalopował. Proszę tylko, żeby miał pan na kogoś oko i dał mi znać, czy z kimś tu przychodzi. Z jakimś facetem, znaczy się.

Rozległ się dźwięk dzwonka przy drzwiach. Obróciłem się błyskawicznie. Nowa klientka przeszła za mną w stronę mrozonek w głębi sklepu.

Roy zniżył głos.

– Ach, teraz rozumiem. Naturalnie, panie Jackson. Nie ma żadnego problemu. Mam po prostu ocenić status, że tak powiem, osobisty pewnej młodej damy, która, jak pan przypuszcza, może być moją klientką. No, dla mnie to nic trudnego. Zawsze jestem w stanie stwierdzić, na jakim etapie jest aktualnie dana para, po poziomie zainteresowania zakupami. Na początku guzik ich obchodzi, co jedzą, ale gdy jedzenie zaczyna zastępować wiadomo co, stopniowo poświęcają mu coraz większą uwagę, aż w końcu, po jakimś czasie, oboje mają obsesję na punkcie różnych składników. – Pokręcił posepnie głową. – Kiedy zaczynają pytać o świeże zioła, wiadomo już, że w sypialni zapanował, że tak

powiem, zastój.

Odsunąłem się, żeby dopuścić klientkę do lady. Sześćset litrów coli light, dwie flaszki wina marki wino, dwa litry ostrej wody, cztery kubelki lodów, polewa czekoladowa, sos czekoladowy, pudełko czekoladek, kilka tabliczek czekolady i jeszcze cztery kubelki lodów czekoladowych. Jakies dwadzieścia dwa lata i makijaż, który miał dawać złudzenie, że go nie ma.

Z żalem wzruszyła ramionami.

– Mamy babski wieczór. Pokiwałem głową w zamyśleniu.

– Jestem pod wrażeniem.

Pomyliła mój ton z sarkazmem i pokręciła głową – faceci! – gdy pomagała Royowi wcisnąć zakupy do zbyt rachitycznych niebieskich plastikowych torebek. Przytrzymałem jej drzwi i wróciłem do lady.

Roy konspiracyjnie pochylił się do przodu.

– Więc jak wygląda ta młoda dama, na którą mam mieć oko?

– Ma chyba dwadzieścia kilka lat, metr siedemdziesiąt, siedemdziesiąt dwa, szczupła, włosy raczej jasne, do ramion, jakby w nieładzie, ale to zamierzony efekt. Pozna ją pan: jest strasznie ładna i ma...

– Nogi jak marzenie.

Teraz ja z kolei musiałem zrobić zatrwożoną minę.

– Chciałem powiedzieć, że ma lekko opaloną twarz. Ale rzeczywiście. Tak, jeśli już o tym mowa, nogi też ma niezłe...

Roy pokiwał głową jak znawca.

– Ach, może i nie angażuję się już bezpośrednio w te sprawy, ale to nie znaczy, że nie lubię sobie czasem popatrzeć, panie Jackson. Co to, to nie. Prawdę powiedziawszy, doskonale wiem, o kogo panu chodzi. Co więcej, nie skłamię, jeśli powiem, że widziałem ją wczoraj. Nie zaszła tutaj, nie, ale jadła lunch po drugiej stronie ulicy. Nosi krótkie spodenki i ładne niebieskie sukienki i takie tam... prawda?

– Tak! To ona! Była w „Danilo’s”? Wczoraj?

– Owszem. Widziałem ją kilka razy, teraz sobie przypominam. Ale

wczoraj spędziła tam na pewno parę godzin. Chyba na kogoś czekała, bo co chwila się rozglądała.

Po trzecie, udałem się do Carli.

Jak na krótką ulicę Formosa Street daje do wyboru masę gastronomicznych opcji: włoską kafejkę, włoski bar, włoskie bistro. Nie do końca, możecie wytknąć, pełna dramatycznych kontrastów gama kuchni z różnych stron świata i niezbyt oszałamiające bogactwo etnicznej różnorodności, z której ponoć słynie Londyn. Jednakowoż w ciągu ostatnich paru lat, wierzcie mi, nauczyłem się dostrzegać subtelne różnice między nimi.

Bistro „Danilo’s” jest w pewnym sensie moim drugim domem. Bardzo się zaprzyjaźniłem z właścicielami: z samym Dannym i jego żoną Carla, Madonną Małej Wenecji, którą ubóstwiam i dla której zrobiłbym wszystko. Ciemnowłosa,

pod pięćdziesiątkę, wypukłe kości policzkowe, pogarda w ułożeniu ust, lecz bezgraniczna życzliwość w oczach – matka, której nigdy nie miałem.

– Cześć, Carla.

– Cześć, Jasper. Co słychać?

– W porządku.

Siedziała za kasą, wypalając przedpołudniowego papierosa, i czytała gazetę. Nie było klientów, ale z kuchni dochodziły sporadyczne pbrzękiwania garnków – to Cesare, karłowaty szef kuchni o wielkim nosie, szpetny brat wiecznie zbolątego Roberta, kierownika sali. Poprosiłem Carlę o espresso. Umieściła sitko z kawą w obręczy i uśmiechnęła się z papierosem zwisającym z kącika ust.

Poczekalem, aż kawa będzie gotowa, i przybrałem najbardziej nonszalancki ton, na jaki mogłem się zdobyć.

– Carla, pamiętasz dziewczynę, która była tu wczoraj na lunchu? Miała takie... takie... całkiem jasne włosy?

– No pewnie. – Zrobiła bardzo włoską minę, która wyraża uznanie i pogardę zarazem. – Niezła. Obsługiwałam ją. Powiedziałam wczoraj

Robertowi: Żałuj, że nie miałeś pierwszej zmiany, bo przyszła do nas bardzo piękna dziewczyna. Siedziała półtorej godziny. Chyba na kogoś czekała. Znasz ją?

– Niezupełnie. – Wahałem się przez chwilę. – Carla, słuchaj, jeśli znowu przyjdzie na lunch... sama, dasz mi znać?

– Telefonicznie?

– Tak. – Wypiłem espresso jednym haustem. Roześmiała się.

– Głuptas z ciebie.

– Ale zadzwonisz?

– Tak, oczywiście, jeśli chcesz... chciałbyś się z nią umówić? – Tak.

Cmoknęła z dezaprobatą.

– Danny mówił, że gdy Roberto był chory przed Bożym Narodzeniem, a ty pomagałeś nam w tą straszną sobotę, przyszła potem po ciebie twoja dziewczyna. Długo rozmawiała z Dannym. Bardzo miła Angielka... Lucy, zdaje się, tak? Co się z nią stało?

Wzruszyłem ramionami.

– To nigdy nie było nic poważnego.

– Czyżby?

– Nie było. Niespecjalnie.

– A ta nowa, na którą mam uważać? Uśmiechnąłem się, udając wyluzowanie.

– To poważna sprawa.

– O? Jesteś tego absolutnie pewien?

– Absolutnie.

– Nie jesteś. Nawet z nią nie rozmawiałeś. – Uśmiechały się tylko jej oczy. – Ale może chciałbyś, żeby to było coś poważnego, co? Może teraz, gdy nie jesteś z nikim związany, znowu zatęskniłeś za związkiem. Może już cię zmęczyły *ragazze*.

– Masz tu mój numer, napiszę ci jeszcze raz na wszelki wypadek. – Zapisałem go na bloczku z rachunkami. – Trzymaj to przy telefonie. I błagam, Carla, nie zapomnij.

– Nie zapomnę. Położę sobie na półce, żeby nie zgubić. – Spojrzała

na to, co napisałem. – A twoje wielkie dzieło, jak ci idzie?

– Nie idzie.

– *La bella donna?*

– Widuję ją przez okno. Przychodzi do ogrodu pod moim domem, praktycznie naga.

– Oj... w takim razie musisz zmienić miejsce pracy. Przenieś się do innego pokoju.

Westchnąłem.

– Musiałbym wynieść wszystko z pracowni, Carla, stół, atrament, pióra...

– Im piękniejsza kobieta, Jasper, tym więcej kłopotów. Tak już jest. Takie jest życie. Bóg tak urządził ten świat. Piękna kobieta, duże problemy.

8. Miłosna dieta

Do jakiej niezdarnej pokraczności

I ciężkiej korpulencji miłość ma wzrasta;

Chcąc jej odjąć tej pulchności,

Karmiłem ją lukrecją Dla miłości najbardziej obrzydliwą, By proporcje zachowała – dyskrecją.

Gdy wróciłem do pracy, o płynności nie mogło być mowy, twardo jednak brnąłem do przodu. Narzuciłem sobie nowy reżim. Uwielbiam wprawdzie szare niebo, ale gdy tylko zza chmur wyłaniało się słońce, przełączałem się na tryb wypatrywania Wenus. Po każdym słowie wstawałem i przyklękiwałem na stołku, wychylałem się przez okno i ukradkiem obserwowałem ogród. Po ukończeniu zaś całej linijki pozwalałem sobie na dużo dokładniejszy rekonesans: albo przechodziłem do salonu obok, by zmienić perspektywę i zlustrować każdy metr kwadratowy powierzchni (zwieszałem się przy tym nad parapetem, udając, że przycinam żarłoczną miętę, dopinguję do wzrostu bazylię lub doglądam wiecznie zabiedzonego estragonu); albo zasłaniałem żaluzje w pracowni, stawałem na stołku (który pozwalał mi wspiąć się na pożądaną wysokość) i wyglądałem przez starannie

wyregulowane szparki, żeby przeprowadzić tę samą operację lub (najlepiej) wypatrzeć ją, gdy będzie wychodzić z domu, i ustalić w ten sposób, gdzie dokładnie mieszka. Żeby dać wam pewne wyobrażenie o tym, jak ten *modus operandi* działał w praktyce, wykonanie drugiej i trzeciej linijki *Miłosnej diety*, którą wzięłem na warsztat zaraz po

Powietrzu i aniołach, wyglądało mniej więcej tak: „I” (kontrola) „ciężkiej” (kontrola) „korpulencji” (kontrola) „miłość ma” (dobrze, czasem pewne nierozłączne zbitki przepuszczałem przez bramkę razem) „wzrosła;” (odkładam pióro, przechodzę do salonu, wychylam się przez okno i sprawdzam, sprawdzam, sprawdzam). Wracam do pracowni. „Chcąc” (kontrola) „jej” (kontrola) „odjąć” (kontrola) „tej pulchności,” (dłuższa kontrola, jak przystało na przecinek). I tak dalej.

Nie było to aż tak męczące, jak mogłoby się wydawać. Po pierwsze, zacząłem żyć w rytmie interpunkcji wiersza – szesnastkowa pauza przecinka, ósemkowa średnika, ćwierć – nutowa kropki – a po drugie, zawsze rozpaczliwie starając się dotrzeć do końca następnej linijki, ze zdziwieniem skonstatowałem, że piszę trochę szybciej. A taki rezultat wcale mnie nie martwił.

Nawiasem mówiąc, nie mała w tym zasługa samej *Miłosnej diety*. Jak na wiersz zainspirowany kiepskim kalamburem, robi niesamowite wrażenie. Wystarczy spojrzeć na określenia typu „niezdarna pokraczność” i „ciężka korpulencja” – linijka aż się ugina pod ciężarem tych niezgrabnych słów. (Jaki inny poeta odważyłby się ustawić tak odpychających i przerośniętych wykidajłów na progu miłosnego wiersza?) Zauważcie jednak, jak Donne trzyma je w ryzach i kontroluje, choć pozwala im tak się tłoczyć: zaczyna pierwszy wers od idealnego pentametru jambicznego, darowuje drugiej linijce kilka dodatkowych sylab i zaraz znów mocniej zaciska metrycznego pasa („odejmuje pulchności”), żeby zachować właściwe proporcje samej zwrotki. Tak sumienne pilnowanie rytmu sprawia, że gdy pada ostatnie i najważniejsze słowo – dyskrecja – ma ono optymalny ciężar.

Dyskrecja: dla miłości najbardziej obrzydliwa.

Nie pojawiła się w piątek i gdy William wpadł do mnie w sobotę rano, tak jak go prosiłem, wciąż było pochmurno. Jako agent wywiadu przechodził samego siebie. O odbyliśmy krótką „odprawę” przy późnym śniadaniu w „Danilo’s”, gdzie zapoznał mnie z „materiałem” zebrany podczas przeprowadzonego przezeń śledztwa. (Mniej więcej w tym okresie William spędzał mnóstwo czasu z wieloma mądrymi i szalenie utalentowanymi ludźmi z fascynującego świata biznesu, dzięki czemu jego słownictwo stało się znacznie bardziej subtelne i eleganckie.)

Okazało się, że ten wypierdek o świńskim oddechu, agent nieruchomości z biurem po drugiej stronie ulicy kilka domów dalej (sławetny przywódca niebezpiecznej siatki terrorystycznej pod hasłem „mamy w okolicy sporo świetnych okazji, Lucy”) rzeczywiście niedawno sfinalizował sprzedaż dwóch mieszkań z bezpośrednim dostępem do ogrodu. Oprócz tego usytuowanego naprzeciwko mnie, które próbował wcisnąć Lucy – Blomfield Road 61 – było jeszcze jedno, przy Clifton Villas, na samym końcu.

Uzyskanie potrzebnych nam informacji przyszło Williamowi bez większego trudu – udał, że sam szuka mieszkania z dostępem do mojego ogrodu, ale oczywiście uznał, że dalsze wypytywanie o wygląd nabywców – seksowny czy nie – byłoby niewskazane. Uzbrojony w zdobyte dane, musiał teraz tylko skutecznie krótki spacer pod rzeczony adresy i po prostu zadzwonić domofonem do mieszkań numer pięć z tekstem: „Mam tu paczkę pod dwójkę, ale nikt nie odpowiada, mogę wejść i zostawić ją w środku?”

Przy Clifton Villas o mało nie doszło do wpadki. Gdy William przeszedł przez główne drzwi, w tym momencie z mieszkania w suterenie wyszli lokatorzy – młoda rodzinka. Bardziej owocna była wizyta przy Blomfield Road. W mieszkaniu nikogo nie było, a na podłodze ściełił się dywan z listów. Właścicielka lokalu znana była różnym instytucjom finansowym i zakładom użyteczności publicznej jako p. M.I. Belmont, panna Madeleine Belmont, po prostu M. Belmont, a jakiemuś szczególnie gorliwemu akwizytorowi reklamującemu Klub

Urlopowy – jako Sz. P. M. Belmonte.

Po śniadaniu usiłowałem namówić Willa, żeby poobserwował ze mną ogród, ale się nie zgodził, twierdząc, że potrzebuję pomocy (czym wcale mi nie pomógł) i że musi pojechać

do Goodwood, by odbyć jazdę próbną nowym starym maseratem.

Patrząc wstecz, uświadamiam sobie teraz, że chyba w tym właśnie czasie on i Nathalie zaczęli tworzyć zwierzę o dwu grzbietach. Niewątpliwie dostrzegłem wyraźną zmianę: Will stawał się jakby bardziej oddany – niechybny znak, że doszło do niejednego zbliżenia. (Mężczyźni, choćby i bardzo się starali, nie potrafią w głębi ducha pozbyć się myśli, że seks jest jakąś wielką przysługą, szczególnym darem od kobiet, za który mają obowiązek jakoś im się zrewanżować. Śmiem twierdzić, że istnieje jakaś popieprzona antropologiczna przyczyna tego wszystkiego, ale zauważyłem, że po paru obiecujących okresach wahania, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, panie znów chyba po cichu propagują ideę długu wdzięczności – i to z jeszcze większym entuzjazmem.)

Do sztabu wróciłem więc sam. Oczami wyobraźni widziałem, jak zapalam gołe żarówki, zatraskuję za sobą drzwi, rozwijam mapy i analizuję otrzymane dyspozycje.

Madeleine Belmont.

Wiedziałem, jak się nazywa i gdzie mieszka. Ale to wszystko. O jej sytuacji osobistej nie wiedziałem nic.

Były trzy opcje: mogła albo być mężatką, albo mieć chłopaka, albo żyć samotnie.

Mąż? Musiałem przyznać, że istniała taka możliwość, ale podczas upiornego incydentu przy ławce nie dostrzegłem obrączki, zresztą przegląd jej poczty dokonany przez Willa nie potwierdzał faktu zamążpójścia. Mało prawdopodobne.

Samotna? Szanse na to były, rzecz jasna, tak anorektyczne, że nie próbowałem nawet ich rozważać. Jak wam powie każdy młody facet, wszystkie ładne dziewczyny mają chłopaków albo wyszły za mąż (za

idiotów), a jeśli przyjmujemy, że jest inaczej, to trochę tak, jak gdyby sprzeciwiać się prawom ciążenia. Fakt bycia solistką w jej przypadku wydawał się ewentualnością tak optymistyczną, egzotyczną i nieprawdopodobną, że wolałem już przyjąć z góry, iż jest to zupełnie niemożliwe – nie zatrzasnąjąc sobie jednak całkowicie furki do rozkosznego zaskoczenia, gdyby moje przypuszczenia okazały się nieprawdziwe.

Nie – w sumie jedynym inteligentnym rozwiązaniem było poprowadzenie całej kampanii przy przyjęciu scenariusza z chłopakiem – przynajmniej do czasu, aż ujrzę lub usłyszę jasne dowody świadczące o czym innym. Poza tym zasadnicze pytanie brzmiało: jak blisko są ze sobą związani? Jego nie widziałem, ale to nie musiało oznaczać, że nie mieszkają razem. W końcu mógł po prostu wyjechać. Albo nie wychodził z domu, tocząc boje z krnąbrnymi elementami wyposażenia łazienki. A może mieli oddzielne mieszkania i przemieszkivali na zmianę trochę tu, trochę tam, wcześniej czy później mogłem więc natknąć się na niego na Formosa Street z gazetą pod pachą i mlekiem w ręku, gdy późnym rankiem będzie wracał na kawę i rogaliki przy lekturze zachwyty z recenzji w dodatku kulturalnym...

W każdym razie, jakkolwiek przedstawiałaby się jej sytuacja osobista, do procedury operacyjnej zakładającej istnienie partnera byłem przyzwyczajony najbardziej, nie było więc powodów do obaw. Wręcz przeciwnie: choć osobiście niezmiennie wydawała mi się odrażająca, instytucja partnera życiowego zawsze działała na mnie uspokajająco. Tak oto dochodzimy do Wielkiego Paradoксу, który brzmi jakoś tak: z istnienia partnerów należy się cieszyć, gdyż dzięki nim sprawy stają się mniej, a nie bardziej skomplikowane – ich obecność pozwala profesjonalście w każdej chwili wycofać się z akcji, zostawiając delikwentkę w sytuacji nie gorszej niż przedtem, może nawet jeszcze szczęśliwszą; partnerzy są pożądanymi również dlatego, że z racji swojego statusu mają obowiązek (znów to słowo) realizować oraz dbać o bardziej nużące i prozaiczne aspekty związku, zapewniając rywalowi

ogromną przewagę; wreszcie partnerzy są pożądani dlatego, że stanowią najbardziej oczywiste potwierdzenie faktu, iż delikwentka nie chce jeszcze wychodzić za mąż, jest zatem – choćby w nieznacznym stopniu – otwarta na innych.

Istnieje oczywiście jeszcze jedna możliwość: że kobieta nie widzi w swym dorosłym życiu miejsca na małżeństwo – w końcu trochę się oddaliliśmy od świata tak genialnie wyszydzonego przez wielką Jane Austen. Z drugiej strony

można (i należy) stwierdzić, że nawet w dzisiejszych czasach jest bardzo niewiele tak myślących kobiet (i mężczyzn) przed czterdziestką. W skrytości ducha wszystkie marzą o wypłynięciu w morze „w zgrabnej łódce groszkowozielonej”; i nawet jeśli dana kobieta jest zdeklarowaną, twardą, niewzruszoną zwolenniczką stanu wolnego, istnieje prawdopodobieństwo (no, jeśli nie jest lesbijką), że chce poznawać nowych interesujących mężczyzn, ponieważ większość kobiet (znów, tak jak mężczyzn) nie chce ograniczać się do kontaktów z własną płcią.

Wziąłem głęboki wdech i postukałem wyimaginowaną pałeczką o wyimaginowaną mapę. Pozostało jeszcze do rozwiązania kilka ważnych kwestii logistycznych. Po pierwsze: jeśli miałem poświęcić tej kobiecie całą uwagę, na którą, jak sądziłem, zasługiwała, musiałem zabezpieczyć wszystkie inne fronty – po rozpoczęciu bitwy nie mogłem się rozpraszać. A po drugie: musiałem odzyskać kontrolę nad absolutnie wszystkim na świecie, począwszy od własnego umysłu, a skończywszy na pogodzie. Co do pierwszej kwestii: cóż, Lucy miałem z głowy; wiedziałem natomiast, że ani Cécile, ani Annette nie skontaktują się ze mną, jeśli ja nie zrobię tego pierwszy – bez trudu się powstrzymam; zostawała więc tylko... Selina.

Macie absolutną rację: o Selinie jeszcze nie wspominałem. Ale zanim wszyscy zaczną przewracać oczami i popadać w święte oburzenie moim prowadzeniem się, istnieją (właściwie) pewne powody, dla których do tej pory siedziałem cicho. Oprócz tego, że Selina jest mężatką i obowiązuje nas niepisana umowa o dyskrecji, umawiałem się

z nią (właściwie) tylko wtedy, gdy do mnie dzwoniła. I zwykle na najwyżej trzy godzinki w porze lunchu. Poza tym nie odzywała się od moich urodzin, więc na razie nie było sensu wywlekać całej sprawy. Bez przesady.

Muszę powiedzieć, że wcale nie miałem ochoty się z nią rozstawać. Jednostronne decyzje o zerwaniu są zawsze trudne dla faceta, nawet jeśli porzucana kobieta ma męża i dwójkę dzieci. Zwłaszcza jeśli ma już męża i dwójkę dzieci. Rozkręcanie flirtu – jasne – do tego nikt nie nadaje się bardziej niż przeciętny mężczyzna, ale gdy przychodzi do podjęcia samodzielnej decyzji o zwinięciu żagli raz na zawsze, wówczas rzeczywiście przydałaby się kobieca siła. Trzeba całkowicie przekonać samego siebie, że należy definitywnie urwać kontakty – żadnych „ale”, żadnych „Jeśli”, żadnych „zobaczymy”. Trzeba być przygotowanym na odrzucenie wszystkich propozycji ze wszystkich możliwych stron: „Nie, mówię serio; nie chcę dłużej tego ciągnąć; robimy źle; to nie ma sensu; przemyślałem sprawę i to naprawdę nie ma sensu na dłuższą metę; nie ma żadnych powodów, po prostu tak czuję; uważam, że nie powinniśmy się spotykać przez kilka lat; właściwie to uważam, że w ogóle nie powinniśmy się spotykać, już nigdy...” Do tego musisz się upewnić, że gdy w długie samotne wieczory pewnej złotej jesieni nawiedzą cię uwodzicielskie duchy nostalgii, nie ulegniesz pokusie. Innymi słowy, musisz być nie tylko twardy i niewzruszony jak zmarznięta skała, ale (i muszą ci się spodobać te pokrętne kombinacje) twardy i niewzruszony, żeby na dłuższą metę okazać się łagodnym i dobrym. Twardy i niewzruszony, ponieważ wejrzałeś w przyszłość głębiej, dalej, i przyjdzie taki dzień, kiedy zalana teraz łzami partnerka będzie ci dziękować za twój altruizm. Tylko w ten sposób, przyjmując kobiecą postawę – stalowy dziób, żelazne nerwy i twarde jaja – można mieć absolutną pewność, że zabije się związek na śmierć.

Nie można natomiast rozpoczynać rozmowy, po cichu licząc na to, że istnieje jakiś sposób, byście mogli czasem ze sobą sypiać – ad hoc, w chwili nagłej cielesnej potrzeby. Nie można też zadzwonić po paru

dniach i uciąć sobie miłej pogawędki z myślą, że za trzy dni znowu się zadzwoni i powie: „A może spotkamy się jeszcze ten jeden ostatni raz?” Tego typu podejście – choć faworyzowane przez mężczyzn na całym świecie – jest całkowicie bezsensowne, gdy trzeba na dobre zatrzaskać drzwi. Zerwanie z kimś przypomina rzucenie palenia; albo się rzuca definitywnie, albo w ogóle; w książkach wypisują bzdury: stopniowe ograniczanie palenia nic nie daje.

Świadom tego wszystkiego, ze szczyptą smutku w sercu skierowałem kroki ku Sloane Square, sunąc na spotkanie pod smętnie siąpiącym nieboskłonem.

Selina pracuje w reklamie i zupełnie nie ma gustu (oczywiście nie dotyczy to wyboru kochanków...) Na nasze popołudniowe schadzki wybierała zawsze to samo miejsce, „Felix G’s”, dobrze prosperującą restaurację przy King[^] Road, słynącą zarówno z architektonicznego barbarzyństwa fasady, jak i tragicznego bezguścia licznej parszywej klienteli. (Za frontonem z błyszczącej stali i barwionego szkła, z twarzami wygładzonymi za pomocą chirurgicznego skalpela, wędzące uciekiniarki ze złych i minionych dziesięcioleci sączą szampana i rozprawiają o alimentach, podczas gdy spieczeni w solarium mężczyźni podporządkowują wszelkie zasady konwersacji jednemu celowi – autoreklamie.) Tym razem jednak to ja zaproponowałem spotkanie w tym miejscu. I muszę przyznać, że gdy ja i moje liczne odbicia czekaliśmy w lustrzanym portalu recepcji, przepełniała nas melancholijna sympatia do Felixa i jego nadskakującego personelu.

W końcu główny kelner w swej wielkoduszności przekazał mi wiadomość, że Selina już przysłała, zmieniła stół i teraz siedzi na górze w rogu, w głębi sali. Wspiąłem się na piętro.

Nosiła ciemne okulary podniesione do góry, nad czoło. Obok niej, w jakimś ultranowoczesnym foteliku, siedziało chucherkowate dziecię z postrzępionymi rudymi puklami, które wyglądały, jak gdyby jakiś dziwny gatunek ufoludków przypalał je co noc w sobie tylko znanym celu. Dziecię uśmiechnęło się do mnie, a potem wetknęło sobie palec do

ucha. Oszacowałem, że może mieć od roku do dwóch lat. Usiadłem.

– Kto to? – zapytałem.

Ryży chwycił patyczek z oliwką i podetknął mi ją, trzymając patyczek niepewnie w dwóch palcach.

– Patrick. – Selina wyrwała mu zaostzony patyczek i sama zjadła oliwkę.

– Bardzo urodziwy – oceniłem.

– Pracuję cztery dni w tygodniu, więc w poniedziałki wszędzie go ze sobą zabieram. – Wzruszyła ramionami, jak gdyby chciała powiedzieć: Przykro mi, ale złamałeś zasady, zadzwoniłeś do mnie, czego nie wolno ci robić, zresztą jestem w końcu matką, prawda? – Chcesz coś do picia?

– A ty co pijesz?

– Wodę mineralną. Z cytryną. Jestem samochodem.

– No to ja wezmę krwawą Mary.

Kelner przydryfował do nas niczym wyciek ropy z tankowca do plaży. Ryży skorzystał z okazji, złapał garść oliwek i cisnął nimi o podłogę. Selina zamówiła mi drinka i jeszcze jeden soczek dla swojego rozbestwionego oseska.

Spacyfikowała ryżego.

– No więc, dlaczego zadzwoniłeś?

– Przepraszam. Nic się nie stało?

– Na komórkę możesz dzwonić, byle nie za często.

– Dobrze.

– Świetnie wyglądasz.

– Ty też.

Przez chwilę paplaliśmy o niczym. Prawdę mówiąc, Selina wyglądała na zmęczoną. Przeczyły temu jej włosy – całe w pasemkach i wymodelowane niczym idealna kwintesencja najnowszego hollywoodzkiego trendu nawiązującego do lat trzydziestych – lecz wokół jej oczu rysowały się cieniutkie zmarszczki. A jednak narzucało mi się podejrzenie, że Selinie na swój sposób całkiem się podoba ten jej spracowany, acz wciąż seksowny wizerunek – kobiety żyjącej w stresie,

zasypanej obowiązkami, matki, szefowej, współpracownicy, żony, członkini zarządu, córki. W głębi duszy wiedziała, że w roli „zaganianej, ale zalotnej”, „młodej matki dwojga dzieci” „wyhacz mnie, jeśli się odważysz”, jest najlepsza. Niewątpliwie trochę się martwiła swoimi trzydziestoma sześcioma wiosnami i dodatkowymi kilogramami, które zostały po ciężach (nie musiała ich zresztą zrzucić, bo z nimi wyglądała dużo lepiej), wiedziała też jednak w głębi serca, że jej życie jest dokładnie takie, jakie sobie wymarzyła. Przepuszczalnie przewidziała miejsce dla kochanka, gdy tylko była na tyle duża, by zacząć myśleć o mężu.

Musiałem się opamiętać. Pod wpływem niezdyscyplinowanych myśli „stanowczość barwę przyrodzoną traci”*, jak rzekł Hamlet. Wiedziałem, że jeśli nie będę uważał, wylądujemy w cholernym pokoju hotelowym, i sam Patrick temu nie przeszkodzi. Podjąłem decyzję.

– Selina, posłuchaj mnie, nie przyszedłem tu na lunch. Zmarszczyła brwi.

– Nie?

– Nie, przyszedłem, żeby ci powiedzieć... – Spojrzałem na ryżego. Ile rozumie jednolatek? – że... że musimy przestać. Się spotykać.

Zrobiła pogardliwą minę. Nadeszły napoje. Czekaliśmy skrepowani, aż kelner odejdzie, ale on też czekał. Selina zwróciła się do niego głosem kobiety interesu:

– Na razie dziękujemy. Da nam pan dziesięć minut? Pociągnąłem łyk krwawej Mary. Rozczarowanie. Czy niczego na świecie nie da się już porządnie zrobić?

– Myślałam, że lubisz się ze mną spotykać...

– Bo lubię – zapewniłem ją. – I to bardzo.

– No to nie rozumiem. – Podniosła swoją latorośl z wysokiego fotelika.

– Nie wiem, ile to już trwa, Selino, ale...

– Trzy lata – wciąła się. – Z przerwami. Wydobyłem ze swojej szklanki kawałek apatycznego selera.

– I zawsze cieszyłem się na te nasze spotkania. Mówię szczerze. Naprawdę.

Wiedziała, że nie kłamię.

– A więc w czym problem? Przecież nie musisz się angażować, nie proszę o to.

Podrzuciła rzyżym na kolanie, jak gdyby podświadomie podkreślała w ten sposób swoją wypowiedź.

– Wiem o tym.

– Przypuszczam też, że religia nie ma z tym nic wspólnego. – Uśmiechnęła się.

Odwzajemniłem jej uśmiech.

* Przeł. Jerzy Pietrkiewicz

– Gdyby moja religia miała z tym coś wspólnego, prosiłbym cię o częstsze spotkania.

– Ale nie chcesz... żebyśmy się spotykali. W przyszłości.

– Owszem.

Wciągnęła głębiej powietrze.

– Doskonale. Twoja decyzja. – Chwila zranionej dumy, a potem zmiana taktyki, okazanie troski: przebiegły fortel starszej kobiety. – Wszystko w porządku? Coś się stało?

Ryży rozdziawił buzię, wywalił język i pozwalał ciec ślinie. Znienawidziłem się za to, co miałem jej powiedzieć.

– Tak. W pewnym sensie. Coś się stało. Widuję się z kimś, to... coś poważnego... i chcę być wierny... – Boże mój, co za przedwczesne i kuszące los kłamstwa. Podziały jednak.

– Ach, rozumiem. Trzeba było od razu powiedzieć. Więc zagarnęła cię całego? Kiwnąłem głową.

– Nie sądziłam, że do tego dojdzie. Myślałam, że kto jak kto, ale ty jesteś pewniakiem. – Wciąż zachowywała się zalotnie, ale tylko z przyzwyczajenia. Wola walki znikła. Pozostały jej tylko próby protekcyjnego traktowania młodszej kobiety, której oczywiście żadne z nas jeszcze nie poznało.

– Przypuszczam, że jest nadzwyczaj mądra i piękna. – Oj, tak.

Przez całą drogę do domu byłem zdołowany. Wyrzeczenie się kogoś to paskudna sprawa. Zwłaszcza w mieście. Zwłaszcza w Londynie, gdzie powszednie życie serwuje się zimne i surowe wśród tyłu obcych twarzy. Krzywdę wyrządzają nam oczywiście hollywoodzkie bajeczki o wiecznie niedojrzałych, egzaltowanych kobietach i mężczyznach. Choć większość z nas pamięta, że w prawdziwym życiu od kul i w wypadkach samochodowych się umiera, mit romansu jakoś do nas przemawia, zapominamy, że to tylko fikcja. Zanikająca prawda jest jednak taka, że mężczyzna może okazać sympatię kobiecie w ten specyficzny sposób – w jakiejś popołudnie, być może, albo wieczorem po kolacji raz na jakiś czas. A kobieta też może okazać sympatię mężczyźnie – od czasu do czasu, w jakiejś konkretnej scenografii, w jakiejś konkretnej roli. Nie muszą wcale paść obietnice o wieczności lub niewykonalne zobowiązania wykraczające poza daną chwilę – jest tylko potężne „tu i teraz” przyjaźni, której za cichą zgodą obu stron towarzyszy pożądanie. I nie musi to być miłość, nie musi to być „na zawsze”, ale tych dwoje mimo wszystko okazuje sobie sympatię i nie liczy się nic innego.

Zerwanie z Seliną było cholernie trudne.

Ale trzeba było to zrobić.

Gdy wróciłem do domu, sprawdziłem pogodę i próbowałem rozweselić się zabawnym koncertem na cztery klawesyny Bacha.

Meteorolodzy zapowiadali falę upałów. Kilka dni niespotykanego gorąca, a potem biblijne ulewy. Przeszedłem do pracowni i wyjrzałem przez okno. Nie było jej. Carla nie dzwoniła przez cały weekend. Roy też się nie odezwał. Przyjrzałem się efektom mojej pracy na stole. *Miłosna dieta* nie była jeszcze ukończona. Przeczytałem znów pierwszą zwrotkę i jeszcze raz zatrzymałem się na słowie „dyskrecja”.

Doskonale, pomyślałem, zostanę uczniem mistrza: okres wstrzemięźliwości, wyciszenia, samokontroli, z dala od okien pokuszenia i pożądania. Przebrałem się w strój do pracy i zacząłem powoli przenosić stół, kałamarze i wszystkie pióra do sypialni. Na jakiś

czas oddałem ogród we władanie Wenus.

CZEŚĆ TRZECIA

9. Wilgotne tchnienie

Jeśli wiktoria pełna nad męskim plemieniem
Ma być radości źródłem, marzeń twych spełnieniem,
Uporaj się pierwiej z Pogardy bestyją
A potem z Honorem – niech i jego ubiją,
Niech nadjadą twoi woje
Niechaj palą kronik zwoje
O tym, jak drwiłaś z męskiej czeredy,
I bez tej przewagi zabij mnie wtedy.

Deszcz padał w ostatnim z moich snów. Kiedy się zbudziłem, powietrze było chłodniejsze. Leżałem przez chwilę i wsłuchiwałem się w rozgłośnie bębnienie, aż wreszcie wiedziony ciekawością wstałem i podszedłem do okna. Woda lała się z niebios, rozpryskując się obficie na dachach domów naprzeciwko, i spływała wartkim strumieniem dachówkowymi dolinami do rynien. Otworzyłem okno i wystawiłem głowę na zewnątrz.

Pięciodniowy pobyt w skwarnej pustelni dobiegł końca. Odłączywszy ponownie telefon, od spotkania z Seliną tylko i wyłącznie pracowałem. I ani na chwilę – przez te wszystkie upalne słoneczne godziny – nie podszedłem do okien wychodzących na ogród.

Skierowałem kroki do holu i zakradłem się do pracowni. Bez stołu i stołka pokój wydawał się opustoszały. Dziękując w duchu za deszcz, podniosłem żaluzje i długo przypatrywałem się ogrodowi. Wokół pustej ławki tworzyły się płytkie, błotniste kałuże.

Nie chcę was wprowadzać w błąd: poza powrotem do właściwego

miejsca pracy nie miałem żadnych sprecyzowanych planów. Podejrzywałem, że prędzej czy później Wenus się zjawi albo zadzwoni Carla i zastanę ją w „Danilo’s”. Tak czy inaczej czułem, że kwarantanna dobrze mi zrobiła. Odzyskałem część mojego dawnego opanowania, które jakże było mi teraz potrzebne, i mogłem czekać na odpowiedni moment. Stara i sprawdzona zasada mówi: przy zdobywaniu kobiety należy okazać determinację, nigdy niecierpliwość.

Popijając herbatę, czytałem w wannie Donne’a. Przypominam sobie, że wtedy zaczynałem pracę nad *Zjawą*: „Gdy mnie uśmiercisz wzgardy swej nożem...” Ale dość naiwnie, też z uwagi na pluchę za oknem, postanowiłem przeczytać raczej *Wilgotne tchnienie*. Zauważyłem, że oba utwory – dość osobliwie – wykorzystują jako punkt wyjściowy motyw śmierci narratora. Ten zbieg okoliczności potwierdził tylko to, co zaczynałem podejrzewać: że *Pieśni i sonety* najlepiej potraktować jako zbiór wzajemnie komentujących się wierszy, trochę jak gdyby słuchało się tematu muzycznego i jego wariacji. Tematem Donne’a jest sama miłość (początkowa aria, do której utwór ciągle powraca), w wariacjach zaś przechodzimy od najczystszej więzi dusz i równości płci do nie skrywanej pogardy; od jednego z wierszy pod tytułem *Pieśń* („Opuszczam Ciebie, miła, / Lecz nie z tej przyczyny, / Żeś mi się znudziła...”) do innego o takim samym tytule („Powiesz przecie, / By kobiecie / Nie dowierzać za nic w świecie...”). Każda z wariacji rzecz jasna może doskonale funkcjonować samodzielnie, ale dopiero zebrane razem wszystkie tony osiągają właściwy rezonans.

Na pierwszy rzut oka *Wilgotne tchnienie* wydawało mi się szczególnie frywolne w obliczu tak poważnego tematu jak śmierć. I w pewnym sensie miałem rację: wiersz powstał dla rozrywki i zabawy. Teraz jednak uważam go za nadzwyczaj kunsztowny majstersztyk – choćby dlatego, że Donne’owi udaje się jakoś przejść od zimnego trupa mężczyzny (ułożonego na stole w kostnicy i rozcinanego podczas sekcji zwłok) do aluzji do nagiego ciała kobiety (również leżącego, ale w łóżku i całkiem żywego), wszystko to zaś w dwudziestu czterech

krótkich linijkach.

Tytuł odnosi się do czegoś w rodzaju trującej mgiełki, która podnosi się w pierwszej strofie podczas jednej z najbardziej niezapomnianych „scen” Donne’a. (Związek z deszczem jak cholera, ale skąd miałem wiedzieć?) Zmarły kochanek ma być poddany sekcji zwłok, żeby zaspokoić ciekawość jego przyjaciół, którzy nie mogą zrozumieć, co go zabiło. Medycy rozcinają zatem nieboszczyka i po kolei oglądają każdy narząd, aż w końcu znajdują portret dręczycielki kochanka w jego sercu. Z owego portretu unosi się „wilgotne tchnienie miłości”, którego niebezpieczny urok może podziałać na zmysły zebranych podczas autopsji i zamienić pojedyncze morderstwo w ogólną masakrę.

Tego typu makabreska jest charakterystyczna: Donne, kiedy chce, potrafi stworzyć nastrój grozy, a w kostnicy (jak często bywa w tym gatunku) czai się chore, kiczowate poczucie humoru. Chęć zamiany miłości z czegoś upajającego w zwykłą truciznę naturalnie jest – z czasem zdałem sobie z tego sprawę – typowa dla jego specyficznej inteligencji artystycznej. Odkładając jednak na bok intelektualną pomysłowość, najbardziej uderzył mnie ton drugiej strofy.

Niechaj palą kronik zwoje
O tym, jak drwiłaś z męskiej czeredy,
I bez tej przewagi zabij mnie wtedy.

Utwór ten nie tylko należy do tych, które otwarcie traktują o toczącej się wojnie między kobietami i mężczyznami, ale Donne na tę okazję wybrał sobie godną przeciwniczkę. Jej obecność cały czas wyraźnie się wyczuwa, częściowo dlatego, że już na samym początku Donne bezpośrednio się do niej zwraca, a częściowo dlatego, że widzi w niej nieustępliwego, lecz inteligentnego w swych posunięciach gracza. Kobiety też wygrywają; i pomimo przesyconego erotycznym napięciem, aluzyjnego zakończenia, odnosimy wrażenie, że pojedynki nie jest rozstrzygnięty.

Około trzeciej, gdy już przetaszczyłem sprzęty z powrotem do pracowni, zadzwonił Leon.

– Cześć, Jasper – zaczął posepnym głosem. – Mówi Leon... z dołu. – Mieszkałem nad nim już od dwóch lat, ale Leon zawsze przedstawiał się w ten sposób. – Co słyszeć?

– W porządku – odparłem. – A u ciebie?

– Powolutku. – Nastąpiła przerwa, w czasie której Leon przepłynął olbrzymie, szaroniebieskie jeziora swej melancholii, by odezwać się znowu. – Słuchaj, Jasper, mam do ciebie wielką prośbę.

Przepraszając mnie wylewnie, po kilku przerwach długości całej nuty wyjaśnił, że musi poćwiczyć przez kilka godzin, choć za nic w świecie nie chciałby mi przeszkadzać, poza tym zdaje sobie sprawę, że jego postępowanie jest nie do przyjęcia, ale czy mógłbym też nie włączać żadnej muzyki na swoim sprzęcie... przynajmniej do wieczora.

Tak jak w podobnych sytuacjach w przeszłości, chętnie się zgodziłem i obaj mieliśmy już odłożyć słuchawki, gdy nagle wpadł mi do głowy pewien pomysł.

– Leon?

Słuchawka bardzo powoli została znów przystawiona do ucha. – Tak?

– Jesteś wolny dziś wieczorem... później, gdy już skończysz? Robisz coś dzisiaj?

– Nie. Nic. Chcę poćwiczyć, ale poza tym niczego nie planowałem. Kończę i...

– No to, Leon, to jest nasza szansa! Może pójdziemy na *Recenzję* do Lock Theatre, tego nad pubem? To ci może poprawić nastrój, nigdy nie wiadomo. Zmiana miejsca, komedia, śmiech, niewykluczone, że będziesz się dobrze bawić...

Leon odchrząknął.

– Dobrze. Czemu nie? Właściwie moglibyśmy tam dzisiaj pójść. O której się zaczyna? Grają to w niedzielę?

– Tak, na pewno. Chyba o wpół do dziewiątej. Zarezerwuję bilety i będę po ciebie... powiedzmy o ósmej.

Około czwartej po południu, gdy oderwałem się od pracy, żeby

zadzwońić do Lock Theatre, przyszło mi wysłuchać

nagranej wiadomości, która przeprosiła za siebie, a potem dała do zrozumienia, że jeśli zadzwonię jakoś po piątej, kasa będzie pracować na pełnych obrotach. Tak też zrobiłem, ale wtedy miałem okazję przez dziesięć długich minut nieprzerwanie przysłuchiwać się sygnałowi telefonicznemu. (Utknąłem w holu ze stłumionymi dźwiękami Szostakowicza w jednym uchu i dryńdryń w drugim.) Gdy podjąłem trzecią próbę, odsłuchałem kolejną nagraną wiadomość: z przykrością informowano, że możliwość rezerwacji kończy się o osiemnastej trzydzieści, dlatego też bilety należy „kupić i odebrać osobiście”. Tak więc około osiemnastej trzydzieści pięć, popadłszy w rozterkę, już miałem dzwonić do Leona, by przekazać mu ponure wieści, gdy zdałem sobie sprawę, że równie dobrze mogę zrobić to, co proponują. Dranie.

Pięć minut później stałem oparty o otwarte frontowe drzwi i usiłowałem rozpiąć, rozwinąć, rozłożyć, rozpostrzeć mój przekłety parasol. Z nieba wciąż spadały wielkie grube krople, bębniące leniwie o dachy zaparkowanych aut. A powietrze było jeszcze bardziej wonne niż wcześniej. Ostrożnie stawiając kroki, zbiegłem po mokrych schodach na chodnik.

Ulica była naprawdę zalana; wokół lamp i słupków tworzyły się wodne wiry w kształcie litery „v”; a z niektórych kratek wypływały strumienie, jak gdyby studzienki już się wypełniły. Jakiś samochód przepełnął obok, wzbijając cztery błotniste fontanny.

Na rogu Bristol Gardens i Clifton Villas wiatr dmuchnął silniej, poderwał parasol i nim zdążyłem ściągnąć go z powrotem na dół, smagnął mnie deszczem. Jeśli już, warunki się pogarszały. Przez parę kroków zastanawiałem się nawet nad odwrotem, ale sunąłem dalej, pokrzepiony widokiem starszej kobiety brnącej chodnikiem po drugiej stronie ulicy w zydwestce i kaloszach. Gdy dotarłem do Blomfield Road, musiałem już się zmagać z początkami monsunowego deszczu. Ściskając mocno rączkę parasola, spieszyłem drogą biegnącą wzdłuż kanału, aż doszedłem do mostu. Skręciłem ostro w prawo i szybkim

krokiem wszedłem na most.

Musiałem chyba patrzeć w dół na kanał – dziobaty, brązowy i mętny – bo gdy uniosłem lekko brzeg parasola, by sprawdzić drogę przed sobą, była już bardzo blisko.

Na wpół idąc, na wpół biegnąc, śmigła na palcach w prawo i lewo, żeby ominąć największe kałuże, i trzymała nad głową przemoczoną gazetę, chcąc się osłonić przed deszczem – na próżno, wyglądała bowiem, jak gdyby przez ostatnie trzy dni płynęła z rozbitego statku. Nie miałem czasu, żeby coś zaaranżować, nie miałem czasu – dzięki Bogu – żeby pomyśleć. Za chwilę mieliśmy się minąć i zadziałałem instynktownie. Zwolniła, żeby mnie obejść. Podniosłem parasol na tyle wysoko, by mogła zobaczyć moją twarz. Spojrzała na mnie ze szczerym zdziwieniem i zawahała się. Podałem jej parasol ze słowami:

– Proszę, ja tylko tam... – Wskazałem teatr. Zacisnęła dłoń wokół rączki i kciukiem odgarnęła mokre włosy z policzka. – Nie ma problemu, oddasz mi przy okazji – dodałem i odwróciłem się do odejścia. Nie pozostało jej nic innego, jak krzyknąć za mną „Dziękuję”, które ledwie usłyszałem za plecami, ponieważ wbiegałem już do teatru, a deszcz zagłuszał jej głos.

10. Negacja miłości

Jeśli doskonałości przywarą

Jest, iż wyrazić jej żadną miarą **Nie** sposób – zostają tylko przeczenia, Takż do miłości mej wyrażenia

„Nie” służy; zapytaj wiedźmę starą, Ona potwierdzi, że zapewnienia Miłość znawców – to są mamienia.

Pocieszam się wszak jak ludzi wielu,

Ze choć powoli, dojdę do celu.

Następnego dnia przestało lać jak z cebra i ulewa z czasem ustąpiła miejsca – najpierw flotylli chmur, a potem, we wtorek, mocnemu słońcu, które rozproszyło obłoki i dało po południu dobre światło. Gdy się pojawiła, pracowałem wciąż nad *Zjawą* przy stole. Przeszła po trawie na swoje ulubione miejsce, rozłożyła koc, zdjęła

Tshirta i usiadła. A ja...

No, cóż, j a pozwoliłem sobie na parę nonszalanckich minutek, w czasie których napawałem się tym widokiem, a potem od razu wróciłem do pracy i przerywałem ją tylko po to, żeby nacieszyć oko przyjemnym kształtem słowa „zalotów”.

Z niemal obraźliwą beztroską dokończyłem całą następną linijkę – „Wtedy mój duch nad łóżem twym się zjawi” – i dopiero wtedy wstałem ze stołka i sprawdziłem, czy ona wciąż tam jest. Po czym spokojnie udałem się do holu, podniosłem słuchawkę telefonu i przedzwoniłem do Ralucha, do jego suterenowej nory z pytaniem, czy piętnaście po szóstej mogę wpaść po płyty, które mu pożyczyłem. W końcu wziąłem niespiesznie prysznic i włożyłem lnianą koszulę.

Takiej choreografii nie opracowałby sam wielki Diagilew.

– Cześć – rzuciłem, przechodząc obok niej wolnym krokiem. – Zapowiada się piękny wieczór, prawda?

Obróciła się zaskoczona.

– O! Cześć. Tak, będzie pięknie... i jest jeszcze całkiem ciepło. – Usiadła. Miała na sobie znów tę niebieską sukienkę.

Nie spuszczałem z niej oczu. Uśmiechnęła się. – Aha, dziękuję za...

– Nie ma za co – przerwałem jej, odwzajemniając uśmiech. – I tak było już za późno. Przemokłaś do suchej nitki.

– Wiem, wiem. – Zrobiła żalostną minę. – Totalna porażka. Nagle wbiłam sobie do głowy, że pobiegam w deszczu, takie to niby romantyczne. Licho wie, dlaczego. Wydawało mi się, że przestawało padać. Ale w drodze powrotnej jak nie lunęło... i to w chwili, kiedy już byłam wykończona i przerzuciłam się na szybki marsz. Dostałam za swoje. Pierwszy jogging od trzech lat.

– Wybrałaś najgorszy moment. – Pokiwałem mądrze głową. – Nie notowano chyba nigdy tak intensywnych opadów; zresztą mam wrażenie, że ostatnio bijemy rekordy we wszystkich dopustach bożych.

Roześmiała się.

– Jeśli zaczekasz chwilkę, skoczę po...

Znów jej przerwałem.

– Nie... poważnie... nie wstawaj. Parasol możesz mi podrzucić w każdej chwili. Mieszkam o tam, przy Bristol Gardens trzydzieści trzy. Mieszkanie na ostatnim piętrze. Poza tym jestem pewien, że jeszcze się tu spotkamy. Korzystaj ze słońca. Spiesz się.

– OK. Dobrze. – Zamrugła powiekami, dwa razy. – Dzięki.

Odwróciła się do książki, a ja, jak gdyby nigdy nic, pomaszero wałem dalej w stronę małej furki oddzielającej zarośnięte patio Ralucha od ogrodu.

Zajrzałem przez okna. Stał za gramofonami odwrócony tyłem do klifowych ścian czarnych głośników i wyglądał, jak gdyby powłóczył w miejscu nogami, przytykając słuchawki do lewego ucha. Z nieodgadnionego dla mnie powodu na głowie miał czapkę z pomponem.

Dobrze, przyznaję, dwuminutowa wymiana zdań, nic więcej. Wystarczyła jednak, tak mi się zdawało, sądząc po przebiegu całego spotkania; wystarczyła, bym poczuł pewność, że nasze następne *rendezvous* nastąpi bardzo szybko i przyniesie mi znacznie mniej wstydu niż to pierwsze. Bo choć mężczyźni mogą mieć potrzebę przechadzania się pod oknem – z różą w zębach i mandoliną pod ręką – kobiety są nieco bardziej subtelne, jeśli chodzi o sygnalizowanie swego zainteresowania. Kobieta może się zdradzić mrugnięciem powiek. Lub dwoma.

Och, oczywiście zdawałem sobie sprawę, że wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi, że do pokonania miałem tysiące męczących przeszkód. Może lada chwila czekał ją ślub z jakimś szczupłym hollywoodzkim reżyserem słynącym z nieodpartego uroku osobistego i niemal peryklesowej elokwencji; a może po długich wahaniach postanowiła dołączyć do kurczącej się społeczności zakonnej jakiegoś klasztoru odciętego od reszty ludzkości tym posepnym pasem cnoty zwanym inaczej Morzem Irlandzkim; może też była uwikłana w jakiś epicki piętnastoletni związek z ukochanym z dzieciństwa, słodkim

pacholęciem, z którym taplała się w brodziku, a który teraz wyrósł na prawdziwego Achilleasa organizującego pomoc charytatywną w Afryce; albo zdecydowała się na życie wypełnione wieczornymi polowaniami w prowincjonalnych barach dla lesbijek. Ja jednak miałem to wszystko w głębokim poważaniu. Przez szczęśliwą chwilę oddawałem się euforii. Nic nie mogło mnie powstrzymać. Przyjdzie czas, kiedy rzuci reżysera, ucieknie z klasztoru, zapomni o dziecięcych fascynacjach i znudzą ją weekendy w Brighton w ciężkich butach i sfatygowanych motocyklowych kurtkach.

Myślicie, że wyciągnąłem zbyt daleko idące wnioski z naszego skromnego *rencontre* w ogrodzie? Dlaczego w takim razie, o sceptyczni sędziowie, panna Madeleine Belmont już następnego dnia wbiegła lekko po schodkach domu przy Bristol Gardens 33 i zadzwoniła domofonem do mieszkania numer sześć, gdzie rezydował kaligraf i dżentelmen, Jasper Jackson?

Spodziewając się akwizytora lub czegoś jeszcze gorszego (o tej porze spokojnie mogło nikogo nie być w domu), przeszedłem do sypialni z herbatą w rękę i delikatnie otworzyłem okno. Z góry widziałem tylko zmierzwione włosy w kolorze blond. Ale nie miałem żadnych wątpliwości. Ib była ona, bez dwóch zdań: stała przy domofonie i czekała na mnie, jak gdyby nie było na świecie bardziej naturalnej czynności dla młodej kobiety niż odniesienie parasola w środę rano. Szybko cofnąłem głowę i wypięłem do dna herbatę. W rurach zabulgotała woda.

Dobra sztuczka ma to do siebie, że jeśli zmienia się publiczność, można ją powtarzać do woli. Wyszedłem do holu i podniosłem słuchawkę domofonu.

– Słucham?

– Cześć, to ja – zabrzmiał jej głos. – Wpadłam po drodze i... przyniosłam parasol.

– Ach, to ty. Cześć. Zaczekaj chwilę, zejdem, niestety, popsuł się domofon i nie mogę otworzyć drzwi z mieszkania.

Po krótkiej chwili zastanowienia odrzuciłem pomysł, żeby zabrać ze sobą pióro, które trzymałbym w dłoni, jak gdybym został oderwany od pisania sonetu (co znowu tak bardzo nie odbiegało od prawdy), i zszedłem po schodach. Otworzyłem drzwi i posłałem jej najserdeczniejszy z mych uśmiechów: jak toskańskie słońce migoczące w dolinie dojrzewających winorośli, które szepczą do siebie o przyszłym bukicie Montepulciano. Tak przynajmniej lubię sobie wyobrażać.

– O! Dzięki... Przepraszam, ale nie wiem, jak masz na imię – skłamałem, odbierając parasol.

– Madeleine.

– Ach tak, dzięki... Madeleine. – Beztróska podałem jej dłoń, którą uścisnęła z lekkim rozbawieniem. – Mam nadzieję, że nie fatygowałaś się specjalnie. – Stałem, podpierając piętą otwarte za mną drzwi.

– Nie, mieszkam zaraz po drugiej stronie, przy Blomfield Road, i wybrałam się właśnie do spożywczego po coś na obiad, więc miałam jakby po drodze.

– Do Roya?

– Roya?

– Och, Roy jest właścicielem tamtego sklepu, taki grubas z wąsikami a la Charlie Chaplin. Musiałaś go zobaczyć. Sprowadzi wszystko, czego będziesz chciała, jeśli dasz mu trochę czasu. Ale uważaj na ceny... na stałych klientach Roy przeprowadza różne dziwaczne eksperymenty ekonomiczne.

Kiwnęła głową.

– Dobrze. Niedawno się wprowadziłam. I dopiero poznaję okolicę.

Co ciekawe, w jej głosie pobrzmiwała nuta wyczekiwania, jak gdyby spodziewała się, że pociągnę ten wątek. Ja jednak zagrałem na zwłokę. Instykt doradzał mi przezorność. Po prostu nie mogłem uwierzyć, że to może być tak banalne: zwykła operacja w stylu „pozwól, że cię oprowadzę”. Niemożliwe. Nie z taką kobietą. Zbyt proste. Postępując zgodnie z jakąś podświadomą zasadą nieufności,

przepuściłem okazję.

– Ach tak. Cóż, to wspinała część Londynu... wolna od typowego syndromu szufladkowania mieszkańców.

Zmarszczyła na chwilę brwi, a potem kąciki jej ust uniosły się.

– Głównie dlatego ją wybrałam.

– I tu mamy, proszę cię, problem – rzekłem, celowo udając, że potraktowałem poważnie jej słowa. – Coraz więcej ludzi osiedla się w okolicach Warwick Avenue, ponieważ szukają w nich azylu dla osób, które nie chcą zostać zaszufadkowane.

– Mmm. – Zmrużyła lekko oczy. – Nie zdawałam sobie sprawy.

Miałem świadomość, że plotę jeszcze większe bzdury niż zwykle. Ale ni stąd, ni zowąd nabrałem przekonania, że moja rozmówczyni oczekuje zaproszenia na randkę (tu i teraz) i, co gorsza, dobrze się bawi spekulacjami, jak długo potrwa, nim ja (typowy przeciętniak) wyduszę z siebie zaproszenie. (Wcale nie byłem pewien, że je przyjmie. Wręcz przeciwnie: obawiałem się, że po cichu może ją cieszyć perspektywa dania mi kosza.) Nie zamierzałem jednak tak łatwo spełniać jej życzeń. Przede wszystkim nie chciałem

ryzykować, dopóki się nie dowiem, jak stoją sprawy na froncie osobistym. Zamiast więc narażać się od razu na odmowę, uznałem, że muszę rzucić coś mało konkretnego: sformułować wyraźne, acz niezbyt sprecyzowane zaproszenie.

– Dobra, muszę wracać do kieratu. – Cofnąłem się o pół kroku.

– Jasne. – Jeśli była zaskoczona, nie dała tego po sobie poznać.

Kiwnąłem głową.

– A jeśli kiedyś będziesz miała wolną chwilę, w porze lunchu zwykle bywam w „Danilo’s”, więc wpadnij, jeśli będzie ci się chciało.

– Dobrze, wpadnę. – Uśmiechnęła się. Zeszła już po schodkach na chodnik.

Zamknąłem drzwi jak ktoś, kto już zapomniał o swoim gościu, pochłonięty pilnymi sprawami, które go czekają w środku.

Nie było to mistrzostwo świata. Wypadłem trochę drętwo. Nie

byłem do końca wyluzowany. Stać mnie na więcej. Trochę się pogubiłem. I po raz pierwszy od bardzo dawna: byłem zdenerwowany. Do tego wszystkiego się przyznaję... Ale po stronie pozytywów, to jej „Dobrze, wpadnę” zabrzmiało obiecująco. Nie ma się więc czym martwić – stwierdziłem, popijając o wyjątkowo wczesnej porze gin z wodą i sokiem cytrynowym – za podszeptem instynktu podjąłem słuszną decyzję.

Czemu nie wkroczyłem do akcji od razu, możecie zapytać. Dlatego... dlatego, że w moim odczuciu byłoby to zbyt ryzykowne. Jak napisał Donne: „choć powoli, dojdę do celu”. Bez wątpienia pełnemu najlepszych intencji amatorowi (podpuszczanemu przez tę zawodzącą starą ladacznicę zwaną inaczej ludową mądrością) może się wydawać, że uczciwość popłaca. Kto nie ryzykuje, ten nie ma – stwierdza, zdecydowanie wyłączając telewizor; do odważnych świat należy. Jeśli dziewczyna powie „tak”, świetnie, trzeba działać; jeśli powie „nie”, i tak do niczego by nie doszło, więc nic

straconego. Profesjonaliście natomiast nie dane jest żyć w tak nieskomplikowanym, czarnobiałym świecie. Jeśli nie możemy zdzierżyć „nie”, jeśli przyjmujemy na swoje barki brzemień pewności, że „tak” jest zawsze możliwe (gdy pytanie jest właściwie sformułowane i pada we właściwym czasie), jeśli zależy nam na uwodzonej naprawdę, to za wszelką cenę należy unikać przedwczesnej odmowy. Trzeba zminimalizować niebezpieczeństwo, poruszać się nadzwyczaj ostrożnie, dopóki nie poznamy jej sytuacji i wrażliwości na tyle, by złożyć ofertę w taki sposób, że odrzucenie jej wydałoby się niestosowne. Na przykład kobieta ze stałym partnerem zwykle wzdraga się, słysząc bezpośrednią propozycję. Ale niewykluczone, że powie „tak” na rzucone od niechcienia zaproszenie, które – sama to widzi – nie zagraża bezpośrednio jej związkowi...

Ale czekanie, Jezu Chryste, to była dopiero mordęga. Jak można się było spodziewać, „w porze lunchu zwykle bywam” znaczyło teraz tyle, co „w porze lunchu zawsze bywam” w „Danilo’s”, nie mogłem bowiem

dopuścić do tego, żeby przegapić akurat ten dzień, kiedy Madeleine postanowi tam zajrzeć. Carla, która wciąż była związana naszą umową i której mogłem zaufać jako mej wartownicze, wyjechała na urlop (do pięknego Rzymu w odwiedziny do siostry) i nie było jej od początku fali upałów. Nie pozostało mi nic innego, jak zdać się na Roberta, który, choć zawsze życzliwy i grzeczny, obsługiwał mnie z miną osoby pragnącej obwieścić całemu światu, że pracuje na dwie zmiany dziennie. (Stary, wszyscy tak mamy.) Minęły dwa tygodnie. I prawdę powiedziawszy, choć nie traciłem nadziei („pocieszam się jak ludzi wielu”), zawisło nade mną widmo porażki. W pierwszą środę maja postanowiłem już niemal, że dość tego, muszę zmienić plan działania. Siedziałem przy stoliku na zewnątrz pod zachmurzonym niebem, chrupiąc kolejną sałatkę. (Wenus nie mogła mnie zastać przy pałaszowaniu spaghetti lub wgrzaniu się w cielęcinę.) Zauważyłem też, że chudnę –jakieś półtora kilograma tygodniowo.

Obliczyłem w wolnej chwili, że gdyby Madeleine odtrącała mnie jeszcze przez czterdzieści trzy tygodnie, zniknąłbym zupełnie. Niezbyt wielka strata dla ludzkości, przyznałem, ale dla mnie osobiście – dotkliwy cios.

W środku Roberto miał pełne ręce roboty przy grupce matek o nazbyt misternych koafiurach i ich równie wymagających bachorach. Ja tymczasem torturowałem się myślami na temat tak zwanych chłopaków. Cała ta paskudna sprawa wisiała nade mną niczym nie kontrolujący czynności fizjologicznych leniwiec. Nade wszystko brak owej kluczowej informacji nie pozwalał mi swobodnie działać, podcinał mi skrzydła. I wciąż żadnej wiadomości od Roya. Coraz bardziej skłaniałem się ku opinii, że mieszka sama. Nie mogłem jednak uwierzyć, nie śmiałem uwierzyć, że Madeleine nikogo nie ma. Jeśli była z kimś związana, trudno, jeśli nie, byłbym zdumiony, ale oczywiście te dwie ewentualności wymagały całkowicie innego podejścia i nie mogłem poruszać się bezpiecznie, nie wiedząc, czy jest tak, do jasnej cholery, czy smak.

Wyjaśniłem już, że problem partnerów nie stanowi dla mnie żadnej przeszkody. Powinienem jednak dodać, że osobiście brzydzę się nimi. W większości są to odpychające kreatury: leniwe, głupie, niecierpliwe, nie potrafiące słuchać, przemądrzałe, niewrażliwe, niewdzięczne, beznamytnie obłudne, mizdrzące się i zadowolone z siebie. Nie licząc jednej lub dwóch okazji w roku, kiedy to odczuwają nagle sentymentalną potrzebę zrobienia czegoś efekciarskiego na jakichś okropnych wakacjach – bez wątpienia zmobilizowani zachodem słońca i butelką *methode champenoise* z Nowego Świata – większość swego bezbarwnego życia spędzają rozwaleni na plecach, chrapiąc lub ukradkiem waląc konia, gdy tylko mają trochę czasu dla siebie. W moich koszmarach widzę całe ich legiony, są jak rośli kulturyści wciśnięci w przyciasne wojskowe mundury, całe ich szeregi, całe kolumny, suną po monochromatycznej płaszczyźnie wielkiego placu apelowego, z agresywnymi transparentami czerwono czarnej nudy, chorągwiami stałości, flagami lojalności, które łopoczą na wietrze. Tymczasem Herr Wierność, ten brutalny dyktator, patrzy w dół z murów szarego zamku i podziwia zebrane siły, kiwając lekko głową.

Za dziesięć druga wciąż jej nie było. Zamówiłem jeszcze jedną kawę. Roberto zechciał mi ją podać. Patrzyłem i czekałem. Czekałem i patrzyłem. Samochody kręciły się bezustannie wokół ronda na Warwick Road. Nie mogłem ciągnąć tego dłużej. Jakiś absurd. Wziąłem do ręki gazetę. Przede wszystkim czytałem za dużo demaskatorskich artykułów o czymś, co uchodzi za bieżącą brytyjską politykę. (Nie kończący się koncert grupy szostoklasistów, którzy tak naprawdę grać nie potrafią, ale opanowali szeroki repertuar nużących póż gitarowych, desperacko starając się nimi odciągnąć uwagę publiczności od swych braków.) Przewróciłem stronę. Przeczytałem o najgrubszym człowieku świata, którego wydobyto z sypialni dźwigiem, żeby mógł się pokazać w telewizji. Jego żona – tak, jego żona – oznajmiła, że chciałaby poprowadzić własny program o gotowaniu. Podniosłem wzrok: szarobury dzień, niebo koloru papieru gazetowego z rozmazaną farbą.

Na antenie telewizyjnej przysiadła ciężko zbłąkana mewa.

– Cześć – usłyszałem. – Mogę ci zamówić kawę czy musisz wracać do kieratu?

Tym razem ona zaskoczyła mnie.

– Nie, nie, skąd. – Szybko się pozbierałem i radośnie zignorowałem zarówno żartobliwą nutę sarkazmu w jej głosie, jak i przylegającą do ciała linię jej dzinsowych biodrówek. – Zwykle nie wracam do pracy przed... eee... drugą trzydzieści. Proszę bardzo: siadaj. – Wstałem i wysunąłem krzesło. – Pójdę poszukać Roberta... eee... jest tu kelnerem. Na co masz ochotę? Co ci zamówić?

– Espresso. – Uśmiechnęła się, odstawiła torby i usiadła.

– Dobra. Zaczekaj chwilkę.

Interes znów zaczął się kręcić! Nareszcie. Niespodziewanie. I nie dało się ukryć: Madeleine była organicznie seksowna. Niepokój wyniósł się po cichu, tak jak się pojawił, a mój umysł wzlatywał na swoje wyżyny. Niewybaczalne spóźnienie... ale dotrzymała słowa. Coś jest na rzeczy. Chyba nie chodzi tylko o uprzejmość. Kto w tych czasach dba

o nią? Co to w ogóle znaczy? Kto, do jasnej cholery, ma czas na uprzejmość?

W środku biedny Roberto obsługiwał w pocie czoła zajęcia grupowe dla matek z dziećmi – wrzaski, karmienie łyżeczką, rzucanie zabawkami i kobiety popisujące się przed sobą mimo zgiełku i bałaganu. (Drogie panie, dajcie nam wszystkim żyć: nie jesteście pierwszymi kobietami na planecie Ziemia, które urodziły dzieci.) Przechwyciłem jego wzrok i wskazałem na ekspres do kawy. Zmarszczył brwi, ale zaraz odgadł, o co mi chodzi, nieznacznie kiwnął głową i z powrotem zainteresował się lukratywnym światem agugu. Umocowałem sitko ze świeżą kawą i pod dyszą spieniającą mleko pośpiesznie podgrzałem grube filiżaneczki do zadowalającej temperatury. Potrzebowałem informacji. Ale przede wszystkim, napominałem samego siebie, moim głównym obowiązkiem jest umówienie kolejnego spotkania. I tym razem musi być określone datą i godziną. Jak prawdziwa randka.

– Proszę.

– Dzięki – odparła.

Usiadłem, nie pozwalając swej świadomości, by zarejestrowała jej urodę. Kazałem się sobie rozluźnić i błyskawicznie przecesałem myśli w poszukiwaniu jakiegoś naturalnego i lekkiego tematu.

– A więc – zacząłem – co dzisiaj robiłaś?

– Och, nic takiego. Byłam właśnie w sklepie ze sprzętem łazienkowym przy Edgware Road, żeby zorientować się w cenach, bo robotnicy powoli kończą. W tej chwili to wszystko mnie trochę przeraża. – Zmarszczyła nos. – Po prostu chcę... no, wiesz... mieć to już za sobą. Ale tyle rzeczy wymaga jeszcze remontu. – W jej akcencie z ledwością wyczuwało się jakąś obcą nutę, ale nie umiałem jej określić.

– Jak długo to jeszcze potrwa?

– Nie wiem. Przypuszczam, że w ciągu co najmniej dwóch miesięcy wszystkie najważniejsze prace zostaną wykonane, a potem chcę zrobić malowanie i całą resztę. Do tego framuga drzwi na patio jest przegniła, jak twierdzą robocjarze. Więc nimi też trzeba się będzie zająć. A kuchnia... o Jezu... niedawno kupiłam zupełnie nowe meble, które

trzeba złożyć i zainstalować. – Pociągnęła łyk kawy. Nosiła bluzkę bez rękawów, a jej opalone ręce, zauważyłem, były zupełnie gołe: żadnej biżuterii, żadnego zegarka, żadnych pierścionków. Zdecydowanie żadnych pierścionków. – Nic ciekawego. A co ty robiłaś?

– Dziś rano? Och, pracowałem tylko.

– Pracujesz w okolicy?

– Tak. W domu.

– Czym się zajmujesz?

– Jestem kaligrafem.

– Naprawdę? – Uniosła śliczne brwi.

– Tak. – Kiwnąłem głową. – Naprawdę.

– Jak to wygląda?

– Dużo się siedzi i pilnuje, żeby nie rozmazać atramentu.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Nie miałam pojęcia, że wciąż istnieją kaligrafowie. Myślałam, że po wynalezieniu druku, komputerów i tego wszystkiego tak jakby straciliście rację bytu.

– Nie. Nic bardziej błędnego. Są nas tysiące w Anglii... a właściwie na całym świecie... ślęczymy nad biurkami i pracujemy jak mróweczki. Świetnie nam się powodzi. Najwięcej jest wśród nas amatorów, ale zawodowcy to znowu nie taka rzadkość, jak się może wydawać. Nie spotyka się nas zbyt często, ale jesteśmy.

– Zarabiasz w ten sposób na życie?

– Owszem. Kaligrafuję poezję dla milionerów. – Chciałem coś jeszcze dodać o agentach i wystawach, ale, jak zawsze, pilnowałem się, żeby nie gadać za dużo (i po próżnicy) o sobie. – A ty?

– Chcesz wiedzieć, czym się zajmuję? – Wyjęła z torebki paczkę jakichś zagranicznych papierosów. – Podróżuję po świecie i piszę o tym artykuły.

– O, to już bardziej przypomina życie.

– Raczej nie narzekam. – Zapaliła papierosa zapałką, którą zgasiła machnięciem ręki, mrużąc oczy w gryzącym dymie.

Czekałem, sądząc, że będzie mówić dalej, ale rozsiadła się wygodniej i zamilkła. Zadałem więc kolejne pytanie.

– Trudno zdobyć zlecenia?

– Siedzę w tym od sześciu lat i chyba teraz jest z tym trochę łatwiej. Czasem wybieram się w jakąś podróż, niekoniecznie zleconą, a potem próbuję ją sprzedać. Innym razem znowu dzwonią do mnie i mówią, co trzeba zrobić, więc – wzruszyła ramionami – ruszam w drogę. Reputację zdobywa się powoli. Zlecenia przychodzą. Fajna praca.

– Brzmi całkiem nieźle. Moglibyśmy się zamienić. Uśmiechnęła się.

– Wszyscy tak mówią. Że to jedno z najlepszych zajęć na świecie. Ale jest też sporo minusów, z których ludzie nie zdają sobie sprawy.

– Naprawdę? Jakoś nic mi nie przychodzi do głowy.

– No, wiesz – zaczęła wyjaśniać – trzeba się naszukać informacji,

nachodzić w różne miejsca, przesiedzieć mnóstwo czasu w śmierzących autobusach, żeby trafić do miejsc, które są zawsze zamknięte i odległe od wszystkiego o wiele kilometrów. Trzeba też wydobyć informacje od miejscowych, którzy nie mówią w żadnym znanym ci języku, a potem potwierdzić wszystko i dowiedzieć się, że powiedziano ci całą masę bzdur, więc zaczynasz od nowa. I chociaż czasopisma dobrze płacą, w miesiącu raczej trudno... fizycznie... wyjechać w więcej niż dwa, trzy miejsca, więc w porównaniu z innymi wolnymi strzelcami, którzy, jeśli chcą, mogą wytrzasnąć pięć artykułów tygodniowo, zarabia się znacznie mniej. A poza tym to ci jakby rozwała życie rodzinne.

– Tak – kiwnąłem głową – rozumiem. Nie pomyślałem o tym wszystkim. – Weszliśmy na interesujące terytorium. Łyknąłem espresso, licząc na to, że odwrócę uwagę od dociekliwości mojego pytania. – Więc cały czas musisz dużo przebywać poza domem?

– Kiedyś musiałam. – Machnęła dłonią, żeby odpędzić pszczołę od filizanki. – Właściwie nigdy nie było mnie w domu. Ale teraz zaczynam coś w rodzaju urlopu naukowego.

Zrobiłem zaciekawioną minę.

– Tak naprawdę, cóż... – tutaj szczerą skromność – niedawno podpisałam umowę na pierwszą książkę, biorę sobie więc trochę wolnego i robię tylko te rzeczy, te artykuły, na które mam ochotę, i dlatego postanowiłam skorzystać

z okazji i kupić sobie jakieś mieszkanie. Moja stara współlokatorka też chciała wynieść się na swoje, no i wiesz... – Machnęła ręką na znak, że powodów było mnóstwo, a potem odszukała wzrokiem moje oczy i na chwilę utkwiała w nich spojrzenie. – Zamierzam na trochę zapuścić korzenie. Stać się właścicielką nieruchomości. Najwyższy czas. Uznałem, że to chyba amerykańskie naleciałości słycać w jej głosie.

– O czym jest twoja książka, chyba że nie chcesz o tym mówić?

– Ach, to tylko przewodnik po Bliskim Wschodzie dla kobiet, coś w tym stylu. Syria, Jordania i Liban.

– Palmyra, Krak des Chevaliers i cała reszta?

– Z grubsza, tak... znasz Syrię? – W tym pytaniu dało się słyszeć szept wyzwania.

Znów poczułem na sobie jej orzechowe oczy... patrzyły z chłodnym sceptycyzmem... i zdałem sobie sprawę, że muszę uważać z kłamstwami, uważać, żeby nie zbagatelizować jej spostrzegawczości.

– Byłem tam – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Najbardziej podobała mi się Palmyra, wyrastała pośrodku pustyni, niczym nie ogrodzona, ludzie łazili po ruinach, gdzie chcieli.

– Trochę jak w Shepherd’s Bush. Uśmiechnąłem się szeroko.

Dopiła kawę. Wyczułem, że audiencja dobiega końca. Musiałem szybko coś zaproponować. Odwieczny problem z kawami espresso polega na tym, że za szybko się kończą. Może jeszcze jedna kawka? Zbyt wymuszone. Miałem właśnie zaproponować, nonszalancko, niezobowiązujące spotkanie w piątek przy lekkim lunchu, gdy podsunęła mi dużo lepszy pomysł. Sięgając po torby, powiedziała:

– Co najdziwniejsze, wcale nie mam poczucia, że znam dobrze Londyn. To znaczy oficjalnie mieszkam tu od jakichś ośmiu lat, od ukończenia studiów, ale tak naprawdę nigdy go nie zwiedzałam. Wiesz, o co mi chodzi? Kiedy mieszkasz w mieście i widzisz tych wszystkich turystów, czasem zastanawiasz się, co oni właściwie oglądają.

Przytaknąłem.

Pochyliła się, żeby nasunąć paski sandałów na pięty.

– Któregoś dnia – ciągnęła – pomyślałam sobie: zaraz, zaraz, nie byłam ani na London Eye, ani w Tatę Modern, ani choćby w Greenwich, nie wspominając już o tych bardziej ukrytych atrakcjach, o których prawdopodobnie nawet nie słyszałam. Lepiej od Londynu znam Amman. Na przykład po wprowadzeniu się tutaj ze zdumieniem odkryłam, że niemal spod mojego domu organizowane są rejsy barkami po kanałach. Nie mam pojęcia, gdzie się płynie ani co można obejrzeć, ale cały dzień widzę turystów, którzy tu przyjeżdżają, no i pewnie wiedzą więcej o mojej ulicy niż ja sama.

- Chcesz się wybrać, w niedzielę?
- Gdzie?
- Na rejs barką.
- W tę niedzielę? Pułapka. Nie wycofałem się.
- Tak. Czemu nie? Może być fajnie. Chyba że masz już jakieś plany...

– Nie. – Spojrzała na mnie i po chwili na jej twarzy wypłynął szaleńczo uroczy uśmiech. – Nie, nie robię nic w niedzielę. Przynajmniej w ciągu dnia, chyba nie.

– No, to w takim razie, jeśli...

– Słuchaj, może być ciekawie. Czemu nie? Rejs po kanałach barką. Przystań mam zaraz pod nosem. Wcześniej czy później i tak bym musiała się wybrać. Świetnie. Zróbmy to.

Jako że sprawy przybrały tak pomyślny obrót, wiersz *Negacja miłości* wydaje mi się trochę... cóż, zbyt negatywny. Na tym etapie mojej relacji przydałoby się coś bardziej optymistycznego. Ale w czym rzecz. Jak twierdzi Tomasz z Akwinu (o czym John Donne dobrze wiedział), nie można powiedzieć, czym jest Bóg, można tylko określić, czym nie jest. Największą doskonałość można wyrazić jedynie przeczeniami, ponieważ nie mamy słów ani wyobraźni, by ogarnąć niewyobrażalną boskość. W *Negacji miłości* Donne sprawił, że **miłość zdetronizowała Boga jako najwyższą wszechmocną potęgę we wszechświecie – siłę, którą można opisać tylko poprzez określenie, czym nie jest, istotę nie zgłębioną przez naszą wyobraźnię.**

jeśli doskonałości przywarą

Jest, iż wyrazić jej żadną miarą Nie sposób – zostają tylko przeczenia, Takż do miłości mej wyrażenia

„Nie” stuży;

Innymi słowy, moja miłość jest czymś bardzo pozytywnym, bez dwóch zdań. Wręcz czymś cholernie czaderskim.

A jednak – odkładając na bok tak zachęcające rozważania filozoficzne – nie możemy zignorować tłustej czcionki przewrotnego

tytułu, *Negacja miłości*; bo choć miłość jest Bogiem, jest również kiepskim żartem.

I I. Powietrze i anioły

Ze dwa lub trzy razy cię kochatem, Nie znając twarzy twej ni imienia; Takż i aniot w glos się przemienia Albo ognistym staje się ciałem, Dając nam znak swego istnienia;

– Dobrze wiem, z kim możesz pogadać, stary – zapewnił mnie Roy junior, pochylając się nieznacznie nad sklepową ladą w sposób, który niepokojąco przywodził na myśl postawę jego ojca. – Możesz pogadać z Desmondem Parksem, dla wtajemniczonych: ze Świrusem. Od niego się zaczęło, staruszek rozkręcił interes z rejsami po kanałach. – Aha. To ten Desmond od „Rejsów Desmonda”?

– Ten sam. Wie wszystko, co trzeba wiedzieć o kanałach.

– Świetnie.

– Bo, jak mówię, to on zaczął organizować rejsy i w ogóle. To była jego pasja, stąd nazwa „Rejsy Desmonda”.

– Rozumiem.

– To był jego pomysł. – Aha.

– Wyobraż sobie, że wciąż mieszka na barce. I jest pewnie współwłaścicielem połowy tamtejszych cumowisk. Nie można go za to nie szanować. Gdybyś chciał zacumować w Little Venice, niewykluczone, że wcześniej czy później musiałbyś rozmawiać ze Świrusem. Sam nie może już prowadzić wycieczek, bo cierpi na cholerozę.

– Cholerozę?

Roy junior szczyrzył zęby w uśmiechu.

– Tak, zgadza się; ma cholerozę. Prawdziwa tragedia.

– Cholerozę?

– Taka choroba. – Zakręcił palcem wskazującym w pobliżu skroni. – Psychiczna.

– Ach tak.

– Stąd ksywa Świrus.

– Teraz wszystko jasne.

Musiałem zrobić niepewną minę, bo Roy junior był lekko urażony.

– To prawdziwa choroba psychiczna, nie myśl sobie.

– Co? Choleroza?

– On tak ją tylko nazywa, dla jaj. Twierdzi, że gdyby używał właściwej nazwy, syndrom Clorette’a czy coś takiego, skończyłoby się na tym, że za każdym razem mówiłby „cholerny syndrom Clorette’a”. A biorąc pod uwagę to, jak mówi, byłoby to kurewsko długie. Przepraszam za łacinę. Tymczasem w ten sposób, jeśli mówi po prostu „choleroza”, od razu sobie przeklina, nie musi się zbytnio wysilać, a poza tym używa sobie trochę kosztem samej cholerozy... jeśli kumas, co mam na myśli.

– Kumam, jasne.

Roy junior podniósł dłonie do twarzy i zaczął pocierać oba policzki, jak gdyby napawał się faktem wystąpienia pierwszych oznak zarostu.

– Oczywiście istnieje niebezpieczeństwo, że zaczniesz mówić: mam cholerną cholerozę. A to nie byłoby śmieszne. Bo wtedy niczego by sobie nie ułatwiał.

– Właśnie.

– Prawdę mówiąc, zapytałem go kiedyś w „Bertramie”. Świrus, mówię, chcę zapytać o cholerozę. Co by się stało, gdybyś zaczął mówić cholerna choleroza? Albo cholerna cholerna choleroza? Wyobraź sobie. Chodzi mi o to, gdzie to by się skończyło, stary? Wyglądał, jakby miał mnie zaraz trzasnąć w ryja.

– Jezu.

– I wiesz, co mi powiedział? – Nie.

– Roy, mówi do mnie, idź do cholery. – Roy junior prychnął. – Mówię ci, cały pub sikał ze śmiechu.

Miałem już wrócić do meritum sprawy, gdy do sklepu wszedł klient. Obejrzałem się za siebie nerwowo. Przez nieprzyjemną chwilę wydawało mi się, że to Madeleine. Nie chciałem, żeby zobaczyła mnie poza domem zaledwie pół godziny po naszym rozstaniu. Ale na

szczęście intruzem okazał się dość młody mężczyzna – niewinny, choć mało interesujący migrant z sąsiedniej pralni samoobsługowej.

Odczekaliśmy, aż podejdzie do kasy. Czterdzieści odświeżaczy do powietrza „Silk Cut”, mrożony kalafior z serem na grilla, dwie mrożone pizze, dwa sześciopaki piwa, dwa duże opakowania czipsów (morska sól z octem balsamicznym – gdzie się podziewa stare dobre „i”), butelka ostrej wódki, butelka wykrzywiającej gębę whisky, bibułki papierosowe, cola, cztery paczki frytek do mikrofal, dwa eksportowe czeskie piwa i cebula w plasterkach.

– Męski wieczór – uśmiechnął się znacząco i dodał z silnym akcentem z głębokiego Południa: – Oglądamy dzisiaj mecze, ale fajowo! Pakuj wszystko, przyjacielu.

– Ekstra. – Kiwnąłem głową.

Roy junior odczekał, aż facet znajdzie się za progiem sklepu, i wznowił swoją relację od momentu, w którym skończył.

– No, w każdym razie ze względu na cholerozę Świrus musiał dopuścić do interesu swoją starą, chociaż to on zna wszystkie szczegóły, całą historię i w ogóle. Ona nawet nie mieszka z nim na barce. Kupiła sobie własną chatę przy Westbourne Park. I teraz się dzielą: on wozi turystów, chociaż trzyma się w cieniu, i pilnuje, żeby barki ładnie wyglądały i się nie psuły, a ona dba o kontakty z ludźmi i obsługuje mikrofon. Nienawidzą się, ale zarabiają na tym interesie sporo... naprawdę sporo... ciężkiej kasy. – Popukał w skrzydełko nosa.

– Wyobrażam sobie.

– Śmiać mi się chce, jak sobie pomyślę, że Świrus z tą swoją cholerozą miałby sam obsługiwać rejsy: dzieciaki, babcie, mamy i tatusiowie w barce na kanale, a on wrzeszczy do mikrofonu: „Panie i panowie, zbliżamy się do cholernej Little Venice, na lewo mamy cholerny park, a na prawo cholerny most...”

Nie marnowałem czasu.

– No więc gdzie mieszka... Desmond?

– Świrus, Jasper, przyjacielu. Wpada w furję, gdy ktoś nie zwraca

się do niego poprawnie. No, wiesz, musi dbać o reputację.

– Niech będzie: Świrus.

– Jak już mówiłem, na jednej z barek.

– Wiesz, na której?

– Chyba nazywa się „Świntuszka”, ale nie dam sobie głowy uciąć. Chodzi o to, że nie możesz tak po prostu u niego zawitać, Jasper, przyjacielu. Tak ni stąd, ni zowąd.

– No to jak najlepiej zająć mu pół godziny?

– W „Bertramie”.

– Jezu, Roy, znasz mnie. Nie mogę przez resztę tygodnia pałętać się po tym przeklętym pubie w nadziei, że go spotkam. Zresztą skąd mam wiedzieć, jak on wygląda?

Roy junior przybrał znowu pozę ojca.

– Cóż... myślę, że za drobną opłatą... mógłbym cię zawiadomić, kiedy tam zajrzy... mógłbym nawet cię przedstawić... to znaczy, jeśli wciąż ci na tym zależy.

– Dycha, Roy.

– Plus drinki?

– Stoi.

Po naszym inauguracyjnym *teteatete* w „Danilo’s”, po odprowadzeniu Madeleine – och, jakże wtedy płąsały cherubiny, jak śpiewały serafiny – do rogu Bristol Gardens i po powrocie do mojej mansardowej garsoniery, powodem, dla którego tak szybko z powrotem przemierzałem chodniki Formosa Street, była oczywiście chęć zaopatrzenia się w niezbędne produkty. Rejs po kanałach miał się odbyć w niedzielę, nie zostało więc zbyt wiele czasu, a chciałem, żeby Roy miał maksimum szans na zrealizowanie mojego zamówienia – chodziło mi głównie o sprowadzenie prawdziwego, świeżego, dzikiego szkockiego łososia, prawdziwego świeżego chrzanu, prawdziwego świeżego kopru oraz porządnych, świeżo zerwanych orzechów włoskich. Mój plan zakładał uatrakcyjnienie majestatycznego rejsu barką niewielkim, acz wybornym posiłkiem: kilkoma specjalnie przeze

mnie przygotowanymi, cienko pokrojonymi kanapkami i butelką sancerre. Dyskretnie przechowywany w wiklinowym koszu, niekłopotliwy, nie nazbyt spektakularny, nie nazbyt absorbujący – ale prosty, przepyszny, pożyteczny dodatek do głównego tematu popołudnia: delikatnego przesłuchania.

Rzecz jasna zmienił się teraz nasz stosunek do siebie. Nie byliśmy już nieznajomymi. Staliśmy się – znajomymi. Znajomymi, którzy ponadto wymienili się numerami telefonów! I czekała nas... randka. Nasza pierwsza randka. Nieistotne, czy Madeleine zdawała sobie z tego sprawę czy nie. Musiałem teraz – i to w nadzwyczajnie pilnym trybie – dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja na cholernym froncie osobistym. No bo jeśli – wciąż jakoś nie mogłem dać temu wiary – jeśli droga była wolna, należało działać szybko i zdecydowanie, choć oczywiście z wdziękiem. A jeśli droga nie była wolna, należało zdobyć o konkurencie możliwie jak najwięcej informacji i, co najważniejsze, wy badać, co Madeleine do niego czuje.

Jak zdobyłem jej numer?

Dla mnie był to pikuś. Gdy wracaliśmy z bistra ulicą Formosa, zatrzymałem się na moment, jak gdyby natchniony nagle jakąś myślą.

– Dam ci lepiej numer do mnie – oznajmiłem – na wypadek, gdybyś nie dała rady przyjść.

– Oj, tak. Racja.

Podąłem jej swój numer. Wprowadziła go do komórki – zauważyłem, że była to jedyna pozycja pod „J”.

– A jaki jest numer do ciebie – ciągnąłem – w razie gdybym zapadł na jakąś ciężką chorobę?

Podąła mi. Powierzyłem go swej pamięci.

Zauważcie, jak złagodziłem ewentualne wrażenie nachalności, podając najpierw swój numer telefonu – jak gdyby ona była dużo bardziej zapracowana i ważniejsza niż ja i było znacznie bardziej prawdopodobne, że to ona będzie musiała odwołać spotkanie – a jednocześnie nie dałem jej możliwości odrzucenia mojej prośby.

Zauważcie też, że ani razu nie zapytała mnie, jak mam na imię.

Jak wspomniałem, powodem, dla którego udałem się prosto do sklepu Roya, było złożenie pilnego zamówienia. Pomysł, by zapytać o wspaniałe rejsy Desmonda, zaświtał mi dopiero wtedy, gdy Roy junior spisywał szczegóły (wskutek moich nalegań, nie zawsze jest bowiem tak rzetelny jak jego ojciec). W gruncie rzeczy, jak sądzę, artykułowałem tylko swój wewnętrzny dylemat. Mówiąc najogólniej (jak w przypadku wielu takich spotkań), istnieją dwie opcje: albo przeprowadzamy szczegółowy wywiad na temat barki, trasy et cetera, albo nie robimy zupełnie nic, zjawiamy się tylko umówionego dnia. W zasadzie jestem przeciwnikiem tej pierwszej metody – taktyki utalentowanego amatora – która z konieczności burzy urok nowości, wrażenie wspólnego odkrywania, doświadczania czegoś... te wszystkie elementy prowadzące do stworzenia pożądanego poczucia więzi. Druga metoda pozostawia jednak zbyt wiele temu zdradzieckiemu szubrawcowi – przypadkowi. Normalnie bym się tym nie przejmował. Zdałbym się na swój dowcip i inteligencję, ale w przypadku Madeleine nie potrafiłem postawić wszystkiego na jedną kartę. A jeśli (ta myśl nie dawała mi spokoju) będziemy mijać całą serię architektonicznych arcydzieł, o których tylko ślepy i mocno nieruchawy ignorant mógłby nic nie wiedzieć? Ona przez ostatnich dziesięć lat dużo podróżowała, ale ja przecież tu mieszkałem. Gdy więc zagadnąłem Roya juniora, czy zna kogoś odpowiedniego, tak naprawdę zastanawiałem się tylko nad alternatywnym podejściem – sposobem zdobycia niezbędnych informacji, żeby nie narazić na szwank całego przedsięwzięcia. Świrus dał mi jednak o wiele więcej, niż mogłem się spodziewać.

– Posłuchaj, synu, wyglądasz mi na jakiegoś popieprzonego złamasa – rzekł Świrus, stukając zakrzywionym paluchem w szklankę z piwem, chcąc w ten sposób podkreślić rzucone pod moim adresem oskarżenie. – Ale że jesteś kumplem tego tam młodego Roya i stawiasz dzisiaj browar, nie będę miał ci tego za złe i powiem, co tam, kurwa, chcesz wiedzieć.

– Dzięki. Będę wdzięczny. – Kiwnąłem głową, uświadamiając sobie, że niemożliwe będzie ustalenie, czy u Świrusa wystąpił akurat nawrót cholerozy czy po prostu zachowuje się po chamsku. Miał pięćdziesiąt lat lub coś koło tego: krępy, wytatuowany, łysy od czoła do opalonego ciemienia, ale z kędzierzawym łukiem brązowych włosów sięgającym z tyłu głowy od ucha do ucha i wykończonym ogniście rudymi bokobrodami, które wyrażały wściekłe niezadowolenie po obu stronach jego twarzy.

Siedzieliśmy obok siebie, obaj w obcisłych spodniach i pochyleni jak para żółwi na dwóch chybotliwych stołkach w rdzawoczerwonym półmroku panującym w głębi pubu. Znajdowaliśmy się na samym dnie basenu Paddington. Tutaj nawet powietrze było niemrawe, jakby przesycone rzeczonym osadem, zagęszczone mułem. Miejscowy pies, Duncan, najwymowniej uosabiał wszystko, czym był „Bertram”: dobry słuch, wrażliwe zęby, skołtuniona sierść, wieczne poszukiwanie okazji łatwego i szybkiego zarobku. Krążył między stolikami z krzywym uśmiechem i miną kogoś, kto dosyć się już nacierpiał wskutek głupoty tych wszystkich, którzy pozostawali poza bezpośrednim zasięgiem jego żółknącego oka. Jak wszyscy inni miał dużo więcej gotówki, niż się do tego przyznawał, bał się jak cholera swojej baby i stopniowo przybierał na wadze.

Przez głośniki delikatnie zaznaczała swoją obecność muzyka: *My heart is like a yoyo string...* Czekaliśmy z niecierpliwością, aż piosenka się skończy. ...*Ym tied to you right or wrong.*

– A więc – zaczął Świrus, pociągnąwszy głośno łyk piwa, gdy dźwięki muzyki stopniowo cichły. – Co, kurwa, chciałbyś wiedzieć?

Zakreśliłem piwem w swojej szklance.

– Nie ma przypadkiem jakichś szczególnie interesujących obiektów na trasie, którą... no, wiesz... pływają twoje barki.

– Ajakże, kurwa, pewnie, że są.

– O, świetnie. Więc...

– Po co ci to, kurwa, wiedzieć? Tego nie przewidziałem.

– Cóż... w przyszłym tygodniu wybieram się na taką wycieczkę i chciałbym wiedzieć, co jest do obejrzenia. A słyszałem... od Roya, znaczy się... że najlepiej zapytać ciebie.

Zignorował godną pożałowania próbę zjednania go sobie pochlebstwem.

– No to czemu, kurwa, po prostu nie zaliczysz tego cholernego rejsu i nie zobaczysz na własne oczy, co tam jest do obejrzenia? Taniej ci, kurwa, wyjdzie, niż stawianie mnie i Royowi cholernych piw przez całą noc.

– Racja. Ale chciałbym wiedzieć z góry, co mnie czeka, żeby... żeby się jakby przygotować.

– Chcesz, żebym ci powiedział, co tam jest do obejrzenia podczas tego cholernego rejsu, żebyś, kurwa, wiedział, na co masz patrzeć, kiedy cholerny przewodnik będzie mówił, na co masz patrzeć? – Świrus się skrzywił. – Naprawdę jesteś popieprzony.

Z drugiego końca stolika dobiegł nas dziarski i beztroski stukot wyrzuconych przez Roya na stół kostek domina.

– Pomyślałem sobie, proszę ciebie, że gdybym wiedział, co można obejrzyć podczas takiego rejsu, mógłbym poszperać trochę w bibliotece i wynieść z niego więcej. – Słowa te brzmiały potwornie już w chwili ich wypowiedzenia. Kto teraz robi takie rzeczy?

Świrus pokręcił głową i wybrał swój ulubiony, jak mi się zdawało, ton głosu – konfidencyjnalny w wymowie, ale rozkręcony na cały regulator:

– Posłuchaj, synu, jeśli powiem ci, co wiem o cholernym kanale Grand Union... albo Regenfs, z tej całej cholernej wycieczki nie wyniesiesz więcej, tylko mniej. Bo to wszystko, co moja stara ma, kurwa, do powiedzenia na tej cholernej barce, zabrzmiało jak pieprzona „Ala ma Asa” w porównaniu z tym, co wiem ja. Więc tylko się, kurwa, załamiesz i rozczarujesz. – Teraz już szydził otwarcie. – Ja pierdziele, jeśli chcesz coś wynieść z tego cholernego rejsu, moja rada jest taka: zrób sobie, kurwa, wycieczkę jak wszyscy inni.

– Świrus, słuchaj, muszę, kurwa, zbajerować jedną panienkę.

I na dźwięk tych magicznych słów potężne wrota cytadeli wiedzy rozstały się przede mną, a ja pokuśtykałem radośnie do środka.

r

Przez następną godzinę przekonałem się, że mój przewodnik jest elokwentny i zna się na rzeczy – tak jak mi obiecano. Nawet jego choroba jakby mniej mu dokuczwała, gdy rozwoził się o oryginalnych projektach willi w stylu regencji autorstwa Johna Nasha lub palcem pokazywał trasę do Limehouse. Dwa duże piwa później i niezmiernie lepiej poinformowany, byłem gotów do wyjścia.

– ...i w porządku będzie, jak wezmę kanapki i wino?

– Nie ma problemu, stary – zapewnił mnie Świrus. – Niezupełnie jest to, kurwa, mile widziane ze względu na cholerną knajpę na przystani, z której odpływają barki. Chcą obsługiwać naszych klientów. Ale jeśli moja stara zacznie się awanturować, powiedzcie jej, że ja się zgodziłem. Jeśli będzie robić trudności, już ja ją ustawię. Krówsko cholerne.

– Dzięki. – Skinąłem głową.

– Żaden, kurwa, problem, Jasper, przyjacielu, do usług. Prawdziwa, kurwa, przyjemność, gdy ktoś choć raz słucha cię z zainteresowaniem.

– Jeszcze jedno piwko?

– Z chęcią.

Zsunąłem się ze stołka i zamówiłem po piwie dla Świrusa i Roya.

– Dla siebie nic?

– Niestety, nie. – O?

– Mam dzisiaj robotę. – Puściłem do niego oczko. – Małe stukanko.

– Fajnie.

– Zajebicie. Uśmiechnął się znacząco.

– No to spadaj już.

Taktownie oddaliłem się na drugi koniec sali, gdzie – pod miedzianym i zadymionym sufitem, na tle pokrytej glazurą i tapetą ściany w subtelnym brązie alg i śmiałej żółci musztardy – Roy junior

próbował nieuczciwymi metodami odegrać to, co już przegrał w domino. Wyraźnie zadowolony z chwili przerwy w grze, wstał ostrożnie, by wziąć przyniesione przeze mnie piwo, zakołysał się, kiwnął głową, wywalił jęzor, mrugnął powoli, znowu się zakołysał... i wtedy, jak wysadzony w powietrze wieżowiec, z uginającymi się nogami i młóiącymi powietrze omdlałymi rękami, zgiął się wpół i upadając, przewrócił stół. Wydawało się, że w następstwie tej dezintegracji wszystko się dzieje w zwolnionym tempie: rozległ się trzask łamanego drewna, nastąpiło nagłe rozszczepienie elementów, czipsy i podstawki do piwa wzbily się w powietrze jak plastikowe dyski do frisbee, butelki przewracały się jedna po drugiej, a potem spadały na wykładzinę; szklanki rozbijały się na podłodze, telefony komórkowe uderzały o glazurę, kostki domina rzucały się samobójczo w otchłań; na ściany, podłogę, buty, koszule i (w paru przypadkach) włosy polały się w jednej chwili obfite strumienie piwa, które się rozlewało, rozbryzgiwało, rozpryskiwało i rozchłapywało na wszystkie strony; przeleciała w powietrzu garść jarzących się papierosów; niektórzy kumple Roya dali nura w jedną stronę, inni rzucili się w drugą, ktoś rąbnął kością piszczelową o wystającą znienacka nogę stołu, ktoś inny stracił równowagę, gdy ręka ześlizgnęła mu się po świeżo spłukanej ścianie; mokry banknot dziesięciofuntowy został rozdarty na pół przez wierzgający but szukający w tym trzęsawisku punktu oparcia. Przez chwilę nikt się nie ruszał. Na całe to spustoszenie opadał delikatnie deszcz papierosowego popiołu. Wtedy przytruchtał Duncan i pochylił łeb, żeby wychłęptać trochę piwa i poczęstować się orzeszkami.

Och, kanale Grand Union, zsypany kwieciem Dunaju z mych snów najczystszych. Jakże mi tęskno za tobą! Za tymi odmętami leniwymi, w których pławią się nimfy; za tymi brzegami zielonymi, na których wygrzewają się najady; za tymi wodami słodkimi, którymi o zmierzchu gaszą pragnienie jednorożce i tury. Och, kanale Grand Union, mój rozkołysany Tygrysie i Eufracie, mój Jordanie roziskrzony wśród pieśni gołębic, mój Nilu majestatyczny wśród pocałunków królowych! Chyżo

przylul mnie do tchnącego nadzieją łona twego...

O godzinie 16.25 w bezchmurne niedzielne popołudnie, pierwsze w maju, skręciłem radośnie w Blomfield Road i – z wiklinowym koszem w ręku – podreptałem w stronę okazałego, acz nieco jarmarcznego wejścia na przystań. Szereg młodych drzewek, gdy je mijałem, chylił się jak rząd wiernych paziów, a gdzieniegdzie gałęzie drzew składały mi głębokie pokłony niczym damy dworu. Pod lazurowym niebem, pośród dobiegających zewsząd odgłosów lata, mogłem być pewien, że to popołudnie okaże się dla mnie niebywałym triumfem.

Byłem już blisko wejścia, gdy pojawiła się w nim Madeleine.

– Hej. – Byłem serdeczny i pogodny jak łagodne powietrze tego dnia.

– Cześć.

Musiałem być rozpromieniony, bo rzuciła mi lekko zdziwione spojrzenie i szybko wybawiła nas z chwilowego zakłopotania.

– Ale mamy dzisiaj piękny dzień, prawda? Do tego jest tak ciepło. Wiesz co? Właśnie się dowiadywałam i powiedzieli mi, że mogę zabrać wino, więc skoczę do siebie po szkło i coś z lodówki. Chwila, zaraz wracam.

– Dobra, poczekam tutaj.

Przebiegła przez ulicę. Wyglądała tak, że... nie wiem... aż serce topniało. Była ubrana w białą koszulę z rozpiętymi pod szyją dwoma guziczkami, w bawełnianą spódnicę nad kolana i te swoje rzemykowe sandały. Ale to nie tylko ubranie dawało taki efekt. Przede wszystkim jej sposób bycia: nie skupiony na sobie, pozbawiony wszelkich wątpliwości, jakby nieświadomy bagna degrengolady chlupoczącego wszędzie dookoła, a z drugiej strony ostro, śmiało, z impetem afirmujący życie – oczekiwała, żądała, domagała się wszystkiego, co najlepsze od tego dnia i jego licznej świty. (W każdej chwili, gdy tylko chciała, Madeleine mogła zamienić się w dziewczynę w wystrzępionym słomkowym kapeluszu zdolną wywabić rycerski instynkt poniewierający się na zakurzonego strychu lepszej natury nawet

najgorszego drania.)

Czekałem na nią w restauracji na nabrzeżu, gdzie z nudów przeglądałem menu i zastanawiałem się, w jakim stopniu motyw owoców morza stanowi ironiczny komentarz do brytyjskiej kultury kanałowej. Nigdzie nie widziałem Świrusa, za to pięćdziesięcioletnia kobieta, którą wziąłem za jego „starą”, wprowadzała na barcę krzykliwie odzianą rodzinę. Pomyślałem, że mógłbym zapłacić za bilety, i przeszedłem do kasy w samą porę, ubiegając rozwrzeszczaną gromadę nieustraszonych japońskich turystów. Odbierałem właśnie resztę, gdy usłyszałem za sobą szept znajomego głosu.

– Hej, Jasper, zarezerwowałem wam, stary, najlepsze miejsca na samym, kurwa, przedzie. – Przerwa. Po chwili dobiegł mnie jeszcze cichszy szelest głosu: – Nawiasem mówiąc, laska z niej jak marzenie. Ja pierdzielę, aż by się chciało kupić bukiet cholernych kwiatów albo nie wiem, kurwa, co.

Zanim zdążyłem mu podziękować, zniknął.

– To wy jesteście znajomymi Desmonda? – zapytała służbistym tonem jejmość wpuszczająca wycieczkowiczów na barcę.

– Nie jestem pewien. Chyba tak.

– Miejsca z przodu są dla was, jeśli chcecie, bo jeśli nie, to możecie usiąść z tyłu przy mnie.

Wy tłumaczyłem jej, że czekam na kogoś, a ona powiedziała, że bym się nie martwił, nie odpłyną bez tak ślicznej dziewczyny, i że przyśle ją do mnie. Przeszedłem więc przez pierwszą barcę, „Desmond nr 2”, zacumowaną tuż przy brzegu, i wskoczyłem lekko na „Desmond nr 1”. Ktoś krzyknął za mną:

– Jak mocniej wdepnie, wyciąga do siedmiu kilometrów na godzinę.

Zauważyłem wtedy samego Świrusa w marynarskiej czapce z niebieskim daszkiem i pasiastej bluzie: majaczył na rufie jak duch kapitana Ahaba.

Barka była naprawdę wąska – w jednym rzędzie mogły usiąść mniej więcej cztery osoby – z solidnym dachem na palach, ale z przodu i po

bokach była otwarta na świeże powietrze. Przeszedłem ostrożnie w stronę dziobu, mijając rodzinę, emerytów, turystów, szkolną wycieczkę, młodą parę z niemowlęciem i trio motocyklistów okutanych w skóry pomimo słońca. Na dwóch ostatnich miejscach – obok siebie na zaokrąglonym dziobie – leżała kartka formatu A4 z napisem „Rezerwacja”. Podniosłem ją, złożyłem i wsunąłem do kieszeni z tyłu spodni. (Mało brakowało, a moje zabiegi wyszłyby na jaw: w taki oto sposób bogowie lubią się czasem zabawić kosztem owej trzódki zwanej ludzkością.) Dwie zażywe kaczki paradowały dziarsko po nabrzeżu, a potem weszły do mętnej wody tak, jak to tylko kaczki potrafią, i pomknęły pełną parą w stronę przeciwnego brzegu, żeby załatwić jakąś pilną i sobie tylko znaną sprawę.

– Załatwione – powiedziała Madeleine, podnosząc butelkę białego wina, gdy przeciskała się między motocyklistami. – Ojej, świetnie: mamy miejsca z przodu? – Minęła mnie. – Dzięki, że zająłeś się biletami.

– Nie ma za co.

Na rufie Świrus przekręcił kluczyk i silnik zaczął pracować: regularne, uspokajające, burczące perkotanie.

– Jesteśmy dosyć mocno zanurzeni, prawda? – zauważyła, gdy usiedliśmy.

Przytaknąłem.

– Jeśli wystawisz rękę nad burtą, od wody będzie ją dzielić tylko jakieś piętnaście centymetrów.

Miałem jeszcze dodać komentarz o tym, że w czasach, gdy kanały znajdowały się w rękach prywatnych, pobierano opłaty w zależności od ciężaru ładunku, co z kolei mierzono głębokością zanurzenia łodzi. Na szczęście jednak przez głośniki popłynął głos przewodniczki:

– Witam państwa, mam na imię Daphne, a naszym kapitanem jest dzisiaj Desmond. Chociaż kanał ma tylko półtora metra głębokości i płyniemy z prędkością zaledwie pięciu kilometrów na godzinę, mam obowiązek poinformować państwa, że koła ratunkowe znajdują się na

dachu. Chciałabym też państwa poprosić o to, żeby nie wystawiać za burtę nóg, rąk i palców, bo od czasu do czasu zdarza nam się w coś stuknąć, a nie chcemy, żebyście potracili kończyny. – Mikrofon trzasnął i Daphne osobiście przeszła na dziób, stanęła na pustym siedzeniu za nami i posługując się stopą, odepchnęła barkę mocno od nabrzeża.

Madeleine ustawiła ostrożnie szklaneczkę do whisky i wysoki kieliszek na wewnętrznej półce przy swoim siedzeniu. Wyciągnęła mały scyzoryk przyczepiony do kluczy i wyłuskała zeń korkociąg. Podnosząc go wysoko, jak gdyby był jakimś magicznym symbolem, spojrzała na mnie z udawaną powagą.

– Zaczynamy pić od razu?

– Uważam, że to świetny pomysł – zadeklarowałem. – Zresztą miałem ci powiedzieć, tylko mi uciekłaś, że też przyniosłem wino, tak na wszelki wypadek. Więc mamy dwa.

– Cudownie. Zauważyłam ten koszyk. Nie ma nic lepszego niż delektowanie się winem popołudniową porą. Zwłaszcza gdy świeci słońce. Od którego zaczniemy?

– Proponuję zacząć od twojego, póki jest schłodzone, a moje wypijemy w drodze powrotnej.

– Dobra. Masz... potrzyмай.

Podła mi szkło, a ja zrobiłem, o co mnie prosiła. Od razu zauważyłem, że w jej głosie nie ma nawet śladu zdenerwowania. W towarzystwie praktycznie obcej osoby zachowywała się zupełnie swobodnie. Pochyliła się, zsunęła sandały, umieściła butelkę między stopami, wkręciła korkociąg i wydobyła korek.

– Gotowe! – Lej.

Gdy szkło zostało napełnione, a butelka schowana, Madeleine zażądała, żebyśmy się stuknęli, po czym rozsiadła się wygodnie, podnosząc nogi, żeby oprzeć stopy na półce przed sobą.

– Wiadomo, którądy płyniemy?

– Tamtędy – wskazałem przed siebie – a potem skręcimy w lewo na sadzawce Browninga i wpłyniemy na Regent's Canal.

– Sádzawka Browninga? – Odwróciła głowę z zaciekawieniem.

– Tak, to taki minizbiornik, coś w rodzaju stawu, który widać z mostu, jadąc w stronę Paddington.

– Ach tak. Przy tym małym ogrodzie jego imienia. – Właśnie. Robert Browning miał tam dom. Zresztą to

on pierwszy wymyślił nazwę „Little Venice”. To miejsce przypominało mu...

– Wenecję.

– Tak. – Odchrząknąłem. Czułem już, że za bardzo się wymądrzam. Dlaczego sobie to robiłem, no dlaczego? – Miał tam letni dom na małej wysepce, gdzie przesiadywał ze swoją żoną, Elizabeth – dodałem słabo. – I pisał wiersze.

W głośnikach trzasnęło i rozległ się znowu głos przewodniczki.

– Wpływamy teraz na tak zwaną sádzawkę Browninga, nazwaną tak na cześć Roberta Browninga, poety, który miał letni dom na wysepce, którą widać na lewo...

Wysączyłem trochę wina i zasępiłem się bez powodu.

– Zdaje się, że sporo wiesz. – Wysunęła dolną wargę, żeby zdmuchnąć z czoła kosmyk włosów. – Czyżbyś wertował ostatnio miejscowe przewodniki?

Au, zawołałem w myślach, aua!

– Od kilku tygodni nic innego nie robię. Wstaję o szóstej, pedałuję jak szalony do Biblioteki Narodowej, gdzie codziennie do zmierzchu ślęczę nad książkami historycznymi o kanałach. Potem w niedziele i wtorki chodzę na kursy wieczorowe o kanale Grand Union. A wszystko po to, żeby zaimponować nowym sąsiadom.

– Ach... teraz rozumiem. Całkiem nieźle się podszkoliłeś. Jak tak dalej pójdzie, będziesz mógł oficjalnie robić za przewodnika. Zawsze jakaś alternatywa na wypadek, gdyby kaligrafia nie wypaliła albo obcięło ci ręce czy coś takiego. – Pokiwała głową w zamyśleniu i wydobyla z kieszeni koszuli kolejną wymiętą paczkę obco wyglądających importowanych papierosów. – Chcesz? Wspaniale

smakują. Samo zdrowie. Kupiłam je na wielbłądziej farmie w Tadżykistanie.

Zupełnie nie wiedziałem: żartuje czy mówi poważnie. Nie dawała tego po sobie poznać.

– Nie, dziękuję – odmówiłem. – Nie teraz, może później.

– Jak sobie życzysz. – Wysunęła jednego papierosa dla siebie i przypaliła go zapalniczką. – I wszystkich nowych sąsiadów zabierasz na taki rejs barką, żeby zrobić na nich odpowiednie wrażenie? Trzeba przyznać, że masz w sobie żyłkę prawdziwego społecznika.

– Cóż, właściwie koncentruję się głównie na starszych panach. Przynajmniej tyle mogę dla nich zrobić. Gdy się tutaj wprowadzają, wydają się tacy... tacy zagubieni.

Uśmiechnęła się.

Nie przestawaliśmy rozmawiać, gdy płynęliśmy Regens Canal, wdychaliśmy wilgoć tunelu Maida Hill i mijaliśmy zbiornik Widewater, gdzie kiedyś barki dostarczały swój ładunek do starej elektrowni węglowej i gdzie teraz dwóch mężczyzn pochylało się w milczeniu nad nieruchomymi wędkami. Po pewnym czasie, przy wciąż jeszcze jasnym i pewnym sobie londyńskim słońcu, znaleźliśmy się na tyłach samego Regens Park, po lewej stronie mając ogrody Grove House, a po prawej – eleganckie wille projektu Johna Nasha... Jej poczucie humoru, muszę otwarcie przyznać, lekko mnie deprymowało: było kąśliwe jak stado drażnionych przez dwieście lat os. Ogólnie rzecz biorąc, jej pewność siebie miała na mnie dziwnie przemożny wpływ: wytrącała mnie jakoś z równowagi, a jednocześnie sprawiała, że stawałem się bardziej rozluźniony. Być może, wydedukowałem, miało to coś wspólnego z tym, że tak dużo podróżowała.

Poza tym wszystko szło jak po maśle – wręcz aż za dobrze. Na tyle dobrze, że za nic w świecie nie mogłem zatruć atmosfery nietaktownymi, żalnymi, kretyńskimi pytaniami typu: „Masz chłopaka?” albo „Przepraszam, że się wtrącam, ale chciałbym coś ustalić: jesteś aktualnie z kimś związana?” albo „Dobrze myślę, że z

nikim się teraz nie spotykasz, to znaczy z żadnym facetem? A może w tym momencie masz kogoś, to znaczy jakiegoś faceta? A jeśli tak, ile to trwa i jakie... nie masz chyba pretensji, że o to pytam... są twoje oczekiwania w dalszej perspektywie?” Nie ma mowy. Nie mógłbym. Nie teraz, gdy była tak blisko, gdy była” tak prawdziwa. Zwlekałem więc. Minęliśmy ptaszarnię i zoo, chińską restaurację na wodzie i wreszcie bezpiecznie przybiliśmy do Camden. Rozmawialiśmy, żartowaliśmy, zaczęliśmy już trochę trzeźwieć, a ja zwlekałem.

– Aleja naprawdę nie chcę jechać do Australii. Naprawdę nie chcę. Rozejrzyj się tylko... – Wykonałem niesprecyzowany gest, który miał niby dowieść, że mam rację. – Nie ma takiej potrzeby, żebym ja jechał do Australii. Australia przybywa do nas.

Wcześniej przeciskaliśmy się przez australijski tłum na bazarze Camden Market i nie zdecydowawszy się na kupno produktów do aromaterapii i etnicznych dywaników od wiecznie uśmiechniętych australijskich handlarzy, postanowiliśmy pójść się napić przed podróżą powrotną. Siedzieliśmy teraz w pubie o australijskim wystroju, słuchając czegoś, co podejrzenie brzmiało jak australijski rock, obsłużeni przed chwilą przez dwóch sympatycznych australijskich barmanów, którzy, gdy Madeleine próbowała zamówić, podjęli się odegrania improwizowanej (i jakże zabawnej) minikomedi – jeden dźgnął drugiego łokciem w bok, żeby obsłużył ją pierwszy, a wtedy ten drugi dał nura między jego nogi i wyłonił się przed tym pierwszym, który z kolei zasłonił dłonią usta rywala i odciągnął go od baru i tak dalej aż do znużenia. Boki zrywać – Australijczycy.

Pociągnąłem nieśmiało łyk australijskiego wina.

– No bo zobacz, w Londynie są już miliony Australijczyków, gdziekolwiek się pójdzie. W sumie Londyn nie różni się zbyt od Australii. Może rzeczywiście, dzięki Bogu, nie mamy kangurów ani aborygeńskich tub, ale mimo to dzisiaj, teraz, w tej właśnie chwili w całym mieście ludzie rozpalają grille. – Westchnąłem. – Owszem, podjęliśmy śmiałą próbę odizolowania ich, wyrzucenia na koniec

świata, ale trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: nie udało się. Oni wszyscy wracają, jeden po drugim, żeby wyrzucić na nas zemstę. Właściwie to Australia musi być już praktycznie wyludniona.

Roześmiała się.

– Wciąż uważam, że powinieneś tam pojechać.

– Ale ja jestem Europejczykiem. Nie lubię torbaczy. Lubię historię, literaturę, muzykę, zmagania skoligaconych ze sobą dynastii. Tego typu rzeczy.

– Cóż, twoja strata. Bo to przepiękny kraj. – Wypuściła z ust błękitny łuk papierosowego dymu. – Próboweś kiedyś nurkować?

– Nie... nie próbowałem.

– Tak też myślałam.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie wyglądasz mi na nurka.

– A jak wyglądają nurkowie?

– Są jakby trochę bardziej... no wiesz, cool.

– Trochę bardziej cool? – Udałem, że nie czuję się urażony.

– Nurek nie chodziłby z wiklinowym koszykiem.

– Pożyczyłem go...

– Naprawdę?

– Od zawodowego nurka, mojego kumpla, który mieszka nade mną. Miał ich mnóstwo do wyboru. Jest właścicielem bogatej kolekcji wiklinowych koszy.

Uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Chcę tylko powiedzieć, że może powinieneś więcej podróżować. Obejrzeć Australię. Obejrzeć Wielką Rafę Koralową, bo właściwie nie wiesz, o czym mówisz. Daj spokój, musisz to zobaczyć. Pomyśl tylko: kiedyś objechanie świata trwało wiele miesięcy, nie wspominając o różnych chorobach, klęskach i wszelkich innych niebezpieczeństwach stwarzanych przez człowieka i naturę... jeszcze sto lat temu tak było... do diabła, sama wyprawa do Szkocji była już epickim przedsięwzięciem. A teraz wystarczy kilka godzin, kilkaset dolarów i

możesz się znaleźć, gdzie tylko chcesz. Jak można tego nie kochać? Jak można z tego nie korzystać? Po prostu żyjesz jak w zaścianku i przez to jesteś... co tu dużo mówić... uboższy. Jak to ktoś powiedział? Życie bez poszukiwań jest nic nie warte. – Wzruszyła ramionami. – Coś w tym stylu. W każdym razie, nigdy nie wiadomo, mógłbyś poszerzyć swoje horyzonty.

Znowu szpila. Aua.

– Ty mówisz o miejscu, a ja mówię o ludziach – skwitowałem.

– Jeśli chcesz, możemy pogadać o ludziach. – Zrobiła zamyśloną minę. – Ja, na przykład, jestem Australijką. Tam się urodziłam i wychowałam.

Aua aua aua.

Przez całą drogę powrotną na barcę pozwoliła, żebym cierpiał katusze, i dopiero tam skróciła moje męki.

– Zjemy teraz kanapki? – zapytała.

– Skąd wiesz, że wziąłem kanapki?

– Zajrzałam do koszyka, kiedy poszedłeś po wodę mineralną. – Uśmiechnęła się przepraszająco, ale bez skruchy.

– Dobrze. Oczywiście. Posilmy się. I otworzę jeszcze moje wino. Chociaż trochę się martwię, że może być za ciepłe...

Chwyciła mnie lekko palcami za brodę, czym zbiła mnie z pantałyku, i obróciła mi głowę tak, żebym na nią spojrzał.

– Hej, a tak przy okazji, nie jestem Australijką. Żartowałam. Nie musisz tak się gryźć.

– Żartowałaś?

– Tak. – Teraz naprawdę się śmiała.

Musiałem chyba zrobić zbaraniałą minę. Ale to jej dotyk, bardziej niż śmiech czy słowa, tak bardzo mnie skonsternował. Spojrzała na mnie łagodniej.

– Nie musisz wszystkiego brać tak poważnie, naprawdę. Nie miałem zielonego pojęcia, co powiedzieć, otworzyłem

więc wino z niepotrzebnie demonstrowaną wprawą i rozlałem je do

naczyń, o których opłukanie postarałem się wcześniej w pubie.

Wkrótce perkotalismy z powrotem ku kojącemu staremu światu Małej Wenecji, zostawiając za sobą Małe Sydney. Nad miastem zapadał zmierzch, miękki i balsamiczny, a my siedzieliśmy w błogim milczeniu i delektowaliśmy się kanapkami. Miałem kilka minut spokoju, żeby odzyskać równowagę i zebrać myśli. W pewnym momencie Madeleine kontemplacyjnie zapaliła papierosa i zmieniła pozycję, żeby móc – bardzo lekko – się o mnie oprzeć.

Tymczasem w mojej głowie – nie będącej, przyznaję bez bicia, krynicą rozsądku – wciąż tkwił problem, dla którego nie znalazłem jeszcze eleganckiego rozwiązania. W taki czy inny sposób, i to szybko, musiałem poznać jej sytuację osobistą. Z drugiej strony, jeśli kobieta dobrowolnie nie wychyla się z tą kluczową informacją, dyskretne zagadnięcie

o nią jest praktycznie niemożliwe. Jakieś sygnały? Nie było żadnych. A może było ich zbyt wiele. Flirtowała. Ale przecież wszystkie kobiety flirtują. A już zwłaszcza te nieosiągalne. Przyznaję – znalazłem się w intelektualnej kropce. W sytuacji patowej. Gdy mijaliśmy ptaszarnię, postanowiłem definitywnie wyjaśnić sprawę, nim wpłyniemy do tunelu Maida Hill.

– Jeśli można, zapaliłbym teraz jednego z tych twoich papierosów.

– Jasne. – Wyprostowała się lekko. – Ale się rozleniwiłam. Nie miałam pojęcia, że w Londynie może być tak... przyjemnie.

– Regens Park jest niedoceniany – stwierdziłem, odbierając papierosa i podaną przez nią zapalniczkę, gdy Madeleine znów wygodniej się rozsiadła. – Chociaż nie pojmuję, kto w tych czasach chce jeszcze chodzić do zoo. Myślałem, że ogrody zoologiczne w większości poupadały. Wydawałoby się, że trzymanie ptaków w gigantycznych siatkach nie jest zbyt na czasie. Ale wygląda na to, że zostało jeszcze kilka tysięcy zapaleńców, którzy bez widoku apatycznych pingwinów i wyliniałych żyraf nie wyobrażają sobie życia. Fajki naprawdę są z Tadżykistanu?

– Nie, z Damaszku.

– O! – Zaciągnąłem się. – Piekielnie mocne.

– Wcale nie, produkuje sieje ze specjalnie wyselekcjonowanego tytoniu. – Przyjrzała się swojemu papierosowi trzymanemu w wyciągniętej dłoni. – W Syrii można dostać najlepsze papierosy. Ale w sklepach ich nie znajdziesz. Mam znajomego, tureckiego tłumacza, który zdobywa je dla mnie, gdy tam jestem. Mario. Chociaż jego prawdziwe imię brzmi inaczej. A przynajmniej Syryjki inaczej się do niego zwracają.

Szelmowski urok alkoholu zaczął działać. Uniósłem się łagodnie, by sięgnąć po resztę wina.

– Dolewamy?

– Wykończmy tę butelkę. – Uwolniła kieliszek uwieczony między udami, opuściła nogi i znowu usiadła prosto. Nasze głowy prawie się dotykały.

– A jak do ciebie zwraca się większość ludzi? – zapytałem, starannie rozlewając pozostałości wina.

Błyskawicznie podniosła na mnie wzrok z nieoczekiwanym napięciem na twarzy, a jej oczy nawiązały bezpośredni kontakt z moimi.

Słumiłem w sobie chęć pocałowania jej.

– To znaczy, czy wszyscy mówią do ciebie Madeleine? A może Maddy, Mad lub jeszcze jakoś inaczej?

– Ach... o to ci chodzi. – Zrobiła pauzę. – Większość chyba mówi do mnie Maddy. Ale podoba mi się też moje pełne imię. A do ciebie jak się zwracają?

– W szkole mówiono do mnie Jacques. Chodziłem do szkoły za granicą – wyjaśniłem – a na nazwisko mam Jackson. Ale teraz zwykle mówią do mnie Jasper... nawet moje dziewczyny.

– Jesteś teraz z kimś? Odstawiłem pustą butelkę.

– Nie, aktualnie nie. Chodziłem z kimś, ale... że tak powiem, rzuciła mnie. To było kilka miesięcy temu. A jak jest u ciebie?

– O. – Zmarszczyła brwi. – Moi partnerzy mówią do mnie John,

Frank, a czasem Bradley.

Roześmiałem się.

– A w tej chwili?

– W tej chwili nikogo nie mam.

Młody chłopak, który jechał na rowerze nad kanałem na czele swojej rodziny, poderwał przednie koło i utrzymał tę pozycję, aż pochłonęła go ciemność tunelu.

12. Sen (*Jej obraz...*)

Więc jeśli śnię o tobie, tyś moja.

Bo radości wszelkie są fantazji plonem.

Fanfary niebiańskich trąb. Oj tak, czasem los uśmiechnie się do mężczyzny, a on może wtedy tylko żałować, że nie wierzy w Boga, któremu mógłby podziękować za Jego szczodrość. Wyglądało na to, że ład jest nie strzeżony. Teraz łodzie trzeba było nie tylko wciągnąć na brzeg, ale i spalić.

Zabranie na pierwszą kolację dziewczyny, o której myśli się poważnie, nie jest wcale łatwe. Mężczyźni na całym świecie mogliby zapełnić sądy, zeznając pod przysięgą, do ilu okropności i katastrof niechcący doprowadziły ich wysiłki. I bez wątpienia miliony kobiet mogłyby przebić te zeznania makabrycznymi opowieściami o wycierpianych przez nie katuszach i przeżytych potwornościach.

Z tego, co mi wiadomo, nasz wspólny przyjaciel, czyli przeciętny facet, ma do dyspozycji jakieś cztery, pięć strategii. Choć te są uzależnione od kondycji jego portfela i wrażenia, jakie chce zrobić, można je z grubsza sklasyfikować według typu, do jakiego delikwent sam siebie zalicza.

Pierwszą nazywam metodą claphamowską: nasz bohater (absolwent uczelni humanistycznej pod trzydziestkę, który lubi być na bieżąco z duchem czasu) przegląda tygodnik „Time Out” w poszukiwaniu jakiejś nowej popularnej knajpy na East Endzie, nim zadzwoni z biura podczas dogodnej przerwy między jednym zebraniem a drugim. W wyznaczony dzień o wyznaczonej godzinie stawia się i czeka na swą ochoczą

partnerkę, która zjawia się, jak można przewidzieć,

v

dziesięć minut spóźniona, a wtedy, po chwili początkowego skrepowania, przystępują do przyjacielskiej rozmowy i konsumpcji obsmażonych polędwiczek z tuńczyka (nie zastanawiając się ani razu, czy ta wielka ryba, ściśle rzecz biorąc, posiada część, z której można zrobić polędwicę). Drugie podejście stosują tak zwani Nadziani – wyelegantowani, wyperfumowani, napaleni frajerzy, którzy w swojej bezdennej głupocie nieźle się obłowili (giełda, narkotyki, technika informacyjna, konsulting itd.). Nadziany lubi zawrócić w głowie kolejką fatalnie przyrzędzonych koktajli i szpanerską wizytą w piekielnie drogiej, zdobionej chromową stalą kloace hotelowej restauracji, gdzie po dłuższym zastanowieniu oboje popijają średnio wysmażony stek *et frites* strumieniami chateau baron Rothschild (ponieważ nazwa wina poniekąd kojarzy się z bogactwem). Trzecia metoda charakteryzuje biednego, uczciwego, szczodrego aktora, dziennikarza telewizyjnego lub walczącego o uznanie krytyka, niedoszęłego reżysera filmów moralnego niepokoju. W tym przypadku nasz bohater może na miejsce spotkania udać się autobusem, by wzmocnić nieuzasadnione poczucie dobrej orientacji w wielkim mieście, które daje mu znajomość tras i rozkładów jazdy. Razem ze swoją dziewczyną zajada się rustykalnymi potrawami imitującymi kuchnię libańską, by potem szarpnąć się – ona się cieszy, jego skręca – na domowej roboty lody (które wcale domowej roboty nie są) i umówić się na następną niedzielę do kina na nowy duński film obyczajowy. Wreszcie na szarym końcu (i to całkiem zasłużenie) mamy paskudny tłumek bogatych nierobów z zachodniego Londynu – blade i niechciane potomstwo ostatniego pokolenia nuworyszy. Brawurowo mało inteligentni, ubrani z pozorną niedbałością, epatujący znudzeniem, jakby było ono przypiętym do kłapy odznaczeniem za odwagę, ci nieudacznicy zaciągają swoje flejtuchowate sekutnice w okolice Ladbroke Grove na apatycznie zamówione „wszystkokurwajedno” o jedynie pozorach etnicznej

autentyczności, w otoczeniu równie bezsensownych przyjaciół gotowych przylecieć na każde skinienie palcem, z nie wypowiedzianą obietnicą działki wiejskiej koki gdzieś w toalecie, jeśli wszystko pójdzie dobrze.

Wszystko to sprawia, że możemy tylko cicho zapłakać ze wstydu i rozpacz, skrywając twarz w dłoniach. Ale nasz przeciętny facet – w jego rozlicznych wcieleniach – lubi chadzać takimi właśnie ścieżkami. Świat pełen jest palantów i nic na to nie można poradzić. Idealizm, co mogliście zauważyć, umarł śmiercią szybką, lecz tragiczną. Don Kichot szarpał się na darmo, a Karol Marks już dawno popadł w zapomnienie, mamrocząc swą prawdę jak obłąkany włóczęga, który leży na podartym kartonie na chodniku przed stacją King's Cross. Żyjemy w czasach „najniższego wspólnego mianownika”. I Boże mój, jest on zaiste niski.

U mnie wygląda to tak.

O wpół do dwunastej odkładałam pióro i dzwonię do Carli do „Danilo's”.

– Cześć, Carla – mówię. – To ja, Jasper. Udany urlop?

– Tak. Bardzo. Dziękuję. Widziałam się z dziećmi mojej siostry i byliśmy na pierwszym meczu Romy, w tym roku chyba wygramy. Na wielkim stadionie jest to coś niesamowitego. No i to słońce, zawsze świeci. Wcale nie chciało mi się wracać do Londynu. Powiedziałam Dann/emu: musimy otworzyć nową restaurację tam, a tutaj zwinąć interes. Ale on na to, że w Italii wszyscy umieją gotować, więc czym my byśmy się wyróżniali? – Wzdycha. – I pieniądze nie takie. A co u ciebie?

– Wszystko dobrze.

– Nie było mnie, żeby dopilnować sprawy z tą dziewczyną, ale... – w jej głosie pobrzmiwa wesołość – ale Roberto mówił, że nie muszę cię już zawiadamiać o jej wizytach. Byłeś z nią u nas na kawie... wszyscy już wiedzą. Wpadniecie dzisiaj razem na lunch?

– Nie, dzisiaj nie – wyjaśniam. – Ale czy byłabyś tak miła i zadzwoniła w moim imieniu do Bruna? Bardzo by mi zależało na

stoliku w najbliższy wtorek.

– Jasne. Dla przyjaciół... czy dla dwojga?

– Dla dwojga.

– Załatwione. – Znów uśmiech w głosie. – Żaden problem. Widzimy się jutro?

– Tak. Dziękuję ci, Carla.

Następnie Carla dzwoni do Bruna. (I zauważmy mimochodem, jak intuicyjna znajomość życiowych subtelności prowadzi Carłę do odróżnienia kategorii „przyjaciół” od kategorii „dziewczyn” – potencjalnych czy nie.) Wracam do pracy i kończę następnych parę linijek.

O wpół do piątej robię sobie przerwę i dzwonię do „La Casetta” – bezapelacyjnie najlepszej włoskiej knajpy w mieście. Telefon odbiera Bruno.

– Cześć, Bruno, mówi Jasper, co słyhać?

– Wszystko jak najlepiej.

– Interes się kręci?

– Całkiem nieźle. Ale te cholery z góry ciągle marudzą, że im za głośno, więc muszę się z nimi użerać. Dlaczego ja, pytam...

Rozmowa toczy się w tym kierunku przez jakieś trzy minuty: Bruno przypomina mi, jakie trudności ma z sąsiadami i ich skargami, a ja w odpowiednim momencie zmieniam temat.

– Słuchaj – mówię. – Mam do ciebie wielką prośbę, chodzi o najbliższy wtorek.

– Ach tak, Carla wspominała, że zamierzasz do nas zajrzeć.

– Dostanę stolik?

– Oczywiście, ma się rozumieć. Nie martw się, jeśli trzeba będzie, coś tam pozmieniam.

– Aha, Bruno, będziesz pamiętał o grubasach?

– Będę, Jasper, będę pamiętał.

Po co to wszystko? Bo ja w przeciwieństwie do Carli nie jestem dla Bruna rodziną – są kuzynami i Bruno nigdy nie odmówi Carli, choćby

miał wszystko pozajmowane. Ponadto w ten sposób daję Brunowi do zrozumienia, jak ważny jest dla mnie ten wieczór, i tym samym powoduję, że nie tylko wystara się o mój ulubiony stół, lecz także o to – co jest szalenie istotne – kto będzie siedział przy pobliskich stolikach. Innymi słowy: żadnych grubasów.

Upolowanie stolika w najlepszej włoskiej restauracji to dopiero połowa sukcesu. Żeby zadbać o ogólny komfort – mój, innych gości i przede wszystkim Madeleine – najlepiej jest dokonać segregacji: kobiety interesu, osoby starsze, lesbijki i tak dalej blisko; gapiące się lubieżne tłusciochy jak najdalej. I nie dajcie się zwieść – im są grubszy, tym bardziej się gapią.

Jak to się stało, że mam takie chody w „La Casetta”? Karty dań... karty dań, rzecz jasna. Wszystkie czterdzieści i cztery odręcznie wykaligrafowane przepięknym pismem *Littera Gothica Textualis Rotunda Italiana* – ku uciechu zarówno Augusta, hojnego właściciela, jak i tego wielkiego laickiego ludu o obumarłych podniebieniach, czyli autorów felietonów kulinarnych. Było to całkiem przyjemne zlecenie, przekazane za pośrednictwem Carli i wykonane całkowicie gratis z obietnicą dokonywania poprawek dwa razy do roku w zamian za darmowe stołowanie się od czasu do czasu. Ta cała kaligrafia, jak się okazuje, to nie takie znowu durne zajęcie.

Potem, za piętnaście piąta, dzwonię do Royów. Odbiera Roy junior.

– W porządku, Roy?

– Wszystko gra.

– Słuchaj, ile za wtorek od jedenastej trzydzieści do pierwszej?

Ostre wciągnięcie powietrza, a potem: – Noooo... We wtorek jestem w Keele. Mam tam coś nagrane. Sam rozumiesz.

– Znowu? We wtorek?

– Zapracowany jestem.

– Nie możesz podjechać tam później? Przed północą będzie już pewnie po wszystkim.

– Nie bardzo, stary. Potrzebują mnie... no, wiesz... żeby wcześniej

wszystko załatwić.

– Cholera. Naprawdę jesteś mi potrzebny. Sprawa jest arcyważna.

– Cztery dychy. Ani pensa mniej, stary.

– Nie da się za dwie? – Trzy?

– Dobra. Niech będzie trzydzieści.

Następuje przerwa, w czasie której Roy przemyśliwa, w co się wpakował, po czym mówi:

– Ale dwie dychy ekstra za każdą dodatkową godzinę po pierwszej... tak?

– Zgoda. Tak długo to nie potrwa.

– Umowa stoi.

Mam już odłożyć słuchawkę, ale dodaje: – Roy?

– Tak mam na imię... nie nadużywaj go.

– To ważna sprawa, więc chciałbym, żebyś się sprawił na sto procent. Tak jak ostatnim razem.

– Z tą Lucy z podskakującymi cycuszkami?

– Właśnie.

– Spokojna głowa, stary.

Jak mogliście się domyślić, po rejsie barką poszedłem za ciosem i po prostu zapytałem ją, czy zechce zjeść ze mną w tygodniu kolację. Żadnych zobowiązań. Żadnych podtekstów. Po prostu: czy pójdzie ze mną na kolację? Rzucone z nonszalancją przeciągającego się kota. Rutyna. Niemal pytanie retoryczne, które padło, gdy schodziliśmy na ląd przy Warwick Avenue.

I powiedziała „nie”.

I serce przestało mi bić.

I patrzyła z uśmiechem, jak czas i przestrzeń wysychają zawstydzone i obracają się w ziemski pył.

I obiecałem stworzyć nowe bóstwo na jej podobieństwo i złożyć w ofierze milion baranków, jeśli tylko przemówi do mnie jakimś dobrym słowem, nim zwróćę zakrwawione ostrze przeciwko sobie.

I wreszcie przerwała milczenie. Wyjaśniła, że przyjęła już specjalne

zlecenie od „The Timesa” na wyjazd do Filadelfii i spędzi w Ameryce cały tydzień – przykro jej. A może w przyszły wtorek?

I zdołałem pozbierać swe rozpadające się jestestwo. Powiedziałem, że zadzwonię w przyszły poniedziałek, żeby potwierdzić i uzgodnić, gdzie się spotkamy i do której restauracji pójdziemy... jeśli się zgadza.

I powiedziała „no pewnie” i „dzięki za tak niespodziewanie miły dzień”.

I poszedłem do domu, i położyłem się spać, ale to była parodia snu.

Wybieram metro za każdym razem, gdy jadę na spotkanie z kimś, z kim zamierzam porządnie sobie pokonwersować. Przekonałem się, że spekulacje i wyobrażenia zainspirowane obecnością tylu nieznanymi osobami, z którymi nie muszę rozmawiać, w jakiś sposób stymulują mój umysł i sprawiają, że staję się nieco bardziej otwarty, nieco bardziej zaangażowany. Co więcej, zawsze mi się wydaje, że podróżowanie londyńskim metrem jest czymś zbliżonym do doświadczeń, które kiedyś były chyba udziałem wiktoriańskich antropologów odwiedzających przytułki dla obłąkanych – podobnie osaczone instytucjonalnymi odcieniami zieleni i czerni, nawiedzane świstem dziwnych wiatrów i odległymi zawodzeniami, rozbrzmiewające mysim tupotem i człowieczym szuraniem; miejsca, gdzie czas stale się wydłuża, kurczy lub gubi; miejsca nadmiernej jasności lub nadmiernego cienia, przesyconego brudem powietrza i niewytłumaczalnych szumów, gorących oddechów i gwałtownych szarpnięć, delikatnego drżenia i szalonych konwulsji... W tamten wtorkowy wieczór ja i moi obłąkani towarzysze pruliśmy razem linią Bakerloo, usiłując przy tym nie gapić się na innych, nie przewrócić się i nie odgryźć sobie języków. Na stacji Piccadilly Circus, precyzyjnie się przez tabuny napierające z przeciwka, ci z nas, którzy mieli siłę chodzić, zdołali się wydostać na zewnątrz. Gdy znaleźliśmy się na powierzchni, zadziwiła nas pogoda – podmuchy wiatru, ciemniejsze niebo, obietnica burzy i ani śladu po parnym późnym popołudniu, które niedawno zostawiliśmy za sobą nad położonym bardziej na północ odcinkiem linii. Najwyraźniej West End

podpisał umowę z zupełnie innym dostawcą systemów pogodowych – przypuszczalnie dostał więcej kanałów.

Gdy oddzieliłem się od reszty, ruszyłem Shaftesbury Avenue i jak skalpel przecinałem wrzody amerykańskich turystów, którzy toczyli się jak hotdogi chodnikami między restauracjami, penetrowałem gangi nastoletnich skośnookich rozrabiaków, którzy snuli się między salonami gier w obwisłych dżinsach, naśladowując akcent czarnych, mijałem skupione pod bankomatami obozowiska bezdomnych paplających każdy bez wyjątku przez telefony komórkowe, omijałem kibiców piłkarskich z Sunderland przybyłych nauczyć londyńczyków, jak się bawić, bełkoczących już i zataczających się, przeciskałem się przez masy klientów Marksa & Spencera, którzy tłoczyli się wokół teatrów muzycznych, skręciłem w lewo w Wardour Street, gdzie trzydziestokilkuletni przedstawiciele mediów paradowali z torbami z miękkiej skóry mającymi podkreślić ich kreatywność, i wreszcie wkroczyłem na teren samego Soho i Old Compton Street, gdzie gejowskie bataliony defilowały pod swymi sztandarami, a faceci bez wyraźnego celu obwozili swoje urodzinowe zdobycze w wielkich złotych riksach.

Dostrzegłem ją od razu, gdy tylko wszedłem do baru. Miała na sobie białą garsonkę – długie, luźne, nieco męskie spodnie i obcisły zakiet zapinany na jeden guzik. Wyglądała jak zjawisko ze snu Yves Saint Laurenta. I siedziała na moim ulubionym miejscu w głębi baru, skąd miała widok na całą salę, a zwłaszcza na drzwi, których próg właśnie przeszedłem. Zobaczyła mnie i wstała. Ludzie odwrócili głowy. Ucichły rozmowy. Nie pozostało mi nic innego, jak podejść do niej.

– Cześć, Jasper, miło znowu cię widzieć. – Uśmiechnęła się i przez chwilę myślałem, że poda mi do uściśnięcia dłoń. – Dojechałam tu dużo szybciej, niż myślałam. Co u ciebie? Czego się napijesz?

– Cześć. Wszystko dobrze. Dzięki. – Byłem podenerwowany. – Ślicznie wyglądasz, taka opalona. W Ameryce musiało być bardzo gorąco. Tutaj pogoda w kratkę. Udało ci się wczoraj odpocząć po

podróży?

– Tak, dzięki. Chyba już odespałam.

Zerknąłem na jej szklanę z pewną obawą.

– Co pijesz? Wezmę to samo.

– Wyobraź sobie, że dzisiaj sączę pernod. Nie przepadam za nim, ale lubię patrzeć, jak zmienia kolor w szklance. I trochę mi przypomina St Tropez... nie, żebym tam kiedyś była. Chyba czytałam o nim we wczorajszej gazecie.

– Dobra. Idę zamówić.

– Nie. Mam w barze kartę i muszę wydać co najmniej piętnaście funtów, więc pozwól...

– O, w takim razie... poproszę ten likier. Wystarczy?

– Nie sądzę, ale mamy mnóstwo czasu. – Wstała i wskazała mi fotel przesadnym gestem stewardesy. – Siadaj, proszę.

Wykonałem polecenie.

„Ear Bar”: podniszczony, mroczny, neutralny; ratanowe fotele, skórzane sofy, ciemne drewniane stoliki i kremowe ściany – prowadzony przez Francuza. Moje ulubione przedkolacyjne miejsce spotkań, którego nazwa wzięła się stąd, że dwie lampki zamykające brzuszki litery „B” w „Bar” dawno temu się przepaliły i nigdy nie zostały wymienione... Barowi temu nieobce jest kołysanie biodrami zabłąkanych londyńskich symbolów seksu, które zaglądają tu po godzinach, chcąc uciec przed ziejącą nudą klubów z Soho i nieustająco cynicznym osądem ulicy, ale mimo to... Gdy Madeleine przechodziła przez salę, wszyscy musieli zaangażować maksimum energii i koncentracji, żeby oderwać od niej wzrok i skupić się na swojej rozmowie, swoim drinku, swoim życiu.

Ja tymczasem skorzystałem z krótkiej chwili samotności, żeby wprowadzić się w stan hipnozy i wmówić sobie, że to tylko zwykła dziewczyna, a to tylko zwykła kolacja. Obiecawszy im po cichu prawdziwą ucztę w przyszłości, wyłączyłem swoje zmysły.

Madeleine odeszła od baru i wróciła do naszego stolika.

Zignorowałem nową fryzurę (jakoś bardziej wygładzoną, mocniej podkreślającą linię kości policzkowych), zignorowałem jasne czoło, zignorowałem te jej orzechowe oczy, zignorowałem nawet jej chód... Kogo to obchodzi, zapytałem sam siebie. Nie mnie. Nie dzisiaj. O nie. Roztaczaj swoje wdzięki gdzie indziej, kochana. Jestem tutaj po to, żeby słuchać i się uczyć. To wszystko. Nie próbuj ze mną żadnych swoich numerków.

Zanim usiadła z drinkami, byłem już gotów do konfrontacji.

– Jak pobyt w Ameryce? – zagadnąłem.

– Ciekawy, jak zawsze. – Pochylając się do przodu, naląła wody do likieru i przyglądała się z zachwytem, jak płyn w szklankach mętnieje i żółknie.

– Gdzie byłaś?

– W Filadelfii. – Podała mi likier. – Pisałam o wycieczkach dla smakoszy.

– Ach tak, mówiłaś. Dlaczego akurat Filadelfia? Rozsiadła się wygodniej i, czego nie zauważyłem, założyła nogę na nogę.

– Bo lubią myśleć, że są kulinarną stolicą Stanów, taką mekką dla wielbicieli dobrego jedzenia. Rzecz jasna, to tylko próba ściągnięcia większej liczby turystów. Ale jest w tym trochę prawdy. W każdym razie jeden z wydawców wysłał tam grupę dziennikarzy, żeby mogli się sami o tym przekonać. Uważają chyba, że na rynku brytyjskim jest wystarczająco dużo potencjalnych klientów, żeby im się to opłaciło. Chociaż nie wiem, kogo mogą mieć na myśli. – Pokręciła głową.

Miałem powiedzieć coś o prawdziwych przysmakach i Europie, ale powstrzymałem się, pomny ostatniego razu, kiedy to rozgadałem się o antypodach.

– I co? Jedzenie było smaczne?

– Nie mam pojęcia. Nie miałam czasu porządnie zjeść.

– Aha.

Przypaliła papierosa i zgasiła zapałkę, machając ręką.

– Nie, to wszystko było tak naprawdę bardzo dziwne. Drugiego dnia

odłączyłam się od głównej grupy i w końcu zrezygnowałam z obchodu po restauracjach, bo trafiłam na lepszy temat, na którym będę mogła oprzeć cały artykuł.

Rozluźniłam się trochę. Kontynuowaliśmy naszą znajomość mniej więcej od tego samego miejsca, w którym ją przerwaliśmy po rejsie barką, i nie było co do tego żadnych wątpliwości. W jakiś po części cyniczny, po części nabożny, po części rozbawiony sposób zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy się znali od lat.

– Otóż okazuje się – mówiła – że burmistrz Filadelfii właśnie zrzucił dwadzieścia kilo i strasznie się zachwyca swoją nową figurą. A teraz chce, żeby wszyscy w mieście przeszli na dietę, bo, jak twierdzi, wszyscy są za grubi.

– Naprawdę?

– O tak. Zainicjował miejski program odchudzania. Mówi, że miasto musi zrzucić w sumie siedemdziesiąt sześć tysięcy ton czy coś koło tego, nigdy nie pamiętam liczb. W każdym razie średnio wychodzi po dziesięć kilo na łebka.

– O raju. Uśmiechnęła się.

– I tak toczy się wojna o kilogramy, w której biją się wszyscy. Powstały przeróżne frakcje: dumnych grubasów, grubasów z poczuciem winy, szczęśliwych grubasów, smętnych grubasów, miłych grubasów, złych grubasów... i tak dalej. Do tego dochodzą ci wszyscy pasjonaci zdrowego stylu życia, liberałowie, ekolodzy, producenci żywności i lobby rolnicze. I wszyscy walczą jak wściekłe fretki w worku. Właściwie całe miasto chwyciło za broń. Temat drażyłam przez niecałe dwa dni i zebrałam tyle świetnych cytatów, że mogłabym nimi zapełnić całe niedzielne wydanie.

– Jezuniu. – Znowu umoczyłam usta w likierze.

– Okropieństwo. Cała sprawa jest obrzydliwa.

– Studiowałam filozofię – wyznałam z żalem w odpowiedzi na jej pytanie, gdy Bruno osobiście rozlał nam do kieliszków resztki wybornego barolo i dyskretnie pozostawił na stole menu z deserami.

Godziny mijały niepostrzeżenie i oboje byliśmy lekko oszołomieni winem. – Coś zupełnie nieprzydatnego... no, może nie do końca. Filozofia uczy chyba, jak myśleć. Jak... w bardzo niewielkim stopniu... dowodzi swoich racji. Ale pozostawia okropny osad jakiegoś takiego... nie wiem...

– Egzystencjalnego niepokoju? – Przekomarzała się ze mną.

– Tak. – Kiwnąłem głową, nie zwracając uwagi na łagodny sarkazm w jej głosie. – Jest jeszcze jeden problem. Człowiek staje się klinicznie niezdolny do przyjmowania rzeczy takimi, jakimi z pozoru się wydają. Filozofia podwyższa...

a raczej pogłębia... wiedzę o tym, jak myślą inni... albo jakimi systemami światopoglądowymi się kierują. I jak bardzo są one niekonsekwentne i nieprzemyślane.

– Czy to cię dziwi?

– Nie. Ale w pewnym sensie obraża. Moim zdaniem, jeśli się w coś wierzy, trzeba też zająć logicznie stanowisko w pokrewnych sprawach, ale w naszych działaniach tak mało jest konsekwencji. Jakby ludzie nie zauważali, że zajmowane przez nich stanowiska wzajemnie się wykluczają... co gorsza, są absurdalne.

Madeleine sięgnęła do torebki po papierosy.

– Na przykład maszerują w antykapitalistycznej demonstracji w sportowych butach zszywanych przez biedne sieroty z Azji.

– Właśnie. – Po raz kolejny byłem zaskoczony, jak szybko odgadywała, co mam na myśli. – Albo odrzucają z miejsca Boga, natomiast entuzjasmują się feng shui. Nie ma pewnej dyscypliny w myśleniu. Wszystko jest niespójne, nie powiązane ze sobą. Jak gdyby zalewała nas fala ignorancji i zostały tylko samotne, oddalone od siebie wysepki tych, którzy choć trochę się na czymś znają. To znaczy, nie obchodzi mnie, w którą stronę ktoś pójdzie, niepokalanych poczęć czy feng shui – chociaż przyznaję, że jedno i drugie jest dla mnie równie nieprzekonujące – ale ogarnia mnie rozczarowanie, gdy widzę, że ludzie nie do końca rozumieją konsekwencje podjętych wyborów. – Zdałem

sobie sprawę, że się rozgadałem, nie po raz pierwszy tego wieczoru, i spróbowałem, może trochę zbyt niezdarnie, przekazać jej pałeczkę. – No, a ty?

Potarła zapałkę. – Co ja?

– Co robiłaś?

– Na studiach? – Wypuściła pierwszy obłok dymu, nie zaciągawszy się.

– Tak. – Wzruszyłem ramionami. – Na studiach.

– Zajmowałam się literaturą południowoamerykańską. – Spoważniała. – Ale mam w torebce CV. Pomyślałam, że moglibyśmy je razem przestudiować przy kawie. Zakładałam, że masz swoje przy sobie?

– Oczywiście, i to bardzo dobrze napisane. – Uśmiechnęła się, a ja pociągnąłem łyżeczek wina. – Gdzie studiowałaś?

– W Stanach.

Myślałem, że powie coś więcej, ale zamiast tego zastosowała swoją sztuczkę: po prostu patrzyła na mnie i paliła papierosa. Nie ustępowałem jednak.

– Wychowałaś się tam? Prawie nie masz akcentu.

– Nie, wychowywałam się w wielu miejscach. Mój ojciec pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Od jakiegoś czasu jest na placówce we Francji, ale wcześniej przenoszono go z miejsca na miejsce. Chodziłam do szkoły tam, gdzie go posyłano. Jeśli się przenosił, to ja razem z nim. Zazwyczaj trafiałam do idiotycznych szkół dla dzieci dyplomatów. Ale pod pewnymi względami było fajnie. A potem ojciec zapisał mnie do angielskiej szkoły z internatem, która była... wiadomo jaka.

– A twoja matka? Co robi?

– Nic. Umarła, gdy byłam jeszcze dzieckiem... A twoja? – zapytała, jakby po namyśle.

– Rodzice zginęli, gdy miałem cztery lata. Nawet ich nie pamiętam. Wychowywała mnie babcia i chyba lepiej na tym wyszedłem. Obawiam się, że nie mam najlepszej opinii o poprzednim pokoleniu.

– Faktycznie jacyś tacy mało udani.

Jak mi poszło? Jak mi poszło w alkwie „La Casetty”, naszego włoskiego domku z bielonymi ścianami, jedną świeczką i drzewkiem laurowym rosnącym w terakotowej donicy w kominku? Czego się dowiedziałem? Wielu rzeczy. Przy *zuppa di fave* (dla niej) i *caponata* (dla mnie) odkryłem, że jesteśmy rówieśnikami i że Madeleine płynnie włada hiszpańskim; przy *ravioli grandi ripieni di cozze e coda di rospo eon salsa di pomodori freschi san marzano* (duże kluski z boskimi pomidorami dla niej) i *agnolini ripieni di seluaggina eon salsa al tartufo* (drobne kluski z truflowym rajem w gębie dla mnie) dowiedziałem się, że jej ulubionym gatunkiem muzyki jest jazz, ale nie bigbandy, których „pasjami nie znosi”, szczególnie upodobała sobie zaś Oscara Petersona i dysponowała na jego temat fanatyczną wprost wiedzą (a może to po prostu zupełnie nic o nim nie wiedziałem), a także wszystko, co miało jakiś związek z Niną Simone, Ellą Fitzgerald, Billie Holiday lub Ann Peebles, w tym ostatnim przypadku zwłaszcza piosenkę pod tytułem *Tear Your Playhouse Down* czy jakoś tak. Przy *scaloppina di uitello* (czy jest druga tak bezwstydnie mięsożerna dziewczyna?) i *branzino in padella* (czułem, że muszę dla kontrastu zamówić rybę) usłyszałem, że gdy miała dziewiętnaście lat i mieszkała w Buenos Aires podczas urlopu dziekańskiego, o mały włos wyszłaby za męża za dużo starszego faceta, i gdyby nie jej siostra, niemal na pewno zrobiłaby to – zrezygnowała ze studiów i spieprzyła sobie życie. „Prawdopodobnie miałabym teraz dwanaścioro dzieci, mieszkałabym w przyczepie i klepałabym biedę”.

Nie poruszałem więcej tematu jej rodziców po tym, co już mi powiedziała. Przez cały wspólnie spędzony czas wypłynął najwyżej dwa razy. Jeśli chodzi o mnie, wymiana informacji o rodzinie nigdy nie była rytuałem, do którego przywiązywałbym jak inni większą wagę. Ale zauważyłem jedno: Madeleine bezustannie stosowała wobec mnie moje własne chwytły. Mniej więcej za każdym razem, gdy próbowałem skłonić ją do powiedzenia czegoś o sobie, ona albo uciekała się do żartów, albo przerzucała pytanie na mnie.

– Z kim się spotykasz, gdy wracasz do Londynu? – zapytałem, opadając na krzesło po powrocie z toalety, i natychmiast pożałowałem bezpośredniości tego pytania. – Gdzie najczęściej chodzisz? Utrzymujesz jeszcze kontakty z przyjaciółmi ze Stanów?

– Tak naprawdę z nikim się nie przyjaźniłam. Alienowałam się. – Przybrała zboląły wyraz twarzy.

Pokiwałem ironicznie głową.

– Pewnie dlatego, że w dzieciństwie chodziłaś do różnych szkół i nigdy się nie nauczyłaś utrzymywania trwałych przyjaźni?

– Otóż to. – Uśmiechnęła się.

– A ponieważ dziennikarze twojej specjalności są ciągle w rozjazdach, podejrzewam, że nie zbierają się na Fleet Street lub w Westminsterze jak inne pismaki.

– Oj nie. – Pokręciła głową. – Masz rację. Żyję w tragicznym odosobnieniu. Nie mam przyjaciółek. Kobiety zwykle ich nie mają. W głębi duszy pochłania nas zacięta rywalizacja, która uniemożliwia zawarcie prawdziwie głębokiej przyjaźni z drugą kobietą. Wieczorami siedzę więc najczęściej sama w rozgardiaszu mojego nowego mieszkania, czytam poradniki dla osób o niskim poczuciu własnej wartości i ze łzami w oczach wpatruję się w przestrzeń przy butelce wina i dźwiękach *AU by Myself*.

– Cóż, jeśli będzie ci naprawdę ciężko, mogłabyś mi zapłacić, a ja dzwoniłbym do ciebie za każdym razem, gdy trzeba cię będzie podnieść na duchu albo gdy uznasz, że to ci pomoże, czy co tam innego.

– To bardzo miło z twojej strony, Jasper. – Wzięła do ręki menu z deserami. – Jedzenie było przepyszne. A to wygląda po prostu bajecznie.

– Owszem – odparłem spokojnie. Nie miałem pojęcia, co ma na myśli: pismo czy same desery.

– Ale ja chyba spasuję. Wezmę tylko kawę. – Podniosła wzrok. – A ty?

– Nie przepadam za słodyczami. Wyłuskała kolejnego papierosa.

– Wiesz, jedną z najsmutniejszych rzeczy w życiu kobiety jest to, że głodzimy się jak szalone, chcąc ładnie wyglądać, między innymi po to, rzecz jasna, żeby zrobić na złość naszym przyjaciółkom, ale też żeby podobać się mężczyznom i... – Próbowałem jej przerwać, ale nie dopuściła do tego. – Taka jest prawda. Oczywiście, że tak. I daje to efekty. Rzeczywiście podobamy się facetom, gdy jesteśmy szczupłe. Głodzimy się jak szalone i zgadnij, jaka czeka nas za to nagroda? Zgadnij, co się dzieje, gdy wszystko idzie po naszej myśli i zdobywamy wymarzonego mężczyznę?

– Co?

– On zabiera nas na kolację. Roześmiałem się.

– To jakaś farsa. Okazuje się, że życie kobiety jest jedną długą dietą, a jej jedynym celem: zaproszenie na kolację, której i tak nie śmie zjeść.

Podszedł jeden z kelnerów. Zamówiłem dwie kawy espresso i wyłudziłem od Madeleine kolejnego papierosa. Podała mi kartonik zapalek (z Village Vanguard, nowojorskiego klubu jazzowego) i przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, paląc papierosy. I wtedy, na pozór od niechcenia, zapytała:

– Jasper, jaka jest twoja ulubiona litera?

Musiałem ukryć zdumienie. Nikt – nawet William, Lucy czy Saul – nikt nigdy nie zadał mi takiego pytania. Tylko babcia, dawno temu, gdy miałem jakieś sześć, siedem lat i bawiłem się na podłodze naszego mieszkania w Oksfordzie, ćwicząc się w pisaniu alfabetu flamastrami.

– X – odpowiedziałem na wydechu – litera X.

– Nietrudno zgadnąć, prawda?

– Dlaczego?

– Bo jest najbardziej wytworna. – I dodała umyślnie zniżonym głosem, z teatralnym westchnięciem: – Litera anonimowości i tajemnicy.

Pokręciłem głową. To był mój rewir.

– Nie zgadzam się. Najbardziej wytworną literą jest zdecydowanie

Q. Zarówno jeśli chodzi o jej kształt, zwłaszcza cudowny potencjał tak zwanego ogonka, jak i fakt, że nie toleruje obok siebie innych liter prócz U. Jaka inna litera zdobyłaby się na taką arogancję? W Q jest coś ze świata mody: czysta, wyniosła elegancja. Na pewno bardziej niż w przypadku X.

– Dobrze, w porządku. No więc dlaczego X?

– Oczywiście, jest symbolem anonimowości i tajemnicy. Ale prawdziwym powodem jest to, że jako jedyna litera wymaga kontrpociągnięcia.

– Czego?

– Wyobraź sobie, że podstawowy i najbardziej płynny ruch pióra prowadzi z dołu do góry od lewej w prawo, i im szybciej pracuje skryba, tym bardziej chce utrzymać ten układ. Tak? A teraz pomyśl o alfabecie...

– Mhm.

– Jedyną literą, która uporczywie domaga się ruchu w przeciwnym kierunku, jest X. Pomijając kropki i kreski, z każdą inną literą można sobie poradzić. Ale do X trzeba wrócić, chociaż wtedy brniemy jakby pod prąd. Pokiwała powoli głową.

– To musi być dziwne, gdy cały czas myśli się o literach.

– Trochę tak. – Zamyśliłem się na chwilę. – Chyba najwięcej o tym wiedzą ci, którzy grają w scrabble. Wiesz, jak to jest, gdy wyciągasz z woreczka jakąś literę: masz indywidualny stosunek do tej litery. Myślisz sobie: „o, świetnie, F” albo: „o cholera, jeszcze jedno A”, wtedy podstawową kategorią nie są słowa, lecz litery. Czekasz na X, Q i tak dalej i zaczynasz postrzegać alfabet jako zbiór dwudziestu sześciu znaków, z których każdy ma swoją osobowość. Właściwie, gdy się nad tym teraz zastanawiam, „znak” to dużo lepsze słowo niż „litera”. Nie jest dziełem przypadku, że najlepszymi kaligrafami są Chińczycy. Oni rozumieli, na czym polega różnica.

Podano kawę – gorącą, mocną i doskonale zaparzoną.

Roy junior czekał na zewnątrz, sześć domów dalej, w naciągniętej na

oczy baseballówce, siedząc niewzruszenie za kierownicą lekko sfatygowanego mercedesa ojca. Nie wybiła jeszcze północ i londyńska noc wciąż pulsowała dookoła jak krew kokainisty. Oboje byliśmy rozluźnieni – jeszcze niezupełnie pijani, ale odprężeni. Mimo wszystko wolałem uniknąć jakichkolwiek niezręczności podczas tych pierwszych sekund po wyjściu z restauracji, będących jakże często zmorą pierwszych wieczornych damskomęskich spotkań. Co robić? Pytania się mnożą. Zapropionować kolejnego drinka? Jeśli tak, to gdzie? I w jakim celu? Zamówić jej taksówkę? I liczyć na to, że ciebie też do niej zaprosi? Walnąć prosto z mostu: Do ciebie czy do mnie? Czy może potwierdzić przyszłe spotkanie i wycofać się ochoczo? Podziękować jej za czarujące towarzystwo i zostawić, żeby sama postarała się o powrót do domu jak we wszystkie pozostałe noce swego życia? Spróbować ją pocałować?... Uliczna panika amatora. Ja oczywiście ustaliłem zawczasu, że proponuję jej odwiezienie taksówką do domu (choć raz istniały ku temu

geograficzne powody), chyba że będzie miała wyraźną ochotę na ciąg dalszy, a wówczas doskonale wiedziałem – tak jak Roy – dokąd się udamy. Poza tym moim jedynym zadaniem było umówienie się na trzecie spotkanie, co zamierzałem zrobić w trakcie jazdy. A gdy już ta sprawa zostanie ustalona, planowałem włączyć cnotliwie ku mojej żerdzi – chyba że, znowu, ona miałaby inne zamiary, a wtedy...

Ostatecznie jednak Madeleine oczyściła sytuację z potencjalnej niezręczności, zapowiadając powrót do domu, nim ja zdążyłem cokolwiek zasugerować. I wtedy, po kilku refleksjach na temat astronomicznych stawek londyńskich taksówkarzy, przywołałem skinieniem ręki Roya, dodając bardzo a propos, jakie to mamy szczęście, że tak szybko złapaliśmy taksówkę, i odjechaliliśmy.

Gdzieś między majaczącymi światłami i zwariowanym ruchem ulicznym wokół Marble Arch powiedziała:

- Słuchaj, pamiętasz, wspominałam wcześniej o jazzie? Ja:
- Tak. Ona:

– Za kilka tygodni w Shepherd’s Bush Empire wystąpi zespół, który gra coś w rodzaju jazz funk, ale czytałam w gazecie, że są świetni. Poszedłbyś ze mną na nich, jeśli sprawdzę, kiedy dokładnie grają?

Ja:

– Bardzo chętnie. Ona:

– Ekstra, to jesteśmy umówieni.

Dziesięć minut płynnej jazdy później, gdy Roy zatrzymał wóz przed Blomfield Road 61, Madeleine wyciągnęła rękę i położyła swoją dłoń na mojej.

– Słuchaj, dziękuję za przejażdżkę wieczór. Na pewno chcesz zapłacić za taksówkę?

– Jasne.

– OK... zadzwoń do mnie.

– Zadzwonię. Może coś wymyślimy na przyszły tydzień.

– Dobra... właśnie... bardzo chętnie. – Zawahała się. – Cześć. Do widzenia.

– Cześć.

Wysiadła, a ja patrzyłem, jak szarpie się przez chwilę z zamkiem przy drzwiach. Potem połknęła ją ciemność korytarza i zielone frontowe drzwi jej domu zatrzasnęły się.

Zapadła kilkusekundowa cisza, gdy Roy junior odwracał się powoli i zdejmował czapkę. Wydał z siebie cichy gwizd.

– Ja pierdziele, stary. Ja pierdziele.

Rozparłem się wygodniej na siedzeniu i westchnąłem, wyczerpany powstrzymywaniem się od myślenia o niej w ten sposób.

– Wiem, Roy, wiem.

– Stary, muszę ci to powiedzieć. Jak facet facetowi. Totalnie ci zazdroszczę. Myślałem, że ta twoja Lucy była niezła, ale kurwa mać...

– Nie musiałeś patrzeć na nią cały wieczór, Roy. Mówię ci, to mnie wykończyło. – Odgarnąłem włosy do tyłu. – Lepiej odjedź za róg, bo zauważy, że ociągamy się z odjazdem.

Spojrzał na mnie w lusterku wstecznym.

– Wiem, że możesz przebierać w panienkach, Jazz, i szacuneczek, stary. I wiem, że wiesz, co robisz, ale jasna cholera... ona chyba ci wystarczy?

– Myślisz, że trzeba było spróbować z nią pójść? Nigdy nie wiem, jak daleko się posunąć.

– Nie, stary. Pierwsza randka. Weź na wstrzymanie. – Zjechał z krawężnika.

– Myślisz? – (Nie mam pojęcia, co mi odbiło, że pytałem o radę Roya juniora, ale emocje ponosiły wszystkich.)

– Jazz, no przecież cię zaprosiła, prawda? Zadzwoń do mnie? Bileciki na koncert? Panieny nie zawracają sobie głowy zawracaniem głowy, jeśli nie zawróciłeś im w głowie... jeśli wiesz, o co mi chodzi.

– Wiem.

– Masz ją jak w banku. Spoko. Zobaczysz.

– Masz rację.

– Ale mówię ci: kiedy to się stanie, stary, spaszuj. Taka jest moja rada. Daj sobie spokój, usatkuj się. Nie spuszcza jej z oka. Bo jak ona ci nie wystarczy, to nie wiem, co.

13. Pieśń

Schwytaj gwiazdę, która spada,

Z mandragorą pocznij syna, Powiedz, kto tym światem wtada, I gdzie przeszłe lata trzyma, Naucz mnie też syren śpiewu,

Jak się ustrzec żądta gniewu, Usta! jeszcze, Jakie deszcze Pozwalają sny mieć wieszczę.

– Jestem skończonym frajerem, szanowni państwo. Poważnie. Matka mnie nienawidzi, ojciec też. Nie mam przyjaciół – nie licząc tych, którzy są fizycznie za słabi, żeby się ode mnie opędzić. Kiedy idę ulicą, słyszę, jak lampy mamrocą pod nosem: „spadaj w podskokach”...

Rejs barką, kolacja, program kabaretowy: witam na randce numer trzy. W dosadnym języku gawiedzi: decydująca runda. Pora: tuż po 22.30 w piątek pod koniec maja. Miejsce: przytulna, zadymiona, niska sala w podziemiach „Frobishera”, nestora wśród pubów Belsize Park,

najmniej rozrywkowej z londyńskich dzielnic. Na scenę wyszedł właśnie ostatni komik, którego publiczność, czyli my, zapłaciwszy za bilety, słucha teraz z przejęciem: „Napalony Vernon i jego jajcarski numer!”

– ...Słyszałem takie powiedzonko: Jedno jabłko z wieczora, a unikniesz doktora! A nie można mu po prostu powiedzieć, żeby się odwalił? Dać mu palec, a całą rękę odgryzie... Ale poważnie: ciągle decydujemy się na śluby, prawda? Dwadzieścia lat temu wszyscy myśleli, że to już koniec: małżeństwo idzie do lamusa. „Po co się w to pakować?”, pukaliśmy się w czoło. Ale powiedzcie mi: o czym wszyscy ciągle marzą? Czarni i biali, bogaci i biedni – czego po cichu chcą wszyscy chłopcy i wszystkie dziewczynki? Ślubu. I to z całą oprawą: kościół, ksiądz, konfetti i piękna biała suknia... Czyż panna młoda nie wygląda ślicznie? Kto robił bukiet? Podróż poślubna na Seszele. Mieszkanie w Balham... Wiem, wiem, proszę pana, nie ma co robić takiej zde gustowanej miny... Nie, ale poważnie: nie rozumiem, dlaczego na ślubach trzeba dawać prezenty, zupełnie nie mogę tego pojąć. Nowożeńcy to przecież szczęściarze. Oni, a nie my, czyli cała reszta samotnych frajerów. Jeśli chcecie znać moje zdanie, to wszystko jest postawione na głowie. Skoro dwoje ludzi znalazło jakoś miłość, szczęście, wzajemne spełnienie i mogą regularnie uprawiać seks, to mogliby przynajmniej kupić swoim nieszczęsnym samotnym gościom po jakimś pieprzonym tosterze na łebka!

Ktoś – przypuszczalnie jego promotor – zawołał z tyłu:

– Święta racja, Vern!

Niektórzy mogliby stwierdzić, zdaję sobie z tego sprawę, że miejsce, z którego postanowiłem przypuścić decydujące natarcie, nie było zbyt romantyczne, i dlatego dostałem dokładnie to, na co sobie zasłużyłem. Nie bez powodu (przebakują osiemdziesięciolatki) tyle kabaretów mieści się w piwnicach. Sala koncertowa w Wiedniu – owszem – albo balet w Sankt Petersburgu, albo też łagodna sugestia weneckiej gondoli – czyż nie stanowią bardziej stosownego preludium przed wielkim

aktem spełnienia?

Na co odpowiedziałbym: niestety nie. Żyjemy w czasach wyrafinowanej komedii i prymitywnej farsy; w naszych galeriach i parlamentach nie brak ekskrementów, a bunt naszej radykalnej młodzieży ogranicza się do picia cappuccino bez czekoladowej posypki. Ostatnimi czasy najkrótsza droga wiodąca do drzwi sypialni rozpoczyna swój bieg w trakcie wieczoru beztrudnej zabawy, wieczoru knajpianego ciepła i intymności, znoszonych dżinsów i lojalnych starych marynarek, w świecie przewróconym do góry nogami... Obawiam się, że we współczesnej sztuce uwodzenia mniej ważne są pieśni i sonety, a bardziej – śmiech i zapomnienie. A do tego, po tej całej kolacyjnej szopce partnerka zwykle chciałaby, żebyś podczas następnego spotkania przynajmniej udawał normalnego.

Po bardzo przyjemnym spacerze po mieście – Abbey Road i quasileśnych rozkoszach St John's Wood – zajęliśmy miejsce w rogu sali: na tyle blisko, by obserwować niuanse mimiki komików, ale w odpowiednim oddaleniu, żeby uniknąć żenującego wciągnięcia na scenę. Za nami czteroosobowy rząd: dwie pary z (wnioskując po tym, co mylnie uważały za rozmowę) maniacką obsesją na punkcie szkolnych osiągnięć swych pociech. A z przodu: pięcioosobowy klin pięćdziesięciokilkuletnich pań podczas wieczornego wypadu na miasto (każda liczyła po cichu na to, że konferansjer zwróci na nią uwagę, a wtedy pokaże, na co ją stać). Z wyjątkiem kilku nad wiek rozwiniętych siedemnastolatek – bez wątpienia okolicznych dziewic ofiarnych – reszta zgromadzonej tłumnie publiczności składała się z mężczyzn i kobiet pod trzydziestkę i czterdziestkę: londyńscy niewolnicy mamony z zaczerwienionymi oczami szukający balsamu na udreżoną, spętaną łańcuchami duszę.

Sala była zadymiona i duszna – drewniana podłoga, bielony sufit, zbieranina rozklekotanych krzeseł, ław i stołków w równych rzędach przestawianych przez schodzących się ludzi. W głębi sali znajdował się niewielki bar zaopatrzony we wszystkie podstawowe trunki, ale

najwyraźniej otwierany tylko na czas występów. Tak naprawdę jednak atmosferę tego miejsca tworzyły rozwieszone wszędzie na ścianach plakaty: skonsternowanych mężczyzn wyglądających ze studzienek; kobiet spokojnie przypalających papierosa od złej strony; ironicznie uśmiechniętych mężczyzn z olśniewająco błyszczącymi zębami; pokazujących język kobiet w chustkach w grochy na głowie; komików fotografowanych od góry, mających przez to miniaturowe stopki i śmiesznie duże głowy; innych komików w dziwacznych strojach, z wywiniętymi wąsami. „Dominik Słodkie Usta jako Gunter z Bawarii!” „Denny Mauve w monologach McMaue’a! (Najlepszy ubaw w mieście!)”, „Phil Hill! Bardziej rozweselający niż podtlenek azotu!”, „Świnie w kosmosie!”

Pierwsza połowa wypadła całkiem nieźle. Wprawdzie nie porobiły się nam zajady od śmiechu, ale tragicznie też nie było. Zaczęło się od gościa z policyjną pałką. Po nim wystąpiła kobieta z rowerem i obowiązkowymi dowcipami o miesiączkach, czekoladzie i o tym, jak to mężczyźni mogą robić tylko jedną rzecz naraz. (Zapomniałaś o oszukiwaniu i zdradzaniu, siostrze? Właśnie.) Następnie na scenę wyszedł duet mieszany z serią parodii – przesłuchania, rozmowy kwalifikacyjnej, wywiadu telewizyjnego i tak dalej. I wreszcie do mikrofonu podszedł błyskotliwy mistrz ceremonii, żeby zapowiedzieć przerwę. Przez cały czas popijałem z dumą piwo London Pride, Madeleine zadowalała się zaś wódką z tomkiem. Była ubrana w te swoje dżinsowe biodrówki, obcisłego Tshirta i krótką dżinsową kurtkę, która nie pasowała i nie przejmowała się tym.

– No dobrze, szanowni... państwo – rzekł konferansjer, dochodząc do końca swej paplaniny – ten mecz ma dwie połowy i dobrnęliśmy już do przerwy. Az przerwą wiążą się trzy rzeczy: po pierwsze, mam wolną chwilę i jeśli któraś z pań by reflektowała, proponuję seks na zapleczu; po drugie, możecie sobie znów zamówić drinki; i po trzecie, ci z was, którzy nie posikali się ze śmiechu, mogą teraz skorzystać z toalety. Pan też, proszę pana.

– Jak ci się podobało? – zapytałem Madeleine, gdy wszyscy hurmem ruszyli do baru.

– Ta dziewczyna była niezła. Uśmieiałam się. Dialogi też były dobre, zwłaszcza kiedy zaczęli je mieszać. – Uśmiechnęła się, podniosła rękę do mojej twarzy i usunęła rzęsę, która wpadła mi do oka. – Już jej nie ma.

– Przynieść ci wódkę z tomkiem? – zapytałem.

– Najlepiej dwie, pierwsza skończyła mi się w połowie. Ilu komików będzie jeszcze występowało?

– Dwóch. „Dandys Andy” i „Napalony Vernon z jajcarskim numerem”.

Uśmiechnęła się szeroko.

Przez cały czas, gdy stałem przy barze, przez całą drogę powrotną do naszych miejsc – „uwaga, przepraszam” – i przez cały czas, gdy czekałem na powrót Madeleine z toalety, byłem spokojny, rozluźniony i... tak... pewny swego. Od dawna niczego nie byłem tak pewny.

Coś jeszcze zaczęło się dziać. Od samego początku odpędzałem od siebie wszelkie myśli o rozebranej Madeleine, żeby ich rozpustna obecność nie rozpraszała mojej uwagi w trakcie tego nadzwyczaj trudnego zadania. Teraz jednak łapałem się na tym, że coraz bardziej koncentruję się na kształcie jej nagiego ciała, które unosiło się niczym anioł w kulisach mego umysłu – i za tę arogancką zuchwałość i pychę bogowie słusznie nagrodzili mnie gromem z jasnego nieba.

Madeleine wraca z damskiej toalety. Wręczam jej drinka. Rozmawiamy przez jakiś czas. I gdy przerwa dobiega końca, Madeleine zerka na mnie, jak gdyby podjęła nagle jakąś decyzję, i mówi:

– Jasper, mogę cię o coś zapytać? – No... jasne.

– Jest ktoś, kogo naprawdę lubię. Ale nie jestem pewna, co on czuje do mnie. A ty tak dobrze znasz się na tych damskomęskich sprawach, więc chciałabym zasięgnąć twojej opinii... żebyś mi powiedział, co według ciebie on o mnie sądzi. No wiesz, czy też mu się podobam. Widzieliśmy się tylko parę razy, ale strasznie się przy nim dobrze

bawię. – (Głupiec, zarozumiały głupiec, jeszcze w tej chwili wydaje mi się, że mówi o mnie.) – Nie jestem pewna, czy myśli o mnie w ten sam sposób. W każdym razie, gdybym zorganizowała kolację dla paru osób, przyszedłbyś go wy badać? Chciałabym poznać twoje zdanie. To fajny chłopak. Ma na imię Phil.

– Ale chociaż jestem takim palantem – rzekł Vernon, kończąc wieczorny program – i nikt mnie nie lubi, to przynajmniej nie jestem wredny. Mój młodszy brat to dopiero model. Jak byliśmy mali i rodzice próbowali porzucić nas w lesie, pytałem go za każdym razem: „Zaznaczyłeś drogę kamyczkami, Melvyn?” I całe lata odpowiadał: „Tak, Vernon, zaznaczałem”. A tu któregoś dnia przyuważyłem, że nie rzuca kamyczków, więc odłączyłem się od rodziców, podszedłem do Melvyna, który jak zwykle pozostawał w tyle, i szepnąłem do niego: „Melvyn, co ty wyprawiasz? Gdzie są kamyczki? Jak teraz trafimy z powrotem do domu?” Melvyn popatrzył na mnie tymi swoim świńskimi oczkami – ma świńskie oczka – i powiada: „Znudziły mi się kamyczki i teraz rzucam okruszki, Vern”. Ja na to: „Ale Melvyn, spójrz, ptaki zjadają okruszki, nasz szlak znika, a my na zawsze zostaniemy w lesie sami, zmarznięci i głodni”. I wiecie, co mi odpowiedziała ta mała szuja? „Uspokój się, Vern. Zatrąłem chleb. Będziemy szli szlakiem martwych ptaków”.

Napalony Vernon wyciągnął z kieszeni jajko, podniósł je, mrugnął okiem i zszedł ze sceny.

Poniższe słowa brzmią dość gorzko. Ale są takie chwile w życiu mężczyzny, kiedy czuje się rozżalony. Druga strofa *Pieśni*, nic dodać, nic ująć:

Możesz zjeździć i pót świata,
Patrzeć w rzeczy niewidzialne, Siwy wrócić w dom po latach,
Chociaż miałeś wtosy czarne, Lecz i wtedy, dobry czteku,
Mimo sędziwego wieku, Powiesz przecie, By kobiecie Nie
dowierzać za nic w świecie.

14. Alchemia miłości

Ten, kto z głębszych niż ja pokładów wybiera) W kopalni miłości,
rzecze, że minerał

Szczęścia tam znalazł: przysiąc Mogę, że gdybym miał kochać razy
tysiąc, Skarbu tego nie znajdę, choćbym się upierał;

Ach, to wszystko ułuda: I jak alchemik, co w zielnych oparach

O czarodziejskich duma wywarach,

Kontent, gdy się uda Wynaleźć perfumę bądź lecznicze cuda,

Takoż kochanków, o rozkoszach śniących,

Czeka noc chłodna, a nie dzień gorący.

Pieśń, jak się okazuje, była właściwie tylko przygrywką i dopiero w *Alchemii miłości* wszystkie karty zostają odkryte. Żale i urazy – do diabła z nimi. Ich miejsce zajmuje autentyczna gorycz i odraza. Rytm niczym eksplozja bomby wypełnionej gwoździami. Miłość jako pozbawiona skarbów kopalnia. Kobiety jako pozbawione skarbów kopalnie. Hałdy, szyby, zanikające złoża. Mężczyźni jako niewidomi górnicy nie przestający drażyć, chociaż podważono prawdziwość wszelkich pogłosek o spełnieniu. Albo mężczyźni jako alchemicy, którzy w ciemności wśród cuchnących kadzi łudzą się, że wcześniej czy później odnajdą kamień filozoficzny. Tymczasem dostaje nam się noc chłodna jak w zimie (tzn. ziąb jak cholera). Jeśli dopisze ci, kolego, szczęście.

Głęboki wdech.

Do tej pory powinniście już się zorientować, że człek ze mnie sprawiedliwy – gotów we wszystkim i wszystkich widzieć dobro. Gdy na jakimś etapie tej relacji osoby lub wydarzenia jawiły się w taki sposób, że skłaniały do drwin, jak zapewne zauważyliście, uprzejmie powstrzymywałem się od szyderstw i ze wzruszeniem ramion grzecznie kontynuowałem opowieść, pamiętając, że przecież różni są ludzie na tym świecie. „Całą ludzkością się raduję”, śpiewa chór Bacha, a ja z radością dołączam się do tej pieśni. Ale nawet Św. Jasper Wielkoduszny może stracić cierpliwość. Nawet ja od czasu do czasu bywam w przygranicznych wioskach rozpacz. Nawet ja muszę rzucić papieros na

wiatr, schylić się po wypłowiały od słońca kij i wlec go po pustynnym piasku...

...I tak dochodzimy do kolacji, królowej wszystkich kolacji. Stawiłem się u Madeleine (cóż innego mi pozostało?) około siódmej trzydzieści pięć, pięć minut po umówionym czasie, ale miałem nadzieję, że jest na tyle wcześnie, bym mógł spędzić z nią na osobności kilka cennych minut, w czasie których postarałbym się o zacieśnienie nieco naszych stosunków, wbijając w ten sposób klin między nią a jej dzielnego kawalera przed jego pojawieniem się.

Po wciśnięciu domofonu wpuszczono mnie do środka i zszedłem szybko po schodach pod drzwi Madeleine, do których zastukałem konspiracyjnie i zacząłem nasłuchiwać jej kroków. Powitała mnie z obnażonymi ramionami, w fartuszk z napisem *Chatte Noire*.

– Cześć, Jasper. – Uśmiechnęła się, podstawiając mi hojnie najpierw jeden, a potem drugi policzek. – Uważaj, ręce mam całe w miodzie i jabłeczniku! Wchodź dalej.

Niepotrzebnie zgarbiłem się nieco, wchodząc.

– Wszyscy już są – oznajmiła ściszym lekko głosem.

Wredne małpy, pomyślałem. Przypuszczałem, że zaproszeni na wpół do ósmej nie zjawią się przed ósmą. Jak przystało na szanujących się Europejczyków.

– Chodź, chodź. Co tam masz?

– Kupiłem ci coś dobrego. – Co?

– Gigondas rocznik '98. Powinniśmy od razu otworzyć. – Ruszyłem za nią krótkim korytarzem: z obu stron gołe ściany w trakcie tynkowania, tu i tam zwisające przewody elektryczne, a na lewo otwarte drzwi, przez które zauważyłem odwróconą do góry nogami skrzynię ze staromodnym budzikiem przy podwójnym materacu. Tak sobie wyobrażam sypialnię płatnego mordercy.

– Przyrządzasz jagnięcinę?

– A i owszem – rzuciła odpowiedź przez ramię, wchodząc do pokoju na końcu korytarza.

Od podwórza mieszkanie rozszerzało się. Nie mogła narzekać na ciasnotę. Był tu przenośny telewizor ustawiony na kolejnej drewnianej skrzyni przy wyjściu na patio, pojedynczy głęboki fotel przykryty brązowym kocem, odsunięty pod ścianę stół do tapetowania, sterta puszek z farbami i góra pudeł spowitych starymi prześcieradłami. Stąd przechodziło się do części jadalnej ze starannie nakrytym drewnianym stołem ze świecami, a za nim, przy przeciwległej ścianie, dostrzegłem świeżo urządzony aneks kuchenny w jego pełnej terakotowej krasie. Przy stole siedziały dwie osoby. Spojrzały w naszą stronę.

– Rachel, Phil... to jest Jasper.

– Cześć. – Bardzo grzecznie im się ukloniłem. – Przepraszam za małe spóźnienie.

– Spoko, ja też dopiero co weszłam – zapewniła mnie Rachel, machając ręką, jak gdyby brała udział w jakimś teleturnieju.

– A ja i tak przyszedłem wcześniej, chciałem trochę pomóc Maddy – rzekł Phil i wstał, żeby podać mi rękę.

– Obawiam się, Jasper, że wszyscy będziemy musieli siedzieć dzisiaj przy stole, bo... tak naprawdę tylko tutaj można. Ja siedzę najbliżej kuchenki – oznajmiła Maddy (Maddy!), pochylając się, żeby wyciągnąć z lodówki butelkę białego wina. – Czego się napijesz? Mogę ci nalać kieliszek pysznego wina od Phila albo zrobić drinka: wódkę z tonikiem czy coś takiego, jeśli od tego chcesz zacząć.

– Skuszę się na białe wino. – Z pogodną miną, która maskowała męczarnie mojej duszy, zająłem wskazane mi miejsce: naprzeciwko Rachel, co zarejestrowałem, i nastawiłem się na golgotę.

– Przepraszam za bałagan – rzuciła Madeleine tym swoim niezbyt przepraszającym głosem, gdy podawała mi kieliszek – ale wszystko trwa tyle czasu.

– Pamiętaj, że zaoferowałem ci pomoc w weekend. – Twarz Phila promieniała. – Włączymy muzykę, odwalimy robotę, zaszalejemy.

Zerknąłem na Madeleine. Opierała się o zlew i wycierała dłonie w ścierkę z wyrazem twarzy, który zdawał się mówić: „Hej, czemu nie?”

Pod fartuchem miała na sobie biały męski podkoszulek.

Do rozmowy włączyła się Rachel.

– No, ale jesteś naprawdę dzielna, Mad, że dajesz sobie z tym wszystkim radę. Ja niczego nie odważyłam się tknąć, kiedy znalazłam swoje mieszkanie. Musiałam najmować te wszystkie ekipy. Ale i tak to był istny koszmar. Prawie wszystko szło nie tak, jak trzeba, prace przeciągały się w nieskończoność, a z kolejnymi robotnikami wytrzymywałam najwyżej tydzień. Oprócz dwóch malarzy, którzy byli po prostu aniołami.

– Och, porywam się tylko na te prostsze prace jak tapetowanie. Poważniejsze rzeczy, na przykład instalację prysznic, białego montażu i tego wszystkiego – Mad (Mad!) wskazała aneks kuchenny – zostawiam specjalistom. Hydraulika, układanie kafelków, instalacja gazowa... to już nie dla mnie.

Pociągnąłem ostrożnie łyk wina: mdłe pinot grigio z porośniętych trzcinami pól z jakiegoś osuszonego włoskiego bagniska.

Rachel nie przestawała drążyć:

– Ale prace się posuwają, Mad. Myślałam, proszę cię, jak do mnie zadzwoniłaś, że zastanę tu istne pobojuwisko. I chociaż wiesz, jak bardzo cię lubię, to nie sądziłam, że będzie tak ładnie. A to patio jest po prostu boskie.

– No cóż – Madeleine zaśmiała się uprzejmie, ale nie bez pewnego sarkazmu – trzeba jeszcze wymienić drzwi na patio, które są zbutwiałe, dokończyć elektrykę, tynki, zamontować z powrotem kominek, kupić trochę mebli i wykończyć łazienkę... ale poza tym, wszystko jest już chyba zrobione. W każdym razie jesteś bardzo miła, Rachel. I cieszę się, że w końcu ktoś do mnie przyszedł, bo to mi uświadamia, że rzeczywiście są jakieś postępy.

Stało się jasne, że wpadłem w pułapkę. Coś potwornego. Na takich kolacyjkach zwykle nudzę się jak mops, ale kiedy przy stole siedzą tylko cztery osoby, przy czym dwie z nich zapewne nie powiedzą nic interesującego do końca życia, a gospodyni jest atrakcyjna jak diabli i

myślisz tylko o tym, żeby zostać z nią sam na sam, tymczasem ona próbuje cię spiknąć z inną babą, a sama ma chrapkę na innego faceta, wtedy naprawdę masz wrażenie, że leżysz na dnie jakiejś otchłani, nadziany na zardzewiałe szpikulce bezlitosnego poczucia humoru, jakim charakteryzuje się życie. Na ratunek nie było nadziei. Skoro Madeleine (lub Maddy albo Mad) napaliła się na innego faceta, było jasne – bez względu na to, co czułem do niej lub do niego – czego się ode mnie wymaga. Nie wolno mi było burzyć spokoju ani zatruwać powietrza swoją niedolą; najlepiej bym się jej przysłużył, gdybym po cichu wyzionął ducha. Musiałem leżeć tam, gdzie spadłem, i spokojnie czekać na zgon. Nie pozostało mi nic innego. Ale jakże okrutnie się ze mną obeszła... jak okrutnie.

– Czego słuchamy? – zapytałem Madeleine w chwili, gdy dodawała do sałatki coś, co wyglądało jak rakieta.

– Oscar Peterson Trio... a teraz leci *You Look Good to Me*, wersja koncertowa z Chicago. Zaraz, zaraz, czy to aby nie nagranie z Nowego Orleanu? Nie jestem pewna. Który numer jest wyświetlony na wieży za tobą, Phil?

– Eee... Chwileczkę... To jest szósty kawałek. Nie znoszę słowa „kawałek”.

– Tak też myślałam... a więc jednak Chicago. – Ale zapach – wtrąciła Rachel.

– Jedzenie właściwie zaraz będzie gotowe – zapowiedziała Madeleine. – Moje rachuby wzięły w łeb i wszystko ugotowało się za szybko. Miksujesz czasem coś z jazzem, Phil?

– Nie... często wykorzystujemy jazz funk, ale tych starszych rzeczy raczej niewiele. Ciężko by je było zsynchronizować... skończyłoby się po prostu nałożeniem jednego na drugie.

– Szkoda... bo nie ma lepszej muzyki. Pociągnąłem słabo kolejny łyk.

– Jesteś didżejem? » Phil roześmiał się.

– Skąd. Czasem tylko prowadzę imprezy w klubie przy Old Street.

W ciągu dnia mam normalny etat.

– Mogę ci w czymś pomóc, Maddy? – zapytała Rachel. – Mam straszne wyrzuty sumienia, że siedzę tylko i patrzę. No i ten zapach jest po prostu obłądny.

– Gdybyś mogła pokroić ten bochenek chleba... byłoby wspaniale. – Madeleine skupiała się na swojej potrawie. – Wtedy wszystko będzie już gotowe.

– Co to za praca? – zapytałem Phila, bardzo życzliwie. – Jestem kimś w rodzaju specjalnego doradcy... rządowego.

Spokojnie odstawiłem kieliszek na stół.

– Aha. Do jakich spraw?

– Europejskich.

– To chyba bardzo odpowiedzialne zajęcie. I interesujące. Spędzasz tam dużo czasu?

– Gdzie?

– W Europie. We Francji, w Niemczech... Uśmiechnął się z wyższością.

– Często jeżdżę do Brukseli i na różne szczyty. Ale wiesz, jak to jest z pracą... człowiek myśli tylko: aby do urlopu. Ostatnio zaliczyłem Mauritius i Tajlandię. Ale tego lata planujemy całą paczką wybrać się do Włoch. Przydałoby mi się trochę unijnego odpoczynku. Aha, i oczywiście robiłem wypadki eurostarem do Paryża. Niezła zabawa. A ty?

– Mieszkałem tam dziesięć lat.

– Gdzie?

– W Europie... we Francji, w Niemczech, trochę we Włoszech...

– Mieszkałeś?

– Tak. Chodziłem do szkoły w Niemczech... i Francji. – Wzruszyłem ramionami w sposób szalenie serdeczny. – Ale to musi być wspaniale... ocierać się o wielką politykę.

– To prawda, stary. Wszyscy miewamy gorsze dni, ale cieszę się, że jestem częścią... tego całego procesu. Uważam, że odwalamy naprawdę

dobłą robotę... która się liczy.

– Aha. – Miałem wrażenie, że powietrze odpywa, ustępując wreszcie miejsca olbrzymiemu wszechświatowi antimaterii. Po raz pierwszy w życiu potrzebowałem inhalatora. – Przepraszam na chwileczkę. – Wstałem chwiejnie. – Madeleine... – zaakcentowałem wszystkie trzy sylaby – pozwolisz, że naleję nam czerwonego wina, skoro jedzenie jest już prawie gotowe? – Po włosku byłyby cztery, pomyślałem: Maddalena.

Przynajmniej jedzenie było dobre. Madeleine dobrze skomponowała sałatki – każdy składnik w optymalnej ilości, dzięki czemu do głosu mogły dojść wszystkie smaki bez obawy, że zostaną rozstawione po kątach przez liście rokiety lub zdeptane przez grasujący kozi ser; do tego subtelny sosik, który dopełniał, miast zagłuszać wszystko inne. Jednocześnie nie mogłem nie zauważyć, że Madeleine należy do tych osób, które dłubią w jedzeniu: odkładała na bok liście młodej sałaty i rozgarniała pomidory, żeby swobodnie dobrać się widelcem do tego, co najwyraźniej smakowało jej najbardziej: fety i oliwek. Zważywszy jednak, że przepadała za ich smakiem, oliwek w sałatce było zaskakująco niewiele: umiejętność pohamowania własnych apetytów, by dogodzić podniebieniom gości, była znamieną – większość ludzi przyrządza potrawy w taki sposób, żeby smakowały im samym.

Jagnięcina również została przyrządzona niemal perfekcyjnie, chociaż gdybyśmy byli sami i nadarzyła się taka sposobność, nieśmiało zasugerowałbym dodanie rozmarynu specjalną metodą, która polega na nakłuciu surowego mięsa metalowymi szpikulcami, a następnie napakowaniu do dziurek wzmiankowanego zioła, zamiast zdawać się na

fochy i kaprysy bezbożnego *bouquet garni*. Miód i jabłecznik sprawiły się jak zwykle nienagannie, natomiast niespodziewane pojawienie się trupy pasternaków, która wjechała na stół w ostatniej chwili przy dziarskim akompaniamencie cytrynowego marsza, omal nie wyrwało mnie z mej śmiertelnej pułapki. Moja radość była jednak krótka i gdy na horyzoncie zamajaczyły lody, nawet po moim wiernym i

potajemnym sojuszniku, winie g[^]gondas, pozostało już tylko wspomnienie.

Rachel powiedziała coś w stylu:

– Nie wiem, jak wykorzystać hipotekę mojej nieruchomości.

Phil powiedział coś w stylu:

– Wszyscy przepadają za kreatywnymi w agencji reklamowej... są niby tacy oryginalni... ale ja osobiście wolę planistów. Oni dopiero mają pomysły.

Rachel powiedziała coś w stylu:

– Z pewnością będę głosować na Danny'ego, ma niesamowity głos i jest taki sympatyczny. To się po prostu rzuca w oczy.

Phil powiedział coś w stylu:

– Jeśli masz się przeprowadzić do Nowego Jorku, to tylko do Brooklynu.

I czas włókł się jak ranny ślimak, który sunie ku śmierci przez pas startowy.

Chwilę potem stałem odwrócony do nich plecami przy zlewie, uparłem się bowiem, że pozmywam, pomimo protestów o zróżnicowanym stopniu szczerości. Rachel prezentowała swe poglądy na temat horoskopów:

– Tylko dlatego, że nie można czegoś udowodnić czy potwierdzić naukowo, nie znaczy wcale, że tego nie ma... no bo przecież mnóstwo rzeczy robimy instynktownie, prawda? Nawet w pracy. Więc może wpływ na to, co czujemy, ^{ma}Ją jakieś inne rzeczy, o których nie mamy pojęcia... rzeczy, które nie mają z nami nic wspólnego. Oczywiście nie twierdę, że wierzę we wszystko bez reszty... no ale przecież fazy księżycy i układ planet nie są bez znaczenia i można się dowiedzieć, jak to wszystko jest ze sobą powiązane. Na przykład pojechaliśmy z Samem... moim byłym... do Barcelony rok przed... no, wiecie... zanim nasz związek całkowicie się rozpadł... no więc przyjeżdżamy do tego hotelu w fatalnych nastrojach i mówię mu, że atmosfera jest okropna, a wtedy Sam przestawia stolik spod okna i nagle jakby wszystko się

ułożyło... nawet między nami... nagle poczułam, że to miejsce było nam przeznaczone. Wtedy właśnie zainteresowałam się feng shui. Mogłabyś, Mad, pomyśleć o tym przy urządzaniu tego mieszkania...

Staralem się zmywać bardzo dokładnie, każdy sztuciec osobno. Madeleine będzie miała chociaż najczystsze noże na świecie. Z całego serca dziękowałam Bogu za tę chwilę wytchnienia. W wyobraźni widziałem siebie w roku 1870 jako brodatego członka londyńskiego Towarzystwa Królewskiego, wybitnego antropologa, który podróżuje po Ameryce, demonstrując zaciekawionej i zdumionej publiczności zgromadzonej w salach wykładowych trajkoczącą bez umiaru Rachel i rozluźnionego, lecz zamyślonego Phila – dwa nadzwyczajne okazy ludzkiej ignorancji (wszelkie poprzednie odkrycia nie mogły się z nimi równać), dzięki którym zbijałem fortunę. Moja teza: reprezentowały one jakąś dziwną genetyczną mutację i jeśli nie zmienimy naszego zachowania, to na początku dwudziestego pierwszego wieku wszyscy ludzie po dwudziestym i trzydziestym roku życia będą tacy jak oni.

– A teraz, panie i panowie – ogłaszałem z wielką emfazą, wyprowadziwszy za kulisy „gadającą małpę” i „dwugłowego chłopca” – przechodzimy do meritum dzisiejszego wykładu. Oto gwóźdź programu, jeśli kto woli. – (Odkasłuję.) – Kilka lat temu miałem wielkie szczęście odnaleźć w londyńskich slumsach Fulham Broadway i Clerkenwell dwóch osobników w wieku dobrze ponad dwadzieścia wiosen i uznałem, że dla dobra nauki należy pokazać ich światu, byśmy mogli poprzez obserwację i badania pogłębić naszą wiedzę i byśmy mogli ujrzeć, jakie potworności gotujemy przyszłym

pokoleniom, wiodąc życie w nieświadomości. – (Pełen zaciekawienia szmer.) – Nie muszę chyba dodawać, że ich sława rośnie, i wiem, że wielu z państwa zna już ich imiona ze stronic lepszych magazynów naukowych i antropologicznych... – (Cichy szum potwierdzenia.) – ...Panie i panowie, nie chcąc trzymać was dłużej w niepewności, z największą przyjemnością pragnę wszystkim przedstawić pannę Rachel Forsythe i pana Philipa Feltona...

Rozlega się powszechny aplauz, który stopniowo ustępuje pomrukowi trwogi i westchnieniom zdziwienia, gdy moi asystenci wtaczają Philipa i Rachel i zostawiają ich przy stole ustawionym z przodu sceny, lekko z boku. Gdy tylko zajęli swoje miejsca, osobnicy zaczynają cicho rozmawiać, czasem zwracając się do siebie nawzajem, czasem rzucając jakieś uwagi dwóm elegancko ubranym kukłom, drugiej parze.

Przechodzę na przód sceny i podkreślając wypowiedź machnięciami długiej pałeczki, peroruję dalej.

– Szanowni państwo, przyjrzyjmy się wpierw przypadkowi panny Rachel Forsythe. Otrzymała wspaniałe wykształcenie, co do tego nie mamy żadnych wątpliwości; zechciejcie wyobrazić sobie długi sznur nauczycieli, którzy tak dzielnie próbowali wpoić jej jakąś wiedzę; zauważcie też, że zawsze miała dostęp do nauki, kultury i przywilejów naszych czasów; pamiętajcie, jakim statusem się cieszyła w świecie – o możliwościach podróżowania, pracy i wypoczynku w najpiękniejszych miejscach ziemskiego globu; pomyślcie też, ile spaliło się wokół niej społecznej energii. A mimo to... – tutaj robiłem dramatyczną przerwę – ...zauważcie, panie i panowie, jak mało, jak nieprawdopodobnie mało, udało jej się zrozumieć. – (Publiczności zapiera dech z przerażenia; Rachel nie przerywa swej paplaniny.) – Patrzcie i dziwcie się! Jakże ubogi jest jej wkład w wielką dyskusję życia! Jakże niewiele pojmuje ze złożonych struktur władzy i wpływów, które zewsząd ją otaczają! Popatrzcie ze zgrozą, jak przeplatają się u niej na zmianę radość i cierpienie! Zaśmiejcie się z jej opisów relacji międzyludzkich! Zapłaczcie nad tym, co uważa za mądrość życiową! Patrzcie, jak przedkłada horoskopy nad historię, jak z płomieni uczuć wyciąga sentymentalizm i przyciska do piersi zwęglone przemijające mody! Patrzcie i dziwcie się jej pustej naiwności, gdy ze zwieszoną głową przechodzi pod budowlą idei, na której zasadza się świat! Oto ona, wystrojona i znudzona w wielkiej sali koncertowej istnienia, gdy wokół niej rozbrzmiewa chóralna pieśń wychwalająca Boga! *Herr Gott, dich*

loben wir?

Publiczność spontanicznie zrywa się z miejsc, klaszcząc jak oszalała.

– Ależ panie... panie i panowie, proszę was... nie... nie... – (Podnoszę ręce i nakazuję, by usiedli.) – ...pozwólcie mi powiedzieć, że ten przypadek to jeszcze nic... powtarzam: nic... w porównaniu z panem Philipem Feltonem!

Niektórzy wymacują oparcia foteli, żeby znów usiąść. Inni cały czas stoją, wyciągając szyje w stronę sceny.

– Oto mężczyzna, proszę państwa, oto mężczyzna żyjący złudzeniami. Wydaje mu się, możecie być państwo pewni, że jest kimś ważnym, wpływowym, życzliwym, zabawnym, sprawnym... tak, nawet utalentowanym. Wydaje mu się, że jest dżentelmenem zasługującym na prawdziwą damę. Ubiera się wytwornie podług najnowszej mody... – (chichoty) – ...włosy ma ułożone stylowo, nosi eleganckie, ale wygodne pantofle. Jest zawsze na bieżąco z nowinkami w literaturze, choć interesuje go tylko lekka lektura, i muzyce. Tak, wydaje mu się, że jest niezawodnym przyjacielem, duszą towarzystwa, kimś, kto wśród rówieśników może trzymać głowę wysoko i odczuwać pewną dumę, kiedy wraca do rodzinnego miasta. Odniósł sukces, jest interesujący, wspaniały, pełen pomysłów i mądrych rad... panie i panowie... panu Philipowi Feltonowi wydaje się, że jest doradcą... rządu Jej Królewskiej Mości. – (Głośny śmiech.) – W SPRAWACH EUROPEJSKICH!

Słysząc salwy śmiechu, salę ogarnia niemal histeria. Ja też nie mogę się powstrzymać i uśmiecham się.

– Ale zapytajcie go, proszę bardzo, zapytajcie go, czy przeczytał choćby jeden ustęp tekstu napisanego w obcym języku. Czy rozpoznałby wielkiego Goethego, Dantego czy Moliера, gdyby jeden z nich albo wszyscy razem odwiedzili go

w jego garsonierze w Clerkenwell, przynosząc odrobinę parmezanu do jego rozgotowanego makaronu? Obawiam się, że nie. Ale może... słyszę wasz delikatny sceptycyzm... przypisywaną mu znajomością spraw europejskich wykaże się w dziedzinie muzyki... nieobcy mu

będzie ani błyskotliwy Verdi, ani boski Monteverdi, ani piękny Mozart, ani romantyczny Beethoven, ani cudowny Bach? I tym razem: nie. Nie rozpozna melodii, które mu państwo zanuca. Może w takim razie pasjonuje się malarstwem europejskim? Rafaelem, da Vincim, Vermeerem, Rubensem, Gainsborough? Też nie. A pojedynkiem umysłów? Może filozofia jest strawą, którą się karmił podczas długiej podróży ku obecnym szczytom odpowiedzialności; może to długa rozmowa Europy z samą sobą ożywia go, gdy samotnie w nocy дума nad przyszłością narodów? Nie, panie i panowie, on nie zna filozofów. Cóż, może przynajmniej ma słabość do historii? Interesują go wojny, zmieniające się sojusze, pyszni królowie i żelazne królowe? Nie, niestety nic z tego nie rozumie. A może bieg wielkich rzek – Dunaju, Renu, Loary? Nie. Albo architektura – *palazzi*, zamki, katedry? Nie. Wino? Nie. Rozkosze podniebienia... – (To, to już na pewno, zawołacie.) – Nie. Nie, nie, nie i jeszcze raz nie. – (Wywołana szokiem cisza.)

– Proszę państwa, chociaż człowiek ten chodzi, mówi i odnosimy wrażenie, że żyje, uwierzcie mi: jego język nie czuje, jego uszy nie słyszą, jego oczy nie widzą, jego serce jest zamknięte, a jego dusza – martwa. A platforma, na której opiera swoje rady w sprawach Europy, swoje specjalne rady o najwspanialszym kontynencie znanym ludzkości... ta platforma zbudowana jest jedynie ze słabości do pianki na pseudowłoskiej kawie i bąbelków w pseudofrancuskim winie.

– Panie i panowie, grozi nam poważne niebezpieczeństwo: w chwili, gdy paraliżuje nas tu dzisiaj przerażenie, przyszłość przechodzi w ręce takich oto ludzi.

Publiczność wstaje jak jeden mąż, oklaski rozlegają się początkowo niepewnie, ale...

– Jak sobie radzisz, Jasper? – Madeleine stała tuż obok.

Odchrząknąłem.

– Zaraz kończę.

– Zostaw to i chodź, usiądź z nami. Mam jeszcze jedną butelkę,

którą przydałoby się opróżnić, i trochę sera.

I po tych słowach ci dwaj strażnicy więzienni, ser i herbatniki, wparadowali, bekając, między nas i uświadomiłem sobie, że dopóki się z nimi nie uporamy, nie dane mi będzie się stamtąd elegancko ulotnić.

Naprawdę nie wiem, jak dotrwałem do końca tej kolacji. Brnąłem jakoś przez bagniste zarośla konwersacji – myśli i uczucia trzymałem w plecaku wysoko nad głową, żeby się nie zabłoczyły – a to wybuchając śmiechem, a to rzucając jakiś żarcik. Ale w rzeczywistości zewsząd czyhały niebezpieczeństwa: Phil próbował wejść ze mną w męską komitywę; Rachel, której niezliczone łęki wypływały na powierzchnię, im bardziej była pijana (jak śmieci z zalanej studzienki) i która coraz bardziej starała się maskować, zadawała mi coraz to nowe pytania, gdy odpowiedzi na nie choć trochę zbliżone do prawdy przyprawiłyby ją natychmiast o załamanie nerwowe; a Madeleine mogła w każdej chwili dać mi dyskretny sygnał, bym zwrócił uwagę na jakies komentarze lub gesty Phila, które przydadzą mi się do oszacowania jej szans u niego. Jej szans u niego.

Z mojej perspektywy (z samego dna otchłani łez) najważniejsze pytanie brzmiało następująco: jeśli to jest życie, jakim cudem do ciężkiej cholery ktoś pokroju Madeleine je znosi? Kobieta inteligentna, atrakcyjna, bystra, która do tego zwiedziła cały świat – jak ona się w tym wszystkim znajduje? Jak sobie radzi? Być może, pomyślałem, tylko ja mam problemy. Być może powinienem pójść za radą Williama i zgłosić się do psychiatry. Być może moje dorosłe życie było jedną długą chorobą psychiczną – byłem skłonny się do tego przyznać. Ale na pewno, pomyślałem, na pewno nie jestem jedyną osobą na świecie: na pewno tak zwani planiści w agencjach reklamowych to najpodlejsze plemię na świecie; na pewno ceny nieruchomości to najmniej interesujący temat dostępny ludzkości; a już na pewno, na pewno, na pewno telewizyjne konkursy talentów to zupełnie

niewybaczalny, obrażający życie ekskrement. Na pewno prawda stoi gdzieś tam, zapomniana, na samotnym stoku, zasmucona i wysoka we

mgle.

Wreszcie nadszedł koniec – a z nim coś, co błędnie wziąłem za cieniutki promyk nadziei. Phil mówił coś do mnie.

– To lekka przesada, stary, żeby zabijać kogoś tylko dlatego, że ma inny gust muzyczny.

Odpowiedziała za mnie Madeleine.

– Gdy chodzi o sztukę, Jasper jest trochę mało elastyczny, ale zamierzam poszerzyć jego horyzonty... a właśnie, a propos: pamiętasz ten zespół, o którym ci mówiłam? W Empire w Shepherd's Bush? Grają już w ten czwartek. Dasz radę przyjść, Jasper?

– Chyba tak. To znaczy...

– Mam tego dnia umówiony lunch, ale moglibyśmy się spotkać na miejscu. – Posłała ten swój zabójczy uśmiech w stronę Phila. – I kto wie? Może za jakiś czas będziesz chodzić ze mną na występy Phila na Old Street?

Phil odwzajemnił się szerokim uśmiechem.

– Przyjdiesz w następny weekend, Mad?

– Pewnie – odparła.

– Jak oni się nazywają? – wtrąciłem się.

– Kto? – Madeleine odwróciła się.

– Ci, którzy zagrają w Shepherd's Bush. – Ach... Groove Catharsis.

Rachel wyprostowała się i wycedziła po pijanemu:

– Faceci są duuużo bardziej ambitni niż kobiety. Nie sądzicie?

Zostawiłem ich samych, gdy przyjechała taksówka Rachel. Samochód odjechał, a ja przez jakiś czas stałem jeszcze na ulicy, dusząc się spalinami i poronionymi marzeniami. Potem poszedłem do domu. Noc była ciemna i zimna.

15. Wiadomość

Oddaj mi oczy moje zgubione, Za dtugo w ciebie byty wpatrzone,
Ze jednak zta juz tyle widziały, Tyle podłości, Niegodziwości,

Że ich widzenie To przywidzenie, Lepiej więc, by u ciebie zostały

Stoję sam na szaroburej trawie Shepherd's Bush Green i czekam, aż

londyńska noc jak wyciek ropy powlecze mnie swą tłustą mazią. Prawie dziesiąta, a światło nie daje jeszcze za wygraną – ociąga się, jak gdyby chciało w ten sposób coś udowodnić.

Naprzeciw mnie, przed pogrążającym się w mroku Empire koniki już dawno skończyły pracę, zostało tylko trzech lub czterech w skórzanych kurtkach, którzy rozmawiają teraz między sobą w połowie schodów wiodących do wejścia. Przed barem z hamburgerami para młodych kloszardów trzyma się za ręce i modli się o pieniądze; ktoś zapalił migoczący niebieski neon nad drzwiami do biura korporacji taksówkowej.

Siadam z powrotem na brudnej ławce. Tutaj nie daje się czekać. W tej części miasta króluje złość – przejmuje kontrolę, panoszy się, przywłaszcza sobie obydwą podłokietniki, domaga się sprawiedliwości. Nawet tabliczka przy koszu ostrzega: „Karmiąc gołębie, zachęcasz szczury”, jak gdyby wszelkie formy zachęty były w tym rejonie niemile widziane przez mieszkańców. Sam kosz już ledwo zipie, domagając

się szybkiego ratunku, zanim zaduszą go na śmierć zimne kebaby, zeschnięte ziemniaki i jaskrawoczerwone egzemplarze szmatławych brukowców.

Z górnego poziomu warczących autobusów, które krążą zgodnie z ruchem wskazówek zegara wokół mojego stanowiska wartowniczego, bandy podrostków pokazują mnie konkurencyjnym bandom i śmieją się, puściwszy w niepamięć dawne waśnie. Uświadamiam sobie, że jestem po trzykroć osaczony – psimi odchodami, spalinami i nieprzerwanym pierścieniem fastfoodowych lokalików: Shepherd's Bush Green.

Przynajmniej gołębie mają wszystko gdzieś. Przynajmniej gołębie niczego nie zauważają. Słuchaj, stary, mamy tu do przerobienia sto pięćdziesiąt kilo kebabów, zanim na nocną zmianę zjawią się szczury, i... no tak... przykro nam, że cię wystawiła, mówi się trudno, tylko że jesteśmy teraz cholernie zajęte, więc czy nie mógłbyś zejść nam z drogi, a przynajmniej przesunąć nogi, na litość boską? Jezu. Dzięki.

I wiercie mi, Shepherd's Bush Green tonie w odchodach. Są tu tego

tony. Sterty, góry, całe łańcuchy górskie. Aż trudno uwierzyć, że to w stu procentach lokalna produkcja. Niemożliwe, żeby w tej okolicy było aż tyle psów. Pewnie sprowadzają posiłki. Pewnie przez całą dobę zwożą tu zwierzaki z całego kraju, żeby wyrobić normę.

Dziesiąta trzydzieści, jest już spóźniona dwie godziny. Za kwadrans Groove Catharsis skończy grać i publiczność zacznie wychodzić. Zdecydowanie za późno, rzecz jasna, żeby do niej dzwonić. Żałuję, że nie pada deszcz albo że nie wieje mocniej czy coś takiego.

Oddaj mi serce moje tagodne,

Któremu obce myśli niegodne,

Lecz jeśli poprzez nauki twoje

W żarty zamienia

Te przyrzeczenia,

Które są święte, To niepojęte, Nie chcę go, ono nie jest już moje.

Bezsenność, wsłuchuję się w widmo letniej burzy przemykającej ukradkiem przez miasto.

Oddaj mi jednak serce i oczy, Bym pomiarkował i kłamstwa twe zoczył I bym mógł się radować, gdy tobie Ból przyjdzie znosić, O łaskę prosić.

Ginąc z miłości Bez wzajemności, Czym fasz jest, poznasz wtedy na sobie.

I tak dochodzimy do piątku rano. Na wycieraczce przed domem na Bristol Gardens 33 koperta – ręcznie zaadresowana do mnie. Pełen podejrzeń otwieram ją.

Jasper, bardzo, bardzo, bardzo przepraszam. Próbowałam dzwonić, ale naturalnie nie było cię w domu. A nie mam numeru twojej komórki (jeśli taką masz). Wylądowałam w izbie przyjęć z przyjaciółką. Złamała rękę. Nic poważnego. Zadzwoń. Przepraszam, przepraszam i jeszcze raz przepraszam, M.

Obrzydliwe pismo, zwłaszcza te jej igreki, „p” i cienkie, wężykowate „s”.

16. Zjawia

Gdy mnie uśmiercisz wzgardy swej nożem I gdy nabierzesz już pewności, Ześ uwolniona od mej mitości, Duch mój zawiśnie nad twym tożem, W którym innego będziesz już gościć; Jak ptomień świecy zadrzysz złąkniona, Westalko fałszywa, a gach twój zmiarkuje, Ześ wciąż kochania nienasycona, •

I sen zamarkuje; Ty, jak osika roztrzęsiona, Gdy on szturchnięcia twe ignoruje, Śmiertelnym potem wnet się oblejesz

I sama widma lico przywdziejesz;

Jedna z najbardziej uderzających różnic między ludzkim umysłem a komputerem polega na tym, że ludzki umysł nie ma funkcji „skasuj”. Gdy na twardy dysk człowieka dostanie się jakiś obraz, to nie ma zmiłuj. Zostaje tam do śmierci.

Nie zadzwoniłem do niej. Poczekalem, aż księżyc zaleje ogród swą poświatą, a wtedy zszedłem z mansardy i zakradłem się boso po trawie pod jej okno, by złożyć tam wieniec ze świeżo zebranych łez.

Żartowałem.

Wyszedłem z domu i dałem sobie na maksa w rurę ze starszym bratem Dona, Pete'em.

Don, który ostatnio przyjechał do Anglii w okolicach moich urodzin, był, o czym wtedy wspomniałem, moim kumplem ze studiów, który teraz mieszka w Nowym Jorku (ale nie w Brooklynie). Z Pete'em, jego starszym bratem (który też był na moich urodzinach), szybko się zaprzyjaźniliśmy, gdy dziesięć lat temu odwiedził Dona na uniwersytecie. Widywaliśmy się rzadko, ale kilka razy pojechaliśmy wspólnie za granicę, i nazajutrz po fiasku z Shepherd's Bush zadzwoniłem właśnie do niego. Miałem ku temu dodatkowy powód: sześć lat temu, ku uciesze ogółu, Pete „rzucił wszystko” i zaczął robić zdjęcia do magazynów mody. (Musiało mu być ciężko.) W związku z tym znał legiony poważnie atrakcyjnych kobiet i był przez nie ubóstwiany...

Oczywiście kiedyś nieźle sobie radziłem z poważnie atrakcyjnymi kobietami. Ale to było dawno temu, gdy byłem jeszcze „cool”. Tej nocy

po Shepherd's Bush nie namówiłbym prostytutki, żeby mi obciągnęła, nawet gdybym jej dawał z góry dwa miliony gotówką. O tym piątku lepiej zapomnieć.

Jasne, próbowałem co nieco z kilkoma Vanessami, Tessami, z Polami i Tolami, a nawet z jedną Giselle. Ale czy one chciały się ze mną zadawać? Skąd. Mógłbym równie dobrze być przewoźnym bydło kierowcą ciężarówki z całym bagażem: smrodem spod pach, cuchnącym oddechem, łupieżem, trądzikiem, grzybicą stóp, włosami w nosie i nie kontrolowanymi wiatrami. Tego piątku spałem z porannym ruchem ulicznym, mżawką i strzepami wczorajszych gazet.

Naturalnie uchlałem się jak dzik, co prawdopodobnie oznacza, że zachowywałem się po chamsku, a to na pewno w niczym nie pomogło. I oczywiście napchałem się wszystkimi dragami, jakie moje ciało zdołało wchłonąć, łącznie (to chyba pamiętam) z jakąś dziwną, jasnobrazową kokainą, która równie dobrze mogła być sproszkowanym cynamonem. I naturalnie byłem w samobójczym nastroju.

Pełne szczegóły po prostu nie są dostępne. Istnieje wprawdzie kilka fotek i trochę kiepskiego materiału filmowego nakręconego amatorską kamerą wideo, ale solidnej relacji z wydarzeń tego wieczoru po prostu nie ma. Zdaje się, że dosyć wcześnie (a może dosyć późno?) zostawiłem Pete'a w nocnym klubie, do którego trafiliśmy, zamierzałem bowiem przywitać się z pewną znaną mi (a może i nie) Argentyнкą, która często bywała w jednej z zakazanych mordowni na tyłach Tottenham Court Road, gdzie tańczyła salsę. Nie jestem jednak pewien, czy tam dotarłem. Moja pamięć zarejestrowała tylko, że przez okno taksówki podawałem jakiejś kobiecie filiżankę kawy (na spodeczku!). A potem, pamiętam jak przez mgłę, zjawił się cholerny mąż i narobił bydła. Z pewnością przez jakiś czas byłem w „Dick's” i mówiłem wszystkim dookoła, żeby się szli jebać, póki mają szansę. Co umiejscawia mnie w Soho po trzeciej. Pamiętam też ciemnowłosą kobietę (choć może to być facet). Czy się całowaliśmy? Kto wie? Chyba nie. (Gdy jestem trzeźwy, na kilometr rozpoznam transa, ale jak się jedzie na rezerwowym źródle zasilania i

wszystko dookoła się wali, nie można być niczego pewnym.) Jeśli to była kobieta, życzę jej dobrze i przepraszam, jeśli od razu wepchnąłem jej w gardło język. Jeśli to był facet, sukinsyn powinien wiedzieć, w co się pakuje.

A potem – kto wie? Moja pamięć podsuwa jeszcze bardziej zamazane zdjęcia faceta podobnego do mnie, który wlecze się przez Soho w mroku nad ranem (kiedy nawet śmieciarze traktują cię jak śmiecia, a kloszardzi kręcą z dezaprobatą głowami, jak gdyby chcieli powiedzieć, żebyś wziął się w garść, kolego, zapanował nad swoim życiem i powiedział mu, kto tu rządzi), ale jestem też prawie pewien, że postanowiłem zdrzemnąć się przy Marylebone Road, mogłem więc opuścić centrum dużo wcześniej (albo później), niż mi się wydaje.

W każdym razie to była całkowita strata czasu. Gdy się obudziłem, pierwszym obrazem, jaki wyświetlił mi się w głowie, był obraz... Madeleine. Pełen ekran. Zbliżenie. Nie skasowany.

Sobota, czwarta po południu, 31 maja. Zadzwoił telefon.

– Jasper? – Will.

– Cześć, to ja.

– Wiem.

– Co porabiasz?

– Staram się nie umrzeć, nim świat będzie miał szansę mi wybaczyć.

– Problemy?

– No.

– Co się dzieje z „wiesz kim”?

– Przesrane.

– Przesrane?

– Cała sprawa jest przesrana.

– Jezu. Aż tak źle?

– Syndrom najlepszego przyjaciela. – Boże... tylko nie to.

– Też tak sędzę. – Usłyszałem w słuchawce ponure wycie pustynnego wiatru. Odezwał się mój kac, wściekły, że odwracam od niego uwagę. – Czego chcesz, William? Nie było mnie w domu przez

całą noc i naprawdę muszę się położyć. Błagam, masz mi coś ważnego do powiedzenia?

– Chodź, kupimy sobie domek na wsi i zamieszkamy razem. Ty będziesz komponował te swoje manuskrypty... czy jak to tam się nazywa to, co robisz... a ja będę hodował orchidee i pszczoły oraz pisał kąśliwe listy do gazet, wszyscy przyjaciele będą nam po cichu zazdrościć i...

– Zmiłuj się, Will, czuję się fatalnie. I od kilku dni nie pracuję, więc bardzo cię proszę, odwal się.–Już miałem odłożyć słuchawkę. Powinienem był odłożyć słuchawkę. W następnym życiu będę nalegał, żeby przyznano mi lepszych przyjaciół.

– A co powiesz na imprezkę w Notting Hill, żeby się poczuć lepiej? Serce mi zamarło, jak to z sercami często bywa.

– Opowiesz mi, co cię gryzie, i wykombinujemy jakiś plan – dodał. Z trudem zebrałem siły, żeby się odezwać.

– Zbyt kiepsko się czuję. Powaga, Will. Zaszalałem tej nocy z Pete'em.

Nie przestawał mnie kusić pochlebstwami.

– Cała chata wypełniona po brzegi niesamowicie atrakcyjnymi kobietami, a wszystkie wydzwanają do mnie co godzina i mówią, że tylko ty – tylko ty osobiście – możesz je uszczęśliwić. Jeśli chcesz, możemy wcześniej skoczyć gdzieś na drinka. Przekażę ci najnowsze plotki z zajęć jogi.

– Ojej, Will, wiesz, jak bardzo nie znoszę Notting Hill.

Tak oto o siódmej trzydzieści w sobotni wieczór, starannie ogolony, choć wciąż zblazowany, wypluty, osłabiony i głęboko znużony, znów wyszedłem na ulicę Bristol Gardens i skierowałem kroki ku Warwick Avenue, na postój taksówek. Zamknąłem drzwi.

– Do Notting Hill poproszę. Przy stacji metra.

– Będziesz pan rzygać?

– Nie – odparłem, z lekka zaniepokojony, że pytanie pojawiło się tak szybko. – Naprawdę, czuję się dobrze. Mam tylko lekkie zawroty

głowy... pozostałość po kacugigancie. Z wczoraj.

– Dobra. – Włączyliśmy się do ruchu. Nastąpiła chwila ciszy, po której w lusterku wstecznym pojawiła się para bladych oczu: dwa stojące stawy w mokrym wapieniu twarzy. – No bo jak masz pan pawiówać, to trzeba wsiąść z gabloty, jasne? Nie będę tego, cholera, potem sprzątał.

– Dobra, dobra. Naprawdę mnie nie mdli. Pokręciliśmy się trochę po basenie Paddington, a potem

pomknęliśmy mostem nad kanałem w stronę stacji – czarny fiakier śmigał po pasach ruchu jak skrzep w drodze do serca.

Nie wyglądałem najlepiej, co do tego wątpliwości nie było. I ten potwór, choć wstrętny, miał podstawy do obaw. Nie czułem się dobrze.

Brak snu, trucizny, bezustanne odgrywanie jakichś ról, wszystko to odbija się na człowieku. I od czasu do czasu cierpię na chorobę lokomocyjną – zwłaszcza kiedy czuję się kiepsko, zanim jeszcze wsiądę do auta. A zwłaszcza kiedy kierowcą jest taka paskuda z zarośniętymi uszami i łupieżem na kołnierzu.

– Dobry dzień? Zły dzień? – zapytałem najtrzeźwiej, jak to tylko było możliwe.

– Czego? Podniosłem głos:

– Pytałem tylko, czy to był dobry czy zły dzień?

– Do dupy. Cały dzień. Cały tydzień.

– O! – Taksówka przechyliła się w lewo, gdy znowu zmienialiśmy pas ruchu, a ja przetoczyłem się na bok na tylnym fotelu. Mdłości wzbierały we mnie obrzydliwymi falami. – Czemu pan to przypisuje?

– Czego? – Przytknął dłoń do makabrycznego ucha. Znowu podniosłem głos.

– Czemu pan to przypisuje? To znaczy, dlaczego teraz taki słaby ruch?

– Panie, nie wiem. Taka pora miesiąca. He, he.

Na tym przerwałem na razie naszą rozmowę i skupiłem słabnącą uwagę na wspaniałych widokach. Wciskaliśmy się między różne

samochody, autobusy, ciężarówki i furgonetki, które coraz szybciej wirowały wokół stacji Paddington, jak gdyby szukały jakiegoś odpływu, do którego mogłyby wpłynąć i przepaść na zawsze. Stanęliśmy na skrzyżowaniu z Praed Street i nagle zmieniło się światło, gdy słońce wychynęło zza chmury. Przez chwilę widać było samo powietrze, brudne jak ubranie mechanika, dopóki oczy nie przyzwyczyły się i powietrze nie stało się znowu przejrzyste. Zebrani na rogu ulicy przy światłach, podpici i obdarci, londyńscy włóczędzy zgrzytali zębami i złorzeczyli stojącym samochodom jak jakaś delegacja świrów na wycieczce między jednym zakładem dla obłąkanych a drugim. Autobusy przejeżdżały swoim pasem, puszczając gazy. Wszędzie dookoła życie wlokło się do przodu jak jakiś pośepny maratończyk z wieścią o porażce.

Od czasu do czasu kreatura za kierownicą spoglądała do lusterka. Obserwowała mnie. Ale ja miałem to w nosie. Trzymałem głowę w dłoniach, masując kciukami skronie. Albo łapałem się za brzuch. Albo obejmowałem kolana.

Czy cywilizacja znajdzie kiedyś słowa, określenia, odwagę, żeby opisać prawdziwą naturę taksówkarzy? Skąd pochodzą, te bagienne stworzenia, te dziwne zniekształcone mutanty, przysłane do naszego świata, by wyssać z ludzkości wolę życia? Przypuszczam, że ich nikczemni mistrzowie muszą porywać ich za młodu: „Hej, mały... nienawidzisz ludzi?... gnębi cię bezpodstawne poczucie krzywdy i niesprawiedliwości?... chłopcze, mamy pracę w sam raz dla ciebie!... stawaj w szeregu... spokojna głowa... już my się wszystkim zajmiemy... zostaniesz taksówkarzem. Super. W porządku!” I te brzydkie kaczątka, ofiary okrutnego podstępny, wywozi się do jakiegoś odległego obozu na moczarach, odciętego od świata, gdzie trzyma się je w półmroku

w klatkach, a jedyną pociechą są dla nich kierownica i lusterko, aż w końcu, stopniowo, tracą wszelką nadzieję, otuchę i całą duszę... A wtedy rozpoczyna się długa i powolna nauka zwyczajów tego prastarego bractwa.

Założę się jednak, że nie wszystkim się udaje. Nie chodzi bowiem tylko o predyspozycje umysłowe lub duchowe: trzeba wziąć też pod uwagę aspekt fizyczny. Odpowiednie nastawienie można wyrobić, choć nie jest to łatwe; każdy kandydat na taksówkarza musi nienawidzić jazdy samochodem, to oczywiste; oczywiście musi też nienawidzić ruchu drogowego; i tak, wypadałoby, żeby nienawidził miasta, w którym pracuje, no i oczywiście jego mieszkańców, a zwłaszcza klientów. Te podstawowe wymogi uważa się za rzeczy oczywiste – a przynajmniej, mając czas, można nad nimi spokojnie popracować. Ale abstrahując od zwykłego kształtowania charakterów, mistrzom taksówkarstwa zależy na takich indywidualach, które są fizycznie odrażające od tyłu. Na ludziach, którzy natychmiast, organicznie, napawają odrazą, gdy patrzy się na nich od tyłu. Aaaaa... to już jest coś szczególnego, prawdziwy dar. Bo żeby wyglądać wyjątkowo ohydnie od tyłu, trzeba mieć prawdziwy talent. Nie można zdać się na łysiejące czoło, brzuszki, świńskie oczka, wąs, obwisłe dolne wargi. Nic z tych rzeczy. Wszystko musi się skoncentrować na stosunkowo niewielkim i rzadko branym pod uwagę kawałku ciała, którego ukształtowanie jest prawie niemożliwe. A nie wszyscy urodzili się z odpowiednimi predyspozycjami – chodzi o fałdę tłuszczu u podstawy czaszki; dziobatą szyję z trudnym do podrobienia wyglądem, jak gdyby przed chwilą stężała niczym zastygła lawa; lub szarobure tłuste strąki włosów.

– W jakiej branży pan robisz? – zapytał głosem będącym idealnym połączeniem sarkazmu i oburzenia, zanim jeszcze cokolwiek powiedziałem.

– Jestem kaligrafem.

Pisnęły hamulce, zarzuciło mnie do przodu i niemal upadłem na podłogę.

– Dobra. Dosyć tego. Wynocha. Wyłazić mi do cholery z taksówki.

– Co?

– Wynocha.

Trzy sekundy urażonego gniewu z mojej strony. – Co?

– Słyszałeś pan. To nie jest karetka pogotowia, a ja nie będę po tobie sprzątał. Możesz sobie rzygać gdzie indziej.

W jakimś innym stuleciu mógłbym rozplatać go szpadą i wciąż bijące serce rzucić na pożarcie głodnym szczurom, tymczasem ja wygramoliłem się, wymacując chodnik stopą. Przez chwilę myślałem, że stanie się coś niewyobrażalnego – odjedzie bez zapłaty. Ale co to, to nie: czekał, wpatrując się gdzieś przed siebie, ze szczękami wibrującymi w rytmie pracującego silnika. Nie miałem siły na kłótnię z kimś takim.

– Ile to będzie? – zapytałem.

– Osiem sześćdziesiąt.

– Proszę dziesięć funtów... Nie, nalegam, proszę zatrzymać resztę. Przejazdzka była wspaniała. Wprost niewypowiedziana przyjemność. Co za kierowca z pana.

– Spadaj.

Wyrzucony przy ogrodzeniu Hyde Parku pod ciemniejącym niebem. Niezupełnie położenie antycznego bohatera, wiem. Nie zapominajcie jednak, że tej konkretnej soboty byłem w najgorszym dołku. Prawdopodobnie powinienem był od razu ruszyć z powrotem do domu. Może spojrzeć prawdzie w oczy. Zapaść w głęboki i regenerujący sen. Wykuć nowe i lepsze „ja” w oczyszczających płomieniach wyrzeczenia. Nie zrobiłem tego jednak. Stałem za to przez chwilę i patrzyłem, jak gołębie krzątają się wokół swoich spraw jak tłusci urzędnicy państwowi, którzy udają zapracowanie. Wiedziałem, że się spóźnię. Wciągnąłem głęboko powietrze i ruszyłem szybkim krokiem ulicą Bayswater w stronę Notting Hill.

Spośród wielu miejsc na świecie cierpiących na manię wielkości groteskowy obszar Notting Hill może zapewne ubiegać się o pozycję lidera. Owo przekonanie cechuje nie tylko

nadzwyczajna głębia – mieszkańcy Notting Hill w duchu niezłomie wierzą, że są w pewnym sensie wybrańcami losu – ale i prawdziwa powszechność, jako że osobliwa duma z faktu zamieszkania w tym rejonie dotyka ludzi wszelkiego autoramentu, od bankierów do

rzemieślników. Oczywiście, co wielu może poświadczyć, słynne dzielnice tego typu istnieją w całej Europie – w Paryżu, Rzymie, Barcelonie, Berlinie, nawet w moim ukochanym Heidelbergu – i prawdą jest, że tam też nie brakuje rozlicznych przejawów zadęcia i pretensjonalności. Nigdzie nie ma jednak tak ogromnej rozbieżności między opinią, jaką mają o sobie mieszkańcy, a zdaniem, które nieuchronnie musi wyrobić sobie przybysz.

W normalnych okolicznościach zachodzące słońce spowija nawet najbardziej smętne miejskie pejzaże bajecznym światłem w kolorze ochry, które nadaje budynkom, choćby i najszeptniejszym, pewnego rodzaju wysubtelniającą, pogodną malowniczość. Ale nie w Notting Hill. Nawet przy najbardziej sprzyjających warunkach atmosferycznych, gdy zbliżamy się do epicentrum tej farsy – żałosnego, zakorkowanego małego skrzyżowania – coraz bardziej uświadamiamy sobie, że idziemy jedną z najbardziej zaniedbanych, nijakich i nieciekawych miejskich ulic współczesnego świata. Rozdęta agencjami nieruchomości i tanimi barami szybkiej obsługi, architektonicznie nudna i handlowo monotonna, ulica Notting Hill, o czym szybko się przekonujemy, jest po prostu jeszcze jedną nużącą arterią, która się wzbogaciła.

Użyłem słowa „farsa”, ale miałem chyba na myśli burleskę. W farsie nacisk kładzie się raczej na nedorzeczność fabuły, a nie na groteskowość postaci. Tymczasem w burlesce publiczności każe się śmiać do rozpuku z ludzi, którzy próbują nabrać innych lub samych siebie... biali starają się zachowywać jak czarni, czarni udają białych, bogaci biednych, biedni bogatych, starzy młodych, a młodzi starych. Notting Hill. Lepiej się tam nie zbliżać.

Uzgodniliśmy z Williamem, że przed imprezą wpadniemy na drinka do jednego z pubów przy Campden Hill Road – mrocznego, jesiennego miejsca, pełnego dziwnych drewnianych boksów i zarządców funduszy inwestycyjnych zajadających incognito wyśmienite kiełbasy.

Odwrócił się w chwili, gdy podchodziłem do baru.

– Jasper, nareszcie. Mój Boże, wyglądasz potwornie. Właśnie

torsjowałeś? Dobrze się czujesz?

– Bunt – zaskrzeczałem melodramatycznie.

– Masz, zamówiłem ci sherry. Marne, ale nie mają nic lepszego. Najlepiej wypij od razu duszkiem... musisz odzyskać równowagę. Potem znowu coś ci zamówimy.

– Dzięki. – Przyjrzałem się podejrzliwie kieliszkowi i po chwili wychyliłem jego zawartość do dna.

William zamówił sobie czystą wódkę (z jedną kostką lodu), a następnie dwie wódki z tonikiem. Gdy barman odwrócił się od nas, pochylił się do mnie i szepnął konfidencjonalnym tonem:

– Obawiam się, że ta impreza może być masakryczna... błagam, nie patrz tak na mnie... tak jakby się rozrosła, odkąd ostatnio rozmawiałem ze Stephanie... a przy okazji, to są jej urodziny, gdybyś się na nią natknął. Zdaje się, że przychodzi cały Londyn. No, w każdym razie oderwiesz się od wiadomej sprawy, zresztą możemy w każdej chwili urwać się do „Le Fromage”. Albo przewieźć cię do szpitala. – Cmoknął z dezaprobatą. – A tak przy okazji, obmyślam genialny plan, w wiadomej sprawie. Jak sytuacja na tym froncie?

– Beznadziejnie.

– Nie, nie, nie. – Podniósł dłoń i ściszył głos. – Nie pozwolę, żebyś popadał w taki ton. A ty nie możesz sobie pozwolić na takie myślenie. Za kilka lat przypomnisz sobie ten wieczór bezdennej rozpacz i zaśmiejesz się radosnym śmiechem kogoś, kto radośnie wspomina wieczór... bezdennej rozpacz.

– Jest beznadziejnie – wychrypiałem – lubi mnie, ale jako przyjaciela.

– Wspominałeś. – Odetchnął głęboko, dając do zrozumienia, że pojmuję powagę sytuacji.

Syndrom najlepszego przyjaciela. Ten straszny nowotwór męskiego serca, którego blade ofiary powoli słabną, aż zupełnie tracą mowę i pozostają jedynie halucynacje oraz przygaszone, gorączkowe pożądanie.

William powoli zatarł ręce, jak gdyby chciał się zabrać do

pocieszania kogoś, kto niedawno stracił bliską osobę.

– Niedługo są moje urodziny.

– Nieprawda.

– Wiem. Ale będą. – Przyjął resztę i jednym haustem wypił wódkę, po czym wolno odstawił szklanę na ladę. Jakaś kobieta z torebką i dopasowaną szarfą w jaskrawą kratę zamówiła kieliszek białego wina. William przełknął głośno i pokręcił głową. – Proszę cię, wiem, że sprawy w tej chwili nie wyglądają najlepiej, ale nie troskaj się, młody Jasperze: William Lacey nad wszystkim całkowicie panuje i zobaczysz: wszystko się ułoży w tym najlepszym ze światów. – Uniósł pięść i brnął dalej w donkichotowski styl. – My dwaj błędni rycerze musimy razem dosiąść naszych rumaków i w dobie niewieściej rewolty przysposobić się do czekającej nas próby... *courage, mon cheualier*, tradycja starego rycerstwa ni...

– William, błagam, możesz postarać się mówić normalnie? Wszyscy zaczynają podejrzewać, że jesteś czubkiem.

Zrobił urażoną minę.

– Chciałem tylko, żebyś się rozchmurzył.

– Przepraszam. – Przeprosiny były szczerze.

– Nic nie szkodzi. – Sącył drugiego drinka i przyglądał mi się z niepokojem, który wcale nie był całkowicie nieuzasadniony. – Chcesz pogadać o swoich... trudnościach teraz czy później?

– Później. Parszywie się czuję.

– Dobrze, radzę ci wypić teraz tego drinka... wódka z tonikiem dobrze ci zrobi... a potem może whisky laphroiaig sprawi, że będziesz wyglądał trochę mniej upiornie.

Pociągnąłem łyczek.

Pogłaskał się po nie istniejącym wąsie.

– Jedna rzecz tylko, staruszk: powiedz mi proszę... krótko... żebym mógł wpleść tę informację do mojego szatańskiego planu. Jeśli chodzi o Madeleine, czy jest ktoś jeszcze?

– Tak.

- Imię?
- Phil. – Phil?
- Wiem.
- Palant?
- Jak najbardziej.
- To znaczy?
- Kompletny dupek najgorszego rodzaju.
- Tylko ty tak mówisz? Czy inni... bardziej normalni ludzie lubią go?
- Może. Ale to niczego nie zmienia.
- Przystojny?
- Właściwie to nie. Wygląda jak... no, dobrze, owszem, chyba jest nawet atrakcyjny, ma urodę przesłodzonego jasnowłosego gwiazdora australijskiej opery mydlanej.
- Rozumiem. Bródka?
- Oczywiście.
- Zawód?
- Jest jakimś tam specjalnym rządowym doradcą. Do spraw europejskich.

William się skrzywił. Pokiwałem głową.

– Chociaż w istocie rzeczy jest prymitywną kapitalistyczną świnia o konserwatywnych poglądach przenikających każdy atom jego ciała.

William cmoknął z niezadowolaniem.

– Cóż, nie wszyscy możemy być otwarcie antyspołecznymi, hipokrytycznymi mediewistami i nurzającymi się w rozpuście marksistami, Jasper. Niektórzy z nas zmagają się ze sprzecznościami.

– Odwal się.

– Czy ona... czy oni... czy ty...?

– Nie wiem, Will, nie wiem. Wyszedłem, zanim...

– W porządku. Cóż. Tak naprawdę to bez znaczenia. Jestem pewien, że w spodniach ma niewiele do zaoferowania... jak to zwykle bywa w przypadku doradców. Musimy tylko postarać się o to, żebyś znalazł się

z nią sam na sam na neutralnym gruncie, a wtedy będziesz mógł wypróbować na niej te swoje czarodziejskie sztuczki z piekła rodem.

– Nie jestem już taki jak kiedyś. Jestem do dupy.

– Ale jak mi kiedyś mówiłeś: „Zawsze jest jakieś wyjście”. A ja wiem, że je znajdziesz, jeśli tylko dane ci będzie spędzić z nią więcej czasu. Zawsze ci się udaje. Wierzę w ciebie bez reszty. Ona pije?

– Jak alkoholiczka.

– W takim razie nie mamy się czym martwić. – Objął mnie ramieniem. – Myślę o pikniku. Tak: pikniku. Potraktuj to jako rewanż za te wszystkie lata, kiedy to tak zmyślnie wstawiałeś się za mną.

– Will, zorganizowaniem pikniku niczego nie naprawisz.

– Och, ja jednak śmiem uważać inaczej.

Powitani w drzwiach przez Stephanie, na parę chwil utknęliśmy w przedpokoju, gdy gospodyni poszła znowu komuś otworzyć. Impreza już się rozkręciła: dochodzące gdzieś jakby z piwnicy basowe dudnienie antymuzyki, altowy gwar ludzkich rozmów, falset wypełnionych helem baloników z tasiemkowymi ogonkami zwisającymi gdzieniegdzie spod sufitu. – To on – wyszeptałem.

– Jaki on? – William zmarszczył brwi. – Tam.

– Gdzie: tam?

– Na schodach.

– Owszem, widzę schody, Jasper, ale wciąż nie mam pojęcia, o kim mówisz. Obawiam się, że...

– Phil. Phil tu jest. – Nasz Phil? Skrzywiłem się. – Tak.

– No, to w takim razie idziemy się przywitać.

Phil rzeczywiście stał w połowie schodów w grupce ludzi, którzy opierali się o poręcz lub przeciwległą ścianę albo siedzieli na samych schodach. Sądząc po jednomyślności, z jaką błędnie zinterpretowali trendy współczesnej mody, domyślałem się, że wszyscy są związani ze sceną polityczną: młodszy urzędnicy, specjaliści doradcy, sekretarki, lobbyści, konsultanci do spraw wizerunku publicznego, nosiciele teczek. Jako grupa byli oczywiście odpychający, ale dopiero kiedy oko skupiło

się na jednostce, można było w pełni uświadomić sobie ich szpetotę – każda z tych osób stanowiła żywe wcielenie jakiejś niewyobrażalnej do tej pory deformacji ludzkiego ciała.

– Lepiej nie – zaprotestowałem cicho, domyśliwszy się przytomnie, że rozmowa tych kreatur zebranych razem, nawet jeśli przypadkowo ją podsłuchać, może sprawić, że dorosły człowiek wybiegnie z wraskiem w noc w paroksyzmie rozpacz. – Chodź, znajdziemy sobie jakieś kobiety. Na pewno są tu jakieś kobiety, z którymi możemy porozmawiać. Muszę się odprężyć. W tej chwili nie czuję się na siłach, żeby przed nim stanąć. Najpierw muszę wymyślić, co powiedzieć. A na to zbyt kiepsko się czuję.

William wzruszył ramionami.

– Dobra, jak sobie chcesz. Ale mógłbym sam go później przyszpilić, jeśli nie masz nic przeciwko. Zgromadzić trochę informacji et cetera. Wygląda na całkiem sympatycznego młodego człowieka. W grupie swych kolegów jest na pewno najprzystojniejszy.

– Oj, idź się powieś. – Cmoknąłem niecierpliwie. – Cholera! Will, może ona też tu jest. Tb znaczy z nim. Muszę...

– Jasper, przyjacielu! – dobiegł nas głos ze schodów. – Co ty tu robisz? Jak leci?

– Za późno – syknął pod nosem William. – Widział ciebie. A teraz chce ciebie.

Nie miałem czasu, żeby cokolwiek zrobić, mogłem się tylko odwrócić i udać zaskoczenie.

– O, cześć Phil. Nie zauważyłem cię. Phil zwrócił się do mnie znad poręczy.

– Zaczekaj chwilę, stary. Schodzę po drinka. – Zaczął przeciskać się między ludźmi na schodach.

W jakiejś zbuntowanej części mojego umysłu tworzyła się niezdrowa fascynacja mężczyzną, który zdobył specjalne względy Madeleine. Innymi słowy perwersja.

Phil podszedł do nas.

– Właśnie przyszliście, chłopaki?

– Tak, przed chwilą – odparł William. – Niestety, nie bywam w Londynie zbyt często, no i zaciągnąłem Jaspера do mojej ciotki, więc trochę się spóźniliśmy. Zapowiada się superimpreza. Szkoda tylko, że nikogo nie znamy.

Spojrzałem na Williama ze zdegustowaną miną, ale teraz nic go już nie mogło odciągnąć od tej jego przewrotnej zabawy.

– Nie szkodzi. A tak przy okazji, jestem Phil. – Wyciągnął rękę. Mocny, pewny uścisk dłoni normalnego faceta.

(Czego tu być pewnym?)

– Bardzo mi miło. Mam na imię William. William Lacey. – Uścisk Williama był celowo delikatny.

Przez chwilę Phil wyglądał na zdezorientowanego. Zwrócił się do mnie:

– Dobrze się bawiłeś u Mad? – Tak, ja...

Phil chyba zdał sobie sprawę, że nie jestem w stanie dokończyć zdania.

– Boja świetnie – pomógł mi. – Pyszne jedzenie. A Mad jest prawdziwą gwiazdą. Chciałem ją namówić, żeby przysłała, i...

– Ach, teraz rozumiem. – William całkowicie już wcielił się w swoją ulubioną rolę: niemiłosiernie tępego, lecz pełnego najlepszych chęci, nadmiernie gadatliwego młodszego syna oficera wysokiej rangi. Czy coś w tym rodzaju. – To ty pewnie jesteś tym gościem od polityki. Jasper wszystko mi o tobie opowiedział. Bardzo ciekawe. Podobno zajmujesz się antykapitalistycznymi protestami. To pewnie trudne, jeśli ktoś wywodzi się z lewicy i musi...

Wkroczyłem.

– Phil zajmuje się Europą, Will, nie... mniejsza z tym. Phil, gdzie tu można dostać alkohol? Wiesz?

– Tak. W kuchni. Chodźcie za mną.

Mając na głowie tyle problemów, byłem jeszcze wściekły na

Williama za to, że przerwał Philowi. Musiałem natychmiast się dowiedzieć, jak zareagowała Madeleine na propozycję przyjścia tutaj. W trybie pilnym. Jak najszybciej, ale żeby się nie skompromitować.

W kuchni – długim pomieszczeniu w głębi domu, w którym zwarte szeregi butelek zapychały każdą wolną powierzchnię nie zajętą jeszcze przez talerze na wpół skonsumowanych, mało apetycznych przystawek, które tak samo piętrzyły się na stołach lub balansowały samobójczo na krawędzi półek – w kuchni wszyscy byli łąsi. Przez chwilę wydawało mi się, że trafiliśmy na zjazd kul bilardowych. Spośród kilkunastu mężczyzn w zasięgu wzroku wszyscy prócz jednego lub dwóch albo byli ogoleni na zapałkę *à la mode*, albo zostali odpowiednio ogołoceni przez naturę, dzięki czemu dodatkowe zabiegi fryzjerskie nie były konieczne. Przeważnie stali w kółkach, oparci o szafki lub ścianę. Gdzieś widać było wśród nich jakieś kobiety – samotne minarety wśród bulwiastych kopuł. Najbardziej krnąbrna grupka, ścisły węzeł trzech dość wysokich indywidualistów o facjatach jak mopsy, zebrała się wokół lodówki, jak gdyby strzegła głównych wrót sezamu z napojami. Można było odnieść wrażenie, że usiłują wspólnie zbałamucić rudowłosą dziewczynę, która wpadła między nich.

Phil posłał im ten swój zniewalający uśmiech.

– Dave, Steve, Mikę i...

– Angie – uśmiechnęła się dziewczyna.

Kolejny szeroki uśmiech. Zauważyłem, że Phil ma wspaniałe zęby.

– Dave, Steve, Mikę, Angie, to jest Jasper i...

– William! Szalenie mi miło was wszystkich poznać. – Trójca nieznacznie zeszywniała, zdenerwowane jajka czekające na wiadomość, jak duży będzie omlet. Ale William dopiero się rozkręcał. – Wszyscy siedzicie w polityce? Bo ja siedzę w wieprzowinie. Właściwie powinienem powiedzieć: w świniach. A dokładnie mówiąc, w bekonie. Wyrwałem się na weekend. Szczerze mówiąc, cieszę się, że wygrzebałem się z tego łajna. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie ma teraz bumy na świnie, co to, to nie, biorąc pod uwagę te wszystkie

martwe owce i palone krowy...

Był to oryginalny sposób Williama na imprezy, które go nudziły: próbował wcisnąć jak największej liczbie ludzi tyle różnych kłamstw, ile tylko uda mu się wymyślić. Z tego, co

wiem, kieruje się raczej pobudkami filozoficznymi (lub nawet artystycznymi), a nie społecznymi: jest to pewnego rodzaju akt sabotażu „na żywo”. Ze szczególną lubością pastwi się nad mężczyznami, którzy ogolili sobie głowy. Kiedyś wyjaśnił mi powody: ponieważ nie wymaga się już od nas, byśmy zmagali się z lwami, siła fizyczna nie ma teraz takiego znaczenia, ale pozycja społeczna mężczyzny, w szczególności jego urok... tak uważa Will... jest wciąż w jakiś niejasny sposób związana z jego lokami. A zatem straciwszy włosy, tyse bataliony współczesnych Brytyjczyków pozbawione są (albo same się pozbawiają) subtelności charyzmy i dowcipu. Chwytają natomiast za te rodzaje broni z męskiego arsenału, które bardziej pasują do ich bezwłosej powierzchowności: szczerłość, obcesowość, bezpośredniość, sceptycyzm. Biorą na siebie rolę społecznych demaskatorów. W ten sposób, jak twierdzi William, dążą do tego, by ze swych pozbawionych owłosienia głów i pozbawionych wyrafinowania rozmów uczynić cnotę, i uważają się za piątą kolumnę emocjonalnych wróżbitów, ludzi prawdomównych, szczerych aż do bólu. I właśnie ta skłonność do przypisywania sobie większej niż u innych szczerości szczególnie irytuje Williama i przyciąga, gdy jest w psotnym nastroju. Piwa zostały po przyjacielsku rozdane i Mikę (a może Dave?) odpowiedział w końcu na pytanie Williama:

– Ja pisuję do prasy.

William uniósł lekko swoją butelkę w geście powściągliwego wiwatu. – Awy?

– Telewizja – odparli.

Na twarzy Williama rozlał się zachwyty.

– O, super... media!

Nie mogłem czekać dłużej. Odwróciłem się jakby od niechcienia do

Phila i spokojnie, co jednak osobiście kosztowało mnie bardzo dużo, zapytałem go:

– I co na to Madeleine?

– Na co?

– Na propozycję przyjścia tutaj.

Opanowany i z lekka obojętny, zdjął kapsel z butelki.

– Aha. Powiedziała, że może wpadnie później. Jest u siostry czy coś takiego, ale potem będzie chyba wolna.

– Ekstra! – Przełknąłem piwo. – Jak długo ją znasz?

– Nie tak znowu długo... poznałem ją na przyjęciu w Klubie Polskim. Miało to jakiś związek ze staraniami Polaków o szybsze wstąpienie do Unii. Napisała artykuł o Krakowie, dlatego zasługuje na miano nowej Pragi. Więc jej też przysłali zaproszenie. Zobaczyłem ją. Zagadałem. Zresztą, co ja ci będę mówił.

Ponuro pokiwałem głową.

Gdy wybiła północ, po koszmarnej godzinie na piętrze w towarzystwie paczki z plotkarskiego magazynu, Gwardii Pretoriańskiej nudy rodem z Notting Hill, byłem zdesperowany. Zdałem sobie sprawę, że dłużej bez niego żyć nie mogę. Niepokój kłębił się w mojej duszy jak dym nad miejscem katastrofy. Potrzebowałem silnego przywództwa. Złapałem się na tym, że snuję się po domu, rozpaczliwie poszukując Phila. Och, jak bardzo chciałem znów z nim być. Kiedy ona przyjdzie, mądry Philu? Może już przyszła? Czy powinienem zostać? Co mam powiedzieć? Pokaż, jak ty to robisz, Phil. Och, pokaż mi. Też chcę być zwyczajnym facetem. Bądźmy kumplami. Ty i ja.

Impreza wyrwała się w końcu z klatki wcześniejszej powściągliwości i chociaż nie było to jeszcze pełne szaleństwo, butelki i kieliszki tłukły się już na wyfroterowanych drewnianych podłogach. Przybyli nadziani, a z nimi kokaina i dilerzy. Polityczne schody stawały się śliskie od pochlebstw. Kule bilardowe stawały się coraz agresywniej przeciętne. I ktoś powiedział, że w suterenie są didżeje. Aleja, nie zważając na to, sunąłem dalej – Jasper Malutki poszukiwał Phila

Wielkiego.

Dotarłem do salonu: długiego pomieszczenia zajmującego całą szerokość domu z typowymi łukami w miejscu, gdzie wyburzono ściankę działową. Trochę ciszej. W trzech czwartych salon był wypełniony ludźmi: niektórzy siedzieli na podłodze wokół popielniczek (tak jak pierwotne ludy zbierały się wokół palenisk), inni stali w grupkach, usadowili się z bibułkami papierosowymi przy stole albo przycupnęli na poręczach foteli w półkolu wokół zasuszonych kwiatów w nie używanym kominku.

Jakiś ślad Phila? Moje spojrzenie spoczęło na wysokiej kobiecie w przeciwległym kącie, która stała przy oknie w głębi pokoju. Skądś ją znałem – jedna z przyjaciółek Williama pisząca o modzie do jednej z gazet. Nosiła okulary. Rozmawiała z niskim mężczyzną, który też nosił okulary. On z kolei podawał właśnie Philowi płytę CD. A Phil otwierał czarną torbę na rzepy i wyjmował niewielkie etui z... okularami w środku.

Z przerażeniem zdałem sobie nagle sprawę, że wszyscy w tym pokoju noszą okulary. Mój Boże. Co się dzieje? Cały młody Londyn musiał raptownie oślepnąć. (Pewnie od masturbacji.) Biedactwa. I wyobraźcie sobie ich panikę, gdy zdali sobie sprawę, że ślepotą dotknęła wszystkich naraz jak nietoperzy z miksomatozą. Jak jeden mąż musieli ruszyć do punktów okulistycznych, żeby przebadać sobie wzrok. Och, co za tragedia. Poprowadzeni za ramię ku quasiklinicznemu światłu marmurowoszmaragdowego gabinetu, uważając na przeszkody, ponieważ wszystko było trochę zamazane teraz, gdy wyraźniej dostrzegli swoje wzrokowe upośledzenie, wszyscy musieli przejść przez tę samą procedurę, zszokowani i zasmuceni, przymierzając różne modele i kształty zaprojektowane przez Giorgia, Giovanniego lub Giancarla, aż wreszcie (wciąż jak jeden mąż) musieli zdać sobie sprawę (z krwawiącym sercem), że jedynym wyjściem z tej opresji jest jak najwierniejsze upodobnienie się do... Buddy Holiyego. Nerwowy tydzień brajlowskiej korespondencji w oczekiwaniu na

wstawienie szkieł do oprawek i bum!... odlotowy, ale porażająco intelektualny wizerunek.

– O, znowu się widzimy, Phil – rzuciłem.

– Cześć, stary, jak się bawisz? – Studiował okładkę płyty ze skupieniem detektywa. – Catherine, Jasper. Jasper, Alex.

Ignorując moje przybycie, Alex odpowiedział:

– Na samym końcu podziękowań: PR To pewnie ty. Przecież z nim grałeś, nie?

– Nie najgorzej – odpowiedziałem słabo na pytanie Phila.

– Masz rację, Alex, jest PF. – Phil uśmiechnął się szeroko. – Posłuchaj tego. – Podał płytę Catherine.

Odezwałem się.

– Hej, Phil... będę uciekał, bo... mam jutro rano samolot. Madeleine jeszcze się nie pokazała? Chciałem się tylko z nią przywitać, zanim sobie pójdę. Podziękuj jej za tamten wieczór.

Spojrzał na mnie – cień rozbawienia pomarszczył mu czoło.

– Nie odpisała na mojego SMSa, więc nie wiem. – Jego okulary nie były klasycznymi szklami w stylu Buddy’ego jak te na nosie Alexa i Catherine; sprawiały, że wyglądał raczej jak architekt w reklamie samochodowej.

Byłem w kropce. W moich żyłach płynął chilijski merlot, rozpuszczając mi wnętrzności. Obawiałem się, że serce wpadnie mi do miednicy jak fortepian zapadający się przez nadpalone podłogi podczas pożaru.

– Co to za płyta?

Phil zatopił dłonie w kieszeniach, szukając komórki.

– Ach... to tylko parę numerów, które zmiksował nasz kumpel.

Nie znoszę słowa „numer”.

– Daj spokój, Phil – wtrącił się Alex. – Czwarte, kurwa, miejsce na liście przebojów. Odlot, stary. Nowy Moby. – Zwrócił się do mnie. – A nasz Phil maczał w tym palce.

– Należą ci się tantiemy, Phil. – Catherine uśmiechnęła się i oddała

mu płytę.

– Chciałbym. – Phil potarł brodę z żalem. Catherine odwróciła się do Alexa i zapytała o coś na temat siłowni.

Phil włożył płytę z powrotem do torby z jednym paskiem.

I w końcu, nareszcie, obrzydliwy troll prawdy przedarł się przez ostatnią warstwę mych żalonych złudzeń. Nie miałem wyjścia i musiałem spojrzeć mu w oczy: Phil był rzeczywiście bardzo fajnym facetem. Phil był w porządku. Phil był super. Mogę nie nosić okularów, których nie potrzebuję, mogę nie mieć bródki, ale to ja jestem frajerem, nie Phil. Madeleine miała rację, że go pokochała. Jak kiedykolwiek mogłem pomyśleć inaczej? Oczywiście, że miała rację. Gdzieś po drodze, dawno temu, musiałem popełnić błąd w najbardziej fundamentalnym równaniu życia i od tamtej pory moja cała egzystencja jest fatalnie niezrównoważona. Reszta świata cały czas o tym wiedziała. Ale dopiero Phil sprawił, że przejrzałem na oczy. Byłem frajerem, życiową niedojdą, której życie schodzi na bezsensownej krytyce. Teraz nie pozostało mi nic innego, jak patrzeć, naśladować i skrywać prawdę o sobie najlepiej, jak tylko potrafię.

– Supertelefon. – O mało się nie rozszlochałem. – Gdzie go kupiłeś?

– No, fajny jest. – Phil wciskał różne przyciski. – Na pewno nie ma żadnych wiadomości. – Podniósł wzrok. – Wszystko w porządku, stary?

Kiwnąłem głową.

– Jak ci poszło z Rachel tamtej nocy?

– Posuwałem ją, aż jej krew poszła z nosa. Phil otworzył szerzej oczy z zaniepokojeniem.

Mój głos był zaledwie chropowatym szeptem, gdy zapytałem:

– A tobie?

– Dobrze. – Uśmiechnął się. Nie mógł się powstrzymać. – Zostałem na noc.

William palił samotnie papierosa na trawniku przed domem.

– Co ty wyprawiasz, Jasper? Dlaczego wychodzisz przez okno sutereny? Zdenerwowałeś jakiegoś biedaka?

Rozejrzałem się nerwowo.

– Wracam do domu, Will; czuję się strasznie. Moje życie to jedna wielka pomyłka.

– Naprawdę? W takim razie sędzę, że powrót do domu to dobry pomysł. Ale proszę, spróbuj się wyspać. Rozmawiałem...

– Widziałeś ją może? Wchodziła tu? Nie chciałem się na nią natknąć; musiałem stamtąd uciec. Myślałem, że... Phil powiedział, że Madeleine może przyjść.

– Nie, nie widziałem, żeby wchodziła. No ale nie wiem przecież, jak wygląda. – William wypuścił z ust kółko z dymu. – Lepiej się połóż, Jasper, naprawdę, nie mówiąc o całej reszcie, jesteś naprany.

– Gdybyś ją zobaczył, wiedziałbyś, że to ona.

– Nie patrzyłem w stronę drzwi. Zresztą nie sędzę, żeby przyszła. Miałem ci powiedzieć, że rozmawiałem z Philem... nie martw się, byłem wzorem dyskrecji... i sytuacja wcale nie jest tak zła, jak ci się wydaje. – Nie dopuścił, żebym mu przerwał. – Oni prawie się nie znają. Widzieli się ze trzy razy. Spał w jej mieszkaniu, ale nie sędzę, żeby zapoznał ją z panem Wacusem. Pewności nie mam, ale nie wyczuwam żadnego emocjonalnego napięcia. – Uśmiechnął się. – Wierzę więc, że nie wypadliśmy jeszcze z gry. A przy okazji, zaprosiłem Philipa na nasz mały piknik. – Znowu podniósł rękę, żebym się nie odzywał. – A jutro ty musisz zaprosić ją.

Byłem zbyt zmęczony i pijany, żeby wędrować z nim drózkami jego szalonego umysłu.

– Wracasz do domu? Co robisz? – zapytałem.

– Nie. Wyszedłem tylko się dotlenić. Zaraz wracam na imprezę, żeby popastwić się nad tym towarzystwem.

– Phil jest w porządku – powiedziałem. – Nie zapomnij o tym.

I ruszyłem chwiejnym krokiem w poszukiwaniu taksówki.

17. Dzień dobry

Zachodzę w gtowę, cośmy robili, Nim miłość nas złączyła?

Leżąc na wznak, gdzieś na lewo ode mnie, Don przemówił w

imieniu wszystkich.

– Will, muszę powiedzieć, że nigdy na żadnym pikniku nie jadłem... i prawdopodobnie już nie będę jadł... takich wspaniałości. – Młasnął językiem. – Warto było przylecieć do Londynu. Ta uczta przyćmiła chyba nawet wyżerkę z twoich dziewiętnastych urodzin.

– Mhm... podpisuję się obiema rękami – zawtórowała żona Dona, Cal. – Teraz możemy pogadać z głodnymi.

– Było naprawdę super, Will – dodała Sam, siostra Nathalie.

– No, dzięki, Will – rzucił Phil, sięgając po gazetę.

Już miałem dodać własne podziękowania, ale William uciszył ten chór pochwał.

– Nie ma o czym mówić – rzekł – to była dla mnie przyjemność. Nie codziennie zdarza się w Anglii, żeby przez trzy bite godziny móc posilać się na świeżym powietrzu i żeby deszcz nie popsuł zabawy. Cieszę się, że pogoda się utrzymała i że wszyscy znaleźliście czas, choć zawiadomiłem was w ostatniej chwili. Nie ma nic gorszego, kiedy organizuje się na poczekaniu piknik, a potem okazuje się, że będzie się jadło samemu. W deszczu. – Teraz i on leżał płasko, opierając głowę na kolanach Nathalie. – A to jeszcze nie koniec atrakcji. Powiedzcie mi, która godzina.

– Minęło właśnie wpół do szóstej – odpowiedział Phil.

– I ciągle skwar jak cholera. Ten upał jest nieprawdopodobny. Myślę, że wszystkim bardzo by się teraz przydała chwila zadumy na leżaco. A potem musimy się napić mojego urodzinowego szampana.

Sięgnął po poduszkę, którą podłożył sobie pod krzyż. Nathalie gładziła go po włosach.

– Jak to się stało, że nie zostałam zaproszona na twoje dziewiętnaste urodziny?

– Z tego prostego powodu, że nie znałem cię, gdy miałem dziewiętnaście lat – odparł William.

– Owszem, znałeś. – Tak?

– Tak.

Wśród zebranych tylko Don i ja wiedzieliśmy, że urodziny Williama wypadają tak naprawdę we wrześniu. Włączyłem się do rozmowy.

– Na dziewiętnastych urodzinach Willa nie było kobiet. W tym czasie William wciąż próbował być gejem, żeby nie rozczarować swojej rodziny. Prawda, Will? To było, zanim wyszedłeś z ukrycia i przyznałeś się, że jesteś hetero, dobrze mówię?

– Tak, chyba tak. To był przedziwny okres w moim życiu.

– Ja na przykład jestem bardzo zadowolona, że okazałeś się tym, kim jesteś teraz, czyli prawdziwą gwiazdą – wymamrotała zasypiająca Sam.

Obok przemknął zasapany psiak i zbiegł ze wzgórza w poszukiwaniu czegoś utraconego.

– Co się stanie, jeśli wszyscy pozasypiamy, przyjdzie ktoś i zwinie nam przenośne lodówki? – zapytała Cal.

– Musimy wyznaczyć kogoś do pilnowania. – Will uniósł leciutko głowę. – Nathalie?

– Mowy nie ma.

– Mnie się nie chce spać – oznajmiła Madeleine. – Popilnuję koszyków.

– Dziękuję ci, Madeleine – rzekł William. – Bardzo miło z twojej strony.

Leżałem na plecach, słuchając szumu wiatru w drzewach. Ogólne poczucie wdzięczności i zadowolenia było w pełni

uzasadnione: William poprowadził nas przez ten popołudniowy piknik niczym wielkoduszny *Kapellmeister*. Gdybym nie koncentrował się na innych sprawach, mnie też by oszołomiła wspaniałość podanych potraw. Ale ja najtrudniejszą część popołudniowej operacji miałem dopiero przed sobą i nie zamierzałem zasypiać.

Była sobota, piętnastego czerwca, siedem dni po imprezie w Notting Hill, i zbliżał się najdłuższy dzień w roku. Wcześniej William (z Nathalie i Sam) podjechał po mnie i Madeleine jakimś dziwnym starym jaguarem kupionym niedawno przez jego ojca. Wyraźnie

zaznaczył, że mamy na niego czekać razem i odbierze nas spod mojego domu o 12.27. Te rozkazy posłusznie przekazałem Madeleine. Tymczasem Phil cały ranek grał w piłkę, więc zaproponowałem, że odbiorę go (znów pomysł Willa) ze stacji metra Hampstead. Don i Cal przyjechali na własną rękę i czekali z resztą na parkingu, gdy do nich dołączyliśmy.

Rozmawiałem z Madeleine w niedzielę po imprezie. I wcale nie, mylicie się, to nie ja do niej zadzwoniłem: ona zadzwoniła do mnie.

Zdażyłem się już pozbierać: oczywiście nie wygramoliłem się jeszcze całkowicie z dołka, ale byłem gotów na kolejną wizytę w kasynie życia.

Ona natomiast niemal rozdzierała szaty.

– Halo, Jasper... To ja, Madeleine. Słuchaj, strasznie cię przepraszam za ten koncert. Boże, miałam takie urwanie głowy. Przyjaciółka złamała rękę, wskakując do autobusu na Oxford Street, musiałam więc ją zawieźć na ostry dyżur i ze szpitala wyszliśmy dopiero o dziewiątej. Strasznie mi przykro. Próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale nie odbierałeś, no a ja nie mam numeru twojej komórki. Zanim dojechałabym do Shepherd's Bush, byłoby już za późno. Naprawdę nie wiem, jak cię przepraszać. Wczoraj też dzwoniłam, ale chyba nie było cię w domu. Jak długo czekałeś?

– Och, dałem ci czas do dziewiątej, no i domyśliłem się, że coś ci musiało wypaść. Więc spotkałem się z Williamem.

Nic się nie stało. Miałem nawet dzisiaj do ciebie dzwonić, żeby zapytać, czy wszystko w porządku.

– Tak, tak.

– Moja wina, bo nie mam komórki.

– Cieszę się, że nie czekałeś długo. Strasznie mi głupio.

Oczywiście gdy leżeliśmy w parku Hampstead Heath, tyle nieelastycznych metrów od siebie, znów uświadomiłem sobie, że nie mam pojęcia, czy Madeleine wciskała mi kit. W sumie wydawało mi się, że jednak nie; gdy się usprawiedliwiała, nie brzmiała zbyt

przekonująco; większość łgarzy za bardzo się stara, natomiast prawda zwykle mówi sama za siebie.

Tak to sobie tłumaczyłem, gdy chmury przesuwały się pomalutku po niebie, chwilami łącząc się, to znowu rozpadając jak młode państwa pod wpływem prądów dryfu kontynentalnego. Choć nikomu nie chciało się usiąść, żeby to potwierdzić, Londyn rozciągał się pod nami, ogromny, niepowstrzymany, rozlewający się na cztery strony świata: kobaltowa kopuła zachodu, rzeka, London Eye, nie kończąca się połać południa i strzelisty wschód, lśniący nienasyconym w letnim świetle.

Po czterdziestu pięciu minutach William, oderwawszy się od kolan Nathalie, zaczął przeszukiwać koszyki. Usiadłem. Sam smacznie spała. Don i Cal drzemali. Phil leżał na boku, wciąż czytając gazetę, i popijał jedno z piw, które kupił. Nathalie leżała na wznak z okularami słonecznymi na nosie. Madeleine zmieniła miejsce. Rozejrzałem się za nią. Siedziała trochę dalej, za drzewami, żeby w pełni skorzystać z promieni piekącego wciąż słońca. Pochylała się do przodu, paliła papierosa i czytała jakiś magazyn. W słońcu jej włosy wydawały się dużo jaśniejsze.

– Gdzie ta mała lodówka? – wymamrotał William, zadając to pytanie i sobie, i wszystkim pozostałym. Sprawdził po kolei wszystkie koszyki, a potem jeszcze raz otworzył dwa wielkie kosze i zaczął w nich grzebać.

– Jak ona wygląda? – zapytała przebudzona Cal.

– Niebieska. Dosyć mała. – William omiótł spojrzeniem wszystkie torby, kosze i paczuski.

– Jest jeszcze piwo – powiedział Phil, wciąż wsparty na łokciu, zwracając się do mnie, ale jego propozycja dotyczyła wszystkich.

– Dzięki, ale nie – odmówiłem. – Zostawię sobie miejsce na trunek Williama.

– Nigdzie jej nie widzę – stwierdziła Cal.

– Tu jej nie ma. – William zmarszczył brwi. – Chyba że jest pod którymś kocem albo już nie wiem gdzie.

– Czego szukamy? – zapytała Madeleine, podchodząc do nas.

William miał skonsternowaną minę.

– Małej niebieskiej lodówki turystycznej. Są w niej dwie butelki szampana.

– Cały czas miałam wszystko na oku – oświadczyła Madeleine – więc nikt nie mógł ich zakosić.

Nathalie usiadła i podniosła ciemne okulary.

– Może zostawiłeś ją w samochodzie. Czy aby nie położyłeś jej na tylnym siedzeniu, bo nie zmieściła się do bagażnika?

– Tak? – zapytał William.

– Nie pamiętam. Całkiem możliwe.

– Samochód był załadowany po brzegi. Naprawdę myślisz, że mogłem ją zostawić z tyłu?

Nathalie wzruszyła ramionami.

– Niewykluczone. Naprawdę nie wiem.

– Może. – William wahał się. – Gdyby tak ktoś skoczył do samochodu i sprawdził. Madeleine, wyglądasz na najmniej senną... mogłabyś?

Madeleine uśmiechnęła się.

– No jasne. Mam ochotę na trochę ruchu. Zresztą zrobię wszystko, żeby się napić szampana.

– Pamiętasz drogę? – upewniał się William. Cal usiadła.

Phil przewrócił stronę.

– Nie bardzo.

– Masz telefon? Samochód jest na północnozachodnim parkingu... trzeba iść tam, a potem...

– Obawiam się, że jestem beznadziejna, jeśli chodzi o azymut i te sprawy. Jak przystało na autorkę książek podróżniczych. – Madeleine zrobiła przepaszającą minę, przyłożywszy dłoń z tyłu głowy. – A telefon zostawiłam w domu. Więc mam iść tutaj tą ścieżką pod drzewami albo...

– Lepiej z nią idź, Jasper. – William spojrzał na mnie. – Chyba że

nie masz siły się podnieść. Nathalie, może ty....

– Pójdę – zaofiarowałem się. – Chętnie się przejdę. Phil podniósł wzrok. William wyjął kluczyki.

– Dwa komplety kluczyków razem. Głupota. Ale mój ojciec lubi trzymać je wszystkie w jednym miejscu. – Ściągnął jedno kółko z kluczykami i rzucił mi je. – Tylko nie wypijcie wszystkiego w drodze powrotnej.

Och, uwierzcie mi, Hampstead Heath jest labiryntem, płataniną, dżunglą. Prawdę mówiąc, tym, którzy nie znają jego przecinających się ścieżek, mnożących się wszędzie stawów, dezorientującej liczby pozornie różnych wzgórz, identycznych leśnych dolinek, ciągłych rozwidleń, zakręcających z powrotem drózek, krzyżujących się szlaków i konfluencji, pojawiających się gdzieś tam ogrodzeń, mostków, trudno byłoby się raczej nie zgubić. Podejrzewam wręcz, że nawet najbardziej sędziwi weterani spacerów po Hampstead Heath często nie mają pojęcia, gdzie się znajdują. Co do amatorów joggingu, to wcale nie biegają dla zdrowia, o nie, biegają, bo rozpaczliwie próbują się stąd wydostać, w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, coraz bardziej zdenerwowani, w coraz większej panice... Chcę tylko powiedzieć, że to mogło się przytrafić każdemu. Zwłaszcza pochłoniętej rozmową i nie zwracającej większej uwagi na drogę parze.

Ależ oczywiście, dotarliśmy do samochodu bez problemu – w ciągu najwyżej dwudziestu pięciu minut. I znaleźliśmy w nim niebieską lodówkę – jak najbardziej – czekała cierpliwie na podłodze przed tylnymi siedzeniami. Wyruszyliśmy w drogę powrotną też bez żadnego problemu dokładnie tym samym (przysięgam) szlakiem. Więc błąd musieliśmy popełnić wśród drzew, na jednym z tych podstępnych, rozchodzących się na pięć stron skrzyżowań.

– Tędy – zawyrokowałem, unosząc lekko lodówkę, żeby wskazać, który kierunek mam na myśli. – Jezu, jak gorąco. Kto by pomyślał, że w Anglii mogą być takie upały.

– Cudownie. – Madeleine wysforowała się do przodu, żeby

przepuścić rodzinę z wózkiem. Miała spięte wysoko włosy i na jej szyi dostrzegłem delikatne lśnienie potu. – Zawsze mnie irytuje, gdy wszyscy są tak strasznie zaskoczeni pogodą w tym kraju. Wiesz, dwa razy do roku albo raz do roku słyszy się: „O mój Boże, śnieg pada! Kto by pomyślał, że może się tak oziębic, i to zimą! Śnieg!” Albo: „O mój Boże, ale dzisiaj upał i to słońce – nie do wiary! Akurat w czerwcu! Też coś!!” – Odwróciła się i zaczęła na mnie, a potem szliśmy dalej obok siebie wśród drzew, aż dotelepaliliśmy się do kolejnego rozwidlenia. – Nie podoba mi się to – stwierdziła.

– Rzeczywiście. Chyba trzeba zawrócić i tam się wdrapać, bo taki widok mogliśmy mieć tylko z dość dużej wysokości.

Zaczęliśmy się wspinać na niewielkie wzgórze.

Zanim znaleźliśmy miejsce naszego pikniku, prawie półtorej godziny później, już ich nie było. Znikli bez śladu. Byłem zdezorientowany. Madeleine nie miała zegarka, ale przypuszczała, że może być około wpół do ósmej. Usiadła, opierając się o drzewo niedaleko miejsca, gdzie wcześniej leżał Don z Cal.

– Wygląda na to, że nas olali i poszli sobie. – Wyjęła papierosa i zapaliła. – Co teraz robimy?

– Cholera. Chyba zajęło nam to więcej czasu, niż myśleliśmy. Masz telefon? – Było to pytanie, na które odpowiedź oczywiście znałem.

– Nie, został w domu. Ładuje się.

– No to zostawię ci to i pójdę się rozejrzeć... na wypadek, gdyby przenieśli się na inną łąkę czy coś takiego. Jestem

pewien, że piknikowaliśmy tutaj. – Postawiłem lodówkę na ziemi i ruszyłem w stronę ścieżki.

Gdy wróciłem, Madeleine trzymała w ręku liścik.

– Znalazłam to, leżało tutaj – powiedziała.

J i M – Gdzieście poleżli? Sam i ja musimy być wieczorem w mieście, więc wracamy do samochodu. W. jest na was wściekły – myśli, że postanowiliście czmychnąć z flaszkami. Phil chce, żeby M zadzwoniła do niego później w sprawie jutrzejszego spotkania. D i C idą dziś

wieczorem z nami na miasto, więc jeśli chcecie się przyłączyć... Prawdopodobnie spotkamy się po drodze do samochodu, a wtedy się okaże, że niepotrzebnie to pisałam. Nathalie.

Nie muszę dodawać, że nikogo po drodze nie spotkaliśmy. I gdy wysiadaliśmy – tylko we dwoje – z autobusu numer czterdzieści dziewięć przed stacją metra Warwick Avenue, dochodziła już pewnie dziewiąta trzydzieści.

Słońce jeszcze nie zaszło, chociaż schowało się za budynki, a chmury były zajęte przebieraniem się w wieczorne kolory różu i brzoskwini.

Jakiś samochód zwolnił i Madeleine przebiegła przez jezdnię, a potem zatrzymała się przy kościele, żeby zapalić papierosa. Poczekalem, aż samochód przejedzie, i przeszedłem spacerowym krokiem przez ulicę. Pomimo opalenizny jej skóra nad kolanami wyglądała na lekko zaczerwienioną od słońca, którego promienie wykorzystaly jej zwyczaj siedzenia po turecku z letnią sukienką zwiniętą między nogami.

Przeżyłem chwilę nieznośnej słabości. Korciło mnie, żeby się otworzyć i być szczerym, żeby jej powiedzieć, co mi chodzi po głowie, żeby w jednej chwili rzucić wszystko na jedną szalę. „To wszystko może być twoje”, szepcze diabeł, kiedy jesteśmy najbardziej wygłodzeni i spragnieni, uwięzieni wysoko na skalistej półce na pustyni naszego umysłu. Ale w drugim, mądrzejszym uchu, usłyszałem cichutko pospolite frazesy jej odpowiedzi: „Och, Jasper, miło mi to słyszeć, naprawdę, ale nie chcę niszczyć naszej przyjaźni i nie sądzę, żeby to był dobry pomysł... zresztą już się z kimś spotykam. Słuchaj, nie chcę, żebyś sobie pomyślał, że cię nie lubię, bo lubię, i to bardzo, ale zostanmy przyjaciółmi...”

Powstrzymałem się więc.

Niemniej, bez jednoznacznego precyzowania moich zamiarów, zamierzałem spróbować szczęścia i maksymalnie wykorzystać sytuację.

– Chcesz wrócić do domu i poszukać numeru do Phila – zapytałem –

czy może zainteresuję cię butelką tego czegoś, co jest w tej przeklętej lodówce?

Trzymając wysoko papierosa, potarła nadgarstkiem o czoło.

– Phil jest dostatecznie dorosły, żeby sobie poradzić. Napijmy się... jeśli sądzisz, że William nie miałby nic przeciwko.

– William nie ma głosu.

Skęciliśmy w Formosa Street, a stamtąd w Bristol Gardens. Moja ręka rwała się do jej talii.

– Bardzo ładne mieszkanie – stwierdziła, stojąc plecami do zlewu i patrząc, jak wybieram numer na słuchawce.

– Naprawdę? Żałuję, że nie mam normalnej kuchni, tylko aneks. Nie znoszę nawet tego słowa.

– Podoba mi się atmosfera. Te wszystkie skosy. I piękne drewno. Ale wspinanie się po tych schodach za każdym razem musi być wkurzające. Pozwolisz, że zapalę?

– Jasne... O cholera, włączyła się sekretarka. – Wykręciłem numer Williama do pracy. Rozmowa z nim była ostatnią rzeczą, na jaką miałem teraz ochotę. Oczekałem, aż skończy mnie zapraszać, bym zostawił wiadomość. – William, to ja. Nie wiem, gdzie się do cholery zmyliście, w każdym razie wróciłem do siebie i zamierzam wyłopać twojego szampana. Przykro mi. Odezwij się. – Odłożyłem słuchawkę. – Popielniczka jest na stole w drugim pokoju. Przejdź tam, proszę. Zamierzam otworzyć tę lodówkę i sprawdzić, co mamy w środku.

Uśmiechnęła się i stanęła prosto.

– Mogę zostać na całą butelkę?

– Jeśli będziesz miła, grzeczna i powstrzymasz się od przykrych komentarzy na temat mojego gustu muzycznego i w ogóle, to tak, może pozwolę ci zostać.

– Bardzo miło z twojej strony, Jasper. – Zapaliła papierosa i ruszyła na poszukiwanie zapalniczki.

Jezu Chryste! Fortuna, pomyślałem, zaiste kołem się toczy. Może William miał rację i Phil rzeczywiście z nią nie sypiał. A może

Madeleine po prostu lubiła wszystkich zwodzić. No to w porządku, niech los pokaże: mogła wypić szampana i pójść sobie, zabierając swoje ciało, albo mogła wypić szampana i zostać. Ale lepiej miej się na baczności, panno Belmont, bo jesteś teraz u mnie, a ja robiłem to wcześniej, i to o wiele więcej razy niż ty.

Wydobyłem z szafki dwa wysokie kieliszki i podniosłem je do światła, żeby sprawdzić, czy widać jakieś ślady po wodzie. Były nieskazitelne. Ustawiłem je na blacie obok zostawionej przez nią paczki papierosów.

Z drugiego pokoju dobiegł jej głos.

– Masz stąd cudowny widok na ogród.

Ostrożnie wyjąłem szampana z przenośnej lodówki. Cristal rocznik 1982. Trzeba oddać Williamowi, że wie, jak poratować faceta. Butelka była wciąż dostatecznie schłodzona.

– Hej! – zawołała. – Możesz prawie zajrzeć do mojego mieszkania. Tam jest moje patio.

Z butelką i kieliszkami w rękach wszedłem do salonu.

– Wiesz, bardzo się cieszę, że nie musimy dzielić się tym z resztą.

Odwróciła się i uśmiechnęła. Seksownie, pomyślałem, nie do końca prowokująco, też nie uwodzicielsko i z pewnością nie kusząco ani sugestywnie, ale w sposób, jaki oddaje tylko to słowo – seksownie. Rzecz niełatwa i rzadko spotykana. I jakże różna od wszystkiego, czego do tej pory doświadczyłem z jej strony.

– Mogę włączyć jakąś muzykę? Kiwnąłem głową.

– Tak. Zobacz, co mam. Wybierz, co tylko chcesz. Podeszła do ściany z półkami, a ja ustawiłem kieliszki

i usiadłem w moim fotelu, z którego zwykle obserwuję rozwój wypadków. (Niech ona zajmie sofę, pomyślałem. Jeśli

będzie chciała coś zrobić, wstanie i to zrobi.) Patrzyłem, jak klęka przed moimi płytami i przesuwając palcem po grzbietach trochę jakby niepotrzebnie, trochę teatralnie, trochę... nerwowo? Usiadła na piętach, ale podeszwy sandałów zostały przy podłodze i zobaczyłem, że stopy

ma umorusane po pobycie w parku i podrapane od, jak przypuszczałem, chodzenia boso po ogrodzie. Obróciła głowę.

– Bach i nic więcej – powiedziała z miną będącą skrzyżowaniem zaskoczenia i rozczarowania.

– Nieprawda. – Chwyciłem butelkę i zacisnąwszy dłoń wokół korka, zacząłem go wywabiać ze środka. – Zobacz te na dole.

– O, świetnie, Ella Fitzgerald – zachwyciła się, wstając z klęczek, i zaczęła manipulować przy wieży. – Niech Bogu będą dzięki.

Zabrzmiała muzyka. Madeleine zainteresowała się innymi półkami.

– Przeczytałeś którąś z tych książek? – zapytała.

– Nie. Ani jednej. Nie umiem czytać. Wolę telewizję.

– Mmm. Tak przypuszczałam. Jesteś trochę za mało rozgarnięty, żeby coś przeczytać. Szkoda, bo poza tym bardzo fajny z siebie facet.

– Dziękuję. – Z udawanym skupieniem nalałem szampana i dopełniłem kieliszki, gdy opadła pianka. – Ale jeśli słyszałaś o jakichś prostych książkach dla początkujących, bardzo chętnie bym znowu zaczął. Tylko żeby nie było za dużo długich słów i żeby łatwo można było zrozumieć, o co chodzi, bo zupełnie wymiękam, gdy mam do czynienia z czymś... no wiesz... zawiłym.

– Właśnie widzę – odparła. – Spróbuję coś dla ciebie znaleźć. A tymczasem musisz mi obiecać, że nie będziesz się tym martwić. – Podeszła bliżej. – Wielu mężczyzn ma małe mózdzki, ale jakoś sobie radzą.

Stuknęliśmy się kieliszkami, Madeleine obróciła butelkę, by spojrzeć na etykietę, a potem usiadła na sofie – nie prosto, lecz podwinęła nogi pod siebie, w związku z czym jej kolana mierzyły prosto we mnie. W jednej ręce trzymała

kieliszek, drugą pocierała nogę. Na zewnątrz zaczął zapadać zmrok.

Oblizwała wargi.

– Pyszny szampan. Ale mam wyrzuty sumienia, że go pijemy.

– Nie miej. Poważnie. William nie miałby nic przeciwko. Zostawimy mu drugą butelkę.

– Jak myślisz, gdzie poszli?

Swoboda, jaką znów odczuwaliśmy w swoim towarzystwie, wróciła niemal do poziomu sprzed wieczoru kabaretowego. I rozmawialiśmy o innych, co zawsze jest dobrym prognostykiem.

– Pewnie pomyśleli, że już nie wrócimy albo że się zgubiliśmy, więc poszli ze wszystkim do samochodu. Mogliśmy się z nimi minąć, gdy błądziliśmy po parku. William prawdopodobnie czekał na nas przez jakiś czas, a potem odwiózł wszystkich do miasta.

– Ale jak się dostał do samochodu? Przecież go zamknąłeś. – Ma zapasowe kluczyki. Jego ojciec sprzedaje i kupuje

stare auta, takie ma hobby, a William jeździ nimi po całym kraju, do potencjalnych kupców lub na aukcje albo po prostu dla frajdy.

Ella Fitzgerald przeszła do *We Can't Go on this Way*. Pochyliłem się do przodu i chwyciłem butelkę. Madeleine wyciągnęła rękę, żebym mógł jej dolać szampana, i szybko podniosła kieliszek do ust, chcąc zdążyć przed opadnięciem pianki.

– Jak długo znasz Williama? – zapytała.

– Zostaliśmy przyjaciółmi na studiach. Więc od jakichś dziesięciu lat.

– Od razu się zaprzyjaźniliście?

– Mniej więcej.

– Jak go poznałeś?

– Naprawdę chcesz wiedzieć? Zmarszczyła brwi.

– Tak. Inaczej bym nie zapytała.

– Poznałem go pierwszego dnia. To musiało być już pierwszego dnia. Zostawiłem swoje żaloszne tobołki w pokoju i wyszedłem się powłóczyć, bo czułem się trochę obco i nie

wiedziałem, co ze sobą zrobić. Zauważyłem go przy portierni, jak próbował sam władować na wózek te wszystkie skrzynie z winem.

– Mam dziwną słabość do portierów. Rozsiadłem się w fotelu.

– To było nawet zabawne. Wszyscy inni miotali się ze swoimi rodzinami, parkowali samochody na chodnikach i tarasowali wejście,

rozładowując czajniki, zeszyty, tostery i inne klamoty, natomiast William był sam i nie miał nikogo do pomocy. Wyglądało na to, że nie ma żadnego bagażu prócz tych wszystkich drewnianych skrzyń z winem. I za każdym razem, gdy udawało mu się ułożyć je tak, żeby nie przeszkadzały innym, ten drań tragarz zrzucał kolejny ładunek tuż przed portiernią, żeby nikt nie mógł wejść ani wyjść. Portierzy zrobili się nagle strasznie pryncypialni, zaczęli mówić o przepisach przeciwpożarowych, a William biegał dookoła jak w malignie i wszystkich szaleńczo przepraszał.

– Mogę go sobie wyobrazić w tej sytuacji. – Madeleine uśmiechnęła się. – Mów dalej.

– Pomogłem mu więc... cóż, ja też właściwie byłem sam. – Pociągnąłem kolejny łyk. – Babcia mieszkała w Heidelbergu, a ja przyjechałem dzień wcześniej. Jeździłem pociągami: tak było najtaniej, przesiadka we Frankfurcie, w Paryżu, nocny prom do Dover, Londyn i wreszcie Cambridge. Cóż to była za podróż, i tak co semestr.

– Gdzie on to wszystko pomieścił? – Co?

– Wino.

– Ach, w swoim pokoju. Przewieźliśmy wszystko na wózku... obróciliśmy w sumie jakieś dwanaście razy w tę i z powrotem i wznieśliśmy potężną piramidę ze skrzynek. Will wcześniej wyniósł wszystkie meble na korytarz, żeby zrobić miejsce. Miał tylko łóżko. Gdy skończyliśmy, powiedziałem, że portierzy powinni wyciągnąć wnioski z etymologii słowa „portier”, a on roześmiał się, otworzył butelkę, usiedliśmy i wypiliśmy ją. Prosił, żebym przychodził, kiedy chcę, i częstował się jego winem.

– Jezu, pewnie nie trzeźwielicie przez bite trzy lata.

– Tak naprawdę większość tego wina nie była przeznaczona do konsumpcji... chociaż to nas najwyraźniej nie powstrzymywało. Trzymał to wszystko ponoć dlatego, tak mi przynajmniej tłumaczył, że za każdym razem, gdy jego rodzice wyjeżdżali, czyli dosyć często, starsi bracia urządzali w domu kolejne imprezy z okazji „comingoutu”, a

William nie wierzył, że zdołają powstrzymać znajomych od wypicia tego, co w piwnicy należało do Williama, a co było najwyraźniej jakiegoś rodzaju długoterminową inwestycją czy czymś takim, w każdym razie miało sporą wartość. Zrobił więc jedyną rzecz, jaka przyszła mu do głowy: zabrał wino ze sobą.

– Co za życie.

– Właśnie.

– Masz szczęście, że z tobą wytrzymuje. – Uśmiechnęła się szeroko.

– Musi być bardzo wielkoduszny. Dzisiaj urządził prawdziwą ucztę. Niewiele osób podaje na pikniku świeże ostrygi.

– Dobra z niego dusza.

– Czym się zajmuje? Jeśli w ogóle pracuje?

– Ależ pracuje. Można by powiedzieć chyba... że jest... impresariem orkiestry bezdomnych.

– Co? Takiej muzycznej... jak to?

– Prowadzi... zasadniczo jest szefem firmy impresaryjnej.

– Wyjaśnij.

– Dobrze. A więc... cofając się do czasów, gdy skończyliśmy studia, William postanowił, że przez jakiś czas będzie komunistą... całkiem dosłownie, zamieszkał w komunie gdzieś w Bethnal Green... wiem, wiem, ale wśród ludzi jego pokroju takie ekscesy mają całkiem długą tradycję. W każdym razie przez dwa lata utrzymywał kilkanaście osób, które mogły robić wszystko, na co miały ochotę. Ale gdy zaczęli się schodzić różni *nouveau*, jak ich nazywał, w końcu się wkurzył. Powiedział, że woli prawdziwych włóczęgów. Założył więc schronisko dla części starych kumpli... kobiet i mężczyzn powyżej trzydziestego piątego roku życia... pijaków, narkomanów i tym podobnych. I jakoś tak się złożyło, że była wśród nich grupka całkiem dobrych muzyków, udało mu się więc sklecić z nich dla hecy taką

nibyorkiestrę. Skądś wytrzasnęli studenta dyrygentury i zaczęli traktować całe przedsięwzięcie nieco poważniej. William otworzył jeszcze dwa schroniska i do zespołu dołączyli nowi. Aż pewnego dnia,

parę lat temu, wystąpili w lokalnej telewizji. Bum! I od tamtej pory tylko się rozrastają. Teraz są rozchwytywani. I koszą niezłą kasę.

– Naprawdę? Ojej. Jaki to rodzaj muzyki... skrzypce, klarnety i te rzeczy?

– Nie, nie. Raczej nie klarnety. Chociaż... właściwie... tak, jest kilka skrzypiec. Głównie są to pokrywki pojemników na śmieci, piszczałki i rzeczy, które można znaleźć na ulicy. Ale mają poważny repertuar, całe utwory... no wiesz, w kilku częściach... na wszystkie koncerty przychodzą krytycy. Grają też dużo rytmicznej muzyki tanecznej. Gdy William mi o tym powiedział, pomyślałem, że to jakaś kicha w wykonaniu bandy meneli, ale muszę przyznać, że grają naprawdę niezłe i są bardzo, bardzo popularni... z wielu powodów. Biorą udział w różnych wydarzeniach za granicą: w hiszpańskiej fieście, w najróżniejszych festiwalach w Stanach, do tego w Notting Hill Carnival, Glastonbury, jeżdżą po całym kraju. Świat muzyki ubóstwia ich. Rząd ich ubóstwia. William wykorzystuje sytuację i funduje nowe schroniska.

– Wiesz, chyba nawet o nich słyszałam. – Zamyśliła się. – A może widziałam reklamę w metrze. Nie zdawałam sobie sprawy, że William ma z nimi coś wspólnego.

– Skąd miałybyś to wiedzieć? Sączyła wino.

– A ty? Grasz na czymś? – zapytała.

– Nie. A ty? Wydęła wargi.

– Przez wiele lat byłam pianistką o międzynarodowej sławie, ale porzuciłam karierę, ponieważ moja japońska wytwórnia płytowa nalegała, żebym się rozbierała do zdjęć na okładki płyt.

– To zrozumiałe.

– W jakim sensie?

– To znaczy zrozumiałe jest, że zrezygnowałaś z kariery, skoro wymagano od ciebie takich rzeczy.

Uśmiechnęła się i spojrzała w stronę stolika przy oknie. Ubiegłem ją.

– Papierosy zostawiłaś chyba w kuchni.

– A no właśnie.

Miałem już wstać i pójść po nie, ale ona zbyt szybko rozplotła nogi i nie zakładając sandałów, udała się do kuchni. Za dziesięć minut zrobi się ciemno, pomyślałem. Zza moich pleców dobiegł mnie jej głos:

– Nie oprowadzisz mnie po mieszkaniu?

Dosyć tego. Podjąłem decyzję. Podniosłem się z fotela.

Ostatecznie jednak, jak sądzę, uwiódł ją John Donnę. Jemu przynajmniej należy się uznanie za to ostatnie, decydujące uderzenie. Nie zważając na drobną przeszkodę w postaci czterystu lat, jakie nas dzieli, odłożył na bok dylematy swego głodnego, niespokojnego umysłu i przy pierwszym podejściu zdobył ją niewymuszonym urokiem i kunsztem autentycznego mistrza.

Działalem szybko, to prawda. Mając jeszcze dziesięć minut, w sypialni, dałbym sobie radę i bez niego. Ale on zawsze mnie wyprzedzał: wielki zawodowiec, który pokazuje, jak to trzeba robić.

– Tutaj pracujesz? – Rozglądała się w półmroku.

– Tak. – Włączyłem lampkę.

– Boże. Nie wiedziałam, że używasz gęsich piór. I tych wszystkich farb, tuszów... i tego złotego.

– To listki... do złocień.

Rzuciła spojrzenie w bok, w stronę drzwi, w których stałem z kieliszkiem wina w ręku, i podeszła do okna.

– To twoje sztalugi?

– Coś w tym stylu. Stół kreślarski.

– Nad czym teraz pracujesz? Mogę zobaczyć?

– Jasne. – Podeszedłem i ostrożnie przekreśliłem blat, żeby mogła nań spojrzeć.

I przysięgam, przysięgam, przysięgam: było całkowitym zbiegiem okoliczności, że leżało tam akurat *Dzień dobry*. Wzdrygnąłem się w duchu. Chciałem zrobić jakąś uwagę,

żeby odwieść ją od tego, co miała przeczytać, albo chociaż złagodzić niezręczność sytuacji. Ale w tym momencie moje pragnienie, by pozwolić jej obejrzeć owoc mojej pracy, było silniejsze od zażenowania

samym wierszem i zdjąłem przykrywający go arkusz.

– O Jezu, Jasper. – Była szczerze poruszona. – Nie miałam pojęcia. Jakie to piękne. Naprawdę.

Zachodzę w głowę, cośmy robili,
Nim miłość nas złączyła? Mocnego wina
kochania nie znając, mleko żeśmy pili,
Lub snem błogim spali jako śpi dziecina?

Pewnie; Lecz sny słodkie teraz się ziściły Jeśli za pięknnością oczy
me goniły,

To Ciebie szukały, do Ciebie tęskniły.

Dzień dobry naszym budzącym się duszom, Których nie trwoga ku
sobie popycha; Gdyż miłość...

– To alba – wyjaśniłem.

– Co to znaczy?

– Wiersz na cześć poranka.

Chyba ją pocałowałem, żeby nie czytała dalej. Nie mogłem znieść
świadomości, że stoimy w milczeniu, szcztując kolejne linijki.

Pozwoliła, by jej usta spotkały się z moimi.

Donnę zrobił jednak swoje: zanim mi się oddała, przeczytała go do
samego końca.

CZEŚĆ CZWARTA

18.Sen

Najdroższa, tylko dla ciebie Zawzdy bym przerwa) sen mity,
Choćby mi się przyśniły Anioły cudne jako te w niebie, Dobrze więc,
żeś mnie zbudziła, Lecz cóż to było za przebudzenie! Marzenia ciąg
dalszy, nie zakończenie; Już myśl o tobie by wystarczyła, Byś się jawiła
jako prawdziwa, A teraz sprawdźmy, sen tyś, czy żywa?

Wita was moje nowe „ja”!

Cofam wszystko, co mówiłem wcześniej – o tym, jaki to ze mnie
oryginał i jak bardzo przygnębia mnie normalność. Strasznie wtedy
bredziłem. Musiałem chyba być niespełna rozumu. Syndrom Jacksona –

zabójcza choroba – zaburza perspektywę, mąci w głowie...

Zdumiewające, jak kobieta może odmienić mężczyznę!

Coś nieprawdopodobnego. Tak to jest: nie wiadomo, jakie to uczucie, dopóki go nie poznamy. A kiedy już je poznamy... o rany. Tak bardzo współczuję tym wszystkim, którzy mogą nigdy nie spotkać swojej drugiej połówki. Wyobraźcie sobie. Bidulki.

I wiecie co?

Mimo wszystko okazuje się, że ja też jestem „przeciętnym facetem”. Zgadza się. Po tych wszystkich latach łajdaczenia się wygląda na to, że panu J. Jacksonowi, osławionemu sceptykowi i epikurejczykowi, tak naprawdę zależy

na całym pakiecie, na wszystkim, *co* ma do zaoferowania współczesne życie: dziewczyna – plus – samochód z ekstranagłośnieniem – markowe okulary – bejsbolówka – weekendowy dodatek do gazety – wizyty w restauracjach w dni wolne od pracy – uroczyste kolacje – awans – żona – ciąża – szkoła rodzenia – dzieci – większy dom – dobre szkoły – sukcesy w pracy – dobra dzielnica – emerytura – wnuki – drugi miesiąc miodowy – spokojna śmierć.

Wiem, wiem. Ja też się szoknałem. Ale teraz wszystko było inne. Kaligraf nie pijał już z artystami ani z malkontentami; precz odszczepieńcy, buntownicy i wywrotowcy; oddalcie się ateści, anarchiści i kontestatorzy; wieźcie mnie szybko na pulchne łono konwencji. Już nigdy oszołamiająca banalność zachodniego liberalnego kapitalizmu nie odbierze mi woli życia. O nie. Podajcie gazetę: zobaczymy, co się dzieje na tym naszym starym świecie.

Co się działo? Ja, ona i „to”. Oto, co się działo. Nie ściemnam. Non stop. Ja, ona i „to” – głównie „to”. Cóż mogę powiedzieć? „To” było długie albo krótkie, powolne albo szybkie, delikatne i czułe albo gwałtowne i zwierzęce, wyuzdane albo tradycyjne, w ubraniu albo bez, planowane albo improwizowane, leniwe albo pomysłowe; „to” było uzależniające, maniakalne, obsesyjne, nałogowe; „to” było agresywne; „to” było wciągające. I wywróciło wszystko inne do góry nogami. Ale

kto by się przejmował wszystkim innym? Wy nie. Ja też nie. Nikt. Kiedy przychodzi co do czego, wszystko inne może się iść pieprzyć.

Właśnie. Przez następne kilka tygodni, przyznaję się bez bicia, wstanie z łóżka stanowiło dla mnie problem. Przy czym bynajmniej nie miałem trudności z budzeniem się. Nie, problem polegał na tym, że natychmiast po przebudzeniu pierwszą moją myślą była myśl o niej.

Leżałem sobie, przeciętny gość, wyrzucony przez fale snu na skalisty brzeg czuwania – ziewałem, przeciągałem się, otwierałem oko i Jezuniu: widziałem ją. Bezsprzecznie obok mnie w całej swej urodziwej rzeczywistości.

Już myśl o tobie by wystarczyła, Byś się jawiła jako prawdziwa

Z ręką na poharatanym, ale wciąż bijącym sercu: nie jestem pewien, czy wtedy, na początku, „szczęście” tak bardzo się liczyło. (Zresztą, jeśli mowa o przymiotnikach, „szczęśliwy” należy do tych, które najczęściej stosuje się retrospektywnie, w przeciwieństwie do na przykład „zły” lub „zdenerwowany”.) Patrząc za siebie, mogę wszak powiedzieć jedno (i to z dużą dozą przekonania): początkowo niewiele (jeśli w ogóle coś) wskazywało na to, jaka jest prawdziwa natura Madeleine.

Dobrze, w porządku, rzeczywiście dochodziło do agresywnych seksualnych napaści. Madeleine szczególnie upodobała sobie porę między czwartą a piątą rano, gdy na wpeł przytomny wracałem z zalanej oślepiającym, niebieskawym światłem łazienki – mężczyzna jest wówczas najbardziej bezbronny, słaby i zagubiony. O tej właśnie porze boleśnie uświadamiano mi, że to, co mnie czeka, nie jest fizycznym wyrazem uczucia i wzajemnego szacunku, lecz porządnym laniem za karę. Mężczyzna może znieść wiele takich kar, nim zacznie się skarżyć – albo nim zda sobie sprawę, że jest to kara.

Nie, przyznaję, nie było żadnych rzucających się w oczy wskazówek. Byliśmy przejęci, zaabsorbowani, pochłonięci sobą. Zachowywaliśmy się tak jak wszyscy kochankowie na początku.

Ignorowaliśmy znajomych. Nie wychodziliśmy zbyt często z domu. I wcale nam to nie przeszkadzało. Napawaliśmy się swoim towarzystwem. I w warunkach takiego zamroczenia trudno było ode mnie oczekiwać, bym pod wpływem tych paru chwil niepokoju przejrzał na oczy.

Trzy tygodnie po Hampstead Heath, pewnego długiego piątku na początku lipca, obudziliśmy się dokładnie w tej samej chwili: o dziewiętnastej trzydzieści. Spaliśmy od szesnastej. Zajrzeliśmy sobie głęboko w oczy (te wirujące kolory i odległe gwiazdy) i doszliśmy (bez słów) do głębokiego

duchowego porozumienia: nazajutrz trzeba było – koniecznie – coś zrobić. Cokolwiek. Na przykład wyjść z domu.

Zaparzyłem sporo kawy, a potem usiedliśmy razem w łóżku i w sposób bardzo rzeczowy sporządziliśmy śmiałą listę ekscytujących i pożytecznych rzeczy, które należało zrobić w sobotę: ja miałem kupić swój pierwszy telefon komórkowy; Madeleine miała kupić porządne podwójne łóżko do swojego mieszkania; ja miałem napisać list do babci; Madeleine miała przejrzeć wszystkie pudła i posegregować swoje stare artykuły; a oboje zamierzaliśmy spędzić wieczór razem w Globe Theatre na przedstawieniu *Cymbelina* (ponieważ żadne z nas nie znało tej sztuki i nigdy na niej nie było).

Ale gdy nastał sobotni ranek (oczywiście późno), zamiast zabrać się do przydzielonych zadań z zapałem, jakiego oczekuje od nas świat chrześcijański, znaleźliśmy się w dziwnej strefie nadzwyczaj silnej grawitacji, która nie chciała wypuścić nas ze swego uścisku.

O dziesiątej trzydzieści zdołałem wprawdzie naciągnąć spodnie, ale potem popełniłem błąd (lekkomyślny i naiwny), mianowicie zaniósłem Madeleine kawę do wanny, a potem usiłowałem jej czytać, gdy ona leżała ze spodkiem delikatnie ustawionym na piersi i popijała małe łyeczki za każdym razem, gdy podnosiłem wzrok.

Około dwunastej wstałem znowu i podjąłem kolejną próbę (a nawet optymistycznie przygotowałem buty do wyjścia), ale po kilku

sekundach musiałem pognać bosy na ratunek, gdy Madeleine poskarżyła się, że zabolął ją kręgosłup – i chociaż w zamierzeniu miała to być zwykła informacja, żadna tam prośba, nie mogłem stać z założonymi rękami i odmówić jej ulgi, jaką mogły jej przynieść moje usłużne dłonie.

Ostatnia próba – podjęta jakoś po trzeciej – nie była dużo bardziej przekonująca: Madeleine zniknęła w salonie, a ja przeglądałem ubrania rzucone na oparcie fotela, dzielnie poszukując koszuli. Zawołałem, że jej płyta musi tam gdzieś być. Po minucie stanęła w drzwiach i oświadczyła, że jeśli zgubiłem jej *Birth of the Cool*, urwie mi głowę, i dlatego nie mam niczego do słuchania. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że ona ma na sobie moją koszulę, zauważyłem też, że białe poły kończą się dokładnie w połowie między jej biodrem i ślicznym kolaniem. I to wystarczyło.

W końcu porzuciliśmy wszelkie plany ucieczki z mieszkania jako zbyt ambitne. Gnuśne popołudnie z wolna przeszło w jeszcze jeden wczesny wieczór. O siódmej wciąż leżałem w łóżku i czytałem wprowadzenie do nowego starego wydania poezji Donne'a, które sobie kupiłem – „Można się domyślać, że bez względu na to, czyjego romanse były nieliczne i trwałe czy też – co wydaje się bardziej prawdopodobne – liczne i nietrwałe, jest czymś oczywistym, iż znał kobiety różnych charakterów, od najbardziej płytkich do najbardziej wrażliwych...” (W jakież dziwny ton uderzają ci dawni krytycy i jak łatwo przechodzą od „domysłów” do rzeczy „oczywistych”.) Tymczasem Madeleine siedziała przy moim biurku przy oknie, odchyliwszy się do tyłu na krześle, i z jedną nogą podciągniętą do góry i podbródkiem opartym o kolano malowała paznokcie u nóg, wypełniając cały pokój – pomimo otwartego okna – zapachem lakieru. Rozbrzmiewało *largo ma non tanto* z koncertu Bacha na dwoje skrzypiec. Miles Davis pozostawał bezpiecznie nieosiągalny w miejscu, gdzie go ukryłem.

Po pewnym czasie zapytała:

– Podobają ci się moje paznokcie?

– Zobaczmy.

Obróciła się na krzesło i podstawiała mi swą apetyczną nogę.

– Tak – przyznałem. – Podobają. Jaki to kolor?

– Różowy, idioto. Nie widzisz?

– No tak, ale pomyślałem sobie, że może ma jakąś specjalną nazwę... jarmarczny jasnoczerwony, damasceński damski róż albo coś takiego.

– Nie. – Zrobiła nachmurzoną minę, jak gdyby chciała odprawić biurowego błazna. – To po prostu dyskotekowy róż.

– Wygląda świetnie. Naprawdę... dyskotekowo.

Pokiwała głową, jak gdyby z satysfakcją, a potem wstała i na czworakach przedostała się na drugą stronę łóżka, trzymając stopy w górze, żeby wysychł lakier.

– Skoro więc uwieźliłeś mnie tutaj na cały dzień, co masz zamiar podać na kolację? A może chcesz mnie zagłodzić?

– Na co masz ochotę?

– Cokolwiek; byle nie coś, na co trzeba długo czekać.

– Dobrze, przynajmniej wiem, na czym stoję. A może wyskoczę do Roya i...

– Właściwie to wiesz, na co mam ochotę? – Przysunęła się do mnie blisko z uśmiechem zdecydowania w oczach. – Na pizzę.

Odłożyłem książkę.

– To znaczy chciałabyś wyjść do „Danilo’s”?

– Nie... zamówimy ją przez telefon i obejrzymy jakiś film. Jest zbyt przyjemnie, żeby wychodzić. Uważam, że powinniśmy po prostu... no wiesz... zwinąć się w łóżku i całą noc oglądać filmy.

– Jest coś dobrego w telewizji?

– Nie. Wzięlibyśmy sobie coś z wypożyczalni. – Wideo?

– Właśnie. Mogłabym posłać cię do wypożyczalni, a ty zadzwoniłbyś stamtąd, powiedział, jakie są nowości, i coś bym wybrała. W przeciwnym razie na pewno wróciłbyś z czymś zupełnie nie nadającym się do oglądania. Poszłabym z tobą, ale nie mam siły.

– Tylko że wciąż nie mam komórki. Jeśli pamiętasz, nie udało nam

się dzisiaj zrobić nic z tego, co zaplanowaliśmy.

– Możesz wziąć moją. Ja muszę wybrać film.

– No i nie mam magnetowidu.

Opadła na łóżko i przewróciła oczami w rozpacz.

– Jezu, Jasper, na jakim ty świecie żyjesz?

– Wiem. – Skrzywiłem się. – Kilka miesięcy temu chciałem kupić magnetowid, ale facet w sklepie powiedział, że nie ma sensu, bo technika wizualna posuwa się do przodu w takim tempie, że zanim doniosę sprzęt do domu, będzie już przestarzały. Zapytałem go, co w takim razie radziłby zrobić, a on na to, że tak naprawdę mam tylko jedno wyjście: przeczekać do epoki drugiego średniowiecza, kiedy postęp w dziedzinie domowego sprzętu grającego wyhamuje na kilka stuleci, a wtedy będę mógł kupić coś bez obawy, że natychmiast stanie się obiektem muzealnym.

Westchnęła.

– Pokręcony jesteś.

– Wybacz.

– Dobra, mam u siebie odtwarzacz DVD, jeszcze w pudle. Więc chyba go przyniosę.

Ożywiona wyskoczyła z łóżka i zaczęła szukać ubrań.

– Pamiętaj, żeby zabrać ze sobą jakiś dowód tożsamości do wypożyczalni, bo będziesz się musiał zapisać. Ostatnio zrobili się bardzo skrupulatni w tych sprawach. – Wskoczyła jedną nogą w dzinsy.

– Aha, i chcę pizzę z mięsem i podwójną kukurydzą. Chyba masz gdzieś numer do pizzerii, co?

– Oczywiście. – Zrobiłem odpowiednio urażoną minę, wiążąc pewne nadzieje z koszem na śmieci na dole.

Tak oto stawałem się „przeciętnym facetem” i podobało mi się to. Wam też by się spodobało. Nawrócenie było szybkie i gorliwe, a odmienione dzięki niemu życie – bogate i satysfakcjonujące. I co za ulga. Koniec choćby z niepotrzebnym analizowaniem wszystkiego. Nie wykraczałem myślami poza „tu i teraz”, poza filmy, jedzenie i

czasopisma. Plany urlopowe i dzieci, owszem, także kredyt hipoteczny; ale koniec z rozmyślaniem o przyszłości w kategoriach „dokąd teraz, ludzkości?” Koniec z rozpaczą z powodu wstrząsających cierpień i śmierci, którymi niecne i groteskowe religie karmią miliony swych niewolników. Koniec ze łzawą zadumą nad samotnością planety Ziemi, która zachowuje zimną krew w obliczu nicości i swą nagość osłania jedynie parą spranych i wytartych slipek zwanych inaczej warstwą ozonową. Koniec z chwytającym za serce lękiem na myśl o marnych szansach gatunku, który nie jest w stanie przeżyć minuty bez tlenu, ale podbija cały wszechświat spektakularnie tlenu pozbawiony. Nic z tych rzeczy. O nie, nie, nie...

Zamiast tego wszystkiego – nowy ja, w sobotni wieczór usadowiony obok mojej dziewczyny – tak, w lipcu mogłem już chyba tak nazywać Madeleine – usadowiony obok mojej dziewczyny (dziewczyny!) przed telewizorem i DVD (DVD!) cierpliwie odtwarzającym najnowszy thriller (w którym dziewczyny spuszczają łomot facetom, w czym ostatnio się jakby

wyspecjalizowały; hej, siostry, koniec z rozkładaniem nóg, teraz my będziemy ich grzmocić, prawda? Oj prawda), usadowiony z pizzą na kolanach, z puszkami coli light musującymi pod ręką, bez zmartwień, bez lęku, że ktoś nam przerwie. Nie do wiary. Nowy ja, na sofie z dziewczyną (ubraną teraz w Tshirta i bokserki), która cierpliwie wydłubywała opierające się składniki pizzy z błotnistych okopów grubego ciasta i pochłaniała ładunki głębinowe napojów między zachłannymi kęsami. Nowy ja, głuchy na żalosne zawodzenia zmasakrowanych pomidorów (gdy domagały się z płaczem balsamu w postaci świeżej bazylii), obojętny na liczne i nieustające zbrodnie filmu przeciwko sztuce i ludzkości, nie zważający na błagalne okrzyki wzgardzonego chablis (opróżnionego do połowy i z każdą sekundą coraz cieplejszego). Nowy ja, niewzruszony wobec najmniej przekonujących na świecie aktorów krwawo rozprawiających się z i tak lichym scenariuszem, tworem upośledzonego umysłu. Nowy ja,

wysyłany do kuchni, żeby podgrzać pieczywo czosnkowe. Nowy ja, z papierowymi serwetkami w rękę. Nowy ja, zwinięty w kłębek. Nowy ja, przytulony. Nowy ja, gdy zadzwonił telefon.

No już dobrze, dobrze. Może i były jakieś znaki. Może i zbyt łatwo uległem temu delikatnemu zamroczeniu umysłu zwanemu inaczej afektem. Może rzeczywiście były takie chwile, gdy jej zachowanie wydawało mi się lekko irytujące, lekko dziwaczne; może i były czynności, gesty, miny, w których teraz (gdy zaglądam głębiej w rozszerzające się lustro wsteczne życia) dostrzegam przelotny ślad czegoś nieszczerzego. Ale jeśli trzeba złożyć należyty hołd biegłości Madeleine w sztuce długotrwałego zwodzenia, nie można nie zachwycić się jej talentem do spontanicznej mistyfikacji. Ponieważ gdy – co teraz widzę – wszędzie dookoła czyhały na nią niebezpieczeństwa i pułapki jak miny na polu bitwy, ona z coraz większą pewnością siebie tańczyła swój taniec derwisza.

Dryń, dryń, rozdzwonił się telefon. Dryń, dryń, dryń.

Chociaż nie miałem się specjalnie czego obawiać, przyznaję, że krew popłynęła nieco szybciej przez wąskie bra

my mego serca. Nocny telefon zawsze budzi niepokój. Nerwy mnie jednak nie zawiodły: głosem „niezbyt zmartwionego, lecz mimo wszystko zaciekawionego” młodego człowieka, do którego trzy po jedenastej mogła zniecka zadzwonić matka (gdyby ją miał), a jeśli nie ona, to ktoś z liczego grona różnych znajomych przekraczających czasem do niego pod wpływem nagłego impulsu, gdy muszą podzielić się szczegółami jakiegoś wielkiego osobistego zdarzenia, zadałem pytanie:

– Ciekawe, któż to może być?

W tym momencie Madeleine właściwie leżała na mnie; odwróciła głowę.

– Pewnie dzwoni któraś z twoich byłych dziewczyn, żeby ci powiedzieć, że mimo wszystko wciąż cię nienawidzi.

– Całkiem prawdopodobne. – Wysunąłem się spod niej ostrożnie.

– Mam zatrzymać film? – zapytała.

– Nie, w porządku, powiesz mi tylko, co się działo – odparłem, zmierzając już w stronę korytarza. – Chyba się nie pogubię.

Madeleine włączyła pauzę.

Podniosłem słuchawkę.

Oddech. Bardzo cichy, ale mimo wszystko oddech. Usta kobiety unoszące się jak niespokojne motyle nad siatką słuchawki.

Mój umysł porzucił wygody zadymionej mesy oficerskiej, żeby wznieść się w przestworza.

– Will – odezwałem się – Will? Will, czy to ty? Nie słyszę cię... nie... gdzie jesteś? Tak... straszny hałas... nie, siedzimy tu z Madeleine. Z Madeleine. Jemy pizzę. Nic nie słyszę... Will? Przerywa. Will? William? Jesteś tam jeszcze? Cholera jasna. – Odłożyłem słuchawkę.

Czy mój fortel się powiódł? Tak mi się wydawało – w końcu zmyślanie na poczekaniu było też moją specjalnością.

– Przerwało nam – powiedziałem, ale niezupełnie do siebie.

Madeleine opierała się o framugę drzwi: Wenus w bokserkach. Przez pół sekundy jej wyraz twarzy nie był ani

serdeczny, ani kuszący, lecz wyraźnie zaciekawiony. Wścibski wręcz.

Po chwili jej dłonie znalazły się na mnie.

– Will? – zapytała. – Tak.

– Pijany? – Tak.

Zaczęliśmy się mocować. Upadliśmy. Szamotaliśmy się. Wyrwała kabel telefoniczny z gniazdka i kazała mi wyciągnąć rękę.

– Stary, wtrądzalas, kurde, za dużo ryb. – Roy junior stał w moim aneksie kuchennym i żuł gumę ze skrzywioną miną, jednocześnie drapiąc się lewą ręką po plecach, jak gdyby próbował wyjąć drzazgę spomiędzy łopatek.

– Tak myślisz? – Patrzyłem na dwa strzępile na drewnianej płycie deski do krojenia niczym dary od skruszonego Neptuna.

– Nie myślę, tylko wiem, stary. Najpierw był łosoś, później sola.

Potem małże... to właściwie nie ryby, zgoda... a teraz te sukinsyny. – Roy cały czas stał. Był u mnie pierwszy raz i chciał maksymalnie wykorzystać tę okazję.

– To tylko taka faza, Roy, jak z grzybami w zeszłym roku. Minie, zanim się zorientujesz. – Poczulem dziwny przymus zapalenia papierosa, ale powstrzymałem się dla dobra ryb.

– Powiem ci coś, stary: mój wujek Trevor ubóstwia cię. Kupujesz tego więcej niż ta nowa restauracja, która niestety splajtuje jak wszystko, co się teraz otwiera na Harrow Road.

– Szkoda.

Pokręcił głową z oburzeniem charakterystycznym dla przedstawicieli społeczności lokalnych na całym świecie.

– Byłeś ostatnio na Harrow Road, Jazz? – Nie.

– Widziałeś, kurde, w jakim jest teraz stanie?

– Od jakiegoś czasu nie...

– Zamieniła się w normalny burdel. Przepraszam za język. – Skrzywił pogardliwie usta. – Ktoś się stara ożywić

lokalny biznes, dźwignąć to miejsce na jakiś poziom, żeby coś się działo... ale równie dobrze mógłby sobie nie zawracać głowy. Bo i po co? Równie dobrze mógłby się podetrzeć tymi pieniędzmi, Jazz. – Westchnął. – Mówię ci: byłem tam zeszłej nocy za dziesięć pierwsza... za dziesięć pierwsza, i to uwaga: w piątek... i co się dzieje? Proponuje mi się cztery razy obciążenie druta, kilo prochów i parę działek amfy, a to wszystko w czasie, gdy stoję w kolejce przed MFC.

Pokręciłem głową.

Roy wyglądał na szczerze zniesmaczonego.

– Mam swojego dostawcę i na brak dymanka też nie narzekam, ale nawet gdyby tak nie było... chociaż zawsze będzie. Nawet gdyby tak nie było, nie poszedłbym tam i nie dał sobie, kurde, obciągnąć któremuś z tych bezdomnych flejtuchów, nie mówiąc już o czymś romantycznym.

– MFC? Kiwnął głową.

– Maine Fried Chicken. Niedawno otworzyli. Tam, gdzie przedtem

było Utah Fried Chicken.

– Maine Fried Chicken? – Tak.

– Od nazwy tego stanu?

– A cholera wie.

– Maine leży na północy Stanów – rzekłem.

– Tak? I co z tego, Jazz?

– Myślałem, że smażone kurczaki są specjalnością z Południa, na przykład z Kentucky, Tennessee albo Luizjany. No wiesz, z południowych stanów. Maine słynie raczej z owoców morza i... homarów.

Roy sardonicznie wypuścił powietrze przez zwężone nozdrza.

– Dobra, następnym razem, gdy tam będę, powiem Spanowi i Bazowi: „Sorry, koledzy, podajecie nie to gówno, co trzeba: powinniście się nazywać Maine Fried Lobsters. Tak mówi jeden koleś z Warwick Avenue. Dajcie sobie siana z kurczakami i bierzcie się za homary”. – Jego twarz wykrzywił sarkastyczny uczniowski uśmiech, nim wpadł w bardziej filozoficzny nastrój. – A zresztą posłuchaj sam

siebie, Jazz, masz jakąś obsesję. Coś mi się zdaje, że te ryby to przez twoją nową pannę, stary. Chyba przez nią mięknie. Nie kupujesz już tyle mięsa; nie wychodzisz na noc; a mój stary powiedział, że któregoś dnia czekałeś w sklepie, aż skończy się piosenka w radiu. Kurde, to był podobno Chris de Burgh. Co się z tobą dzieje?

– Trudno powiedzieć.

Roy zniżył głos i nagle znów wyglądał na swoje siedemnaście lat.

– Nie ma jej tu, co?

– Nie, poszła do siebie. Kiwnął głową.

Sięgnąłem po portfel i podałem mu dziesięć funtów.

– Ekstra. – Wyciągnął grubaśny zwitek banknotów z górnej kieszeni, w który wsunął dziesiątkę.

– A tak przy okazji, stary, fajna chata. W sam raz, żeby przyjmować panienki. W przyszłym roku sprawię sobie chyba coś podobnego; pozwolisz, że się trochę rozejrzę?

Tak naprawdę nie miałem czasu, żeby zdecydować się na jakąś odpowiedź, ponieważ Roy zniknął już w mojej pracowni. Zerknąłem jeszcze raz na strzępile. Zastanawiające, że puste oczy martwych ryb mogą patrzeć na człowieka tak błagalnie.

Z drugiego pokoju nadbiegł głos Roya:

– Pięknie, Jazz. Bardzo pięknie. Kurwa. Nieźle. Nie wiedziałem. Myślałem, że to tylko... no wiesz... trochę tuszu, kawałek papieru, jakieś zawijasy, nic nadzwyczajnego. Ale to jest... zajebiste.

Zabrzączał domofon. Podszedłem do drzwi, wcisnąłem przycisk, nie podnosząc słuchawki, i w ślad za Royem juniorem udałem się do pracowni.

Roy podniósł wzrok.

– Bez obrazy, stary, ale to jest naprawdę odjazd. Szacuneczek.

– Dzięki.

– Ile bierzesz za coś takiego?

– Patrzysz właśnie na dwa patyki, Roy.

– Sukinsynu.

Staliśmy obok siebie, wpatrując się w *Spadek*. Roy wydobyl ze swojego repertuaru ton intelektualisty:

– Nie obraż się, stary, ale czy mogę coś powiedzieć? – Strzelaj.

– Co tu, kurde, jest napisane?

Uzupełniając w myślach brakujące wersaliki, odczytałem wiersz na głos:

Gdy znowu śmierć mi w oczy zajrzała,

A zgonem mym kończy się, kochanie, Najkrótsze nawet z Tobą rozstanie,

Chwila rozłąki to dla mnie wieczność cała,

Nim dusza ma ze mnie uleciała,

Rzekłem coś jeszcze na pożegnanie,

Coś darowałem i spadku wykonawcą

Siebie mianowałem, będąc spadkodawcą.

Powiedz jej tylko – głos swój słyszałem – Żem zabił się sam, czyli

żem zginął Za twoją, nie zaś za jej przyczyną, I serce jej w puściźnie dać obiecałem; Ale w swym tonie już go nie miałem, Kiedy mój czas nareszcie przemiął. Za życia będąc prawości wzorem Po śmierci zostałem deklamatorem.

Coś wszak znalazłem – przypominało

Serca zarysy oraz kolory,

Miało defekty, lecz i walory, Zdobyć jego cząstkę niewielu umiało. Dziełem artysty się wydawało,

By więc zachować wszelkie pozory, Wysłać je chciałem jako serce moje, Lecz chwycić nie mogłem – ono było twoje.

Roy kiwał powoli głową.

– Nie, stary, umiem przeczytać, co tu jest napisane... z grubsza... ale o co tu chodzi?

– Chcesz wiedzieć, co to znaczy?

– Właśnie.

– A więc – przerwałem na chwilę – jeden gość mówi kobiecie, że za każdym razem, gdy się rozstają, on umiera... również wtedy, gdy ma orgazm...

– Co? Kiedy się spuszcza?

– Tak, ale to jakby sprawa drugorzędna. Zapomnij o tym. Zapomnij o wytrysku. – Zrobiłem krótką przerwę. – No, w każdym razie jest gość, który mówi kobiecie, że umiera za każdym razem, gdy się rozstają; potem sobie przypomina, że ostatnim razem, gdy to cholerstwo się zdarzyło...

– Ostatnim razem, gdy się spuścił, czy ostatnim razem, gdy kofnął?

– Jedno i drugie. Ale przede wszystkim ostatnim razem, gdy umarł. Jest oczywiste, Roy, że ten facet jest nieźle zakręcony.

– To widać.

– Tak czy inaczej... ostatnim razem, gdy rozstał się z tą kobietą i umarł... bo umiera przy każdym rozstaniu... ostatnia wersja jego martwego „ja” obiecała, że następnym razem stanie się swym własnym katem (i egzekutorem)... zamiast pozwalać jej, by to ona ciągle go

uśmiercała... tak?... ale oczywiście aktualne martwe „ja” zdaje sobie sprawę, że nie spełniło obietnicy, ponieważ to ciągle przez nią obydwaj „ja” są martwe. A przy okazji tę kobietę określa mianem ja „sam”, ponieważ mówiące „ja” uważa, że kochankowie – kobieta i mężczyzna – stali się jednością, tak więc ona to on, a on to ona, ja „sam” to „ona sama”... i w tym jest jakby sedno... chociaż może tu też być aluzja do masturbacji... No, w każdym razie później jedno z martwych Ja” zaczyna się bać, bo zagląda do prawdziwego martwego „ja” i okazuje się, że to główne martwe „ja” nie ma serca, co jest naprawdę strasznym świństwem, bo obiecało zostawić to serce... jego serce... w spadku kobiecie, która go zabiła... zgadza się?... ale teraz wygląda na to, że to serce... jego serce... zostało skradzione przez nią (mówi się: „skradła mi serce”), a jego miejsce zajęło inne serce, jakieś dziwne, które i tak postanawia wysłać, no bo co mu, cholera, zostało w tej sytuacji... tylko że to dziwne serce jest jakby zbyt nieuchwytnie i nikt nie może nim rządzić... ponieważ... oczywiście... okazuje się, że to od początku było jej serce... które, co znamienne, nieświadomie skrywał we własnej piersi... chociaż z drugiej strony nie tak znowu nieświadomie, bo w końcu to on stworzył ten wiersz i doskonale wiedział, że zmierza do tego finału z zamianą serc... ale jest jeszcze taka kwestia, że nie wiadomo, czy podmiot liryczny to sam Donne... a do tego dochodzi sprawa z martwymi ja”, bo nie wiadomo, które tak naprawdę mówi... najważniejsze jednak jest to, Roy, że jeśli chodzi o serce, wszyscy mamy przerąbane, żywi i martwi. – Cmoknąłem z niezadowoleniem. – To w skrócie tyle.

Roy zamyślił się, kciukiem wywabiając nikłe załączki czegoś, co mogło kiedyś przerodzić się w bródkę. Wciągnął głęboko powietrze.

– Nie obraż się, stary, ale to jakieś totalne bzdety.

– Pewnie nie wyjaśniłem...

– Nie, nadażam za tobą, Jazz... i rozumiem, że musisz bronić dziada. Nie twierdzą, że to, co ty mówiłeś, to bzdety. Mówię tylko, że sam wiersz jest do bani.

– Niewykluczone, że masz rację, Roy. Nie zamierzam...

– To znaczy – otworzył dłonie niczym uosobienie rozsądku – wiem, że człowiek da sobie wcisnąć każdą ciemnotę, wszyscy jesteśmy tacy sami, stary, tak jesteśmy skonstruowani... ale mimo wszystko ten wiersz tutaj to w stu procentach czyste bzdety.

– Nie wszystkie są aż tak złe. – Madeleine roześmiała się. – Niektóre są piękne.

Obaj zrobiliśmy w tył zwrot. Uśmiechnąłem się.

– Cześć, Madeleine, cześć... eee, to jest Roy; pracuje w sklepie i właśnie przyniósł nam rybę na wieczór...

– Wiem... poznaliśmy się. – Madeleine miała na sobie roboczą koszulę i wytarte dżinsy do malowania... w których wyglądała oczywiście zachwycająco. – Jak tam ogródek, Roy?

Roy splonił się cały, oblewając się rzadkim odcieniem szkarłatu.

– Nawet całkiem nieźle, dzięki. – Odwrócił się, żeby wyjrzeć przez okno, jak gdyby chciał potwierdzić tę wiadomość. – Radzę sobie.

Madeleine puściła do mnie oczko.

– Dobra – rzucił Roy odwrócony do nas plecami – za parę godzin muszę być w Keele. Mam tam coś nagrane. – Odwrócił się lekko. – No to siema.

Madeleine dotknęła guzika koszuli i powiedziała (dość zmysłowo, jak mi się zdawało):

– Idę wziąć prysznic. – Zniknęła w mojej sypialni. Wypuściłem Roya.

– Ogródek? – zapytałem cicho na schodach.

– Tak, stary. – Roy puścił do mnie oczko. Wszyscy puszczały oczka.

Od końca lipca, ponieważ w jej mieszkaniu odcięto na kilka dni ciepłą wodę, potem elektryczność, a potem znowu wodę (ciepłą i zimną), ponieważ wszędzie wałała się farba, gips, rury i sterty papieru, i ponieważ gangi uśmiechniętych robociarzy ustawiały się w kolejce do jej sypialni, żeby tam potajemnie walić konia, Madeleine coraz więcej czasu spędzała u mnie. Nie powiedziałbym, że wprowadziła się na stałe.

Niezupełnie – czasem wychodziła wieczorem i spała u siebie; a po dwóch pierwszych tygodniach wspólnego wałkonienia się większość roboczych dni tygodnia przesiadywała w British Library, gdzie pracowała nad swoją książką; do tego spędziła cały jeden weekend w mieszkaniu ojca („rzadko kiedy bywa w Londynie, więc jest tam cicho i przyjemnie, a muszę się teraz sprężyć i skończyć ten rozdział o Aleppo, zanim on skończy ze mną”). Ale przypadkowy obserwator (wybaczywszy nam, że wcześniej kazaliśmy mu spadać), gdyby go naciskać, prawdopodobnie powiedziałby, że na dobrą sprawę mieszkamy razem.

Jeśli nie pracowaliśmy (ja w moim atelier, ona stukając w klawiaturę laptopa w drugim pokoju), przeważnie schodziliśmy do ogrodu – wciąż zaczarowanego – albo bumelowaliśmy: oglądaliśmy tenisa, piliśmy, rozmawialiśmy, przygotowywaliśmy jedzenie, wypożyczaliśmy filmy, mieszaliśmy koktajle, graliśmy w karty, generalnie zbijaliśmy baki. Te kilka tygodni, jak sędzę, przypominało nieco wakacje, jakie pamięta się z dzieciństwa – na pozór nie kończące się, beztroskie i bezcelowe, przeżywane w zwolnionym tempie. Polubiłem nawet Milesa Davisa.

I nie, nie myślałem wcale, że coś się może popsuć. Oczywiście, że nie: nikt nie martwi się o koniec na początku. (Nawet Bóg – najwyraźniej.) Zbyt wiele się dzieje, zbyt wiele jest do odkrycia. Rozluźniłem się więc i cieszyłem jej towarzystwem, a w tym czasie... tak, moje uczucia zaczęły przybierać na sile. Nie prowadziliśmy żadnych kretyńskich rozmów o tym, czy „chodzimy” ze sobą albo (jak to mówią w amerykańskich serialach te żałosne dziwolągi) „mamy na siebie wyłączność”. Naturalnie założyłem, że Madeleine nie spotyka się już z Philem ani z nikim innym. A mnie nie musiała o to pytać, gdyż, rzecz jasna, mojego domu nie nawiedzały żadne samice, ani osobiście, ani telefonicznie. Ten jeden przypadkowy, rozpaczliwy telefon biednej Lucy okazał się ostatnim.

Przez cały długi miesiąc miałem chyba tylko jedno ważne spotkanie: lunch z Gusem Wesleyem. Mój sławny klient przyleciał do Londynu w

sprawach służbowych – podobno kupował kilka cyfrowych stacji telewizyjnych. W ten sam piątek, gdy Madeleine zaszyła się w mieszkaniu ojca, żeby popracować nad Aleppo, ja udałem się do Savoya, spodziewając się trwających co najmniej trzy dania ożywionych i intymnych pogaduszek artysty z jego mecenasem na tematy związane z Donne'em oraz wzajemnych zapewnień o dotrzymaniu warunków umowy. Ale okazało się, że nie będziemy przekazywać sobie nowinek w cztery oczy: zaprosił mnie na uroczystość rozdania nagród przyznawanych przez jakąś gazetę. Mnóstwo starzejących się dziennikarzy, którzy raczyli się wzajemnie pochlebstwami nad kurczakiem w sosie myśliwskim. Z moim potentatem dane mi było spędzić przy stole w pośpiechu tylko kilka minut.

– Jak tam, Jasper? Wszystko idzie zgodnie z planem?

– Tak. Absolutnie.

– To najważniejsze. W żadnym wypadku nie możesz się spóźnić. A kiedy już skończysz, przylecisz do mnie i pójdziemy gdzieś, gdzie będzie można do cholery normalnie pogadać.

Ten lunch przynajmniej przypomni mi o świecie poza Bristol Gardens i pod koniec lipca zaczęliśmy z Madeleine częściej wychodzić z domu – początkowo zapuszczaliśmy się najwyżej do starego lokalnego pubu, „Wellington”, nie skażonego jeszcze manią uganiania się za ulotną nowoczesnością tak bardzo ukochaną przez zwolenników „gastropubów” i nedorzeczną tendencją serwowania klientom polenty. Ale był to chociaż jakiś początek.

Letnie słońce na zachodzie tonało za horyzontem jak płonący statek. Siedzieliśmy naprzeciw siebie na świeżym powietrzu przy stole na kozłach: Madeleine w krótkich spodenkach, koszulce bez rękawów i okularach przeciwsłonecznych, ja w Tshircie, dzinsach i sandałach Jezuskach”. Ciepły wiatr szumiał w gałęziach jaworów. Było jeszcze na tyle gorąco, że lód w dzinie z tonikiem Madeleine topił się na oczach. A gdy ja podnosiłem szklanekę z piwem, drewno lepilo się w miejscu, gdzie wcześniej ktoś coś wylał. Czytałem jeden z prasowych artykułów

Madeleine: „Posoawiania Madeleine Belmont. Nawrócenie w drodze do Damaszku”.

– Czy Guy Wesley wciąż jest właścicielem tej gazety? – zapytałem. Z góry znałem odpowiedź na to pytanie. Ale z jakiegoś powodu poczułem nagle, że chcę jej opowiedzieć o moim kliencie. Może chodziło mi o to, by się zwierzyć – wyznać jakiś sekret jej i tylko jej. Jakby formalnie potwierdzić naszą intymną więź.

Nie podniosła wzroku znad książki.

– Tak, chyba tak. To znaczy na pewno tak.

– Poznałaś go? – Nie.

– Ciekawe, jaki on jest. Podniosła w końcu głowę.

– Robi się z niego w mediach karykaturę, despotę, który każe wszystko upraszczać na siłę, ale to pewnie stek bzdur.

– Właśnie – rzekłem – jako potentat prasowy musi mieć złą prasę. Biedak. Założę się, że spędza każdą wolną chwilę, lamentując nad losem ludzkości, słucha...

– Na pewno jest człowiekiem jak my wszyscy.

Nie widziałem jej oczu za ciemnymi okularami, ale mówiła dość szorstkim tonem. Rozmyśliłem się. Wróciły do mnie ostrzeżenia Saula. Madeleine była przecież dziennikarką. Po co ryzykować? Wyszłoby tylko na to, że się przed nią popisuję. Opowiem jej wszystko o zleceniu, gdy skończę pracę. Nie powiedziałem więc nic więcej. Zostawiłem ten temat i wróciłem do lektury artykułu – a ona do swojej książki.

Pośród wielu zdjęć syryjskiego przepychu była jedna fotka samej Madeleine, siedzącej pośrodku czegoś, co wyglądało mi na bazarowy stragan. Miała na sobie arabską burkę, ale z odrzuconym kapturem, i przymierzała jakiś but w zachodnim stylu – jej stopa spoczywała w szorstkiej dłoni zgarbionego i klęczącego sprzedawcy, który zapinał paseczek przy kostce. Pelerynę miała podciągniętą, toteż niemal dotykała kolanem jego skoncentrowanego czoła. Patrzyła jednak gdzie indziej i pokazywała język jakiemuś kotu.

Minęło kilka minut. Próbowałem czytać inne artykuły, ale

bezsukutecznie. Wszystkie strony prowadziły do tego zdjęcia, a to zdjęcie prowadziło tylko do jednej osoby. Odchrząknąłem i zwróciłem się do niej zza stołu:

– Madeleine?

Znów podniosła wzrok znad książki i odpowiedziała żartobliwie oficjalnym tonem:

– Słucham pana.

– Co byś powiedziała... jak się trochę ściemni, żebyśmy poszli do ogrodu?

– Po co? – Pojęła, o co mi chodzi, z typową dla niej bystrością. – Aha. Żeby tam pofiglować, tak?

– Właśnie.

– Jasne. – Zrobiła minę w stylu: „Zrobimy, jak chcesz”.

– Mam włożyć coś specjalnego, czy chodzi ci tylko o lokalizację?

Pociągnąłem łyk London Pride.

– Tę niebieską sukienkę.

– Masz na myśli tę, którą miałam na sobie, kiedy zacząłeś mnie szpiegować? – Spojrzała na mnie znad szkieł.

– Tę samą.

– OK. Coś jeszcze?

– Możemy zacząć na tamtej ławce?

– Oczywiście, że tak, Jasper. – Przerwała na chwilę, po czym dodała: – Tylko musimy uważać na Roya.

– Jak to?

– Zaczął się kręcić po ogrodzie z kamerą wideo w nadziei, że ujrzy mnie nagą przez okno.

– Mówisz poważnie? – Jak zwykle nie potrafiłem stwierdzić, czy żartuje.

– No. Właściwie to już go raz przyłapałam. Był na moim patio. Wysłałam frontowymi drzwiami i zakradłam się z drugiej strony. – Zachichotała. – Nie wierzyłam własnym oczom: stał tam z tym urządzeniem wymierzonym prosto w moje okna. Powiedział, że jest

ogrodnikiem i filmuje okoliczne ogrody do jakiejś akcji organizowanej przez władze lokalne. Nie potrafi kłamać. – Pokręciła głową. – Ale biedaczek miał tak... no wiesz... tak skonsternowaną minę, że o mało nie zaprosiłam go do środka. Dzieciak z niego jeszcze. Byłby wniebowzięty. I muszę powiedzieć, że nawet go lubię, chociaż jest porąbany.

– Ach, więc o to chodziło. Myślałem, że masz z nim romans.

– Sądziłam, że masz o mnie lepsze zdanie. Nie romansuję z byle kim. – Zdjęła okulary. – Zresztą, nawet gdyby tak było, nic byś o tym nie wiedział.

– Jasne. – Łyknąłem piwo i poczęstowałem się jednym z jej papierosów. – Ale czy to cię obraża?

Ona też wydlubała papierosa z paczki. – Co?

– Ten rodzaj... ta strona męskości?

– Masz na myśli waszą lubieżność? – Tak.

– Owszem, obraża; ale męska obsesja na punkcie kobiecego ciała, nie. – Skorzystała z ognia, który jej podałem. – Cała prawda na temat... no wiesz... tej waszej erotomanii jest taka: zależy, kto zwraca na nas uwagę. Jeśli facet jest śmierzącym palantem, chamem i chucha ci piwem w twarz, a kobieta jest zmęczona i marzy tylko o powrocie do domu, wtedy rzeczywiście jest to głęboko obraźliwe. Ale jeśli to

ktos, nie wiem, polećmy po stereotypach, jeśli to jakiś przystojny gwiazdor filmowy, którego przypadkowo spotykasz i który się na ciebie wyraźnie napalił, wtedy nie, zupełnie nie. – Wypuściła dym nosem. – Naprawdę, wszystko zależy od tego, kto... jakiego rodzaju mężczyzna... jest tobą zainteresowany. Ale zainteresowanie samo w sobie nie jest obraźliwe. W każdym razie nie dla mnie. – Machnęła papierosem niedaleko osy, która brzęczała wokół brzegu jej szklanki. – W zasadzie heteroseksualne kobiety, które nie przestają mówić o tym, jak to nie podoba im się, gdy mężczyźni traktują je przedmiotowo, są w większości hipokrytkami, które plotą bzdury. Każda kobieta w głębi ducha lubi, gdy od czasu do czasu potraktuje się ją przedmiotowo. Pod

warunkiem że zrobi to odpowiedni facet. Kiedy tak się dzieje... żadna się nigdy do tego nie przyzna... jest to w jakiś dziwny sposób pokrzepiające. Chyba że się okaże, że nie jest zdolny do innego typu zachowań. Kiwnąłem głową.

– A więc nie, męskie zachowania mnie nie obrażają. Generalnie. Tylko niektórych facetów. Innych nie. Podejrzewam, że tak samo jest w twoim przypadku, jeśli chodzi o kobiety.

– Tak. Rzeczywiście. Tak jakby. Chociaż ja mam właściwie słabość do wszystkich kobiet cały czas. – Odkaszałem, gdy gryzący dym wypełnił mi płuca.

Uśmiechnęła się.

– Natomiast filmowanie z ukrycia, to zupełnie inna sprawa. – Wychyliła resztki dżinu. – Słuchaj, chciałabym skoczyć do siebie. Muszę zabrać trochę ubrań i załatwić się. Powinam też zajrzeć do komputera. Przygotuj coś niezwykłego na nocną ucztę.

– Dobrze.

– Spotkajmy się punktualnie o jedenastej w ogrodzie. – Puściła oczko, nasunęła na nos ciemne okulary i wstała.

Na pierwszy rzut oka Sen wydaje się najbardziej lirycznym wyrazem zachwytu w poezji Donne'a, ale przy trzeciej strofie zwątpienie znów zakrada się do sypialni: (nie)stałość, (nie)wierność, (nie)prawda. W ostatnich linijkach pyta kochankę, czy tak się z nim „rozprawiła” („rozprawić się”, surowe i brutalne słowo na tle tych wszystkich subtelności). Czy wróci do niego? Jeśli nie, on umrze. I tym razem, jak sądzę, ma na myśli prawdziwą śmierć, nie orgazm:

Jako z pochodnią, coś ją zgasła
Takożeś ze mną się rozprawiła,
Przychodzisz – ptonę, odchodzisz – gasnę
Jeśli cię stracę, na wieki zasnę.

Nie zauważyłem jednak tego czającego się między słowami niepokoju, gdy czytałem ten wiersz po raz pierwszy. Byłem zbyt zaabsorbowany całym tym „Najdroższa, tylko dla ciebie...” Byłem zbyt zaabsorbowany „Snem”.

19. Miłości wzrastanie

Mniej jest w kochaniu moim czystości, Niż mi się zdawało, Gdyż prawom zmienności Podlega...

Nie chcę wywoływać wrażenia, że Madeleine została w jakiś sposób dotknięta przez giętkie palce psychozy. Wcale nie. Była nie mniej przytomna, trzeźwo myśląca i profesjonalna niż Dorothy Parker po dwóch drinkach w udany piątkowy wieczór. Gdybym jednak miał poflirtować przez chwilę z doktorem Freudem, najbardziej wyrafinowanym i inteligentnym erotomanem ludzkości, powiedziałbym, że jej osobowość, jej system wartości, a z pewnością historia rodzinna stanowiłyby fascynujący przedmiot badań. Cóż na przykład brodaty Zygmunt z wiecznie skrzącymi się oczami wydedukowałby na podstawie naszego wypadu do Tatę Modern?

Tak, znowu Tatę. Jej propozycja, *bien entendu*, i rzucona (na piętrze jednego z tych turystycznych autobusów w czasie konsumpcji pysznych kanapek z wędzonym łososiem) w związku z naszym programem „poznaj swoje miasto”.

Żałosny ze mnie głupiec: moje początkowe obawy po przyjęciu tej propozycji koncentrowały się nie wokół myśli, że widma Lucy i Cécile mogłyby nawiedzić znowu galerię, lecz wokół idiotycznej niepewności co do tego, jak dużo lub jak mało powinienem wiedzieć. Chociaż niektóre wystawy musiały być nowe, zdawałem sobie sprawę, że część ekspozycji nie zmieniła się od marca, dlatego też – gdybym miał takie życzenie – mógłbym pokazać się jako ktoś bardziej niż tylko

trochę obeznany z najnowszymi prądami w sztuce. Z drugiej strony nie opuściły mnie jeszcze wspomnienia z rejsu barką... i z jakiegoś powodu nie czułem już potrzeby, żeby tak się wygłupić. Gdy zatem skręcaliśmy na Trafalgar Square, postanowiłem powiedzieć jej prawdę: że ostatnio byłem tu w moje urodziny „z przyjaciółmi”.

Po takiej deklaracji jej następne pytanie było, jak sędzę, nieuchronne.

Po takim pytaniu moja odpowiedź zabrzmiała następująco:

– Z Williamem, Nathalie i moją ówczesną dziewczyną.

Po takim wyjaśnieniu uśmiechnęła się, może nieco złowrogo, skłoniła swoją twarz ku mojej i zawołała:

– „Ówczesną” dziewczyną! Minęły dopiero jakieś cztery miesiące, Jasper. Nie musisz tego tak podkreślać. Chyba że masz jakieś wyrzuty sumienia co do mnie, co do niej albo nie wiem co? Masz wyrzuty sumienia? Jak miała na imię?

– Lucy.

– Cóż, któregoś dnia opowiesz mi o niej wszystko.

Siedzieliśmy w przestronnym barze na ostatnim piętrze Tate Modern, zdecydowawszy się na samoobsługę (zamiast czekać cierpliwie, aż miną kolejne tysiąclecia). Właśnie wróciłem do naszego stolika ze słabą i pozbawioną wyrazu herbatą Darjeeling dla siebie i ciemną, esencjonalną kawą espresso dla Madeleine. Była zaczytana w katalogu wystawy. Usiadłem po cichu i przystąpiłem do wywabiania rachitycznej herbaty z zawilgoconego i dusznego więzienia torebki.

Na zewnątrz letni wieczór oddalał się kołyszącym krokiem niczym specjalistka od tańca brzucha wracająca do swej szkarłatnej przyczepy w górze rzeki. Przez chwilę podziwiałem panoramę skąpanego w promieniach zachodzącego słońca Londynu. Później zacząłem obserwować innych miłośników sztuki w galerii, ale nie widząc nic interesującego ani pięknego, szybko przeniósłem wzrok na Madeleine i próbowałem odczytać myśli przemykające po jej twarzy. Jakiś chochlik marszczył jej brwi, a na czole uwidoczniła się cieniutka zmarszczka.

– Niektóre z tych tytułów są cudaczne – wymamrotała tyleż do siebie, ile do mnie.

– Tani chwyt, do którego uciekają się współcześni artyści – odpowiedziałem – gra dzieła z jego tytułem... agresywny dysonans, ukryta ironia lub toporna dosłowność... sposób na stworzenie głębi lub dodatkowego znaczenia.

Niecierpliwie podniosła na chwilę wzrok... tak, wszyscy o tym wiemy, Jasper, dziękuję bardzo... i wróciła do lektury.

Zauważyłem, że coraz częściej w jej towarzystwie mówię bezpośrednio to, co przychodzi mi do głowy – jestem... z braku lepszego słowa... „szczerzy”. Przeniosłem uwagę na jej usta i rozpocząłem krótką debatę z samym sobą o tym, czy najlepsze związki buduje się na emocjonalnej przejrzystości, dzieleniu się zwierzeniami czy na pewnej selektywnej ślepoty, dzieleniu się wybaczeniem. Ale gdy posunąłem się w swych refleksjach na tyle daleko, by nadać im tytuł: „Tchórzostwo otwartości i odwaga milczenia”, Madeleine dała sobie spokój z katalogiem.

– Beznadzieja. – Cofnęła się do poprzedniej strony. – No bo posłuchaj, Jasper: *Ojcostwo nr 15: Las, Zjeżdżały gotowy posiłek: 10 września, Bogu, kimkolwiek Ona jest*. Przecież to jakieś kretynstwo.

– Prace Macy Blake?

– Tak. – Wyciągnęła rękę po papierosa. – Macy Blake. – Madeleine gwizdnęła z aprobatą – na zdjęciu wygląda całkiem seksy. – Podniosła portret artystki. – Chciałbyś z nią... no wiesz... gdybyś miał okazję?

– Znasz mnie: prześpię się ze wszystkim, co dobrze wygląda. To Amerykanka?

Madeleine uśmiechnęła się szeroko.

– Tak. – Nie zważając na obowiązujący w barze zakaz palenia, zapaliła papierosa. – Wiesz, trudno się zdecydować, czy tego rodzaju kobietę mamy podziwiać czy nie. Wyraźnie widać, że ma nierówno pod sufitem... stąd te tytuły i stąd te prace. Ale przecież to samo dotyczy wszystkich facetów tutaj; i przynajmniej oglądamy jej bohomy, a nie bohomy kolejnych facetów i... Jezu, czy to dobrze? Nie mam zielonego pojęcia, co jest dobre dla kobiet w sztuce.

W każdym razie napisano tutaj, że urodziła się w Bostonie, co już wydało mi się podejrzane...

Zacząła czytać, jak przypuszczam, biografię artystki. Patrzyłem, jak jej oczy przesuwają się po liniach tekstu. I wtedy, nie zwracając większej uwagi na to, co robi, wyciągnęła rękę i zamiast cukru pomyłkowo nasypała do kawy soli. Samo w sobie było to zrozumiałe:

postmodernistyczna solniczka miała u góry małą srebrną rurkę, przez co wyglądała jak jedna z cukiernic, które spotyka się w tanich barach i knajpach. Już miałem ją powstrzymać, ale – nie wiem dlaczego – po prostu gapilem się jak sparaliżowany, gdy ona podniosła filiżankę do ust... i nawet nie mrugnęła. Po prostu wychyliła całą zawartość espresso i przełknęła. Nie okazała w żaden sposób, że poczuła coś niewłaściwego – żadnego plucia, żadnego krzywienia się, żadnych „a fu!”, nie drgnął jej ani jeden mięsień. Widok ten był głęboko, nieznośnie poruszający.

Spokojnie podniosła wzrok i powtórzyła jeden z tytułów, jak gdyby do siebie.

– Mmm. A więc. *Bogu, kimkolwiek Ona jest.* – I dodała: – A ty, Jasper, wierzysz w Boga?

Klasyczne pytanie maniaka.

– Nie – odparłem, przypuszczalnie z przerażonym wyrazem twarzy.
– Niezupełnie. Czemu pytasz?

– Co to znaczy: „niezupełnie”?

– Pytasz poważnie?

– Jasne. Pytam poważnie. Dlaczego zawsze zadajesz to pytanie? Coś się stało?

– Właśnie wypijaś posoloną kawę.

– Wiem. Dlaczego mi nie powiedziałeś, że ją posoliłam? Cały czas mnie obserwowałeś.

– Bo... – Trudne pytanie. – Chciałem chyba zobaczyć, jak zareagujesz.

– No to teraz wiesz. – Strząsnęła popiół na spodek. – A więc: czy wierzysz w Boga?

– Skoro pytasz...

– Owszem, pytam. Dlatego sformułowałam pytanie.

– Przepraszam – powiedziałem, wzruszając ramionami. Tb przez tę angielską nieufność do wielkich pytań; mam ją we krwi. – Znowu szczerść: jak się zacznie mówić prawdę, po prostu nie można przestać. Gorzej niż z cholernym łganiem. Czekala na ciąg dalszy.

– Cóż, uważam oczywiście, że Bóg jest wytworem ludzkiej wyobraźni. Ale uważam też, że jest najważniejszym i najbardziej stymulującym wytworem wyobraźni. Bez niego bylibyśmy zgubieni. Bez niego zostaje nam tylko w najlepszym wypadku pewnego rodzaju bezwzględna trywialność, a w najgorszym i dużo bardziej prawdopodobnym – żalosne staczanie się do pieca niepohamowanej chciwości, wulgarności i nieoświeconego egocentryzmu, inaczej mówiąc: do piekła. Myślę, że co drugie ludzkie pokolenie, a przynajmniej jego arcykapłani, rozumiało potrzebę istnienia tego wytworu wyobraźni. A nasz problem polega na tym, że tego nie rozumiemy. Zabijając Boga, zniszczyliśmy najbardziej imponujące, afirmujące życie i pomysłowe dzieło rodzaju ludzkiego. Można powiedzieć, że zafundowaliśmy sobie zbiorową lobotomię. I dlatego sztuka przedlobotomiczna – na przykład Bach i da Vinci – jest dużo lepsza, z natury rzeczy, niż większość postlobotomicznych dzieł, które można znaleźć tutaj. – Rozsiadłem się wygodniej na krześle i dopiłem herbatę. – Proszę. Co ty na to?

– Nawet się nie zająknąłeś.

– Pracowałem nad tym przez lata. A jakie jest twoje zdanie? Skoro jesteśmy przy tym temacie.

– Bóg mnie nudzi. Ale chętnie bym już zapłaciła i poszła obejrzeć te denne feministyczne bohomyzy Macy Blake, zanim stąd wyjdziemy. Masz ochotę? Czuję, że powinnam. Może być fajnie.

Wpadłem na ten sam pomysł, ale przed nią czy po niej, tego już się nie dowiem. Dla zatwardziałego erotomana (jak twierdzą) każde miejsce jest potencjalną sceną miłosnego aktu. Nowa dekoracja. Nowa akustyka. Nowa przestrzeń. I bez obrazu, pani Blake, jak powiedziałaby Roy junior, ale dzieło *Ojcostwo nr 15: Las* zostało z pewnością stworzone (a raczej zainstalowane) po to, by w Tętę Modern znalazło się odpowiednie miejsce do intymnego publicznego zbliżenia. Nie mogło być innego powodu, dla którego powstało lub dla którego kuratorzy je pokazują. Oglądana z pewnej perspektywy, cała praca była

jednym wielkim parkiem erotycznych uciech. (Nie było w tym bynajmniej nic złego: w końcu cały ziemski glob jest z pewnością jednym gigantycznym parkiem erotycznych uciech.)

Las zajmował jeden koniec dużej sali. Składał się z trzydziestu lub czterdziestu wysokich drewnianych rzeźb, z których większość miała grubość pnia drzewa i wysokość od dwóch i pół do czterech i pół metra. Ustawiono je tak, by powstało wrażenie przypadkowości w ich rozmieszczeniu, były też podwieszane lub podparte pod najdziwniejszymi kątami – aby widz mógł pomyśleć, że ogląda płataninę drzew bez liści i gałęzi po jakimś trzęsieniu ziemi. Wszystkie rzeźby przedstawiały mężczyzn – groteskowych i zniekształconych, wydłużonych i bez dostrzegalnych kończyn – ale zdecydowanie męskich, przesadzały o tym twarze, sękaty genitalia oraz przypuszczalnie ich ojcostwo. Całość była oddzielona skromnie cienkim białym sznurem.

– Co powiesz? – zapytała Madeleine. Zauważyłem, że trzyma mnie za rękę.

– Nie wiem. No ale ja nie mam ojca.

– Nie o to mi chodzi.

– Mogą nas przyłapać. – Powiedziałem to trochę za szybko i musiałem zerknąć w bok, by sprawdzić, czy Madeleine rzeczywiście sugeruje to, co wydawało mi się, że sugeruje.

Sugerowała. Jej oczy się śmiały.

– Wtedy powiemy, że my też chcemy coś wyrazić. Niby dlaczego nie miałyby to być prawdą?

Autentyczna bratnia dusza.

W sekundę sforsowaliśmy biały sznurek i daliśmy nura w pierwszą lepszą szparę między rzeźbami. Ale dwa kroki dalej już nie było przejścia; pospiesznie, ale ostrożnie przeciskaliśmy się w prawo i w lewo, potem schyliliśmy się i szliśmy prawie na czworakach. Instalacja sięgała dużo głębiej, niż mi się wydawało. A w środku było ciemniej, niż sobie

wyobrażałem – wyższe rzeźby zdawały się pochylać groźniej teraz, gdy znajdowaliśmy się bezpośrednio pod nimi.

– Wszystko schrzaniłi – szepnęła Madeleine – bo żeby poczuć się jak w lesie, trzeba być w środku. Nie ma takiego efektu, jeśli się patrzy na to z zewnątrz.

– Jak któryś z tych drewnianych kołesiów runie, nie wyjdziemy z tego cało – wydyszałem. – Zmiażdżeni przez *Ojcostwo nr 15*.

Madeleine odnalazła tylną ścianę. Przesunęliśmy się kilka kroków w bok, aż dotarliśmy do miejsca, które nie było widoczne z galerii.

Zsunęła buty, pochyliła się, żeby zdjąć rajstopy, zwinęła je w kulkę i wcisnęła do wewnętrznej kieszeni mojej kurtki. Z szeroko otwartymi oczami chwyciła jedną ręką moją twarz – kciukiem brodę, a pozostałymi palcami policzek – i przyciągnęła ją do siebie.

Zza rzeźb dobiegł mnie czyjś głos:

– *Je les ai vu, U y avait un homme et une femme, ils sont disparus.*

Choć czasem rozmawialiśmy przez telefon, nie widziałem się z Williamem od prawie dwóch miesięcy. Tak więc pewnego wieczoru, kilka dni po wizycie w Tatę Modern, gdy Madeleine pojechała na spotkanie z siostrą, a ja nie wiedziałem, co ze sobą począć, postanowiłem się z nim skontaktować. Nie było go w domu i miał wyłączoną komórkę, spróbowałem więc szczęścia, dzwoniąc do „Le Fromage”.

– Nie mam całkowitej pewności, czy pan Lacey gości u nas, proszę szanownego pana; czy mógłbym może przekazać mu jakąś wiadomość? – Chociaż osoby zatrudnione w „Le Fromage” przeważnie nie miały więcej niż trzydzieści pięć lat, w jakiś sposób opanowały gładkie „f” sześćdziesięciokilkuletnich aktorów powtarzających rolę dwudziestokilkuletnich recepcjonistów w sztukach siedemdziesięcioletniego Noela Cowarda.

– Tak, bardzo proszę – odparłem. – Czy może go pan poprosić, żeby zadzwonił do mnie? Nazywam się Jackson

i powinienem znajdować się na liście osób, do których oddzwania,

Jasper Jackson. Proszę mu powiedzieć, że jestem w domu i że to bardzo pilne.

– O... – Głos zszedł na niższy diapazon: przeszedł w zniewieściałą afektację rodem z Soho. – ...To ty, Jasper?

– Tak.

– Cześć... Erie z tej strony.

– O, cześć Erie. Jak leci?

– W porządku. Powiedzmy. Ciągłe nie palę. Po prostu jakiś cud. Za to kilogramów przybywa.

– Pływasz?

– Nie. Przestałem. – Westchnął. – Nie mogę biegać ze względu na kolana, nie mogę pływać ze względu na chlor, a w moim stanie można zapomnieć o stroju do jazdy na rowerze. Przeznaczone jest mi chyba zostać jednym z tych, którzy muszą bazować na swojej osobowości.

– A myślałeś o tańcu?

– Co? Mówisz o dyskotece?

– Taniec towarzyski, disco, salsa, cokolwiek. Doskonały sposób na szczupłą sylwetkę, do tego poznajesz ludzi, a wszystkim podobają się dobrzy tancerze. Wyobraź sobie, jakie będziesz robił wrażenie na weselach. Faceci będą się do ciebie pchali drzwiami i oknami.

– Wiesz, Jasper, to nie jest wcale taki zły pomysł. Zdaje się, że przy „Elephant” organizują jakieś kursy; widziałem ogłoszenia w metrze. Ciekawe, ile to kosztuje? Mógłbym się jutro zapisać.

– Świetnie. – Uprzejmie odczekałem chwilkę. – Jest u was William?

– Tak, na górze z przyjaciółmi. Pójdę do niego i dopilnuję, żeby do ciebie oddzwonił.

– Doskonale. Dzięki.

– Na razie. Odłożyłem słuchawkę.

Jakieś cztery minuty później... akurat w chwili, gdy usiłowałem oddzielić sześć krnąbrnych kostek lodu od zmrożonego pojemnika... zadzwieczał telefon.

– Jackson, cholera, oby to było coś naprawdę pilnego. Jestem w

trakcie niesamowicie ciekawego robra, zresztą nie wypada odchodzić od stolika na tym etapie.

– Przepraszam, Will. Nie wiedziałem, że w „Le Fromage” pozwalają grać w karty. Czy to nie jest wbrew prawu, przepisom czy czemuś tam jeszcze?

– Jest i nie pozwalają. Robią jednak wyjątek dla brydża, jeśli się udaje, że gra nie jest na pieniądze.

– Aha. Eee... słuchaj, Will, możesz chwilkę poczekać? Właśnie kończyłem sobie robić drinka i...

– Oj, na litość boską, Jasper.

– No przecież jeśli odszedłeś od stolika w tym właśnie momencie, to znaczy, że nie było ci to znowu aż tak bardzo nie na rękę.

Przerwa. Po chwili odezwał się w nim zatwardziały amator napojów wysokokowych i zapytał z tłumioną ciekawością:

– Co pijesz?

– Long Island Ice Tea.

– No już dobrze. Idź. Mną się nie przejmuj. Zaczekam tu i poflirtuję sobie z Erikiem. Przecież to nie ty zadzwoniłeś pierwszy.

– Dwie sekundy. – Odłożyłem słuchawkę na bok i poszedłem dokończyć przygotowywanie drinka. Pół minuty później byłem z powrotem. Postarałem się, żeby lód zastukał w zasięgu mikrofonu słuchawki, a potem siorbnałem nieco melodramatycznie i w podobny sposób przełknąłem. Następnie wydałem z siebie irytujące, pełne zadowolenia westchnięcie mężczyzny w szczęśliwym związku, który znalazłszy się sam po raz pierwszy od dłuższego czasu, postanawia odnowić kontakty z zaniedbywanymi przyjaciółmi. – A więc, Williamie, mój drogi przyjacielu, cóż tam dzisiaj porabiasz?

– Mówiłem ci już. Gram w brydża, palancie.

– Z kim?

– No więc są tu dwaj kolesie w groteskowych garniturach, których niedawno poznałem, twierdzą, że piszą scenariusze do telenowel... tylko nie pytaj jakich, bo nie wiem... i jest tu też Donald, wrócił z Nowego

Jorku specjalnie po to, by zostać moim wspaniałym partnerem. Zaraz ich orzniemy na sześćset funtów, pod warunkiem że Donald ugra cztery kiery.

– Don jest w Londynie?

– Oczywiście. Od trzech dni, o czym byś wiedział, gdyby ci się chciało ruszyć swoją dyletancką dupę i od czasu do czasu zobaczyć z przyjaciółmi.

Zignorowałem napaść Williama i pociągnąłem kolejny, bardziej refleksyjny łyk.

– Co masz?

– Co „co mam”?

– Na rękę.

– W tej chwili Erica. – Westchnął. – Właściwie to siano. Zupełnie nic: dwójkę, dwie piątki i inną bryndzę, jakieś zenujące ósemki, królową, walet karo ni przypiął, ni wypiął i dziesiątkę. Od początku nie idzie mi karta. Ale nie jest wcale najgorzej. Gram całkiem nieźle jako dziadek, no i mam cztery kiery. – William odchrząknął. – Słuchaj, Jasper, a czego ty właściwie chcesz? Muszę wracać do gry. Masz coś do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie czy mogę już sobie pójść?

– Owszem, mam: mogę wpaść?

– Jasne, że możesz, stary draniu. Wszyscy na pewno będą zachwyceni. Podejrzewam, że po tej partyjce skończymy, więc będziemy mogli posiedzieć i pogawędzić o naszych nowych instruktorach w siłowni czy o czym tam chcesz. Miło będzie się z tobą zobaczyć. A propos, czy to nagłe wznowienie kontaktów oznacza, że jesteś gotów znów zabawić się na mieście?

– Cały czas byłem gotów.

– Bzdura. Ale jeśli tak, skoro już o tym mowa, czy chciałbyś ze swoją nową przyjaciółką przyjść na bal Związku Tenisa na Trawie w następny weekend? Mam zaproszenia. Obawiam się, że sala znowu będzie wypełniona po brzegi samymi smutasami, ale taka jest Anglia. I wiem, że w tym roku będzie trochę inaczej, no bo pójdziemy z naszymi

partnerkami, ale myślę, że ważne jest, byśmy wszyscy wykazali dobre chęci: ty, ja, Madeleine, Nathalie. Trzeba pogodzić się z faktami, choćby były najbardziej nieprawdopodobne.

– Poważne zaproszenie, Will.

– Przemyśl sprawę. Niedługo się widzimy.

Po czterdziestu potwornych minutach wykańczającej nerwowo jazdy ulicami Londynu znalazłem się w klubie przy stanowisku Erica.

– Cześć – rzuciłem do niego dziarsko, lecz wciąż jeszcze trochę podenerwowany. – Zdążyłem.

Erie uśmiechnął się, odął wargi i znów się uśmiechnął, jak gdyby jego twarz nie mogła się zdecydować, które *tableau* jest najbardziej efektowne.

– Cześć, Jasper. Zaczekaj moment, rozmawiam z kimś. Proszę, wpisz się do księgi gości. – Wcisnął przycisk na aparacie. – Och, myślę, że to doskonały pomysł, panie Gimbel, naprawdę.

Erie obrócił księgę gości i dość teatralnie nachylił się, żeby popatrzeć, jak składam podpis. Zastaniając dłonią słuchawkę, szepnął:

– Uwielbiam patrzeć, jak piszesz. To takie rozkoszne.

Oddałem pióro.

– Dziękuję, panie Gimbel. Wiem, że to nie jest łatwe. Wiem, że to może być bardzo trudne. Tylu ludzi sprawia wrażenie, jakby koniecznie chcieli wszystko robić nie tak, jak należy. Ale już ja dopilnuję, żeby było inaczej. Do widzenia. – Erie zakończył połączenie, wciskając inny przycisk. – Tak dawno cię nie widziałem, Jasper. Co się z tobą działo? Wyjechałeś czy może to... miłość? – Wykonał miniaturowe omdlenie.

– Po Williamie nie sposób znowu się zakochać, Erie, zostają tylko wspomnienia i nie kończące się szare popołudnia.

Roześmiał się i otworzył szerzej oczy, udanie naśladowując maniery Marilyn Monroe.

– Czyż nie jest cudowny?

– Tak. Tylko nie próbuj wychodzić za niego. Inaczej koniec z seksem.

W głównej sali było raczej spokojnie: dwaj starsi faceci ubrani na szaro i czarno sączyli wodę mineralną z minami osób, które chcą zwrócić uwagę na swoją wstrzemięźliwość – w ten sposób dając wyraźniej do zrozumienia, że gdy popuszczą wodze, potrafią naprawdę zaszać – i grupka hałaśliwych pań ze sztucznymi opaleniznami i okularami a la Buddy Holly oblegająca jakiegoś gada, którego prawdopodobnie powinienem znać. Ale ani śladu Williama i Dona. Tylnymi schodami wspiałem się na trzeci poziom i rozejrzałem się po mniejszych salkach. Same niedobitki. Znalazłem ich w końcu w odosobnieniu, w zacisznej alkwie za rogiem baru w wysokiej galerii. William wstał, uprzejmy jak zwykle.

– Witaj, Jasper, cieszę się, że nas znalazłeś, no i że udało ci się przyjechać, to wspaniale. Siadaj. Obawiam się, że minąłeś się z Robbiem i Wesem, naszymi dwoma kumplami ze świata showbiznesu, musieli niestety uciekać, żeby się podszkolić w bukolikach. Jutro jest jakaś uroczystość rozdania nagród telewizyjnych, a podobno na tych imprezach mówi się tylko o Wergiliuszu i Homerze.

– Siema, Don – rzuciłem, ignorując Williama, który najwyraźniej był bardziej niż zwykle zakręcony... lub ucieszony, nie wiadomo. – Jak leci? – Usiadłem. – Myślałem, że do końca roku siedzisz w Nowym Jorku.

– Przyleciałem na trochę. Takie dłuższe krótkie wakacje. Ostatnio bardzo popularne. Zwłaszcza wśród dziewczyn. Jutro po południu jest ślub matki Cal. – Wzniósł oczy do nieba. – Trzeci.

William ciągle stał.

– A więc... co do picia? – Rozejrzał się pytająco. – Nie, proszę cię, Donald, zostań... ja pójdę. Tylko ja mam kartę członkowską i tylko mnie tu obsłużą. Może szybka rundka Long Island Ice Tea?

– Chyba cię pogięło, William, mnie przynieś po prostu piwo. – Don uśmiechał się. – Dzięki Bogu, że przyszedłeś, Jasper, musiałem go znosić przez cały wieczór.

– Ja poproszę to samo – powiedziałem.

– Piwo? – Tak.

– Mmmmm. – William zniknął.

– Wygraliście?

– Orznęliśmy ich koncertowo.

– Dobre karty?

– Zdarzały się. – Don zagryzł wargę. – Głównie jednak musiałem łagodzić skutki beznadziejnej licytacji tej durnoty, a potem starać się, żeby za każdym razem był dziadkiem.

– Naprawdę jest tak beznadziejny?

– Jak cholera. Każde rozdanie traktuje, jak gdyby się uczył zupełnie nowej gry. Jest w nim jednak pewien rodzaj skromności, która może prowadzić do kilku przyjemnych niespodzianek, kiedy odkrywa karty.

Wrócił William, pogwizdując niczym bohater komedii ze studia Ealing, który właśnie się wzbogacił.

– Oddałem barmanowi moją działkę wygranej... dzięki czemu moje konto aż pęka w szwach... postanowiłem więc, że będziemy dzisiaj świętować.

– Co tu jest do świętowania? – Pytanie zadał Don.

– Ha! Zaczny Donaldzie, dowiedz się zatem, że temu oto młodzianowi poszczyło się z Madeleine, niewiastą o złocistych puklach i gibkich smągłych członkach, na których ostatnio wzrok twych zielonych i zazdrosnych oczu spoczął w Hampstead Heath, nim zaczęły się machlojki z kluczami.

Don odwrócił się do mnie i uniósł brwi w chwili, gdy nadszedł barman z trzema butelkami piwa i trzema szklaneczkami czegoś innego.

William ciągnął swoje:

– Bardzo dziękujemy, Otto. Zawsze powtarzam, że na sherry każda pora jest dobra. – William wziął jedną szklanę, a drugą podał Donowi. Ja swoją wziąłem z tacy. William usiadł. – Musimy zatem wznieść toast za niezwykle osiągnięcie Jaspera, którym są prawie dwa całe miesiące monogamii. – Przyspilił mnie surowym spojrzeniem. – Mam nadzieję, że nie...

Poczułem się mocno urażony. Pokręciłem głową.

Otto oddalił się.

– Wyrwałeś ją? – zapytał Don.

– Owszem. Jeszcze tego samego dnia. Nareszcie. A propos, Will, jestem ci winien flaszkę...

– Daruj sobie.

– Nieźle – pogratulował mi z uśmiechem Don.

– Pojechaliśmy do mnie. Po pikniku – dodałem.

– Will sporo się napracował. Musiałeś mieć nadzieję, że coś się w końcu stanie. Najwyższy czas do cholery, po tych wszystkich podchodach. – Don spojrzał na mnie z lekkim zatroskaniem. – Will mówił, że wcześniej wpadłeś w mały dołek.

– Tak jakby.

– A teraz wszystko w normie? – Tak.

Piliśmy przez chwilę w milczeniu.

– No to mów – namawiał Don. – Jaka ona jest? Jak seks? Czy...

– Czasem zachowuje się trochę dziwnie, ale lubię ją. – Zmieniłem pozycję zażenowany. Dlaczego, zastanawiałem się, zawsze krępują mnie takie rzeczy? – No wiecie... nie jest źle. Dogadujemy się. Wygląda na to, że zamieszkała u mnie.

– Zamieszkała u ciebie? – szczerze zdziwił się Don. William zrobił minę jak gospodarz „Randki w ciemno”, specjalista od aluzyjnych powtórzeń.

– Zamieszkała u niego.

– Tak, remontuje sobie mieszkanie... strasznie długo to trwa... więc tak jakby wprowadziła się do mnie na jakiś czas. Zresztą mieszka o rzut beretem ode mnie... dlatego się poznaliśmy... więc nie jest to znowu nic wielkiego.

Znowu William:

– Wprowadziła się.

Don wychylił kolejny, bardziej energiczny łyk sherry.

– Więc siedzi u ciebie cały czas? Ja pierdziele, Jasper, nie

wiedziałem, że kręcą cię takie rzeczy. Naprawdę przestałeś się puszczać?

– Tak. Sam jestem zaskoczony. Ale to nic strasznego... zresztą Madeleine często wyjeżdża... jest autorką książek podróżniczych, więc...

William:

– Autorką książek podróżniczych.

– Więc nie jest tak źle. To znaczy, ten związek mnie nie przytłacza.

– Ten związek go nie przytłacza. – William dopił swoje sherry.

– William, odpierdol się, dobrze? – zaproponowałem. William wyszczerzył zęby w uśmiechu i powiedział:

– Mówię ci, Donald, to coś strasznego. Jasper nie wychodzi z domu od tygodni... zaszyli się tam jak para niewyżytych królików. A kiedy nie społkują, założę się, że knują jakieś niecne plany przeciwko nam wszystkim. Nie dzwoni, nie pisze, nawet nie esemesuje...

– Nigdy nie będę esemesować. Nie ma nawet takiego słowa.

Don też się szeroko uśmiechał.

– Jak ci idzie praca... kiedy kończysz?

– Zrobiłem już ponad trzy czwarte. Chociaż nie wiadomo, co będzie po tym zleceniu. – Skrzywiłem się. – Umrę z głodu, chyba że mój agent znajdzie kolejnego amerykańskiego milionera.

– W każdym razie strasznie ci zazdroszczę. – Don zakręcił swoją szklanką. – Gdybym nie był szczęśliwym mężem, błagałbym cię, byś przedstawił mnie jej siostrze. Jeśli są do niej choć trochę podobne, to ja pierdziele.

– Ma tylko jedną. Nie poznałem jej. Więc nie mogę ci pomóc.

William przemówił spokojniejszym głosem:

– No a co masz na myśli, mówiąc, że Madeleine dziwnie się zachowuje? Mnie wydawała się zupełnie normalna. Ten jeden jedyny raz, kiedy ją widziałem.

– Po prostu dziwnie.

– Mów dalej. – William był ciekawy.

– Nie wiem... często się złości, ale jednocześnie jest rozbawiona i czuła. Nie złości się w tym sensie, że jest rozgniewana, wybuchowa czy zgorzkniała... ale ta złość tli się gdzieś głęboko.

– Gdzieś głęboko. – William uniósł brwi.

– Przepraszam, to brzmi jak tekst z jakiegoś poradnika. Chodzi mi o to, że Madeleine jest do pewnych rzeczy nastawiona wrogo, a jednocześnie... w jakiś dziwny sposób... przychylnie. Anty i pro. Eee... to znaczy jest...

– Wspaniała i potworna – podpowiedział Don.

– Tak. Dziękuję ci, Don.

– Cóż... takie są kobiety. – Don pokręcił głową. – Te ich humory.

– Nie wiem, Don. Nastroje mogą się wahać, ale nie łączą się... a raczej nie współistnieją. Ona nienawidzi czegoś... powiedzmy piosenki, książki, mnie, czegokolwiek... ale jednocześnie napawa się tym. Czysta perwersja.

– Chcesz powiedzieć, że nienawidzi mężczyzn i kocha mężczyzn? – Spostrzeżenia Williama były w jakiś sposób gładkie i głębokie zarazem.

– Kocha ich nienawidzić i nienawidzi ich kochać?

– Coś w tym stylu.

– Rodzina? – zapytał William.

– A co to, kurwa, ma z czymkolwiek wspólnego? – zapytałem nieco cierpko.

William westchnął.

– Można żyć tylko na dwa sposoby: albo każdy twój oddech jest świadomym odrzuceniem życia i poglądów rodziców, albo podświadomym ich powtórzeniem. Kluczem do zrozumienia człowieka jest odkrycie, którą drogą podąża dana jednostka.

– A co w przypadku sierot? – Dopilem sherry.

– Tak. Słuszna uwaga. Niestety sieroty są nieodwracalnie pokręcone i mszczą się na kim popadnie. – William popatrzył na nietknięte piwo Dona. – Generalnie jednak kobiety próbują sypiać z substytutami ojców, co jest ich najmniej atrakcyjną cechą, a mężczyźni próbują sypiać z

substytutkami matek, co jest ich najbardziej atrakcyjną cechą.

– Myślałem – pozwolił sobie zauważyć Don – że według ciebie wszyscy mężczyźni są kryptogejami.

– Masz na myśli polimorficzną perwersyjność i to wszystko? Może i tak uważam – rzekł William. – Może i są.

– W takim razie wszyscy próbujemy sypiać z naszymi ojcami?

– Kolejna słuszna uwaga. Ale życie nie jest matematyką i równania nie zawsze się zgadzają, Donaldzie.

– A właśnie że życie prawdopodobnie jest matematyką. – Don mlasnął językiem. – Tylko jak na razie nie jesteśmy w stanie tego pojąć.

– Nie. – William pokręcił głową. – Olśniło mnie właśnie. Życie jest tak naprawdę serią nienaprawialnych błędów, które pewnego dnia kumulują się i zawieszają komputer. Wtedy, obawiam się, cokolwiek robisz i kimkolwiek jesteś, do twojego życia łąduje się jakiś obcy brzydal z cuchnącym oddechem i odłącza zasilanie... i wtedy niestety wszystko ginie na zawsze.

– Dziękuję ci, Williamie. – Pociągnąłem duży haust piwa. – Ojciec Madeleine jest jakimś dyplomata. Nie jestem pewien, ale może robi coś podobnego jak ty, Don. Nazywa się Belmont. Pracuje w Paryżu, jak mi się wydaje. Więc pewnie na tamtejszej placówce. Możesz spotkać go na jakimś przyjęciu u ambasadora. Jej matka od dawna nie żyje. Jedna siostra, jak mówiłem.

William, który od mojego przybycia zachowywał się dziwniej niż zwykle, nagle pochylił się do przodu.

– Muszę się wtrącić i powiedzieć, że prowadzimy, jak to się mówi w pewnych kręgach, męską rozmowę o kobietach. Albo panienkach, jak kto woli. Jak obaj wiecie, nie znoszę banału w żadnej postaci, pozwolę więc sobie zasugerować, żebyśmy od tej pory używali rodzaju męskiego w odniesieniu do naszych partnerek: żon, dziewczyn i tak dalej. – Podniósł rękę. – W ten sposób nie będzie to brzmiało tak pospolicie i... zdziwicie się... wszyscy będziemy mogli bardziej się przed sobą otworzyć.

– Trudno stwierdzić, który z was ma bardziej nierówno pod sufitem.
– Don pokręcił ze smutkiem głową i wreszcie przerzucił się na piwo.

– Ja zacznę. – William odchrząknął. – Zastanawiam się, czy nie zacząć sypiać z Nathalie, ale martwię się, że gdy do tego dojdzie, będę musiał wziąć z nim ślub. Nie musi to być wcale problem, bo myślę, że chcę go poślubić. No proszę, wydusiłem to w końcu z siebie.

20. Spadek

Coś wszak znalazłem – przypominało

Serca zarysy oraz kolory,

Miato defekty, lecz i walory, Zdobyć jego cząstkę niewielu umiało.

Mozart opowiadał właśnie jeszcze jedną ze swych cudownych anegdot, gdy podniósł się straszliwy harmider: najpierw domofon, potem klakson, potem znowu domofon i wreszcie alarm samochodowy. Tyle hałasu, i to bez ostrzeżenia. Popatrzyłem gniewnie w łazienkowe lustro. Wiązałem właśnie muszkę, poszukując owego trudno osiągalnego ogniwa między dużą i sflaczałą a małą i mocno zaciśniętą. I chociaż spędziłem kilka godzin, wyklócając się z pracownikiem firmy transportowej, którego fascynującym braku komunikatywności przez telefon dorównywała jedynie stanowczość, z jaką odmawiał przetransportowania czegokolwiek gdziekolwiek komukolwiek, udało mi się pozostać w całkiem dobrym humorze przez cały dzień jak do tej pory. Ale ten zgiełk błyskawicznie przyprawił mnie o irytację. Podniosłem głos na swe lustrzane odbicie:

– Na litość boską, Madeleine, powiedz im, że już schodzimy. – Już schodzimy – usłyszałem rozmyślnie rachityczną odpowiedź z sypialni.

Moje odbicie obejrzało się przez ramię. Jej obnażone nogi leżały bez ruchu na łóżku, a prowokacyjna woń kupionych na arabskim bazarze papierosów wpływała teraz do łazienki.

– Dobrze, Kleopatro – powiedziałem głośno, chociaż wciąż mówiłem właściwie do siebie – nie kłopotz się, proszę. Zostań tam: powiem twoim niewolnikom, żeby poczekali, aż raczysz się ruszyć.

Jedną ręką przytrzymując nie dokończony węzeł muszki, wycofałem się do sypialni i podszedłem energicznym krokiem do otwartego okna. Gorące popołudniowe słońce odbijało się od okien naprzeciwko, ale letnie powietrze było ospałe jak stary pies po południu. Na dole, za kierownicą wycieczkowego kabrioletu (który z mojej perspektywy wyglądał raczej jak luksusowa, lśniąca, kremowa łódź) siedział mężczyzna w smokingu i czymś, co wyglądało zupełnie jak rękawiczki do jazdy samochodem w płowym kolorze. Wychyliłem się bardziej.

– WILLIAM?

Z pewnością mnie usłyszał, ale postanowił nie podnosić głowy – zamiast tego zwiększył obroty silnika (głęboki, dobrze naoliwiony pomruk), a następnie długo i ostentacyjnie poprawiał lusterko wsteczne. Zirytowany zwróciłem się do Nathalie, która wciąż stała przy frontowych drzwiach.

Pomachała mi.

– CZEŚĆ, JASPER, PRZYJECHALIŚMY.

– Trudno nie zauważyć. MOŻESZ POWIEDZIEĆ HERR VON RICHTHOFENOWI, ŻE ZA CHWILĘ ZEJDZIEMY?

– OK, ZACZEKAM W SAMOCHODZIE. POSPIESZCIE SIĘ.

Odwróciłem się do pokoju. Madeleine w samych majtkach leżała wciąż w łóżku, opierając na zgiętych kolanach książkę. Do głowy przysłała mi myśl, że otoczyłem się fanatycznymi egoistami. Podniosła wzrok i przybrała jedną ze swych ulubionych dramatycznych min – skruszona heroina błaga zajętego poważniejszymi sprawami bohatera.

– Wybacz, Jasperze – rzekła – naprawdę chciałam wstać, ale jest tak gorąco, a ja nie skończyłam jeszcze tego pysznego wina, którym mnie poczęstowałeś, ani tego cudownego papierosa i musisz mi pomóc włożyć sukienkę, no i nie chciałam, żeby sąsiedzi zobaczyli mnie... – z papierosem w jednym ręku, kieliszkiem wina w drugim uczyniła teatralny gest zagrożonej skromności – ...w takim stroju.

Westchnąłem.

– Obawiam się, że musimy się pospieszyć. Nasza feluka czeka.

– Jeśli podasz mi sukienkę, to ją włożę. – Uśmiechnęła się i dodała:
– Jestem całkowicie gotowa, serio. Czekałam na ciebie. – Osuszyła kieliszek. – Kretyńsko wyglądasz, przytrzymując tak tę muchę.

Stała odwrócona do mnie plecami; puściłem muchę i pomogłem jej włożyć sukienkę – czarną suknię balową z odkrytymi plecami. Odwróciła się i przybrała żartobliwą pozę z ręką wspartą na biodrze.

– Madeleine, proszę cię, tylko nie wspominaj o małżeńskich planach Williama i Nathalie, chyba że sami poruszą ten temat. Nie wiem, na jakim są etapie.

– Myślę, że to cudowne.

– Owszem, cudowne, ale nie wygadaj się. Poważnie, nie wybaczylibym ci tego.

– Nie wygadam się. Możesz być spokojny.

Sześć minut później staliśmy na chodniku, z nie skrywanym podziwem gapiąc się na auto.

– Cześć, Madeleine, wyglądasz bajecznie – zachwycił się William, poderwawszy się z dziecinnie rozpromienioną twarzą, żeby otworzyć jej drzwi. – Może dzisiejszego wieczoru spotkasz mężczyznę godnego ciebie i pozbędziesz się... – ściszył głos i skrzywił się z niewymownym obrzydzeniem – ...wiesz, kogo.

– Dobry wieczór, William – rzuciłem sarkastycznie. Udał zdziwienie.

– O, cześć, Jasper. Miałem cichą nadzieję, że się nagle rozchorujesz czy coś takiego, a wtedy miałbym dziewczyny tylko dla siebie. – Cmoknął z niezadowoleniem. – Trudno... skoro już tu jesteś... musisz usiąść z przodu obok mnie. Chłopcy z przodu, dziewczyny z tyłu. Tak jak trzeba.

Zerknąłem na Nathalie, by sprawdzić, czy nie ma nic przeciwko. Była ubrana w nieco jakby nadmuchaną różową suknię, a włosy miała ułożone w misterne fale w stylu lat czterdziestych. Zauważyłem, że pracownicy pobliskiej

agencji nieruchomości odeszli od biurek i stanęli w oknach, żeby

lepiej widzieć, co się dzieje.

Nathalie skinieniem dłoni zaprosiła mnie na drugą stronę samochodu.

– W porządku, naprawdę – powiedziała – siedziałam z przodu, gdy jechaliśmy tutaj... teraz kolej na ciebie. My z Madeleine usiądziemy sobie z tyłu.

Zatopiliśmy się w beżowych skórzanych fotelach i po kilku sekundach nieznośnie ciężkiego milczenia zadałem owo jakże oczekiwane pytanie:

– Wiem, że nie możesz się powstrzymać, Will, więc mów: co to jest?

Ale to Nathalie odpowiedziała, pochylając się między fotelami, gdy próbowałem zapiąć pasy, całkiem udatnie imitując głos Williama:

– Otóż jest to przerobiony na kabriolet Facel Mark Two wyprodukowany przez świetną, choć mało znaną firmę FacelVega w 1963 roku. Jest to oczywiście marka francuska, ale pod maską mamy bardzo poważny amerykański silnik Chrysler V8. Zawsze myślę sobie, że to dziwny melanz, Ameryka i Francja, ale na początku lat sześćdziesiątych, kiedy – przez jakiś czas – życie miało naprawdę jakiś sens, to był zdecydowanie wymarzony samochód. Jeździł nim Stirling Moss i mówi się, że specjalnie przedtem zapuścił wasy. Z łatwością osiąga prędkość 175 km/h. Niestety, na chodzie pozostało już tylko jakieś pięćdziesiąt modeli Facel Two i tylko dwa lub trzy kabriolety, a wszystkie, jak i ten, wykonane na zamówienie.

– Sam lepiej bym tego nie wyraził. – William naciągnął rękawiczki i zwolnił hamulec ręczny.

Zrobiliśmy pętlę wokół basenu Paddington i poszybowaliśmy ku Westway, oddalając się od centrum pod kobaltowym nieboskłonem i ciężkim lipcowym słońcem, które huštało się na białych linach samolotowych smug. Na prawo słabł spragniony betonowy wieżowiec, na lewo osuwały się splekane ceglane segmenty. Życie ulicy jak gdyby zamierało, chciało uciec przed nieznośnym upałem i położyć się

spokojnie gdzieś w cieniu. Środek lata opadał na piękny Londyn niczym popołudniowe omdlenie.

Tablica rozdzielcza wyglądała jak pulpit sterowniczy lekkiego samolotu – wskaźniki, dźwignie i metal ucharakteryzowany na lakierowane drewno. Przed nami asfalt prażył się i topił, a gdy przyspieszyliśmy, wiatr szumiał, wył i łopotał nam w uszach, a natrętny zapach skóry i oleju nadlatywał, odlatywał i znowu nadlatywał. W to skondensowane motoryzacyjne doświadczenie były zaangażowane wszystkie zmysły i z każdym kilometrem poprawiał mi się humor.

– Jak daleko jest Isleworth? – zapytała Madeleine, pochylając się do przodu, gdy stanęliśmy na światłach na Chiswick High Road.

– Jeszcze tylko kilka kilometrów. Za następnym zakolem rzeki – wyjaśnił William.

– A kto właściwie chodzi na takie imprezy? Całe lata nie byłam na żadnym balu. Nie pamiętam nawet ostatniego razu. Chyba jeszcze na studiach. Jestem strasznie podekscytowana. Cieszę się, że pomyślałeś o nas. – W jej głosie nie było sarkazmu.

– Tak naprawdę to był pomysł Jaspera. – William pomachał jakimś dzieciom przyciskającym nosy do tylnej szyby samochodu przed nami. – Przychodzi tam spora grupka tenisistów, to oczywiście, z całą swoją świtą. Jest trochę sędziów i tym podobnych. Do tego jeszcze bardziej kolorowy tłumek ze świata mody i jak zwykle kontyngent różnych gwiazdek i gwiazdeczek...

– Uwielbiam tenisistów... – zaznaczyła Madeleine.

– ...a co do reszty, kolorowe magazyny lubią nazywać ich „towarzystwem”, ale są to głównie potomkowie milionerów, którzy zbili fortuny na paście do butów, fasoli w sosie pomidorowym lub kserokopiarkach.

– Albo handlarzy broni – dodałem.

– Brzmi świetnie – stwierdziła Madeleine. Zmieniło się światło.

– Cała sztuka w tym, żeby dobrze się bawić, nie zważając na nich. Albo ich kosztem. Unikać fotografów. Twierdzić, że pracuje się w

branży hydraulicznej, jeśli ktoś zapyta. I udawać całkowitą ignorancję we wszystkich innych sprawach. Na szczęście zwykle jest morze alkoholu, chociaż ja, niestety, będę musiał pozostać trzeźwy, gdyż stare wino i stare samochody nie idą ze sobą w parze.

– Bawicie się tam co rok? William wrzucił pierwszy bieg.

– O, tak. Jasper i ja staramy się tam bywać. Niewiele jest takich miejsc na świecie, gdzie równie łatwo można poderwać jakąś młodą idiotkę z towarzystwa. Albo którąś z ich bezbarwnych matek. Albo przyjaciółkę bezbarwnej matki. Naprawdę nie ma nic prostszego.

– William prowadzi inne życie niż my wszyscy – wyjaśniła Nathalie, dołączając do rozmowy z tyłu, i zwróciła się do Madeleine: – Nie zwracaj na niego uwagi, tak jak reszta świata.

– W każdym razie to nieprawda. – Pokręciłem głową. – Nie bywamy tam co rok.

Założenie z powrotem dachu w samochodzie zabrało dobre dwadzieścia minut przypinania, zamykania, mocowania, dźwigania, dociskania, szarpania i przykręcania, ale w końcu się z tym uporaliśmy. Madeleine i Nathalie zostawiły nas, więc gdy William (dwukrotnie) zastosował procedurę zamykania i aktywowania alarmu, przeszliśmy do głównego wejścia sami.

Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że budynek wzniesiono stosunkowo niedawno – w drugiej połowie dziewiętnastego wieku w szczytowym okresie neogotyku. Hol wejściowy skłaniał się ku niemu zdecydowanie: czarnobiała posadzka, obowiązkowe drewniane boazerie i dokładnie naprzeciw wejścia podwójne schody, które wiodły łukiem z lewej i prawej strony do trójbocznej galerii.

Po okazaniu zaproszeń, gdy zmierzaliśmy w stronę głównej sali, poczęstowano nas kieliszkiem nie najgorszego szampana. Z każdym krokiem wzrastał się gwar ożywionych rozmów trzystu pięćdziesięciu uczestników balu. Przez kilka sekund staliśmy obok siebie na progu sali balowej – na pierwszym z trzech szerokich stopni spływających na wyfroterowany parkiet – ostrożnie sącząc szampana,

i rozglądaliśmy się z nadzieją, że dostrzeżemy gdzieś Nathalie i Madeleine.

Sala niewątpliwie robiła wrażenie rozmiarami. Tętniła życiem i ludzkim gwarem: niektórzy już siedzieli przy stołach, inni krążyli między pochłoniętymi rozmową gromadkami, inni stali w grupkach po dwie, trzy osoby, śmiejąc się i śląc pozdrowienia. Kobiety w każdym wieku przemieszczały się z szelestem toalet we wszystkich kierunkach – podekscytowane, z pomalowanymi błyszczącym wargami, spotykały się z przyjaciółkami, sprawdzały plan rozmieszczenia gości przy stole, wciąż trzeźwe i skrupowane, z kolorystycznie dopasowanymi do stroju kopertówkami; mężczyźni też czuli się chyba bardziej męscy w smokingach – mówili głębszymi głosami, wykonywali eleganckie gesty, wybuchali zgodnym śmiechem, odsuwali paniom krzesła. Kelnerzy krążyli z jakże mile widzianym winem. Kieliszki dzwoniły, stukały, brzęczały. Na drugim końcu sali, za około trzydziestoma okrągłymi stołami, wznosiła się niska scena, na której obok pustych krzeseł dla muzyków ustawiono ostrożnie kilka nie pilnowanych instrumentów. Na środku stał pojedynczy stojak na mikrofon, złowieszczy zwiastun przemówień przed zabawą.

Po schodach zbliżały się do nas trzy dziewczyny wracające do powitalnego szampana – bez wątplenia studentki wciąż oszołomione perspektywą dostępu do darmowego alkoholu. Uśmiechnąłem się odruchowo, a w odpowiedzi ujrzałem kapryśną minkę, zmarszczone brwi i ironiczny uśmiezek. W sposób ostentacyjny, mijając nas, nie przerywały rozmowy.

William obejrzał się.

– Zapowiada się bardzo dziwny wieczór, Jackson... dla nas zupełnie novum... jesteśmy na balu i obaj zamierzamy unikać rozmów z atrakcyjnymi kobietami, bo mogłoby dojść do katastrofy. Te całe związki to jakaś cholernie dziwna sprawa, jeśli chcesz znać moje zdanie. Aż trudno uwierzyć, że niektórzy się do tego przyzwyczajają. Muszą mieć jaja ze stali.

– Wiem. – Pokręciłem smętnie głową. – Niektórzy nazywają to dojrzewaniem. – Minał nas starszy mężczyzna

z młodą kobietą o atrakcyjnie obfitych kształtach; rozpaczliwie starał się być jak ona beztroski i wesoły i odwracał błędzący wzrok od kuszącej doliny jej wspaniałego dekoltu. – Albo początkiem końca. – Na jedno wychodzi.

Pierwszy akt (powitanie) przeszedł gładko w akt drugi (kolacja). Podobnie akt trzeci (kilka przemówień i prezentacja trofeów) radośnie ustąpił miejsca czwartemu (ten krótki, lecz uroczy okres po rozstawieniu stolików i oficjalnym rozpoczęciu tańców, zanim dystans między tymi, którzy są pijani, a tymi, którzy nie są, staje się zbyt wielki do przeskoczenia). Ale później...

Później sprawy przybrały fatalny obrót. Powinienem być oczywiście mieć się na baczności; jako weteran wielu imprez tego typu wiedziałem, że piąty akt (łzy, wyznania, łapczywe osuszanie niedopitych kieliszków, zataczający się mało atrakcyjni nieznajomi, którzy siadają obok nieproszeni i walą prawdę prosto z mostu) zwykle kończy się krwawą jatką. Z drugiej strony nie miałem pojęcia, że będzie trwał tak długo i tak bardzo dotknie mnie osobiście.

Siedziałem spokojnie przy naszym stole, pilnując własnego nosa. Zespół grał piosenkę, którą rozpoznałem jako jeden z ulubionych standardów Madeleine: *My baby dont care for shows... My baby don't care for clothes...* Niny Simone. Sama Madeleine przepadła gdzieś z Nathalie – może chciały zatańczyć. Najbardziej rozleniwiona część mojej świadomości przyglądała się quasiwytwornemu charakterowi pisma, którym zapisano nazwiska gości na karteczkach, i zastanawiała się, czy osoby odpowiedzialnej nie powinno się wyprowadzić na zewnątrz i zaciukać bagnetami. Inna część mojej świadomości (powoli zdobywająca przewagę) zastanawiała się, czy nie jestem zbyt trzeźwy, by spróbować zatańczyć. Jeszcze inna rozważała, czy nie udać się do baru i nie dać się we znaki obsłudze. A jeszcze inna wsłuchiwała się w rzadki i przyjemny ton głosu Williama, który choć raz zachowywał się

niemal poważnie, żeby zagrać na nosie niejakiemu Neilowi Bentinkowi, spoconemu, rumianemu mężczyźnie o nastroszonych włosach, którego posadzono przy naszym stole „przez pomyłkę” (jak twierdził) i który (jak utrzymywał) pisywał komentarze do magazynów politycznych – co w mojej opinii nie było zbrodnią tak poważną jak decyzja o założeniu roziskrzonej cekinami kamizelki.

– Ależ nie, nie, nie – sprzeciwiał się William – źle mnie pan zrozumiał; opowiadam się za różnymi rzeczami. Gorąco wierzę w każdą stronę każdego sporu; stąd właśnie bierze się cały problem. Z jednej strony wierzę w dostępność dla wszystkich egzotycznych win i importowanych owoców; z drugiej – w mniejszą liczbę ciężarówek dostawczych na drogach. Wierzę w podróże, odkrycia i roczne urlopy dla wszystkich; wierzę też w mniej autostrad, w pasy zieleni i redukcję hałasu; wierzę w absolutną świętość życia poczętego oraz w absolutne prawo matki do decydowania o ciąży, wierzę w mniejsze podatki oraz lepsze usługi państwa; a kiedy stoję w korku razem ze śmieciarkami wiozącymi moje gazety do recyklingu, chciałbym też przetworzyć powietrze, żebym nie musiał wdychać spalin z innych samochodów. Niech pan nie robi takiej urażonej miny. Takie mniej więcej jest pańskie stanowisko i stanowisko większości ludzi przed czterdziestką. Obawiam się, że wszyscy cierpimy na chroniczną intelektualną hipokryzję... niewyobrażalne do tej pory dwójmyślenie... i to ludzie tacy jak pan...

Ale chociaż z przyjemnością słuchałem wyjątkowo bezpośrednio jak na Williama krytyki, nie dane mi było usłyszeć ostatnich słów oskarżenia, ponieważ właśnie w tym momencie salę wypełnił potworny dźwięk, świdrujący i rozgłośny, jak jęk gigantycznego królika konającego w męczarniach.

Wszędzie dookoła ludzie przerwali rozmowy i spoglądali z przerażeniem w stronę sceny – marszczyli brwi, wzdrygali się albo zatykali sobie palcami uszy.

Za wyjącem i zawodzącym mikrofonem stał zadbany, ale dość niski mężczyzna po czterdziestce, niepotrzebnie uciszając wszystkich

podniesieniem rąk. Na parkiecie tańczący przestępowali z nogi na nogę wytrąceni z rytmu. Bal został gwałtownie przerwany. Przynajmniej przez chwilę mężczyźni skupiali na sobie uwagę wszystkich.

Choć wyraźnie chwiał się na nogach, w końcu zdołał stanąć we właściwej odległości od mikrofonu i sprzężenie ucichło. Zaczął mówić – głosem bełkotliwym i zacinającym się od zbyt dużej dawki spożytego alkoholu i zbyt wielu emocji, które próbował wyrazić.

– Przepraszam... szanownych państwa... przepraszam; przepraszam, że przerywam. – Stanął z boku mikrofonu, naśladowując pozę, którą musiał widzieć w telewizji. – Panie i panowie, nie zajmę wam dużo czasu; mam nadzieję, że dobrze się bawicie na... eee... tej bibce! – Podniósł kciuk. – Eee... nazywam się, jak wielu z państwa wie, Steven Brooks, i wielu z was wie także, że moja firma, Brooks Bailey and Foreshaw ma zaszczyt być jednym z głównych sponsorów dzisiejszego wieczoru. Niech żyje tenis na trawie!

Przez salę przetoczył się niespokojny pomruk.

– Wszystko jedno, stanąłem tu, ponieważ chciałem coś... ogłosić. – Jego uśmiech przeszedł w grymas. – Po pierwsze... pierwsza rzecz... to chciałem podziękować wszystkim za przyjście, pozwolę sobie też szczególnie pogratulować Chadowi i Tanyi za zasłużone zwycięstwa w grze pojedynczej. – Przerwał. – Mężczyźni i kobiety. W tej kolejności!

Nie wiedząc, czy są świadkami występu kabaretowego czy wyznania załamane go człowieka, trzysta pięćdziesiąt osób było rozdartych między dwiema reakcjami. Jedni bez przekonania zaklaskali. Drudzy bez przekonania nie zaklaskali. A o tym, że ów nie zapowiedziany występ jednego z pomniejszych sponsorów był niezbyt mile widziany, świadczyło zachowanie ochroniarzy przepychających się do sceny.

Ale Brooks ciągnął niczym nie zrażony.

– Eee... i jeszcze jedno: dowiedziałem się dziś wieczorem... po dziesięciu... nie, jedenastu latach małżeństwa, że moja piękna żona Selina... **JEST PIERDOLONĄ DZIWKĄ I KŁAMLIWĄ ZDZIRĄ.**

I zaiste sam szatan wjechał wtedy na crescendo zbulwersowanych

szeptów, stłumionych okrzyków i skonsternowanych przekleństw; machnął peleryną i z szyderczym śmiechem rzucił na salę diabelski urok, wypełnił ją chaosem.

Och, kiedyś wydawało mi się, że przeżyłem kilka złych nocy, wydawało mi się, że wykaraskałem się z paru opresji (nienawiść do samego siebie, dezorientacja, krztuszenie się własnymi słowami, walenie się we własną głowę), ale nie. O nie. Tamte pozornie żenujące chwile mojego życia, tamte niezręczne, pełne zakłopotania wieczory były (jak się okazuje) tylko grzecznymi próbami generalnymi, rozgrzewkami, wesołymi nieporozumieniami, jedynie żalnymi, głupimi, zabawnymi błahostkami w porównaniu z... prawdziwą masakrą, a to doświadczenie zupełnie innego rzędu. Prawdziwa masakra dopiero się zaczynała.

Wagę tego, co przed chwilą usłyszałem, pojąłem mniej więcej od razu, ale nie miałem zbyt dużo czasu, by uporządkować myśli. I nie przewidziałem, w jaki sposób powstała sytuacja może się zemścić na mnie. Steven Brooks zszedł ze sceny w asyście dwóch lub trzech ochroniarzy. Zespół znów zaczął grać. Ktoś sprowadził piosenkarkę, która kulila się ze strachu za sceną, odkąd odebrano jej mikrofon. Tańczący znów podobierali się w pary i zasłonili mi widok. Mijali nas ludzie – byli pijani lub przeklinali albo jedno i drugie. Musiały upłynąć dwie minuty – nie więcej – i woń emocjonalnego kordytu wciąż wisiała w powietrzu, gdy usłyszałem za sobą głos.

– A więc, Jasper, co za przyjemna niespodzianka. Pozwolisz, że się przysiądę? Nieważne, już usiadłam. Cześć, przepraszam, że przerywam.
– Zająwszy miejsce Madeleine, pochyliła się do przodu, jedną ręką mocno – agresywnie – opierając się o moje udo, drugą zaś podała po kolei Neilowi i Williamowi. – Cześć, jestem Selina Brooks, jedna z porzuconych kochanek Jaspera... zgadza się, Jasper? To ja jestem tą słynną kłamliwą zdziwą.

Selina była narąbana.

– Cześć – rzucił Neil, czerwieniąc się.

William z miną wyrażającą bezgraniczne zrozumienie bez słowa uściśnął jej dłoń.

Selina rozsiadła się wygodniej i przyszpiliła mnie wzrokiem. W kąci jej ust wcisnął się w zamierzeniu triumfujący uśmiech kobiety, która nie uważa się za pijaną. Kiwała lekko głową, gdy mówiła, i żeby przezwyciężyć pijacki bełkot, chwilami starała się artykułować słowa z przesadną starannością.

– A więc, tak, no, w każdym razie, Jasper, chciałam tylko wiedzieć... to znaczy zapytać się... dlaczego musiałeś powiedzieć o nas mojemu cholernemu mężowi?

Nawet moje DNA zamrugało powiekami.

– Proszę bardzo, wykorzystuj mnie do seksu... ja też ciebie wykorzystywałam... o to przecież w tym wszystkim chodziło, prawda? – Do okolicznych stolików zakradła się cisza. – Ale zupełnie nie mieści mi się w głowie, Jasper, dlaczego musiałeś powiedzieć o tym mojemu cholernemu mężowi i zniszczyć moje cholerne małżeństwo.

Kolejne głowy się odwróciły. Jakaś para, przeciskając się niezdarnie obok naszego stolika, znieruchomiła. Selina dobrała się do leżącej przed nią paczki zagranicznych papierosów Madeleine. Rozejrzała się.

– Czy ktoś przy tym cholernym stoliku ma ogień? William pochylił się i podetknął jej zapalniczkę.

– Dziękuję. – Zaciągnęła się głęboko i teatralnie jak osoba niepaląca, a potem zwróciła się szerzej do coraz liczniejszej publiczności. – I czy ktoś mi wyjaśni, dlaczego ten facet... – wskazała papierosem – ...chciał zniszczyć moje małżeństwo i zrujnować życie moich dzieci? Nikt? No, Jasper, wszyscy tak bardzo chcieliby się dowiedzieć. Dlaczego mu powiedziałeś? Wiem, że jest palantem, ale nie zdawałam sobie sprawy, że z ciebie też jest taki pieprzony bydlak.

Wyczułem, że gdzieś za mną pojawiła się Madeleine. Od jak dawna tu była? Nie śmiałem się obejrzeć, żeby Selina nie domyśliła się, że przyszedłem z nią, i żeby nie zaczęła na niej wyładowywać złości. Wszyscy i wszystko w promieniu pięciu metrów gapiło się na nas.

Sytuacja była potworna. Musiałem zabrać stąd Selinę. Już się podnosiłem, gdy Madeleine wsunęła się cicho na miejsce Nathalie obok Williama.

– A gdzie ty, kurwa, się wybierasz? – Selina podniosła szybko zaciśnięte dłonie do oczu, choć nie było tam śladu łez. – Och, dla ciebie to takie proste. Przez jakiś czas mnie bzykasz, a kiedy ci się znudzi, ulatniasz się i masz w dupie kobietę, która zostaje z żalonym małżeństwem i głupim palantem za męża... **POWIEDZIAŁAM SIADAJ, JESZCZE NIE SKOŃCZYŁAM.**

– Selina, ja nie...

– Oj, no to pierdol się. – Selina wcisnęła do popielniczki dopiero co zapalonego papierosa, podniosła się szybko, acz chwiejnie i chwyciła najbliższy kieliszek. Ja wciąż jeszcze tkwiłem w pozycji półsiedzącej. Przez jedną smutną chwilę patrzyliśmy sobie w oczy – dwa samoloty podczas pokazu znieruchomiały w najwyższym punkcie łuku. I wtedy Selina poczęstowała moją twarz winem.

Gdy ściągnęła ze mnie marynarkę, a ja zdjąłem koszulę, Madeleine powiedziała:

– Cóż, to wszystko było trochę w stylu „Cosmo”, masz szczęście, że oblała cię tylko białym winem. Mówiłeś, że pracuje w reklamie.

Wino na twarzy nie jest czymś, o czym się marzy. Ale mimo wszystko, choć sprawy może nie potoczyły się tego wieczoru idealnie, nie wszystko było jeszcze stracone. Madeleine, ku memu sporemu zdziwieniu, nie zostawiła mnie, co więcej, była dla mnie wyjątkowo miła; do tego znajdowaliśmy się w damskiej toalecie, miejscu dużo bardziej sprzyjającym rekonwalescencji niż jej męski odpowiednik.

– Naturalnie nic nie mówiłem jej mężowi – zapewniłem ją, czując, trochę chyba niemądrze, że jest to najważniejsza sprawa, którą muszę wyjaśnić. – Mężowi Seliny, znaczy się, nie...

– Wiem, że tego nie zrobiłeś. Jesteś na coś takiego zbyt dobry. Pewnie się dzisiaj posprzeczała i sama mu powiedziała. – Madeleine wzięła ręcznik, puściła wodę z kranu i zaczęła starannie wycierać kłapy

marynarki. Ani razu nie spojrzała na siebie w lustrze. – A zresztą... no wiesz... w końcu robiła to z tobą, prawda? Nikt jej nie zmuszał.

– Otóż to.

– I wiesz, co? Teraz, kiedy zostałeś publicznie zdemaskowany jako facet, któremu żadna kobieta nie może zaufać, którego nie może polubić i z którym nie może zamieszkać, stałeś się dużo bardziej atrakcyjny. Jesteś najbardziej seksownym facetem na sali. Taka jest już popieprzona natura kobiecości. Ciesz się.

Oddała mi marynarkę i podstawiła kołnierz mojej koszuli pod wodę z kranu. Do toalety weszły dwie kobiety i spojrzały na mnie z dezaprobatą połączoną z rozbawieniem. Madeleine rzuciła im wyjaśniające spojrzenie, a one jednocześnie przewróciły oczami. Kobiety nie potrzebują słów.

– A więc sądzisz, że powinniśmy zostać? – zapytałem.

– Sądzę, że powinieneś trzymać się blisko mnie, a już ja się tobą zaopiekuję. – Włączyła suszarkę do rąk i podstawiła kołnierz pod strumień gorącego powietrza. – Nie możesz się tu kręcić sam, to dla ciebie zdecydowanie zbyt niebezpieczne.

Stałem z gołym torsem w samej marynarce, czując się jak striptizer w telewizyjnym filmie dokumentalnym o blaskach i cieniach zawodu, i oceniałem moją sytuację. Niewątpliwie moje główne Ja” wciąż odczuwało czysty, intensywny wstyd. Moje następne Ja” wciąż jeszcze czuło szczątkową wilgoć. Ale – co obiecujące – trzecie i czwarte Ja”, te cwane bliźnięta, które były zajęte szacowaniem, jak ostatnie wydarzenia mogły wpłynąć na Madeleine, przesyłały teraz nieoczekiwane pozytywne sygnały. Piąte Ja” – dziwnie narcystyczne nawet w kryzysowych chwilach – czuło niejasną satysfakcję. Szóste Ja”, cichy, lecz nieustępliwy obsesjonista intelektualny, wiecznie zmagający się z niezliczonymi węzłami gordyjskimi życia, zastanawiał się, kto wkopał Seline i dlaczego doszła do wniosku, że to ja jestem winien. Siódme Ja” dziwiło się, że w jednym zwichrowanym osobniku mieści się tyle różnych Ja”. Tymczasem ósme Ja”, które nie mogło znieść wszystkich

poprzednich, miało ochotę na zajebicie wielkiego drina.

Tak więc na początek, ku rozbawieniu Madeleine i irytacji wszystkich innych osób tłoczących się przy barze, taliskera popiłem koktajlem Moscow Mule. Taki postępek jest bardzo naganny, obraźliwy i niegrzeczny z wielu powodów – wątpię, żeby nawet zmulony moskwianin na wczasach na wyspie Skye dopuścił się takiej nieszczemności – ale kiedy chodzi o picie, jestem gotów na wszelkie poświęcenia. Kokaina, ecstazy, trawka, nawet papierosy – mogą dla mnie nie istnieć – są jak jednorazowe skoki w bok, romansiki, przygody, flirty... nic poważnego. Ale picie to prawdziwa miłość, na dobre i na złe, w zdrowiu i chorobie, dopóki śmierć nas nie rozłączy. I facet, który zaczyna od taliskera i popija go Moscow Mule, może i przeżył już niejedno, ale wie przynajmniej, że pierwszy pocałunek wciąż ma znaczenie.

I przysięgam, że czułem się potem sto procent lepiej niż dobrze. Rozkosznie. (Zresztą Madeleine całkiem chętnie płaciła.) Następnie więc zdecydowałem się na rozgrzewający koktajl Kir Royal (nie w moim stylu, ale zasugerowany przez Madeleine pijącą to samo), a później na orzeźwiającego Toma Collinsa. Który, po dodaniu jeszcze wódki z sokiem z limetki, otworzył wreszcie wrota percepcji.

– Chcesz zatańczyć? – zapytała Madeleine.

– Zatańczmy.

Podążyła mi rękę i odciągnęła mnie od baru. Sunąłem za nią do głównej sali – nieśmiertelny bóg rytmu krocący pośród kolorowych kobiet i czarnobiałych mężczyzn. Dębowe ściany gardziły mną, żyrandole łypały na mnie złym okiem, ale nie zdołały mnie powstrzymać: byłem cały muzyką. Przemknęliśmy obok naszego stolika jak w słodkim rydwaniu, śląc dookoła uśmiechy, i może otoczyliśmy przyjacielskim ramieniem Willa, który najwyraźniej siedział zupełnie sam. Akuku! Tylko że – dziw nad dziwy – to nie był Will, Will gdzieś zniknął. Podobnie jak, Neil. Po Nathalie też nie było śladu. Mężczyzna, który siedział, jak mi się zdawało, na miejscu Willa, na krześle Willa,

wcale nie był do Willa podobny. Zupełny nieWill. AntyWill.

– Hej, hej – zawołałem mimo wszystko nie mniej przyjaźnie. – Samotny? Głowa do góry! Może trzeba zatańczyć? My właśnie biegniemy na parkiet. Taniec dobrze robi.

– Czekam na żonę – odparł. – Rozwodzimy się. No to fajnie, pomyślałem.

– Przepraszam – rzuciła Madeleine i chwyciła mnie za ramię. – Obawiam się, że mój chłopak próbuje się zabić. Proszę nie zwracać na niego uwagi. Chodź, Jasper, obiecałeś, że zatańczysz. No, chodź już.

Zgadza się, pomyślałem, obiecałem zatańczyć. I już ja zatańczę.

Należy jednak odnotować, że Steven Brooks, choć bezsprzecznie niski wzrostem i obojętny wobec kwestii podzielonego podmiotu lirycznego w poezji Johna Donne'a, nie marnował czasu, gdy chciał się rozprawić z facetem, który sypiał z jego żoną: pierwszy cios spadł gdzieś w okolicach splotu słonecznego, a drugi niezdarnie grzmotnął w bok mojego nosa.

Nieprzytomny padłem w ramiona ukochanej.

Później było już tylko gorzej. Gdy się ocknąłem, dużo bardziej od odurzenia alkoholowego dawał o sobie znać ból – o tak – dużo bardziej... Odkryłem właściwie, że bólowi bardzo się u mnie spodobało – śmigał slalomem między żebrami, wykonywał wymyślne akrobacje na mostku nosa i z poślizgiem zatrzymywał się na gałkach ocznych. Gdy się ocknąłem, było dużo krwi na mojej koszuli; były dobiegające z oddali odgłosy trwającego wciąż balu; był skórzany fotel, w którym siedziałem rozwalony; było silne wrażenie, że jestem sam w czyimś gabinecie; było upojenie alkoholem; była oczywiście chęć napicia się jeszcze; był żelazisty smak płynący dolinami między zębami; był wstyd; nie było Madeleine, Williama, Nathalie ani przyjaciół i rodziny.

Była za to Lucy.

Siedziała w fotelu naprzeciwko po drugiej stronie pustego kominka w fioletowej balowej sukni i patrzyła na mnie cierpliwym spojrzeniem skrzywdzonych.

Czas zwolnił, jakby płynął pieskiem, i pamiętam, że chciałem wstać, ale bałem się, że jeśli to zrobię, zademonstruję tylko, iż mam jeszcze dość sił, by znieść kolejną napaść. Nie ruszałem się więc z miejsca, a dłuższa wskazówka małego zegara szafkowego nad pustym kominkiem dźwignęła się wyżej, pokazując pełną godzinę.

Druga. Mijały sekundy. Teraz my mieliśmy stoczyć pojedynek? W jaki sposób, rozmyślałem, mężczyzna broni się przed kobietą, która chce go zabić? Jakie są zasady? Czego się oczekuje? Powściągliwości, rzecz jasna, ale jeśli jej agresja będzie zagrażała mojemu życiu? Zdałem sobie sprawę, że gdy dochodzi do bezpardonowej walki, prawdziwy mężczyzna nie zdobędzie się na to, by oddać kobiecie. Może zatem, gdy nadejdzie ta chwila, po prostu się poddam.

Lucy zamrugnęła powiekami w sposób charakterystyczny dla popadających w obłąd, powoli, z premedytacją, jak gdyby liczyła mrugnięcia. Obawiałem się, że za jej bezruchem kryje się kilkanaście małstromów walczących z dwudziestoma wściekłymi huraganami. Te nieliczne „ja”, które nie były jeszcze martwe lub zranione, lub zbyt zażenowane, by walczyć, kuliły się w pustym kącie mej smaganej wiatrem duszy. W palenisku leżały przy niej starannie ułożone pogrzebacze, miotełka i szczypce do węgla. Wszyscy byliśmy bardzo przejęci.

Lucy schudła. Wydawała się bardziej ascetyczna, blada, szczupła – linie kości policzkowych rysowały się wyraźniej. A włosy zostały obcięte dramatycznie na wysokości szyi, kończyły się więc dwoma asymetrycznymi szpicami poniżej linii szczęk. Głos też wydawał się cieńszy, niż zapamiętałem.

– Chciałam, żebyś wiedział – powiedziała w końcu, a jej usta wciąż się poruszały, jak gdyby było jakieś opóźnienie na łączach satelitarnych – że tu byłam. Nie powinno mnie tu być. Ale jestem. Jestem tu.

Zmobilizowałem wszystkie swoje „ja”.

– Bez obaw. – Uśmiechnęła się. – Nie zamierzam cię policzkować ani nic takiego. Sądziłam, że gorzej to zniosę. Jest dobrze. Cieszę się, że

przyszłam się z tobą zobaczyć.

Nie byłem w stanie jasno myśleć. Podniosłem dłoń do twarzy, by ocenić opłakany stan tego, co kiedyś było moim nosem. Z mgły wyłoniło się kilka pytań:

– Jak długo tu jestem? Jak długo ty... – Mój głos brzmiał dziwnie nawet dla mnie, przytłumiony, nosowy, jak gdyby w okowach jakiegoś śmiertelnego przeziębienia.

Zignorowała mnie.

– Wiedziałam, że tu będziesz, i chciałam tylko przyjść i sprawdzić, jak zareaguję... no wiesz... na twój widok. Myślę, że teraz jest już ze mną wszystko w porządku. A tak przy okazji, Jasper, wyglądasz potwornie. Nos ci krwawi. I będziesz miał podbite oko.

Wstałem chwiejnie. Zawartość pokoju zakręciła się jak resztki alkoholu w butelce pijaczyny.

– Widziałam, co się działo. Mam na myśli męża Seliny... tak ma chyba na imię? Miałeś szczęście. Miałeś szczęście, że... że ktoś cię złapał, inaczej mogłeś rozwalić sobie głowę o stół. Mógłbyś wystąpić o odszkodowanie. – Uśmiechnęła się. – Ale lepiej, żebym to nie ja ciebie reprezentowała.

Pokręciłem głową.

Zagryzła wargę i wydawało się, że nagle podjęła decyzję.

– Nic ci nie jest. Lepiej sobie pójdę. – Wstała. – Przepraszam za te telefony. Obiecuję, że już nie będę. Czuję się dużo lepiej. – Zawahała się. – Ale jeśli... – wciągnęła ciężko powietrze – ...jeśli później... wszystko jedno, kiedy... będziesz chciał do mnie zadzwonić, to proszę bardzo.

Podniosłem się. Poczucie winy przysiadło na moim sercu jak rozdęta ropucha.

– Lucy, posłuchaj, strasznie cię przepraszam za to, co się stało, co się dzieje.

Ale ona była już przy drzwiach. – Ja też.

Przez chwilę starałem się w ogóle nie ruszać. Utrzymanie pozycji

panionowej było dużo trudniejsze niż zazwyczaj. Pokój wirował... a właściwie odjeżdżał... w lewą stronę. Próbowałem wyobrazić sobie, że ściągam go z powrotem w prawo,

ale nic to nie dało. Co zdumiewające, czułem, że najchętniej napiłbym się alkoholu. Ból twarzy i brzucha był potworny. Zastanawiałem się, jak odnajdę innych i co im powiem. Przesunąłem językiem po górnej wardze. Zasnęta krew. Zastanawiałem się, jak odnajdę innych i co...

Do pokoju wślizgnęła się Madeleine i podeszła do mnie szybkim krokiem. Miała zmarszczone brwi, zaciśnięte usta. Przyniosła watę i zwilżoną flanelową ściereczkę.

– Siadaj.

Doprowadziła mnie siłą z powrotem do fotela i posadziła w nim. Pewnymi, ale troskliwymi ruchami zaczęła wycierać mi twarz – siostra miłosierdzia z najbardziej zatwardziałym grzesznikiem, działająca energicznie, intensywnie, skutecznie.

– Głowa do tyłu.

Myśli miałem zmacone, jakby atramentem, i nie jestem pewien, czy utworzyły się słowa, gdy próbowałem przemówić:

– Gdzie byłeś?

– Po to. – Wskazała watę i ściereczkę.

– Jak długo tu jestem?

Nie była oschła, ale serdeczna też nie.

– Niedługo. Najwyżej dwadzieścia minut. Zamknij oczy. Mieli wezwać karetkę, ale znalazł się lekarz, który pomógł nam przywlec cię tutaj i stwierdził, że nic ci nie będzie. Masz szczęście. Nos jest cały, zęby w komplecie, a mnie zawdzięczasz to, że nie rozplatałeś sobie głowy.

– Dzięki, że mnie złapałaś.

– Niepotrzebnie czyściłam ci wcześniej koszulę, całkowita strata czasu.

Czułem, że muszę jej powiedzieć.

– Wiesz co?

– Rozepnij koszulę pod szyją. Co? Szczerść trzymała mnie za gardło.

– Jest tutaj jedna z moich byłych dziewczyn.

– Zauważyłam – odparła, nie przestając mnie wycierać.

– Nie, nie Selina. – Nie?

– Nie. Selina nigdy nie była moją dziewczyną. Mam na myśli kogoś innego. Przed chwilą tu była, ale nie wiem, gdzie poszła.

Madeleine przerwała na chwilę swoje czynności i spojrzała mi prosto w oczy. Była tak piękna, że aż bolała mnie głowa.

– Naprawdę? I co miała ci do powiedzenia?

– Jest trochę nawiedzona, mówiąc szczerze.

– No więc co powiedziała?

– Powiedziała, że chciała przyjść, żeby się ze mną zobaczyć i sprawdzić, czy wszystko będzie w porządku. Ze mną. Z nią.

– I tyle? – Wziąłem jej ton za ciekawość.

– Tak. Z grubsza. Powiedziała, że widziała, jak mąż Seliny mnie uderzył i że powinienem go pozwać.

– Co jeszcze?

– Chciała... chciała jakby powiedzieć, że czuje się lepiej i nie będzie już nękać mnie telefonami.

– Nękać telefonami?

– Dzwoniła do mnie i dyszała do słuchawki.

– Nic więcej nie powiedziała? – Nie.

Madeleine znów na mnie spojrzała. Wyrzuciła watę i odkręciła korek butelki z wodą.

– PijWykonałem polecenie.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że jest trochę nawiedzona? – Madeleine zabrała butelkę i zwilżyła ściereczkę wodą.

– Au, boli... Jezu. Wciąż krwawię?

– Troszeczkę. Jak to: „nawiedzona”?

– Nie wiem... no wiesz, nadwrażliwa czy coś w tym rodzaju. Kiedy

zerwaliśmy, ona jakby... straciła kontrolę. Cały czas do mnie wydzwaniała i nic nie mówiła przez telefon. Ześwirowała.

Madeleine skończyła.

– Koniec.

– Dzięki.

– Co jej zrobiłeś?

– Nic.

– Daj spokój, musiałeś coś jej zrobić. Ludziom tak po prostu nie odbija.

– Wydawała się całkiem normalna, gdy ją poznałem, ale...

– Więc co się stało? – Nic.

– Nic? – Nie ustępowała. – Tak po prostu odbiła jej palma?

– To długa historia.

– Poproszę o skróconą wersję. – W jej głosie pobrzmiwała metaliczna nuta uporów. Czułem, jak resztki mojej godności oddalają się ode mnie, ale na autostradzie prawdy nie można zawrócić.

– Lucy myślała, że gdy byliśmy razem, miałem kogoś, i chyba to nią tak wstrząsnęło.

– A miałeś? – Co?

– Miałeś kogoś?

– No... Owszem, miałem.

Twarz Madeleine straciła jakikolwiek wyraz, patrzyła na mnie przez długą, jak mi się zdawało, chwilę.

– Wiesz, Jasper, tych ludzi, których masz zamiar zranić, musisz dobierać staranniej niż tych, których zamierzasz kochać.

21. Pieśń

Opuszczam Ciebie, mita,

Lecz nie z tej przyczyny, Ześ mi się znudziła

I chcę inszej dziewczyny;

Jakoś jednak przeżyłem – ten bal agresji i rozpacz, kobiet i krwi. A co do Madeleine, najwyraźniej nie miała do mnie żadnych pretensji, ani w kwestii Seliny, ani w kwestii Lucy, ani kogokolwiek innego. Nie

poruszała tych tematów. Nie zmieniała też swego stosunku do mnie. Chyba nie interesowało jej zbytnio moje poprzednie życie. Liczyło się dla niej widocznie tylko to, jak teraz się zachowuję i czy dobrze nam jest ze sobą. A jeśli chodzi o mnie: zaskakujące było to, że z coraz większą trudnością przychodziło mi wyobrażenie sobie życia bez niej – wizja ta wydawała się zbyt przygnębiająca. Uświadamiałem sobie, gdy tylko miałem wolną chwilę, że gdzieś w zakamarkach mego umysłu rodzi się pewna decyzja.

Kilka dni po balowym weekendzie, w sierpniu, Madeleine wyjechała do Jordanii, żeby zebrać nowe materiały do książki o Ammanie. Prawie od razu po powrocie wyjechała znowu, tym razem do Ameryki – powiedziała, że chodzi o jakieś święto raków w Sacramento, które miała opisać dla „Sunday Times”. Między tymi dwiema wyprawami mieliśmy dla siebie jeden długi weekend, chociaż w mojej pamięci to lato zapisało się niczym jedno długie zbliżenie przerywane jedynie na pracę i sen. Trudno mi uwierzyć, że tyle czasu spędzaliśmy oddzielnie.

Ja też ciężko pracowałem w sierpniu – siedem dni w tygodniu, po dziesięć godzin dziennie i dłużej, w szalonym tempie kaligrafując kolejne wiersze: *Przekleństwo*, *Potrójny głupiec*, *Waleta żalu zabraniająca* i *Ogród w Twickenham*. W końcu też zaczęło mi świtać w głowie – niewyraźnie, niepewnie, nieczęsto – o czym tak naprawdę są *Pieśni i sonety*.

Coraz szybciej i sprawniej zacząłem pisać bastarda; gdy jednak rosła moja biegłość w posługiwaniu się piórem, musiałem dokładać starań, by nie oddalić się zbytnio od stylu wcześniejszych, powstałych z nieco większym wysiłkiem prac. Powiesiłem *Obojętność* i *Powietrze i anioły* na ścianie przy stole, żeby cały czas mieć na uwadze ich ogólną kompozycję i zapewnić całości jednolity charakter. Byłem przekonany, że wszystkie trzydzieści wierszy zostanie później wyeksponowanych w jednym miejscu, a mojemu sercu – mimo wszystko – bliska jest zasada artystycznej spójności. Trzeba zająć jakieś stanowisko i trzymać się go.

Podczas pobytu za granicą Madeleine nie kontaktowała się ze mną –

w końcu, jak mówiła, pracowała, a nikt nie wysyła do domu pocztówek z biura. Ale tego czwartkowego wieczoru w połowie sierpnia, gdy wróciła z Bliskiego Wschodu, zadzwoniła do mnie zaraz po wylądowaniu i prosto z lotniska Heathrow przyjechała ze swoją niepozorną walizką i laptopem na Bristol Gardens.

Pogoda nie była szczególnie letnia – zignorowaliśmy więc wezwania deszczowego Londynu i ogłosiliśmy koniec lipcowego programu „poznaj swoje miasto”. W piątek Madeleine wyskoczyła do siebie na kilka godzin, żeby wykonać parę telefonów i obejrzeć postępy prac remontowych, ja natomiast zrobiłem jej pranie, a rzeczy z bardziej delikatnych materiałów oddałem do pralni. Sobota była powtórką naszych leniwych lipcowych dni. Wieczorem jednak zmobilizowałem się i przyrządziłem wyśmienitą żabnicę z tymiankiem, podczas gdy Madeleine zażywała jednej ze swych epickich kąpieli. Później zasiedliśmy przed telewizorem, żeby obejrzeć migocące potworności sobotniego programu.

A raczej próbowaliśmy oglądać. Zobaczyć zaiste znaczy

uwierzyć: przez dwadzieścia minut znosiliśmy obecność jakiejś sztucznie roześmianej, trzydziestokilkuletniej, gadatliwej tlenionej blondynki – zrobiony nos, cycki, wargi, włosy, twarz, stopy, całe ciało, ale mimo to nieziemski maszkaron – która prowadziła żaloszny pojedynek między dwoma zawodnikami (udawane zachwyty, pohukiwania i zawodzenia studyjnej publiczności) będący preludium do... czego? Trudno powiedzieć. Na przykład do głównej wygranej – nowego domu, gdzie ogród i wnętrza ulegają ciągłym przeobrażeniom za sprawą zmyślnych ekip ekspertów, ze słynnym kucharzem, który pokazuje krok po kroku, jak ugotować jajko, z nowymi fryzurami co wieczór dla mamy i dzieciaków i stacjonarnym konsultantem do spraw wystroju oraz z tajemniczymi sąsiadami, którzy też okazują się gwiazdami telewizji, i ze stałym doradcą do spraw przebudowy patio i, o Jezu... kto wie, dokąd jeszcze poprowadzą nas niczym Szczurołap z Hameln promienie katodowe?

Nim wybiła dziewiąta, mieliśmy już dosyć. Wino się skończyło i wyczuwając pilną potrzebę zmiany nastroju, zaproponowałem koktajle.

– Chcesz różowego dzinu?

Leżąc z głową opartą na moich udach, odwróciła się i spojrzała do góry.

– Co to takiego?

– Dzin z angosturą... mniej więcej.

– Brzmi potwornie. Spróbujmy. Zawsze się zastanawiałam, do czego używa się angostury.

– Nie jest zły, jeśli jest się w odpowiednim nastroju. – Spróbowałem wstać i udać się do kuchni, ale Madeleine oplotła mnie swoimi nogami i ściągnęła z powrotem.

– Jesteś uwięziony – oznajmiła, wyciągając spod siebie pilota. – Wiesz, gdzie leży Angosturą?

– Nie. – Odczekałem chwilę, ale informacja nie padła. – Pasuje mi Tybet, Nepal, tamte okolice. Gdzieś, gdzie trzyma się kozy i produkuje wełnę?

– Dureń. Nawet kontynent się nie zgadza: w Wenezueli nad rzeką Orinoko. – Puściła mnie. – Idź do kuchni, ciemny niewolniku.

Gdy wróciłem z dwiema szklankami, stała przy otwartym oknie i bawiła się moją roślinką miętą. Podałem jej drinka.

– A jest jakieś miejsce, gdzie jeszcze nie byłaś?

Rzuciła mi pełne wyrzutu spojrzenie, jak gdyby takie pytanie zadane podróżnicze w jakiś sposób kwestionowało bezkres ziemskiego globu, a co za tym idzie, trwałość jej kariery.

– Oczywiście. Są setki takich miejsc: Ukraina, Azerbejdżan, Indonezja, Alaska, Urugwaj... dosłownie setki takich miejsc. Afganistan.

– A w Europie?

– Też. Państwa bałtyckie, Estonia i tak dalej. Polska. Właściwie Portugalia, w każdym razie na pewno Lizbona. Turcja, Cypr, Sardynia i... mnóstwo miejsc, Rzym, Malta, o Jezu, nawet Mon...

– Rzym. Nie byłeś w Rzymie?

– Nie. Nigdy. – Pociągnęła łyczek i cmoknęła. – Dobry ten drink. Smakuje mi. – Oblizwała wargi. – To z tego okna mnie szpiegowałeś?

– Nie. Robiłem to przez okno w pracowni. Pokiwała głową powoli.

– Bardzo romantyczne. – Jej ton był tylko na wpół żartobliwy. – Palce pachną mi twoją miętą. – Podała mi swoją dłoń, którą pocałowałem. – Ale oczywiście powinno być odwrotnie.

– Co masz na myśli?

Przez chwilę przyglądała się mojej twarzy.

– No bo ty pisałeś miłosne wiersze przy oknie, a ja wygrzewałam się w ogrodzie na dole.

– I co z tego?

– Ja powinnam była stać przy oknie, a ty melancholijnie przechadzać się w tę i z powrotem pod moim oknem w ogrodzie i pisać wiersze. Jak prawdziwy człowiek Renesansu.

– Ach, teraz rozumiem. – Przeszedłem na drugi koniec pokoju, żeby włączyć jakąś muzykę. – Tylko że ja nie potrafię zbyt dobrze pisać sonetów, nie żyjemy czterysta lat temu, a zresztą to nie jest tak do końca poezja miłosna.

Siorbnęła drinka jak dziecko.

– Boże, Jasper, jakiś ty się zrobił nagle racjonalny. Co się z tobą dzieje?

Przykucnąłem, żeby przejrzeć grzbiety płyt.

– Przepraszam. Zmieniam się w sposób niekontrolowany. Mój wewnętrzny Don Kichot powoli zanika. To chyba przez męską menopauzę. Chociaż Roy junior uważa, że jem za dużo ryb i to dlatego. Najwyraźniej staję się normalniejszy... porządniejszy. – Zakołysałem się w kuckach. – Zacząłem żałować, że sypiam z mężatkami, a nawet zastanawiam się, czy nie uporządkować kompaktów alfabetycznie... albo według daty zakupu... albo według daty skomponowania.

– Ale masz rację. – Podeszła i stanęła tuż za mną, lekko przyciskając na zmianę kolana do moich pleców.

– Wiem – westchnąłem. – A w jakiej sprawie?

– To rzeczywiście nie jest wyłącznie poezja miłosna. Tutaj się z tobą zgadzam. Przeczytałam tomik, który mi dałeś, gdy byłam w Ammanie w hotelu. Nawet kilka razy. Te wiersze są tak... tak złożone, trochę jak łamigłówki. Ale wolałam już je czytać, niż schodzić do baru i narażać się na podryw jakichś strasznych tłusciuchów. Chociaż teraz czuję się, jak gdyby poderwał mnie Donne. Dziwne. Nie był przypadkiem jakimś straszonym tłusciuchem, co?

Rozpocząłem proces wkładania wszystkich płyt z powrotem do pudełek: czynność ta najwyraźniej przerastała możliwości Madeleine.

– Nie. Z tego, co wiem, to nie. Był szczupłym facetem. Normalnej budowy. Ale uwielbianym przez damy. – Wyjąłem z pudełka Schuberta i zastąpiłem nim płytę Billie Holiday od Madeleine. – Może później, gdy wpakował się w małżeństwo, dzieci, religię i całą resztę... kiedy został dziekanem katedry Świętego Pawła... może wtedy trochę przytył. Tak się dzieje z ludźmi, gdy ułożą sobie życie, jak gdyby anulowali się seksualnie. Ale nie wiem. Może do końca był szczupły. Na pewno nigdy nie zrezygnował ze zmagania z Bogiem i bardziej przyziemnych uciech.

– Myślę, że się nie roztył. – Zmiana kolana. – No więc o czym są, Jasper, jeśli, jak ustaliliśmy, nie o miłości? Nadała ostatniemu słowu mocno sardoniczną nutę, choć jej zaciekawienie nie stało się przez to mniej szczerze. Wyprostowałem się i stanąłem naprzeciw niej.

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Nie można też powiedzieć, że nie są o miłości. Problem z Donne'em polega na tym, że wszystko jest o wszystkim. A raczej wszystko jest we wszystkim: wierność, niewierność, wierność, niewierność; prawda, fałsz, prawda... we wszystkim, co pisze, jest coś, co można by nazwać utrapieńczym upodobaniem.

– Utrapieniem upodobaniem? – Przedrzeźniała mnie. Zignorowałem ją.

– To z jednego z jego wierszy. Zwraca się do swego serca: „Lecz ty, które w utrapieniach/Masz upodobanie, powiesz...”

– Więc z czym ma problem? – przerwała mi. – Z kobietami?

– Nie z kobietami jako takimi, chociaż nikt nie bagatelizuje zdolności kobiet do komplikowania każdej sytuacji. Już bardziej ma problem... jeśli tak to chcesz nazwać... z koncepcją „posiadania”.

Opadła na koniec sofy, podnosząc do góry drinka, żeby go nie wylać, a potem usadowiła się wygodnie, podwijając pod siebie nogi jak za pierwszym razem, gdy u mnie była.

Usiadłem obok niej i oparłem nogi o mały stolik.

– Gdy już coś pojmie, posiadzie intelektualnie, wówczas przestaje to być dla niego stymulujące. I dotyczy to nie tylko kobiet, ale i, powiedzmy, religii czy podróży zagranicznych. A przede wszystkim dotyczy samego doświadczenia tworzenia poezji. Czasem można wyczuć, że nie angażuje się tak bardzo w zakończenie jakiegoś wiersza, bo gdy już przeleje sporą jego część na papier, to mu wystarcza. Awersja do posiadania.

– Naprawdę? Nie czytałam ich... a raczej powinnam powiedzieć, nie odczytywałam ich pod tym kątem. Jako wierszy o posiadaniu.

Zamyśliłem się.

– Nie, w pewnym sensie masz rację: nie o tym są. Raczej... nie wiem... są tego przejawem. A o czym są? O zmienności, przeobrażeniach, czymś w tym rodzaju. Można powiedzieć, że najbardziej ze wszystkiego Donne’a poruszała niestałość:

w otaczającym go świecie, w poznawanych kobietach, a przede wszystkim w nim samym. Jest jednak w jego poezji także dużo zwyczajnej miłości, zwłaszcza do żony.

– Kim była?

– Ann. Wziął z nią ślub w tajemnicy, licząc na to, że teść mu wybaczy, ale się przeliczył, totalnie spieprzył sprawę. Była partią nie dla niego, mierzył za wysoko, więc gdy sprawa się wydała, stracił pracę i musieli zamieszkać w wilgotnej nędznej chacie daleko od Londynu... daleko od centrum wydarzeń na całe lata. Ale kiedy umarła, napisał, że jest *dolore infans*, z żalu oniemiały...

– Smutne słowa, zwłaszcza jeśli wypowiada je poeta. Ile miał lat, kiedy wzięli ślub?

– Chyba dwadzieścia dziewięć albo trzydzieści.

Najlepiej myśli mi się w nocy – może dlatego, że ciemność i cisza są bliższe prawdziwej naturze wszechświata. Gwiazdy – łącznie z naszym młodocianym Słońcem – są jedynie miejscowymi eksplozjami światła, gorąca i hałasu, niewartymi uwagi wobec dzielących je ogromnych przestrzeni. Nocą można się otrzeć o głębszą prawdę. Można podjąć decyzję. Nocą najbardziej też dziwi mnie chroniczna bierność ludzi wobec życia. Jak gdyby wystarczyło je tylko przeżyć. „Och – mówią z gładkością samozwańców – przecież wszystkie najważniejsze decyzje podejmowane są za nas”. A przecież to tylko jeszcze jedna forma tchórzostwa lub ucieczki. Ponieważ naprawdę wszystkie decyzje podejmujemy my i tylko my. Nie ma Boga, sprawiedliwości, obiektywnej racji lub jej braku, nie można też winić rodziców. (Nie mieli pojęcia, w co się ładują.) Nie – wobec wściekłego chaosu tych wszystkich zdeterminowanych genów odziedziczonych po anonimowych przodkach w nas i wobec niezmierzonej i cichej obojętności kosmosu wokół nas, my i tylko my – nie oczekując żadnej nagrody i pewni jedynie śmierci – musimy wybrać swój szlak i zająć swoje stanowisko. Alternatywą jest nędzna niewola – popychanych i szturchanych przez ludzi, których nie zamierzaliśmy kochać,

zapędza się nas przez błotniste doliny ku całej serii decyzji, których nie chcieliśmy podjąć. Stajemy się w gruncie rzeczy chodzącą sumą wszystkich naszych zaniechanych planów i postanowień. A wtedy chroniczna bierność jest jedynym wyjściem.

I jeśli była taka jedna noc, chwila wyboru, to właśnie wtedy, w sierpniu. Położyliśmy się późno – przedtem rozmawialiśmy, piliśmy, leniuchowaliśmy. O trzeciej lub czwartej wciąż jeszcze czuwałem, leżąc obok niej, pogrążonej we śnie. Pamiętam, że pogoda za oknem nie pozwalała zasnąć, zachowywała się jak przewracający się co chwila berbec, którego poczęstowano dla żartu whisky. Moja decyzja nie była

głośna ani spektakularna – raczej wyważona i niema – była zmianą w sposobie myślenia o niej, zmianą w sposobie myślenia o sobie. Ale tym właśnie, jak sędzę, jest miłość: niewiadomą, ryzykiem podjętym w ciemności w czasie burzliwej pogody. A zresztą od dawna chciałem odwiedzić babcię.

Oczywiście w niedzielę, gdy się obudziłem i w pokoju było widno, a ona leżała odwrócona na drugi bok, z włosami na brzegu mojej poduszki (te jej drobne i niemal kruche ramiona), zza okna zaś dobiegał przenikliwy warkot wrębiarki do kamienia... oczywiście, gdy się obudziłem, odezwały się inne, bardziej niefrasobliwe głosy: Proooszę cię, Jackson. Daruj sobie te kretyńskie pytania. Przecież nie mamy na takie rzeczy czasu, prawda? Nie no, daj sp okój. W tych czasach ludzkość pędzi zbyt szybko, żeby snuć takie dywagacje. Jasne, można się zatrzymać, by potrenować wewnętrzny spokój z naszymi kolegami od New Age'u, jeśli jest to naprawdę konieczne; albo hej, kto wie?... może na filiżankę świadomie wypitej zielonej herbaty dwa razy dziennie tak jak to robiono w starożytnych Chinach. Ale co do poważnych spraw... natury miłości... lub, na litość boską, twórców liryki miłosnej... pieprzyć je. Pieprzyć ich. Nie ma mowy. Nie teraz, Jackson. Reszta ludzkości jest nafaszerowana sterydami, chłopie, stosuje specjalną dietę zabraniającą jedzenia, i absolutnie nie ma czasu na to, byś kręcił się na poboczu i zadawał tego typu idiotyczne pytania. To jest wyścig. Przygotuj się. Włącz się. (I zarób jakieś pieniądze, do diabła.) „Być zakochanym”: kto u licha ma pojęcie, co to znaczy?

(A) Jak ci się wydaje, czy lubisz swojego partnera na tyle, żeby zaakceptować dokuczliwą, skrywaną prawdę o jego/jej osobowości? (B) Czy myślisz sobie od czasu do czasu, że jest słodki/słodka – na przykład, gdy przynosi prezenty? (C) Czy jest nie mniej miły i sympatyczny/miła i sympatyczna niż inne osoby, które mogłeś/mogłaś poznać lub dopiero poznasz; i czy masz poważne wątpliwości, że ci inni zdołają znieść twoje galopujące poczucie zagubienia i skandaliczną ignorancję? (D) Czy pociąg fizyczny do partnera/partnerki jest choćby

marginalnie silniejszy od ogólnego popędu płciowego do osobników płci przeciwnej lub tej samej? (E) Czy jesteś śmiertelnie przerażony/przerażona, że nie znajdziesz sobie nikogo innego?

Dobrze, jeśli masz więcej niż 50 procent odpowiedzi na „tak”... nie wahaj się dłużej! Jesteś zakochany! Powiedz rodzicom (choć ich nie masz); kup dom; ożeń się; miej dzieci; zacznij całą tę szopkę od nowa. Świetnie.

Tymi słowy przemówił poranek.

Ale, jak mówię, nocne głosy pochodzą z głębszych, prawdziwszych miejsc. I tak moja decyzja pozostawała aktualna. Nawet gdy Madeleine spakowała torby do Sacramento i przy moim łóżku podniosła wzrok, gotowa do wyjazdu, z rękami na biodrach. Zwłaszcza gdy spakowała torby do Sacramento i przy moim łóżku podniosła wzrok, gotowa do wyjazdu, z rękami na biodrach. Moja decyzja pozostawała aktualna.

– Dzięki za upranie moich rzeczy – powiedziała. – No to widzimy się za parę tygodni, tak?

– Tak. – Wstałem z łóżka. – A wtedy zabieram cię w pewne niezwykle miejsce. Na krótkie wakacje, za którymi, jak wiem, przepadają wszystkie kobiety.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Zwłaszcza autorki książek podróżniczych.

– Tam jeszcze nie byłaś.

– Powiedz, gdzie?

– Musisz poczekać do powrotu.

– Mogę zgadnąć?

– Możesz, ale nie powiem ci, czy zgadłaś. Na ulicy zatrąbiła taksówka. Pocałowała mnie.

– Dobra, muszę lecieć. Odprawa przed lotami do Ameryki trwa ostatnio pięćdziesiąt tysięcy godzin. – Złapała torby i stała jeszcze przez chwilę. – Jak to idzie?

– Co? Jak co idzie?

– No wiesz, ten wiersz... Opuszczam cię, chociaż mi się nie

znudziłaś, czy jakoś tak.

– Ach, o to chodzi. Brzmi tak: „Opuszczam Ciebie, miła, / Lecz nie z tej przyczyny, / Żeś mi się znudziła / I chcę inszej dziewczyny”.

– Właśnie. – Uśmiechnęła się. – Właśnie to robię. Dokładnie tak cię opuszczam... mniejsza z tym.

Przytrzymałem ją na chwilę.

– Nie jesteś zbyt pojętym uczniem.

– Poczytam jeszcze, a wtedy nie pójdzie ci ze mną tak łatwo.

Moim zdaniem Pieśń jest zdecydowanie najpiękniejszym wierszem o rozstaniu w języku angielskim. Ale tak jak w przypadku *Snu*, nie mniej niż sam finałowy dwuwiersz uderza mnie niepokój przed jego stanowczym wygłoszeniem.

Niechaj twe serce jeszcze

Wizji czarnych nie snuje, Gdyż sny tak złowieszce

Los wnet w jawę przekuje; Pomnij, iż sen żądny Tych, co nad życie kochają I kochać się nie przestają,

Rozdzielić nie jest władny.

22. Ekstaza

Jak los zawiesza nad dwiema armiami

Niewiary w zwycięstwo kotarę, Tak dusze nasze zawisty nad nami,

Ciała opuściwszy na chwil parę.

A zatem do Rzymu. Wiecznego miasta miłości i wiary, miasta Wenus i Watykanu, miasta świętości i świętokradztwa. Gdzie wszystko się ze sobą ściera. I gdzie mieszkają babcie. Do Rzymu.

Jadąc viale di Trastevere, staliśmy blisko siebie przy drzwiach i przyklejeni do podwieszanych uchwytów kołysaliśmy się w takt owego arytmicznego tańca, który tramwaje na całym świecie narzucają swym pasażerom.

– Gdzie wysiadamy? – zapytała Madeleine, umyślnie wychylając się bardziej niż to konieczne przy niewielkiej zmianie kursu, i jej twarz przyłgnęła do mojej. Mijaliśmy właśnie misternie ozdobioną portykami fasadę gmachu Ministero Pubblica Istruzione.

– Na piazza zaraz przy rzece... jeszcze tylko jakieś dwa przystanki – odparłem.

– Chodzi o rzekę Tyber?

– Aha, chociaż tutaj nazywają ją Tevere, stąd chyba wzięło się Trastevere.

– Jak byś to ujął w trzech zdaniach? – Co?

– Wstęp do artykułu „Dwie doby w Trastevere”.

– Ach tak... eee... coś w stylu... Nie ma w Rzymie dzielnicy o tak wyrazistym charakterze jak Trastevere. Zgodnie z najlepszymi tradycjami kontrkultury usytuowana jest po drugiej stronie rzeki od centrum, zupełnie jak lewobrzeżny Paryż, i również słynie jako siedziba artystów i rzemieślników. – Przerwałem. – To pewnie stek bzdur. Myślę, że kiedyś była tu po prostu biedna część miasta... slumsy, nijacy artyści, wąskie uliczki. Gdzie lepiej było nie zaglądać po zmroku. Ale teraz, ponieważ jest tak dobrze zachowana, kręcą się tu turyści i... no wiesz... naprawdę wygląda świetnie... na swój sposób jest cool... inna od reszty Rzymu.

– Dość ogólnikowo, jak to bywa ze wstępami. Ale co nieco już wiem.

Nasz tramwaj sunął pustym torem pośrodku ulicy, ale po obu stronach samochody trąbiły i przeciskały się przez miasto, a wśród nich śmigały skutery, wykorzystując każdą powstałą szczelinę. Zahamowaliśmy i wszystkim rzuciło do przodu na tyle daleko, by doprowadzić do zbiorowej utraty panowania nad sobą.

– Jeszcze jeden przystanek – obiecałem.

Zorganizowanie tej wyprawy nie było zbyt trudne: zadzwoniłem do babci i w czasie naszego tradycyjnego telefonicznego maratonu wyjaśniłem jej, że niedługo zacznę iluminować Donne'a i mam ochotę na przerwę. Zastanawiałem się więc, czy nie mógłbym przyjechać na weekend... z przyjaciółką. (Ech te eufemizmy rodzinnego życia.) A ponieważ babcia zna najlepsze na świecie wzory wersalików, pomyślałem, że może dałaby mi parę wskazówek, mógłbym też

poszperać w bibliotece... gdyby załatwiła nam wejście; aha, i jeszcze jedno, czy nie poleciby nam jakiegoś miejsca, gdzie moglibyśmy się zatrzymać... coś takiego jak ten apartament w Watykanie ostatnim razem... bo jeśli tak, nie musiałbym zawracać jej głowy. Podałem jej termin, a wtedy ona powiedziała, że wielka szkoda, ale na ten właśnie weekend wyjeżdża do Orvieto (z profesorem Williamsem) i wraca dopiero w sobotę po południu, ale byłoby cudownie, gdybyśmy mogli się wtedy spotkać... może zjedlibyśmy wszyscy razem kolację w sobotni wieczór? I oczywiście znajdzie nam jakieś lokum i zleci jednemu ze swych podwładnych w bibliotece... może ojciec Cedric byłby tak dobry... żeby wprowadził mnie w sobotę do Watykanu, bo zdobycie oficjalnej przepustki trwałoby całą wieczność. Powiedziałem, że byłoby wspaniale, a ona obiecała, że przyśle mi maila ze wszystkimi niezbędnymi informacjami – skąd odebrać klucze i tak dalej, a także dane na temat najlepszych próbek bastardy – a wszystko pod jednym warunkiem: że przywożę próbki moich manuskryptów, żeby mogła je sobie obejrzyć; i że obiecuję przyjechać znowu na Boże Narodzenie, a więc tak naprawdę warunki były dwa, wiedziała o tym, ale kiedy ktoś skończy siedemdziesiąt lat, Jasperku, nie można od niego oczekiwać, że będzie przestrzegać tych bardziej przyziemnych reguł życia.

Czas do trzeciego weekendu września szybko zleciał i Roy junior zawiózł nas na lotnisko, obierając tyle skrótów, że trasa wydawała się znacznie dłuższa niż w rzeczywistości.

W głębi serca obawiałem się typowych czternastogodzinnych opóźnień – że porzuceni w kącie jakiejś jasnoniebieskiej sali odlotów będziemy czekać na nasz samolot, przyglądając się z niesmakiem, jak nasi rodacy – najbardziej zenujący turyści świata – raczą wszystkich bez wyjątku długotrwałym pokazem naszych najmniej atrakcyjnych cech narodowych. Ale nie było problemów ani opóźnień. A zresztą nie spodziewałem się, jak dziwnie kojące może być doświadczenie wyjazdu z zawodowcem. Przepadły wszystkie typowe drobne obawy: mogłem mieć pewność, że jej reakcją na ludzi, miejsca i wydarzenia będzie

cierpliwy spokój, a doniesienia o spóźnionych lub odwołanych lotach zostaną skwitowane wzruszeniem ramion jak wiadomość o rozwiązanej sznurowadłe. W końcu była to, jak Madeleine sama zaznaczyła, jej mniej więcej trzydziesta wizyta na lotnisku od początku roku.

Po przejściu przez odprawę – nie mogłem nie zachwycić się grubą książeczką pełną tęczy kolorów i egzotycznych napisów, którą Madeleine tak nonszalancko podała jako swój paszport (były w niej stemple z państw, które już nawet nie istnieją) wystartowaliśmy punktualnie i poszybowaliśmy na południe Europy, nad Alpami i włoskim wybrzeżem, by wylądować w Rzymie o osiemnastej. Pierwszy raz miasto ukazało się naszym oczom z powietrza – budynki w kolorze ochry, skąpane w popołudniowym świetle, ani zbyt wysokie, ani zbyt błyszczące, kościoły, pałace i triumfalne ruiny bram – a wszystko wyglądało tak pięknie, jak pięknie może wyglądać tylko Wieczne Miasto.

Cieszyłem się, że zaproponowałem przejażdżkę tramwajem po viale di Trastevere, gdy wysiedliśmy z pociągu na Stazione Trastevere. Był to bardziej intymny sposób podróżowania niż taksówką. Z tego samego powodu, gdy już znaleźliśmy się na chodniku, nie zabrałem Madeleine najkrótszą drogą na piazza S. Egidio, ale wybrałem trasę przez szereg zaniedbanych bocznych uliczek, aby pierwsze zetknięcie z miastem zrobiło na niej jak największe wrażenie.

Kółka walizek stukały za nami na kocich łbach, a ja patrzyłem, jak Madeleine chłonie miasto: nierówne stare kamieniczki niszczały w ciasnych szeregach, ale mimo wszystko były seksowne i opalone na różne odcienie brązu – migdałowy, bursztynowy, karmelowy, orzechowy, tytoniowy, żółtobrunatny lub pomarańczowożółty – choć gdzieś jakaś fasada mieniła się delikatnym różem. Niektóre budynki były całkowicie odnowione, inne zaś spowite rusztowaniami, dominowała jednak atmosfera pewnego zaniedbania – drewniane okiennice, którym przydałoby się liźnięcie farbą; płytki z terakoty, które

zbyt długo prażyły się na słońcu i popękały; oraz eleganckie włoskie łuki, lekko ukruszone i zniszczone. Minęliśmy kilka restauracji z krzesłami starannie ustawionymi na zewnątrz, by zwiększyć do maksimum liczbę stolików, i nazwami dań dumnie spisanymi kredą na drewnianych tablicach kuszących przechodniów. Podziwialiśmy tu i ówdzie kaskady winorośli, doniczki w oknach, pranie wywieszane na sznurach nad naszymi głowami, wskazywałem też fontanny, z których

dzień i noc płynęła woda pitna – czym szczyci się każdy prawdziwy obywatel Rzymu. Na via delia Pelliccia stanęliśmy z boku, żeby przepuścić żółtą taksówkę, a potem patrzyliśmy, jak wysiada z niej starsza kobieta ubrana w obowiązkową czerń i czeka z wyniosłą miną, aż taksówkarz wyładuje jej zakupy. Z pralni wyszedł młody mężczyzna z mopem, wyglądał na zastraszonego.

– Jak się nazywa ten lokal, gdzie mamy odebrać klucze? – zapytała Madeleine.

– „Ombre Rosse”. Najlepszy bar w Trastevere. Moja babcia tam bywa. Mamy zapytać o Massimo. To już niedaleko stąd. Massima spodziewa się nas.

Znaleźliśmy się na piazza S. Egidio.

– Dobra... jesteśmy na miejscu. – Zerknąłem na zegarek. – Skoczę po klucze, a ty zaczekaj tu z bagażami, dobrze?

– Jasne – odparła, wyciągając papierosa z kieszeni koszuli. – Ale co mam zrobić, jeśli jakiś przystojny rzymianin będzie chciał zawrócić mi w głowie?

– Niemożliwe. Wszyscy mają kompleks Madonny. Im piękniejsza kobieta, tym mniej narażona na zaczepki. Zaraz wracam.

Mieszkanu udało się wywrzeć wrażenie dużo większego dzięki temu, że uparcie pozostawało jednym długim pokojem. Był tam kącik kuchenny, stół, część wypoczynkowa i wreszcie, na samym końcu, niski futon otoczony z dwóch stron identycznymi ciemnymi szafami z kamforowca. Podłogę pokrywały ceglane płytki; z prawej strony dwa wysokie okna wychodziły na ulicę; a pod sufitem biegły olbrzymie,

grube dębowe belki. Całość była chłodna i przestronna jak marmur. Nie traciliśmy czasu.

– Daj mi trzy minuty – rzuciłem – a przygotuję nam coś, w czym warto umoczyć wargi.

Chwyciłem klucze i wyskoczyłem z powrotem na via delia Scala do maleńkiego sklepu z winami, gdzie kupiłem jedyną butelkę laurent perriera z dobrego rocznika, jaką mieli, i obrzydliwie drogiego białego burgunda, przynajmniej

już schłodzonego. Tymczasem Madeleine musiała otworzyć swoją torbę, wyłowiła zeń ulubionego Oscara Petersona, znalazła sprzęt grający i rozpracowała go. Ponieważ gdy wróciłem, kołysała się już przy dźwiękach *Wine and Roses*. Znalazłem dwa kieliszki i gdy Madeleine wybrała dogodny moment, by włączyć piosenkę od początku, stanęliśmy boso na łóżku, spleśliśmy ramiona i wychyliliśmy kieliszki do dna. Nie pozostało nam nic innego, jak dolać sobie wina, co z kolei pociągnęło za sobą konieczność kontynuowania piasów przy jazzie, a to natomiast – gdy zaczęło się *You Look Good to Me* – z jakiegoś powodu wymagało striptizu.

O dziewiątej wstałem, by sprawdzić temperaturę laurent perriera.

– Mamy jeszcze czas, żeby wspiąć się na piazzale Garibaldi... jeśli chcesz obejrzeć miasto o zmierzchu – powiedziałem, żałując, że lodówka nie jest większa. – Stolik mamy zarezerwowany na wpół do jedenastej, a do restauracji spacerkiem jest tylko pół godziny... maksimum.

– Jaka jest alternatywa?

– Cóż... mógłbym zmusić Oscara do bisów, a my poleżelibyśmy tutaj, aż się ściemni albo ta butelka schłodzi się na tyle, by można ją było otworzyć. Jedno albo drugie.

– Pieprzyć piazzale Garibaldi.

Nie licząc krótkiej, odosobnionej chwili czegoś, co muszę chyba scharakteryzować jako napad zazdrości z mojej strony, ten pierwszy wieczór w Rzymie należało zaliczyć do udanych. Bardziej niż udanych.

Powietrze było balsamiczne, a na Ponte Sisto paliły się latarnie, gdy zatrzymaliśmy się, żeby popodziwiać widoki: z jednej strony szalone krenelaże Castel San. Angelo i przysadzisty kształt Bazyliki Świętego Piotra, wyglądającej niemal upiornie w dziwnie przytłumionym punktowym świetle, które nadawało kopule odcień zbliżony do purpury kardynalskiej; z drugiej zaś stary szpital na wyspie osamotniony podczas swoistej kwarantanny na środku rzeki. Pod nami osowiały Tyber zdawał się płynąć jeszcze leniwiej niż zwykle – wiecznie sunący przez miasto stary mędrzec, którego nikomu nie chce się o nic zapytać.

Jeszcze w Londynie zawarliśmy umowę co do naszej garderoby. Współczesnemu życiu tak dotkliwie brakuje elegancji, że w Rzymie postanowiliśmy wyglądać sztywno. Włożyłem więc mój najlepszy granatowy jednorzędowy garnitur, skrojony klasycznie z rozcięciami (przez chałturzącego chińskiego krawca, który ma pracownię na strychu przy Carnaby Street), a do niego dodałem swój komplet obowiązkowy: buty z Nowego Jorku, białą koszulę i jedwabny krawat. Madeleine natomiast była odą do zalotnej finezji: miała na sobie jasnoczerwoną suknię Anny Molinari, która na plecach była udrapowana w kształt litery „Y” (i zdawała się nieprzerwanie szeleścić przy kolanach), oraz zapinane na paski buty bez pięty.

Nie udało nam się wykończyć laurent perriera, a ponieważ żal nam było zostawić go, żeby zwietrzeał, zabraliśmy wino ze sobą. Pociągnąłem łyk, podałem butelkę Madeleine i ruszyliśmy dalej mostem.

– Zanim tam dojdziemy, będę się zataczać – powiedziała, gdy czekaliśmy, aż zmienią się światła po drugiej stronie ulicy.

– Przejmujesz się tym?

– Nie. Ale nie chciałabym, żebyś mnie wykorzystał. – Oddała mi butelkę i uśmiechnęła się słodko. – Inaczej każę cię pobić na następnym balu, na który pójdziemy.

– Są gorsze rzeczy.

Skręciliśmy w lewo w via Giulia, gdzie niegdyś mieszkał zacny Rafael, a potem w prawo, w via del Mascherone. Mniej więcej co

dwadzieścia kroków kałuże światła wokół ulicznych lamp wyławiły z mroku fragmenty budynków i można było wtedy dostrzec każdy szczegół drewnianych okien, ale zaraz mrok znów gęstniał i formy zastępowały detale. Z ciemnej bramy wysunął się kot i Madeleine, zwieszając się na moim ramieniu, pochyliła się do przodu, żeby na niego syknąć. (Z czasem zdałem sobie sprawę, że jej niechęć do kotów przewyższała jedynie nienawiść do psów – „obrzydliwe brudasy”.) Znów się zatrzymaliśmy na łyk wina

przy zabytkowej fontannie na piazza Farnese, gdzie prócz apatycznych wartowników, którzy stali i palili papierosy pod francuską flagą, panował całkowity spokój.

– To podobno najpiękniejszy ze wszystkich renesansowych pałaców w Rzymie – oznajmiłem, spoglądając na imponującą fasadę palazzo. – Francuzi wynajmują go za symboliczną sumę w zamian za jakiś pałac, który Włosi dostali w Paryżu. Strasznie bym chciał obejrzeć jego wnętrza.

– Ambasada włoska w Paryżu jest na rue de Varenne – poinformowała, zapalając papierosa. – Ale sądzę, że Francuzi lepiej wyszli na tej wymianie, jak zwykle.

– Ach tak. Byłaś tam?

– Tak. Mój ojciec pracuje w Paryżu i... – No przecież... mówiłaś.

– ...w czasie wakacji zabierał mnie do hotelu Gallifet... gdzie Włosi organizują przyjęcia... żebym w ogóle chciała do niego przyjeżdżać. – Wypuściła powietrze. – Wyrzuty sumienia.

Zapomniałem o jej francuskich koneksjach.

– Nie przepadasz za nim, co?

– Nie przepadam. – Wzruszyła ramionami. – No dobrze, może czasami. Jest elokwentnym, inteligentnym mężczyzną. Zawsze uchodził za błyskotliwego. Najlepszy student na roku od początku studiów. Ale jest zupełnie bezużytecznym hipokrytą najgorszego rodzaju. Całe dni spędza ze swoimi arystokratycznymi przyjaciółmi, opowiadając o tym, jaki to jest niezwykle porządny, ale tak naprawdę całe życie

zachowywał się jak skończony bydlak. Spieprzył wszystko, co najważniejsze.

– Pamiętasz matkę?

– Niezbyt. Zajmowała się mną przez kilka miesięcy, a potem zapiła się na śmierć. Pomogły proszki. Imponujące, co?

Pokiwałem powoli głową. Zapadło milczenie.

– Myślisz czasem o rodzicach? – zapytała.

– Tak, oczywiście. Czasami. Ale... no wiesz... nie można tęsknić za czymś, czego się nie miało, więc nie zamartwiam się tym ani nic takiego. Ludziom wydaje się, że sieroty całe

życie są smutne i samotne, ale brak rodziców z czasem staje się czymś normalnym i tak naprawdę nie widzi się różnicy. W pewnym sensie nawet jesteśmy przez to bardziej swobodni niż nasi rówieśnicy, w każdym razie bardziej zaradni. Do tego wspaniale się dogadujemy z ludźmi powyżej sześćdziesiątego roku życia... jak moja babcia i jej znajomi... bo wspólnie uważamy, że pokolenie pomiędzy nami to banda kompletnych palantów. Madeleine uśmiechnęła się.

– Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam.

– Polubisz ją.

Weszliśmy na campo dei Fiori, minęliśmy grupki hałaśliwie okazujących swój zachwyty Włochów, przedostaliśmy się przez tłum agresywnych samochodów na drugą stronę corso Vittorio Emanuele II, przespacerowaliśmy się po piazza Navona i pozbywszy się resztek wina, nacisnęliśmy dzwonek „Il Convivio”.

Najpierw pojawił się szef sali – jednoosobowa przypowieść o zaletach wypolerowanych paznokci i drogiego kremu nawilżającego – i to on poprowadził nas do stolika (oświetlonej rewii bielizny stołowej i srebra), a następnie wskazał Madeleine sięgający do kostek stojak na torebkę. Gwoździem wieczoru był jednak kelner, mężczyzna z delikatnym wąsikiem. Teatralnym gestem zaprezentował nam karty dań (tylko na mojej były wyszczególnione ceny), jak gdyby były mojżeszowymi tablicami, po czym wygłosił tak bogaty w detale, pełen

pasji i zawiły wykład o zaletach licznych dań z ryb, mięsa i grzybów – jak się je przyrządza i podaje, łącznie z tym, który pracownik kuchni za co odpowiada – że zakiełkowała we mnie obawa, iż cała nasza trójka straci przytomność pod wpływem epikurejskiego dramatyzmu jego wywodów. Wreszcie Madeleine zdecydowała się na mątwę z rozmarynem i ryżem gotowanym w czernidle kałamarnicy, a ja dałem się skusić suszonej hiszpańskiej kaczce z macierzanką, orzechami włoskimi i malinami.

Czy rozmawialiśmy jeszcze o naszych rodzinach podczas tej kolacji? Nie. Na pewno nie. Pamiętałbym o tym. Padło jeszcze pytanie o moją babcię – ale chodziło tylko o to, gdzie

się z nią spotkamy następnego dnia. Ja z pewnością nie wypytywałem Madeleine o nic więcej – choćby dlatego, że po naszej rozmowie na temat jej matki i ojca wydawała mi się trochę rozstrojona i przygaszona, a wcale tego nie chciałem.

Lekko wstawieni i najedzeni bardziej niż zwykle, jakoś przed pierwszą w nocy z szerokiej viale di Trastevere wślizgnęliśmy się do „Big Mama’s”, klubu jazzowego w suterenie – przepastnego i mrocznego, bez okien, z trocinami i kanciastymi industrialnymi filarami, które zasłaniały widok, oraz z migającymi neonami w stylu lat pięćdziesiątych na ścianach. Nocna piątkowa klientela składała się w większości z dość młodych Włochów w nowiutkich dzinsach i „specjalnie odłożonych na weekend” koszulach z długim rękawem – wszyscy palili marlboro light – ale było też paru poważniej wyglądających melomanów, którzy siedzieli przy stolikach bliżej sceny i starali się palić prawdziwe papierosy. Wyglądaliśmy trochę nie na miejscu w naszych wieczorowych strojach. Ale też elegancko jak diabli.

Przez pół godziny staliśmy razem w głębi sali, popijając jacka danielsa i colę – Bonnie i Clyde rozluźniający się przed kolejnym wielkim skokiem – i słuchaliśmy gościa z niechlujną brodą, który grał bluesa. Był dobry i publiczność uważnie go słuchała. Oboje pożałowaliśmy wręcz, że przyszliśmy tak późno, ponieważ występ

niedługo się skończył (wykonaniem *Hey Joe*), choć najwyraźniej ani brodacze, ani jego zespół nie chcieli przerywać. Gdy w końcu perkusista uderzył ostatni raz w talerze, cała sala popadła w stan lekkiego oszołomienia, jaki często przychodzi po zakończeniu filmu, ale po paru minutach czar prysł i wszyscy albo skierowali się do baru, albo dokonali przegrupowania wokół stolików.

Właśnie wtedy zgubiłem Madeleine – oddaliła się do automatu z papierosami – a ja, oparty o jeden z filarów, patrzyłem, jak ręka chłopaka o twarzy dziecka, który próbował w pełni uczestniczyć w rozmowie z kumplami, wędruje

powoli w dół na plecach dziewczyny. Wszystko się działo jakby w zwolnionym tempie, niczym odtwarzany w telewizji wypadek narciarza zjazdowego. Dziewczyna była młoda, ciemnowłosa i ładna. Pozwoliła mi poczuć się prawie pewnie, nim chwyciła osuwającą się dłoń i dyskretnie, lecz zdecydowanie przeniosła ją na bardziej neutralne terytorium. Zauważyła, że ich obserwuję, i odwróciła wzrok z zażenowaniem.

Gdy znów ujrzałem Madeleine, stała przy barze i rozmawiała z basistą z zespołu. Miał długie, jasne włosy, ale i smagłą urodę tancerza flamenco. Stawiała mu drinka.

Zazdrość przyszła znienacka, bez ostrzeżenia. Ale to bez wątplenia była ona, gorąca i piekąca – zanurzona w zielonym jądzie strzała przebiła skórę i rozlała się po całym ciele. Z jakiegoś powodu opóźniałem podejście do baru. Stałem nieopodal i obserwowałem ją z ukrycia. Rozśmieszyło ją coś, co powiedział. Położyła mi rękę na ramieniu. Szepnęła mi odpowiedź do ucha, jak gdyby zagłuszała ją muzyka w tle. Nie było jej zaledwie dziesięć minut – lub jeszcze mniej.

Przynaję – następne minuty były dużo gorsze, niż dałem wcześniej do zrozumienia. Były paskudne jak diabli, odrażające i nienawidziłem siebie bez reszty. Zaskoczyła mnie ta burza uczuć: niepokój, panika, złość, oburzenie, bezbronność, obraza, przykrość, zażenowanie, nagły strach przed utratą – wszystko to poczułem w tej samej chwili nie bez

powodu (wystarczyło na nią popatrzeć) i bez powodu (była ze mną, przyjechaliśmy razem do Rzymu, tylko się wygłupiała, wszystko było w porządku). Ale taka już jest zazdrość, pomyślałem: toksyczna mikstura w równych częściach przyrządzona ze składników rozsądku i nierozsądku, a prawdziwym źródłem jej mocy jest to, że przez nią nie można odróżnić jednych od drugich – zaczynamy wątpić we własną zdolność oceny sytuacji.

Gdy podszedłem, Madeleine oderwała się od jego ucha i podniosła głos:

– Hej, Jasper, to jest Marco. Dzisiaj jego też biorę do łóżka. Mówi, że może się z tobą zmieniać, jeśli nie masz nic

przeciwno. Fajny jest, prawda? I mówi, że może się pieprzyć bez żadnych zobowiązań. Może być super.

Otworzyłem usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Wiedziałem – choć w jej głosie nie było nic, co sugerowałoby, że żartuje, żadnego sarkazmu czy przewrotności – wiedziałem, że muszę się roześmiać lub przynajmniej powiedzieć coś, czym potwierdziłbym, że podjąłem jej wyzwanie i że prowadzimy grę. Ale nie mogłem. Moje poczucie humoru ulotniło się jak woda z pustynnego piasku. Rozumiałem, że nie miała nic złego na myśli; a jednak jej słowa – tak mi się w tej chwili wydawało – były niczym nie uzasadnionym aktem czystego psychicznego okrucieństwa. Podskoczył mi poziom adrenaliny.

Przemówił Marco – płynną angielszczyzną, ale z akcentem bardziej szwajcarskim niż włoskim:

– Cześć, siema. Muszę powiedzieć, stary, że bardzo podoba mi się ten pomysł. – Wyszczrzył zęby do Madeleine, najwyraźniej nie uważał, żeby żartowała. – Nigdy nie robiłem tego z parą... a ty?

– Owszem – odparłem powoli – robiłem. – Przywołałem barmana. – Ale obawiam się, Marco, że prócz mnie nikt nie dotyka tej kobiety. – Paraliż ustępował. – Przykro mi, ale jestem jej jedynym właścicielem i tak już zostanie. Mógłbyś wykupić ją na godzinę... może... ale to by cię

kosztowało cholernie dużo kasy, a ona nie jest zbyt spolegliwa. Tak naprawdę paskudna z niej zołza. Kto co pije?

– Dla mnie to samo – odparła Madeleine, nieco zaskoczona, ale z błyskiem rozbawienia w oku.

– A ty? – Spojrzałem na Marco.

– Chętnie wezmę piwo.

– Dobra.

Złożyłem zamówienie i odwróciłem się od baru. Madeleine podniosła się ze stołka, żeby poprawić sukienkę, i znowu usiadła, krzyżując zalotnie nogi. Tymczasem Marco połączył dłonie w modlitewnym geście włoskich piłkarzy zirytowanych niekorzystną decyzją sędziego.

– O rany, wielka szkoda. Myślałem, że może dzisiaj mi się poszczęści. Od czterech lat gram bluesa i po występie

nikt nie proponuje mi seksu. Nikt nawet nie chce zrobić mi laski. Nawet na Węgrzech. Myślałem, że chociaż dzisiaj ten jeden raz Bóg mnie wysłuchał. Wielka szkoda.

– Ja też żałuję – rzuciła Madeleine ze smętną miną, ale porozumiewawczo puszczając do mnie oczko. Gdy podałem jej kolejnego jacka danielsa z colą, poczułem jej drugą dłoń na moich nogach.

Zazdrość minęła niemal tak szybko, jak się pojawiła. Później wciąż jednak dziwiłem się temu, jak bardzo wstrząsnęła mną taka błahostka. Ale to doświadczenie nie pozostało bez echa. Ponieważ gdy ktoś raz znajdzie się na liście klientów zazdrości, nie ma przed nią ucieczki.

Pozostała część nocy była zbyt pijana i szalona, żeby ją zapamiętać. O trzeciej wytoczyliśmy się na ulicę – znów ramię w ramię, pod gwiazdami, które mrugały, gdy nie patrzyliśmy, i księżycem, który kiwał się, gdy patrzyliśmy – i podreptaliśmy z powrotem viale di Trastevere. Staraliśmy się omijać bełkoczących ćpunów przed barami serwującymi przypalone dania i nasłuchiwalismy bzyczenia motorynek, które śmigają, skręcając gwałtownie i przechylając się, jak gdyby

pędziły ku jakiejś spektakularnej kolizji, która mogłaby wszystkich natychmiast ocucić i zmusić do porzucenia dziecinności nocy i zajęcia się dojrzałszymi sprawami jutrzejszego ranka. Skręciliśmy w boczną uliczkę i potykając się, dotarliśmy po omacku wzdłuż ciepłych kamiennych murów – a to szepcząc, to znowu krzycząc, chichocząc i całując się – do słabo oświetlonej via del Moro, a stamtąd ruszyliśmy ku zamazanemu, lecz uparcie otwartemu sanktuarium „Stardust”, ostatniej z nocnych przystani dla tych wszystkich, którzy nie chcą uwierzyć we wschód słońca.

Gdy nas wyrzucili, powietrze pachniało świeżością, a noc bladła. Niepewnym krokiem wyruszyliśmy do domu – ja próbowałem sobie przypomnieć włoskie przekleństwa, żeby ją nimi obrzucić, Madeleine zaś chichotała albo szła tyłem zwrócona twarzą do mnie, albo robiła nadąsaną minę, albo pogardliwie podciągała rąbek sukni, albo ze mnie szydziła.

– Dobrze się bawisz na wyjeździe, Jasper, dobrze się bawisz ze mną? Tak? He? O... myślę, że tak. Ale tak trudno to po tobie poznać, prawda? Zgadza się. Bo jesteś... facetem. Och, taki jestem poważny. Faceci! Prawdziwi mężczyźni nigdy nie okazują uczuć, prawda? Nie. Ale kobieta zawsze się domyśli; to nasza wielka zaleta. Dla kobiety umysł mężczyzny jest jak bardzo nudna gra w kółko i krzyżyk, a jedyną rzeczą, jaka nas zaskakuje, jest to, że ciągle prosicie o kolejną rundkę. W mężczyznach nie ma nic subtelnego ani skomplikowanego, nad czym trzeba by się zastanawiać. No więc jeśli tego chcesz, chodź i weź mnie.

Poszedłem i wziąłem.

W ciemności za zasłoniętymi oknami zapytała mnie, czy śpię. Odpowiedziałem, że nie, i wstałem, żeby przynieść jej wodę. Usiadła, wypła wszystko łączywie i musiałem przynieść jej jeszcze.

23. Kanonizacja

Zmilcz, na Boga, i kochać mi pozwól...

Jeśli miłości przeżyć nie zdołamy,

Możemy od kochania skonać, I choć dlań trumny się nie wykona,

Ujmiemy ją w poezji ramy;

A jeśli nie staną kronik podwoje
Przed nią otworem, sonetów pokoje
Wzniesiem i zamieszkamy w nich oboje;
Miłość nasza w poezję ubrana
Będzie wtedy kanonizowana.

– Na litość boską, Jasper, która godzina? – Madeleine podniosła się na chwilę i spojrzała w głąb pokoju, gdzie mnie udało się właśnie dość hałaśliwie spienić mleko.

– Dziewiąta.

– Co ty do jasnej cholery wyprawiasz? – Przekreśliła się na drugi bok i ukryła twarz w poduszce.

– Próbuje się uporać z tym ekspresem do kawy. – Pierwsze krople płynu w kolorze melasy spłynęły do znalezionej przeze mnie białej filiżanki. – Aha... działa. Fantastycznie.

– Nie możesz zachowywać się trochę ciszej? Co poniektórzy mają straszliwego kaca.

– To nie ja. To ta maszyna.

– O której mamy się spotkać z księdzem?

– Dopiero o wpół do jedenastej. – Zabrałem napełnioną w jednej czwartej filiżankę i podstawiłem następną. – Masz ochotę na cappuccino?

– Jeśli obiecasz, że najpierw przyniesiesz mi z kosmetyczki paracetamol i podasz szklankę wody.

– Oczywiście. – Jej kawa mogła wystygnać, przelałem ją więc do mojej filiżanki, dodałem mleka i pociągnąłem ostrożny łyk. Nieźle jak na pierwszą kawę z nowego ekspresu. Puściłem z kranu zimną wodę, dodałem do szklanki trochę lodu i zaniósłem jej. – Proszę. Jak się czujesz?

– Znośnie. Bywało dużo gorzej. Kosmetyczka jest w łazience. Przynieś mi ją.

Łazienka mieściła się w małej komórce – czymś w rodzaju pokoju dla służby. Zapaliłem światło i wszedłem do niej.

– Już się ubrałaś? – zapytała.

– Wstałem, żeby pójść na targ po parę rzeczy na lunch. I składniki do krwawej Mary, na wypadek gdybyś miała na nią chęć. Chociaż wyobraź sobie, że nawet w angielskim sklepie na piazza S. Cosimato nie mieli sosu Worcester. – Wyszedłem z łazienki i wręczyłem jej kosmetyczkę.

Zaczęła w niej grzebać.

– Wybieramy się na jakiś piknik?

– Niezupełnie. Ale pomyślałem sobie, że na śniadanie zjemy nektarynki z biojogurtem i pysznym miodem, który znalazłem w sklepie. – Chwila nagłego niepokoju, echo mojego poprzedniego wcielenia. – Chyba że miałabyś ochotę na coś innego.

Wypiła kolejny łyk wody, odchyliła do tyłu głowę, zażyła pigułki i odrzuciła kołdrę. Usiadła na krawędzi łóżka, przyciskając do czoła kciuki i palce wskazujące. Krzywiąc się, powiedziała:

– Ta twoja obsesja na punkcie śniadań, Jasper, jest załamująca. Zjem cokolwiek. Ale najpierw wezmę prysznic, żeby ojciec... jak on tam się nazywa... dostał mnie świeżą.

Ojciec Cedric był mężczyzną tęgim – faktu tego nijak nie dało się ukryć. A zważywszy, że w jego branży obowiązuje zakaz seksu, trudno go za to winić: gdybym ja miał czterdzieści dziewięć lat, kazano by mi się wciskać w sutannę

kilka razy dziennie i zmuszano do pracy w niedzielę, też bym się rozkochał w jedzeniu. No tak, w alkoholu również. Właściwie trudno mi wymienić choćby jeden pozytyw wynikający z przynależności do stanu duchownego w dzisiejszych czasach. Nikt nie wierzy już w ani jedno twoje słowo, godziny pracy są nietypowe i sporadyczne; zarabia się już nie tak jak kiedyś, a dziewczyny przestały już szaleć na punkcie koloratki czy czego tam jeszcze. Do tego większość ludzi uważa cię za alkoholika i kryptopedofila albo za jednego i drugiego, co – niezależnie od prawdziwości tych opinii – musi naprawdę działać zniechęcająco, gdy przychodzi do kontaktów towarzyskich z trzódką. A co do tak zwanych sakramentów, któż teraz może zachować powagę, gdy ty stoisz

przy ołtarzu i mamrocześ coś pod nosem; i któremu z twoich parafian zależy na przebaczeniu, skrusze i tego typu bredniach? Żadnemu. Chcą tylko grzeszyć, jak najwięcej grzeszyć, i tylko raz na jakiś czas przycisnąć „pauzę”. Parę naprawdę szczerych słów szacunku możesz jeszcze usłyszeć w środku nocy, gdy wzywają cię do umierającej osiemdziesięcikilkuletniej wdowy, byś spryskał ją wodą kolońską – tragiczne, ale leciwe wdowy stanowią też jedyną grupkę na ziemskim padole zainteresowaną spotkaniami z tobą popołudniami w dni robocze. Cóż to za życie. Ale ojcu Cedricowi przynajmniej udało się założyć kwaterę jak najbliżej frontu: jeśli już masz być księdzem, to najlepiej zaczepić się w Watykanie.

Musiało być kilka minut po umówionej godzinie, gdy zobaczyłem, jak ojciec Cedric toczy się w naszą stronę. Staliśmy na baczność przed członkami Gwardii Szwajcarskiej na stanowisku dowodzenia zaraz przy via di Porta Angelica, która odchodzi na północ od samego placu Świętego Piotra. Odczuwałem przyjemne skutki wypicia krwawej Mary (którą dawniej uważałem za trochę zbyt mocną, teraz jednak raczyła mnie idealnymi dawkami spokoju i dobrej woli). Madeleine pochłaniała już drugi litr wody mineralnej. Potraktowawszy z przymrużeniem oka, jak mi się zdawało, moje usilne prośby, by ubrała się konserwatywnie, włożyła balerinki, białą bluzkę, płową plisowaną spódnicę, chustkę

na głowę z drukowanym wzorem i szylkretowe okulary przeciwsłoneczne. Z powodu naszego kaca ograniczaliśmy rozmowę do minimum, ale usiłowałem uzmysłwić jej konieczność osiągnięcia kompromisu między skromnością i frywolnością – oczywiście bez skutku.

– Halo, halo, halo! Ty jesteś pewnie Jasper! – Ojciec Cedric stał teraz przed nami, od stóp do głów opięty czarną bawełną, ze zwałami tłuszczu tkwiącymi w jakimś strasznym ściśnięciu nad pasem, który sam trzymał się resztkami sił. Rumiany, w okularach, z dość nieśmiałą tonsurą, miał w głosie, jak mi się zdawało, delikatną irlandzką nutę. Nabrał też owej przesadnej śpiewności, która cechuje osoby

przyzwyczajone do mówienia w obcym języku, i rozpaczliwie brakowało mu tchu. – Pani Jackson powiedziała, żebym wypatrywał młodego mężczyzny z bardzo ciemnymi włosami! Mało przydatna wskazówka tutaj, w Rzymie! Ale wiedziałem, wiedziałem, wiedziałem, że to ty, bo towarzyszy ci tak czarowna młoda dama!

– Madeleine – przedstawiłem ją.

Zdjęła ciemne okulary i posłała mu uśmiech, który z pewnością już zawsze miał go przesładować w czasie modlitwy. Chwycił jej dłoń między swoje dłonie.

– O tak! Pani Jackson dużo mi o was opowiadała. Witam, witam, witam.

Kłamca, pomyślałem.

– Przyjemny pobyt jak dotąd? – zapytał, nie patrząc na mnie.

– Cudowny, dziękujemy – odparła Madeleine, też na mnie nie patrząc. – Zwiedziliśmy z Jasperem mnóstwo kościołów.

Otoczony przez łgarzy miałem zaraz wkroczyć do Miejsca Najświętszego. Przynajmniej wszyscy pocujemy się jak w domu.

– Och, rewelacja! – Ojciec Cedric splótł dłonie i potrząsał nimi na wszystkie strony, jak gdyby przeżywał jakiś osobisty triumf. – Ale w Rzymie jest tyle... tyle pięknych kościołów. Trudno byłoby mi wskazać mój ulubiony. Bardzo trudno.

Wkroczyłem szybko.

– My jesteśmy wielbicielami San Pietro w Vincoli... zwłaszcza dzieł Michała Anioła.

– Tak... jest piękny. Bardzo piękny. – Pchnął mostek okularów. – Mojżesz z rogami. Błąd w tłumaczeniu z hebrajskiego, chodziło chyba o coś w rodzaju „promieni światła”. Ale łatwo powiedzieć. Nawet wielcy popełniają błędy... co jest pewnym pocieszeniem...

– Oboje zabraliśmy paszporty – poinformowałem go, żeby nie brnąć dalej w kłamstwa. – Jest ewentualnie szansa, żeby je podstemplować?

– A właśnie. Myśli ojciec, że strażnicy podstemplują mi paszport? – Woda musiała zagłuszyć ból, bo Madeleine nagle zamieniła się w

przejętą uczennicę szkoły zakonnej. – Bo ja kolekcjonuję stemple i byłoby wspaniale, gdybym miała też jeden z Watykanu.

– Zaraz się przekonamy. Na pewno możemy zapytać. Chodźcie za mną. Chodźcie za mną.

Przekazawszy paszporty i wypełniwszy sterty druków (po wielu pomocnych interwencjach naszego przewodnika i poręczyciela), ruszyliśmy z ojcem Cedrikiem lekko pod górę przez ogrody pod łukiem papieża Juliusza II i znaleźliśmy się na przestronnym dziedzińcu Belwederu. Ksiądz podniósł rękę i wskazał nam przejście wiodące turystów do Kaplicy Sykstyńskiej – wysoko w górze, na lewo, brzydka konstrukcja przypominająca rusztowanie, z którą najwyraźniej nic nie można było zrobić – a potem skinął na nas.

– A teraz... Madeleine, Jasper... mam zaszczyt wprowadzić was do środka. Tędy... oto ona, oto ona: Biblioteca Apostolica Vaticana.

Pod czujnym okiem Cedrica Wpisaliśmy się do księgi gburowatego strażnika, oddaliśmy nasze torby, odebraliśmy przepustki u wiceprefekta i w ślad za pękatą postacią księdza wsiedliśmy do windy.

Doznania zapachowe uczyniły krótki pobyt w windzie nadzwyczaj nieprzyjemnym. Ale sama biblioteka warta była całego tego zachodu: czyste renesansowe piękno, długie arkady, przez które prześwitywało jasne światło (jak gdyby prosto z niebios), migotało na marmurze i alabastrze i wydobywało głębsze barwy z fresków mistrzów na sklepionych sufitach. A księgi... zewsząd otaczały nas otwarte półki z woluminami, które kipiały wiedzą, wyobraźnią i inteligencją. Ojciec Cedric poprowadził nas – oniemiałych z wrażenia – do dalszej sali z manuskryptami. Chociaż nie było tam czytelników, mówił ściszym, lecz wyraźnym głosem, co jest znakiem rozpoznawczym zawodowego bibliotekarza.

– Tutaj są formularze, gdzie musisz wpisać tytuły manuskryptów, które chcesz wypożyczyć. Podaj je mężczyźnie przy pulpicie, który mineliśmy... w głównej sali. Najwyżej trzy naraz, obawiam się. Są jeszcze inne... o tutaj... już wyeksponowane na półkach... tych tutaj...

mogą się przydać. – Wskazał całą ścianę półek, a potem spojrzął na mnie z zatroskaną miną. – Ale zdaje się, Jasper, że są pewne rzeczy, które szczególnie chciałbyś obejrzeć... tak mówiła pani Jackson.

– Owszem. Mam w notesie numery katalogowe.

– Szczęście, że pani Jackson ma tak wierną pamięć. Oszczędzi ci to wielu czasochłonnych poszukiwań.

– Wiem.

Znów dotknął mostka okularów.

– Pani Jackson mówi, że jesteś już wybornym kaligrafem... zawodowcem... pracujesz nad Johnem Donne'em dla Amerykanów. Nie są to przypadkiem sonety święte?

– Nie, liryki miłosne...

– Donne'ę wywodził się, proszę was, ze znanej katolickiej rodziny, oddanej wierze. – Mówił teraz jeszcze bardziej konfidencyjnym tonem. – I to w okresie, kiedy mogli zapłacić za to życiem. Wuj Donne'a przewodził tajnej misji jezuitów. I oczywiście jego brat zmarł w więzieniu, gdzie wtrącono go... – ojciec Cedric pozwolił sobie zawiesić głos – ...za ukrywanie księży.

– Tak, czytałem o...

– I naturalnie dlatego jest... był... i zawsze będzie... tak bardzo nieszczęśliwy, tak bardzo zły na siebie, bo nigdy sobie nie wybaczył przejścia na protestantyzm, a zrobił to, żeby... zdobyć pozycję... w końcu, jak wiadomo, został dziekanem katedry Świętego Pawła. To musiało być dla niego

trudne. Bardzo trudne. – Westchnął cicho. – Przeczytałem kilka wierszy, gdy twoja babka powiedziała mi, że przyjeżdżacie... jak to szło? „We mnie spotkały się sprzeczności, / Aby mnie rozsrożyć: niestałość w nawyk / Się przerodziła stały...” – Pokiwał w zamyśleniu głową. – To mój ulubiony sonet święty. Być może klucz do wszystkiego... Cóż, zostawię was teraz na pół godziny... obawiam się, że przynajmniej tyle potrwa sprowadzenie twoich manuskryptów. Potem wrócę, żeby sprawdzić, jak sobie radzicie... – Oczy błyszczały

mu jak dobrej wróżce. – ...i mógłbym wtedy oprowadzić Madeleine i pokazać jej co nieco... gdy ty będziesz robić szkice i notatki.

– Och, wspaniale – szepnęła za głośno Madeleine. – Prywatny obchód po Watykanie. Jasper mówił, że mają tu różne tajne dokumenty... na przykład nawrócenie Henryka VIII na łożu śmierci... i mnóstwo narzędzi tortur z czasów inkwizycji.

Ojciec Cedric pokiwał szarmancko głową.

– Cóż, wszędzie wejść nie możemy, ale postaram się pokazać kilka naszych małych skarbów.

– Dziękuję, ojcze – powiedziałem. – Potrzebuję najwyżej półtorej godziny... więc powinniśmy dać księdzu spokój przed obiadem. I bez nas ojciec ma pewnie zajęć jak włosów na głowie. – Odchrząknąłem, chcąc odwrócić uwagę od niefortunności tego wyrażenia.

– Żaden problem. – Zatarł energicznie ręce i z uśmiechem, który w jakiś sposób łączył w sobie promiennosc i melancholię, oddalił się od nas.

Usiadłem przy pulpicie, żeby przepisać na rewersy dane zdobyte jeszcze w Londynie. Po złożeniu ich obeszliliśmy razem bibliotekę – oglądaliśmy wszystko: książki, sufit, wysokie okna, manuskrypty, iluminacje, starając się nie rozmawiać za głośno. Chociaż historyjka o konieczności przyjazdu do Rzymu w celu obejrzenia manuskryptów była w pewnym sensie naciągana – British Museum jest w posiadaniu wszystkiego, czego kaligraf mógłby sobie zażyczyć – teraz nie mogłem nie ekscytować się faktem, że otacza mnie tyle wspaniałych przykładów mojej sztuki. Za każdym razem, gdy widzę w zbliżeniu lub trzymam w ręku dzieło prawdziwego mistrza sprzed kilkuset, a w niektórych przypadkach sprzed kilku tysięcy lat, odnoszę wrażenie, jak gdybym niemal mógł z nim porozmawiać, jak gdyby skryba odłożył przed chwilą pióro i wyskoczył do komnaty obok, żeby pożywić się chlebem i serem, i miał zaraz wrócić. Wszystkie dzielące nas stulecia po prostu się rozplywają. Jest coś w ruchu pióra – zachwycająco pięknym, owszem, ale też swobodnym, gdy mowa o ludziach, dla których była to praca

całego życia, każdego dnia, pozbawionym skrepowania cechującego wszystkich (prócz garstki) współczesnych kaligrafów – coś, co sprawia, że słowa zawsze robią wrażenie, jakby naniesiono je na papier przed chwilą. Bardziej chyba niż w innych artystycznych formach wyrazu dostrzegamy i wyczuwamy intymne współgranie poszczególnych elementów w chwili, gdy pozostajemy pod przemożnym wpływem całości. Doznanie to uczy pokory i jednocześnie podnosi na duchu.

– Boże, co to takiego? – Madeleine wskazywała arkusz ujęty w dwie cienkie tafle plastikowego szkła. – Kto umiał to przeczytać?

Podszedłem do niej.

– Pismo kancelarii raweńskiej. Wiem, manuskrypt wygląda, jakby przeszło po nim stado pajaków.

– Z jakiego okresu pochodzi? – Ostrożnie wzięła do ręki oprawiony arkusz. – Wygląda na bardzo cenny.

– Nie wiem dokładnie... trzeba by zapytać Cedrica. Ale to pismo pojawiło się razem z nowymi państwami po rozpadzie Cesarstwa Rzymskiego. Przypuszczam więc, że pochodzi z okresu między szóstym a ósmym wiekiem... jakoś tak.

– Rozczytasz to?

– Tylko poszczególne słowa. Ale moja łacina nie jest zbyt...

– Co tu jest napisane?

– To chyba jakaś lista. – Wskazałem palcem. – Widać, że skryba używał dużo czegoś, co nazywamy paskami skrótowymi... to te długie cienkie zawijasy pod słowami. Jakiś rejestr świadków. Sam dokument nie jest chyba niczym nadzwyczajnym... mam na myśli tekst... jest jednak ważny jako przykład.

– Ale dlaczego jest taki trudny do rozczytania?

– Kiedyś nie był. Nie dla ludzi w Rawennie, ponieważ to pismo było ich znakiem rozpoznawczym... podobało im się właśnie takie, ładne, oryginalne, indywidualne.

– Wygląda jak dzieło szaleńca.

– Miało mieć szczególny charakter. Każde miejsce opracowywało

własny styl pisma i bardzo się tym szczyliło. Tak jak istniały różne dialekty lub różne regionalne formy architektoniczne, pełne osobliwości, chociaż oczywiście dużo wtedy podróżowano i różne cechy mieszały się, w związku z czym powstało dużo hybryd, odmian, zapożyczeń i tak dalej... na tej samej zasadzie masz na przykład Francuzów z Alzacji mówiących z niemieckim akcentem. – Ja też przeszedłem w bibliotekarski szept. – Pismo kancelarii raweńskiej słynie z tego, że jest bardzo smukłe, posługuje się nadzwyczaj cienkimi liniami... ma też mnóstwo kontrakcji i skrótów. Jest to tak naprawdę odmiana wcześniejszej kursywy, a raczej...

– Kursywy?

– Kursywa jest przeznaczona do szybkiego pisania... rzadziej odrywa się pióro od papieru, jest więcej tak zwanych ligatur... łączonych liter jak „A” i „E” tutaj... i mnóstwo pętli. A jednak pismo raweńskie jest szalenie eleganckie i wytworne... popatrz na te wysokie „L” albo na nóżkę w „R”, albo na ozdobniki na końcu każdej linijki. Dlatego jest tak niezwykle: szybkość i wyrafinowanie w jednym.

– Umiesz tak pisać? – Spojrzała na mnie pytająco.

– Nie. Nigdy nie uczyłem się pisma raweńskiego, ale mógłbym się nauczyć... potrzebowałbym trochę czasu i ćwiczeń. To tak jak przyswajanie sobie nowego utworu muzycznego. Trzeba go rozbić na części i uczyć się po kawałku, zabiera to mnóstwo czasu... ale dużo dają zdobyte wcześniej solidne podstawy techniczne.

– Pokaż mi w takim razie pismo, które opanowałeś.

– Spójrz tutaj... – Pochyliłem się nad oprawioną w skórę księgą, która leżała otwarta na pulpicie. – To brewiarz, taki modlitewnik, który mógł należeć do jakiejś szlachetnie urodzonej damy... jest ich całe mnóstwo... a to pismo to minuskuła karolińska. Jedno z pierwszych, jakie musi opanować zawodowy kaligraf, stało się bowiem czymś w rodzaju pisma wzorcowego. Od końca ósmego wieku, od czasów Karola Wielkiego, rozpowszechniło się w całej Europie, ponieważ... przypatrz się... było bardziej uporządkowane i czytelniejsze niż wszystkie inne

stosowane wówczas pisma. Można powiedzieć, że była to wczesna próba standardyzacji, odpowiedź na twoje zastrzeżenia co do pisma raweńskiego.

– Piękne. Mogę nawet rozczytać kawałek: „*admirabile est nomen*”. I co za ilustracje. – Przesunęła delikatnie palcem po welinie. – Wciąż tak kolorowe... wykonanie ich musiało trwać całe tygodnie.

– W tamtych czasach do iluminacji używano odpowiednich barwników. Ten błękit powstał ze zmielonego lazurytu sprowadzanego aż z Persji, który był najcenniejszym pigmentem ze wszystkich: kolorem nieba i szat Marii Panny. I rzeczywiście... było to bardzo czasochłonne. Ale wtedy iluminację uważano za osobną sztukę.

– A ty musisz ozdobić Donne’a?

– Nie – uśmiechnąłem się. – Nie aż tak. Zamierzam tylko wystylizować i ozdobić inicjały. Iluminacja zajęłaby mi prawdopodobnie co najmniej kolejne dwa lata... gdybym miał iluminować wszystkie trzydzieści wierszy. A zresztą u Donne’a nie wyglądałoby to dobrze. On musi być oszczędny, czarnobiały, ascetyczny, niezmacony. Ale ostatnio kaligrafowałem sonet Szekspira i ten był w pełni ilustrowany... z amorkami i całą resztą.

– A co to za pismo, którym posługujesz się teraz? Mówiłeś, że jakiś bękart?

– Bastarda. Nazywa się bastarda. – Przeszedłem wzdłuż regału i wyciągnąłem kilka tomów. Znajdowałem się w raju kaligrafa: rustyka, półuncjał, kursywa półuncjalna, nowa kursywa rzymska; coś, co znów wyglądało jak pismo kancelarii raweńskiej... a może merowińskiej; jakieś niesamowite rzeczy, których nigdy nie widziałem; mnóstwo przykładów *Littera Documentaria Pontificalis*; i tak dalej, i tak dalej. – Nie widzę bastardy – odezwałem się po chwili. Ale wypożyczam kilka, więc pokażę ci, gdy wrócisz. Chyba że ojciec Cedric porwie cię i zamknie w jakiejś celi, żeby móc się tobą do woli napawać. Albo, co gorsza, zmusi cię do spowiedzi.

Później, około drugiej, gdy stanęliśmy na końcu zaskakująco

krótkiej kolejki przed Koloseum – a raczej gdy ja stanąłem, a Madeleine poszła po następne butelki wody mineralnej (co zajęło jej dokładnie tyle samo minut, ile trwało dojście przeze mnie do kasy biletowej), zapytałem ją od niechcienia, o czym rozmawiali z Cedrikiem.

– Robi się coraz bardziej gorąco – zauważyła, ignorując moje pytanie, gdy ja płaciłem za bilety.

– Potem weźmiemy taksówkę, wjedziemy na jedno z tych wzgórz – zaproponowałem – i przez całe popołudnie nie będziemy robili nic.

– A Mojżesz z rogami? – zapytała, poprawiając chustkę na głowie. – Chcę go obejrzeć teraz, gdy stał się tak ważnym przedmiotem rozmów.

– Dobra. Przywitamy się z Mojżeszem. Jest niedaleko stąd. A potem pełen relaks.

Przeszliśmy razem pod imponującym łukiem, wyobrażając sobie, jak zasugerowała Madeleine, że przybyliśmy obejrzeć śmierć bandy chrześcijan. Kilka kroków dalej stanęliśmy na progu areny i powitały nas wznoszące się ze wszystkich stron rzędy z szarego i piaskowego trawertynu, brudne, zniszczone, ale wciąż imponujące, z kawałkiem błękitnego nieba w każdym z górnych łuków. Staliśmy przy barierce na skraju wielkiego owalu i patrzyliśmy w dół na labirynt głębokich i wąskich korytarzy, gdzie pod drewnianą podłogą trzymano zwierzęta i niewolników.

– Rozmawialiśmy o różnych rzeczach – powiedziała Madeleine, zapalając papierosa. – Ojciec Cedric opowiedział mi trochę o tobie i twojej babci.

– On nic o mnie nie wie.

– Wie to, co powiedziała mu twoja babcia.

– Czyli niewiele, jak sądzę.

– Widują się codziennie. I wygląda na to, że razem pracowali... w Oksfordzie. Zdawał tam któregoś lata jakiś egzamin dla bibliotekarzy.

– Naprawdę?

– Wie na przykład, że wykonywałeś kiedyś portrety.

– Nigdy nie byłem w tym dobry.

– Cedric ma na ten temat odmienne zdanie. Powiedział, że siedziałeś w bibliotekach, szkicowałeś ołówkiem portrety i wygrałeś nawet jakiś konkurs.

Spojrzałem na nią z ukosa.

– Nic wielkiego. To był taki mały konkurs ogłoszony w lokalnej gazecie, gdy miałem sześć lat.

– A drugą nagrodę dostałeś, gdy studiowałeś w Cambridge: roczne stypendium i...

– Jezus Maria. To znowu nie było nic wielkiego. Madeleine... poważnie... liczba zgłoszeń nie przekroczyła dwudziestu: taki tylko konkursik organizowany przez uniwersytet dla biednych studentów.

– Tak, ale się zgłosiłeś, zgadza się? I wygrałeś? Madeleine odsunęła się od barierki i ruszyliśmy dalej, aż

doszliśmy do trapu biegnącego przez całą długość areny do słynnej bramy śmierci na drugim końcu. Zatrzymaliśmy się jak najbliżej środka i zrobiliśmy obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni, zadzierając głowy.

Gdy staliśmy odwróceny do siebie plecami, powiedziała:

– I opowiedział mi o twojej matce.

– Co o mojej matce?

– Że była aktorką. Że masz kopie jej filmów, ale nigdy ich nie oglądasz. Dlatego nie masz magnetowidu?

– Nie. Nie dlatego. A skąd Cedric, kurwa, miałby wiedzieć, czy oglądam jej filmy?

– Zapowiadała się na wielką gwiazdę, prawda? Przed śmiercią.

– Tak, owszem.

W milczeniu ruszyliśmy w ślad za tysiącem amerykańskich tenisówek wewnątrznymi schodami, które wiodły do galerii, i wyszliśmy na gorące słońce w połowie stromych trybun. Znaleźliśmy pustą kamienną niszę i usiedliśmy,

opierając się o żelazne barierki. Otworzyłem torbę i wyjąłem kanapki, owoc porannego wypadu na zakupy: świeży chleb, pomidory, świeża bazylia i pokrojone oliwki oraz święte *prosciutto di montagna*.

Przez chwilę siedzieliśmy i konsumowaliśmy, próbując sobie wyobrazić, że oglądamy krwawą jatkę. Odległość od naszego miejsca do piaszczystej areny wydawała się dużo większa, patrząc w dół, niż wtedy, gdy patrzyliśmy z dołu do góry.

– Za nieznaną matkę – wzniosła toast. Stuknęliśmy się butelkami wody mineralnej.

– Za nieznaną matkę.

Ulubioną ostatnio restauracją babci była kameralna, rodzinna knajpka z krzaczastymi obrusami na stołach na małej piazza niedaleko Teatro Marcello. W ogromnych donicach po obu stronach wejścia przycupnęły bliźniacze krzewy rozmarynu, a każda stołowa noga balansowała na włoskim bruku. Chociaż knajpka znajdowała się niedaleko jej mieszkania i chociaż stawiliśmy się punktualnie, babci ani profesora Williamsa nigdzie nie było widać.

Podaliśmy nazwisko babci kobiecie, która do nas wyszła, a wtedy uśmiechnęła się szeroko, jak gdyby usłyszała zabawny dowcip i nie bardzo go zrozumiała. Oświadczyła, że pani Jackson zawsze wybiera stolik w rogu, najbliżej fontanny.

Usiedliśmy, a ona przyniosła pieczywo, oliwki i talerz marynowanych papryczek chili. Madeleine przystawiła się do nich, jak gdyby nigdy nie jadła nic pyszniejszego, ja natomiast wziąłem do rąk spisana ręcznie listę win i próbowałem sobie przypomnieć, jakie wino babcia lubi najbardziej.

– Myślisz, że istnieje tak wiele gatunków oliwek jak winogron? – zapytała.

– Bez wątplenia.

Wzięła następną papryczkę i praktycznie ją połknęła.

– Nie nachodzi cię czasem ochota, żeby tu przyjechać na stałe?

– Cały czas.

– Ile lat ma twoja babcia?

– Siedemdziesiąt osiem. Śmiało, weź ostatnią... przyniosą nam jeszcze.

Odkąd wyszliśmy z mieszkania, Madeleine była wyjątkowo rozgadana, zwracała uwagę na nazwy ulic, paplała o czymś, co nazywała „moją muzyką i twoją muzyką”, i wciągała mnie do sklepów, żeby obejrzeć buty i ubrania, których nigdy by nie kupiła. Może to moja wyobraźnia, ale wyczuwałem, że Madeleine jest zdenerwowana. Może ja też byłem niespokojny.

– Napijmy się białego wina, póki ich nie ma – zaproponowałem. – Mam ochotę na coś naprawdę lekkiego i...

– Halo, jesteście! – Ze stopni fontanny pozdrowił nas cienki głos. – Przepraszamy za spóźnienie. Witajcie. Och, cudownie... cudownie, najlepszy stolik. – Babcia szybkim krokiem przemierzała plac. Oprócz dość eleganckich ciemnografitowych kaszmirowych spodni miała na nogach nowiuteńkie, olśniewająco białe adidas, a na głowie coś, co wyglądało na wełniany kapelusik w stylu lat dwudziestych. – Przepraszamy. Przed moim domem doszło do potwornego incydentu: dwóch mężczyzn pokłóciło się o miejsce parkingowe i cała okolica zebrała się, żeby popatrzeć. Nie mogliśmy się precyzyjnie przecisnąć. Cholerna *bella figura*, ot co.

Wstałem, żeby ją uściskać. Wydawała się leciutka i drobna, ale niezniszczalna. Jej oczy rozświeciła i ożywiła nie skrywana radość. Uderzyło mnie wtedy, że nigdy dotąd, gdy ze mną rozmawiała, nie używała pierwszej osoby liczby mnogiej, mimo iż pocziwy profesor Williams był jej „dzielnym kompanem” od co najmniej dwudziestu pięciu lat.

Sam profesor Williams dołączył do nas i stanął przy niej, cały rozpromieniony, czekając cierpliwie, aż oderwiemy się od siebie.

– Cześć, Jasper – rzekł, ściskając serdecznie moją dłoń – nie widzieliśmy się już jakieś dwa lata... Grace mówi, że pisana ci jest kariera.

Roześmiałem się. Kiepski żart nawiązujący do kaligrafii. Ale życzliwość profesora była zniewalająca. Madeleine też wstała. Odwróciłem się. – Babciu, profesorze, to jest Madeleine...

– Madeleine, cudownie, że w końcu mogę cię poznać. Babcia pochyliła się i pocałowała ją trzy razy, na włoską modłę. – Jasper niestety ukrywał cię przed nami, ale cieszę się, że teraz postanowił się tobą z nami podzielić... choć tylko na ten wieczór. Starzy ludzie lubią sobie czasem przypomnieć, że kiedyś też wyglądali tak wspaniale.

Madeleine nawet się zarumieniła.

– Mnie też bardzo miło państwa poznać... Jasper wiele mi o państwie opowiadał.

Bez przesady. Ani jej, ani im nie mówiłem zbyt wiele. Ale zauważyłem, że to moja babcia, a nie Madeleine znalazła sposób, by prawdę... o moim milczeniu... wyrazić w dyskretny sposób.

Profesor Williams wyciągnął dłoń.

– Proszę mówić do mnie Fergus – powiedział. Kolejny szok. Odkąd znam profesora, ani razu nie słyszałem, by przedstawił się samym imieniem.

Pośród dalszych pogaduszek i uprzejmości, przepelnieni tłumionym entuzjazmem i dobrym samopoczuciem, które towarzyszą od dawna wyczekiwanyemu spotkaniu i perspektywie posiłku na świeżym powietrzu, zasiedliśmy przy stole i babcia zamówiła pierwszą butelkę wina.

– Jesteście zadowoleni z pobytu? Mam nadzieję, że Jasper sprawdza się jako przewodnik? – babcia zwróciła się do Madeleine, zdejmując kapelusz; obcięła krótko włosy i wyglądała młodziej, a raczej jak kobieta w nieokreślonym wieku (jak te wszystkie wyższe rangą boginie ze starych hollywoodzkich filmów o Olimpie).

– Ależ tak. Zabiera mnie wszędzie. Dzisiaj byliśmy w Watykanie, w Koloseum, oglądaliśmy rzeźbę Mojżesza, nie pamiętam, jak się nazywał ten kościół. I ojciec Cedric był wspaniały. – Madeleine odzyskiwała pewność siebie. – Mam wrażenie, że nie podziękowałam mu tak, jak na to zasłużył. Ma tak ogromną wiedzę i tyle entuzjazmu. Oprócz tego, że ze znanstwem, jakiego już się nie spotyka, opisał mi wszystkie obrazy, podał mi pełną listę cnót podstawowych i powiedział, którzy angielscy

królowie potajemnie przeszli na katolicyzm. Miałam nadzieję, że zabierze mnie do papieża, ale on podobno już właściwie nie żyje.

– Madeleine wydusiła z niego wszystko, co się tylko dało – skomentowałam nieco niezadowolonym tonem.

– Wcale nie – zaprzeczyła Madeleine. – Opowiedział mi o konkursach, w których brałeś udział, bo akurat oglądaliśmy dużo obrazów. To prawda, że w pewnym momencie dokonaliśmy paru porównań, ale ostatecznie zdecydowaliśmy, że Caravaggio był bardziej interesujący.

Babcia zachichotała.

– Jak wam się podoba mieszkanie?

– Jest idealne – powiedziałem.

– Absolutnie – dodała Madeleine. – Zaczynam żałować, że nie zatrzymamy się tu na dłużej. Myślę, że nie pozostaje mi nic innego, jak tu kiedyś wrócić.

– Koniecznie. – Babcia się uśmiechnęła.

– Aha. Jest wino – rzekł profesor Williams, przyglądając się każdemu kieliszкови, który wędrował z tacy na stół.

Kobieta, która nas powitała, nalała trochę wina babci, namawiając ją w ten sposób do degustacji, ale babcia machnęła tylko ręką na znak, żeby od razu rozlać trunek.

Minęło kilka chwil, w czasie których zaprzyjaźnialiśmy się z orwieto. Milczenie przerwał profesor Williams:

– Grace wspominała, że dużo pani podróżuje, Madeleine.

– Owszem... głównie w celach służbowych. Właśnie wróciłam z Ameryki.

– O! Jak tam Nowy Jork?

– Atmosfera jest przedziwna... zupełnie inna. Miasto jest bardziej zorganizowane. Bycie nowojorczykiem jest teraz czymś bardziej świadomym, dużo bardziej uzewnętrznianym. – Madeleine mówiła szybko. – Ale tym razem poleciałam tam właściwie tylko po to, żeby się przesiąść z jednego samolotu do drugiego. Więc tak naprawdę nie

miałam czasu, żeby się pokręcić... Potem poleciałam prosto na południe do Sacramento. I wierzcie mi, niewiele się tam dzieje. Prócz festiwalu raków.

– Tak – przyznał profesor Williams tonem osoby znużonej podróżami po świecie. – Byłem kiedyś w Sacramento. Z wykładem. Rzeczywiście niezbyt fascynujące miejsce. Gdzie się odbywa festiwal?

– Ach, w małym miasteczku jakieś sto kilometrów na północ. A przedtem byłam w Ammanie w Jordanii, żeby zebrać trochę materiałów do książki.

– Pisz pani książkę? – wtrąciła się babcia.

Jak zawsze autentyczna skromność ze strony Madeleine, gdy porusza ten temat:

– Trudno to nazwać książką... to raczej literacki przewodnik turystyczny. Mam przynajmniej taką nadzieję.

Madeleine pożerała wzrokiem drugi talerz z papryczkami chili, który właśnie się pojawił.

– W każdym razie będzie mieć dużą promocję – dodałem. – Wydawcy zależy na sukcesie. Wysoko sobie siebie cenią.

Madeleine zacisnęła kciuki.

– Gdzie się toczy akcja... nie wiem, czy się dobrze wyraziłam. – Babcia zmarszczyła brwi, jak gdyby miała dość językowych osobliwości, którym poświęciła całe życie.

– Głównie w Syrii... ale również w Jordanii. To taki przewodnik dla kobiet.

– Dlaczego dla kobiet, jeśli mogę zapytać? – wtrącił profesor Williams.

Za Madeleine odpowiedziała babcia: – Bo dla mężczyzn nie warto pisać, Fergus. Wydaje im się, że i tak już wszystko wiedzą. Madeleine uśmiechnęła się szeroko.

– Powodów jest wiele. Przede wszystkim półki księgarń uginają się od zwykłych przewodników, więc żaden wydawca nie kupi jeszcze jednego. Poza tym utarła się opinia, że po tych krajach trudno podróżuje

się kobietom, i to mnie martwi. Chcę je trochę dla nich otworzyć... a przynajmniej powiedzieć: „Hej, nie ma się czego bać, jest tam wszystko, czego wam potrzeba, jeśli wiecie, gdzie szukać”. – Sięgnęła po papryczkę. – A poza tym w pisaniu dla kobiet jest coś, co mi się podoba... wydaje mi się, że kobiety są bardziej uważnymi czytelniczkami.

– Daj spokój – zaprotestowałem i pociągnąłem łyk wina – nie możesz tak mówić, przecież mężczyźni są...

– Nie, nie są – przerwała mi Madeleine. – Mężczyźni muszą się bardzo skoncentrować, żeby wyczuć to, co się chce przekazać między wierszami... kobiety łatwiej to wychwytyją. Naprawdę. Do kobiet to po prostu trafia. – Odwróciła się i uśmiechnęła do mnie. – Zresztą, co ty możesz o tym wiedzieć? Czytasz tylko rzeczy napisane przed wiekami przez mężczyzn i sam powiedziałeś, że nie znasz się na książkach podróżniczych. Nawet cię nie interesują podróże, w każdym razie nie zamierzasz wyściubić nosa poza Europę. Portugalia to już dla ciebie wielka wyprawa.

Babcia i profesor Williams parsknęli śmiechem. Podniosłem rękę.

– Nic nie wiem. To prawda – powiedziałem. Zostałem poniżony.

– Nie szkodzi – rzekła babcia z udawanym współczuciem. – Masz mnóstwo czasu, żeby nadrobić zaległości.

Rozmowa toczyła się dalej gładko przy szumie fontanny, a ja słuchałem i obserwowałem, lecz w oczach wszystkich dostrzegałem wyłącznie dobry humor i zadowolenie. I chociaż nie twierdzę wcale, że przejrzałem umysł mojej babki – a tym bardziej Madeleine – wyglądało na to, że przypadły sobie do gustu. (Musiałem być głupcem, pomyślałem, jeśli wyobrażałem sobie, że stanie się inaczej.) Za namową Madeleine babcia złożyła zamówienie dla wszystkich i gdy na koniec raczyliśmy się cudownym ziołowym szaleństwem likieru averne, zbliżała się północ.

Już gdy wychodziliśmy, babcia zapytała:

– A co słyhać u twojego przyjaciela Williama?

– O Boże, zapomniałem ci powiedzieć: zeni się. Przeszliśmy za róg pod dom babci przy via Gustiniani,

słabo oświetlonej ulicy, która musiała wyglądać mniej więcej tak samo od czterystu lat. Tworzymy zżyta paczkę, pomyślałem, gdy zatrzymaliśmy się przed ogromną bramą na ciężkich żelaznych zawiasach z rzędami metalowych ćwieków w drewnie. Babcia wyjęła klucz, który był komicznie wielki (jak gdyby pasował do jakiegoś średniowiecznego skarbcza), i wsunęła go do zamka.

– To nie takie proste – powiedziała cicho. – Trzeba wysunąć klucz o dwa milimetry, a potem przesunąć nim w lewo.

Przez chwilę mocowała się z zamkiem. Mniejsze drzwi, wycięte w bramie, otworzyły się gładko i weszliśmy po kolei do środka. Powietrze pachniało tam inaczej – starszymi kamieniami i cyprysem z dziedzińca. Pokonaliśmy krótki odcinek po omacku, zanim babcia zapaliła światło, i zaczęliśmy wspinać się po pojękujących drewnianych schodach, które wiodły na górę.

– Obawiam się, że zawsze mieszkaliśmy z Jasperem na ostatnich piętrach – babcia poinformowała Madeleine, gdy zatrzymaliśmy się na jednym z podestów, żeby złapać oddech. – Nie mam pojęcia, dlaczego tak się działo. To prawdziwa zmora. Zwłaszcza w moim wieku. Ale przynajmniej dzięki temu odwiedzają mnie tylko ci, którzy naprawdę mnie lubią. Zgadza się, Fergus?

Zgasło światło i usłyszałem, jak profesor William wcisnął włącznik gdzieś za mną.

– Zgadza się – odparł zadyszany. – Bezapelacyjnie. Jak na rzymskie warunki mieszkanie babci można by

uznać za luksusowo duże. Mimo to wszędzie wdzierały się sterty książek i manuskryptów – opanowały wielki stół (przy którym nie jedzono ani razu), wszystkie półki (zapełnione i zastawione z bibliotekarską bezwzględnością), piętrzyły się pod jej ulubioną mapą (Europa Anno Domini 1492), wały się tu i tam w obwiązanych sznurkiem pakunkach wokół skórzanego fotela, zalewały pokój powoli,

acz nieuchronnie – mimo iż oddzielna pracownia i sypialnia były podobnie zdominowane przez tomy książek. Ale nie tylko one zajmowały przestrzeń.

– Co tu robią te posągi? – zapytałem.

– I jak je pani tutaj wtaszczyła? – dodała Madeleine. Profesor Williams odchrząknął wymownie.

Pod ścianą tuż za drzwiami stała kolekcja pięciu posągów z białego kamienia sięgających nam do ramion. Pyszniły się ustawione na stronach wyrwanych z „II Stampa”. Wokół nich, też na gazetach, leżało kilka dodatkowych fragmentów: ramię, głowa, udo, ucho.

– Ach... ktoś oddał mi je na przechowanie – wyjaśniła babcia, włączając kilka lampek. – Bez obaw, to żaden antyk ani nic takiego, i przysięgam, że ich nie ukradłam... powstały dopiero pod koniec szesnastego wieku... nie są zbyt wiele warte. Zrobię kawę, a potem...

– Madeleine – wtrącił się profesor Williams – idę na balkon zapalić fajkę. Przyłączy się pani do mnie? Grace niestety nie pozwala palić w mieszkaniu. Podobno szkodzi to manuskryptom. Ale na balkonie możemy robić, co się nam żywnie podoba. Napalimy się na następną godzinę i pokażę pani widoki.

– Wspaniale – ucieszyła się szczerze Madeleine. Otworzyli drzwi na balkon na drugim końcu pokoju i gdy

wychodzili, miasto na chwilę podniosło głos. Potem znowu zrobiło się cicho.

Ruszyłem za babcią do kuchni, gdzie przyglądałem się, jak przeszukuje szafkę, w której trzyma kawę.

– Chcesz, żebym ja to zrobił? – zapytałem.

– Nie... nie. Oczywiście, że nie. Jak myślisz? KiboChagga czy San Agustin? Co wybrałaby Madeleine?

– Cokolwiek jej podasz, będzie jej smakowało.

– Zdaję sobie z tego sprawę, Jasper. Zastanawiam się tylko, która byłaby... no wiesz... optymalna.

– KiboChagga.

– OK. – Babcia wyjęła paczkę, zdjęła z niej spinacz i zaczęła wsypywać ziarna do młynka. – Niech będzie KiboChagga.

Kuchnię wypełnił przenikliwy terkot. Babcia potrząsnęła młynkiem i znów go włączyła. Odwróciła się do mnie, podtykając sobie kawę pod nos.

– Tylko mnie nie pytaj, Jasper, co o niej sędzę, bo to nie byłoby w porządku.

– Co o niej sądzisz? Uśmiechnęła się. – Nic.

– Przeciwnie, zawsze masz jakąś opinię.

– Nie bądź niemądry i niepoważny.

– Przepraszam. Tak czy inaczej: co o niej sądzisz? Sięgnęła po filiżanki do espresso i wzruszyła ramionami.

– Co mam ci powiedzieć? Od dziesięciu lat milczysz jak grób na temat swoich związków... starasz się, żeby twoje

życie prywatne pozostało prywatne, za co jestem ci wdzięczna, a potem nagle zjawiasz się... z kimś. Widać, że ci na niej zależy. Więcej. Bardzo ci na niej zależy. – Włączyła ekspres do kawy. – Ja na pewno nie będę kwestionować twoich wyborów. Mam zaufanie do twoich sądów, bo wiem... wiem, że są przemyślane.

– Daj spokój, babciu, przestań mówić zagadkami. Co to niby ma znaczyć?

– Dokładnie to, co powiedziałam. – Postawiła filiżanki na ekspresie Brasilia, żeby je podgrzać. – Naprawdę, Jasper, to ty daj spokój. Przecież znam Madeleine zaledwie od pięciu godzin. – Sprawdziła, czy działa dysza do spieniania mleka. – Mam zrobić piankę?

– Niekoniecznie.

– To dobrze.

– Nie oczekiwałem od ciebie, babciu, jakichś głębokich wynurzeń. Po prostu: czyją lubisz?

– Aja ci odpowiadam, Jasper, że moje zdanie nie ma tu nic do rzeczy. Niedługo umrę...

– Babciu!

– Niedługo umrę, a ty będziesz nadal żył z konsekwencjami swojej decyzji. Najważniejsze jest więc to, co ty o niej sądzisz. A wygląda na to – zamontowała metalową rączkę i wcisnęła magiczny guzik, który przepuścił parę przez zmieloną kawę – wygląda na to, że już podjąłeś decyzję. Widzę to po tym, jak się przy niej zachowujesz. I cieszę się z tego powodu.

Potrafiła mnie przejrzeć z taką łatwością, że poczułem, iż muszę jej zaprzeczyć.

– Na nic się jeszcze nie zdecydowałem.

Spojrzała mi prosto w oczy, nim wróciła do swoich czynności.

– Oj, zdecydowałeś się, zdecydowałeś. Inaczej nie stałbyś tutaj i nie pytał mnie, co o niej sądzę. Pytasz mnie o zdanie tylko wtedy, kiedy sam już je sobie wyrobisz. Więc nie kłam... a jeśli musisz, rób to trochę lepiej.

– Zakazuję ci mówić, że niedługo umrzesz. To...

– Prawda. To prawda. – Uśmiechnęła się bez typowej dla niej figlarności, za to czule. – Jasper, musisz przestać być

takim romantykiem. Posłuchaj mnie. – Odwróciła się, żeby stanąć bezpośrednio przede mną. – Oczywiście, że ją bardzo lubię. Tak, tak... lubię. Uważam, że jest inteligentna i nigdy nie będziesz się przy niej nudził. Myślę, że pociąga cię fizycznie, co jest ważne. Uważam, że potrafi cię okiełznać, a tyją. Sądzę, że... z braku lepszego słowa... znalazłeś kogoś równego sobie. W moim wieku instynktownie wyczuwa się, jaki ktoś jest naprawdę... bo wszystko już się widziało. I rzeczywiście, Madeleine dorównuje ci pod wieloma względami.

– Ale co?

Westchnęła.

– Nic się przed tobą nie ukryje, prawda? – Ale co?

– Ale myślę, że możesz nie być zbyt... zbyt zadowolony.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Babciu, nie możesz powiedzieć czegoś takiego i po prostu...

– Jasper, nie gniewaj się, ja...

– Nie gniewam się, tylko... chcę wiedzieć, jakie jest twoje zdanie, ponieważ... ponieważ jest to dla mnie ważne. Chcę... no wiesz... ja...

– Dobrze, już dobrze. O jejku, jejku. – Filiżanki zostały napełnione, ale nie ruszała ich. – Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć – pokręciła głową – to wydaje mi się, że Madeleine jest w głębi duszy nieszczęśliwa i traktuje ciebie jako panaceum na swoje problemy, do czego, tak przy okazji, nigdy się nie przyzna. Prawdopodobnie zawinili rodzice. Prawdopodobnie dużo wycierpiała. Nie wiem. Jest wciąż młoda, a w większości przypadków rodzice upośledzają pierwsze czterdzieści lat życia, cokolwiek by się robiło. A tymczasem Madeleine może zacząć się nad tobą znęcać... żeby zrobić sobie przerwę w znęcaniu się nad sobą. Dlatego musisz zadać sobie jedno pytanie: czy będziesz umiał sobie z tym poradzić. A jeśli tak, jak długo? Przez rok? Dziesięć lat? Do końca życia? Bo wygląda na to, że musisz być bardzo silny i gotowy na wiele... zawirowań. – Babcia wciągnęła głęboko powietrze. – Podejrzewam, że emocjonalnie Madeleine nigdy nie zdejmuje maski... zgadza się? Nigdy nie mówi, że cię lubi, czy nawet, że

jest tobą zainteresowana; często sam musisz odgadywać, co czuje? – Pokiwałem wolno głową. Babcia kontynuowała: – Co może być dość trudne, zwłaszcza dla mężczyzn. Jestem pewna, że przeżyjecie wspólnie cudowne chwile... jak wszyscy... ale przeważnie będzie trzymała cię na dystans. Musisz być przygotowany na to, że przez całe lata będzie sprawiać wrażenie, jak gdyby jej na tobie nie zależało.

Pozwoliła, żeby jej słowa miały kilka chwil dla siebie, a potem oczy rozblęły jej łagodnym sarkazmem.

– Z drugiej strony może być odpowiedzią na to wszystko, czego sam... powiedzmy... szukałeś. Kimś, kto oderwie twoje myśli od ciebie samego, raz na zawsze. Prawdopodobnie potrzebujesz tego. I wiesz... nie tylko najgorsze, ale i najlepsze małżeństwa... związki, pary, jak je zwał, tak je zwał... buduje się na fundamencie wzajemnych potrzeb i zależności. Niektóre zamieniają się w piekło. Inne w raj. Ale z nią, możesz być pewien: to nigdy nie będzie taki sobie zwyczajny związek.

– Podniosła palec, żebym jej nie przerywał. – Tak, wiem, że to byłoby potwornie nudne i wolałbyś umrzeć, niż stać się kimś zwyczajnym, nieciekawym, miernym... moja wina, tak cię wychowałam... ale teraz myślę trochę inaczej. Myślę, że spokój, zadowolenie, spełnienie mają wiele zalet... w powszedniości jest pewien nieodparty urok, którego nie docenia się należycie. Można chociażby wiele osiągnąć. Pójść do przodu w innych sferach życia. Pomyśl o tym. No, wracają już. Nic więcej nie powiem. Jeśli chcesz coś jeszcze usłyszeć, musisz tu znowu przylecieć. Od tej pory nie pisnę ani słówka.

– Dziękuję – rzekłem i objąłem ją ramieniem. – Wezmę kawę.

– Nie, lepiej nie. Ostygła. Zaparzę świeżą – odparła. – I nie myśl, że zapomniałam: jutro chcę obejrzeć twoje prace.

Później wpadliśmy do nocnego klubu... gdzie siedzieliśmy do czwartej lub jeszcze dłużej... gdzieś w Testachio. W drodze powrotnej trochę się zgubiłem i do Trastevere dotarliśmy przez plac S. Cosimato. Już ustawiano stragany – kobieta wyładowywała z furgonetki figi, a kwiaciarz układał lilie. Przyjemnie zmęczeni, minęliśmy ich, idąc ramię w ramię. Na piazza S. Maria zaczął kropić deszcz.

CZĘŚĆ PIĄTA

24. Pożegnanie z miłością

Jest w miłości, Choć dowodów nie mam, coś z boskości,

Czoło więc przed nią chyliłem, Jak ateista, co moc nieznaną z imienia Przyzywa, wydając ostatnie tchnienia,

Takoż i ja się modliłem;

Sposób, w jaki to zrobiła, nie był nawet okrutny. Skrytobójca podczas rutynowej wieczornej akcji w kazbie: szelest lekkiej peleryny, dyskretny błysk cienkiego sztyletu, pierwsze nacięcie, zakrycie ust dłonią, szybki ruch w lewo, cięcie w prawo, lekki wysięk przy ostatnim pchnięciu, które przechodzi między żebrami i dotyka serca; ofiara osuwa się, ale zabójca już znika w tłumie, rozplątywa się w zmierzchu.

Musiła się u mnie zjawić około siódmej. Z pewnością przyszła

trochę za wcześnie, bo gdy rozległ się brzęczyk domofonu, wciąż brałem kąpiel (przy otwartych drzwiach do sypialni, żeby móc słuchać suitę Ddur Bacha). Nie mając do niej pretensji, wstałem, pośpiesznie się wytarłem i ruszyłem do holu. Na dole trzasnął gładko zamek. Zszedłem, żeby poczekać na nią przy drzwiach.

Był ostatni piątek września. Tydzień po powrocie z Rzymu. Wybieraliśmy się na pokaz sztucznych ogni. Iść nie trzeba było daleko: wystarczyło zejść do ogrodu, gdzie nasza wspólnota mieszkaniowa organizowała ognisko. (Ta coroczna zabawa odbywa się w ostatnim tygodniu września. Na przysłanych nam zaproszeniach wyjaśniono, dlaczego akurat wtedy. Chodzi mianowicie o „rozłożenie zagrożenia

pożarowego tradycyjnie związanego z obchodami rocznicy spisku prochowego 5 listopada na cały rok, aby dzięki temu działania straży pożarnej były mniej kosztowne i bardziej przystosowane do indywidualnych potrzeb”). I owszem, wiem, wiem, wiem: perspektywa zabawy z sąsiadami, fajerwerków, ognisk, zimnych ogni, trzymania się za ręce pod romantyczną girlandą z gwiazd powinna była przyprawić mnie o ostre odruchy wymiotne. Ale diabeł miłości to perfidna kanalia i jego ostatni walc jest zawsze najbardziej kiczowaty.

Otworzyłem drzwi owinięty ręcznikiem. Madeleine uśmiechnęła się, a ja pocałowałem ją. Zauważyłem, że jest ubrana skromniej niż zwykle – w ciemne spodnie, czarne lekkie sportowe buty, golf z merynosowej wełny i skórzaną kurtkę, której jeszcze nie widziałem. Pogoda tradycyjnie już popadła w szaleństwo i mieliśmy nadzwyczaj chłodny dzień. Pamiętam, że przyszła mi wtedy do głowy przyjemna myśl: oto czekała mnie cała zima ściągania z Madeleine coraz liczniejszych warstw ubrań.

– Przepraszam – rzuciłem, cofając się, żeby ją przepuścić – ale jeszcze się kąpię. To nie potrwa długo. Na stole stoi otwarte wino. – Zatrzasnąłem drzwi i ruszyłem za nią po schodach.

– W porządku, nie ma wielkiego pośpiechu – rzuciła przez ramię. – Dopiero rozpalają ognisko. Widziałam przez okno, jak nieśli puszki z

naftą.

– A to znaczy, że niedługo zacznie się wyzerka i cała reszta. Lecę do łazienki. – Ociągałem się jednak, obserwując ją z progu mojej sypialni, na nowo wprawiony w osłupienie obojętnością piękna wobec samego siebie.

Madeleine wyjęła z szafki kieliszek i oznajmiła:

– Sprzątanie było wcześniej i do piątej wszystko zostało zrobione. Uznałam, że mogę od razu do ciebie przyjść.

– Masz kogoś do sprzątanania?

– Wynajęłam kogoś na jeden raz. Miłego chłopaka z nowej korporacji studenckiej. Sprawił się doskonale.

Podeszła do mnie i położyła dłoń na moim torsie, rozczapierzając palce tak, że poczułem jej paznokcie. Ale pocałowała mnie delikatnie.

– Chyba włożę dzisiaj mój szmaragdowy sarong, co o tym sądzisz? – zapytałem.

– Nie. Zupełnie nie pasuje. Zamyśliłem się.

– Lepiej coś fioletowego?

– Albo czarnego. – Zostawiła mnie i wyruszyła na poszukiwanie butelki.

Odwróciłem się, ale w chwili, gdy znalazłem się z powrotem w łazience, zadzwonił telefon. Odebrała Madeleine. Wsunęła głowę do łazienki.

– To Roy junior.

Skrzywiłem się. Roy dzwonił tylko wtedy, gdy do odebrania było jakieś zamówienie, aleja niczego nie zamawiałem.

– Czego chce? Wzruszyła ramionami.

– Powiedz mu, że oddzwonię.

Wyciągnąłem zatyczkę z wanny i włączyłem prysznic, żeby było szybciej.

Klawesyn Bacha przechadzał się powolnym, dostojnym krokiem za pogrążonymi w żalu skrzypcami.

Przecisnęliśmy się między ciasno zaparkowanymi – głównie na

chodniku – terenówkami i ruszyliśmy w stronę głównej bramy ogrodu. Między dwiema drewnianymi ławkami utworzono prowizoryczne przejście, w którym uformowała się krótka kolejka. Gdy przeszliśmy na jej początek, wręczyliśmy czerwone zaproszenia starszemu mężczyźnie, który wpuszczał gości. Kiwnął głową i podniósł wzrok. Odwzajemniłem jego uśmiech i od niechcienia położyłem lekko dłoń na talii Madeleine.

Ogród podzielono na trzy części. Większość mieszkańców zebrała się tuż za wejściem, gdzie ustawiono kilka stołów. Częstowano ponczem, ziemniakami, kanapkami z kiełbasą, winem – wszystkim na ciepło – oraz czymś, co podejrzenie przypominało pierniczek.

Dalej paliło się samo ognisko – właściwie dość małe –

a za nim odgrodzono sznurem teren dostępny jedynie dla pracownicy i odpowiedzialnej garstki, która krzątała się w pastelowych polarach, przygotowując pokaz fajerwerków. Zebrał się całkiem spory tłumek, w sumie może sto pięćdziesiąt osób. Małe dzieci siedziały ojcom na ramionach wokół ogniska lub nie odstępowały swych atrakcyjnych matek, trzymając w rączkach rozmiękłe kawałki ciasta. Starsze dzieci biegały we wszystkie strony, co groziło tym, że poprzewracają stoły, staranują starszków lub potkną się o za długie sznurowadła i wpadną na łeb, na szyję w płomienie. I jak zwykle nikt nie potrafił określić wieku nastolatków, toteż przy stole z grzanym winem stosowano dość arbitralny system klasyfikacji – dwaj ponad pięćdziesięcioletni ojcowie rodzin o kanciastych szczękach rozdawali plastikowe kubeczki przy akompaniamencie mniej lub bardziej krępujących uwag i przygan: „Przystopuj, synku, to już twoja trzecia porcja”; albo: „O, kogo tu znowu widzimy, Jonathan? Wiesz, że to wpływa na sprawność seksualną?”; albo: „Dobra, Louise, masz, tylko nie mów matce”; albo: „Jeszcze przez parę lat, Stacey, będziesz się musiał zadowolić owocowym ponczem, na alkohol masz sporo czasu”.

Zrobiło się już zupełnie ciemno i dźwigi budów z basenu Paddington rysowały się na tle nieba niczym straszni władcy z komiksu science fiction. Co kilka minut słychać było kolejny pociąg odjeżdżający z

jękiem ze stacji.

Przez pierwszą godzinę krążyliśmy wśród gości, degustowaliśmy potrawy i wymienialiśmy uprzejmości. Madeleine wypła swoje grzane wino, moje, znowu moje i trochę swojego (nie tknąłbym tego obrzydlistwa), a ja zjadłem nieciekawego ziemniaka w mundurku i kawałek piernika.

Chwilę później staliśmy wokół ogniska, prowadząc zdawkową rozmowę ze smętną parą po trzydziestce. (Nie tak znowu świeżo po ślubie: na zawsze razem, lecz dyskretnie opłakujący rozstanie ze swoją atrakcyjnością seksualną.)

I gdy rozeszła się wiadomość, że zaraz zacznie się pokaz, skorzystaliśmy z zamieszania i zostawiliśmy ich, dołączając do tych, którzy przepychali się, żeby zająć najlepsze miejsca.

Rozległy się syki, puknięcia, wycia i terkoczące eksplozje, które tak bardzo przypominają znane z telewizyjnych wiadomości serie z broni maszynowej. Ciemne jak atrament niebo rozświetliła kaskada światła – najpierw lśniący błękit, później karmin, następnie potasowe srebro, magnezowa biel, ciemny fiolet, zieleń, kadmowa żółć... Wszyscy szeptali, wydawali stłumione okrzyki i wskazywali niebo, częściowo z myślą o dzieciach, ale częściowo dlatego, że – choć nie chcieli się do tego przyznać – wciąż odczuwali podziw dla czegoś, co dawniej byłoby uznane za czary. (Gwałtowny wdech na widok błyszczącej różdżki czarodzieja, przyspieszone bicie serca, gdy zaskwierczało i błysnęło w kociołku wiedźm po wrzuceniu doń zębów jaszczurki, gołębiego żołądka...) Staliśmy obok siebie w niewielkiej grupie z zadartymi głowami i szeroko otwartymi oczami i buziami – w postawie, w jakiej cała ludzkość zawsze ogląda pokazy sztucznych ogni, niezależnie od wieku, płci, wyznania lub sytuacji materialnej.

W jakim byłem nastroju? Prócz zjedzonego ziemniaka i kolorów nie pamiętam zbyt wiele z pierwszej części wieczoru. Raz jeden chyba nie wybiegałem myślami w przyszłość ani w przeszłość, ani nawet na boki; żyłem chwilą, radowałem się nią. Bez wątplenia cieszyła mnie

perspektywa wspólnej nocy. Ale nawet w tej sferze nie odczuwałem już przymusu robienia tego non stop; byliśmy ze sobą od kilku miesięcy i wskazówka na emocjonalnym barometrze przesunęła się o kilka stopni, przez co morze było mniej wzburzone, spokojniejsze i cichsze. Gdyby zebrało mi się na wspomnienia, powiedziałbym, że byłem... tak, zadowolony. Pamiętam też, że wpadłem na pewien pomysł: żeby zabrać Madeleine do Włoch na Boże Narodzenie... gdy skończę ostatni wiersz.

W jakim ona była nastroju? To jest dopiero pytanie. W jakim nastroju była Madeleine Belmont? Mogę opisać, jakie sprawiała wrażenie: odprężonej, rozluźnionej, wyciszonej, spokojnej. A nawet serdecznej – posunąłbym się tak daleko. I przysięgam, że ścisnęła moją dłoń, zanim mnie zapytała, czy pójdziemy do niej.

Przez liliowobiałe zasłony wiszące w nowych drzwiach na patio lampa rzucała grobową poświatę. Wciągnąłem w płuca zadymione wieczorne powietrze. Madeleine wyjęła klucze i otwierała zamki jeden po drugim: klik, klik, klik.

Pomyślałem, że od początku planowała powrót do jej mieszkania, żebyśmy mogli po raz pierwszy się w nim przespać – byłby to jakiegoś rodzaju sakramentalny akt. Choć wciąż pozbawiony książek i wszelkich prawdziwych oznak jej osobowości, salon najwyraźniej był skończony. Tam, gdzie przedtem wisały tylko poskręcane i poobcinane kable, teraz widniały mosiężne gniazdka i ściemniacze, a ściany, wcześniej tylko otynkowane i pełne dziur, teraz były pomalowane na kremowo i odcinały się od ciemnego, zabejcowanego drewna oszlifowanej i wyfroterowanej podłogi, która, gdy zdjąłem buty, wydawała się gładka i śliska pod skarpetami. Niedaleko stołu wisiał rysunek niegdysiejszej nowojorskiej panoramy.

– Siadaj, Jasper – powiedziała, wskazując ustawiony naprzeciw okien, bezwstydnie nowy, obity perkalem futon. Wykonałem polecenie, biorąc jej poważny ton za element jakiejś gry. Przeszła do wnęki kuchennej.

– Gdzie go kupiłaś?

– W internecie. Chcesz się czegoś napić?

– A ty co pijesz?

– Wodę.

– OK, może być. – Rozsiadłem się. – Wiesz co? Jak na futon jest naprawdę całkiem wygodny. Nigdy nie potrafię ich rozłożyć.

Nie odpowiedziała. Wciąż wydawało mi się, że szykuje jakąś małą niespodziankę – nowe ubranie, prezent, nowe łóżko. Spojrzałem na nią: stała odwrócona do mnie plecami, wydłubując kostki lodu. Kuchenkowy zegar pokazywał 22.35.

Wróciła z dwiema szklankami wody i postawiła je, nie patrząc na mnie.

– Dzięki – rzuciłem. – Mieszkanie wygląda niesamowicie. Różnica jest niewiarygodna.

– Po prostu dawno cię tu nie było. – Zostawiła wodę i przeszła w stronę przedpokoju. – Remont skończony.

Usłyszałem dźwięk płynącego z kranu strumienia w łazience. Popijałem wodę. Oprócz lodu dodała plasterek limetki, tak jak lubiłem. Wpadłem na pomysł, że włączę jakąś muzykę, i rozejrzałem się za jej przenośnym odtwarzaczem płyt kompaktowych. Nigdzie go nie widziałem.

Gdy wróciła po paru minutach, byłem lekko zaskoczony, że się nie przebrała. Zarzuciła kurtkę na oparcie jednego z krzeseł przy stole i przestawiła drugie, żeby usiąść naprzeciw mnie. Za jej plecami świeciła lampa. Sięgnęła po popielniczkę ze stołu i postawiła ją na podłodze przed sobą. Miała obojętny wyraz twarzy. Jej skóra natomiast nabrała jakiegoś połysku. Zdałem sobie sprawę, że umyła właśnie twarz.

Przez dłuższy czas nic nie mówiła, patrzyła na mnie tylko z przedziwną beznamiętnością – nieruchome oczy, mocno zaciśnięte usta, język przesuwający się po zębach. Na początkują też siedziałem nieruchomo. Ale po pewnym czasie wyciągnąłem dłoń, żeby dotknąć jej policzka i zapytać, co się stało. Spokojnie chwyciła mnie za nadgarstek i odsunęła moją rękę.

A potem zaczęła mówić wyważonym głosem:

– Jasper, chcę z tobą pomówić o Lucy.

– Lucy?

– Tak. Lucy.

– O jakiej Lucy?

– O tej, z którą byłeś, zanim pojawiłam się ja, Jasper. O tej, która znalazła cię na balu... gdy ja poszłam po rzeczy, żeby cię doprowadzić do porządku. O Lucy Giddings.

– O Lucy, z którą kiedyś chodziłem?

– I której obiecałeś, że się z nią ożenisz.

– Nigdy nie... – I w końcu przejrzałem na oczy.

– Lucy jest moją siostrą – powiedziała cicho Madeleine.

25. Przekleństwo

Jad wszystkich macoch, żółć zawistników, Nienawiść poddanych do despotów, Z węży, żab, ryb, kotów Składników bez liku Furie proroków, żale tragiczków Te wszystkie plagi niech spadną na niego. Lecz gdyby zamiast wywaru diabłego, Kobietę postać – czyż jest co gorszego?

Miałem wrażenie, że głowa mi puchnie, przegrzana i hucząca od kotłujących się w niej strumieni paniki, złości, konsternacji i poczucia winy; piekący wstyd dziecka przyłapanego na jakimś strasznym uczynku.

– Jasper, posłuchaj, spieszę się. Powinam była zostawić nam więcej czasu... – Pochyliła się do przodu, wspierając łokcie na kolanach, lekko zgarbiona, z luźno splecionymi dłońmi.

Odezwałem się cienkim głosem, który zabrzmiał dziwnie nawet w moich uszach.

– Twoją siostrą? Nie rozumiem.

– Ten sam ojciec – wyjaśniła cicho Madeleine. Zapaliła papierosa i wrzuciła zapałkę do popielniczki. – Nic lepszego nie wymyślę, więc powiem ci wprost: Lucy i ja wszystko zaplanowałyśmy, Jasper, nawet to, ile dni będziesz czekał na mnie w „Danilo’s”. Shepherd’s Bush, to

kretyńskie przyjęcie z dwoma idiotami, których podstawiałam... Jezu, co za nudziarze, i nie masz pojęcia, jaka musiałam być nieprzyjemna, żeby się ode mnie odczepili... opalanie się, letnia

sukienka, w które dni tam wychodziłam – machnęła kciukiem, wskazując ogród za sobą – i na jak długo. Wszystko zaplanowałyśmy. Wiedziałyśmy, że zobaczysz mnie ze swojej pracowni. Wiedziałyśmy, że nie będziesz mógł się powstrzymać. Wiedziałyśmy, że połkniesz przynętę. – Na jej twarz wypłynął półuśmiech. – Domyśliłyśmy się nawet, gdzie zabierzesz mnie na kolację. Zaskoczyło nas jedno: że byłeś tak ostrożny, że tak długo trwało... W każdym razie rzecz w tym, że wszystko zaplanowałyśmy... albo prawie wszystko. Incydentu z parasolem nie wymyśliłyśmy. – Wysunęła dolną wargę i wypuściła dym w stronę sufitu, odwracając głowę ode mnie. – Przykro mi, ale zasłużyłeś sobie.

Zawahała się, jak gdyby czekała, aż przemówię, ale jakiś chłód przeszywał mnie do szpiku, byłem sparaliżowany i niemy.

Mówiła więc dalej:

– Kłamałam co do mojego imienia. Nikt ze znajomych nie zwraca się do mnie Madeleine. Wszyscy mówią do mnie Bella. Od drugiego imienia. Odkąd umarła moja matka... więc, oczywiście, to ja mieszkałam z Lucy, kiedy... chodziłeś z nią. Byłam jej współlokatorką. To ja jestem Bella. – Przyglądała mi się bacznie. – Lucy mówi do mnie Bella jak wszyscy inni. Prawdziwego imienia używam do gazet i mojej książki, ale tylko ojciec nazywa mnie Madeleine. A teraz także ty.

Znowu się zawahała.

– Zdajesz sobie sprawę... rozumiesz, że Lucy ciężko się rozchorowała? Przez ciebie. Bezpośrednio na skutek twojego zachowania. – Nagle wezbrał w niej gniew, jak gdyby przerażająca ilość energii, niezbędnej do powstrzymywania przez tak długi czas prawdziwych uczuć, została teraz gwałtownie wyzwolona i spożytkowana na ich wyrażenie. – Skrzywdziłeś ją bardziej, niż to sobie potrafisz wyobrazić. Oczywiście dowiedziała się o Selinie i już ci ją

wybaczyła, gdy wyszła na jaw cała reszta. Boże, myślałeś chyba, że jest jakąś idiotką. A potem, gdy była w dołku, ty piszesz do niej list i chełpisz się tym, jak to się puszczałeś na prawo i lewo.

– Wiem. – Zaschło mi w gardle. – Wiem, że...

– Nie. Nic nie wiesz. – Pochyliła się... blisko... i myślałem, że mnie uderzy albo zgasi mi na twarzy papierosa. – Gdy wróciłam, dzień po przeprowadzce, w której jej pomogłeś, była w strasznym stanie. Nie chciała iść do pracy. Z trudem mówiła. A potem ty ją informujesz, żeby się nie martwiła, bo... aha... tak naprawdę jest dużo gorzej, niż myślała i...

– Żałuję, że...

– Daj mi skończyć. Zaraz po tym, co się stało... na co ją naraziłeś, moja siostra przeżyła załamanie nerwowe. Wszystko przez ciebie. Ty jej to zrobiłeś. Nie była głupia ani zbyt zaborcza, nie zamieniała ci życia w koszmar, nic z tych rzeczy, nie wymagała od ciebie nie wiadomo czego. Może nawet nic by jej nie było, gdybyś po prostu powiedział jej prawdę. Tymczasem ty potraktowałeś ją, jak gdyby była... jak gdyby była nikim. Jak gówno, którego trzeba się pozbyć. Jasper, jej na tobie zależało. Zrobiłaby dla ciebie wszystko. Nikt nie zasługuje na takie traktowanie. Żadna kobieta. Żaden człowiek.

Wyrzuty sumienia były jak krew i połamane zęby w zmasakrowanych ustach.

Oderwała ode mnie wzrok i spojrzała na kuchenkowy zegar.

– Lucy opowiedziała mi o tobie. – W jej głosie znów zagościło opanowanie. – Powiedziała mi bardzo dużo. Była... przypuszczam, że to prawda... była w tobie zakochana. Ale nie głupio, nie ślepo, nie dziecinnie czy jeszcze jakoś inaczej... myślała, że się z nią ożenisz.

– Nigdy o tym nie wspominałem. Madeleine zignorowała mnie.

– Wpadłyśmy na ten pomysł, gdy zaczęła się leczyć. Na początku był to dla niej pewien rodzaj terapii. Nie znałam cię, a już nienawidziłam.

– Nie rozumiem. – Pomimo szoku czułem, jak i we mnie wzbiera

gniew. Miałem pytania. – To znaczy kupiłaś to mieszkanie po to tylko, żeby...

– Nie, oczywiście, że nie. Kupiłam je, bo było tanie jak na

tę okolicę, poza tym to dobra inwestycja. Ale oczywiście wiedziałam o nim od Lucy. O mało sama go nie kupiła. Ja nie mogłam szukać mieszkania, bo byłam w Stanach. Potrzebowałam czegoś szybko i zaufałam jej. Po co miałam ganiać po Londynie, skoro ona już to zrobiła. Zwykle można polegać na opinii siostry. – Jej rzeczowy ton był równie nieprzyjazny jak czysta złość... jad zaczynał działać zaraz po wyjęciu kłów. – No i kiedy już doszło do kupna... po prostu wydawało się nam, że takiej okazji nie można przepuścić. W pewnym sensie miałam wobec Lucy dług wdzięczności, bo ocaliła mnie przed małżeństwem z takim jednym bydlakiem w Buenos Aires, gdy byłam młodsza. Miałam kilka miesięcy na zajęcie się remontem i... no wiesz, chcieliśmy się przekonać, jak daleko możemy się posunąć, chcieliśmy dobrać się do ciebie, sprawić, żebyś cierpiał. Takie zadanie na lato. I chyba spodobał mi się ten pomysł. To prawda... miałyśmy pewne obawy, bo Lucy całkiem sporo ci o mnie powiedziała: że pracuję dla prasy i tak dalej... ale nigdy się nie domyśliłaś. Nawet na balu, kiedy koniecznie chciała cię zobaczyć po tym, jak ten facet rozkwaśił ci nos... to zresztą był błąd. Miałem tego dość.

– Twierdzisz, że to wszystko... – Wstałem. Zacząłem wrzeszczeć, pochylony nad nią: – Twierdzisz, że to wszystko było jakąś grą, którą sobie we dwie urządziłyście? Sypiałaś ze mną dla zemsty?

Przez krótką chwilę widziałem w jej oczach błysk strachu, ale nie ruszała się z miejsca i przeciwstawiła mojej agresji spokój i kąśliwy sarkazm.

– Tak, to była gra, jeśli chcesz wiedzieć. Zemsta brzmi jakoś strasznie teatralnie, Jasper, ale tak... właściwie tak to można nazwać. – Podniosła wzrok i spojrzała na mnie. – Musiałam gdzieś mieszkać podczas remontu, więc gdy zacząłeś się do mnie przystawiać po kolacji, pomyślałam sobie: dobra, w porządku, niech będzie. Zamierzam się

dobrze zabawić.

Trząśłem się. Zapadła cisza.

– Jasper, to miało się skończyć znacznie szybciej... to był tylko taki żart... miał nie trwać tak długo. – Pochyliła się, żeby zgasić papierosa. – Teraz mamy już prawie październik, agent nieruchomości z naszej ulicy wynajmuje moje mieszkanie od przyszłego tygodnia, a ja muszę wyjechać. Zostawiłam tę rozmowę na ostatnią chwilę. – Wstała. – Lecę dzisiaj.

Staliśmy naprzeciw siebie, okrutnie parodiując pozę dwojga ludzi przed pocałunkiem. Jej samokontrola działała mi na nerwy. Chciałem ją uderzyć.

– Gdzie się wybierasz? Nie ustępowała pola.

– Do Nowego Jorku.

– Podróż? Akurat teraz? – W szoku wywołanym jej druzgocącymi rewelacjami nie przyszło mi do głowy, że może mnie czekać jeszcze coś gorszego. – Wybierasz się w kolejną podróż i postanowiłaś powiedzieć mi o tym całym gównie w ciągu dwóch, kurwa, minut?

Mój wybuch złości przyjęła znowu z niewzruszonym spokojem, a w jej głosie pobrzmiwała determinacja.

– Nie chodzi o zwykłą podróż, Jasper. Prawda jest taka... prawda jest taka, że wychodzę za mąż.

Roześmiałem się jej w twarz. – Wychodzisz za mąż?

– Tak. Biorę ślub.

Ale po raz pierwszy od chwili, gdy ją poznałem, jej twarz wyrażała jedynie szczerść. Zadzwoił domofon.

– Cholera. To moja taksówka. – Minęła mnie i przeszła przez pokój, żeby odebrać domofon. – Jest pan trochę za wcześnie, proszę mi dać pięć minut.

Zaczęła wkładać kurtkę.

– Jasper, nie mam czasu, żeby ci to dłużej tłumaczyć. Od dawna jestem zaręczona. Ślub jest w marcu... za kilka miesięcy. Jestem spakowana. Dzisiaj wylatuję. Mieszkanie jest gotowe. Wszystko jest

zrobione. Od poniedziałku ma być wynajmowane. Nie będzie mnie już tutaj. – Wzruszyła ramionami. – Przykro mi. Ale teraz musisz już iść.

Moja złość przerodziła się w paniczny strach. Przestałem myśleć.

– Nigdzie nie idę – wyrwało mi się.

– Jasper, musisz wyjść.

– Zostań. – Nie.

– Zostań. – Nie.

Podszedłem do niej i chwyciłem ją. – Maddy, zostań. Nie wyjeżdżaj. A co z tym wszystkim, co przeżyliśmy, co...

– Nie. Wiem, co sobie myślisz. Ale jesteś w błędzie. Podjęłam już decyzję. Ja... Było fajnie, ale nie zmienię zdania. Nie mogę. Wezmę ślub. – W końcu jej głos zaczął się łamać. – O Boże, może trzeba było od razu pojechać na lotnisko, zamiast próbować... Przykro mi, Jasper.

Trzymałem ją za ramiona. Z jakiegoś odległego miejsca nadpłynęły łzy, i choć mrugałem jak najęty, nic nie mogło ich powstrzymać.

Mówiła teraz łagodnym głosem, patrząc mi prosto w oczy:

– Nie chciałam, żeby to się stało tak... tak nagle. Ale lepiej będzie, jeśli wyjadę. Dla wszystkich. Naprawdę, Jasper, jest mi przykro. Wiesz, że mówię szczerze. Żałuję... żałuję, że byłam taka... nie wiem, jaka. Przepraszam.

Odsunęła się ode mnie i wciągnęła głęboko powietrze, żeby wziąć się w garść.

– Nie powinniśmy się więcej widywać. Mówię serio. Gdy wyjadę, nie próbuj się ze mną kontaktować. Jeśli znajdziesz mój adres lub telefon, nie będę otwierać twoich listów ani do ciebie oddzwaniać. Jeśli prześlesz coś mailem, skasuję to. Jeśli będziesz mnie nachodził albo nękał w jakikolwiek sposób, powiadomię policję. Zrobię to, Jasper. Wiesz, że to zrobię. Proszę cię: nie próbuj mnie szukać. Serio. – Wypowiadała te słowa z naciskiem. – Nie chcę cię już nigdy więcej widzieć, Jasper.

Zabrzączał domofon.

– Ci cholerni taksówkarze. – Madeleine, to jakieś szaleństwo. Ja...

– Tak, wiem – powiedziała do słuchawki domofonu. – Proszę mi dać dwie minuty. Wyjdę o jedenastej.

– To wszystko jest jakieś popieprzone.

– Jasper, muszę wszystko pozamykać.

– Zostań.

– Jasper, proszę cię. – Podeszła i próbowała siłą odwrócić mnie do wyjścia na patio. – Proszę.

– To jeszcze nie koniec.

– Idź już.

– Madeleine. – Idź.

Podniosłem buty i wyszedłem do ogrodu, gdzie dogasające ognisko trzaskało i strzelało.

26. Ogród w Twickenham

W morzu tez skąpany, od wzdychania chory,

Tutaj przybywam i wypatruję

Pierwszych zwiastunów wiosennej pory, Jakże ich balsamu dusza potrzebuje.

Lecz niczym zdrajca, co spisek knuje, Zabieram ze sobą pająka miłości,

Ten nawet mannę zmieni w zazdrości Zótc; I choć to miejsce za raj uchodzić może,

Jam węża tam wpuścił, niczym chwasty w zboże.

Lecz lepiej się stało, że ukrył śnieg biały

Piękność ogrodu, a tchnienia lute

Drzewa zmroziły, więc się nie śmiały, Ze wzgardy zimnością jest serce me skute;

Ale choć hańbą zostało strute, Pozwól kochać dalej, Miłości, niech będę

Tego miejsca częstką, wpuść przybłądę, Zamień mnie w źdźbło trawy lub w kamień milowy,

Bym łyzy ronił gorzkie na tle twej osnowy.

Przyjdźcie kochankowie i zabierzcie dzbanek

Na lez mych strugi, wino miłości,

Potem skosztujcie łez swych wybranek, Zaznacie natenczas smaku
fatszywości;

Taka jest bowiem twarz kobiecości, Nie wiesz, o czym myśli, kiedy
w głos się śmieje,

Ani też wtedy, kiedy Izy leje. Co za pleć przewrotna, wy prawdę
powiecie,

Pod warunkiem że prawdą zabić możecie.

27. Serce złamane

Jakąż fraszką serce bywa

W Miłości rękach, gdy juz w nie wpadnie! Ona cate je porywa,

Zamiast podzielić się nim przykładnie...

Na lekkim wiklinowym stole w korytarzu przy wejściu leżała
niechlujna koperta bez znaczka. Pismo było dziecinne – litery „J” w
moim imieniu i nazwisku wyglądały jak rzeźnicze haki. Przeczytałem
wiadomość.

*Jazz, zadzwoń jutro do mnie do sklepu. Chodzi o twoją panię.
Stary, ona cię robi w bambuko. Dowody na wideo. Pomyślałem, że
powinieneś o tym wiedzieć. Roy.*

Oczy topiły mi się w ciepłe po wejściu do środka. Podarłem tani
papier i wyrzuciłem list do kosza. A potem, nie wiedzieć czemu,
wbiegłem po schodach, pokonując po dwa, trzy stopnie naraz.

Ale gdy włożyłem klucz do zamka, zmroziło mnie. W moim
mieszkaniu był włączony telewizor. Zamknąłem za sobą głośno drzwi.
Odgłosy raptownie umilkły. Znieruchomiałem. Ktoś podchodził do
szczytu moich małych schodów.

– Jasper?

Wszedłem na górę.

William przyglądał mi się bacznie, ale nic nie mówił.

Minąłem go i udałem się prosto do pracowni. Podeszedłem do okna.
Wciąż nie paliło się u niej światło. Mieszkanie Madeleine było
pogrążone w ciemnościach. Stałem i patrzyłem w dół na ciemny ogród.

William przemówił cicho z rozświetlonego progu:

– Właśnie widziałem się z Lucy. Zadzwoniła do mnie. Powiedziała mi o wszystkim. Prosto od niej przyjechałem do ciebie. Otworzyłem sobie zapasowymi kluczami, które mi dałeś...

– Nie mogę w to uwierzyć, Will. Po prostu nie wierzę jej. Nie mogę uwierzyć, że zrobiła coś takiego. Niemożliwe, żeby zostawiła to tak na ostatnią chwilę. Pewnie jest jeszcze w mieście. Nie ma mowy, żeby...

– Jej samolot wystartował pięć minut temu. Jest już w powietrzu. Odleciała.

– Skąd wiesz?

– Od Lucy. – Skrzywił się, ale mówił spokojnym, wyważonym głosem: – Lucy nie była pewna, czy Madei... Lucy nie była pewna, czy Bella w ogóle coś ci powie. To znaczy... Lucy podejrzewała, że Bella ulotni się po prostu, nic ci nie mówiąc, albo wymyśli jakąś bajeczkę i Lucy chciała chyba... Lucy pomyślała chyba, że będzie lepiej, jeśli o wszystkim dowiesz się ode mnie, gdy Belli już nie będzie.

– Która godzina?

– Pierwsza. – Zrobił przerwę. – Gdzieś ty się podziewał?

– Siedziałem tam na ławce. – Odwróciłem się od okna. – Lucy niepotrzebnie się tak martwiła. Ta zołza wyraziła się dostatecznie jasno.

– Tak naprawdę to chyba tym martwiła się Lucy. Że Madeleine ci powie.

– Jezu, Will, ona od kilku miesięcy wszystkich oszukuje. Mnie. Jego. Ciebie. Ja pierdzielę, zupełnie jej odbiło. Ale... wiesz co?... ona chyba rzeczywiście chce to zrobić: ona naprawdę chce wziąć ten ślub. Niepotrzebnie wyszedłem. Trzeba było zostać. Mogłem... mogłem wsiąść z nią do tej pieprzonej taksówki.

– Wiem. – William poruszył się w drzwiach. – To znaczy wiem o tym gościu. Wiem, że ona naprawdę chce za niego wyjść. Lucy wszystko mi powiedziała.

– Co to za jeden? Co to, kurwa, za jeden? Spojrzałem Williamowi prosto w oczy. – Od jak dawna... co mówiła Lucy?

Wyjawiał mi prawdę, nie odwracając wzroku ani nie zmieniając tonu:

– Lucy mówi, że od trzech lat.

– Jezu.

– Poznali się podobno na jakimś służbowym przyjęciu. Lucy nie chciała nic więcej mówić. Powiedziała, że to nieważne. Powiedziała, że to już zależy od jej siostry, co chce ci powiedzieć o swoim amerykańskim życiu. – William ożywił się nagle. – Słuchaj, Jasper, miałem i tak jechać dzisiaj do domu... to znaczy do Norfolk, do rodziców. Mam tam odebrać jakiś samochód. Jedź ze mną. Pobędziesz tam kilka dni, tydzień, ile chcesz... miejsca jest mnóstwo, zresztą rodzice siedzą teraz w Londynie... możesz mieć, cholera, całe skrzydło, jeśli chcesz. Ciasnota nam nie grozi. Weź ze sobą przybory do kaligrafii. Serio. Przyjechałem furgonetką do przewozu moich bezdomnych... stoi pod domem. Możemy załadować wszystko z tyłu – jest tam miejsca na instrumentarium całej żebraczej orkiestry, więc powinien się zmieścić twój stół... i co tam jeszcze jest ci potrzebne. Możemy to wszystko teraz załadować i zmyć się stąd. Pomogę ci. Powiedz, co mam zabrać. Spakuj trochę ubrań. Wyjedziesz z Londynu. Skończysz pracę. Pozbierasz myśli. Otrzeźwiejesz. Te sprawy.

Powinienem być do niej wrócić.

Ale w ogrodzie wahałem się. Co i raz zawracałem. W samym środku brzucha coś mnie skręcało i piekło. Myślałem, że zaraz zwymiotuję. Dobiegłem do głównej bramy – połykałem hausty powietrza, myśląc tylko o tym, żeby się dostać do domu – ale na chodniku znów zawróciłem i nie zważając na spazmy, zacząłem przeciskać się, na wpół biegnąc, z powrotem w stronę ogniska.

Mijałem wychodzących z ogrodu ludzi – nastolatków, pary, młode rodziny. Przepychałem się przez tłum, przerażając matki i złoścąc ojców, ale nie zwracałem uwagi na ich protesty.

Przedemną dwaj mężczyźni spryskiwali wodą z węży drzewa bliżej ogniska.

Szarpałem za klamki u jej drzwi i stukałem w okna, ale światła się

nie zapalały. Wyjechała. Wiedziałem, że sprawa jest beznadziejna, ale nie przestawałem łomotać, stukać, potrząsać – aż wreszcie zjawił się starszy mężczyzna i zaświecił mi latarką w oczy.

Wymamrotałem przeprosiny i odszedłem. Ale nie mogłem się zmusić do powrotu do domu i nie potrafiłem sobie wyobrazić, co będę robić, gdy tam dotrę. Usiadłem więc na ławce i czekałem, gdy wodę z węży skierowano na samo ognisko. Do północy ogród opustoszał.

Furgonetka Willa była głośna i powolna. Ale ponieważ na drogach było luźno, szybko wydostaliśmy się z Londynu, jadąc na wschód przez wymarłe miasto, nim skręciliśmy na północ w kierunku Cambridge. Silnik miał słabą moc i nawet na czwórce wyciągał najwyżej sto kilometrów na godzinę. Dmuchawa brzęczała i furkotała, a kierownica trzęsła się w rękach Williama. Od czasu do czasu samochody za nami mrugały światłami i William zjeżdżał na pas dla wolniejszych pojazdów, dając im przejechać.

Przez prawie dwie godziny żaden z nas się nie odzywał. Patrzyłem na niknące w oddali tylne reflektory samochodów lub wpatrywałem się w ciemność tuż nad granicą nikłej smugi światła reflektorów furgonetki. Wycieraczki zakłócały odbiór, więc wyłączyliśmy radio.

Autostrada przeszła w drogę główną, ale po kolejnej półgodzinie odbiliśmy na wschód i wjechaliśmy na mokradła. Przestało padać i ochłodziło się.

– Wiesz, w schowku na rękawiczki mogą być jakieś fajki po moich bezdomnych – powiedział William, spoglądając w tamtą stronę – gdybyś chciał sobie zapalić.

– Nie... kurwa. Masz coś, żeby się napić?

– Wątpię, chłopcy nigdy nie zostawiają nafty. Taka już, obawiam się, natura kloszarda.

– Mogłem wziąć coś z domu. Nie pomyślałem. – Wyjrzałem przez boczne okno. Przez szparę między chmurami wychylił się księżyc w trzeciej kwadrze, przez chwilę oświetlając ich brzegi srebrem, nim znów został przysłonięty. Zastanawiałem się, kiedy zacznie świtać. Było

mroźno. Nad moczarami na lewo unosiły się strzępy mgły. Wsunąłem dłonie pod siebie.

Nagle William przeklął:

– Cholera. Właśnie sobie przypomniałem, że mogę mieć w torbie parę miniaterek. Dostałem je w samolocie w zeszłym tygodniu. Muszą być w kieszeni podręcznej torby... chyba ich nie wyjmowałem. Przejdiesz tam czy mam się zatrzymać?

Odpiąłem już pasy i gramoliłem się do tyłu przez siedzenie dla pasażerów. Znalazłem torbę Williama i zawołałem, przytrzymując się, żeby nie stracić równowagi przy zakręcie:

– Dwie buteleczki wódki, džin i brandy. Cztery, tak?

– Chyba tak.

Wczołgałem się z powrotem na swój fotel z przodu.

– Na twoim miejscu zacząłbym od wódki. Potem brandy. – William zmienił bieg. – W ten sposób, gdy dojdiesz do džinu, nie będziesz czuł jego smaku.

– Dobra myśl.

Od pewnego czasu nie widzieliśmy innych samochodów. Zwolniliśmy i skręciliśmy ostro w lewo w drogę drugorzędną. Przed nami majaczył mostek w kształcie łuku. William ze zgrzytem zmieniał biegi. Za mostkiem wjechaliśmy w pierwsze wieńce mgły. Szybko gęstniała wokół nas – nieprzenikniona, wilgotna, upiorna.

– Niestety, jeszcze pięćdziesiąt kilometrów tego gówna – poinformował mnie William, jadąc dużo wolniej ze wzrokiem wbitym przed siebie. – Przejeżdżamy przez mokradła Wensum. Droga jest przynajmniej prosta i raczej nie spotkamy nikogo jadącego z przeciwka. Miejmy tylko nadzieję, że ta cholerna furgonetka się nie rozkraczy. Spójrz tylko za okno. Wolałbym nie iść na piechotę. Wierz mi, to cholerstwo włazi w kości.

Otworzyłem wódkę i łyknąłem na spróbowanie.

– W jakim stanie była Lucy? William cały czas patrzył przed siebie.

– Niezłym, to znaczy pozbierała się już. Owszem, bała

się o ciebie i o to, co się dzieje, ale nie toczyła piany z ust, nie miała halucynacji ani nie podcinała sobie żył. Po prostu zależało jej na tym, żebym cię znalazł. Zadzwoiłem od niej około dziewiątej. Ale nie odbierałaś, więc przyjechałem prosto do ciebie. Oglądałem te cholerne fajerwerki i miałem lekkiego pietra, że niczego nie świadomy wrócisz z Madeleine... nie mogę mówić o niej Bella, to śmieszne. Cholera wie, co miałbym ci wtedy powiedzieć.

– Lucy wspominała o jej imieniu?

– Tak. Myślałem, że ma jakiś związek z nazwiskiem, Belmont, ale nie. Na drugie ma Isabella. A wszyscy mówią do niej B...

– Wiem.

– Lucy opowiedziała mi całą popieprzoną historię ich rodziny.

Pociągnąłem porządny łyk.

– Powiedziała, jak to się stało, że są siostrami?

– Ten sam ojciec. – Droga była prosta jak drut i William odważył się dodać gazu. Mgła dosłownie kłębiła się wokół.

– To samo powiedziała Madeleine – rzekłem i dopiłem pierwszą buteleczkę. – Ale ja poznałem ojca Lucy... Davida. Ma na imię David. Niemożliwe, żeby on... On nie ma z Madeleine nic wspólnego. Jest...

– David nie jest prawdziwym ojcem Lucy, Jasper. Sęk w tym, że jej prawdziwym ojcem jest gość z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ojciec Madeleine. Mówiła ci o nim, prawda?

– O Jezu. – Wydałem z siebie cichy gwizd.

– Właśnie. Nazywa się Julian Belmont... – Zerknął na mnie. – Jest teraz numerem trzy w paryskiej ambasadzie... tak twierdzi Donald. Kiedyś posuwał wszystko, co się ruszało. Zresztą wciąż jest pies na baby.

Spojrzałem na Williama surowo.

– Prosiłeś Donalda, żeby dowiedział się czegoś o ojcu Madeleine?

– Nie, nie prosiłem. Donald mailował do mnie w innej sprawie. W przyszłym miesiącu wybieram się do Nowego Jorku, żeby dopilnować przygotowań do naszego specjalnego koncertu bożonarodzeniowego... i

wspomniał o tym przy okazji. To wszystko.

Dobrałem się do drugiej wódki.

– Nie rozumiem. Jakim cudem ten cały Julian jest ojcem Lucy?

– No więc tak. – William zwolnił i przetarł rękawem szybę. Mgła wdzieriała się do środka. Podkręcił dmuchawę i podniósł głos przy głośnym szumie. – W zamierzchłej przeszłości początku lat siedemdziesiątych Julian Belmont poślubił matkę Madeleine, również o imieniu Magdalena, gdybyś nie wiedział, i również, jak twierdzi Lucy, nie mniej cierpiącą na ową dolegliwość zwaną kobiecą urodą. W każdym razie młoda i szczęśliwa para mieszka razem w Londynie i po niespełna roku pani Belmont odkrywa, że jest przy nadziei z twoją... ze słodką małą Madeleine Isabellą.

Bardzo szybko – ciągnął William – pan B. wraca do kawalerskich zwyczajów i zaczyna skakać z kwiatka na kwiatek, mimo iż jego żona wygląda jak współczesna Helena Trojańska. I zgadnij, kto okazuje się jedną z jego nowych zdobyczy? Matka Lucy. Która jest już, niestety, żoną kogoś innego... sympatycznego pana, którego Lucy nazywa swoim „tata”.

– Davida.

– Davida. Lucy też tak do niego mówi, prawda? David? Zawsze jest podejrzane, kiedy dziecko zwraca się do rodzica po imieniu...

Na drogę przed nami wyleciał zając. William zahamował i z tyłu wszystko – mój stół i pudła – przesunęło się do przodu. Oszalałe ze strachu zwierzątko pomknęło wzdłuż drogi, kicając to w jedną, to w drugą stronę – za wszelką cenę pragnęło umknąć światłom. A potem równie szybko gdzieś przepadło.

– Przepraszam. Z twoimi rzeczami wszystko w porządku?

– Spokojna głowa... najważniejsze rzeczy są w skrzyniach. Mów dalej.

– No, w każdym razie, zostaje poczęta Madeleine, zostaje poczęta Lucy: dwie matki, ten sam ojciec. Londyn szaleje, ale najwyraźniej źle się dzieje w domu Belmontów. Magdalena podejrzewa męża, że ją

zdradza, i dużo pije, chcąc to udowodnić. Tymczasem mama Lucy...

– Veronica.

– Mama Lucy, Veronica, rozkochuje się w urodziwym panu B. na zabój.

– Jezu.

– I tak pewnego feralnego wieczoru Veronica przybywa do swojego mężczyzny i jest mocno zaskoczona, gdy drzwi otwiera jego ukochana żona.

– Przejebane.

– Właśnie. Pan B. wraca do domu po ciężkim dniu przerzucania papierków w ministerstwie i zastaje nie jedną, ale dwie nieszczęśliwe kobiety w ciąży. Niecne przymierze. No i, jak to mówią, zrobiła się chryja.

Skrzywiłem się. Ale w końcu posmakowała mi wódka. William mówił dalej:

– I znów powtarzam po Lucy: David i Veronica nie mogli... nie mogą... mieć dzieci, Veronica postanowiła więc wyznać Davidowi, co się dzieje. Nie przyjął tego wyznania spokojnie. Ale zostawiwszy męża ciskającego szkłem o ściany, Veronica zamierza najpierw wy badać, co jej ukochany Julian myśli o tym, żeby zostawiła biednego Davida i żeby odeszli razem – Veronica i Julian – w stronę zachodzącego słońca. Odkrywa jednak, że Julian jest żonaty, i głównym problemem nie jest to, co o tym wszystkim myśli pan B., ale co ma do powiedzenia jego piękna żona, półWłoszka, alkoholiczka i wariatka.

– PółWłoszka?

– Podobno. Rzymianka. W każdym razie skutek jest taki, że Magdalena wpada w szal: nie chce rozmawiać z mężem ani wychodzić z domu w jego towarzystwie – bardzo zła wiadomość dla kogoś, kto musi brać udział w dyplomatycznych przyjęciach. Co gorsza, Magdalena zaczyna pić jeszcze więcej, nie zważając na nowo narodzone dziecko, i w końcu, dziesięć miesięcy później, postanawia do wieczornej skrzynki brandy dodać garść pigułek. Umiera.

– Biedaczka.

– Tymczasem matka Lucy, która przejrzała na oczy i nienawidzi Juliana razem z ziemią, po której stapa, zaczyna

cierpieć na depresję poporodową i o mało też nie odbiera sobie życia. Zauważ, jak grzechy matek odbijają się na córkach. – William pokręcił głową. – Właściwie jedyną osobą, która wychodzi z twarzą z całej tej zawieruchy, jest pan David Giddings. Jakoś znajduje siły, żeby wybaczyć żonie, i chce wychować Lucy jak własną córkę... aczkolwiek nie bez szczodrych zastrzyków gotówki na opłaty szkolne, urodziny i tak dalej od prawdziwego winowajcy.

W wieku trzynastu lat – mówi dalej William – Lucy i Madeleine zostają wysłane do tej samej szkoły z internatem, którą opłaca z Paryża dręczony wyrzutami sumienia Julian. Matka Lucy przyjmuje pieniądze, ale nalega, żeby wyjawić prawdę Lucy teraz, gdy jest już duża. Poza tym... jak przypuszcza Lucy... Yeronica uznała, że Lucy powinna wiedzieć o siostrze, na wypadek gdyby poczuła się samotna, zaczęła tęsknić za domem czy coś takiego... Yeronica nie chciała, żeby Lucy telepała się z powrotem do Londynu za każdym razem, gdy poczuje się nieszczęśliwa. Tak czy inaczej, pomysł wypalił. Lucy i Madeleine zostały dozgonnymi przyjaciółkami. Połączyły je krytyczne opinie o matkach, głęboka nieufność do ojca oraz, jak przypuszczam, poważne, choć nie zdiagnozowane problemy emocjonalne, których efektem jest zaawansowana psychoza na punkcie młodych mężczyzn. I w tym momencie na scenę wkracza niejaki pan Jasper Jackson.

Przerzuciłem się na brandy.

W jakimś mrocznym miejscu, zupełnie nie do odróżnienia od innych, które minęliśmy, William włączył kierunkowskaz.

– Ludzie nie zdają sobie sprawy, że w pewnych okolicznościach wciąż można mrugać ironicznie – powiedział. – A teraz bardzo cię proszę, Jasper, daj mi dopić to brandy, dłużej tego nie znoję. – Skręcił ostro w lewo. – Następne dwadzieścia kilometrów to droga prywatna i jeśli jakiś sukinsyn będzie chciał powstrzymać mnie przed piciem, niech

zanosi pretensje do Edwarda II.

Oddałem mu to, co zostało.

28. Nokturn na Świętą Lucję

Wprzódę mnie się przyjrzyjcie, jeśli chcecie

Pokochać, gdy się zacznie wiosna, świat nowy: Jam bowiem jest jałowy Jak wszystko, co martwe w świecie: Miłości ofiara.

Bo mitość z pustki choćby się postara

Wycisnąć soki – alchemią się para;

I mnie stworzyła z takich ingrediencji,

Które są brakiem: z mroku i absencji.

Od dwóch tygodni używam do pracy wronich piór – powoli, cierpliwie dodaję filigranowe detale do wersalików we wszystkich wierszach kolekcji. Tutaj nie można się pomylić: najdrobniejsze potknięcie i cały wiersz trzeba przepisywać od nowa. Ale moja koncentracja jest niezmacona, a uwaga, z jaką rozwiązuję wszystkie problemy – staranna.

Za oknem kołyszą się wysokie topole targane październikowym wiatrem, a nad trawnikami unosi się i płynie poranna mgła. Niebo w Norfolk ma barwę rozwodnionego, niemal całkowicie rozcieńczonego atramentu; ale gdy minie ranek i jesienne słońce wzniesie się wyżej, mój wzrok będzie mógł sięgnąć dalej, ponad rododendronami, ponad rzeką i mokradłami, w stronę morza.

Jest jeszcze dosyć wcześnie. I zimno. Po przyjeździe William zaproponował, żebym rozpałił w kominku – wszystko w palenisku było przygotowane – ale bałem się, że dym może uszkodzić welin. Znalazł więc kilka starych piecyków olejowych i włączyłem je wszystkie. Są tak rozgrzane, że

dotknięcie ich grozi ciężkim poparzeniem, a jednak nie mogę pozbyć się wrażenia, że za ich sprawą w pokoju jest zimniej. Może ma to jakiś związek z konwekcją i wysokimi sufitami. A może dzieje się tak dlatego, że bezmyślnie ustawiłem stół przy nawiedzonym przeciągami wykuszowym oknie. Światło jest jednak urzekające i znalazłem

rękawiczki bez palców.

Dzisiaj ozdabiam ostatni wiersz: *Stałość kobieca*. Chociaż mam termin do 25 października, chcę po powrocie do Londynu spędzić tydzień ze szkłem powiększającym w ręku. Chciałbym też wcześniej dostarczyć wszystkie prace ramiarzom, firmie Gruber and Gruber, żeby mieli jak najwięcej czasu, gdyby trzeba było specjalnie sprowadzać drewno. Dzisiaj jest sobota i powinienem skończyć za parę godzin.

Pierwsze dni miały powoli. Nalegając, żebym został, William wrócił w poniedziałek do Londynu do swoich spraw. A ja zaprzyjaźniłem się z Ellie, gospodynią Laceyów, i jej mężem, Jimem. Gdy nie pracowałem, chrupałem przy kominku grzanki z serem z talerza na kolanach i przesłuchiwałem płytotekę ojca Williama. Czytałem bez koncentracji i przerywałem oglądanie filmów, gdy tylko pojawiał się wątek miłosny. Urządzałem sobie spacery wokół jeziora do miasteczka i gawędziłem o katastrofach morskich z barmanem, który kiedyś mieszkał w Tallahassee. Od czasu do czasu rozważałem, czy nie ukraść kluczyków do któregoś samochodu i nie pojechać do Rzymu, sypiając z każdą napotkaną po drodze kobietą.

Moje myśli zbierały się z trudem, kuśtykając przez błotniste pole bitwy, jedna po drugiej, pod osłoną nocy – ranne, przemoczone, rozczłonkowane. Ale szybko zebrały się w takiej liczbie, że trzeba je było uporządkować.

Starałem się robić to metodycznie, przede wszystkim żeby nie popaść w obłąd, gdy leżałem wpatrzony w cienie drzew, ale również dlatego, że chciałem ustalić, czy mój umysł może zgodzić się z moim sercem w przeraźliwej kwestii „co dalej”... czy też muszę działać, nie zważając na nic.

Nie jestem pewien, czym na początku byłem najbardziej wstrząśnięty... przerażony: chłodem czy samą skalą oszustwa Madeleine. Zaplanowana czy spontaniczna, jej umiejętność fałszowania rzeczywistości zapierała dech w piersiach. Na wszystko, co się wydarzyło, spoglądałem teraz podejrzliwym okiem. Tamtej nocy, gdy

udawałem, że rozmawiam przez telefon z Williamem, musiała wiedzieć, że zadzwoniła Lucy – dlatego wyrwała kabel z gniazdka, usuwając zagrożenie do czasu, aż będzie mogła osobiście spotkać się z siostrą. (Zoźła. I jak kretyńsko musiałem wyglądać w jej oczach, gdy plotłem te wszystkie głodne kawałki do słuchawki.) No i te wyjazdy zagraniczne, które, co teraz dopiero zrozumiałem, prawdopodobnie sfabrykowała: podróż do Ammanu mogła się odbyć, ale kampania antytyfuszczowa w Filadelfii? Festiwal raków? Z pewnością to wymyśliła; w jednym i drugim przypadku prawdopodobnie była z nim. Przypomniałem sobie, jak odwróciła rozmowę od szczegółów, gdy profesor Williams okazał zainteresowanie Sacramento. Za każdym razem jeździła do niego.

A czy on przyjeżdżał do Londynu? Jakżeby inaczej? Przede wszystkim, pomyślałem, na pewno przyjechał obejrzeć jej mieszkanie w dniu, w którym ponoć wyjechała. Wtedy właśnie przyłapał ich Roy z kamerą wideo. Z niesmakiem przypomniałem sobie, że noc przed ogniskiem Madeleine spędziła „u ojca”. Ile jeszcze razy tam była? Ile jeszcze razy Madeleine odwiedziła „ojca”? Nie byłem pewien. (Czy jej ojciec w ogóle miał mieszkanie w Londynie? Po co? Mieszkał przecież w Paryżu.) Nabrałem przekonania, że za każdym razem, gdy mnie opuszczała – spotykała się z nim. Ile nocy spędzili ze sobą? Ile nocy spędzili po drugiej stronie ogrodu, śpiąc na materacu płatnego zabójcy? Nie wiedziałem. Z pewnością nawet dla niej ryzyko byłoby zbyt duże. Przy jej zuchwałości nie można wszak wykluczyć takiego scenariusza, zresztą z moich okien nie bardzo mogłem zajrzeć do mieszkania Madeleine.

Zdawałem sobie oczywiście sprawę, ile pogardy było w jej opanowaniu. Przez te wszystkie miesiące, gdy byliśmy razem, sprawiała wrażenie lekko skonsternowanej tylko

raz, wkrótce po naszym „poznaniu”, gdy zapytałem ją, jak ludzie się do niej zwracają – wracaliśmy wtedy barką z Camden i próbowałem dowiedzieć się, czy ma chłopaka. (Ostry, historyczny śmiech mądrego po czasie: wiedziałem... w głębi duszy wiedziałem.)

Najgorsze były te wszystkie psychiczne męczarnie, które musiała zadawać mi z przyjemnością... z rozkoszą. Jej mały flircik w Rzymie wydawał się błahostką w porównaniu z całą serią okrucieństw, którymi mnie uraczyła. Potem było przesłuchanie – „Co jej zrobiłeś?” – na tym piekielnym balu... Bal. Tutaj moje myśli odwróciły się od złości i poniżenia ku czemuś innemu... jeszcze nie nadziei, lecz ku czemuś nieco mniej odrażającemu od całej reszty.

Przypuszczam (tyle domysłów), że Lucy i Madeleine pokłóciły się tego wieczoru. Może zniecierpliwienie Madeleine, gdy weszła do pokoju, nie było tak naprawdę moją zasługą. Może ich kłótnię wywołała nie tylko złość Lucy na siostrę (gdy przekonała się na własne oczy, jak daleko zaszły sprawy między mną i Madeleine), ale i złość Madeleine na Lucy za to, że chciała zostać ze mną sam na sam po tym, gdy dostałem w nos.

Jezus Maria. Czy to, że dostałem w nos, też było zaplanowane? Czy może była to premia? Nie mogły wiedzieć, że Selina tam będzie. Czy aby na pewno? Czyżby to też zaaranżowały? A może po prostu Selina zjawiła się przypadkiem, a Lucy wiedziała o niej. Ale jeśli wiedziała – to skąd? Czy Lucy przyuważyła mnie gdzieś z Selina? Kiedy? Skąd miałem wiedzieć? Może śledziła mnie... albo zobaczyła mnie z Selina na mieście albo... nie wiem. Paranoja trzymała mnie w swych szponach.

Prawdziwe pytanie, przekonywałem siebie, brzmi następująco: czy ich plan w ogóle zakładał, że Madeleine się ze mną prześpi? Nie. Nie sądzę. Czy przyrodnie siostry tak naprawdę godzą się (zaśmiewając się i żartując) z fizycznymi realiami seksualnej zemsty? Czy jedna siedzi zadowolona (mrużąc porozumiewawczo okiem), gdy druga kocha się z tym samym mężczyzną (jeszcze niedawno tak podstępny łotrem) w ramach wyrównania rachunków? Oczywiście mężczyźni są uwodzeni z zemsty cały czas – przelotna przygoda z jakimś nieszczęśnikiem na przypadkowym przyjęciu pod hasłem „pokażę bydlakowi, że ja też umiem się zabawić”, wakacyjny romans pod hasłem „tylko poczekaj, a zobaczysz, że doszłam już do siebie po naszym rozstaniu”... Ale w

większości przypadków mamy do czynienia z jedną kobietą i dwoma mężczyznami – tym, którego chce zranić, i tym, którym się do tego posłuży. Rzadko dzieje się odwrotnie. Rzadko są dwie kobiety i jeden mężczyzna. I rzadko są one siostrami.

Dobrze, przyznajmy, że łączy je szczególna więź, prawdziwa solidarność siostrzanych dusz. Uznajmy, że oto te dwie nierozłączne siostry występują same przeciwko całemu światu. Powiedzmy, że dziewczynki z rozbitych rodzin dorastają, każda żywiąc w sercu zapiekłe żale. Cóż więc robią, gdy na swej drodze spotykają uosobienie tego wszystkiego, co budzi w nich niechęć, nieufność i pogardę? Zadają kłamliwemu, fałszywemu bydlakowi ból? Oj tak. Oszukują go raz, drugi, trzeci? Wiążą jego nerwy w kokardki? Oj tak. Zwodzą go, wyprowadzają na manowce, w kółko wodzą za nos? Oj tak, oj tak. Ale żeby wskakiwać do łóżka i kochać się z nim bez końca, żeby aż prawie nie mógł chodzić? Cóż to za kara?

Nie. Madeleine wcale nie miała wylądować ze mną w łóżku. Zrobiła to, ponieważ – pod wpływem nagłego impulsu – zdecydowała, że tego chce. Potem powiedziała Lucy, że zdarzyło się to tylko parę razy. Ale gdy nasz związek się pogłębiał – a przynajmniej trwał – przekonała się, że musi oszukiwać siostrę co do tego, jak często u mnie bywa, co do mnie czuje, co się tak naprawdę dzieje, właściwie co do wszystkiego. Utknęła w Londynie na dłużej, niż się spodziewała; i gdy musiała czekać, wcale nie było jej nie w smak moje towarzystwo. (Czy naprawdę musiała czekać? Czy naprawdę przez cały ten czas w mieszkaniu trwał remont?) I gdzieś w trakcie tego wszystkiego, całkiem przez przypadek, zapomniała, że ma mnie nienawidzić, i do rozstania doszło w ostatniej chwili.

A teraz, tak jak wszyscy inni, Madeleine okłamywała również siebie.

A może nie. Może się myliłem. Hekate ma serce z zamarzniętego jadu i nawet gdyby narodził się taki, który by je stopił, z pewnością padłby martwy od trujących oparów. A może zacieśniająca się więź była jedynie sposobem Madeleine na dobrą psychiczną rozgrzewkę przed

finałowym kopniakiem. W czasie naszego rozstania w jej oczach dostrzegłem skruchę, lecz nie miłość. Ale czy na pewno?

I tak w kółko kręciły się moje myśli. W ciemności.

Teraz za oknem widok nabiera kształtów, gdy mgła wraca nad rzekę. A piecyki olejowe wreszcie spełniają swoje zadanie – bulgoczą coś do siebie, jak gdyby prowadziły jakąś osobliwą rozmowę z kosmitami. W mocniejszym świetle wracam do *Stalości kobiecej*.

Z reguły nie lubię litery „J”, ma to chyba jakiś związek z jej ascetycznością lub jędzowatością – siostra kościstej, wiecznie mającej coś do dodania „I”. Jestem jednak dumny z wysiłku, który włożyłem, żeby ten fragment robił wrażenie:

Już dzień minął cały naszego kochania, Lecz co jutro mi powiesz w chwili rozstania?

Truchleję na myśl, że Madeleine zostawiła u mnie swoje rzeczy – w łazience, w kuchni, w sypialni. Boję się widoku z okna pracowni. I modłę się, by moje mieszkanie nie dołączyło do zbuntowanych oddziałów mych wspomnień.

Jeśli kobieta mówi, że nie chce cię więcej widzieć, czy traktujesz jej słowa poważnie? Czy może ośmielasz się założyć, że znasz ją lepiej niż ona siebie? A może śmiesz twierdzić, że wiesz, co jest dla was najlepsze? I co, jeśli w ogóle coś, udowadniasz, ciągnąc się za nią na kolanach: że ją kochasz czy że jesteś zbyt słaby, bezsilny i żałosny, by zasłużyć na jej miłość? I dla czyjego dobra i czyjego szczęścia jesteś na kolanach? Jej? Na pewno nie. Prawdę mówią, że miłość to w jednej części przesąd, a w trzech egoizm.

Ale śmiałkowie i głupcy zawsze próbują. Być może wydaje nam się, że jest coś wzniosłego, co moglibyśmy powiedzieć, jakiś patetyczny gest, który moglibyśmy wykonać, coś, co rzuci na wszystko nowe, jaśniejsze światło, coś, co sprawi, że ona zmieni zdanie...

Jak w przypadku wszystkich inicjałów, wzór litery „J” został zaprojektowany przeze mnie. Przedemną tylko dwa pociągnięcia piórem, ale muszę odczekać chwilkę. Jeśli istnieje jedna rzecz, której

kaligraf potrzebuje ponad wszystko inne, to pewna ręka.

Za chwilę dzieło będzie skończone.

W przyszłym tygodniu zamierzam obejrzeć je jeszcze pod szkłem powiększającym, ale chyba mi się udało: trzydzieści wierszy i ani jednego błędu. Jest jednak coś w *Stałości kobiecej*, co nie daje mi spokoju.

29. Waleta żalu zabraniająca

Zatem nasze dusze, które tkwią w jedności,

Choć wyjechać muszę, nie czeka rozstanie,

Lecz rozprzestrzenianie, jak ztota z kujności

Wszędy słynącego w cienkość rozciąganie.

Jeśli się rozchodzą, rządzą nimi prawa

Sztywnych ramion cyrkla – gdy jedno się rusza,

To drugie, pośrodku, statyczne się zdawa,

Lecz za drugim zdąża, jak za ciałem dusza.

Choć pośrodku stoi, nie skarżąc się zgota,

Wychyla się, stucha, oczy wypatruje, Gdy to drugie w dali wielkie kreśli kola,

A gdy tamto wraca, zaraz się prostuje.

Więc gdy w podróż ruszam, dzięki tej łączności, Niczym cyrkla ramię sunę równym kołem,

Znajdując oparcie w twojej stabilności,

I tam zawsze kończę, kędy rozpocząłem.

Wróciłem do mojego siedliska i mam dobrą wiadomość: wszystkie decyzje zostały podjęte za mnie. Nie ma jeszcze szóstej rano, a ja piję herbatę i słucham *Missae Breues* Mozarta. Nie było żadnych listów. A telefon milczał jak reszta moich mebli. Muszę przyznać, że mieszkanie nie zachowuje się tak źle, jak przypuszczałem. I staram się przechodzić na drugą stronę ulicy, gdy widzę, że z przeciwka nadchodzą moje wspomnienia. Poza tym nie można czuć się źle w towarzystwie Mozarta.

Po pobycie u Williama odkryłem w sobie naturę rannego ptaszka.

Kładę się o wpół do dziesiątej z Johnem Donne'em i budzę się o piątej z innymi londyńskimi niedowiarkami: ironicznymi miłośnikami joggingu, uśmiechniętymi sarkastycznie śmieciarzami w grubych rękawicach i właścicielami straganów z warzywami o spracowanych dłoniach, którzy kręcą głowami z niedowierzaniem i mamroczą coś do złośliwych pasternaków. Świt jest obiecany. Ale nas nie tak łatwo przekonać: uwierzmy, jak zobaczymy. Zimno, mokro, ponuro i ciemno – życie wydaje się jedną długą satyrą na siebie. *Podróżami Guliwera* bez czytelników. Jutro zaczyna się listopad i niezmordowany wyścig ku świętom już ruszył. Gruba Mamona ucałowała ziemię na lotnisku i sprawdzono wszystkie żarówki w czerwonych lampach ulicznych.

Ale ja wyjeżdżam do Nowego Jorku. Wyjeżdżam do Nowego Jorku. Jutro.

Nie miałem wyjścia. Zadzwoiłem do Saula zaraz po powrocie do Londynu i zaczęło się.

– Gdzieś ty się podziewał, Jasper? – zapytał, a w jego głosie świszczała astmatyczna panika. – Cały Nowy Jork się zamartwia i niecierpliwi. Myśleliśmy, że dostałeś jakiegoś artystycznego amoku i w przypiływie złości zaszyłeś się w Tangerze.

– Niecierpliwi?

– Przed wernisażem.

– Wernisażem?

– Oj, Jasper, Jasper, Jasper, Jasper... gdybyśmy tylko mogli się z tobą skontaktować. Gdybyś tylko, na litość boską, odbierał telefony lub zainteresował się usługą poczty głosowej. Cokolwiek.

– Przepraszam, Saul, przez kilka tygodni byłem poza Londynem... kończyłem zlecenie. Jak to: werni...

Przerwał mi.

– W takim razie ja będę miał zaszczyt cię powiadomić. – Przerwał na chwilę; łagodna satysfakcja szumiała niczym promieniowanie tła w słuchawce. – Uroczy pan Wesley, twój

klient i mój, wyprawia wielkie i bardzo ekskluzywne przyjęcie, żeby

uczcić ciebie i twoje dzieło. Specjalny wernisaż, pokaz, wystawę, widowisko na wielką skalę, nazywaj to, jak chcesz. Happening. Pierwszego listopada. Nigdzie indziej, tylko w Ruby Gallery w samym East Village. – To brzmi...

– Oczekuje się tłumu koneserów, literatów, inteligentów. Całej ich chmary. Listę gości czyta się jak „Kto jest kim w amerykańskiej kulturze”. Szampan w kieliszkach, pełna gala i twoje dzieła na ścianach. Mój drogi chłopcze, nie będziemy się mogli opędzić od kupujących. Wejdiesz jako artysta, wyjdiesz jako milioner. Kolejka klientów będzie się ciągnęła aż do Madison Avenue.

– Nie jestem pewien, czy...

– Wiesz, jak tu jest, Jasper, gdy coś zostaje uznane za łakomy kąsek dla kolekcjonerów, gdy dany artysta zdobywa renome, wówczas każdy, kto aspiruje do miana intelektualisty, musi mieć coś od niego. Amerykanie są chronicznie uzależnieni od opinii innych. W promieniu trzech tysięcy mil nie rodzi się ani jedna niezależna myśl. I gdy Gus Wesley mówi, że kalig... – Saul nagle zamilkł złowieszczo. – Skończyłeś, prawda? Nie ma żadnych opóźnień?

Pozwoliłem, żeby pytanie zawisło na chwilę w powietrzu, napawając się dramatyzmem sytuacji.

– Oczywiście, że skończyłem. Głównie dlatego dzwonię. Czysta ulga w nie rozcieńczonym stężeniu przelała się przez Atlantyck.

– O, zuch z ciebie. Zuch. Bogu niech będą dzięki. Dzięki ci Boże. I założę się, że wyglądają po prostu fantastycznie. Nie mogę się doczekać, kiedy je zobaczę, naprawdę. – Zniżył głos o parę decybeli. – Rzecz w tym, Jasper, tak między nami, że w zeszłym tygodniu byłem na lunchu z Gusem i właściwie zapewniłem go... No, w każdym razie, tak jakby troszeczkę zasugerowałem mu pomysł z wystawą, więc byłoby mi dość niezręcznie informować go teraz, że...

– Saul – teraz z kolei ja przerwałem jemu – myślałem, że pracuję nad prezentem dla kogoś... nie było mowy o wystawie?

– Ach tak, tak, tak. To też. Cała impreza będzie wystawą połączoną z przyjęciem urodzinowym, zebraniem towarzyskim i prezentacją... ale najważniejsze jest to, że jeśli zjawi się Gus Wesley, to wszyscy tam będą. Oczywiście on wypłaca pensje najważniejszym dziennikarzom, więc relacje i zdjęcia są gwarantowane – ale to nie wszystko. Gus zna tych wszystkich, których znać trzeba. I jestem pewien, że twoje prace będą się pięknie prezentowały w Ruby. Zbieram już dla ciebie zlecenia wyłącznie na podstawie krążących pogłosek. Co sądzisz o Kazaniu na Górze? Nie... nie odpowiadaj... pomówimy o tym jeszcze. Kiedy spodziewasz się przesłać ukończone prace?

– Cóż, jutro jadę do Gruber and Grub...

– Ach, to ci sami ramiarze, z których usług korzystaliśmy ostatnio?

– Tak. Są najlepsi. Widzę się z nimi jutro. To nie powinno im zająć dłużej niż dwa tygodnie. Potem, zdaje się, wyślą wszystko specjalnym kurierem. Wesley zgodził się zapłacić za ramiarzy i dostawę... potwierdziłeś to?

– Oczywiście, oczywiście. Ojej, to takie ekscytujące. – Entuzjazm Saula mógł zaspokoić całoroczne zapotrzebowanie Nowego Jorku na prąd. – Aha, Gus kazał mi też obiecać, że zadzwonisz do niego na prywatną linię, żeby mógł załatwić ci samolot.

– No to chyba będzie wszystko. – Decyzja zapadła. – Nie słyszę, żebyś się jakoś specjalnie cieszył.

– Ależ nie. Cieszę się. – Zmusiłem się do kontynuacji toczącej się rozmowy. – Szczerze mówiąc, martwię się, czy prace dotrą w całości, nie uszkodzone i tak dalej.

– Mmmm. Wiem, co masz na myśli.

– Prawdę mówiąc, Saul, chciałbym poczekać, aż przyjdzie potwierdzenie, że bezpiecznie dotarli na miejsce. Nie chcę wyjeżdżać z Londynu, dopóki nie będę pewien, że je masz. Sprawa jest zbyt delikatna z uwagi na to całe przyjęcie. Czułbym się jak skończony palant, gdybym ja doleciał, a wiersze nie. W razie konieczności mogę zabrać je ze sobą do samolotu. Ufam Gruberom, ale nie ufam kurierom.

– Mądrze, bardzo mądrze. Gus na pewno zrozumie twoje obawy. – Coś zaszeleściło, jakby terminarz. – Tego samego

dnia zjesz lunch ze mną i zakładam, że nie masz nic przeciwko temu, żebym zaprosił paru zaprzyjaźnionych dziennikarzy. Nic oficjalnego. Ale wiesz, że żaden dziennikarz nie przepuści darmowego lunchu... Poza tym dopilnuję, żebyś został co najmniej tydzień, ponieważ Gus będzie w mieście i na pewno zechce się z tobą zobaczyć prywatnie... zapłaci za hotel, o to się nie martw. I coś mi się widzi, drogi chłopcze, że być może Gus zamówi coś jeszcze, zwłaszcza jeśli będzie mógł tym samym opóźnić zlecenia swoich znajomych, przechodząc od razu na początek kolejki... co mu obiecałem... zgadzasz się?

– Na wszystko się zgadzam, Saul. Bardziej niż zgadzam. I dziękuję ci za wszystko. Naprawdę.

Saul zachichotał.

– Przynajmniej tyle mogłem dla ciebie zrobić, mój chłopcze, przynajmniej tyle. I czy mogę zasugerować, żebyś zadzwonił do Grace? I uspokoił ją w sprawie świąt?

– Dobrze, zadzwonię.

Ale nie mogę się zmusić, żeby zadzwonić do babci. Zamierzam za to napisać do niej z Nowego Jorku.

Jak się okazało, ramiarze ledwo się wyrobili. Musiałem czekać aż do wczoraj, kiedy to dowiedziałem się, że Donnę pokonał Atlantyck. A to znaczy, że musiałem odłożyć wyjazd do ostatniej chwili. Wyjeżdżam z Londynu jutro wcześniej rano i ląduję w Nowym Jorku również rano, ale wystawoprzyjęcie (jutro wieczorem) rozpocznie się dopiero po północy według mojego naturalnego zegara. Czeka mnie więc długi dzień.

Ach tak: mam adres.

Nathalie. Nathalie go dla mnie zdobyła. Omotała swoim urokiem Lucy. Kolejna nieuczciwość, obawiam się. (My wszyscy, nieszczęsna ludzkość, tkwimy uwięzieni w tej podwójnej spirali fałszu.) Ale przynajmniej Nathalie nie boleje nad tym.

Dlatego też od telefonu Saula napisałem pięć różnych listów. Dwa

długie, jeden krótki, jeden krótki z dwustronicowym postscriptum i jeden tak długi i rozpaczliwy, że nawet ja nie mogłem go przeczytać.

Moje listy bez wątpienia wyglądały pięknie, ale pisanie pod wpływem przygnębienia przypomina pisanie pod wpływem alkoholu: tekst wydaje się wówczas świetny (a nawet głęboki), ale kiedy czyta się go ponownie rano – Jezu. Nawet w chwilach najwyższej trzeźwości słowom ufać nie można. Wystarczy złożyć dwa lub trzy razem, a natychmiast zaczynają się buntować, a to tworzą w konspiracji nie zamierzone znaczenia, a to podsuwają zwodnicze niuansy i strzelają w złym kierunku, gdy im się tak podoba. Rzecz jasna najbardziej chciałem napisać jej coś tak prawdziwego, tak wzruszającego, tak eleganckiego, tak dowcipnego, tak przenikliwego, tak wyrafinowanego, tak bezpośredniego i tak dwuznacznego, że nie miałyby innego wyjścia – musiałyby skapitulować. Może jakiś wiersz albo cały cykl pod tytułem *Pieśni i sonety*. Ostatecznie jednak przekonałem się, że poza wykorzystaniem ich najbardziej podstawowych funkcji, w ogóle nie mogę polegać na słowach. I tak zdecydowałem się na trzy linijki: fragment postscriptum z pierwszego podejścia:

Madeleine, przyjeżdżam do Nowego Jorku w sprawach służbowych. 6 listopada będę na premierowym koncercie Williama w Carnegie Hall. Proszę przyjdź. Chciałbym – przynajmniej – porozmawiać. Jasper.

W tej formie list też mi się nie podobał. Ale nie mogłem przepisywać go w nieskończoność. I gdy pod obrzydliwym niebem udałem się do sklepu, żeby skonfiskować kasetę wideo, zmusiłem Roya juniora, żeby napisał adres Madeleine na wybranej przeze mnie kopercie; w ten sposób – rozumowałem – Madeleine nie rozpozna mojego pisma i nie zniszczy moich mozolnych wysiłków przed ich przeczytaniem. Mieszka... mieszkają?... w Upper East Side.

Nie obejrzałem kasety. Nim zdążyłem pomyśleć, wrzuciłem ją do pojemnika na szkło w drodze do domu i postarałem się, żeby nie można jej było stamtąd wydobyć. (Zresztą

nie mam magnetowidu, tylko odtwarzacz DVD.) W każdym razie

Roy junior zapowiedział, że nie ma tam nic ciekawego, „tylko, proszę ciebie, trochę się wygłupiają”. Na swoją obronę powiedział, że kręcił się po ogrodzie i „zupełnie przez przypadek” zobaczył ich przez okno wychodzące na patio. Pomyślał, że musi zdobyć dowody, inaczej bym mu nie uwierzył. Co zresztą jest prawdą – nie uwierzyłbym mu. Ale choć jest podglądaczem, nie mam do niego pretensji: bardzo szybko przeobrazi się w swego ojca. I nie można winić faceta za to, że chce sobie użyć, zanim do tego dojdzie.

Do Lucy dzwonić nie chcę. Jeszcze nie teraz. Nathalie donosi, że Lucy wróciła do pracy i ma nowego chłopaka... Myślę, że napiszę do niej z Rzymu w czasie Bożego Narodzenia, gdy wszystko już uporządkuję w swoim życiu. Niewykluczone, że w nowym roku będziemy się mogli spotkać. Przede wszystkim mam nadzieję, że się pozbierała. Oczywiście wciąż dręczą mnie wyrzuty sumienia. (Spośród wszystkich emocji poczucie winy ma chyba najdłuższy okres połowicznego zaniku. Może z wyjątkiem miłości – ale o tym jeszcze się przekonamy.) I nie zapomniałem jej dobroci tamtej nocy, gdy świat wokół mnie wirował: zadzwonił, kiedy będzie już po wszystkim. Zadzwonię.

Zauważam, że światło rozprasza powoli mrok i nadchodzi kolejny *Agnus Dei*. Wyłączyłem lampkę, żeby popatrzeć, jak świt wpływa do ogrodu. I gdybym wychylił się dalej nad parapetem, zobaczyłbym, że liście mojej mięty przybierają barwę srebrzystej szarości, a na krańcach nieba ciągnie się blada szrama. Wszystko pozostaje w bezruchu. Wcześniej czy później jednak kot przemknie po mokrej trawie ogrodu.

I słyhać ciche szepty – to zima zajmuje miejsce dyrygenta. Jutro o tej porze będę w drodze. By sprawdzić, cóż warta jest stałość kobieca.

30. Stałość kobieca

Już dzień minął cały naszego kochania, Lecz co jutro mi powiesz w chwili rozstania? Czy śluby wieczyste tak niedawno składane

Nie będą pamiętane? Czy usłyszę może, żeśmy już się zmienili, I wszyscy z takich ślubów wnet by nas zwolnili, Bo drżąc przed gniewem

Erosa żeśmy je czynili? I że jak kres małżeństwu kładzie śmierć prawdziwa, Tak kontrakt kochanków, mariażu imitację, Imitacja śmierci, czyli sen słodki zrywa?

Czy chcąc mi swoją udowodnić rację, Powiesz, że jeśli masz naturze swej wierności Dochować, nie mogłabyś wyrzec się zmienności? Żalodne te wykrety, bo gdybym tylko chciał,

Setki argumentów przeciw nim bym miał,

Nie chcę ich wszak wymienić, Bo jutro rolami możemy się zamienić.

Po nocnym locie wylądowałem w Nowym Jorku na lotnisku JFK i do miasta pojechałem żółtą taksówką prowadzoną przez Marokańczyka, który koniecznie chciał wiedzieć, co do cholery robili Chińczycy, gdy pisano Biblię. Nie umiałem mu pomóc w tej kwestii. Natomiast moje pytanie do niego – gdybym był bardziej przewidujący – brzmiałoby następująco: jak to się do cholery dzieje, że miejsce położone na wybrzeżu ma tak mało świeżego powietrza? Nowy Jork musi być jedynym nadmorskim miastem na Ziemi, gdzie panuje przenikliwe zimno, a jednocześnie wydaje się duszne, brudne i zakurzone.

I do licha, przydałoby się w tej metropolii trochę linii krzywych. Mam już dość skrzyżowań, kątów prostych i kwartałów. A może by tak jakaś ślepa uliczka, jakaś ładna panorama, jakaś kręta droga? Wystarczy tej funkcjonalności. Wprowadźmy trochę estetyki. Po lunchu z Saulem i dziennikarzami musiałem się wymówić i odwiedzić Chinatown *tout seul* – tylko dlatego, że mają tam ulicę, która lekko zakręca.

Dzisiaj jest drugi listopada i mieszkam w minimalistycznym hotelu przy Times Square, gdzieś na czterdziestym którymś piętrze, niedaleko Ósmej Alei. Choć personel i inni goście myślą inaczej, hotel wcale nie jest stylowy – po prostu hołduje minimalizmowi. Minimum przestrzeni. Minimum komfortu.

Dzisiaj mówi o mnie całe miasto. A raczej wspomniano o mnie w kilku rubrykach towarzyskich. I owszem – czuję się lepiej. O wiele lepiej. Jest wpół do dwunastej i właśnie spałaszowałem śniadanie

składające się z dwóch jajek sadzonych i pomidorów. Zdaje się, że na Manhattanie nie wynaleziono jeszcze wanien, więc będę musiał się zadowolić prysznicem. Później zamierzam zlokalizować biurko i spłodzić list do babci. Mam dla niej bardzo miłą niespodziankę. I jestem pewien, że ucieszy się, jeśli poćwiczę przy okazji *Anglicana formata*.

Wczoraj do Ruby Gallery musiało przyjść około czterystu osób – coś koło tego. Cały dowcip (jeśli to odpowiednie słowo) w tym, że galeria jest usytuowana na Avenue B – czyli z francuska na „rue B”. (Wiem, wiem.) Galerię urządono w starym magazynie i wejście do niej jest typowo nowojorskie, czyli nijakie. Przez te drzwi można przejść tysiąc razy i najwyżej zaskrzypią ci tylko tenisówki z East Village. Mój taksówkarz – człek, jak wyczułem, niezbyt obyty – nigdy o Ruby Gallery nie słyszał i wcale się tym nie przejmował. Rzucił jednak przez ramię:

– Hej, koleś, widzisz tę paczkę odstawionych gości, którzy właśnie wysiedli? No to może powinienes pójść za nimi.

W środku były dwa poziomy, obydwaj z podłogami z nie malowanego drewna i neutralnymi ścianami. (Ciekaw jestem, czy możliwe byłoby zorganizowanie wystawy składającej się wyłącznie z wystrojów wnętrz galerii na przestrzeni wieków?) Jeśli chodzi zaś o przestrzenie wystawiennicze – o czym kilkakrotnie mnie poinformowano – Ruby Gallery nie ustępuje najświetniejszym placówkom tego typu na świecie. Jeśli ściany mogą stać się obiektem pożądania, to właśnie tutaj.

Desperacko starałem się zapomnieć o koncercie w Carnegie Hall (przyjdzie, nie przyjdzie?) i o tym, co zrobię, jeśli nie przyjdzie. I za każdym razem, gdy przedstawiano mnie komuś, prowadziłem rozmowę z należytą atencją i koncentrowałem się – jak to określa Saul – na arcyważnej kwestii zdobywania klientów mimochodem.

– Przy takich okazjach – powiedział mi kiedyś – nigdy nie wiadomo, kiedy rozmawia się ze swoim honorarium. Najlepiej więc założyć, że każda poznawana osoba jest książeczką czekową, która tylko czeka,

żeby ją otworzyć.

Około dziewiątej ci, których Saul wynagrodził mianem „niestrudzonej elity Wschodniego Wybrzeża” (a mało kto był częściej przez niego wynagradzany), zaczęli się gromadzić w głównej sali – długiej galerii o wysokim suficie z belkami stropowymi i niewielkim balkonem na jednym końcu. Czekali, aż przemówi gospodarz wieczoru, Gus Wesley, miliarder we własnej osobie.

Saul oczywiście skłamał. Wystawa nie była poświęcona tylko moim pracom – i dzięki Bogu. Było nas czworo. I łączyło nas jedno: jako artyści nie chcieliśmy ulegać modnym trendom w sztuce współczesnej. Pozostała trójka – Candy, Ezra i Fred Donohue (upierał się przy pełnym imieniu i nazwisku) – również stała w długiej galerii, zagoniona na sam jej koniec razem ze mną, w sąsiedztwie naszego gospodarza.

Tymczasem Wesley był zaabsorbowany rozmową z jednym ze swoich sługusów – pytał o szampana („Dopilnuj, żeby był gotowy do podania, Henry”), o drzwi na klatkę schodową („Otwierają się tylko do środka, Henry, więc będziesz musiał je zaklinować, jak będziesz wychodził, dobrze?”) i o to, ile zarezerwowano miejsc przy jego stole („Musi być więcej niż dwadzieścia, Henry, ja już zaprosiłem dwadzieścia osób, tylko mi nie mów, że jest mniej, Henry, tylko mi nie mów...”)

Patrzyłem, jak niższej rangi sługus rozkłada przenośną mównicę. I potoczyłem znowu wzrokiem po sali. Donnę wisiał na obu długich ścianach. Ludzie z zainteresowaniem zbijali się przed nimi w gromadki. Wiersze wydawały się dziwnie odległe i obce – nie należały już do mnie. Ale trzeba przyznać, że prezentowały się imponująco: ascetyczna surowość kruczoczarnego tuszu na tle złamanej bieli, krwistoczerwone inicjały, cienkie ramy z palisandru. Po raz pierwszy dostrzegłem też, że powieszenie ich jeden obok drugiego nieoczekiwanie wytworzyło pewną szczególną dramaturgię, nieobecną, gdyby czytać je pojedynczo lub nawet na kolejnych stronicach książki. Na ścianie ich narracyjność była bardziej wyrazista, bardziej władcza, bardziej przejmująca, bardziej

doñośna, bardziej niepodważalna, niż mi się do tej pory wydawało. Coś w rodzaju stacji Drogi Krzyżowej, pomyślałem.

Mimo wszystko czułem się trochę jak piąte koło u wozu, ustawiony na honorowym miejscu z pozostałymi artystami. Każdemu poświęcono jedną z sal wystawowych na górze. A ich prace były dziełami sztuki w podstawowym znaczeniu tego słowa: powstały z farby i płótna. No i można je było kupić. Choć schlebiało mi, że zaproszono także mnie, w skrytości ducha usiłowałem zrozumieć, jak Wesley mógł pomieścić wiersze sprzed czterystu lat wykaligrafowane pismem sprzed siedmiuset lat w choćby najszerszej definicji sztuki współczesnej.

Trzeci średniej rangi kudłaty sługus przetestował mikrofon, a potem z pobliskiej grupki wystąpiła jakaś kobieta z personelu galerii i stanęła na mównicy. Ona też popukała w mikrofon. W sali zaległa cisza.

Wesley zostawił swojego zausznika szepczącego coś do komórki przy wyjściu na klatkę schodową za nami i przystanął na chwilę, wczuwając się w swoją rolę, rolę osoby publicznej.

Gwar przeszedł w szmer i przedstawicielka galerii przemówiła:

– Panie i panowie... chyba jesteśmy już wszyscy... chociaż widzę jeszcze na balkonie paru spóźnialskich – podniosła rękę – zapraszamy was, kochani, prosimy tutaj... w porządku. A więc, przejdę od razu do rzeczy. Nie muszę go wprawdzie nikomu przedstawiać, ale mam obowiązek powitać naszego ulubionego dobroczyńcę... i gospodarza dzisiejszego wieczoru... Gusa Wesleya.

Rozległy się gromkie i uprzejme oklaski. Mijając nas, Wesley posłał w naszą stronę jeszcze jeden szeroki uśmiech. Wszedł na mównicę.

– Szanowni państwo – zaczął – na początek chciałbym podziękować wszystkim za przybycie. W tej chwili widzę mnóstwo znajomych twarzy i cieszy mnie ten widok. Większość z was znam i Kocham jako przyjaciół... a resztę rozpoznaję i znoszę jako współpracowników!

Śmiech – głównie, podejrzewam, z grupy reprezentującej współpracowników.

– Chciałbym, żeby ten wieczór upłynął nam w rozluźnionej

atmosferze, bawmy się... W końcu jest to przyjęcie. Najpierw jednak parę słów o sztuce, skoro jest to jeden z powodów, dla których zebraliśmy się tutaj. – Przerwał autorytatywnie i przybrał pozę wyrażającą nieco więcej powagi i agresji. – Panie i panowie, uważam, że nadeszła pora, żebyśmy wydobyli sztukę... dzieła sztuki... wydobyli je z getta elitarności.

Zabrzmiały oklaski – mniej ugrzecznione, bardziej spontaniczne. Wesley mówił dalej z jeszcze większą pewnością siebie:

– Ja na przykład mam już po dziurki w nosie sztuki konceptualnej. Mam dość malarstwa gestu. To przestało być stymulujące, zresztą stymulacja intelektualna już nie wystarczy. Zaangażowanie jest dużo ważniejsze od prowokacji. – Znowu przerwał. – Widzicie państwo... moim skromnym zdaniem dwudziesty wiek dał się zauroczyć degrengoladzie. Ale teraz koniec z tym fatalnym zauroczeniem.

Wszyscy odstawili drinki i zaczęli entuzjastycznie klaskać, częściowo dlatego, że byli (w większości) „grupą zebranych razem Amerykanów”, częściowo dlatego, że Wesley za nas płacił, ale też częściowo dlatego, że wszystkim spodobała się ta uwaga.

Wesley dopiero się rozgrzewał. Pokiwał głową.

– Powtarzam raz jeszcze: za długo byliśmy zauroczeni degrengoladą... w polityce, w programach społecznych i... tak... przede wszystkim w sztuce. Mówię wam jednak, że dwudziesty pierwszy wiek będzie inny. Od tej pory będziemy interesować się tymi, którzy naprawdę coś potrafią.

Sala zatrzęsa się od okrzyków i wiwatów, które dochodziły zwłaszcza z pierwszych rzędów zajmowanych przez dziennikarzy. Większość pracowała w jego gazetach albo miała nadzieję zatrudnić się tam w przyszłości, a już na pewno nie odrzucała takiej ewentualności. Dołączyli się nawet maruderzy z balkonu. Przechwyciłem spojrzenie Williama. Wychylał się niefrasobliwie nad barierką obok Nathalie. Zrobił gest jak witający się z poddanymi monarcha.

Gus Wesley pozwolił sobie na uśmiech.

– Dlatego też postanowiłem sprowadzić czterech artystów, z których wszyscy na różne sposoby reprezentują coś, co lubię nazywać „nową sztuką współczesną”. Czterech artystów, których prace mieliście okazję dziś obejrzeć. I każdy z nich, moim skromnym zdaniem, jest uzdolniony, utalentowany w sposób, który jest prawdziwy, wymierny i trwały. Pozwólcie, że ich przedstawię. Najpierw... – Wyciągnął rękę w naszym kierunku. – Candy Bukowski, której wszystkie portrety zostały dzisiaj sprzedane. Nie został ani jeden. Nie moglibyście kupić teraz Bukowski za żadne skarby świata!

Znowu brawa, pohukiwania i kilka okrzyków: „Hej... brawo, Candy!”

Candy, która stała koło mnie, spłonęła głębokim rumieńcem, a raczej połączyły się jej piegi.

Gus Wesley znowu popatrzył za siebie – gospodarz talk show rozmawiający ze specjalnymi (ale wrażliwymi) gośćmi:

– Candy, jak wiesz, uwielbiam twoje prace... wszystkim się podobają... ale muszę zadać ci to pytanie: dlaczego w tej kolekcji skonstrastowałaś niemowlęta i starców?

Candy zaczęła mówić. Ale bez mikrofonu jej głos brzmiał cicho i nieistotnie.

Wesley zaprosił ją na mównicę. Zawstydzona podeszła do mikrofonu.

Pozwoliłem moim oczom znowu pobłądzić. Saul z żoną stali z przodu, skinęli głowami i unieśli lekko kieliszki. Rozpoznałem też kilku dziennikarzy z lunchu. Nathalie obejmowała ramieniem Williama i zauważyłem, że Don przyszedł z Cal.

Falami ogarniało mnie zmęczenie po długim locie. Uświadomiłem sobie, że w galerii nie ma ani naturalnego światła, ani świeżego powietrza, nie licząc niespodziewanych i lodowatych powiewów przeciągu, które smagały mnie od tyłu za każdym razem, gdy asystent Wesleya na chwilę otwierał drzwi na klatkę schodową.

Przyszła pora na wypowiedź Ezry. Pochodził z Belgradu. Niczego

się nie bał. Moje myśli całkowicie opuściły okolice galerii i przystąpiły do walki między sobą gdzieś daleko.

Gus Wesley mówił do mnie albo o mnie, albo ze mną, albo przy mnie, a może nawet przeze mnie...

– ...A na koniec akcent osobisty, przyjemność, której nie mogłem sobie dzisiaj odmówić. Człowiek odpowiedzialny za przepiękne manuskryptowe kopie utworów Johna Donne’a, wielkiego poety Renesansu, które widzieliście i podziwialiście na ścianach tej galerii. Panie i panowie, przybyły prosto z Londynu, z samej Anglii: Jasper Jackson!

Tak jak zmęczenie, brawa również napływały falami i znalazłem się nagle sam na wąskim przesmyku w miejscu, gdzie spotkały się dwie potężne masy wody.

Wesley szczyrzył zęby w uśmiechu.

– Jasper, jest tyle pytań, które chcielibyśmy ci zadać, ale na początek muszę się dowiedzieć jednego: gdzie się nauczyłeś tak pięknie kaligrafować? Chyba dobrego użyłem słowa... „kaligrafować”... tak?

Fred Donohue cofnął się i teraz ja, skorzystawszy z zaproszenia, stanąłem obok Wesleya na mównicy. W przeciwieństwie do wielu ludzi, których widzi się w gazetach lub w telewizji, Gus z bliska prezentował się świetnie. Krótco ostrzyżony, jasnowłosy, miał sposób bycia słynnego aktora obsadzonego w roli charyzmatycznego polityka. I z jego zachowania niezbitnie wynikało, że pomimo swych czterdziestu dwóch lat wciąż się uważa za *enfant terrible*. Ale teraz widziałem też, jak pot rozmiękcza mu kołnierzyk, czułem, jak w przeciążonym powietrzu słabnie i zanika zapach jego wody po goleniu, i odniosłem wrażenie, że jestem odporny na jego urok.

Kudłaty sługus wyrósł nagle przy nas i przekręcił mikrofon w moją stronę.

– Tak, to właściwe słowo – odparłem mechanicznie. Mój wzrok prześlizgnął się nad głowami zebranych. – Szczerze mówiąc, po prostu mam bardzo dużo szczęścia. Kaligrafowania uczyła mnie babcia... teraz

trzyma pieczę nad średniowiecznymi manuskryptami w Rzymie. Zawsze zajmowała się tą dziedziną. Była moim mentorem. Już od wczesnego dzieciństwa. – Powoli budziłem się z otepienia. – Żeby opanować tę sztukę, trzeba wielokrotnie przepisywać prace starych mistrzów. Kaligrafia opiera się przede wszystkim na kopiowaniu.

Mikrofon został obrócony. Wesley znów zwrócił się do publiczności:

– Cóż, moim zdaniem są to przepiękne dzieła sztuki. I wiesz, tak rzadko się zdarza, żeby ludzie parający się na co dzień słowem... jak tyłu z nas tutaj... znaleźli czas i okazję wczytać się w poezję, a dzięki tobie te liryki znów ożyły. Wyobrażam sobie, ile godzin z nimi obcowałeś. I moje drugie pytanie dotyczy właśnie tego. – Zerknął na mnie. – Jako że spędziłeś tyle czasu z Johnem Donne'em, jak myślisz, o czym tak naprawdę są te wiersze? Jaka płynie z nich nauka?

Zastanowiłem się.

– Cóż... muszę powiedzieć, że jedną z rzeczy, jakich nauczył mnie Donne, jest to, że jego utwory absolutnie opierają się wszelkim nazbyt uproszczonym...

Wesley przerwał mi, czym zaskoczył kudłacza.

– Oj, przestań. Musisz mieć jakieś zdanie. Wy, Anglicy, zawsze – w tym momencie podetknięto mu mikrofon i jego głos znów się nagle wzmocnił – chowacie się za dwuznacznościami. No, już. Wał prosto z mostu. – Wesley uśmiechał się. W tej chwili... dzisiaj... jak sądzisz, jak czujesz, o czym są te wiersze? Nie będziemy trzymać cię za słowo.

Śmiech w tłumie. W głosie Wesleya pobrzmiwała jakaś bojowna nuta, która rozpędziła na cztery wiatry niedobitki mojego zmęczenia. Za całym tym bogactwem i hojnością czał się łobuziak z podwórka. Za moimi plecami znów powiało lodowatym powietrzem. Zapragnąłem, żeby asystent Wesleya zamknął na dobre te przekłete drzwi, zamiast kręcić się w tę i z powrotem. Pochyliłem się do przodu i wbiłem wzrok w oddalony punkt. Chce odpowiedzi, pomyślałem w duchu, to będzie ją miał.

– Cóż, Gus – zwrócenie się do niego po imieniu pozwalało go jakoś okiełznać – chyba tak jak wszyscy początkowo miałem blade pojęcie o jego poezji. Na początku byłem przekonany, że są to po prostu liryki miłosne. – Przerwałem. – Ale potem... potem pomyślałem, że wszystkie są o odejściu Boga z ludzkiego świata; potem, że o konflikcie umysłu i ciała; potem, że o męskiej psychice; potem, że o beznadziejnej otchłani dzielącej obie płcie... również w chwilach zbliżeń intymnych. – Rozległ się cichy szmer rozbawienia. – A potem pomyślałem, że te wszystkie wiersze są o tych wszystkich rzeczach jednocześnie... bo tak jest rzeczywistość. – Zaczepnąłem powietrza. – Tak się jednak składa, że kilka tygodni temu, gdy prace nad nimi dobiegały końca, miałem okazję po raz ostatni je wszystkie przejrzeć.

I dokonałem fascynującego odkrycia.

Cała sala zamieniła się w słuch. Po chicagowskim krzykliwym akcencie Wesleya mój głos działał jakby kojąco.

– Gdy ponownie przeczytałem jeden z jego wcześniejszych utworów, od którego zacząłem... wiersz pod tytułem *Więzy miłości*... wisi tam – wskazałem – zainteresowałem się słowem, którego nie rozumiałem. Chodzi mi o słowo Junktura”.

Zacytowałem z pamięci:

Idąc za głosem natury, Zwierzę nie traci junktury

Podniosłem wzrok w stronę balkonu.

– Pozornie wydaje się, Gus, że *Więzy miłości* są głosem mężczyzny, który uskarża się na ograniczenia wierności. Czuje się jak w pułapce... spętany przez kobietę swojego życia lub w ogóle przez kobiety. – Kolejne szmery rozbawienia i kilka kontrszmerów żartobliwego sprzeciwu. – W każdym bądź razie taką przyjąłem interpretację, gdy zetknąłem się z tym utworem po raz pierwszy. Ale nie przeczytałem go wtedy dość uważnie i nie wiedziałem, co znaczy Junktura”. Zajrzałem więc do starego słownika i okazało się, że słowo to ma rodowód łaciński i oznacza – tutaj przybrałem ton słownikowych definicji – wdowie dożywocie: majątek, dochód, utrzymanie prawnie zapewnione kobiecie

po śmierci małżonka.

Zrobiłem przerwę.

– Dla mnie była to przełomowa chwila. Zrozumienie bowiem, co znaczy „junktura”, diametralnie zmieniało perspektywę wiersza. Nie był już głosem mężczyzny uskarżającego się na niewolę wierności, jego podmiotem lirycznym... narratorem... stała się kobieta. Kobieta, która uskarża się na to, że nie może być niewierna. Ponieważ w Anglii elżbietańskiej tylko kobieta, opowiadając się za większą, powiedzmy, swobodą seksualną, mogłaby podać taki argument: że zwierzę nie traci junktury, gdy idzie za głosem natury. Gdyby mężczyzna powiedział coś takiego, użył tego konkretnego słowa, nie miałyby to sensu.

Parę osób z przodu zaśmiało się. Saul wybałuszał oczy. A ja kontynuowałem:

– Zdałem sobie sprawę, że choć wiersz napisany jest przez Donne’a, jego podmiotem lirycznym musi być kobieta. Dłonie miałem gorące, ale byłem całkowicie rozluźniony. – Gdy więc zrozumiałem ostatni fortel Donne’a... a jest ich u niego całe mnóstwo... gdy zrozumiałem ostatni fortel Donne’a, a polega on na tym, że niektóre jego wiersze są napisane z punktu widzenia kobiety, jeszcze raz wziąłem

wszystkie pod lupę... i doszedłem do ostatniego wiersza, który wykaligrafowałem. Wisi tam, na końcu. Wskazałem ręką. Głowy się odwróciły.

– Ma tytuł *Statość kobieca*. Często uważa się go za wizytówkę Donne’a. Rzeczywiście myślę, że daje nam kilka najważniejszych wskazówek co do tego, o czym jest jego poezja. I znów przy pierwszym czytaniu wydaje się, że *Statość kobieca* ilustruje klasyczny przypadek mizoginii: sarkastyczny tytuł i siedemnaście linijek zjadliwych skarg wypowiedzianych przez mężczyznę o cynicznym sercu.

Wyrecytowałem kilka wersów:

już dzień miną ciaty naszego kochania, Lecz co jutro mi powiesz w chwili rozstania? Czy śiuby wieczyste tak niedawno składane

Nie będą pamiętane? Czy ustyszę może, żeśmy już się zmienili,

Odczekałem chwilę.

– Ale proszę zobaczyć, co się dzieje, gdy przyjmiemy, że narratorem jest kobieta.

Powtórzyłem te same wersy.

Już dzień minął cały naszego kochania, Lecz co jutro mi powiesz w chwili rozstania? Czy śluby wieczyste tak niedawno składane

Nie będą pamiętane? Czy ustyszę może, żeśmy już się zmienili,
Sprawiało mi to przyjemność.

– *Stać się kobieca* wcale nie traci sensu. Ale teraz, gdy przyjmiemy perspektywę kobiety, znaczenie wiersza zmienia się całkowicie. Na podobnej zasadzie jak w *Wieżach miłości*. Przestaje być szyderstwem na kruchość kobiecej wierności, staje się natomiast manifestacją kobiecej stałości, a wówczas prawdziwym celem ataku stają się mężczyźni. Innymi słowy utwór ten staje się dokładnym przeciwieństwem tego, czym początkowo się wydaje. – Uśmiechnąłem się. – Zadziwiające jest to, że ten wiersz sprawdza się w dwóch głosach – kobiety i mężczyzny – i jestem pewien, że takie było zamierzenie Donne’a. Ale dopiero, gdy ujrzymy te wersy również w świetle kobiecej perspektywy, dotrzemy do samego sedna *Pieśni i sonetów*. Rzeczywiście *Stać się kobieca* jest wierszemwizytówką, ponieważ tutaj, bardziej niż gdzie indziej, stałość i niestałość bezpośrednio się ze sobą spierają. I nie tylko – odchodzą, zmieniają płęć i znowu toczą spór. I moim zdaniem żaden temat nie jest dla Donne’a tak witalizujący. Wyczuwa się, że to właśnie niestałość ożywia jego duszę. – Wciągnąłem powietrze. – Tak więc, Gus, żeby odpowiedzieć na twoje pytanie, w tej chwili wydaje mi się, że kluczem do *Pieśni i sonetów* Donne’a jest niestałość. Niestażość jako siła napędowa. Niestażość kobiet, owszem, ale też... na głębszym poziomie... niestałość mężczyzn. – Cofnąłem się.

Brawa były głośne i grzmiąły gorąco w moich uszach. Jestem pewien, że klaskali, bo tak wypadało. Ale i tak czułem satysfakcję.

Minęło pół minuty, nim Wesley zdołał uciszyć aplauz.

– No... proszę... no proszę, mam swoją odpowiedź. – Podniósł do

góry rękę otwartą dłonią do publiczności. – Dobrze. Bardzo dziękuję. Niestałość mężczyzny. To jest dopiero coś. – Zerknął do tyłu w stronę swego głównego asystenta i uśmiechnął się. – Dziękuję ci za wyjaśnienia, Jasper.

Odsunąłem się, żeby mógł wejść na mównicę.

– Cóż, moi drodzy, dowiadujemy się czegoś nowego każdego dnia. Ale teraz została nam tylko jedna rzecz. Wspominałem wcześniej, że prace Jaspera zostały zamówione z powodów osobistych. I jest to prawda. Uwielbiam poezję Donne’a i zawsze chciałem mieć kolekcję jego wierszy. Ale cieszą mnie także z innego powodu. Niektórzy z was wiedzą, że zamówiłem kolekcję tych trzydziestu przepięknych arcydzieł, ponieważ chciałem zrobić szczególny prezent komuś, kto jest z kolei kimś szczególnym dla mnie. Komuś, kto w ostatnich latach całkowicie odmienił moje życie.

Muszę coś wyznać – mówił dalej. – Sprowadziłem tu was wszystkich podstępem, ponieważ dzisiejszy wieczór nie ma

tylko i wyłącznie wymiaru artystycznego. Nie chodzi też tylko o to, żeby się zabawić. Dzisiejszy wieczór to również przyjęcieniespodzianka z okazji urodzin najlepszej i najpiękniejszej kobiety na świecie. No dobrze! Mamy szampana. Mamy muzykę. Mamy bardzo dużo szampana! – Znowu obejrzał się i spojrzał za mnie; tym razem uśmiechnął się szerzej.

– Zjawiała się przed chwilą, ale, panie i panowie, nie zdawała sobie sprawy, że one – tutaj wskazał wiersze – są dla niej. I wiem – musiał podnieść głos przy oklaskach i wiwatach – wiem, że razem ze mną złożycie najlepsze życzenia urodzinowe mojej przyszłej żonie.

Odwróciłem się.

Madeleine patrzyła prosto na mnie szeroko otwartymi oczami. Było w nich zaskoczenie i coś, czego jeszcze tam nie widziałem. Zagryzła wargę. Nad jej głową widniał zielony napis: „Droga ewakuacyjna”.

Podziękowania

Składam podziękowania profesorowi Johnowi Careyowi za kilka szalenie pouczających popołudniowych spotkań w Oksfordzie. Wszystkie wykorzystane przeze mnie cytaty poezji Johna Donne'a zaczerpnąłem z jego doskonałego opracowania. Zainteresowanych odsyłam do niezrównanej biografii jego autorstwa: *John Donne: Life, Mind and Art*.

Serdecznie dziękuję Tony'emu Curtisowi, członkowi Stowarzyszenia Skrybów i Iluminatorów, za jego życzliwą i wytrwałą pomoc, dzięki której choć raz wiedziałem, o czym mówię.

Mam ogromny dług wdzięczności wobec mojego agenta, Billa Hamiltona, za jego wiarę we mnie i mądre rady w ciągu ostatnich lat. Również wobec moich redaktorów: Christophera Pottera za jego przenikliwość i przemyślane sugestie przy pierwszych szkicach; Catherine Blyth za jej niewiarygodną koncentrację i niesamowitą spostrzegawczość przy szczytowaniu rękopisu.

Muszę również docenić pomoc i wsparcie ze strony moich sióstr, Charlotte, Claudii i Adelaide – pomagały mi w różny sposób na różnych etapach pracy nad książką.

Jestem wdzięczny Sophie za to, że jej się chciało (dawno temu), oraz Lucy za jej szczerość. Gorące podziękowania składam w tym miejscu Sue Ellis – każdy pisarz życzyłby sobie tak inteligentnego i spostrzegawczego czytelnika.

Wyrazy uznania za tajemniczo ożywczy duch cudownych M (Antipodes, Wellington, Mr Pitt, Louis i nawet Lestopher) w tak wymownej antypatii tkwi istotna prawda. Dziękuję również moim przyjaciołom w Rzymie: Danielowi (stronniczość), Anthony'emu (wiedza), Garethowi (humor) i Elizabeth (rozumienie). Jestem zobowiązany Larze za modę. Richardowi za wiarę (i ponieważ zawsze jest jakieś wyjście). Perry'emu za paszteciki i schronienie. I wreszcie J.S. i B.D. – bez których nic.